



MAGDALENA  
**KNEDLER**

NIC OPRÓCZ ŚMIERCI



NIC OPRÓCZ ŚMIERCI

MAGDALENA  
**KNEDLER**

NIC OPRÓCZ ŚMIERCI



## CZEŚĆ I

*Powiada się, że nikt nie ma takiej obsesji śmierci, jak wiedeńscy. Szczególny stosunek do niej jest wyczuwalny na każdym kroku – uwidacznia się w czci, jaką mieszkańcy miasta otaczają krypty i nekropolie, pobrzmiewa w pieśniach śpiewanych w winiarniach przy szklanicach młodego Heuriger: smutnych, wiejących grozą i zarazem pięknych.*

Hanne Egghardt, Katharina Kunz

*Wiedeń*

*Śmierć musi być wiedeńczykiem, tak jak miłość jest Francuzką. Któż inny tak punktualnie powiedzie cię do nieba bram?*

fragment wiedeńskiej przysłówki

*W Wiedniu musisz umrzeć, żeby wypito twoje zdrowie. Ale potem żyjesz długo.*

Helmut Qualtinger

## WIEDEŃ

czerwiec 2014

Profesor umarł. Przez nią. Oczywiście powinna o tym pomyśleć, zanim uciekła. Widziała przecież, jak wyglądał. Zobaczyła krew, która ciekła z nosa i uszu. A jednak zdobyła się tylko na refleksję, że to dziwne. Ta krew, tak od razu. Wszystko działo się za szybko. Szedł w jej stronę, chciał coś zrobić. Z pewnością nic dobrego. Widziała tę plamę na podłodze, na czarnych, lśniących jak lustra, pięknych kafkach. Podobały jej się. Optycznie powiększały kuchnię. Ale na nich była kałuża – wody, później krwi. Nie mogła się skupić. Nie wiedziała, na co patrzeć. Na kafle czy na jego dłonie? Wstrętne paluchy, które wyciągał przed siebie. Przyszło jej jeszcze do głowy, że zachowywał się dziwnie cicho. Powinien zareagować impulsywnie, wrzasnąć na przykład. Zrobić coś, co świadczyłoby o przeżywaniu skrajnych emocji. Ale on tylko syknął, zerwał się z miejsca i... te paluchy, czerwone, pokaleczone. Dłonie rzeźbiarza. Co zamierzał? Czy zdawał sobie sprawę, że ktoś jeszcze przebywa w domu? Czy mimo to chciał ją zabić? Uderzyć? I co później?

Nigdy się tego nie dowiedziała. Profesor jęknął i runął na podłogę. Właśnie na te kafle, które tak się jej spodobały. Ale najpierw zahaczył głową o kant szklanego stolika. Później uderzył nią o podłogę. Wyglądał jak szmaciana kukła, kiedy tak poślizgnął się i nie mógł utrzymać równowagi. Patrzyła na niego i nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Usłyszała głucho uderzenie. Widziała krew. Pękła mu czaszka? Tak po prostu?

Nie знаła się na tym. I właściwie – nie żałowała, że to się stało. Zasłużył przecież. Obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę drzwi. Wybiegła na zewnątrz, pognąła do najbliższej stacji metra i wsiadła do pierwszego lepszego wagonu. Nieważne, w którą stronę jechał. Wiedziała, że z kolejnej stacji bez problemu znajdzie właściwe połączenie. W końcu to Wiedeń. A tutaj było ciepło, tutaj byli ludzie. Tłok dał jej chwilową iluzję bezpieczeństwa. Czy oni wszyscy... przyglądali się jej? Czy wyglądała podejrzanie? Spuściła wzrok. Była brudna? Może na jej ubraniu została plama krwi? Nie, nie zbliżyła się do tego człowieka, nie dotknęła go... To tylko jej wyobraźnia. Czy wszystko stamtąd wzięła? Czy w domu profesora został po niej jakiś ślad? Czy mogli ją jakoś odnaleźć? Powiązać z tym wszystkim?

Oczywiście, że mogli. Przy odpowiednich staraniach. Ale przecież nie powiążą, bo on przeżyje, wreszcie odzyska przytomność i nie wezwie policji. Za wiele ma do stracenia. Sam do niej przyjdzie. Sam... to robi. Musiała uciekać. Już, teraz, zaraz. Kupić bilet na samolot, spakować się. Nikomu nic nie mówić.

Na następnej stacji przesiadła się do właściwego wagonu i wróciła do mieszkania, które wynajmowała na Mariahilfer Strasse. Ból rozsadzał jej klatkę piersiową, a w uszach dziwnie dudniło. Drżącą dłonią przekręciła klucz w zamku i weszła do środka. Musiała działać szybko. Walizka. Ubrania. Dokumenty. Wrzucała wszystko do torby i upychała rzeczy na oślep. Bilety... Pobiegła do biurka i chwyciła laptop. Zamówić bilety, teraz, teraz... Waliała w klawisze tak mocno, że rozbolewały ją opuszki palców. Brak wolnych miejsc. Nie! Niemożliwe! Coś musi się znaleźć. Inna linia, inna trasa, z przesiadką, może

przez...

Pukanie. Przesłyszala się? Nie, ktoś naprawdę pukał. Dochodziła północ. Nikt nigdy nie przychodził do niej o tej porze. Wszyscy wiedzieli, że wcześniej kładła się spać. A poza tym przed złożeniem wizyty każdy najpierw dzwonił. Pukanie to był zły znak.

Ruszyła do przedpokoju. Zerknęła przez wizjer. Znała tę twarz. Niestety, znała. Widziała go kilkakrotnie. I on ją również. A czy zobaczył ją także dziś? Niedawno? Musiał. Dlatego właśnie przyszedł. Nie istniały zbiegi okoliczności. Nie takie. Wiedział, że jest w domu, pukał coraz natarczywiej. Oparła się o ścianę i łapczywie zassała powietrze. Położyła dłoń na klamce.

Niewiele pamiętała z tego, co było dalej. Mówił do niej. „On umarł” – to było pierwsze. A potem, że wszystko w porządku, że rozumie. I jest po jej stronie. Ciągłe to powtarzał i nadal powtarza. Teraz też. Jest po jej stronie. Ma dla niej zadanie. I tylko tyle. Kiedy je wykona, wszystko będzie dobrze. Wszystko się skończy.

Jak skończy? Nie wiedziała. Tamten umarł, a ten czegoś chciał. Musiała to zrobić. Potarła dłonie, żeby odrobinę je rozgrzać. Nie mogła pracować byle jak. Tutaj potrzebny był ogromny wysiłek. Tylko dzięki znakomitym, oszalamiającym efektom mogła jeszcze mieć jakąś szansę. Jedną, jedyną.

Inaczej nie pozostanie nic oprócz śmierci.

\*\*\*

Stał przy drzwiach i nasłuchiwał. Dziewczyna przestała chlipać. Dobrze, bardzo dobrze. Nie znosił, kiedy tak chlipała. Czuł się jak ostatnia kanalia. A przecież nie on zawinił, tylko tamten. On był po jej stronie, wszystko świetnie rozumiał. Nie zdziwił się. Pomógł jej. Teraz ona musiała pomóc jemu. Ale źle się do tego zabrał, po amatorsku, nie myślał za wiele. Po prostu zdarzyła się ta sytuacja i postanowił z niej skorzystać. Już by się przecież nie powtórzyła, to jasne. Teraz miał wreszcie możliwość działać, zrobić coś, o czym marzył od dawna. Musiał ją skłonić do współpracy, skutecznie i... na długo. Co stanie się później? To będzie już zależało od niej.

A co najpierw? Miejsce. Nie mógł trzymać jej tutaj. W końcu zrozumie więcej i zacznie wrzeszczeć. Wszystko trzeba dobrze przemyśleć, każdy kolejny krok. Na razie zgodziła się współpracować, ale wciąż nie wie, co ją czeka. Musiał mieć odpowiednie argumenty, środki, sprzęt, zabezpieczenia, wyciszone ściany. A zanim to przygotowuje – coś odurzającego, żeby się nie stawiała. Sąsiedzi przecież... Tylko patrzeć, jak któryś zacznie węszyć i nasłuchiwać. Trzeba ją stąd przenieść. Nawet wiedział gdzie. Musiał się tylko uspokoić i zacząć zachowywać racjonalnie.

Złapał się za głowę i jęknął. Nie lubił działać spontanicznie. Z początku wszystko wyglądało niezłe, czuł euforię, radość, rozpierającą go energię. Później sprawy zaczynały

się komplikować. I oczywiście – nigdy wcześniej nie zrobił czegoś takiego, jak teraz. To było jego najtrudniejsze zadanie. Opanować się. Uspokoić. Zacząć myśleć logicznie. Zacząć działać.

Co to? Wali w drzwi? Dlaczego? Przecież zgodziła się współpracować, do cholery! Tylko nie to. Rozejrzał się w popłochu po pokoju. Firanka... Zerwał ją z karnisza i podał na szerokie pasy. To żenujące, jak słabo był przygotowany. Przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. Dziewczyna rzuciła się w jego stronę. Nie miał jeszcze niczego, co mógłby jej zaaplikować. Dopiero później... Teraz musiał zrobić to, czego bardzo nie lubił. Zacisnął dłoń w pięść. Nawet nie wiedział, kiedy wyprowadził cios. Dziewczyna umilkła od razu. Złapała się za nos, a przez jej palce kapłała krew. Głupia. Przecież był po jej stronie! Wszystko rozumiał.

Złapał dziewczynę za umazane krwią ręce i związał je podartą na pasy firanką. Teraz nie mogła pracować, ale na razie chodziło o to, by przestała się rzucać. A pracować w końcu zacznie, nie ma wyjścia.

Okropnie jej spuchł ten nos...

# WIEDEN – HEL

czerwiec 2015

## Rozdział 1

Ulrike Seinfeld przybiegła na przystanek i odprowadziła wzrokiem odjeżdżający tramwaj. Zakłęła. Nic jej dzisiaj nie wychodziło. Po raz pierwszy w życiu spaliła piernik – ulubione ciasto Ernsta, na które bardzo tego dnia liczył. Jutro przyjeżdżała jego babka, jakaś stara Żydówka z Antwerpii, i od kilku dni nie dało się z nim wytrzymać. Ciągłe dzwonił i zadawał głupie pytania. Ulrike miała powoli dość, nie na tyle jednak, by odejść z pracy. Ernst Bauer całkiem nieźle jej płacił i dawał dużą swobodę działania. Nie wtrącał się i nie wymądrzał. Układ był jasny od samego początku. Ona sprzątała mu w domu i w pracowni rzeźbiarskiej, gotowała obiady i piekła ciasta, on co miesiąc przelewał jej godziwą sumkę na konto i nie narzekał. To ostatnie było chyba jeszcze ważniejsze niż pieniądze. Poprzedni pracodawca zrzędził na okrągło: „Ulrike, mówiłem ci, płyn miał być o zapachu cytryny, nie cytrusów, cytrusy to nazwa ogólna, a cytryna – konkretna”; „Znowu za słabo wykręciłaś mop i podłoga wolno schnie”; „Jakich użyłaś ściereczek, że zostały takie mazy na szybie?”. Mazy! Jedna smuga! To według niego były „mazy”. Poprzedni pracodawca oglądał wszystko przez lupę i zawsze coś musiał znaleźć. Obniżał jej później pensję, gnida... A Ernst Bauer tylko kiwał głową i był szczęśliwy, że na dywanie nie zalega mu sterta nieupranych skarpet. W pracowni to samo. Ulrike zawsze wiedziała, że nie wolno ruszać „terenu” wokół rzeźby i omijała go łukiem. Efekt był taki, że na czyściutkiej podłodze zostawała wyspa śmieci, ścinek, obierków, zaschniętej gliny, drewnianych wiórów, kleju i przeróżnej maści narzędzi tortur, jak w duchu nazywała dłuta i rzeźbiarskie piły. Ernst bardzo ją za to doceniał.

A teraz? Teraz zachowywał się jak osoba cierpiąca na nerwicę natręctw. I wszystko przez babcię. Kto by pomyślał? Tyle biegania z obłędem w oczach po mieście, sprzątanina, pieczenia, zacierania śladów licznych romansów, romansików i innych bzdurnych tematów, dlatego jedynie, że w odwiedzinie przyjeżdża jakaś stara kobieta? Jest antwerską cesarzową albo coś w tym stylu? Ulrike pokręciła z dezaprobatą głową i zerknęła na przyklejony do szyby plakat Conchity Wurst. Conchita utkwiała w niej nieruchome spojrzenie.

– No i co się gapisz? – mruknęła pod nosem.

– Szowinistka! – zawołał ktoś po lewej.

Jakaś panna w kusej różowej sukieneczynie i mocnym makijażu pokazała jej środkowy palec. Ulrike zamurowało. Świetnie. Ona, największa fanka Conchity, która po raz trzeci z rzędu zaczytywała się w jej biografii, została wyzwana od szowinistek. I dlaczego właściwie szowinistek? A nie... homo-, kseno- i innych fobów? Za pomocą jakiego terminu można najlepiej oddać ewentualną niechęć do kobiety z brodą? Ulrike chciała coś odpyskować różowej pannie, ale właśnie przyjechał tramwaj, więc z tego zrezygnowała i wskoczyła na stopień. Dzień zaczął się wspaniale.

Przez całą drogę na Neubaugasse myślała o tym, jak wytłumaczyć Ernstowi ten



spalony piernik. Nie będzie szczęśliwy, to pewne. Ale ostatecznie jego babka przyjeżdżała jutro, więc jeszcze nie wszystko stracone. Tyle że dziś w pracowni zapowiadało się więcej pracy niż zwykle. Szef zamierzał nadzorować wszelkie działania osobiście i chyba nawet planował trochę pomóc. Obiecał pojechać na Neubaugasse z samego rana i tam na nią poczekać. Choć przecież mieszkał na drugim końcu miasta. Na dodatek zamierzał przywieźć śniadanie. Świat się kończył. A ona nie dość, że się spóźni, to jeszcze nie przyniesie obiecanego ciasta. Pięknie.

Wysiadła z tramwaju i stanęła przed bladożółtą kamienicą. Denerwowała się, po raz pierwszy chyba, odkąd zaczęła pracować u Ernsta. Na krótką chwilę przymknęła oczy i policzyła do piętnastu, po czym weszła na klatkę schodową. Drzwi do mieszkania na pierwszym piętrze były niedomknięte. Przez szparę przesączało się mdłe światło i Ulrike zrozumiała, że Ernst nie zwinął jeszcze rolet. Poczowała dziwny niepokój. Delikatnie pchnęła drzwi i znalazła się w przedpokoju. W nozdrza uderzył ją osobliwy, metaliczny zapach. Niezbyt przyjemny i jakby... trochę znajomy. Kiedy sobie to uświadomiła, zrobiło jej się zimno. Taki sam zapach zawsze unosił się tam, skąd uciekła zaraz po skończeniu osiemnastu lat. W domu i przylegającym do niego zakładzie, który prowadzili jej rodzice. W rzeźni. To krew tak pachniała. Słodko, metalicznie. Ulrike poczuła mdłości.

– Ernst! – zawołała, zanim zdążyła pomyśleć. – Ernst! Jesteś tu?!

Usłyszała stłumione chrząknięcie i szloch. Opanowała drżenie nóg i ruszyła do największego pokoju, w którym zawsze rzeźbił. W progu stanęła jak wryta. Krzyknęła, po czym przycisnęła dłonie do ust. Na środku pomieszczenia klęczał jej szef. Kołysał się i szlochał jak dziecko. A przed nim znajdowała się... Ulrike również opadła na kolana. Przed Ernstem, na stercie rzeźbiarskich odpadów, leżała kobieta. Była naga. Ułożono ją na prawym boku, z głową opartą na prawej dłoni i lekko ugiętymi kolanami. Wyglądała tak, jak gdyby pozowała do aktu. Odważnie, bez żadnych zahamowań. Poza ubraniem jeszcze czegoś jej brakowało. Ulrike dźwignęła się z kolan i podeszła bliżej. Tak, tej tutaj brakowało jeszcze... krwi. Na nadgarstkach zmarłej widniały szkarłatne pionowe kreski, a wszystko wokół tonęło w czerwonej mazi. Ulrike podeszła do okna, otworzyła je i wzięła głęboki wdech, by powstrzymać kolejną falę mdłości. Znała tę dziewczynę. I Ernst również ją znał.

\*\*\*

Mewy. Ich skrzek wydał się Annie przyjemny jak dawno niesłyszana melodia. Otworzyła oczy, obróciła się w stronę okna i skupiła na dźwiękach. We Florencji nie było mew albo też ona, skoncentrowana na innych zjawiskach, ludziach i obiektach, nie zwracała na nie uwagi. Tutaj, w Helu, zawsze dostrzegała detale i wsłuchiwała się

w odgłosy otaczającej ją przestrzeni. Tutaj, w Helu, było dziwnie. Czuła, że źle zrobiła, przyjeżdżając, a jednocześnie nie rozumiała, dlaczego nagle ogarnął ją spokój. Po wielu dramatycznych wydarzeniach, które rozegrały się ubiegłej jesieni i zimy, Hel był pusty i milczący. Podarował jej ciszę. Jeszcze nie wiedziała, co powinna z nią zrobić.

Kiedy zadzwonił notariusz matki, akurat znajdowała się w Ystad. Pojechała tam, żeby sprzedać dom. Nie miała sprecyzowanych planów na przyszłość, ale w miejscu, w którym kiedyś mieszkała ze swoim nieżyjącym już mężem, nie potrafiła dłużej przebywać. Oczywiście ogarniał ją smutek na myśl o tym, że na zawsze opuści tę dobrze znaną i oswojoną przestrzeń. W dniu, w którym podpisała stosowne papiery i dom przestał być jej własnością, długo chodziła po plaży i lesie, wystawiała twarz na wiatr i spoglądała na zielone wody Bałtyku. Zrobiła to. Zmierzyła się z własną przeszłością i uznała, że może iść dalej. Postanowiła więc zacząć wszystko od nowa. Gdzie? Może w Sztokholmie? A może we Florencji? Spodobało jej się tam. A może jeszcze gdzie indziej? W miejscu, które byłoby nowe zarówno dla niej, jak i dla Antonia? Świadomość, że miała z kim porozmawiać o przyszłości, wydawała się bardzo krzepiąca.

Telefon od notariusza matki odebrała na plaży. Szum morza i wycie wiatru utrudniały rozmowę, która i tak nie była łatwa. Notariusz miał do przekazania informację o tym, że matka Anny wyjechała z Helu i prosiła, by jej nie szukać. Przygotowała akt darowizny i chciała przekazać starszej córce całą swoją własność, czyli dom-pensjonat na Rybackiej. To właśnie w nim rozegrał się wielki dramat. Anna wolałaby o wszystkim zapomnieć i nigdy już tam nie wracać. Z początku tak właśnie chciała zrobić. Rozłączyć się. Nie słuchać przemowy notariusza o akcie darowizny. A jednak nie potrafiła. Może matka wreszcie coś poczuła? Coś zrozumiała? Może się zmieniła albo próbowała zmienić, skoro postanowiła wyjechać? Anna nie zamierzała jej szukać, bawić się w przeprosiny, wybaczenie i udawanie, że przeszłość zupełnie się nie liczy. Ale dom... Czy mogłaby go tak zwyczajnie porzucić? Uznała, że nie. W niewielkim budynku na Rybackiej spędziła przecież całe swoje dzieciństwo i powinna chociaż przekazać go w dobre ręce. Tym się ostatnio zajmowała. Oddawaniem swoich dawnych mieszkań innym ludziom.

Do Helu przyjechała razem z Antoniem i Lempi, która nieszczęśliwie zakochała się w tancerzu z Ystad. Zapisła się na salsę, bo uznała, że zawsze lubiła oglądać w telewizji turnieje tańca latynoamerykańskiego. Chciała wreszcie spełnić jedno ze swoich najskrytszych marzeń. No i spełniła. Do salsy miała prawdziwy talent, ale instruktor dał jej kosza już po trzeciej randce. Wciąż nie mogła o nim zapomnieć i postanowiła, że nie będzie dłużej mieszkać w Ystad, zwłaszcza sama, bez „pani Lindholm”. Co było robić? Anna nie miała zbyt wielkiego wyboru. Czuła się za Lempi odpowiedzialna. A w Helu, o dziwo, fińska gosposia zadomowiła się całkiem szybko, mimo złych wspomnień, które również u niej wywoływało to miejsce. Nadal nienawidziła wszystkich mężczyzn na świecie, ale zaraz wzięła się do pracy. Wysprzątała każdy kąt, pokryła ściany świeżą farbą i zasadziła nowe kwiatki w doniczkach. Uznała, że skoro pani Malwina jeszcze przed swoim zniknięciem zdążyła wynająć pokoje na kilka najbliższych miesięcy, to szkoda z tego rezygnować. A Antonio zaskakująco szybko przyznał jej rację. Anna zupełnie nie wiedziała, o co im chodzi, ale chwilowo nie miała siły polemizować z tą dwójką. Chciała

wreszcie odpocząć. I właśnie, razem z Lempi i Antoniem, spędzała już w Helu trzeci miesiąc. A teraz, jak codziennie o poranku, słuchała mew.

Często zadawała sobie pytanie, czy postępuje właściwie, i czy nie powinna raczej być na siebie zła o tę znieczulicę. O prześlizgiwanie się nad wspomnieniami związanymi z własną rodziną – matką i siostrą oraz Brunonem, jej mężem-mordercą. Bo to on przecież zniszczył Annie ważny fragment życia i na zawsze zmienił rzeczywistość, w której się poruszała. Ją samą zmienił. Wciąż nie mogła się pogodzić z tym, co zaszło. Z faktem, że jej siostra Lidka okazała się morderczynią, a Vidar zginął bezsensownie i niepotrzebnie. A jednak... przecież ruszyła z miejsca. Poukładała wiele spraw. Była nawet w stanie po raz kolejny się zakochać, przebić przez warstwę nieufności, zgorzknienia i cynizmu, którymi – jak myślała – przesiąkła na dobre. Antonio Valli, do niedawna komisarz weneckiej policji miejskiej, przyjechał z nią aż tutaj. Jeszcze nie miał jej dość.

Obróciła się na drugi bok i naciągnęła kołdrę pod brodę. Antonio spał na plecach, z jedną dłonią wsuniętą pod głowę. Chyba służyło mu porzucenie przesyconej wilgocią Wenecji. Wyglądał zdrowiej, a poziome bruzdy na jego czole nie były już tak głębokie. Oddychał spokojnie, dobrze sypiał. Życie z nim uznała za łatwe i bezproblemowe. A kiedy się poznali, wyglądał na szorstkiego w obyciu i złośliwego człowieka. W weneckim komisariacie, delikatnie mówiąc, nie był najbardziej lubianą postacią. A jednak w stosunku do Anny od samego początku zachowywał się inaczej niż wobec swoich znajomych z pracy. Chwilami czuła wyrzuty sumienia, że wszystko tak gładko i szybko się między nimi ułożyło. Ale przecież... byli jeszcze młodzi. A Antonio dodawał jej sił.

– Gapisz się na mnie – mruknął nagle i oderwał głowę od poduszki.

Anna drgnęła.

– Jak ty to robisz? – prychnęła i wyszarpnęła mu z dłoni róg kołdry.

– Co robisz? – Jak zwykle zgrywał niewiniątko.

– Udajesz, że śpisz, i nawet ci powieka nie drgnie.

– Aaaa, to! Mam wrodzony talent. Poza tym to miłe, jak mnie tak w nocy przykrywasz.

– Wiesz o tym?

– A co myślałaś?

Zaniemówiła. Przez chwilę wpatrywała się w niego z mieszaniną niechęci i fascynacji. Chciała mu coś odpowiedzieć, rzucić ciętą ripostą, ale nie zdążyła. Z dołu dobiegł ich odgłos tłuczonego szkła, a tuż po nim seria fińskich przekleństw. Lempi rządziła w kuchni...

Antonio zerwał się z łóżka i zrobił zboliałą minę. Annę ogarnęły złe przeczucia.

– Co zrobiłeś? – zapytała cicho.

– Postawiłem talerze na parapecie. Wczoraj, po kolacji.

– Mówiłam ci, żebyś nie stawiał ich na parapecie. Lempi ma taki zwyczaj, że zawsze zaczyna dzień od...

– Wywietrzenia kuchni. Wiem o tym.

– I nie patrzy na parapet, po prostu otwiera okno.

– O tym też wiem. Mogłaby czasem na ten parapet zerknąć, świat by się nie skończył.

– Mogłaby. A ty mógłbyś nie stawiać na nim talerzy, bo przyznasz, że parapet niekoniecznie do tego służy.

– Jak myślisz – musimy już tam schodzić? Jeśli chwilę odczekamy, to...

– Lepiej pójść i jej pomóc ze sprzątaniami. I tak nie zapomni o całym zajściu, a w dodatku jak posprząta zupełnie sama, to dłużej będzie się dąsać.

Anna podniosła się z łóżka i narzuciła na ramiona szlafrok. Antonio ociągał się przy wkładaniu dżinsów i, jak na niego, bardzo długo dumał nad wyborem odpowiedniego T-shirtu.

– Ten facet od salsy musiał jej niezłe zaleźć za skórę – mruknął pod nosem, kiedy schodzili już na dół. Anna z trudem powstrzymała się od śmiechu.

Lempi stała na środku kuchni. W jednej dłoni dzierżyła miotłę, w drugiej ścisnęła szufelkę. Kiedy Anna pojawiła się w progu, Finka rzuciła jej nieprzytomne spojrzenie. Zaraz jednak wyprostowała się dumnie i zmrużyła oczy. Nie patrzyła już na swoją pracodawczynię. Świdrowała wzrokiem Antonia, który kręcił się nerwowo, czerwienił i pocił.

– Dzień dobry panu – wycedziła kwadratową angielszczyznę. Akcent wciąż miała śmieszny, ale jeśli chodzi o zasób słów i gramatykę, szybko robiła postępy.

– Wystarczy Antonio. Jak już mówiłem. Wiele razy, zresztą... – szepnął w odpowiedzi i przestąpił z nogi na nogę.

Lempi nie uraczyła go odpowiedzią, tylko wydała z siebie odgłos przypominający kichnięcie. Anna dusiła się od tłumionego chichotu. To było naprawdę ciekawe zjawisko. Lempi potrafiła wzbudzać respekt, a nawet swego rodzaju lęk, w ludziach pokroju Vallego, który zazwyczaj gardził całym światem. Teraz stał przed nią zakłopotany jak brytyjska pensjonarka sprzed ery sufrażystek. Gospościa nic już nie powiedziała, tylko z miną królowej wręczyła mu szufelkę i miotłę. Przechwycił je bez sprzeciwu i zaczął z nienaturalnym zapalem sprzątać odłamki. Finka ominęła Antonia, podniosła ze stołu dzbanek i do dużego kubka naląła Annie świeżo zaparzonej kawy. Następnie chwyciła pracodawczynię za łokieć i wyprowadziła z kuchni. Pokonały tak całą długość korytarza i wyszły przed dom. Zaskoczona Anna czekała na to, co miało nadejść. Bo coś musiało. Lempi zachowywała się w podobny sposób tylko wtedy, kiedy miała do zakomunikowania jakąś ważną życiową prawdę – na przykład, że przed pensjonatem przydałby się większy parking, klienci niekoniecznie chcą jeść fińską owsiankę, a ci, co wywiesili skarpety na balkonie, skarżyli się, bo im je zwiało. I mężczyźni to ogólnie największe świny w dziejach ludzkości. Aha – i jeszcze, że publiczne wykonywanie tańców latynoamerykańskich powinno być prawnie zabronione we wszystkich krajach na świecie. Na co postawi dziś?

Anna oparła się plecami o balustradę i przez chwilę przyglądała się winorośli oplatającej werandę. Ktoś powinien ją chyba przyciąć?

– Ekhm... Pani Lindholm? Mogę? – Lempi najwyraźniej była już gotowa do wygłoszenia swojej mowy.

– Pewnie – odparła i uśmiechnęła się zachęcająco.

– No bo jest problem. Znaczy – ja zauważyłam problem.

– Tak?

– A właściwie nie zauważyłam problemu, tylko kogoś, kto może sprawiać problemy.

– Lempi...?

Annie zaschło w gardle i czym prędzej upiła łyk kawy. Kto mógł sprawiać kłopoty? Kogo Lempi spotkała tutaj, w Helu? Czyżby matka wróciła? Bo jeśli nie ona, to ktoś by inny? Fińska gosposia zamachała rękami.

– Tylko pani nie panikuje...

– Lempi?!

Nie panikuje? Cholera! Mogłaby się wreszcie wysławić. Anna miała ochotę potrząsnąć Finką, ale kobieta była ostatnio bardzo drażliwa, więc wołała z nią nie zadzierać. Ciche dni w wykonaniu Lempi zawsze znosiło się z trudem... A jednak – panikować? Z czyjego powodu? Czyżby jakiś kryminalista? Tutaj, w Helu? Przyjechał za Anną? Ostatecznie – to by nie było nic dziwnego ani nowego. Poznała przecież w życiu wielu kryminalistów.

– Lempi, błagam! – nie wytrzymała wreszcie, kiedy dramatyczna pauza zdawała się przeciągać w nieskończoność.

– No bo przyjechał tutaj. I moim zdaniem nic dobrego z tego nie wyjdzie.

– Kto przyjechał?

Anna zacisnęła palce na kubku. Niech to szlag! Ingvar. Na pewno on. Niby definitywnie się rozstali, nie informowała go o zmianach w swoim życiu, ale długo nie mógł odpuścić. Pisał i pytał, czy wszystko w porządku. Nie miał zaufania do „tego Włocha”. Prosił, by na wszelki wypadek zachowała ostrożność. Uspokoił się dopiero półtora miesiąca temu i wtedy zamilkł na dobre. Myślała, że to już koniec. Był przecież związany z Ester Gustaffson. Koledzy z komisariatu w Ystad, gdzie kiedyś pracowała, mówili nawet, że chyba szykuje się ślub. A zatem czego chciał?

Lempi wykonała na werandzie dziwną pantomimę, po czym wyrzuciła z siebie kilka bliżej niezidentyfikowanych dźwięków. Była autentycznie zażenowana.

– To Ingvar, prawda? – szepnęła Anna. – Jego tutaj spotkałaś?

Finka przestała podrygiwać i zerknęła na swoją pracodawczynię, unosząc ze zdziwieniem brwi.

– Kto?

– No... Ingvar Frisk z...

– Wiem, wiem! Ten od ziółek i makaronu z glonów. A co on miałby tu robić, jeśli mogę spytać? – zainteresowała się.

– Nie wiem, mówiłaś...

– W życiu nic nie mówiłam o żadnym policjancie z obsesją na tle wodorostów!

– On nie ma obsesji na tle...

– Nie, nie. To nie ten.

Nie ten. Annie ścierpła skóra. Jeśli nie ten, to... tamten drugi. Oczywiście. Przecież to było logiczniejsze. Tutaj, w Helu, mieszkali jego rodzice. Miał do kogo przyjechać

i wcale nie musiał szukać pretekstu.

– Lempi. Chodzi ci o...?

– Leona. Lajona. Czy jak mu tam! Wczoraj przyjechał, spotkałam go wieczorem na plaży. Zdziwił się na mój widok, ale tak... hm... osobliwie. Niby zaniepokoił. Ale z drugiej strony ucieszył. Ale też i przestraszył. Ja tam go nie rozumiem, wie pani? Taki jakiś smutny. Coś tam o Włoszce jednej mówił. Ponoć Lucrezia, jak od tych Borgiów wyuzdanych i papieża co miał chyba z trójkę dzieci albo i nawet czwórkę. No! Ja mówię, że z tymi południowcami śniadymi to nic dobrego, same kłopoty. Nieważne, chłop czy kobita, jeden diabeł!

Finka trajkotała jeszcze w swoim tempie o złych południowcach i bagnach, w które wpadają niewinni i porządni ludzie, a Anna w milczeniu dopiła kawę. Leon. Lajon. Oczywiście musiał się znaleźć w Helu akurat teraz. Dlaczego nie?

## Rozdział 2

Ulrike Seinfeld wciąż stała przy oknie, kiedy przyjechała policja. Sama ich wezwała, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, co dokładnie powiedziała, choć przecież rozmowę zakończyła przed kilkoma minutami. W pewnym momencie wybrzmiały syreny, których wycie wydawało się coraz głośniejsze, aż wreszcie urwało się nagle, gdzieś blisko. Ulrike przechyliła się przez parapet i spojrzała w dół. Trzy radiowozy. Aż trzy? Po co? I gliny. Ilu ich? Nie mogła dokładnie oszacować. Podzielili się. Kilku wbiegło do budynku, kilku zostało przed wejściem, jeszcze kilku okrążyło właśnie kamienicę. No tak. Faktycznie – było tutaj również wejście od podwórka. Dobrze kombinowali. Ale... dlaczego aż tylu?

Wyprostowała się i spojrzała na Ernsta. Był blady, prawie siny. Klęczał nadal i kiwał się jak małe dziecko. Co miała zrobić? Podnieść go? Tak, pewnie powinna.

– Ernst – przemówiła łagodnie, ale nie mogła ruszyć się z miejsca. Chyba trochę się go bała. – Ernst! – zawołała głośniejsze.

Mężczyzna spojrzał na nią z obłędem w oczach. Teraz przestraszyła się już na dobre. A jeśli to... on? Zaraz, pokazywał coś. Wyciągnął palec i... Ulrike wytężyła wzrok. Do niedokończonej drewnianej rzeźby przyczepiona była kartka. Nie mogła do niej podejść, bo przecież na miejscu zbrodni nie wolno niczego ruszać. Tak słyszała. Poza tym aby zbliżyć się do rzeźby, musiałaby wejść w kałużę krwi tej dziewczyny. Ernst niczym się nie przejmował. Klęczał nadal, a jego lniane spodnie zmieniały barwę z kremowej na szkarłatną. Ulrike znowu zrobiło się niedobrze. Krew. Zapach krwi, jak w rzeźni. Co tam napisano?

Wzdrygnęła się, kiedy do mieszkania wpadli policjanci. Zaczęli wrzeszczeć i wymachiwać bronią, kazali unosić ręce. Jak w filmie sensacyjnym. Po co to wszystko? Przecież oni byli niegroźni. Rozszlochany i kiwający się na kolanach rzeźbiarz oraz sprzątaczką, córka rzeźnika. Czy stanie się teraz jedną z głównych podejrzanych? Umiała operować nożami, owszem. Wiedzieli o tym?

Najpierw dopadli Ernsta, założyli mu kajdanki i podnieśli do pozycji stojącej. O coś go pytali. Następnie przyszła kolej na nią. Jej również kazali się odwrócić. Poczowała na nadgarstkach chłodny metal i usłyszała tuż przy uchu jakiś dziwny wierszyk. Znała go bardziej z filmów niż z życia. Nie mogła się skupić. Jej wzrok biegł od martwej dziewczyny do rzeźby, od rzeźby do Ernsta, który nagle przestał szlochać i zaczął się stawiać. Szarpał się z policjantami i coś mamrotał. Wreszcie zaczął krzyczeć.

– To nie ja! Tak ją znalazłem! Już nie żyła, kiedy tu przyszedłem!

Ulrike pokręciła z rezygnacją głową. Na policjantach takie oświadczenie nie mogło wyrzeć zbyt wielkiego wrażenia. Pewnie wszyscy mordercy to mówili, a przynajmniej większość. Czy ona również powinna się odezwać? Chciała. Miała zamiar, kiedy znowu wydarł się Ernst, już z przedpokoju.

– Zostawcie Ulrike, ona dopiero przyszła! Sama was wezwała. Zostawcie ją, słyszycie? Ulrike, pamiętaj! Moja babcia! Zajmij się nią!

Szamotał się nadal, kiedy wyprowadzali go z mieszkania. Ulrike nie stawiała oporu. To było przecież jakieś absurdalne, gigantyczne nieporozumienie. I jeszcze ta cała

babcia. Akurat teraz mu się o niej przypomniało, w takiej chwili. Niech to diabli! Chyba naprawdę nie miała wyjścia i będzie musiała zająć się starszą panią, jeśli Ernsta z jakiegoś powodu zatrzymają na dłużej. Nikt inny tego przecież nie robi. A jej, oczywiście, nie zamkną. Bo niby za co? Z pewnością nie miała się czego obawiać.

Ulrike wychodziła z pracowni w asyście dwóch policjantów. Dopiero na dole przypomniała sobie o kartce przyklejonej do rzeźby. Zatrzymała się. Jeden z policjantów lekko ją popchnął.

– Chwileczkę – zaprotestowała. – Ta kartka. Co tam było napisane?

– Nie wie pani? – zapytał szyderczo mundurowy.

– Nie, nie wiem! Przecież dopiero przyszłam, nie przyjrzałam się. Skąd mam wiedzieć?

– Oczywiście...

Policjanci popchnęli ją znowu w kierunku radiowozu. Przez całą drogę na komisariat nikt się do niej nie odzywał. Dopiero na miejscu, kiedy została wstępnie przesłuchana i usłyszała, że może wrócić do domu, ale ma zakaz opuszczania miasta aż do odwołania, ponowiła swoje pytanie. Komisarz Weber, z którym rozmawiała, przyjrzał jej się uważnie.

– Tylko niech mnie pan nie pyta, czy na pewno nie wiem – zaryzykowała. – Już mówiłam. Kiedy przyszłam, Ernst klęczał przy dziewczynie, a ona już nie żyła. I to pewnie od dawna. Wskazywał na tę kartkę, ale nie zdołałam dojrzeć, co było na niej napisane.

– Czy ofiara i pan Bauer byli sobie bliscy? – zapytał komisarz i odchylił się na krześle.

Ulrike poczuła ponowny przypływ irytacji.

– Już pan o to pytał – odparła.

– Nie. Zapytałem, w jakiej pozostawali relacji.

– A ja odpowiedziałam, że Marlene Sachs była modelką Ernsta.

– Bardzo lakonicznie. Ale tak sobie myślę, że może jeszcze przez chwilę porozmawiamy?

Komisarz uśmiechnął się, a Ulrike poczuła uderzenie gorąca. Rzeczywiście była lakoniczna. Bała się powiedzieć coś więcej, żeby nie zaszkodzić Ernstowi. Poza tym – co ona wiedziała? Nie знаła całej prawdy, nie rozumiała do końca swojego szefa, który wydawał jej się niegroźnym dziwakiem. Ale może powinna porozmawiać z tym policjantem bardziej otwarcie? Może wcale nie zaszkodzi Ernstowi? Wręcz przeciwnie – wyświadczy mu przysługę? Westchnęła ciężko. Bez sensu pytała o tę głupią kartkę.

– No dobrze. Pewnie prędzej czy później i tak pan się dowie. Otóż Ernst i Marlene... Zna pan mniej więcej historię związku Liz Taylor i Richarda Burtona?

– Mniej więcej – przyznał policjant. – Wiem tyle, że się ciągle pobierali i rozwodzili.

– I tyle wystarczy – skwitowała. – Marlene i Ernst ciągle się rozchodzili i schodzili. Ona wściekała się na niego za zdrady, on na nią za to samo, i tak w kółko. A jednak Ernst jest świetnym rzeźbiarzem, a Marlene jest... była idealną modelką. Mużką wielu artystów, w typie, rozumie pan, dawnych członkiń bohemy. Pozowała malarzom



i rzeźbiarzom, niemal ją sobie wyrwali. Niecały rok temu odeszła od Ernsta i związała się na dłużej z Michaeliem Niklausem.

Policjant, bardzo zadowolony, zanotował coś w notesie.

– Czy ten Niklaus również rzeźbi?

– Hm... Tak.

Ulrike spuściła wzrok. Wiedziała, że komisarz usłyszał w jej głosie wahanie. Powiedziała więcej, niż zamierzała. Musiała się z tego jakoś wykręcić, wrócić do domu i tam spokojnie pomyśleć. Pozostawała jeszcze kwestia babci... Jak ona się nazywała? Ernst używał w odniesieniu do niej dwóch imion. Saskia brzmiało z holenderska, a to drugie... Chana? Było chyba żydowskie. Holenderskiego Ernst użył tylko dwa razy, jak gdyby mu się wyrwało przypadkiem. Zaraz się poprawił i ponownie nazwał babcię Chaną. Czyli jak ona miała w końcu naprawdę na imię?

– Panno Seinfeld?

Głos komisarza przywrócił ją do rzeczywistości. Póki co, wciąż tu była, i na dodatek zaczęła się motać.

– A tak, przepraszam. Niklaus. No... Z nim to dziwna sprawa.

– Dlaczego?

– Bo owszem, on też rzeźbi. Ale długo nie mógł się przebić. Robił takie, pozał się Boże, figurki, że nawet ich na Stefansplatz nie chcieli kupować. Nie skończył studiów, bo mu nie szło na egzaminach. Ale się zawziął, rzeźbił, chodził na jakieś kursy...

– Ważna rzecz, spełniać marzenia – rzucił sentencjonalnie policjant.

Ulrike skrzywiła się i prawie syknęła. Filozof z komisariatu się znalazł. Ale niestety trafił w punkt.

– Może i tak – uznała łaskawie. – I Niklaus wreszcie dał radę.

– Dał radę?

– Wybił się. Zaczął nagle świetnie rzeźbić, wie pan? Ktoś go zauważył. A dokładnie, zwróciła na niego uwagę Inge Altman z Phantastemuseum. Zorganizowała mu pierwszą dużą wystawę i później posypały się propozycje. Jedna ekspozycja, druga, osiemnasta, świetne recenzje, zamówienia. I tak dalej.

– Czyli się nauczył? Rzeźbić?

– Na to wygląda.

– Z tego wniosek taki, że pan Ernst Bauer mógł się poczuć... hm... zazdrosny, że jego ulubiona modelka odeszła do rywala, któremu nagle zaczęło się świetnie powodzić. Czyż nie?

– Niby mógł, ale Ernst nie był typem stalkera. I nie mściłby się. Miał swoją godność. Poza tym ciągle myślał, że ona wróci – odparła szybko.

Poczula, jak oblewa ją lodowaty pot. Zazdrość. Doskonały motyw. „Czyż nie”? Co miała teraz zrobić? Co dodać? Pogryzła Ernsta, niech to cholera... Nigdy nie była dobra w komunikacji werbalnej.

– Że wróci? – Policjant uniósł brwi.

– No tak, oni właśnie tacy byli. Mówiłam. Taylor i Burton. Ernst był zazdrosny, owszem, ale nie zawracałby sobie głowy jakimiś głupimi zemstami – podkreśliła znowu i umilkła.

Bez sensu! Co ona wyprawiała? Teraz go tłumaczyła i wszystko dopiero zaczęło wyglądać podejrzanie. Przecież tylko winni się tłumaczą. Niech to...! Mogła stąd wyjść czym prędzej, kiedy jej pozwalał, zamiast pytać o głupią kartkę przypiętą do rzeźby. Ulrike zaczęła się wiercić na krześle, a policjant wyglądał na rozbawionego.

– Nie zawracałby? – upewnił się.

Pokręciła głową. Chyba nie powinna już się odzywać, bo naprawdę... Jak zaczynała mówić, nie wiedziała, kiedy przestać.

– Dobrze. Dziękuję, bardzo mi pani pomogła.

– Na serio? To znaczy... Naprawdę? – zapytała zaskoczona.

– Oczywiście. Ale na pewno jeszcze się spotkamy.

I wtedy mogę mieć więcej pytań.

– No... tak. Rozumiem.

– Do widzenia.

– Aaaa...

Komisarz spojrzał na nią z nowym zainteresowaniem. Zakłęła w duchu. Powinna stąd iść, skoro znowu powiedział „do widzenia” i miał szczerą chęć ją wypuścić. Ale nie. Musiała drążyć. Od dziecka była ciekawska i wścibska.

– Powie mi pan, co napisano na tej kartce?

Stało się. Po raz kolejny zadała to pytanie. Czuła, że bez tej informacji trudno będzie jej wyjść. Z jakiegoś powodu „list” i sposób, w jaki patrzył na niego Ernst, nie dawał Ulrike spokoju. Komisarz znowu się uśmiechnął.

– Ależ oczywiście, dlaczego nie. Na kartce kogoś chyba zacytowano, ale osoba, która ten cytat przywołała, nie raczyła podać autora. Obstawiam, że notkę napisał pani szef. To jego pismo, założę się, że znajdziemy również odciski palców. A tekst brzmi: „Poślubię Cię...”.

Policjant urwał i zajrzał do notesu. Ulrike ponownie tego dnia poczuła nieprzyjemne szarpnięcie w żołądku.

– „...gdy stworzysz arcydzieło” – dokończyła mechanicznie.

Mężczyzna pokiwał głową z uznaniem.

– Zgadza się. Zna pani?

– Alma Mahler.

– Słucham?

– Napisała to w swoim dzienniku.

– Kto?

Nie odpowiedziała. Rzuciła tylko „do widzenia” i skierowała się do wyjścia. Nie mógł jej zatrzymać, powiedział, że może iść. Ktoś ją nawet eskortował przez korytarz, po schodach, aż do drzwi. Szła jak w transie. Oczywiście... oczywiście, że знаła ten cytat! Ernst Bauer powtarzał go kilkanaście razy dziennie. Każdy by zapamiętał.

Rzeźba była wyjątkowa. Miał rację, Inge musiała to niechętnie przyznać. Nie cierpiała, kiedy miał rację. Okropnie się wtedy puszył, robił wyniosłą minę i dawał każdemu do zrozumienia, że mogą mu skoczyć. Zawsze, kiedy coś szło nie po jego myśli, mówił: „Jeśli nie tutaj, to...”. Nigdy nie kończył zdania, bo nie musiał. Wszyscy wiedzieli, co chciał przez to powiedzieć. Jeśli wystawa nie odbędzie się u nich, pójdzie do kogoś innego. Żaden problem. Na tym etapie kariery faktycznie nikt nie mógł mu zaszkodzić. Galerie i muzea zabijały się o Michaela Niklausa. Kunsthistorisches, Mumok, Leopold, Belweder, nawet MAK, gdzie wystawiano głównie sztukę użytkową. Pewnie w samym, dość konserwatywnym, Hofburgu nie zawahano by się przed zorganizowaniem ekspozycji. Każdy pożałował tych jego chorych, nienormalnych, a przede wszystkim – brawurowych figur. Chłopak miał odwagę i fantazję. Był bezczelny i denerwujący, ale nie znał żadnych granic. Taki powinien być artysta. Niestety.

Inge Altman obróciła się na krześle i spojrzała w okno. Za szybą majaczył Hofburg i posąg cesarza na koniu. Dobry stary *kaiser*. Jego widok zawsze działał kojąco. To właśnie najbardziej lubiła w swojej pracy. Widok. Owszem, posada kuratora wystaw w Phantastemuseum, ulokowanym w urokliwym pałacu rodziny Palfffy, była interesująca i stanowiła wyzwanie, ale Inge miewała momentami dosyć groteski, realizmu magicznego, dadaizmu, surrealizmu i innych -izmów, które nie były „zwykłym” realizmem. Tutaj nigdy nic nie było „zwykłe”. Artyści wcielali w życie swoje abstrakcyjne wizje, dawali im kształty, rozmiary i opatrywali tytułami. Alesandrión choćby. Albo Pari Ravan, której obrazu wystawiali kilka lat temu. Piękne, owszem. Ale Inge wciąż miała przed oczami malowidło *Enrico*, na którym dziewczyna głaszcze psa i wpatruje się w morze, w odległy horyzont. Na horyzoncie płyną różowawe chmury, a na tle chmur rysuje się gigantyczna figura... również psa. Na obrazie są więc dwa psy – ten prawdziwy, którego można dotknąć i pogłaskać, i ten wyobrażony, rozpychający się na niebie jak wielka metafora istnienia. Ravan była jeszcze w miarę subtelna, ale taki Siegfried Zademack? Z wyglądu miły siwy pan z brodą, który maluje trupie czaszki, rozpadające się ciała, zjawy w prześcieradłach, nagie kobiety w objęciach szkieletów, równie nagie kobiety oblane niebieską farbą albo dla odmiany buty i odważniki. Bywały dni, kiedy Inge wychodziła z pracy i zdawało jej się, że na chmurze faktycznie siedzi jakiś pies... W takich chwilach wiele by dała za kilka godzin spędzonych w Hofburgu, w apartamentach Sissi albo w dziale z porcelaną Habsburgów. Wszystko miłe, ładne i do bólu zrozumiałe.

– Inge?

Prawie podskoczyła na dźwięk jego głosu. Cholerny smarkacz. Nie zapytał, czy może mówić jej po imieniu, po prostu zaczął i tyle. Obróciła się powoli i uśmiechnęła szeroko. Niklaus na pewno zauważył, że nie był to szczery uśmiech. Ale jednocześnie wiedział, że mu nie odmówi. Szef by ją zamordował, a później rozciągnął na płótnie albo przylutował do ściany i pokazywał jako jedno z dzieł sztuki. Z pewnością by się wpasowała.

Jeszcze raz rzuciła okiem na niewielką rzeźbę i kilka fotografii przedstawiających inne dzieła, z tej samej „serii”. Tym razem Niklaus wymyślił sobie nawiązanie do Lovecrafta. *Zew Cthulhu*. Jego rzeźba przedstawiała idealną kobietą sylwetkę z głową paskudnego krakena. Wykonanie doskonałe, nie miała do czego się przyczepić. Jak zwykle. W ogóle nie poczuła się tym faktem zaskoczona.

Przeniosła wzrok z dzieła na artystę. Czy jej się zdawało, czy też był dziś nieco podenerwowany? Ciekawe...

– Dobrze, ustalmy datę – powiedziała wreszcie.

– Znakomicie! – Michael wyszczerzył się i cmoknął ją w policzek. Nienawidziła tego.

– Tylko zerknę w kalendarz. Napijesz się czegoś?

Kawa, herbata, woda, sok?

– Oczywiście na kapkę czegoś mocniejszego nie ma co liczyć?

Zmeła w ustach przekleństwo i tylko wzruszyła ramionami. Oczywiście, że nie mógł liczyć na żadną kapkę czegokolwiek. Po jej trupie. Raz już napili się razem wina na bankiecie, a potem Niklaus odrobinę za dużo sobie pozwalał. Powiedział, że uwielbia kobiety zbliżające się do czterdziestki. I miała go teraz lubić?

Z drugiej strony – wiedziała, że powinna utrzymywać z Niklausem poprawną relację. Konsekwentnie więc walczyła o jego zaufanie, może nawet o sympatię. W Palffy nie mieli nikogo lepszego. Otworzyła laptop i wyjęła z szuflady wielki, oprawiony w skórę kalendarz. Owszem, miała cały harmonogram wystaw w komputerze, ale lubiła też metody nieco staroświeckie. Wyznawała zasadę, że nie można polegać tylko na prądzie i elektronice. Pod tym względem była niereformowalna. Niklaus wymamrotał właśnie, że może napije się herbaty z miodem i szczyptą cynamonu, kiedy zadzwonił telefon. A właściwie zadzwoniły jednocześnie dwa telefony. Stacjonarny na biurku Inge i jej komórka. Ucieszyła się, że może na chwilę odwrócić uwagę od Niklausa, jego Cthulhu i herbaty ze „szczyptą cynamonu”.

– Halo – rzuciła w słuchawkę.

Przez mniej więcej minutę siedziała bez ruchu i wsłuchiwała się w to, co miał do powiedzenia jej rozmówca. Następnie uniosła się z krzesła i przyknęła oczy.

– Rozumiem. Dobrze – podsumowała krótko i rozłączyła się.

To, co czuła, było dziwne. Jakiś śmieszny ból w okolicy mostka, promieniujący do tyłu i uderzający w żebra. Zawał? Obeszła biurko i spojrzała na Niklausa. Jak miała mu to powiedzieć? Zaraz pewnie...

Drzwi do gabinetu Inge otworzyły się z hukiem i do środka wpadła jej asystentka. Dyszała ciężko, jak po długim biegu.

– Już pani słyszała?! A pan? O Jezu! – krzyknęła, zanim Inge zdążyła ją powstrzymać.

– Co jest, młoda? – zagaił błyskotliwie Niklaus, zerkając na dziewczynę.

– To wy jeszcze nic nie wiecie?

– Właśnie miałam...

– Marlene! Marlene Sachs! – wydarła się dziewczyna, a Inge już nie próbowała jej przerywać. Niech się dzieje.

Michael Niklaus lekko uniósł się na krześle.

– Moja Marlene? Co z nią?

– Nie żyje!

Niklaus pobladł i zacharczał. Inge nie odrywała od niego wzroku. Pewnie myślał, że asystentka żartuje, i chciał się roześmiać, ale obie kobiety patrzyły na niego ze śmiertelną powagą. Poderwał się, obrócił wokół własnej osi i ścisnął dłońmi głowę. Następnie podbiegł do asystentki i złapał ją za ramiona.

– Co ty, kurwa, pierdolisz?!

– No... nie żyje – wyszeptała przerażona dziewczyna. – Została zamordowana.

Aresztowali Bauera.

Inge milczała. Widziała wyraźnie, jak twarz Niklause wykrzywia się ze złości.

– Bauer! Zabiję skurwiela!

## Rozdział 3

Anna od zawsze lubiła wieczory w Helu, zwłaszcza poza sezonem. Nawet jeśli to miejsce kojarzyło jej się niezmiennie z toksyczną matką, a teraz również z tragicznymi przeżyciami minionej jesieni. Kiedy wyjeżdżała stąd kilka miesięcy temu, była prawie pewna, że nigdy już tu nie wróci. A jednak pomyliła się. Nie tylko wróciła, ale też patrzyła na tę przestrzeń inaczej, widziała ją odbitą w oczach Antonia, któremu najwidoczniej bardzo przypadła do gustu. Tutaj nie było tak, jak w Wenecji. Wokół człowieka nie zamykały się szpalery kamienic, dróg nie przecinały kanały i mostki, a w powietrzu nie unosił się zapach kawy, ciasta i mokrych kamieni. Tutaj, wieczorami, było ciemno i pusto. Morze szumiało wściekle i wiał wiatr, zimny nawet latem. Lubiała go. Chyba właśnie takiego wiatru zawsze najbardziej brakowało jej tam, gdzie nie było morza.

Teraz Annę cieszyło nadejście lata, słoneczne dni i ciepło. Zbyt długo znosiła chłód. Potrzebowała się wreszcie ogrzać, wyciszyć i uspokoić. O ile to w ogóle możliwe w sytuacji, kiedy wciąż atakowały ją wspomnienia. Ale starała się stawiać im czoła. Nawet teraz, kiedy miała świadomość, że ona i Leon Woliński ponownie znaleźli się na tej samej szerokości geograficznej. Los dziwnie z nimi ostatnio pogrywał.

Antonio złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie dokładnie w momencie, kiedy zbliżała się fala przyływu. Zdażyła uskoczyć w bok. Objął ją mocno i poprowadził w stronę promenady. Powinna powiedzieć mu o Leonie, bo przecież w końcu i tak się dowie. Nie zapalali do siebie sympatią w lutym, kiedy poznali się w Wenecji. I nic dziwnego. Wszyscy zachowywali się wtedy irracjonalnie, może poza Antoniem, który był po prostu sobą. Ona natomiast popełniała błędy, dokonywała nie zawsze właściwych wyborów i ufała nie zawsze odpowiednim ludziom, a przede wszystkim – nieładnie potraktowała Leona. Ściągnęła go do Wenecji, kiedy za nim zatęskniła, po czym zostawiła samemu sobie, gdy na horyzoncie pojawił się komisarz Valli. A biedny Lajon wpadł w objęcia podstępnej Włoszki. No dobrze, może nie wpadł, tylko sam się w nie rzucił, żeby poprowadzić jakieś swoje wydumane, prywatne śledztwo. I nawet jeśli miał słuszne podejrzenia, to podjął niebezpieczną grę. Anna nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby coś mu się stało. Był dla niej ważny, nawet jeśli nie w taki sposób, w jaki ona była ważna dla niego. A co czuł teraz? Gdzie był przez cztery miesiące? Pracował? Odpoczywał? Myślał nad swoim życiem, nad przeszłością, tą daleką i tą nieodległą? Myślał o Annie? Czy chciałaby, aby o niej myślał?

– Wszystko w porządku? – zapytał Antonio, kiedy znaleźli się na promenadzie.

Niebo wciąż było rdzawe, choć słońce już dawno zaszło. Spojrzała na niego. Zmienił się. A raczej – zmieniał. Widziała to każdego dnia. Była bliska konkluzji, że Antonio Valli, mężczyzna z przeszłością, o dość paskudnym niegdyś charakterku, poczuł się w końcu szczęśliwy. Postanowiła powiedzieć mu o Leonie jutro. Nie chciała psuć tej chwili.

– Tak, wszystko w porządku – odpowiedziała wreszcie na jego pytanie. – Ale to miejsce ciągle dziwnie na mnie działa. Kiedy zaczynam czuć się tutaj naprawdę dobrze, robi mi się przykro. Chyba mam wyrzuty sumienia i wrażenie, że powinnam nienawidzić

Helu.

Antonio usiadł na ławce i pociągnął ją za rękę.

– Wiesz co? – zaczął. – Musiałbym chyba... poszukać jakiegoś zajęcia. Te nasze wakacje trwają już cztery miesiące, a ja zupełnie nie jestem przyzwyczajony do niepracowania. Co prawda wynajmuję swoje mieszkanie w Wenecji i kawalerkę we Florencji, są z tego jakieś pieniądze, ale i tak...

Urwał i zamyślił się. Annie zrobiło się przykro i poczuła nieokreślony lęk. Wiedziała, że prędzej czy później poruszy ten temat. Faktycznie, miał pewien dochód z wynajmu mieszkań, ale ona sprzedała swoje warsztaty i dom w Ystad, była więc w o wiele lepszej sytuacji materialnej. Mogła jeszcze przez chwilę nie wracać do rzeczywistości. On jednak musiał w końcu poczuć się niekomfortowo. Zwłaszcza że był pracoholikiem, nie lubił siedzieć bezczynnie. Co powinna mu odpowiedzieć? Bała się konieczności podjęcia wiążących decyzji, zapuszczenia korzeni... gdzieś. Nie wiedziała, czy jest na to gotowa. Choć przecież nie mogła i nie chciała stracić Antonia.

– Powiesz coś? – zapytał, a Anna zdała sobie sprawę, że od kilku minut milczy jak zakłeta.

Poruszyła się niespokojnie.

– Masz jakieś... pomysły? – odezwała się. „Pomysły”.

Co za głupie słowo...

– Nie do końca. Ale coraz częściej zastanawiam się nad tym miejscem.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Nad... którym miejscem? Tym tutaj? – O czym on mówił? Bo przecież nie o promenadzie z kopcem Kaszubów.

– Nad Helem – przyznał wreszcie. – Podoba mi się tutaj. Jest tak... inaczej.

– Chciałbyś tu zamieszkać? – zapytała z niedowierzaniem. Hel to nie była przecież żadna włoska riwiera.

– Moglibyśmy spróbować. Zrobić coś z tym domem, wyremontować go, może rozbudować. Poszerzyć ofertę kuchni, przecież mamy Lempi.

– Mamy Lempi... – powtórzyła powoli. Antonio zachmurzył się i spuścił głowę.

– Przepraszam. Ty masz Lempi. Ona mnie nie cierpi.

– Nie, nie! Nie przepraszaj. Podobało mi się to, co powiedziałaś – zapewniła go i nie mogła powstrzymać uśmiechu. Antonio naprawdę miał pomysł. Konkretny pomysł na życie.

– Poważnie?

– Oczywiście, że tak. A poza tym uwierz mi – wiem, jak Lempi traktuje osoby, których nie cierpi, i ty z pewnością nie jesteś jedną z nich. Ona po prostu ma teraz trudny moment tak ogólnie, ze wszystkimi facetami na świecie. Ale jak będziesz nadal stawiał talerze na parapecie, to nie wiem, co będzie.

Valli roześmiał się. Przez chwilę siedzieli w ciszy, po czym odezwał się znowu.

– Pomyślisz o tym? – zapytał, nie patrząc na nią.

Nie odpowiedziała od razu. Zastanawiała się, czy to rzeczywiście było możliwe. Taka normalna, prozaiczna stabilizacja. Dom, pensjonat. Mnóstwo pracy wiosną i latem, sporo wczesną jesienią, a później wietrzna zima i cisza. Czas na... życie? Czy Anna

i Antonio faktycznie się do tego nadawali? I co się stanie, jeśli wróci matka? Notariusz twierdził, że nie wróci, ale ona zawsze była nieprzewidywalna i irytująca. Anna nie do końca wierzyła w jej szlachetne intencje. Nawet jeśli formalnie była teraz właścicielką domu na Rybackiej. Była... właścicielką. Właśnie. To jedno słowo wiele mówiło. Rozjaśniło jej się nagle w głowie. Była właścicielką! A zatem – matka nie wróci. Anna wreszcie to zrozumiała. Oczywiście. Matka nigdy się tu więcej nie zjawi, bo nie zniosłaby funkcjonowania w tym domu w charakterze gościa. Nie potrafiłaby ścierpieć obecności swojej młodszej córki jako gospodyni. Zrobiła to, żeby się ukarać? Co nią kierowało? Anna nie miała pojęcia, jaki cel przyświecał działaniom matki, ale w tej chwili nabrała pewności, że jej noga więcej tu nie postanie. Powinna uświadomić to sobie znacznie wcześniej.

Obróciła głowę w stronę Antonia. Przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie, do którego doszło nad jednym z weneckich kanałów, ale w niezbyt romantycznych okolicznościach. Od tamtej pory właściwie się nie rozstawali.

– Dobrze. Pomyślę o tym – odezwała się.

Uśmiechnął się z ulgą. Przetrzymała go chwilę w niepewności, a przecież na to nie zasłużył. Tkwił przy niej z determinacją. Jak dotąd, nigdy nie zawiódł.

– Ale uprzedzam, że Lempi będzie się okropnie rządzić.

– Wiem o tym.

\*\*\*

Kobieta była stara, to nie ulegało wątpliwości. A jednak nie sprawiała wrażenia zgrzybiałej babiny, która potrzebuje laski i pampersa. Wręcz przeciwnie. Chana, Saskia – czy jak ją tam zwał – pokonała schody o własnych siłach i weszła do mieszkania Ulrike bez zadyszki. Wygładziła swoją jedwabną bluzkę, na której nie widniała nawet jedna kropelka potu, rozejrzała się po pokoju i skrzywiła nieprzyjemnie. Sprężystym krokiem zbliżyła się do sofy, zrzuciła z niej skłębione ciuchy, i przysiadła na brzegu. Ulrike patrzyła na Chanę z zafascynowaniem. Ona sama, choć wynajmowała tutaj skromne dwa pokoiki od kilku lat, wciąż dyszała ciężko po wspinaczkę na czwarte piętro. W budynku oczywiście nie było windy. „Administracyjnie” nie było też łazienki w mieszkaniu, na szczęście jednak właściciel przebudował kuchnię, w której wydzielił prostokąt na prysznic i toaletę. Za lokal bez tych udogodnień Ulrike z pewnością zapłaciłaby mniej, ale przecież trzeba było w miarę normalnie żyć. Nigdy nie mogła pojąć, jak to możliwe, że w centrum Wiednia – czy raczej w ogóle w całym mieście – pełno było jeszcze takich dziewiętnastowiecznych kamienic, w których próżno szukać windy, a mieszkania nie miały toalet. Ba! Kwestię wind, o dziwo, rozwiązywano nawet łatwiej i chętniej niż sprawę WC. Na Türkenstrasse, gdzie Ulrike wynajmowała swoje dwa pokoiki, wielu



lokatorów wciąż biegło z kluczykiem na klatkę schodową. Ale z zewnątrz kamienica robiła niesamowite wrażenie, a jakże! Piękna, zabytkowa, z odmalowaną fasadą.

Chana-Saskia siedziała na sofie niemal bez ruchu. Wodziła tylko wzrokiem po ścianach i suficie, i bez dwóch zdań nie była zadowolona z tego, co widziała. Ulrike również nie była zadowolona. Z obecności tej kobiety tutaj. Niech to szlag. Sprawy potoczyły się w bardzo osobliwy sposób. Ernst poprosił ją, by zaopiekowała się babcią, ale o jednym drobnym szczególe nie wspominał. Otóż pominął kwestie lokalowe. Jego mieszkanie i pracownię oczywiście zaplombowano, co nie powinno nikogo dziwić, każdy idiota by się tego spodziewał. Ale, rzecz jasna, nie Ulrike. Kiedy więc odebrała Chanę-Saskię z lotniska, nie miała lepszego pomysłu, jak zabrać ją do siebie na Türkenstrasse. Tak też uczyniła. Ale co powinna zrobić jeszcze – nie wiedziała. Zaraz jednak do głowy przyszedł jej hotel. Powinna od razu o tym pomyśleć. Chana ma pieniądze i z pewnością znajdzie się dla niej jakiś wygodny apartament. Przecież to duże miasto. Co za ulga! Ulrike niemal się roześmiała. Odkleiła plecy od ściany i podeszła do swojego gościa. Właśnie otwierała usta, by wyrzucić z siebie genialną myśl o hotelu, kiedy Chana uniosła dłoń. Uśmiech spełził z twarzy Ulrike. Stara kobieta przemówiła całkiem dobrze po niemiecku, choć z szeleszczącym flamandzkim akcentem.

– Pakuj się. Chwilowo pomieszkasz ze mną na Ringu.

– Hm?

Ulrike zdębiała.

– Chyba wiesz, gdzie jest Ringstrasse?

– No tak, ale...

Dokładnie w tym momencie Ulrike uświadomiła sobie, że przecież bagaż Chany nadal znajdował się w taksówce. Kazała kierowcy poczekać. Co tu się niby wyprawiało?

– Nie, ja chyba jednak zostanę u siebie – zaprotestowała. – Ale dziękuję za propozycję.

– Nie rozumiesz – oświadczyła ze spokojem kobieta.

Wstała i spojrzała na Ulrike z góry. Była bardzo wysoka i chuda.

– Jedziemy na Ring. Najlepiej zaraz. Rozmawiałam z moim wnukiem przez telefon i powiedział, że się o ciebie martwi. W sumie nawet go rozumiem. Ktoś z zimną krwią zamordował jego byłą dziewczynę i modelkę. Co znaczy, że gdzieś w pobliżu Ernsta, a tym samym również w pobliżu ciebie, kręci się jakiś niezbyt normalny człowiek, który lubi się bawić ostrymi przedmiotami. Przy tym ma, no wiesz, artystyczne ambicje. A jak zapewne zauważyłaś, artyści bywają nieprzewidywalni, więc...

– Ale ja...

– Rozumiem, że masz całe mnóstwo innych ofert pracy i świnkę-skarbonkę wypchaną forszą, za którą opłacisz czynsz. Choć tę norę powinnaś akurat wynajmować za darmo, jeśli chcesz znać moje zdanie.

– Jest tu łazienka – mruknęła bez przekonania.

– Słyszysz siebie?

– Ścisłe centrum.

– Ano pewnie. To jak? Spakujesz się sama, czy mam ci skompletować garderobę wedle mojego uznania?

– Rozumiem, że to propozycja... pracy? – Ulrike postanowiła kuć żelazo, póki gorące. Jej sytuacja materialna nie była najlepsza. Ernst siedział w tymczasowym areszcie, a świnki-skarbonki, no cóż, nie miała w ogóle.

– Tak to nazwijmy. Mam nadzieję, że mój wnuk nie mydlił mi oczu i faktycznie umiesz gotować. I sprzątać, dokładnie. Nie znoszę brudu.

Ulrike przełknęła ślinę i kiwnęła głową, ale wyszło to jakoś niemrawo. Chana będzie pewnie jedną z tych zrzędzących i wiecznie niezadowolonych klientek, które z lupą w ręku szukają ostatniego pyłku kurzu. Oby tylko Ernst nie okazał się psychopatycznym mordercą. Oby śledztwo dowiodło, że to jednak ktoś inny pozbawił życia tę nieszczęsną Marlene Sachs. Niech go wypuszczą! Ulrike chciała odzyskać dawnego pracodawcę. Chciała odzyskać dawne życie. Bo wszystko się tak nagle okropnie posypało.

Z niewyraźną miną otworzyła szafę i zaczęła wyjmować z niej ubrania.

– Rozumiem, że mam zamieszkać z panią i... gotować i sprzątać dla...

– Dla mnie też, ale będzie nas więcej. Na Ringstrasse ma swój apartament mój znajomy. Odstąpił mi go tymczasowo. Owszem, spodziewamy się kolejnych gości i dlatego musimy jeszcze dziś zrobić duże zakupy.

Chana oparła się o parapet i wyjęła z torebki srebrną papierośnicę. Ulrike przez chwilę przyglądała się jej bez słowa. Ona nie żartowała. Chciała robić zakupy i przyjmować gości na Ringstrasse, kiedy Ernst siedział za kratkami i był podejrzany o zadżganie Marlene. Świat zwariował. Dlaczego ona nie interesowała się śledztwem? Przecież policja na pewno już działała. Robili te swoje badania DNA, zbierali włoski w łazience, przeprowadzali sekcję zwłok. Ulrike zadrzała na myśl o tym, że znowu będą kroić tę biedną Marlene, która przecież i tak już swoje wycierpiała. Ale w sekcji coś na pewno wyjdzie, bo chyba zawsze wychodzi. No i odciski palców, i... Dlaczego ta dziwna stara baba sterczała tutaj z papierosem, którego wydobyła ze srebrnej papierośnicy, w swoim eleganckim kostiumie, jedwabnej bluzce i z nienaganną fryzurą, i planowała cocktail party, zamiast biegać po komisariatach, więzieniach i... i... kostnicach? O Boże. To wszystko nie mogło się dziać naprawdę.

Ulrike chciała coś powiedzieć. Zaprotestować. Nakrzyczeć na tę Aleksis z *Dynastii*, ale z oburzenia zupełnie zaniemówiła. Wzięła więc głęboki wdech i po chwili zapytała tylko:

– Z daleka ci goście? Jeśli można wiedzieć?

\*\*\*

Las Wiedeński o zachodzie słońca wyglądał wyjątkowo pięknie. Inge Altman nigdy nie była typem człowieka, którego wzruszał widok drzewa, ale musiała przyznać,

że Kahlenberg na tle pomarańczowego nieba robił przyjemne wrażenie. Wrzuciła niższy bieg i zwolniła. Przez chwilę jechała z przepisową prędkością. W jej umyśle na kilka sekund pojawiło się wspomnienie Pari Ravan i obrazu z gigantycznym niebiańskim psem. Spojrzała w niebo. Nie, tym razem nie widziała żadnych psów, abstrakcyjnych kształtów i innych majaków wyniesionych z Phantastenmuseum. Dziś, niestety, myślała całkiem trzeźwo. Wciąż pamiętała wykrzywioną ze złości twarz Michaela Niklausa, który wrzeszczał na całe Palais Palffy, że „zabije skurwiela”. W sumie mu się nie dziwiła. Kilka miesięcy temu zdobył wreszcie tę swoją uwielbianą modelkę, piękną Marlene Sachs, o którą zabiegali wszyscy wiedeńscy artyści, jak gdyby na świecie nie było już innych dziewcząt nadających się na „muzy”. Doprawdy! Mężczyźni w ogóle nie mieli wyobraźni. A przynajmniej ci mężczyźni, którzy w austriackiej stolicy zajmowali się malarstwem i rzeźbą, i na dodatek poszczęściło im się na tyle, że zaczęli zarabiać na tym jakieś pieniądze. Mogli się bardziej postarać i postawić na różnorodność w kwestii doboru modelek. Ale oni wszyscy uparli się na Marlene Sachs. Michael Niklaus i Ernst Bauer osaczali ją jak dwaj psychopaci. Na miejscu dziewczyny Inge już dawno uciekłaby, gdzie pieprz rośnie. Ale pewnie dobrze jej płacili. A przynajmniej Niklaus.

Inge wjechała na teren okazałej posesji, zaparkowała i wyłączyła silnik. Sięgnęła do płóciennej torby, która leżała na siedzeniu pasażera, i wyjęła z niej buty na wysokich obcasach. Włożyła je, uprzednio zrzuciwszy tenisówki. W butach na płaskim obcasie zawsze czuła się niepewnie, ale z kolei w szpilkach nie potrafiła prowadzić samochodu. Bardzo ją to irytowało. Położyła dłoń na klamce i już miała wysiąść, kiedy ponownie przypomniawszy sobie twarz Niklausa. Zamyśliła się. Coś nie dawało jej spokoju. Niklaus był tego dnia podenerwowany, owszem, ale przecież chodziło o nową rzeźbę. Bardzo zależało mu na tym, żeby wystawić w Phantasten całą serię inspirowaną Lovecraftem. Pozowała mu oczywiście Marlene, a przynajmniej tak twierdził, choć Inge za bardzo nie widziała podobieństwa. Ale nie to było ważne. Czy rzeczywiście chodziło mu tylko o rzeźbę? Może o coś jeszcze? W kwestii sztuki ten mały cwaniak wykazywał się przecież zawsze obrzydliwą pewnością siebie. Skąd więc nerwy? Wiedział, że Phantasten niczego mu nie odmówi. Z drugiej strony ta twarz wykrzywiona gniewem i bólem... Z pewnością nie cierpiał tylko dlatego, że Marlene nie żyła. Od razu pomyślał o swojej pracy. Na pewno! Inge dobrze go już poznała. Wściekł się, bo teraz nie miał mu kto pozować do hermafrodytycznych wyobrażeń boga Cthulhu, z których był taki dumny. Biedny Ernst Bauer. Miał motyw jak nic. Zazdrość o dziewczynę i próba spowolnienia procesu twórczego największego rywala, który ostatnio zaczął odnosić same sukcesy. Niklaus zrobi wszystko, żeby go pograć.

Wciąż pamiętała ten moment, kiedy Michael przyniósł jej swoją pierwszą dobrą rzeźbę. Słyszała o nim wcześniej. Próbował się wybić na wszelkie sposoby. Aby zwrócić uwagę na swoją sztukę, urządzał nawet happeningi na Stefansplatz, podczas których nawoływał do różnych aktywności. Przejścia na weganizm, walki o zalegalizowanie związków homoseksualnych i miękkich narkotyków, obniżenia podatków i „jebania” nazistów. Skąd mu się wzięli ci naziści, tego już Inge nie wiedziała, ale miała pewność, że w każdym happeningu Niklausa musiało wybrzmieć hasło „sztuka dla sztuki”. Które miało tyle wspólnego z nazistami, weganizmem i innymi proponowanymi

aktywnościami, co Pigmeje z uprawianiem sportów zimowych. Często się nad tym zastanawiała. Wiele można było powiedzieć o Niklausie, ale z pewnością nie to, że uprawiał sztukę dla sztuki. Chciał zarabiać pieniądze. Był biznesmenem z głową na karku, nie potrzebował żadnego agenta. Świetnie negocjował, genialnie dobierał argumenty, miał „wizję”. A przy tym wszystkim naprawdę nauczył się rzeźbić. Jakoś tak... nagle. Według Inge taki szybki postęp nie był możliwy, nawet u bardzo zdolnego ucznia. A przecież Niklaus został wyrzucony z akademii, bo zawałił jakieś egzaminy. Od zawsze balansował na krawędzi, nie był wzorowym studentem ze stypendiami. Na uczelni mówiło się, że zajmuje miejsce innym zdolnym ludziom i przeszedł przez proces rekrutacyjny, bo pewnie miał plecy. Inge dogłębnie zbadała temat. Na Akademii Sztuk Pięknych знаła wszystkich. I domyślała się, że... Niklaus dał się wyrzucić celowo. Chciał wystąpić przeciwko systemowi, przeciwko akademickim zasadom. Przez kilka lat po opuszczeniu szkoły organizował coraz ostrzejsze happeningi i wyprodukował sobie kilkanaście różnokolorowych koszulek z jednakowym napisem: „Pierdolić uczelnie państwowe!”. No i wreszcie coś pokazał. Nagle, jak gdyby wyciągnął królika z kapelusza. Rok temu wyrzeźbił *Otella i Desdemonę*. Zaimprovizował scenkę z tłem i rekwizytami. Wszystko w drewnie. Figury nie były duże, ale to właśnie stanowiło ich siłę. Detal. Dopracowane do granic możliwości szczegóły, które świadczyły o katorżniczej pracy i niezwykłym talencie. Inge Altman pracowała w tym biznesie ponad dziesięć lat, ale nigdy nie widziała czegoś takiego. Oto pojawiła się przed nią szansa, by ofiarować Phantastenmuseum genialnego artystę, który na całym świecie kojarzyłby się właśnie z ich placówką. Musiała ją wykorzystać.

A teraz Niklaus wariował. Rano, w Palais Palffy, wydał jej się nieobliczalny. Miała wrażenie, że gdyby faktycznie dorwał Ernsta Bauera, z chłopaka niewiele by zostało. A sam Bauer? Czy rzeczywiście był winny? Ta sprawa wydawała się dziwna. Co takiego zrobiła Marlene Sachs, że ktoś postanowił ją zamordować? O ile w ogóle sprawca szukał powodu. To mogła być przecież robota jakiegoś zwyrodnialca ze skazą na psychice. Chyba że Marlene faktycznie pozbawił życia Ernst. W ciągu ostatniego roku Niklaus nie tylko ukradł mu modelkę, ale przede wszystkim podebrał parę intratnych kontraktów i wykładów na prestiżowych europejskich uczelniach, nie wspominając już o prowadzeniu warsztatów podczas kilku festiwali w Wiedniu. Bauer stracił przez Niklause sporo pieniędzy, ale przecież wciąż sobie radził. Czy to możliwe?

*Otello i Desdemona*. „Poślubię cię, kiedy stworzysz arcydzieło”.

Inge potrząsnęła głową i zachichotała nerwowo. Myślała o bzdurach. Ostatecznie – to nie była jej sprawa. Co ją obchodziło zabójstwo Marlene? Słabo znała tę dziewczynę. Najlepiej będzie, jeśli wszystkim zajmie się policja. A ona już postara się o to, by Niklaus przestał szaleć, szybko znalazł sobie kogoś do pozowania i zabrał się do pracy.

Wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę okazałej willi. Czekala ją jeszcze jedna trudna rozmowa. Przed wejściem zatrzymała się na moment i spojrzała na majaczący w oddali Kahlenberg. Zawsze zazdrościła profesorowi Steinbeckowi tego widoku. Uniosła dłoń i zadzwoniła do drzwi.

Bratanek profesora Steinbecka wyglądał jak zawsze doskonale. Za każdym razem,

kiedy go widziała, miała wrażenie, że spędził długie godziny przed lustrem, dopracowując niedbały *look*. Różnił się od swojego nieżyjącego wuja. Profesor Steinbeck zawsze był elegancki i do bólu wymuskany, ogolony, uczesany, pachnący drogimi i luksusowymi perfumami. W Inge wzbudzał niemal podziw. Kiedy został wyrzucony z uczelni po tym, jak kilka studentek oskarżyło go o molestowanie seksualne, rzewnie się rozpląkała. Ona również była studentką Steinbecka. Nigdy jej nie molestował. Nie wierzyła tym kłamliwym idiotkom. Policja też im zresztą nie uwierzyła. Zero twardych dowodów, nic, dosłownie nic, co mogłoby uwiarygodnić zeznania. Steinbecka nie postawiono w stan oskarżenia, ale z pracy go wyrzucono. Bo to by źle wyglądało, gdyby został. Odbiło się na wizerunku uczelni. Inge bardzo mu wtedy współczuła. Nie sądziła jednak, że los będzie dla profesora jeszcze bardziej okrutny i męczyzna zginie w kompletnie bezsensowny sposób. Pewnego ranka usłyszała w radiu, że zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Steinbeck poślizgnął się na kaflach w swojej kuchni i uderzył w coś głową. Był w domu sam i nikt nie wezwał na czas pomocy. Dziennikarz podsumował swoją wypowiedź uwagą, że najwięcej takich tragicznych wypadków zdarza się właśnie w warunkach domowych. Inge miała ochotę wyrzucić radioodbiornik przez okno... Zawsze mówiła Steinbeckowi, że te durne kafle są za śliskie.

A teraz w pięknej willi na skraju Lasu Wiedeńskiego mieszkał jego bratanek. Rudolf Steinbeck, który panoszył się tutaj, jak gdyby kupił ten dom za własne pieniądze. Nic sobą nie reprezentował, zupełnie nic. Nie zamierzał nawet udawać, że chodzi do jakiejś pracy. Po prostu korzystał z majątku, który przez lata gromadził jego wuj, i żył „na poziomie”. Inge szczerze go nie znosiła, ale niestety musiała tolerować, dopóki chciał inwestować w wystawy organizowane w Phantastenmuseum. Kontynuował co prawda dzieło swojego wuja, ale przecież kiedyś mogło mu się to sprzykrzyć. Oby nie za szybko. Budynek muzeum domagał się remontu, a artyści mieli coraz bardziej wygórowane wymagania. Zwłaszcza Niklaus. No właśnie. Niklaus...

Inge ominęła Rudolfa Steinbecka i weszła do środka. Jej obcasy głośno stuknęły o posadzkę i przez chwilę poczuła się pewniej. Wkroczyła do salonu i opadła na fotel. Musiała zyskać przewagę w tej rozmowie. Jeszcze nie wiedziała, jak to zrobić. Na początek postanowiła przybrać bardzo poważny wyraz twarzy. Chodziło przecież o morderstwo. W oczach Rudolfa zauważyła jednak błysk rozbawienia.

– Inge, miło cię widzieć. Proszę, wejdz – rzucił cynicznie i wskazał barek.

Pokręciła głową. Nie powinna pić. Przyjechała samochodem, a poza tym dziś jeszcze mogła potrzebować sprawnie działającego mózgu.

– Oduść sobie te mało subtelne złośliwości i skup się – wycedziła.

– Taaak, wiem. Byli u mnie.

– Kto u ciebie był? – Inge wyprostowała się na fotelu. Z jej twarzy momentalnie znikł wyraz chłodnego opanowania.

– Jak to kto? Inge! To ty się lepiej skup. Policja.

– Ale po co?

– No dobra, zastanówmy się. Włożyłem kasę w kilka wystaw Bauera, tak? Idźmy dalej. Kiedy Bauer zaczynał swoją działalność, mój wuj po cichu go wspierał. Finansowo i koneksjami. A ja, choć w wielu kwestiach nie zgadzałem się z moim wujem, gust

miałem akurat do niego zbliżony i także nie pozostawiłem Bauera na lodzie. Dalej. Kiedy Niklaus, ten kretyn od jebania nazistów i pierdolenia państwowych uczelni się wybił, nadal uważałem, że Bauer jest lepszy. Czy słyszysz to słowo, które ciągle się tu powtarza? Nie. No to czekaj, wyizoluję ci je z kontekstu. Bauer. Bauer!

– Nie wrzeszcz. Głowa mnie boli.

– Aspiryny?

– Pieprz się. Co chcieli?

– Pokonwersować.

– O Bauerze?

– A o kim? Inge! Nie zadawaj mi takich debilnych pytań.

– Co konkretnie chcieli wiedzieć?

– Ty też prowadzisz śledztwo? Myślałem, że ślinisz się na widok Niklausea.

Ostatnio wciskam ci tego Bauera siłą.

– Bauer jest dobry, ale zachowawczy, Niklaus nie boi się... Dobra, skończmy z tymi pierdołami. Nie będziemy dyskutować teraz o sztuce. O co pytali?

– Standard. Czy zauważyłem u Bauera coś dziwnego. Czy inaczej się zachowywał, czy miał kłopoty, wrogów, jak układały się jego relacje z tą całą...

– ...Marlene...

– Marlene. I z Niklausem. I z jeszcze innymi ludźmi. Jakbym coś na ten temat wiedział. Gównu wiem i tak też im powiedziałem. Jeśli chodzi o Bauera, interesowały mnie tylko jego rzeźby. Trzeba wspierać zdolnych ludzi, skoro można sobie na to pozwolić, bo miernoty robią kariery, a talentom trudno się wybić.

Spojrzał na Inge znacząco i sięgnął po kieliszek z winem. Przewróciła oczami. Zamierzała się właśnie odciąć, kiedy usłyszała dziwny dźwięk. Coś jak... uderzenia młotkiem? Ale znacznie cichsze. Głuche. Jak gdyby wy tłumione. Uniosła się lekko i nadstawiła uszu. Dźwięk jednak już się nie powtórzył. A Rudolf nawet nie zmienił pozycji. Stał przy barku, z kieliszkiem wina w dłoni, i wpatrywał się w jasny płyn. Nagle wychylił go duszkiem i cisnął naczyniem o ścianę. Inge podskoczyła.

– Tobie też odbija? – zapytała. Chciała to zrobić pewnie, ale głos odrobinę jej zadrzał.

– No kurwa, mówię ci, to nie dla mnie! Nie rozumiem tych wszystkich popieprzonych artystów. Myślisz, że Bauer był do tego zdolny? Przecież siedział tam, na miejscu zbrodni. Tak go znaleźli. Jego i sprzątaczkę. Sprzątaczkę wypuścili, a jego jeszcze trzymają.

– Czyli ty też przeprowadziłeś już śledztwo...

– A co myślałaś? Inwestowałem w Bauera, a teraz on jest powiązany z dziewczyną, z której wypłynęła cała krew.

– Podobno wyglądała jak modelka na jednym z obrazów Oskara Kokoschki. Mówiło się zresztą, że Bauer wobec swoich modelek bywał tak samo przyjemny, jak Kokoschka wobec Almy Mahler, no wiesz, chorobliwa zazdrość, zaborczość, osaczenie, ale w wypadku Almy i Oskara...

– Inge! Oszczędź mi.

– I była jeszcze ta kartka.

– Jaka kartka? – Rudolf wyprostował się gwałtownie.

– No z cytatem.

– Z cytatem? Czekaj... z TYM cytatem? Jakies tam pieprzenie o arcydziełach i ślubach? Bauer ciągle coś takiego powtarzał.

– Dokładnie tym. Z Almy Mahler. Ale kiedyś Bauer powiedział mi, że to Marlene jako pierwsza zaczęła posługiwać się tą frazą. Nie wiem, czy chciał się z nią ożenić, a ona uraczyła go cytatem z dzienników muzyki wiedeńskich artystów, czy też może...

– Inge, błagam!

– W każdym razie chodzi o to, że cytat z Almy Mahler przypięty był do niedokończonej rzeźby Bauera. Która stała obok zwłok.

– Skąd wiesz?

– Policjant mi powiedział, przecież też zostałam wezwana na komisariat.

– Pięknie. Burdel jak nic.

– Można to obrócić na naszą korzyść – powiedziała cicho Inge. Wreszcie musiała przejść do meritum. Robiło się późno. To był naprawdę długi dzień.

– Niby jak? – rzucił Rudolf, na pozór od niechcenia. W jego oczach jednak rozbłysło zainteresowanie. Uśmiechnęła się.

– Niklausego przecież nie aresztowano. Bo za co? Jest wolny jak ptak. I na dodatek bardzo skrzywdzony. Tylko patrzeć, jak przełoży to na swoją artystyczną działalność. A ludzie lubią skandale...

Rudolf Steinbeck zbliżył się do Inge i położył jej dłonie na ramionach. Przez chwilę patrzyli sobie głęboko w oczy.

– Inge Altman. Z ciebie to jednak przebiegła żmija. Ile jesteś w stanie zrobić, żebym włożył kasę w tego sukinkota Niklausego?

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Ciekawe... W myślach również tak właśnie nazywała Michaela.

## Rozdział 4

Dzwonek. Anna słyszała go wyraźnie, choć była pewna, że poprzedniego wieczoru nie nastawiła budzika. Chcieli się wyspać. Rozkleiła powieki i usiadła na łóżku. Telefon przestał dzwonić. Przyśniło jej się? Zerknęła na wyświetlacz. Nie. Dzwonił naprawdę. O szóstej rano. I w dodatku był to jakiś dziwny numer, którego Anna nie kojarzyła ani z konkretną osobą, ani z żadnym miejscem. Z pewnością ktoś dzwonił do niej z zagranicy. Ale skąd dokładnie? Ziewnęła i spojrzała na pogrążonego we śnie Antonia. Zabrał jej całą kołdrę. Znowu.

Dziwny telefon nie zdołał jej całkiem obudzić. Anna miała właśnie zamiar położyć się znowu i zawalczyć z Antoniem o kołdrę, kiedy dzwonek rozległ się po raz drugi. Zamarła. Ostrożnie chwyciła telefon, jak gdyby bała się, że ktoś to zauważy i poczuje. Antonio poruszył się i uniósł głowę z poduszki.

– Co jest? – mruknął.

I spał dalej. Anna przełknęła ślinę. Odebrała połączenie i przyłożyła telefon do ucha. Nie wiedziała, skąd wziął się ten osobliwy strach, który usztywniał jej ruchy i zakłócał myśli.

– Słucham? – szepnęła.

Po drugiej stronie usłyszała kobiecy głos. Niski i zachrypnięty prawdopodobnie w wyniku wieloletniego palenia papierosów. Kobieta mówiła po angielsku z szeleszczącym, chyba niemieckim akcentem. Nie, nie niemieckim, ale flamandzkim. Anna miała co do tego pewność, choć nie wiedziała, skąd ta pewność się wzięła. I wcale jej się to nie podobało.

– Wiem, co dla mnie zrobiłaś. Dzwonię, żeby ci podziękować.

– Z kim rozmawiam?

– I jeszcze, żeby poprosić o pomoc. Mam kłopoty.

– Kto mówi?!

Kobieta nie odpowiedziała. Antonio zerwał się do pozycji siedzącej. Anna wzięła głęboki wdech. Jej rozmówczyni jeszcze się nie rozłączyła.

– Kto mówi? Proszę się przedstawić – odezwała się znowu, tym razem łagodniej.

Po kolejnej chwili milczenia kobieta wreszcie odpowiedziała.

– Nazywam się Saskia Verbeek. Albo Chana Sullam, jak wolisz. Chyba znasz oba moje nazwiska?

Anna zamarła z telefonem przy uchu. Antonio nie wytrzymał, wyjął jej komórkę z dłoni i przełączył Chanę na głośnik. Gestem nakazał Annie kontynuować rozmowę i pokazał, że on sam zamierza siedzieć cicho.

– Tak – mruknęła, usiłując zebrać myśli. – Tak, znam oba pani nazwiska.

– Znakomicie. Imiona także, więc może wybierz sobie jedno i zwracaj się do mnie mniej formalnie. Kiedy słyszę „proszę pani”, czuję się staro.

– Ale...

– Może Chana? Tak mnie nazwali rodzice, ci, którzy, jak ci wiadomo, zginęli na frachtowcu „Niobe”. Pamiętasz jeszcze tę historię, prawda?

– Pamiętam – przyznała i spojrzała na Antonia zupełnie zdezorientowana, ale on



tylko rozłożył bezradnie ręce. – W takim razie może faktycznie... postawię na Chanę – dodała.

– Bardzo się cieszę. Powtórzę więc: chciałabym ci podziękować. Dostałam z powrotem to, co powinno od zawsze być moje. Już dawno straciłam nadzieję, że dożyję tej chwili. Ale Marconi, jubiler z Wenecji, i jego dziewczyna Stefania, która włada chyba wszystkimi językami świata, przypisali całą zasługę tobie.

– Ja tylko...

– Tak, ty tylko rozwiązałaś całą zagadkę i wymusiłaś na Marconim, żeby mnie znalazł i oddał mi obraz. Rzeczywiście „tylko”.

– Przepraszam, ale muszę zapytać. Czy gdzieś w tym obrazie, nie wiem, może w ramie, były...

– Diamenty, które Capelli ukradł moim rodzicom? – ponownie weszła jej w słowo rozmówczyni. – Były.

Chana Sullam mówiła o obrazie, na punkcie którego pewien wenecki marynarz miał prawdziwą obsesję. Kobieta w płomieniach, a wokół niej tłum ludzi odwracających głowy. Malowidło kryło w sobie pewną tajemnicę i pośrednio łączyło się ze sprawą, którą Anna i Antonio prowadzili w lutym w Wenecji. Bardzo zagmatwaną, dotyczącą wielu osób i złożonych relacji między nimi. Chwilami miewali wrażenie, że nigdy nie odkryją prawdy, a kiedy już było po wszystkim, wcale nie tęsknili za kryminalnymi aferami. Nawet Valli, który, jak przyznawał, poza pracą w policji na niczym innym zupełnie się nie znał. Anna nauczyła się już unikać myślenia o tamtych wypadkach. I o Lucrezii Doldano. O tym, co połączyło ją z Leonem. Myślała, że naprawdę się zaprzyjaźniły, tymczasem...

Nie, nie mogła teraz rozpamiętywać tego, co wydarzyło się w Wenecji. A jednak dzwoniła ta kobieta. Akurat ona. Akurat do niej. Dlaczego?

– To wspaniale, że odzyskała pani... odzyskałaś swoją własność – odezwała się Anna po krótkiej pauzie. – Nie rozumiem jednak...

– Po co dzwonię?

– Właśnie. Wspomniałaś o jakichś kłopotach, więc może przejdźmy do rzeczy. Nie pracuję już w policji, ani też nie zajmuję się... żadną formą pomocy – wydukała.

– Żadną formą?

– Chyba obie wiemy, o co chodzi. – Anna zaczęła się niecierpliwić.

– A czy mogłabyś mnie chociaż wysłuchać? Będę się streszczać. Obiecuję.

– Przepraszam, ale muszę najpierw zadać ci jedno pytanie.

– Tak?

– Dlaczego zdecydowałaś się zwrócić o pomoc do mnie?

Po drugiej stronie zapadła cisza. Słyszeć było tylko przyspieszony chrapliwy oddech wieloletniej palaczki. Wreszcie Chana ponownie się odezwała.

– Chyba nie mam nikogo innego, do kogo mogłabym się w tej sprawie zwrócić.

Lempi zastygła w bezruchu, kiedy o szóstej trzydzięci przekroczyła próg kuchni i zobaczyła Annę oraz Antonia siedzących w piżamach przy stole. Z przyzwyczajenia – lub też subtelnej złośliwości – zerknęła na parapet. Antonio czym prędzej uczynił to samo

i odetchnął z ulgą. Na parapecie nie było talerzy. Anna obserwowała ich z zainteresowaniem i na moment zapomniała o rozmowie z Chaną Sullam. Poczuli, że rzeczywistość zredukowała się do tego miejsca, czasu, osób i smaku gorzkiej czarnej kawy.

– Ja tam się nie chcę wymądrzać – oświadczyła Lempi z wyniosłą miną. – Ale w domu jest kilkoro gości. Wszystkiego razem z sześć sztuk, bo sezon właśnie się zaczął, a my dopiero startujemy z biznesem po... hm... niedawnej jatce, która tu, jak wiemy, miała miejsce. No i tak sobie myślę, że chyba w pizamach w kuchni siedzieć nie wypada, bo niechby ktoś zajrzał...

– O szóstej trzydzięci? – wyraził niepewnie swoją wątpliwość Antonio.

– Ach! Pan wybaczy, panie Valli, ja wiem, że POŁUDNIOWCY to śpią do dziesiątej, pracują do wieczora, a kolację jedzą w nocy, ale...

– Troszkę to na wyrost...

– Ale! W INNYCH częściach świata ludzie lubią wstawać wcześniej i żyć w zgodzie z rytmem natury. Poza tym wszyscy wiedzą, że to zdrowo. Ci co wynajmują trójkę, na przykład, tacy dwaj sympatyczni geje z Holandii, już poszli na plażę pobiegać. Więc proszę mi nie mówić...

– Te buraki i marchewka to na sok dla nich? – wtrąciła się nagle Anna, spoglądając znacząco na koszyk, który Lempi ścisnęła w rękach. Kątem oka dostrzegła też przygotowaną na kuchennym blacie sokowirówkę i domyśliła się, dlaczego od kilku dni o poranku słyszała dziwne dźwięki.

– A jeśli nawet, to co? Trzeba pozytywnie reagować na potrzeby klientów!

– Nic przecież nie mówię.

Anna uniosła ręce w geście poddania i dopiła kawę. Lempi huknęła koszem o podłogę i zaczęła skrobać marchewkę. Jakoś zdrowe nawyki żywieniowe dwóch sympatycznych gejów spod trójki nie budziły w niej tego samego oporu, co „obsesja na punkcie wodorostów” Ingvara. I niestety – wciąż pałała nienawiścią do wszystkich południowców tego świata, przez co obrywało się także Toniemu. Anna była ciekawa, jak długo to jeszcze potrwa. Może Lempi potrzebowała klina? Tylko skąd go wziąć?

Jej rozmyślania przerwał nagle Antonio, który wpatrywał się w nią intensywnie. I wtedy sobie przypomniała. Oczywiście! Chana Sullam i jej telefon. Co miała zrobić? Powiedzieć tej starej kobiecie, żeby dała spokój i poszukała kogoś innego? Czy jej intencje były czyste? Czy, mówiąc wprost, nie nakłamała im w żywe... uszy? Anna nie miała pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Irytował ją również fakt, że tak łatwo uwierzyła tej kobiecie. Ale Chana Sullam musiała mówić prawdę, kiedy opowiadała o swoim wnuczku, młodym rzeźbiarzu Ernście Bauerze, o dziwnym morderstwie popełnionym u niego w pracowni, dowodach i motywach, które aż za bardzo świadczyły o jego winie, a także i wszelkich okolicznościach towarzyszących. Środowisku artystycznym Wiednia, rywalizacji Ernsta i jakiegoś innego rzeźbiarza, który wciąż, jak to ujęła Chana, „podkładał mu świnię”, znaczącym cytacie z Almy Mahler pozostawionym na miejscu zbrodni, kłótniach chłopaka z byłą kochanką, wymiennie zwanych „karczemnymi awanturami” i tak dalej, i tak dalej... Rzeczywiście – wszystko razem nie wyglądało dla Bauera najlepiej. Chana wynajęła mu prawnika i zamierzała nie

spuszczać wnuka z oka aż do momentu wszczęcia postępowania, ale bała się, że policja odpuści sobie dalsze dochodzenie w sytuacji, kiedy znalazła już idealnego podejrzanego. Anna zasugerowała kobiecie, by miała więcej wiary w działania stróżów prawa, ale ta tylko prychnęła. „Oczywiście, więcej wiary” – wycedziła – „Ale widzisz, nie mam jak ich przypilnować. Nie mogę chodzić na komisariat, być upierdliwa i się wyklócać. Muszę siedzieć cicho i doprowadza mnie to do szewskiej pasji”. Anna już miała zapytać, dlaczego konieczne jest siedzenie cicho, ale w porę ugryzła się w język. To pytanie wypadłoby wyjątkowo niemądrze. Odpowiedź nasuwała się przecież automatycznie. Chana nie mogła zanadto węszyć, bo sama przez całe życie prowadziła nielegalne interesy i tylko raz w swojej karierze została złapana. Nie powinna rzucać się w oczy. Nie udzieliłaby w ten sposób pomocy wnukowi, ale wręcz mu zaszkodziła.

Miała rację – znalazła się w trudnej sytuacji. Anna jednak była wciąż przekonana, że kobieta mogłaby bez problemu zaangażować w tę sprawę mnóstwo innych osób, które znały się na rzeczy i udzieliłyby wsparcia. Kiedy więc Chana zakończyła swoją opowieść, ponownie zapytała: „Dlaczego akurat ja?”. W odpowiedzi usłyszała: „Raz już mi pomogłaś, choć mnie nie znałaś. Nigdy nawet ze sobą nie rozmawialiśmy. Po prostu czułaś, że tak powinnaś postąpić. Nie wiem, ale chyba najzwyczajniej w świecie ci ufam”. Może i trąciło to melodramatem. Antonio, który przysłuchiwał się całej rozmowie, na koniec przewrócił oczami. A jednak... Anna nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Chana Sullam nie udawała. Złożyła jej konkretną biznesową propozycję, wymieniła kwotę z uwzględnieniem kosztów dojazdu i wszelkimi „dodatkami”, podała adres na Ringstrasse i była otwarta na negocjacje. Ale spod całej tej „profesjonalnej” rozmowy przebijał strach. Anna zrozumiała wreszcie, że Chana Sullam miała na świecie tylko jego jedyne. Ernsta Bauera, swojego wnuka. Nic dziwnego, że nie brakowało jej energii, by go chronić.

Był jednak pewien problem. Otóż Wiedeń nadal kojarzył się Annie z Sofią Stiatesi, śpiewaczką operową, która mieszkała właśnie na Ringstrasse. Z którą zdradzał ją mąż. I którą otruła jej siostra... Wspaniałą miała rodzinę, doprawdy – pozazdrościć. Szekspir się chowa. Nigdzie nie mogła się ruszyć, bo zaraz osaczały ją wspomnienia i poczucie winy lub doznanej krzywdy. Ale przecież zmierzyła się z Wenecją. Może więc dałaby sobie radę także w Wiedniu? Czy powinna spróbować? I czy w ogóle miała ochotę wikłać się w kolejną kryminalną aferę?

Antonio podał jej rękę i razem opuścili kuchnię. Lempi oskrobała całą marchewkę i zabrała się za krojenie buraków. Nie zawracała już sobie głowy rozmową z nimi.

– Wyjdziemy na chwilę na werandę? – zapytała Anna.

– W piżamach? – rzucił Toni i uniósł brwi. – Ku zgorszeniu gości?

– No tak. Masz rację. W takim razie chodźmy na górę. Uśmiechnęła się pod nosem, kiedy to powiedziała. Wbiegła po schodach, wpadła do sypialni i wskoczyła do łóżka. Wpełzła pod kołdrę i zrzuciła z siebie piżamę. Antonio spojrzał na nią niepewnie.

– Może powinniśmy najpierw porozmawiać o Chanie i całym tym bagnie, w które, jak widzę, masz wielką ochotę znowu wdepnąć?

O tak, Antonio świetnie zdążył ją poznać... Anna roześmiała się cicho.

– Za chwilę – skwitowała i wyciągnęła do niego rękę.

\*\*\*

Kiedy Ulrike patrzyła w prawo, jej wzrok od razu padał na gmach Opery Wiedeńskiej. Szybko polubiła ten widok, choć apartament znajomego, kimkolwiek był, Chany Sullam uznała za snobistyczny i nadęty. Wszystkiego znajdowało się tam za dużo – obrazów, dywanów, bibelotów, poduszek na sofach, komódek, nawet krzeseł, z których kilka stało po prostu pod ścianami, jak w poczekalni u dentysty. Właściciel mieszkania raczej nie pokazywał się tutaj za często. Meble pokrywała gruba warstwa kurzu, a kiedy poruszyła firanką, materiał uwolnił gęsty siwy obłok. Zaczęła kichać. Pomyślała, że to nawet dobrze. Najbliższe dni upłyną jej na sprzątaniu, zakupach i gotowaniu, czyli na tym, na czym znała się najlepiej. I jakoś to będzie. Przetrwą ten dziwny czas, kiedy podejrzewają Ernsta o zamordowanie Marlene, a później wszystko wróci do normy. Ulrike nie była osobą, która szukała mocnych wrażeń. Wolą cichą stabilizację, oswojone przestrzenie i znane twarze. A tutaj, w apartamencie na Ringu, wszystko było obce, począwszy od tej starej, chudej kobiety. Wszystko – poza gmachem Opery Wiedeńskiej, którego widok rysował się za oknem. Opera dobrze jej się kojarzyła. Była symbolem innego, lepszego i pełniejszego życia niż to, które Ulrike wiodła w domu swoich rodziców. W „rzeźni”, jak go w duchu nazywała... Kiedy nie mogła już znieść otaczających ją zewsząd zapachów i dźwięków, zamykała się w pokoju i oglądała w internecie właśnie koncerty z Opery Wiedeńskiej. Te noworoczne. Najbardziej lubiła finał – kiedy orkiestra zaczyna grać *Marsz Radetzkiego*, a dyrygent odwraca się w stronę klaszczącej widowni. Zawsze ten sam schemat. Bezpieczna i urocza przewidywalność.

Ulrike z niechęcią odsunęła się od okna. Firanka ponownie uwolniła obłok kurzu, ale tym razem kichnął ktoś inny. Zamarła. No tak, był tutaj. Na chwilę zapomniała o jego obecności. Zajął jedno z krzeseł pod ścianą i zwiesił głowę. Denerwował ją. Nie poznawała się. Wcześniej ze stoickim spokojem akceptowała wiele jego dziwactw i nie zadawała zbyt wielu pytań, ale teraz po prostu ją irytował. Zamierzał tak spędzić cały dzień? A najgorsze było to, że nic nie mówił. Nie przywitał się, kiedy przyjechała po niego na komisariat. Nie podziękował za to, że się pofatygowała. Nie skomentował słowem tego, co się stało, choć przecież Ulrike... w jakiś sposób podzieliła z nim tamten upiorny moment. Ernst Bauer po prostu siedział. Najpierw w samochodzie, teraz na krześle. A specjalnie dla niego wypożyczyła auto i zajęła miejsce za kierownicą, choć nie prowadziła od sześciu lat. Myślała, że tak będzie lepiej, niż przysłać taksówkę. Dyskretniej i intymniej. I może Ernst z nią porozmawia, opowie, co przeżył w areszcie tymczasowym, o co go pytano, co mu zarzucano... Co czuł, kiedy usłyszał, że może wrócić do domu, ale jest głównym podejrzanym w sprawie zabójstwa Marlene Sachs i musi pozostać do dyspozycji policji. Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Tylko cisza

i twarz pokerzysty.

Teraz kichał jak opętany. Zaczął się krztusić. Poczzerwieniał. Ulrike westchnęła, podeszła bliżej i uderzyła go mocno w plecy. Spojrzał na nią z mieszaniną zaskoczenia i złości. Znowu siebie nie poznawała, ale... miała to gdzieś. Grunt, że przestał wydawać te dziwne i irytujące dźwięki. A jednak, jak się okazało, to nie był jeszcze koniec show. Ernst skulił się i zaczął chlipać. Ulrike miała ochotę uderzyć głową o ścianę. Owszem, była wobec niego wyrozumiała i ogólnie nie zgłaszała zbyt wielu pretensji do świata, ale nie znosiła mazgających się facetów. A ten tutaj był w dodatku jej szefem. Powinien chyba nieco bardziej dbać o profesjonalny wizerunek, nawet jeśli tylko mu sprzątała, gotowała i prała skarpety... Westchnęła ponownie i przykucnęła. Zaklęła w duchu kilka razy. Zdecydowanie nie nadawała się na pocieszycielkę i musiała się bardzo hamować, by nim nie potrząsnąć. Nigdy nie przyjęli zresztą wobec siebie takich ról. Wcześniej układ był jasny od początku do końca. Dotknęła ramienia Ernsta i chrząknęła. Na chwilę przestał chlipać.

– Dzwoniła do mnie. Trzy dni przed... no wiesz – stęknął. – Chciała się ze mną spotkać. Porozmawiać o czymś ważnym.

– Kto? – zapytała bez sensu Ulrike. Dobrze wiedziała, o kogo chodzi.

– Marlene! – Ernst pociągnął nosem. – Marlene do mnie zadzwoniła, choć przecież kiedy się rozstawaliśmy, powiedziała, że mam się „bujac”. Nigdy później nie odbierała ode mnie telefonów. Nie odpisywała na SMS-y. Miała mnie w..., bo przecież liczył się tylko Niklaus, jej nowy mentor! A jednak trzy dni temu chciała coś ode mnie, a ja ją odepchnąłem. I teraz ona...

Ernst rozklejał się dalej, ale Ulrike już nie zwracała na to uwagi. Zastygła w bezruchu. To słowo nieprzyjemnie ją ukłuło. „Mentor”. Myślała już o tym w kontekście Marlene i Niklausa. Często się powtarzało. Wypowiedzieli je policjant na komisariacie i Chana. Użyli go także w swoich tekstach dziennikarze prasowi i internetowi. Ale ono tu nie pasowało. Owszem, Niklaus zaczął świetnie rzeźbić i robił zawrotną karierę, budził w studentach i młodych artystach podziw, prowadził nawet jakieś warsztaty, a jednak... Nie był mentorem Marlene. Ulrike nie wspomniała o tym podczas składania zeznań. Czy powinna? Marlene nie uczyła się rzeźbić, była jedynie modelką. Do tego ograniczała się jej rola. W przeciwieństwie do...

Wyprostowała się, podała Ernstowi paczkę chusteczek i zmusiła go, by na nią spojrział.

– Skup się – poprosiła.

– Po co?

Tak, to był świetny moment na głupie pytania.

– Bo cię o to proszę. Czy powiedziałeś policji, że Marlene nie uczyła się rzeźbić?

– Po co? – powtórzył swoje wybitnie inteligentne pytanie i podniósł na nią załzawione oczy.

– Czy powiedziałeś?

– Chyba tak.

– Chyba? – Powoli traciła już do niego cierpliwość.

Mógłby się wreszcie wziąć w garść.

– Pytali mnie o relację z Marlene, więc im opowiedziałem ze szczegółami. Uznałem, że lepiej niczego nie zatajać, bo potem będzie... No i doszedłem do Niklausa. Poinformowałem ich, że Marlene do niego odeszła.

– I została jego modelką?

– Tak, to też. Oczywiście! A co myślałaś? Zresztą – oni i tak wiedzieli.

– No właśnie nie do końca. Cały czas słyszałam to słowo. „Mentor”. Mówili o Niklausie, jak gdyby był mentorem Marlene, jak gdyby ona się od niego uczyła.

– Ulrike, ty się dobrze czujesz? – spytał niepewnie i zmiął w palcach chusteczkę.

– Znakomicie. Tylko widzisz, oni mówili o Marlene, jak gdyby ona była tamtą dziewczyną. No wiesz. TAMTĄ.

Ernst wzdrygnął się i wstał z krzesła.

– Masz na myśli tę Amerykankę? Angie...

– Hamilton. Angie Hamilton.

– Ulrike! Daj już sobie spokój. Ty masz na jej tle jakąś obsesję. Myślałem, że już ci przeszło. Minął rok, a ty znowu zaczynasz. Zapomniałaś, że nie było żadnego dochodzenia?

– A nie wydaje ci się to dziwne? – zapaliła się i złapała go za ramiona.

– Ale co, do jasnej cholery? Uspokój się, dopiero wypuścili mnie z puszki i to tylko dlatego, że nie mają żadnych konkretów, żadnych twardych dowodów. Ale na pewno będą ich szukać. A ja nie chciałbym tam za szybko wrócić. Ty wiesz, co...

– Ernst! Zredukuj to sobie.

– Co mam sobie zredukować? Nie używaj przy mnie teraz takich trudnych słów. Zostaw je chociaż na jutro, co?

– Dobra, to w skrócie. Rok temu modelka i jednocześnie uczennica Niklausa nagle zapada się pod ziemię. Nikt nie wie, gdzie jest. Tak po prostu – była i nagle jej nie ma.

– Uznano, że wyjechała. Nikt nie zgłosił zaginięcia.

– Bo nikt jej nie szukał. Nie miała rodziny.

– A przynajmniej tak słyszeliśmy. Na pewno nie wiemy o niej wszystkiego.

– Tak czy inaczej – wracamy do punktu wyjścia. Dziewczyna znika, ale nikt jej nie szuka. Nawet znajomi, bo Angie z żadną osobą nie weszła w bliższą relację. Tylko z Niklausem. On twierdzi, że dziewczyna po prostu wyjechała bez słowa wyjaśnienia. Niby to żadna wielka miłość, a jednak przez kilka tygodni chodzi jakiś taki nakręcony, wkurza się na wszystkich, robi te swoje happeningi. Później zamyka się w swojej dziupli, a kiedy z niej wychodzi, zaczyna odnosić sukcesy jako rzeźbiarz. Choć wcześniej szło mu średnio. Czy jakoś tak. Być może kolejność była inna, ale już nie jestem w stanie odtworzyć chronologii. Przecież tylko ci sprzątam, pamiętasz?

– Do czego zmierzasz? – zapytał z niechęcią, kompletnie ignorując jej przytyk. Na szczęście przestał już szlochać.

– Do tego, że nikt się już tą dziewczyną potem nie interesował. Ale...

– Miałaś to przedstawić w skrócie, zdaje się?

– W skrócie brzmi to tak, że rok temu modelka i uczennica Niklausa zapada się pod ziemię, a teraz jego kolejna modelka zostaje zamordowana i upozowana na Almę Mahler. Modelka. Nie uczennica. I... i...

Ulrike zająknęła się i umilkła. Zdała sobie sprawę, jak to zabrzmiało. Nie za dobrze. Nie za logicznie. Ernst patrzył na nią z politowaniem, ale i pewną dozą pobłażliwości. Jak miała mu to wytłumaczyć? Jak wyjaśnić, że widzi związek między tymi sprawami, ale nie potrafi powiedzieć, na czym on polega? Może powinna wrócić na komisariat? Czy tam ktoś ją zrozumie? Nie... Najpierw sama musiała poukładać to sobie w głowie. Zasepiła się i ogarnęło ją nagle poczucie beznadziei.

– Ulrike – odezwał się Ernst cicho. – Daj sobie spokój z tą jakąś Angie. Znałaś ją tylko z opowiadań, a ja zaledwie kilka razy z nią rozmawiałem. To był niespokojny duch. Po prostu wyjechała, a Niklaus leczył złamane serce. Miał pecha. Ale tego, co się teraz stało... już nie można nazwać pechem. Ktoś musi wyjaśnić tę zagadkę. Marlene się bała. Słyszałem to wyraźnie, kiedy do mnie zadzwoniła. Nie mogę sobie wybaczyć, że nie zechciałem jej wysłuchać. Coś musiało się stać. Być może żyłaby teraz, gdybym zgodził się z nią porozmawiać.

Ulrike mechanicznie kiwała głową. Ernst miał wyrzuty sumienia, to oczywiste. Na jego miejscu też by miała. A jednak... Pech? Coś się tutaj nie zgadzało. Dwie dziewczyny. Angie i Marlene. Jedna znika, druga umiera. Rzeźbiarka i modelka. A między nimi Michael Niklaus.

\*\*\*

Antonio Valli odprowadził Annę wzrokiem i ruszył w stronę łazienki. Powiedziała, że musi się przejść i pomyśleć. Dobrze wiedział, o co jej chodziło. Dopiero teraz dopuścił do siebie wszystkie obawy i wątpliwości. Nie spodobał mu się ten telefon ani treść wypowiedzi Chany Sullam. Najchętniej w ogóle nie wracałby do tego, co wydarzyło się w lutym, w Wenecji. Oczywiście – niczego nie żałował, bo przecież spotkał Annę, ale pozostałe wspomnienia nie należały do najprzyjemniejszych. Rozwiązali wprawdzie trudną sprawę, jednak sytuacja skomplikowała się na tyle, że Valli stracił pracę i z ulgą opuścił Wenecję. Później nastąpiły cztery oderwane od rzeczywistości miesiące, podczas których poczuł się dobrze z samym sobą, z innymi ludźmi i ze światem. Chwilami miał wrażenie, że może jeszcze być całkiem szczęśliwy, mimo całej swojej trudnej przeszłości. Oczywiście tęsknił za Włochami, Wenecją, w której mieszkał wiele lat, i Florencją, z której pochodził. Tęsknił za mieszkaniem na Corte Case Nuove w Santa Croce, jednej z weneckich *sestieri*, i za Stefanem – swoim nieodłącznym kompanem z policji. Chciał jednak zacząć wszystko od nowa, oczywiście z Anną, jeśli tylko ona również tego właśnie będzie chciała. I najlepiej w Helu. Spodobało mu się to miejsce. Czuł, że naprawdę mógłby zostać tutaj na dłużej, wpasować się w przestrzeń. Zająć czymś pożytecznym.

Właśnie. To było bardzo dobre pytanie. Nie zdążył udzielić sobie na nie odpowiedzi z dwóch powodów. Po pierwsze – przed kilkoma dniami ktoś do niego

zadzwoił. Po drugie – dziś nad ranem ktoś zadzwonił do Anny. O ile jednak o propozycji Chany Sullam rozmawiali od razu, o tyle tamta wcześniejsza sprawa wciąż pozostawała tajemnicą. Valli miał pewien sekret i czuł się jak oszust. A przecież sytuacja była w gruncie rzeczy jasna. Powinien po prostu o wszystkim powiedzieć Annie. Nie zrobił niczego złego, musiał jedynie wypełnić obowiązek względem bliskiej osoby. Najbliższej? Kolejne dobre pytanie, na które odpowiedzi szukał już od kilku lat. Zbyt wiele się przecież wydarzyło, by mogła być jednoznaczna. Obawiał się tylko rozłąki z Anną. Miał niejasne wrażenie, że było na to za wcześnie i że ona zbyt szybko się od niego odzwyczai, jeśli teraz na jakiś czas się rozstaną. A wyjechać tak czy inaczej musiał. Może najzwyczajniej w świecie powinien jej zaufać?

I tutaj pojawiał się kolejny problem, bo zadzwoniła ta szalona kobieta, która miała dwa nazwiska, handlowała kradzionymi diamentami, stała na czele wielkiej szajki, przeszła na złodziejską emeryturę, ale nadal budziła w szemranych typach posłuch i respekt. Z jakiegoś powodu uznała jednak, że najlepiej będzie poprosić o pomoc zupełnie nieznaną jej osobę. Pewnie. Dlaczego nie? Anna nadawała się do tego celu idealnie. Valli wiedział doskonale, że miała chęć pojechać do Wiednia, nie mogła sobie odpuścić, nie potrafiła powiedzieć „nie”. I była ciekawa, co się tam tak naprawdę wydarzyło. Jeszcze w Wenecji bardzo interesowała ją Chana Sullam, którą teraz wreszcie miała możliwość poznać. Nic dziwnego, że chciała skorzystać z tej okazji. Przyciągało ją do podobnych spraw. Jak powinien się zachować? Dać jej swoje błogosławieństwo? Zrobić awanturę? Oczywiście najlepiej byłoby pojechać razem z nią. Ale przecież nie mógł. Zdawał sobie aż za dobrze sprawę z tego, że jeśli Anna faktycznie zdecyduje się na podróż – uda się do Wiednia nie w jego towarzystwie. I od rana nieustannie się tym zadreślał. Musiał z nią porozmawiać. Nie wiedział, czego powinien się spodziewać. Złości? Krzyku? Obojętności i spokojnego przyzwolenia? To ostatnie trudno byłoby mu znieść.

Wziął prysznic, ubrał się i przetał rękami włosy, które w ostatnim czasie stały się jeszcze bardziej popielate. Zerknął na swoje odbicie w lustrze. Na chwilę opanował go dobrze znany lęk, że to wszystko jest tylko tymczasowe.

Prawie podskoczył, kiedy usłyszał dzwonek telefonu. Wysupłał komórkę z kieszeni bluzy i spojrzał na wyświetlacz. Poczł nieprzyjemną falę gorąca. Z niechęcią odebrał połączenie.

– Valli – mruknał, zupełnie niepotrzebnie.

– No to jak? – odezwał się kobiecy głos po drugiej stronie. – Kiedy przyjeżdżasz?

Claudia, jego była żona, zawsze wydawała się w stu procentach pewna siebie i nie znosiła odmowy. Teraz też nie miała najmniejszych wątpliwości, że Valli przyjedzie do Neapolu. Chodziło jej bardziej o to, by ustalić datę. Powstrzymał się od wygłoszenia jakiejś nieprzyjemnej uwagi. To nie był dobry moment.

– W przyszłym tygodniu – odpowiedział tylko i od razu się rozłączył.

Ponownie zerknął na swoje odbicie w lustrze. Znowu nie miał pojęcia, czy dobrze postępuje.



\*\*\*

Leon Woliński nie wiedział, dlaczego przyszedł akurat tutaj. Plan był zupełnie inny. Zamierzał udać się w przeciwną stronę, najlepiej... bardzo przeciwną. Pójść daleko stąd, w kierunku dzikiej plaży, usiąść na piasku i kontemplować morze. Zdawał sobie sprawę z tego, że plan nie jest zbyt ambitny ani też nie wniesie w jego życie nowej jakości. To samo robił przecież przez kilka ostatnich miesięcy. Był na wyspie Fuerteventura, gdzie morze widać prawie z każdego miejsca, a później na Sycylii. Również wyspie. Wcześniej natomiast pod wpływem impulsu i przepelniony, jak się szybko okazało, bezpodstawną nadzieją wybrał się do Wenecji. Tak, to też była w sumie wyspa. I wszędzie morze. Na dobrą sprawę powinna mu już obrzydnąć jego kontemplacja, ale Leon miał ostatnio gorszy moment w życiu, a szum fal pomagał ukoić nerwy. Wszystko inne zawodziło.

Przez chwilę łudził się, że jeśli pojedzie na Fuerteventurę i rzuci się w wir pracy, zrobi najlepsze zdjęcia w swojej karierze, po czym zorganizuje najświetniejszą wystawę, złe samopoczucie minie. Tak się jednak nie stało. Uznał więc, że czas na urlop. Taki prawdziwy – bo tego, co przeżył z Anką Lindholm w Wenecji, urlopem nie mógł nazwać. Prosto z Fuerteventury poleciał zatem na Sycylię, gdzie zamierzał spędzać czas samotnie. A już zwłaszcza trzymać się z daleka od pięknych Włoszek, które ni stąd, ni zowąd proponowałyby mu wspólny prysznic... Wciąż pamiętał Lucrezię Doldano, antykwariuszkę z Wenecji. Szybko zaczął podejrzewać, że kobieta ma nieczyste sumienie, a jednocześnie pozwolił, by owinęła go sobie wokół palca. Owszem, chciał się do niej zbliżyć i zdobyć jej zaufanie, ale Lucrezia poszła o krok dalej. Nie protestował. Później czuł się z tym dziwnie. Jak gdyby zawiódł Ankę. A przecież wcale tak nie było. Anka w ogóle się nim nie przejmowała. W Wenecji wreszcie to zrozumiał. Wolą tamtego komisarza, zupełnie obcego człowieka. Wybrała Włocha, a nie kumpla jeszcze z czasów dzieciństwa. A Leon przecież bardzo się starał. Zawsze był gotów jej pomóc. Przyjechał do choliernej Wenecji tylko dlatego, że wysłała SMS-a! Idiota.

Tak, Leon Woliński często wyzywał się w duchu od idiotów. Może i źle to wszystko rozegrał? Z drugiej jednak strony nie był w stanie zmusić Anki, by spojrzała na niego w inny sposób. Postanowił więc zerwać wszelki kontakt. Kiedy wyjechał z Wenecji, ona przez pewien czas próbowała jeszcze podtrzymać korespondencję, dzwoniła i wysyłała wiadomości. A jednak dystans między nimi zwiększał się z każdym dniem. Już w Wenecji nie było przecież za dobrze. Leon czuł się jak skończony dureń, kiedy wraz z Ingvarem Friskiem spędzali noc na karimatach rozłożonych w mieszkaniu komisarza Vallego. Frisk z pewnością miał podobne refleksje... Następnego dnia każdy z nich udał się w swoją stronę, Anka zaś została w Wenecji.

Wszystko się zmieniło, po raz kolejny zresztą. Leon wyjeżdżał z Wenecji z poczuciem zaprzepaszczony szansy. Anka znowu mu się wymknęła, a on na dodatek

nie był święty. Co o nim tak naprawdę myślała? Kiedy widzieli się po raz ostatni, wygłosiła ten dość tandetny tekst o „przyjaźni”, ale oboje wiedzieli, że istnieje pewna granica, po przekroczeniu której nie można już liczyć na przyjaźń. Anka właśnie taka była. Myślała, że życie można uporządkować, przypisując zjawiskom etykiety. Denerwowała go. Nie powinna była pisać tamtego SMS-a, a on nie powinien przyjeżdżać do Wenecji, wikłać się w dziwną relację z Lucrezią Doldano i jednocześnie liczyć ze strony Anki nie wiadomo na co. Kto postąpił gorzej? Kto miał większe prawo do popełnienia błędu?

Anka nie była wobec Leona w porządku. Przez chwilę nawet szczerze jej nie znosił. Na Fuerteventurze pił piña coladę w towarzystwie Margarity i Mariety, i czuł się prawie dobrze. Na Sycylii szwendał się sam po plaży i wsłuchiwał w prowadzone po włosku rozmowy miejscowych. Cieszyło go brzmienie południowego akcentu, tak innego od tego, który mógł przed czterema miesiącami słyszeć w Wenecji. Poczul ulgę. A później przyjechał do Polski, żeby odwiedzić rodziców, i okazało się, że Anka Lindholm jest w Helu. Akurat teraz. Kiedy zobaczył niewysoką sylwetkę Lempi przed kopcem Kaszubów, stanął jak wryty i zamknął oczy. Był pewien, że mu się przywidziała.

Naprawdę miał wtedy ochotę obrócić się na pięcie i uciec. Spakować się, wyjechać. Może nie był jeszcze gotów na powrót w rodzinne strony – w końcu dla niego to miejsce również wiązało się z różnymi, nie tylko przyjemnymi wspomnieniami. Towarzyszył Ance, kiedy wydarzyła się ta tragedia. Kiedy straciła męża. Wiedział, że miała pełne prawo nie do końca radzić sobie z życiem. Myślał o niej. Ona jednak nie myślała o nim. Sama dla siebie stanowiła centrum. Anka i jej problemy. Leonowi sporo czasu zajęło zrozumienie tej prostej w gruncie rzeczy prawdy. A jednak nie zdołał uciec przed Lempi. Zauważyła go, rozpoznała natychmiast i zaczęła szaleńczo machać. Podszedł więc, żeby się przywitać, jak przystało na przyzwoitego, kulturalnego człowieka. Później spacerowali przez chwilę razem po plaży i rozmawiali, trochę po angielsku, trochę po rosyjsku. Leon opowiedział jej o Fuerteventurze i Sycylii, a Lempi jemu o sprzedaży domu w Ystad, matce Anny, która nagle postanowiła zniknąć, Vallim, który niespodziewanie pokochał Hel, i instruktora tańców latynoamerykańskich, który okazał się skończoną świnią. Do języka angielskiego Finka miała z pewnością większy talent, niż on do szwedzkiego... Interesujący okazał się zwłaszcza ten fragment o matce Anny, która wyjechała nie wiadomo dokąd, i Vallim pałającym miłością do Helu. Leon miał nadzieję, że nie zamierzają przejąć interesu Bylińskiej i urządzić sobie tutaj nowego gniazdko. Czy Anka naprawdę byłaby w stanie wrócić na dobre w rodzinne strony?

To pytanie zadawał sobie nieustannie od dwóch dni. Może właśnie dlatego tutaj przyszedł? I tkwił teraz nieopodal Domu Morświna, nie wiedząc, co ze sobą dalej robić? Czy mógł być jeszcze bardziej żaloszny? Leon poczuł nagle ze zdwojoną siłą ogarniające go przygnębienie. Zaraz jednak otrząsnął się i stwierdził, że mimo wszystko, podświadomie, wybrał właściwą ścieżkę. Pójdzie do Anki. Przywita się, pokaże, że u niego wszystko świetnie. Z tym postanowieniem ruszył przed siebie i szybko dotarł na Rybacką. Zobaczył ją w chwili, kiedy wychodziła z domu i zakładała słuchawki na uszy. Widać ona, w przeciwieństwie do Leona, nie miała zamiaru wyciszać się przy szumie fal. Przystanął i uśmiechnął się. Jeszcze go nie dostrzegła, ale powinien przecież poćwiczyć

mięśnie twarzy.

\*\*\*

Kiedy wyszła z domu, mogła już przestać się uśmiechać. Musiała przyznać, że udawała przed Antoniem obojętność i dystans wobec tego, co powiedziała jej Chana Sullam. Denerwował się i niepokoił. Znała go na tyle, by od razu to dostrzec. I jednocześnie dziwiła się, że aż tak bardzo usiłował się odciąć od swojego dawnego życia, od rozwiązywania zagadek kryminalnych i tropienia przestępców. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie poczuł się tą sprawą zainteresowany w najmniejszym stopniu. Powinno przecież coś w nim jeszcze tkwić. Jakaś dawna, nie do końca wygaszona iskra, która kazała mu wstąpić w szeregi włoskiej policji. Ona sama... nie mogła przestać myśleć o Chanie. O jej wnuku i zamordowanej dziewczynie, która lubiła przywoływać słowa Almy Mahler. Dlaczego akurat ten cytat znalazł się na miejscu zbrodni? I w jakim celu? A swoją drogą... czy mordercy naprawdę zawsze musieli kogoś cytować? Nie mogli wymyślić czegoś sami? Anna wiedziała, że w większości przypadków takie cytaty stanowiły ślepy trop. Sprawcy chcieli w ten sposób zatrzeć ślad, skomplikować sprawę, przysporzyć śledczym dodatkowej pracy, bo przecież trzeba sprawdzić wszystko. Bywało też tak, że cytaty faktycznie coś oznaczały i okazywały się ważnymi wskazówkami, które mordercy zostawiali policji z sobie tylko znanych powodów. Ona sama również dostawała kiedyś takie wskazówki... Potrząsnęła głową i wetknęła na uszy słuchawki. Nie wiedziała, co robić. Wciąż miała przed oczami twarz zaniepokojonego Antonia, a w uszach brzmiał jej niski i zachrypnięty głos Chany Sullam. Martwa dziewczyna, upozowana jak modelka z obrazu Oskara Kokoschki... Anna lubiła takie zagadki, jeżeli w ogóle można było użyć tego słowa w odniesieniu do morderstw. A jednak coś ją w tej sprawie bardzo zaintrygowało. Nawet jeśli dostawała mdłości na myśl, że znowu będzie miała do czynienia z neurotycznymi artystami, sfiksowanymi na punkcie własnej sztuki. Tacy często mieli problem z właściwym odbieraniem otaczającej ich rzeczywistości i zaczęli zachowywać się dziwnie. Choć oczywiście oni sami woleli używać słowa „ekscentrycznie”. Anna wiedziała aż za dobrze, że ze zbrodni również można uczynić dzieło artystyczne.

Wyszła przez ogród na drogę i skierowała się w stronę plaży. Wsluchiwała się w głos Bono, który śpiewał o tym, że jeszcze ciągle nie znalazł tego, czego szuka. Czuła dziwny przypływ adrenaliny. Wiedziała, że mogą z tego wyniknąć jedynie kłopoty i... Uniosła głowę i zatrzymała się gwałtownie. Stało się. Kiedyś musiało. Lajon. Był tu. Stał przed nią i uśmiechał się sztucznie, tak sztucznie, jak chyba jeszcze nigdy. Przełknęła ślinę i zdarła z uszu słuchawki. Nie wcisnęła pauzy i wciąż słyszała w tle cichy wokół Bono. Nie wiedziała, co powiedzieć. Zbyt wiele się między nimi wydarzyło, żeby wysilić się na

jakaś kurtuazyjną, nic nieznaczącą bzdurę.

Leon, nadal uśmiechnięty od ucha do ucha, zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę.

– Ściąłś włosy – powiedział.

Instynktownie złapała w palce kosmyk. Faktycznie, teraz jej włosy sięgały obojczyków. Skinęła głową.

– Pasuje ci. Wyglądasz jak dwudziestolatka.

Patrzyła na niego bez słowa. Dlaczego dla Leona to było takie łatwe? Dlaczego mówił ze swobodą, uśmiechał się i zdobył się na tę uwagę o włosach? Zapomniał już o tym, co razem przeszli? O Wenecji? O Lucrezii Doldano? Przecież Anna rzuciła się w wody laguny, bo myślała, że Leon leży nieprzytomny w łódce. Jego włoska kochanka okazała się złą kobietą. Zapomniał o tym?

– Dziękuję – mruknęła wreszcie.

– Nie ma za co.

Poczuła delikatny przypływ irytacji.

– Co u ciebie? – rzuciła nagle. Skoro bawił się w kurtuazyjne frazesy, ona nie zamierzała pozostać dłużna.

– Wszystko w porządku – odpowiedział. Za szybko.

Anna zrobiła krok do tyłu i zlustrowała go od stóp do głów. Wszystko zrozumiała. Leon był naprawdę kiepskim aktorem, mimo że bardzo się starał. W pierwszym odruchu chciała od razu zakończyć tę grę, może nawet z niego zakpić. Powstrzymała się dzięki jednemu wspomnieniu, które na krótką chwilę wbiło się ostrym klinem w jej myśli. Różowy świt nad Wenecją, zapach mokrych kamieni i sylwetki dwóch mężczyzn. Twarze dwóch mężczyzn. Na jednej wyraz rezygnacji i smutnego zubożenia. Ta należała do Ingvara. Na drugiej wyraz rozczarowania, pretensji i poczucia porażki. Ta należała do Leona. A może wymyśliła sobie to wszystko? Przypisywała Leonowi refleksje, które wcale nie były jego udziałem? Może podświadomie chciała, żeby to wszystko czuł? A on tymczasem dał sobie radę ze wspomnieniami, ruszył do przodu, poukładał jakoś swoje sprawy i zdołał zapomnieć o Helu i Wenecji? Nie, nie zapomniał... Widziała to wyraźnie, teraz, kiedy przed nią stał i nie przestawał się uśmiechać. I coś jeszcze dostrzegła. Dramatyczną próbę zmanifestowania siły. Potrzebował tego. Udowodnienia, że ma kontrolę nad sytuacją. Przemogła się więc i zrezygnowała z uszczypliwej uwagi, którą już zamierzała wygłosić. Zamiast tego również się uśmiechnęła.

– No to się cieszę – powiedziała tylko i wiedziała, że zabrzmiało to nieco niezdarnie.

Dziwne, jaka przepaść może czasem otworzyć się między ludźmi, którzy niegdyś byli sobie bliscy. To jej wina? Przeszła z nogi na nogę, wsunęła dłoń do kieszeni, wyszukała na iPodzie odpowiedni guzik i wyłączyła muzykę. Bono ze swoim szukaniem tego, czego jeszcze nie znalazł, zaczął jej działać na nerwy.

– Piękna pogoda – dorzuciła.

Z trudem powstrzymała się przed tym, by nie przewrócić oczami. Była żalosa w swoich próbach pokazania, że wcale nie czuje się niekomfortowo. Leon zerknął w niebo i pokiwał głową. Należało chyba zakończyć jakoś ten tandetny teatrzyk.

– Tak, cały czerwiec ma być bardzo ciepły. Do Helu powoli zaczynają już

zjeżdżać...

Anna nie była w stanie dłużej tego znosić. Podeszła do Leona i objęła go mocno. Czowała, że spał się i wstrzymał oddech. Po chwili przygarnął ją do siebie nieporadnie, jak gdyby w ogóle się nie znali. Wiedziała, że stoją w pobliżu domu na Rybackiej i ktoś może ich zauważyć. Któryś z gości, Lempi albo Toni. Przed tym ostatnim musiałaby się gęsto tłumaczyć, choć on z pewnością nie zadałby nawet jednego pytania wprost. Po prostu patrzyłby, rzucał półsłówka i... No trudno, musiała zaryzykować. Musiała to zrobić. Ogarnął ją nagle żal, kiedy tak patrzyła na sztucznie uśmiechniętego Leona, na nędzne próby zachowania twarzy i udawania, że nic nigdy się między nimi nie wydarzyło. Chyba była mu coś winna – coś więcej niż tylko głupawe SMS-y, zdawkowe e-maile i nic nieznaczące zdjęcia, którymi usiłowała określić tę relację. Może i Leon obiecywał sobie za wiele, ale Anna również nie raz zachowywała się dwuznacznie. I tak miał do niej anielską cierpliwość. Poza tym musiał w jakiś sposób odchorować Wenecję. Każdy by odchorował. Nie wierzyła w to, że przynajmniej od czasu do czasu nie myślał o Lucrezii Doldano. Teraz rozluźnił się odrobinę i spuścił głowę, tak że czołem niemal dotykał jej ramienia. Nie odsunęła się. Obejmowała go nadal i sama również zaczęła oddychać spokojniej.

– Anka... – powiedział cicho.

– Co?

– Nie... Nic.

Gardło ścisnęło jej się na chwilę. To wszystko nadal się działo. Niczego za sobą nie zamknęła, żadnych drzwi do przeszłości. Może minęło za mało czasu? A może minęło go wystarczająco dużo, by zacząć naprawiać własne błędy? Leon odsunął ją od siebie delikatnie i cofnął się o krok. Ponownie się uśmiechnął, ale tym razem już nie sztucznie, tylko po swojemu, krzywo, lekko ironicznie. Odetchnęła z ulgą. Nawet jeśli wiedziała, że ten uśmiech nie mógł zastąpić wyjaśnień i rozmowy, na którą teraz nie miała siły.

– Muszę uważać, bo jeszcze dostanę po pysku – odezwał się i zerknął na dom.

Jak zwykle próbował obrócić wszystko w żart i teraz był sobą. Zachowywał się jak Lajon, którego znała. Tym razem jednak nie zamierzała pozwolić, by śmieci zostały zamiecione pod dywan. Musiała mu kilka rzeczy wytłumaczyć, musiała... sama się przed nim wytłumaczyć. Poczowała się nagle bardzo zmęczona. Telefon Chany Sullam wyrwał ją ze snu, zdenerwował i nie pozwolił już nawet na chwilę skierować myśli na inne tory. Obejrzała się przez ramię. Dom wciąż jeszcze wydawał się ogarnięty poranną ciszą. Spojrzała ponownie na Leona.

– Przejdziemy się na plażę? – zapytała.

Sprawa miała wrażenie zaskoczonego, ale szybko się zgodził. Kiedy zeszli na piasek i stanęli przy brzegu, obrócił ją nagle ku sobie i powiedział:

– Anka, ty znowu kombinujesz coś głupiego. Przecież widzę. Lepiej zacznij mówić. Miejmy to za sobą.

Coś głupiego? Nawet sobie nie wyobrażał, jak bardzo. Anna poczuła się nagle dość osobliwie. Nie potrafiła dokładnie zdefiniować tego wrażenia, ale chyba... się ucieszyła. Z tego, że on tu był.

## Rozdział 5

Minęła cała doba, odkąd Chana Sullam zadzwoniła do Anny Lindholm. Polka milczała. Chanie przyszło nawet do głowy, że się wygłupiła. Stara, a durna. Chyba rzeczywiście dziecinniała. Do tej pory tylko chwilami miewała takie wrażenie. Zdarzały jej się drobne zaniki pamięci i momenty złego samopoczucia, ale przecież osiągnęła słuszny wiek. Nie mogła się łudzić, że ciało i rozum będą jej służyły bez zarzutu aż do grobowej deski. Dlatego też wycofała się z biznesu, pozamykała swoje sprawy i zaszła się w zacisznym miejscu, kiedy już wysłała Ronsarda do Wenecji. A ten idiota dał się tam zabić... Wystarczyło spuścić go z oka, dać wolną rękę i wyzwolić w nim poczucie działania poza wszelką kontrolą. Ronsard zawiódł w roli szefa. Nie potrafił kierować ludźmi, nie radził sobie z planowaniem i odpowiedzialnością, podjął szereg błędnych decyzji i zbyt łatwo dawał się ponieść emocjom. Nie powinna czuć się zaskoczona. Wielu ginęło w głupi sposób, kiedy dawała im wolną rękę. No cóż – nie mogła sprawować pieczy nad wszystkim. I tak miała wrażenie, że każdą ważniejszą transakcję nadzorowała sama, brała pełną odpowiedzialność za przedmioty i ludzi, którzy nimi handlowali. Nigdy do końca nie zrozumiała, dlaczego tak jej słuchali. Wysokiej, chudej kobiety, której jedyną poważną bronią była nieprzeciętna inteligencja. Może dlatego, że o nich dbała? O wszystkich, którzy pozostawali lojalni i okazywali się na tyle mądrzy, by nie dać się zabić.

Chana zrobiła w swoim życiu wiele złych rzeczy i chyba właśnie teraz los zaczął się na niej mścić. Z drugiej jednak strony w świecie, w którym przyszło jej żyć, nigdy nie poczuła się tak do końca komfortowo. Każdego dnia płaciła wysoką cenę. Stres, telefony przez całą dobę, niepokój o nieudane transakcje i nieustanne oglądanie się przez ramię w obawie, czy ktoś wreszcie nie wpadł na jej trop. Nie rozpracował Saskii Verbeek. A zresztą... raz przecież tak się stało. Saskia Verbeek trafiła do więzienia, ale szczęśliwie – tylko na pięć lat. Nie zdołano udowodnić jej wszystkich postawionych zarzutów. W areszcie obiecywała sobie poprawę, skończyła studia prawnicze i ekonomiczne, nie wychylała się, zachowywała poprawnie. A kiedy wyszła na wolność, byli „pracownicy” od razu się do niej zgłosili. Czekali przez całe pięć lat. Chana prawie ich wyśmiała. Nie umieli wykorzystać sytuacji, zagarnąć czegoś dla siebie, a potem zacząć żyć jak przykładni obywatele Belgii. Byli lojalni do bólu i trwali w gotowości na jej rozkazy. Dlaczego? Nie potrafiła tego pojąć. Ale co miała robić? Zaczęła od początku, lepiej, ostrożniej, na większą skalę. Wszędzie miała swoich ludzi, także w policji i wśród polityków. Gdyby Ernsta aresztowano w Belgii albo chociaż w Holandii... Gdyby! Ernsta nie aresztowano ani w Belgii, ani w Holandii, i Chana musiała jakoś sobie z tą sytuacją poradzić. Była na nie swoim terenie, a poza tym od pewnego czasu przebywała przecież z dala od „zgiełku”. Nie mogła za bardzo rzucać się w oczy. Nie wiedziała, do kogo się zgłosić. Nie chciała też wykorzystywać swoich dawnych kontaktów, żeby nikt nie odebrał tego dwuznacznie. W jej świecie wdzięczność zawsze przekładała się na konkretne gesty i czyniła człowieka czyimś niewolnikiem. A Saskia Verbeek była już na to za stara. Zniknęła. Odeszła. Chana Sullam natomiast była tylko starszą panią, która martwiła się o swojego wnuka.

Ernst. Że też akurat on musiał się w coś takiego wpakować. Od dziecka inwestowała w niego pokaźne sumy, łożyła na edukację, utrzymanie, narzędzia rzeźbiarskie, kolejne kursy, kupiła mu nawet to cholerne mieszkanie, w którym znaleziono martwą dziewczynę. Sugerowała, by wybrał raczej Londyn albo Paryż, ale on uparł się na Wiedeń. Zgoda, Wiedeń, pomyślała wreszcie, ostatecznie – co za różnica? Ona sama zazwyczaj dziwnym trafem omijała to miasto, zarówno pod względem turystycznym, jak i „zawodowym”. I akurat tutaj musiał... musiało się zdarzyć to wszystko! Myśli Chany dziwnie się układały. Wciąż miała wrażenie, że Ernst faktycznie coś zrobił, że zrobił coś okropnie głupiego, z zupełnie niewiadomych powodów, a teraz nie potrafił sobie z tą sytuacją poradzić. Ale przecież on utrzymywał, że jest niewinny. Nie zabił tej dziewczyny. Kiedy ją znalazł, już nie żyła, załamał się, uklęknął, rozbeczał się i został tak, aż wreszcie weszła Ulrike Seinfeld, sprzątaczką. Ciągłe to powtarzał. A jednak Chanie coś w tej opowieści nie pasowało. Wszystko było jakieś dziwne. Przede wszystkim sama zbrodnia. Dziewczyna z podciętymi żyłami, upozowana jak modelka z obrazu Oskara Kokoschki. Trąbiły już o tym wszystkie media, choć rzecznik prasowy policji udzielił jedynie zdawkowych wyjaśnień. Chana nie wiedziała, czy przeprowadzono już autopsję, ale była niemal pewna, że poza podciętymi żyłami coś jeszcze znaleźli. I skąd od razu to przekonanie, że chodziło akurat o jeden z obrazów Kokoschki? Kto jako pierwszy zaczął o tym mówić? I dlaczego? Przecież poza tej dziewczyny mogła wydawać się całkiem normalna i nie budzić żadnych skojarzeń z malarstwem. Chyba że porównanie nasunęło się samo pod wpływem notki z cytatem. Alma Mahler. „Poślubię cię, kiedy stworzysz arcydzieło”. Alma kierowała to zapewnienie do Kokoschki, kiedy pozostawali w swoim niby-związku, niepewnym i osobliwym. Kobieta miała w ten sposób mieć malarza, trzymać go przy sobie, choć nie zamierzała tak naprawdę wiązać się z nim na poważnie. A jak było z Ernstem i Marlene? Chana dałaby wiele, żeby poznać fakty. Ale z tego, co mówili jej wnuk i młoda sprzątaczką, niewiele rozumiała. Od domysłów i obaw bolała ją głowa. Ernst nie mógł trafić za kratki. Nikogo poza nim już nie miała. I tylko z niego była bez reszty dumna. Ernst, jej chluba, największy sukces. Jeśli trafi do więzienia, to będzie tak, jak gdyby się już wszystko skończyło. Nadzieja i sens. Cel życia. Chana mogła swego czasu trafić za kratki. Przyjęła to prawie bezrefleksyjnie, dzielnie, nie skarżyła się na swój los. Mogła odsiedzieć wyrok, wyjść na wolność i zacząć od nowa. Ale nie on. Chana miała nieczyste sumienie i zasłużyła na to, co ją spotkało, a nawet i jeszcze więcej. Ale Ernst? On był uczciwy i ciężko pracował na swój sukces. Na pewno nie zrobił niczego złego.

Anna Lindholm milczała, a Chanie powoli puszczały nerwy. Celowo zadzwoniła właśnie do niej. Wybrała ją, bo wiedziała, że się zgodzi. Miały przecież razem jakąś wspólną historię. Poza tym Chana od jakiegoś czasu obserwowała Annę. Monitorowanie jej życia okazało się bajecznie proste, zwłaszcza przez ostatnie tygodnie. Wystarczyło wysłać na Hel dwójkę sympatycznych holenderskich gejów, którzy lubowali się w świeżo wyciskanych sokach... I co się okazało? Jakiś pensjonat, jakieś małe miasteczko. Jakiś Włoch, który snuł się za Lindholm aż z Wenecji i sam nie wiedział, co dalej robić ze swoim życiem. Jakaś dziwna kucharka z Finlandii. Jak długo można takie coś wytrzymać? Lindholm nie była może najsprawniej działającą policjantką na świecie, za

często dawała się ponieść emocjom i wydawała się okropnie egocentryczna, a jednak jakimś cudem dochodziła do sedna. Chana dowiedziała się już o tym wcześniej, kiedy nieoczekiwanie na jej drodze stanął Luigi Marconi. Wtedy właśnie po raz pierwszy usłyszała o Annie. Fakt, że rozpracowała tę historię z diamentami ukrytymi w obrazie, bardzo Chanie zaimponował. Bardzo... A jeszcze bardziej to, że chciała, by kamienie wróciły do prawowitej właścicielki. Lindholm miewała przebłycki geniuszu. I nie była uprzedzona do Ernsta. W ogóle go nie znała. Chana miała pewność, że ta kobieta mogłaby jej naprawdę pomóc. Już raz to przecież zrobiła i to z własnej woli. Tylko najpierw musiała oddzwonić. Obiecała. Powiedziała, że się namyśli.

Chana zerknęła na zegarek. Szósta trzydzieści. A zatem minęła już doba i pół godziny, odkąd zadzwoniła do Anny Lindholm.

\*\*\*

Thomas Ebeling, emerytowany komendant wiedeńskiej policji, odłożył gazetę i w zadumie podrapał się po brodzie. Z niechęcią spojrzął w stronę komputera. W komputerze był internet, a w internecie więcej wiadomości. Gazeta, tymczasem, była tylko jedna. I jeden również artykuł na temat śmierci Marlene Sachs. Ebeling nie znał tej dziewczyny, ale słyszał trochę o Ernście Bauerze. Interesował się sztuką nowoczesną, zwłaszcza rzeźbą, i jedyne, czego naprawdę w życiu żałował, to tego, że nie było go stać na kupno porządnego, oryginalnego dzieła. Kopii i reprodukcji nie uznawał, dlatego też w jego domu na ścianach nie wisiało nic. Regały natomiast uginały się od przeróżnych katalogów, książek o tematyce artystycznej, studiów z historii sztuki i biografii znanych twórców. Ebeling znał się na rzeczy. Kiedy pracował w policji, zawsze garnął się do takich spraw, w których mordercy działali jak artyści. To było niebezpieczne i chore, a zarazem fascynujące. Tutaj natomiast, w wypadku nieszczęsnej Marlene Sachs, miał... p r z e c z u c i e. Wiedział jednak, że póki co nie może zbyt popuścić wodzy fantazji. Za mało miał informacji. Artykuł zamieszczony w gazecie wydawał się jednostronny i zdawkowy. Tak, tak – w sieci na pewno znalazłby coś jeszcze. To było zdecydowanie łatwiejsze rozwiązanie niż spacer do kiosku po kolejną gazetę. Po wszystkie dostępne gazety. Bo przecież należałoby zapoznać się z każdą perspektywą. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia! Ta zasada sofistów zawsze Ebelingowi bardzo odpowiadała. Tak, tak... Powinien się przemóc. Nie znosił sieci, a jednak musiał od czasu do czasu jakoś się do niej ustosunkować. Teraz dla wszystkich najważniejszym źródłem wiedzy był internet. Ebeling cieszył się, że zakończył służbę, zanim szaleństwo na punkcie elektroniki sięgnęło zenitu. Kiedyś trzeba było się niezłe nachodzić, by zdobyć potrzebne informacje i namierzyć osoby podejrzane o dokonanie przestępstwa, dowiedzieć się, gdzie mieszkają, pracują, co lubią robić w wolnym czasie i z kim pozostają w bliskich



relacjach. A teraz? Prawie każdy miał konto na Facebooku, gdzie zamieszczał zdjęcia porannej kawy i rogalików.

Wstał z kanapy i ostrożnie zbliżył się do biurka. Włączył komputer. No dobrze, Google.

– Co robisz? – wybrzmiał głos tuż przy jego uchu. Ebeling podskoczył i poczuł ucisk w skroniach. Oczywiście, ciśnienie! Miał się nie denerwować, żyć spokojnie i zdrowo, stąd ten pomysł z wcześniejszą emeryturą. Stres i ciągle napięcie prowadziły do problemów z sercem, a to ostatnie nieco Ebelingowi szwankowało. Nie miał wyboru. Jeśli chciał jeszcze trochę pożyć, musiał, jak to mawia młodzież, „wyluzować”. Spojrzał z wyrzutem na swoją żonę i spochmurniał.

– Chcesz mnie zabić? – mruknął.

– Nie opłaca mi się, nic bym po tobie nie odziedziczyła – odbiła piłeczkę jego młodsza o dwadzieścia lat małżonka. – Chyba że to mieszkanko na Klostergasse, które tylko niepotrzebnie zbiera kurz – dodała po chwili.

Obrócił się w stronę Diane. Miała rację. Nie opłacało jej się. Ebeling otrzymywał wprawdzie niezłą emeryturę, ale nie zgromadził żadnych oszczędności. Już dawno zrozumiał, że Diane nie związała się z nim dla pieniędzy. Przez chwilę dokładnie przyglądał się jej twarzy, jak gdyby podziwiał rzeźbę. Wokół oczu i ust Diane pojawiły się już wyraźnie pierwsze zmarszczki, ale wciąż zadziwiała swoją niezwykłą urodą. Miesiąc temu obchodziła czterdzieste piąte urodziny i od tego czasu uparcie nazywała się „starą”. Chyba tylko po to, żeby zrobić mu na złość. Oderwał od niej wzrok i ponownie spojrzał na ekran komputera.

– Czytasz o tym morderstwie? – zapytała i przeciągnęła się jak kotka.

– Nie prowadzisz dzisiaj zajęć?

– Prowadzę, o jedenastej. Dopiero ósma, mam jeszcze mnóstwo czasu.

– Nie musisz się przygotować?

– Thomas! Ty chcesz się mnie pozbyć.

– Gdzie tam.

Diane zamachała mu dłonią przed nosem i chcąc nie chcąc musiał przerwać lekturę artykułu, który dopiero co otworzył. Z zakłopotaniem zmierzwił swoje długie, siwiejące włosy. Wiedział, że żona będzie się czepiać.

– Nie za bardzo to wszystko rozumiem – oznajmiła i przysiadła na biurku.

Thomas milczał. Wiedział, o co jej chodziło, dlatego pozwolił, by mówiła dalej. Potrzebowała zrobić swój standardowy wstęp.

– Ciągle powtarzasz, jak to dobrze, że już nie musisz uganiać się za zwyrodniałymi psychologami.

– Mhm.

– Właśnie. Że teraz ci się w końcu dobrze żyje i kiedy patrzysz na człowieka, to już się nie zastanawiasz, czy byłby zdolny kogoś zamordować i w jakich okolicznościach.

– Mhm.

Z tym ostatnim to nie była do końca prawda...

– A jednak, jakimś cudem, od czasu do czasu, zdarza się coś takiego, że stajesz się zupełnym imbecylem.

– Nie imbecylem, tylko osobą co najwyżej nadmiernie ciekawą. Może trochę wścibską. Imbecyl to...

– Wiem, kto to jest imbecyl! – przerwała mu zirytowana. – I jesteś nim, bo zachowujesz się tak, jakbyś zupełnie nie rozumiał, co do ciebie mówię.

To też nie była prawda. Rozumiał świetnie, po prostu dobrze udawał. Ale nigdy nie powiedziałby tego głośno.

– Mhm – mruknął tylko.

– Otóż to! – Diane była w swoim żywiole. – Raz na jakiś czas masz ten dziwny błysk w oku i nie umiesz odpuścić. No i co ci to dało? Jak dotąd?

– Pomogłem...

– Komu pomogłeś? Przecież i tak każdą z tych spraw prędzej czy później rozwiązałyby bez twojego udziału.

– Nie wiadomo.

– Masz nieco zbyt wysokie mniemanie o sobie. Ale dobrze, co my tam mieliśmy ostatnio?

– Diane...

Wiedział, co zaraz powie. Wywlecze tę jedną, jedyną sprawę, którą Thomas bardzo się zainteresował, ale w której rozwiązaniu nie pomógł w najmniejszym stopniu. Trudno mu było prowadzić swoje małe prywatne śledztwo z Wiednia, a nie miał żadnego sensownego powodu, by pojechać do Szwecji. Bo niby po co? I tak posunął się już wystarczająco daleko, kiedy skontaktował się z tamtym nadkomisarzem z Ystad. Chciał pomóc. Myślał, że bez niego nie dadzą rady... A przecież dali i wyszło im to całkiem nieźle. Thomas Ebeling jednak nie był najbystrzejszym śledczym zachodniej Europy. Cud, że nadkomisarz z Ystad, Ingvar Frisk, nie zareagował gwałtowniej na jego natarczywość, nie zrobił awantury i nie kazał mu się odczepić. Zawarli nawet całkiem sensowną, korespondencyjną znajomość. Friskowi zdarzało się korzystać z doświadczenia i wiedzy Thomasa, ale sprawę Narcyza rozwiązał bez jego pomocy. A raczej nie on rozwiązał, tylko tamta policjantka, która później zrezygnowała ze służby. Nie mógł przypomnieć sobie jej nazwiska.

– Thomas! Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Hm? – ocknął się i zamrugnął powiekami.

– Nie słuchałeś! Wiedziałam.

– Przepraszam – wydukał skruszony. Nie było sensu udawać przed Diane.

– Co ci się znowu stało w tę głowę? I dlaczego? Bo chodzi o jakiegoś rzeźbiarza? Ebeling ożywił się nieco.

– Tak. Też dlatego. Ale pomyśl tylko. Dziewczyna zamordowana w pracowni rzeźbiarza. Jego modelka. Wcześniej, jak pisze ten dziennikarz, pozostawali w burzliwej relacji, ona odeszła do innego rzeźbiarza...

– Wiem, do Michaela Niklause. Byliśmy niedawno na jego wystawie – wcięła się Diane i ziewnęła.

– Skąd wiesz, że do niego?

– Ja też czytuję prasę. No dobrze, ta rozmowa niewiele wnosi. Rzeczywiście, przejrzyj sobie internet, bo w gazecie nic sensownego nie napisali. W sieci zresztą też

rewelacji nie ma. Jak dla mnie wieje nudą. Facet był chorobliwie zazdrosny, a babka miała ewidentny problem z rzeźbiarzami i powinna poszukać sobie chłopca z innej branży. No ale teraz już na to za późno. Zobaczysz, policja szybko się z tym uwinie. Nie rozumiem, dlaczego aż tak zaciekawiła cię właśnie ta sprawa.

– Sam nie wiem.

Diane skrzywiła się i pokręciła głową. Mimo całej tej cholerycznej natury miała jednak dużo cierpliwości dla swojego nie zawsze logicznie zachowującego się męża. Zeskoczyła z biurka i poczłapała w stronę łazienki.

– Może lepiej sobie pójdę. Nie chcę nawet na to patrzeć. Zaraz zaczniesz się ekscytować jak smarkacz w Disneylandzie. Tylko proszę cię, nie bądź wobec nikogo za bardzo upierdliwy – powiedziała jeszcze i zniknęła za drzwiami.

Po chwili Ebeling usłyszał szum wody. Poczował ulgę. No dobrze... A zatem jeszcze raz. Coś nie dawało mu spokoju w związku z tym artykułem, Bauerem i Niklausem. Coś sobie też przypomniał, ale nie miał pojęcia, na ile było to ważne. Przez chwilę tępo wpatrywał się w napis „Google”, po czym otworzył kilka okien i kolejno wpisał w wyszukiwarce nazwiska. Ernst Bauer. Michael Niklaus. Marlene Sachs. I wreszcie... Angie Hamilton.

\*\*\*

Inge Altman przemierzała wolno kolejne alejki Zentralfriedhof. Czekał ją fatalny dzień. Po pierwsze – musiała po raz kolejny spotkać się z Niklausem w sprawie wystawy, a wiedziała, że artysta był w złym stanie ducha. Rozumiała go. Przeżywał śmierć Marlene i miał do tego prawo, choć jak na jej gust za bardzo robił z siebie widowisko. Wydał nawet specjalne oświadczenie dla prasy. Inge wydawało się, że gdyby ona straciła kogoś tak bliskiego, zareagowałaby zupełnie inaczej. Zamknęłaby się w czterech ścianach z flaszką czegoś mocniejszego i kilkoma paczkami papierosów, płakałaby w samotności, rzucała w pustkę pytanie „dlaczego?” i również myślałaby o śmierci. Wszyscy prawdziwi wiedeńscy myślą o śmierci i większość nie zdaje sobie z tego sprawy. A jednak... Inge nie miała nikogo bliskiego. Co mogła wiedzieć? Nie potrafiła nawet pocieszyć Niklausa. Postanowiła po prostu przeczekać ten fatalny moment i liczyć na to, że wkrótce wszystko wróci do normy. Były jeszcze dwa inne problemy, z którymi musiała się zmierzyć. Otóż Niklaus miał się stawić na spotkanie w Phantastemuseum tuż po wizycie na policji, gdzie zamierzano zadać mu jeszcze kilka pytań. A to oznaczało, że przyjdzie wściekły, będzie rzucał na prawo i lewo „kurwami”, po czym zapewni, że on już „za chuja nic nie wyrzeźbi” i mają mu dać spokój. Inge świetnie potrafiła sobie tę scenkę wyobrazić. No i na koniec wreszcie – w spotkaniu z Niklausem miał wziąć również udział Rudolf Steinbeck. Prawie namówiła go, żeby zainwestował w wystawę. Prawie. To spotkanie

miało być decydujące. Po prostu pięknie.

Zatrzymała się w zacienionej alejce i skrzywiła na widok paskudnego pomnika. Oczywiście wiedziała, że był paskudny tylko jej zdaniem. Wielu się nim zachwycalo. Wielu uważalo, że to objawienie, zupełnie nowy trend w sztuce funeralnej. Nie rozumiała ich. Obrzuciła krytycznym spojrzeniem wyrzeźbionego w kamieniu dwugłowego orła, który miał być chyba wariacją na temat tradycyjnego godła Habsburgów. Zdawała sobie sprawę z tego, że profesor Steinbeck zostawił testament, w którym nakazywał, by jego nagrobek zaprojektował Ernst Bauer, ale doprawdy... Takie coś? Czy profesor rzeczywiście czuł się teraz usatysfakcjonowany, gdziekolwiek się znajdował? A może właśnie o to mu chodziło? O wzbudzenie konsternacji po raz ostatni. Zza grobu. Inge, mimo całego obrzydzenia, które budziła w niej dwugłowa maskara, musiała przyznać, że było to najmniej zachowawcze dzieło w rzeźbiarskiej karierze Bauera. Akurat nagrobek! Też coś? Kto wie? Może właśnie w tę stronę Ernst powinien skierować swoje artystyczne ambicje?

Pochyliła się nad płytą i postawiła na niej dwa znicze. Przez chwilę wpatrywała się w małe płomyczki, aż rozboleły ją oczy. Profesor Steinbeck. Taka głupia, niepotrzebna śmierć. Głowa rozbita na cholernych kafelkach. A później jego bratanek panoszący się w domu, do którego nie pasował. I w świecie, do którego również nie pasował. Że też musiała mu się teraz podlizywać... Inge pokręciła głową i ponownie zerknęła na dwugłowego orła. Z jakiegoś powodu poczuła się nagle nieswojo. Przypomniały jej się tamte oskarżenia, które kilka studentek Akademii Sztuk Pięknych skierowało pod adresem profesora Steinbecka. Molestowanie seksualne. Nie wierzyła im ani ona, ani nawet policja, która z braku dowodów patrzyła na skargę dziewczyn przez palce. Chyba tylko władze uczelni naprawdę się tym wszystkim przejęły. Niepotrzebnie, bo dziewczyny wkrótce wycofały oskarżenia. Mimo to profesor i tak wyleciał z uczelni, a one zdobyły dyplomy i... Właśnie. To „i” stanowiło problem. Inge dowiedziała się, że krótko po tamtych wydarzeniach jedna z dziewcząt popełniła samobójstwo. Danni Fritz. Jedna. A było ich cztery. Co się stało z pozostałymi? Nagle poczuła ogromną potrzebę znalezienia odpowiedzi na to pytanie. Tylko w jakim celu? Teraz to przecież nie miało już żadnego znaczenia. Powinna zająć się innymi sprawami, bieżącymi i naglącymi, a jeśli poczuła chęć wykonania jakiejś pseudodetektywistycznej roboty, mogła pogrzebać w biografii Marlene Sachs. Tylko znowu – po co? Co ją to wszystko mogło obchodzić?

Inge przypomniała sobie nagle, że przecież tamta dziewczyna, Danni Fritz, studentka Steinbecka, która oskarżyła go o molestowanie, a później popełniła samobójstwo, także została pochowana na Zentralfriedhof. Tylko gdzie? To był przecież, do ciężkiej cholery, drugi co do wielkości cmentarz w Europie. A jednak, skoro Inge już tutaj przyjechała, mogła się rozejrzeć. Tylko, po raz kolejny – po co? Obróciła się wokół własnej osi i oparła dłonie na biodrach. Nie, rozglądanie się nie miało najmniejszego sensu. Musiała zapytać kogoś o drogę. Gdzieś tu jest przecież biuro. I mapka...

Kiedy przed oczami zamajaczyła jej potężna sylwetka kościoła pod wezwaniem Karola Boromeusza, miała już serdecznie dość tego spaceru. Słońce świeciło wściekle mimo wczesnej pory, a powietrze stawało się duszne. Będzie burza, przeszło jej przez myśl. Roześmiała się głośno. Na szczęście nie było tu nikogo, kto mógłby uznać Inge za

wariatkę. Burza, też coś! Przystanąła przed bryłą kościoła i westchnęła ciężko. I wtedy właśnie pomyślała, że jest skończoną idiotką. Czego właściwie szukała? Jakiegoś biura? Informacji cmentarnej ukształtowanej na podobieństwo informacji turystycznej? No pewnie, coś takiego musiało przecież tutaj być, a jednak o wiele sensowniejszym działaniem byłoby zajrzenie najpierw do internetu... Inge zaklęła pod nosem i sięgnęła do torebki po telefon. Weszła do sieci i wpisała adres friedhofewien.at. Oczywiście, jakżeby inaczej. Była tam. Wyszukiwarka. A nad nią guziczek, który należało wcisnąć po wpisaniu imienia i nazwiska. „Szukaj zmarłego”... Inge zacisnęła zęby i wklepała w odpowiednie okienko „Danni Fritz”, rok pochówku – dwa tysiące piąty, cmentarz – Zentralfriedhof. Nie spodziewała się, że wyskoczy jej tylko jeden wynik. Myślała raczej, że zobaczy listę kilkunastu różnych Danni Fritz, pochowanych w zupełnie innych zakątkach cmentarza. A jednak rezultat wyszukiwania okazał się przyjemnie zaskakujący. Danni Fritz, alejka ta i ta. Inge zerknęła na zegarek. Do spotkania z Niklausem i młodym Steinbeckiem w Phantastenmuseum zostało półtorej godziny. Zdaży? Zawahała się. Zaraz jednak uniosła głowę i rozejrzała się. Nie miała czasu na myślenie. Po tym cmentarzu jeździ przecież jakiś wewnętrzny autobus. Tylko gdzie jest przystanek? Może lepiej się jednak przejść?

Do celu dotarła spocona, wściekła i zmęczona do granic możliwości. Długie piesze wycieczki zupełnie nie były w jej stylu, choć od dawna już obiecywała sobie, że zacznie dbać o kondycję. Przeklinała też ten durny cmentarz. Po co projektować takie wielkie nekropolie? Autobus owszem, może i jeździł, ale po głównej drodze. Między małymi, krętymi alejkami, z których każda była podobna do siebie, musiała już po prostu iść. Inge zgubiła się kilkakrotnie i raz po raz wyrzucała sobie, że nie zrobiła zdjęcia mapki, bo ta internetowa okazała się mniej dokładna. Wreszcie jednak znalazła to, czego szukała. Stała przed niewielką, bardzo zapuszczoną mogiłą, która w przykry sposób wyróżniała się na tle pozostałych zadbanych grobów. Na pierwszy rzut oka widać było, że od dawna nikt nie odwiedzał Danni Fritz. Bluszcz oplatał nagrobek, a wymalowane niegdyś na złoto litery zatarły się i wyblakły. Inge pochyliła się i odgarnęła splątane łądygi. Rok urodzin, rok śmierci. Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty, dwa tysiące piąty. Dwadzieścia pięć lat na tym świecie... Inge pamiętała z tamtej sprawy tylko tyle, że Danni Fritz połknęła za dużo jakichś pigułek, które popiła alkoholem. Nie zostawiła listu, ale w jej pokoju znaleziono trzy ułożone na podłodze fotografie profesora Steinbecka. Domyślano się, że samobójstwo dziewczyny miało z nim jakiś związek, w końcu niedługo przed tym tragicznym wydarzeniem Danni i koleżanki oskarżyły Steinbecka o molestowanie seksualne. Steinbeck nie przejął się zbyt mocno śmiercią swojej byłej studentki. A może uznał nawet, że na to zasłużyła? Nie pracował już wtedy na uczelni i osiągnął etap, na którym czuł dla całego świata jedynie pogardę. Zgorzkniał i pluł jadem na ludzkość w ogóle. Inge odwiedzała go w domu, przynosiła ploteczki ze świata sztuki i starała się jakoś poprawić mu humor, ale nie odniosła sukcesu. O śmierci Danni natomiast mówiło się w akademii jeszcze przez dłuższy czas. Każdy snuł swoje domysły. Inge szybko przestała się tym zajmować. Nie znała jej za dobrze.

Teraz jednak, kiedy stała nad zarośniętą mogiłą i wpatrywała się w wyblakłe litery,

poczuła dziwny smutek. Wszyscy o niej zapomnieli. Czyżby Danni nie miała rodziny? Przyjaciół? A tamte idiotki, które razem z nią wniosły oskarżenie? Gdzie teraz były? Inge uklękała, jak gdyby chciała się pomodlić, choć przecież grób był świecki. Tak naprawdę zamierzała jednak przyrzeć się bliżej płycie. Wydawało się jej, że coś tam dostrzegła. Z trudem odgarnęła skłębione łądygi bluszczu i starła z płyty wierzchnią warstwę kurzu i ziemi. Nie pomyliła się. Coś dostrzegła. Zastygła w bezruchu i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w prosty rysunek, wykonany cienkim czarnym markerem. Zaschło jej w gardle. Przed sobą widziała wyraźnie znajomy kontur.

Dwugłowy orzeł Habsburgów.

Kto go narysował?

I co to mogło znaczyć?

\*\*\*

Michael Niklaus często chodził w to miejsce. Przyprawiało go o dreszcze, choć jednocześnie budziło osobliwą fascynację. Zawsze było tutaj pusto i cicho, zwłaszcza o tak wczesnej porze. W późniejszych godzinach w te rejony cmentarza niekiedy zapuszczali się turyści spragnieni wrażeń, którzy oglądali nagrobki jak gdyby to były eksponaty w muzeum. Niklaus świetnie ich rozumiał. Podobnie jak odwieczną fascynację wiedeńczyków śmiercią. Nigdy nie omijał takich miejsc, jak Cmentarz Centralny, szerokim łukiem. Od kilkunastu miesięcy bywał tu nawet częściej, nie tylko z powodu dziwnej fascynacji. Został do tego zmuszony przez niespodziewane okoliczności. Okoliczności bardzo mu sprzyjające... Działał dla dobra sprawy. Swojej sprawy. Jakżeby inaczej?

Niklaus przeszedł przez pierwszą bramę i szybko znalazł się w starej żydowskiej części Zentralfriedhof. Minął grobowiec rodziny Moritz Ritter von Borkenau i wszedł między niższe nagrobki. Później znowu minął kilka okazalszych pomników, w tym bryłę mogiły Steinhofów, aż wreszcie wstąpił na trawiastą alejkę, którą rzadko chadzano. Po obu stronach wyrastały rzędy skromnych żydowskich grobów z wyrytymi na nich gwiazdami Dawida. Niklaus szedł dalej. Wreszcie znalazł się w tej części cmentarza, gdzie między drzewami pochylały się zapomniane mogiły porośnięte bluszczem. Po plecach przebiegł mu lodowaty dreszcz, choć w powietrzu czuć było zapowiedź upału. Przystanął na moment i rozejrzał się. Podszedł do jednego z pochyłonych i zarośniętych grobów, po czym wsunął dłoń pod zwoje bluszczu. Przez płócienny worek wyczuł pod palcami kształt i odetchnął. Zawsze wyglądało to w taki sam sposób. Nigdy nie miał pewności, czy przedmiot na pewno tam będzie. Choć przecież był. Za każdym razem.

Wyprostował się, zrzucił z ramion plecak ze stelażem i otworzył go. Ponownie wsunął dłoń pod bluszcz. Jego ruchy były bardzo ostrożne i powolne. Wydobył przedmiot

spod zwoju łądy i z namaszczeniem przełożył go do plecaka. Z satysfakcją zauważył, że był bardzo dobrze zabezpieczony. Do paczki jak zwykle przytwierdzono kartkę. „Wykorzystaj wedle uznania”, odczytał Niklaus. Zawsze ten sam tekst. Niklaus wzruszył ramionami i uśmiechnął się pod nosem. Zapiął plecak i podniósł go ostrożnie. Na szczęście nie był bardzo ciężki. Zarzucił sobie bagaż na ramiona i ruszył w drogę powrotną. Cisza na cmentarzu aż kłuła w uszy. Musiał się stąd ulotnić jak najszybciej. Tego dnia miał jeszcze wiele do zrobienia, a najważniejszą sprawą było spotkanie z Inge Altman w Phantastenmuseum. Już niebawem. Miała przyprowadzić młodego Steinbecka i należało się do tej wizyty odpowiednio przygotować. Wyraźnie – i nie po raz pierwszy zresztą – dać mu do zrozumienia, że nigdy nie stanie się kimś na miarę profesora. A jednocześnie sprawić, by mimo to zechciał zainwestować w wystawę. W tę konkretną, jedyną w swoim rodzaju wystawę. Rudolf Steinbeck nie zawaha się i z pewnością wyłoży pieniądze. Niklaus nie miał co do tego wątpliwości i wiedział, dlaczego tak się stanie. Po jego plecach ponownie przebiegł dreszcz. Coś mu w tym młodszym Steinbecku od samego początku nie pasowało.

Opuścił żydowską część Zentralfriedhof i przystanął niezdecydowany. Mógłby wyjść bramą główną, złapać tramwaj i wrócić na chwilę do domu. Obejrzeć zawartość paczki. Zżerała go ciekawość i ledwie powstrzymał się przed tym, by nie zrobić tego tutaj, na cmentarzu. Z drugiej jednak strony miał spotkanie w Phantasten, na które tak czy inaczej się spóźni. Czuł, jak koszulka przykleja mu się do mokrych pleców. W tym stanie nie mógł przecież pokazać się Rudolfowi.

– Michael? To ty?

Stanął jak wryty i przez chwilę bał się odwrócić. Od razu poznał jej głos. Inge Altman! Co tu robiła? Akurat teraz? Czy ona... wiedziała? Strach ścisnął go za gardło. Obrócił się powoli i nie miał najmniejszego pojęcia, jak ją przywitać. Uśmiechnąć się? Skrzywić? Zasmucić? Nie wiedział. W głowie miał kompletną pustkę.

– Michael – powtórzyła znowu Inge, tym razem tonem bardziej konwersacyjnym.

Podeszła do niego i wyciągnęła dłoń. Uścisnął ją lekko. Inge również nie wyglądała najlepiej. Miała zaczerwienione policzki i rozczochrane włosy, a jej oczy błyszczały niezdrowo.

– Miałem właśnie dzwonić, że się spóźnię. Na nasze spotkanie. Ale widzę, że tobie też się nie spieszyło – zauważył spokojnie, z delikatną tylko nutką zgryźliwości.

– Wysłałam ci wiadomość, żebyś na mnie poczekał, bo nie dotrę na czas. I przeprosiłam. Oczywiście.

– Ach tak. Jeszcze nie odczytałem – odrzekł. Wiedział, że Inge coś kombinowała. Zachowywała się tak sztucznie, jak on sam. W mgnieniu oka stał się wobec niej podejrzliwy.

– Co tu robisz? – zadała pytanie, które i on chciał zadać jej. Kłopotliwe, choć przecież bardzo w zaistniałej sytuacji naturalne. Ludzie nieczęsto spotykali się na Zentralfriedhof z samego rana.

– Oglądam... Bo przecież Marlene...

Inge zmieniła się na twarzy.

– Tutaj zostanie pochowana?

– Jeszcze nie wiem, co na to jej rodzina. Pewnie się nie zgodzą, będą chcieli zabrać ją do domu. W góry.

– Ustalałeś to z nimi?

– Nie chcę ze mną rozmawiać. Nie traktowali mnie poważnie. Uważali, że ta cała kariera modelki zniszczy Marlene życie. No cóż... W obecnej sytuacji trudno się z tym nie zgodzić. Ale wiem, że Marlene lubiła ten cmentarz, więc pomyślałem...

Niklaus spuścił oczy. Miał ogromną nadzieję, że dobrze udawał i Inge nie przejrzy go na wylot. Nigdy w życiu nie rozmawiał z Marlene na temat tego cholernego cmentarza. A raczej – nie w kontekście czyjegoś pogrzebu.

– Jak się w ogóle... czujesz? – zapytała nagle Inge zupełnie innym tonem. W jej głosie wybrzmiała troska.

– A jak ci się wydaje? – odparł i uniósł głowę. – Staram się... coś robić. Pracuję. Wypełniam sobie czas. Ale... sama rozumiesz – wydukał i umilkł.

Inge zbliżyła się do niego.

– Może po prostu pojedziemy razem do muzeum? Dam ci chwilę na odświeżenie się i stawimy czoła Rudolfowi Steinbeckowi. Mam tu niedaleko samochód.

Zerknął na nią zaskoczony. Po chwili skinął głową i ruszyli ocienioną alejką w stronę kościoła Karola Boromeusza. Kiedy znajdowali się już przy wyjściu, Niklaus nagle sobie o czymś przypomniał. Nie zadał jej przecież tego pytania.

– Inge...

– Tak?

– A co ty tutaj robiłaś?

Zatrzymała się na moment i zaczęła szperać w torebce. Wyjęła z niej kluczyki do samochodu i uśmiechnęła się niewyraźnie.

– Chciałam odwiedzić profesora Steinbecka. Często tu przychodzę. Uspokaja mnie to – powiedziała i wzruszyła ramionami, jak gdyby tłumaczyła się ze słabości, na którą nic nie może poradzić.

– No tak. Był ci bliski.

Nie odpowiedziała. Skierowała się w stronę auta i wycelowała w nie pilota. Rozległo się ciche kliknięcie. Sadowiąc się na fotelu pasażera, Niklaus pomyślał, że Inge Altman koncertowo gra zimną sukę, a jednak stać ją na jakieś ludzkie uczucia i słabości. I zaraz przysłała mu do głowy jeszcze jedna refleksja. Otóż on sam świetnie znał Steinbecka i wiedział, gdzie znajduje się jego grób z tą paskudną rzeźbą pieprzonego Bauera. I ten grób... był zupełnie nie tam, gdzie spotkali się z Inge.



## Rozdział 6

Anna po raz dziesiąty zamieszała swoją kawę, choć nie wsyłała do niej nawet jednej łyżeczki cukru. Właściwie nie potrzebowała kofeiny. Serce tłukło się jej jak wściekle, a dłonie drżały. Oczywiście chciała to wszystko ukryć, przybrać obojętny wyraz twarzy i udawać opanowaną. Nie wiedziała, dlaczego tak jej zależało, by Antonio nie odkrył, co naprawdę czuła. Nie chciała przecież, by mieli przed sobą jakieś tajemnice. Poruszyła się niespokojnie na krześle i ponownie sięgnęła po łyżeczkę. Antonio złapał ją za rękę. W tej chwili już z pewnością czuł, jak bardzo drżała. Anna wbiła wzrok w blat stołu.

– Daj spokój tej biednej kawie.

Rzeczywiście, w wyniku nerwowego mieszania krople napoju wylądowały na spodku. Anna miała wrażenie, że za chwilę eksploduje jej głowa. A co gorsza – miała ochotę się rozplakać.

– Spójrz na mnie – poprosił cicho.

Niechętnie oderwała wzrok od blatu stołu. Oczy natychmiast napelniły jej się łzami i zakłęta w duchu. Nigdy nie potrafiła udawać przed kimś, kto był dla niej ważny. Czuła się podle. Myślała o rzeczach abstrakcyjnych, o dziwnym morderstwie, które wydarzyło się daleko stąd, o starej kobiecie, której nigdy dotąd nie widziała na oczy, o jakimś rzeźbiarzu, który nic ją nie obchodził... I jeszcze o Leonie. O tym, że pojawił się w Helu i była mu winna przynajmniej jedną poważną rozmowę. Trochę też myślała o własnej matce i jej niezrozumiałym zniknięciu. Nie spodziewała się jednak, że może pojawić się kolejny problem, zupełnie innej natury. Antonio opowiedział jej o wszystkim ze szczegółami. Wiedziała, w czym rzecz. A jednak całą sobą wyrażała niezgodę na tę sytuację. Powinna myśleć logicznie, zamiast kierować się emocjami. Nie może być takim egocentrykiem, ziemia nie obraca się wokół niej. Na świecie żyje całe mnóstwo innych ludzi, którzy mają w głębokim poważaniu jakąś Annę Lindholm. Jedną z takich osób z pewnością jest Claudia Moreno, była żona Antonia. I Arturo Valli, jego syn. Syn, który miał teraz około dwudziestu lat i nagle zechciał zmienić swoje życie. Zamierzał zostać wolontariuszem i pojechać do Afryki. Malować jakieś wioski... Chciał zrobić coś dobrego, odkupić dawne winy. Anna właściwie doskonale go rozumiała. Jeśli faktycznie takie były jego plany na najbliższą przyszłość, to tylko się cieszyć. Ture, zarozumiały smarkacz pozbawiony zdolności do odczuwania wyrzutów sumienia i czysto ludzkiej empatii, który nie odzywał się do własnego ojca przez sześć lat, teraz chciał naprawić to, co zepsuł. Oczywiście – nie wszystko dało się naprawić i on sam musiał mieć tego świadomość. Ale chciał. Zrobił pierwszy krok. A to już coś. Anna byłaby skłonna bić mu brawo, pogłaskać po głowie i pochwalić. Ale decyzja Ture pociągała za sobą pewne konsekwencje. Przed wyjazdem do Afryki chciał się zobaczyć z ojcem. Przeprosić go. Po prostu... porozmawiać. I Antonio musiał do niego pojechać.

Anna naprawdę to wszystko rozumiała. Całą sytuację potrafiła sobie wytłumaczyć racjonalnie. A jednak myśl o tym, że on pojedzie teraz do Neapolu, spędzi tam nie wiadomo ile czasu, zobaczy się z byłą żoną i przypomni sobie dawne życie, nie dawała jej spokoju. Choć przecież ufała Toniemu.

Chciała z nim pojechać do Neapolu. Tym razem ona byłaby gotowa wszystko rzucić, udobruchać jakoś Lempi, która z pewnością wściekłaby się koncertowo, i wyruszyć znowu do Włoch, by tkwić u jego boku. Tyle tylko... że Antonio niczego takiego Annie nie zaproponował. Mówił bardzo wiele. O tym, że wróci, jak tylko będzie mógł i kiedy wszystko już sobie z synem wyjaśnią. Będzie dzwonił. Zabierze najważniejsze rzeczy, a resztę zostawi w Helu. Oczywiście będzie bardzo tęsknił. Na pewno czas szybko zleci. Przez pół godziny Antonio wyrzucił z siebie więcej słów, niż niekiedy mówił przez cały dzień. Ale o tej jednej, najważniejszej rzeczy nawet się nie zająknął. Nie zapytał, czy ma ochotę pojechać z nim. Zamierzał to załatwić w pojedynkę. A ona? Co miała w tym czasie robić? Czekać? Tutaj, w Helu, czy może...

Zamrugła gwałtownie i wzięła głęboki wdech. Musiała się uśmiechnąć i spróbować zapewnić go, że wszystko jest w porządku. Nie mogła teraz myśleć tylko o sobie.

– Anno, wiesz, że... – zaczął i zawahał się.

– Co? – zapytała ponuro. Nic jej nie wyszło z tego uśmiechu.

– Że cię kocham – dokończył dzielnie.

Zaskoczył ją. Nigdy dotąd nie powiedział tego wprost.

Chwyciła go za rękę i przez chwilę milczała.

– Ja też cię kocham – powiedziała w końcu, nie patrząc na niego.

Dziwne było to wyznanie. Żadne z nich nie ruszyło się z miejsca, nie rzucili się sobie w ramiona, nie zaczęli szaleńczo całować. Trzymali się tylko za ręce. Dzielił ich blat stołu i ponowne milczenie. Wszystko to razem wyglądało bardziej jak rozstanie niż przejście na nowy etap związku.

– Czyli mogę liczyć na to, że o mnie nie zapomnisz? – zapytał po chwili Antonio, lekko się uśmiechając.

– Nie zapomnę. Zresztą będę zajęta. Każde z nas pozałatwia swoje sprawy... – mówiła szybko, bez zająknięcia, jak gdyby wyuczyła się tego na pamięć.

Antonio zerwał się z krzesła.

– Nie mów mi tylko, że masz zamiar pojechać do Wiednia sama! Anno, proszę cię!

– Mam zamiar – oświadczyła z pozornym spokojem, choć wszystko się w niej gotowało. – To chyba dobrze, prawda? Czas szybciej mi zleci.

Toni na powrót opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Annie wstyd było, że przez chwilę poczuła się nieco usatysfakcjonowana. Nie powinna przysparzać mu dodatkowych problemów, przecież i tak znalazł się w trudnej sytuacji. Nie widział własnego dziecka od sześciu lat. A jednak... nic nie mogła poradzić na to, że chciała pojechać do Wiednia. Zwłaszcza teraz, kiedy stanęło przed nią widmo pozostania w Helu samej. Nie była na to gotowa. Chciała... chciała coś zrobić. Coś konkretnego.

Oczywiście obrazili się na siebie nawzajem. Antonio po swojemu, w sposób wyważony i sarkastyczny. Annie wydawało się, że robi to z wrodzonego poczucia przyzwoitości i dla zasady. Musiał przecież jakoś zaznaczyć swoje stanowisko i uznać taką reakcję za najwłaściwszą. A jednak miała wrażenie, że właśnie tego się po niej spodziewał i dlatego decyzja o wyjeździe do Neapolu przyszła mu z trudem. Swoją drogą

– dlaczego znowu nie potrafiła usiedzieć w miejscu? Może powinna zażywać jakieś leki albo udać się do psychoterapeuty? To ostatnie z pewnością by jej nie zaszkodziło, a wręcz przeciwnie... Musiała jednak przyznać przed samą sobą, że planowana przez Antonia podróż do Neapolu jeszcze mocniej skłoniła ją do zastanowienia się nad propozycją Chany Sullam. Powinna do niej oddzwonić, najlepiej jak najszybciej.

Z tą myślą opuszczała sypialnię, w której Antonio nerwowymi ruchami przetrząsał zawartość szafy. Pakował się. Uznał, że skoro Anna wybiera się do Wiednia, to on równie dobrze może pojechać do Neapolu już na dniach, nie ma potrzeby zwlekać z tym do przyszłego tygodnia. Bo przecież nic innego go w Helu nie trzyma. Wygłosiwszy tę ostatnią uwagę, wyszarpnął spod łóżka walizkę. Annie zrobiło się zimno. Gdzieś na obrzeżach jej umysłu kołatała się obawa, że coś właśnie się kończy. Wzdrygnęła się na dźwięk odsuwanego zamka błyskawicznego. Antonio był zły i Anna wiedziała, że nie powinna pozwolić mu wyjechać w takim stanie. Przecież w tym czasie, kiedy nie będą blisko siebie, wszystko się może wydarzyć. Choroba. Wypadek. Poczula, jak ogarnia ją przygnębienie. Marzyła o tym, by nauczyć się nie myśleć o rzeczach, na które nie miała wpływu. Nauczyć się cieszyć chwilą, bez świadomości, że za sekundę minie.

Nie przeprosiła go i nie postarała się załagodzić sytuacji. Miała jeszcze czas. Ile? Do jutra? Zamawiał przecież bilety na samolot, ale nie zdradził jej daty wylotu. Wiedziała jednak, że bez względu na to, jak bardzo chciał zamanifestować swoje niezadowolenie, nie wyjedzie bez pożegnania. Stała przez chwilę w progu, po czym wyszła na korytarz i zbiegła po schodach. „Zadzwoń do Chany Sullam, zadzwoń do Chany”, mamrotała pod nosem, kiedy na werandzie zderzyła się z Lempi. Finka obrzuciła ją podejrzliwym spojrzeniem.

– Co tam znowu? – wycedziła.

W rękach dzierżyła kosz z warzywami. Pewnie zamierzała przyrządzić jakąś specjalną sałatkę dla sympatycznych holenderskich gejów... Swoją drogą – chłopcy nieco się w Helu zasiedzieli. Musieli mieć bardzo dobrą pracę, skoro dawali im takie długie urlopy.

– Antonio wyjeżdża na jakiś czas – powiedziała szybko Anna. Musiała wreszcie poinformować Lempi o wszystkim i rzuciła Toniego na pierwszy ogień.

– Ach tak? – zainteresowała się Finka i uniosła brwi. – Czy to jest sytuacja spod znaku „łatwo przyszło, łatwo poszło”? Czy jednak coś innego?

Anna zaniemówiła. Nie wiedziała, czy miała większą ochotę wybuchnąć śmiechem, czy udusić Lempi. Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, jakie masz wyobrażenie na temat tego, co robiliśmy w Wenecji, ale zapewniam cię, że nic nie przyszło łatwo.

Finka machnęła ręką.

– Mordercy może się i nie ścigało łatwo, bo oni zawsze wszystkim lubią komplikować życie, że tak to ujmę, no ale co do pana Vallego, to sprawa jest dla mnie jasna. Jeśli coś się zawiązuje w kilka dni czy nawet tygodni, a później już „och”, „ach” i, za przeproszeniem, „forever”, to jednak łatwo przyszło. Pani sama powie. Takich rzeczy to nie idzie załatwić raz-dwa – zakończyła z wyniosłą miną.

Anna miała wielką ochotę przypomnieć jej, że z decyzją o poślubieniu swojego,

niestety świętej pamięci, męża nie zwlekała za długo, a w instruktorze tańców latynoamerykańskich z Ystad, owym podłym „południowcu”, również zakochała się dość szybko. Ugryzła się jednak w język. Przecież nawet nie poruszyła jeszcze kwestii swojego wyjazdu do Wiednia. Lempi nie będzie zadowolona... Anna chrząknęła teatralnie i zrobiła przeproszającą minę.

– Niech ci będzie – skapitulowała. – Ale jeśli chodzi o „łatwo poszło”, to jednak za wcześnie mówić.

– Hm...

– Po prostu Antonio jedź do Neapolu, żeby odwiedzić swojego syna.

Gosposia otworzyła szeroko oczy, postawiła koszyk z warzywami na podłodze i uderzyła się w pierś, aż zadudniło.

– Ach tak! Oczywiście. Przecież to jasne, że nic mi się nie mówi. Czego ja się właściwie spodziewałam?!

– Ale...

– Nic nie wiem o żadnym synu w Neapolu. Ani pana Vallego, ani nawet świętego Mikołaja! Co z tym synem jest nie tak, że jakaś zmowa milczenia? Mało bystry? Nieślubny?

– Ślubny – oświadczyła Anna ponuro.

– Ach! Tak! Czyli ten Valli żonaty. Ja tak czułam, że coś tu, za przeproszeniem, śmierdzi w tym wszystkim.

– Nie do końca żonaty.

– Nawet jak rozwiedziony, to nic nie szkodzi. Jest jakiś syn neapolitański, a skoro tak, to i była żona gdzieś w tle. Zawsze będzie mu siedziała na karku, za przeproszeniem. Alimenty i inne takie, a potem...

– Lempi, oni ze sobą nie rozmawiali od sześciu lat. Dopiero teraz...

– Aaaa! To jeszcze lepiej. Się wypiął na nich. Tak, tak. To właśnie mężczyźni. Z każdym tak samo, szkoda gadać. Co to za świat? Same morderstwa, trucizny, kradzieże, rozwody, dzieci ukrywane gdzieś po włoskich miastach, i w ogóle ja mówiłam, że z południowcami są same kłopoty!

Lempi spuentowała monolog, wymachując dumnie marchewką. Anna nie miała pojęcia, co powinna sprostować w pierwszej kolejności, i nie wiedziała też, czy Finka skończyła na dobre, czy też wykonała swoją własną wariację na temat „dramatycznej pauzy”. Ale kiedy jej milczenie się przedłużało, znowu chrząknęła. Łatanie luk w biografii Antonia zostawiła na później. Był południowcem, więc u Lempi chwilowo i tak nie miał szans.

– Bardzo możliwe, że ja też wyjadę na trochę – zaczęła nieśmiało.

Gosposia zmrużyła oczy i wycelowała w nią marchewką.

– Pani to niech się lepiej nie pcha do żadnego Neapolu. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Niech pan Valli sam po sobie sprząta. A jak się dobrze rozpędzi, to nawet w okolicy, bo słyszałam, że tam mają jakieś kłopoty z wywożeniem śmieci. Widziałam zdjęcia w internecie.

– To już chyba zażegnane. A zresztą ja nie do Neapolu – przerwała jej szybko.

Lempi umilkła na chwilę. Dłoń, w której dzierżyła marchewkę, opadła.

– A dokąd? Jeśli wolno spytać?

– No... Do Wiednia.

– Czy mnie się zdaje... – Finka podparła się pod boki. Anna cieszyła się, że prowadzą rozmowę po szwedzku i nikt nie może usłyszeć, jak bardzo kuriozalna jest ta wymiana zdań. – Bo może mnie pamięć zawodzi, ale tak sobie myślę, że tam...

– Projektowaliśmy z Vidarem meble dla Sofii Stiatesi – dokończyła płynnie, a po jej twarzy przebiegł nerwowy skurcz.

– Tak właśnie. Proszę się nie obrazić, ale jak dla mnie to pani chyba ma jakiś poważny problem. Najpierw Wenecja, gdzie ta... kobieta kupiła sobie kamienicę. A teraz Wiedeń?

– Jakoś tak się układa.

– Układa. Hm. – Lempi dźwignęła z podłogi koszyk z warzywami. Zamierzała zakończyć tę rozmowę i z pewnością to właśnie do niej musiało należeć ostatnie zdanie. – I jak znam życie, to pani tam jedzie do jakiegoś trupa. Nawet nie chcę o tym słuchać!

Ominęła Annę i z wysoko podniesioną głową pomaszerowała do kuchni. Po chwili zaczęła stukać naczyniami i śpiewać. Anna spojrzała w niebo, na którym rdzawo zachodziło słońce. Zeszła z werandy i skierowała się w stronę Wiejskiej. Skoro miała pojechać do Wiednia, rozmowa z Lajonem nie mogła dłużej czekać. Podczas pierwszego spotkania zdała mu jedynie krótką relację z tego, co powiedziała jej Chana Sullam. Właśnie... Anna przystanęła i sięgnęła do kieszeni po telefon. Musiała zadzwonić do tej kobiety. Miała nadzieję, że oferta była aktualna.

\*\*\*

Ulrike Seinfeld słyszała, jak Chana Sullam rozmawiała przez telefon. Nie chciała podsłuchiwać, po prostu tak wyszło. Kiedy kobieta się rozłączyła i w przedpokoju wybrzmiały kroki, Ulrike czym prędzej zabrała się do wycierania kurzu z szafki na buty. Chana zatrzymała się przed nią i uśmiechnęła triumfalnie.

– Jutro będziemy mieć gościa – oznajmiła.

– Tego gościa, na którego czekamy od dwóch dni? – zapytała Ulrike. Nie zdołała się powstrzymać przed drobną złośliwością.

– Tak – odpowiedziała. Nie dała się sprowokować.

– Myślałam, że przyjadzie ich więcej.

Przez chwilę Sullam wydawała się zbита z tropu. Oparła się o ścianę i splotła ramiona.

– Ja też. To znaczy, nie wiedziałam tak do końca, ilu ich tu przyjadzie – przyznała wreszcie.

Ulrike nie odpowiedziała. Nie zamierzała udawać, że cokolwiek z tego rozumie.

Od wczoraj zajmowała się głównie sprzątaniem i doglądaniem Ernsta, który nie ruszał się z domu, a nawet ze swojego pokoju wychodził jedynie do łazienki i kuchni. Resztę czasu spędzał za zamkniętymi drzwiami. Mamrotał coś o tym, że „już z nim koniec”, „wszystko przepadło”, „nic już nie ma sensu”. A później puścił na cały regulator Metallicę. *Nothing Else Matters*. Musiała przyznać, że był bardzo dobry w doborze repertuaru. Chana Sullam, z racji podeszłego wieku, miała pewnie problemy ze słuchem, bo w ogóle nie zwróciła na to uwagi. Ulrike natomiast zaczęła się niepokoić. Poza Metallicą z pokoju Ernsta od kilku godzin nie dochodził żaden inny dźwięk.

– W każdym razie – podjęła znowu kobieta. – Przygotuj pokój. Tę sypialnię z łazienką.

– Dobrze. Kto przyjedzie? Kobieta czy mężczyzna? – zapytała od niechcienia.

– Kobieta – odrzekła wolno Chana i wbiła wzrok w drzwi prowadzące do pokoju Ernsta.

– Skąd?

– Z Polski. – Chana nie odrywała wzroku od drzwi.

– Aha. – Ulrike wzruszyła ramionami. Pytała tylko dla podtrzymania konwersacji.

Uznała, że im mniej będzie się wtrącać w to wszystko, tym lepiej.

– Ale mieszkała długo w Szwecji. Pracowała tam w policji.

Ulrike po raz dziesiąty przetarła szmatką to samo miejsce. Świetnie, policjantka. Sullam sprowadziła sobie do Wiednia prywatnego detektywa. Dziewczyna zerknęła na staruszkę i poczuła skurcz w żołądku. Odruchowo również przeniosła wzrok na drzwi. *Nothing Else Matters* leciało już któryś raz z rzędu. Coś tu było nie w porządku. Ulrike wypuściła z dłoni szmatkę do wycierania kurzu i ponownie spojrzała na Chanę. Kobieta stała teraz wyprostowana jak struna i śmiertelnie blada. Porozumiały się wzrokiem i ostrożnie ruszyły w stronę pokoju Ernsta. Ulrike czuła, jak coraz szybciej bije jej serce. Wreszcie stanęła przed drzwiami i nacisnęła klamkę. Chana tkwiła tuż za nią. Drzwi ustąpiły z cichym skrzypieniem, które ledwo przebiło się przez Metallicę. Ulrike weszła pierwsza. Stanęła jak wryta i poczuła nagły ucisk w skroniach. Z trudem wciągnęła powietrze. Weszła głębiej i obróciła się wokół własnej osi. Chana ledwie przestąpiła próg. Milczały. Z głośników wciąż ryczała Metallica. Ale Ernsta tutaj nie było.

\*\*\*

Thomas Ebeling przez cały poranek walczył z internetem i w pewnym momencie poczuł się krańcowo wyczerpany. Miał dość siedzenia w domu przed komputerem. Chciał działać. Kiedy już przyswoił treść ostatniego z wybranych artykułów, z ulgą odszedł od biurka i zrobił sobie wielką kanapkę z szynką. Żeby uspokoić sumienie, i na wypadek, gdyby jakimś cudem w domu zjawiała się z powrotem Diane, położył na

wierzchu plaster pomidora. Połknął też zestaw leków na nadciśnienie i zaparzył melisę. Taka antystresowa profilaktyka, która w ogóle – wiedział o tym doskonale – nie przynosiła efektów. A zresztą, Ebeling wcale się przecież nie stresował. Czuł przyspieszone bicie serca i szum w uszach z zupełnie innego powodu. Otóż – był podekscytowany. Miał wrażenie, że taka sprawa jak morderstwo Marlene Sachs nie trafiła się wiedeńskiej policji od dawna. Uderzyła go też znikoma liczba informacji podanych do mediów. A przecież od śmierci dziewczyny upłynęły dwie doby. Mało tego. Dwie doby i kilka godzin! Każdy policjant wie, że to najważniejsze chwile w śledztwie. Często materiał dowodowy zebrany w pierwszej dobie ma największe znaczenie w późniejszym postępowaniu. Oczywiście nie zawsze. A jednak później ślady się zacierają, ludziom rozmywają się wspomnienia, dochodzi stres, zmęczenie, podatność na cudze sądy...

Ebeling często wsłuchiwał się w tę osobliwą kakofonię, która towarzyszyła każdemu śledztwu. Wszyscy mieli coś do powiedzenia. Technik, patolog, prokurator, świadkowie, rodzina ofiary, rodzina podejrzanego/oskarżonego, przyjaciele, wrogowie i tak dalej, i tak dalej. I z tych wszystkich informacji należało wyciągnąć wnioski. Znaleźć coś znaczącego, trop, wskazówkę. Ebeling wiedział, że ta wskazówka zawsze gdzieś była, możliwa do odkrycia przy odpowiedniej koncentracji i zaangażowaniu. Zdarzało mu się, rzecz jasna, ponosić fiasko, a świadomość kilku niezamkniętych spraw pozostawała przykra i piekąca mimo upływu lat, jednak miał na swoim koncie więcej sukcesów niż porażek. I to dodawało mu zawsze wiary w słuszność swojego postępowania. Ebeling podziwiał kolegów z branży i cały sztab specjalistów, których umiejętności w dużej mierze ułatwiały pracę policji. On sam jednak bardzo upodobał sobie śledztwo w dawnym stylu. Lubił rozmawiać z ludźmi. Doskonale potrafił w nich czytać. A historia każdego człowieka był jak gotowa powieść – z wyraźnym przebiegiem fabularnym, mnóstwem wewnętrznych i zewnętrznych monologów pozostających ze sobą w sprzeczności, i oczywiście z pełnokrwistymi bohaterami, którzy wchodzili ze sobą w relacje. Liczyły się motywy działania, ambicje, prywatne konflikty, osobiste urazy i zawiedzione nadzieje. Najczęściej chodziło o emocje, podobnie jak najczęstszym narzędziem zbrodni okazywał się zwykły kuchenny nóż. Właśnie. Czytając o Marlene Sachs, nie mógł się oprzeć pewnemu wrażeniu, które nie wykluczało się jednak z żadnych logicznych przesłanek. I dlatego musiał wyjść z domu. Zapaść się w teren, jak za dawnych lat.

Neubaugasse wydawała się tego dnia osobliwie cicha. Ebeling widział wprawdzie wszystkich tych ludzi, którzy w poniedziałkowe popołudnie spieszyli po pracy do domu, a mimo to czuł, że coś ciężkiego i nieprzyjemnego wisiało w powietrzu. A może tylko mu się wydawało? Może to tylko on sam miał wrażenie, że coś przykrego i nieokreślonego spłyca mu oddech? Świat funkcjonował przecież dalej, nie zatrzymał się z powodu jednej martwej dziewczyny. Każdego dnia ktoś umiera. Ebeling stanął przed kamienicą, w której znaleziono ciało Marlene Sachs, i zasępił się. Wiedział, że pracownia z pewnością została zaplombowana, a może nawet ktoś w niej teraz jest. Na przykład jeden z policjantów, który przyjechał sprawdzić, czy czegoś nie przeoczono. Dawniej Ebeling również tak robił. Usiłował odczuć przestrzeń, w której doszło do zbrodni, a nie tylko ją zobaczyć. Lubił też przebywać w niej sam, bez towarzystwa. Zawsze lepiej mu się wtedy myślało.

Czy komuś jeszcze się to zdarzało? Czy zdarzało się... Franzowi Weberowi? Ebeling zadzwonił w kilka miejsc, zanim opuścił dom. Wiedział, kogo przydzielono do tej sprawy. Mogło być gorzej.

– Pan do kogoś? – usłyszał nagle skrzekliwy, starczy głos.

W bramie stała pomarszczona babuleńka, która ostatkiem sił przytrzymywała ciężkie drzwi. Ebeling zauważył dwa szczegóły. Po pierwsze – w jednej dłoni kobieta trzymała ciężką siatkę z zakupami, po drugie – może i była stara, ale oczy błyszczały jej całkiem zdrowym blaskiem. I na pewno mieszkała w tej kamienicy od lat. Takiej osoby potrzebował.

– Nie... Tak tylko stoję. Oglądam kamienicę – odparł.

Postąpił krok do przodu i przytrzymał drzwi.

Staruszka zmierzyła go od stóp do głów. Uśmiechnęła się, odrobinę szyderczo.

– Co? Morderstwo pana zaciekało?

– Słucham? – Ebeling spał się.

– No morderstwo. To tutejsze. Dziewczynę ukatrupiono, niech pan głupka nie udaje. Tak na oko dałabym panu ze sześćdziesiąt parę i słysząc, że tutejszy. I co? Mam uwierzyć, że sobie kamienicę z takim zapalem oglądać przyszedł? Pan wybaczy, ale ja już za długo na świecie żyję. Łgarstwa są takie nieeleganckie. Sam pan przyzna.

– Przyznaję – zgodził się i przełknął ślinę. Ta babina za szybko go rozpracowała. I to naprawdę przykre, że jednak wyglądał na swoje „sześćdziesiąt parę”.

– No i dobrze. Chociaż nie idzie w zaparte. A ta młoda to już się od dawna prosiła, jeśli chce pan znać moje zdanie. Mieszkam naprzeciwko pracowni tego Bauera i wiem, co mówię. – Kobieta pokiwała głową i rozejrzała się na boki. Ebeling postanowił kuć żelazo, póki gorące.

– Może wnieść pani zakupy na górę? – zapytał szybko.

– A panu jeszcze reumatyzm nie dokucza, jak rozumiem? – zagderała i podała mu ciężką siatkę.

Powstrzymał się od komentarza i wszedł za staruszką na klatkę schodową. Kiedy wspinali się na piętro, pospiesznie wybrał jeszcze jeden numer. Miał nadzieję, że Franz Weber go nie zmienił. Po chwili usłyszał znajomy głos swojego dawnego podwładnego. Pobrzmiwała w nim rezerwa. Weber zawsze trzymał Ebelinga na dystans. Za plecami nazywał go „zgreдем”. To wspomnienie kazało Thomasowi się uśmiechnąć. Pomiął powitanie i od razu przeszedł do rzeczy. „Wpadnę na komisariat za dwie godziny. Chcę pogadać” – powiedział, a Weber po drugiej stronie czymś się zakrztusił. „Nie mam czasu” – rzucił w słuchawkę, wyraźnie zirytowany. „No to go znajdź” – odparł Ebeling – „Mogę mieć dla ciebie coś ciekawego”. Rozłączył się i napotkał pełen politowania uśmiech staruszki, która zatrzymała się na ostatnim stopniu. Spochmurniał. Oczywiście – nic jeszcze nie miał. Ani ciekawego, ani nawet całkiem nudnego. Ostatnią nadzieję pokładał w tej siwiutkiej kobiecie. Być może ona powie mu coś, co będzie w stanie przekuć na jakąś teorię.

Herbata smakowała wyśmienicie, podobnie jak kruche ciasteczka, które pani Mulder upiekła sama. Najwyraźniej łaknęła towarzystwa, bo nadawała jak komentator



sportowy i to bez specjalnej zachęty. Dolewała Ebelingowi herbaty i trajkotała, wypowiadając zadziwiająco długie frazy na jednym wydechu. Miał rację co do tego zdrowego blasku w jej oczach. Pani Mulder mogła stuknąć nawet setka, ale tryskała energią i odznaczała się bardzo wnikliwym umysłem. Miała też niezłą pamięć. Ebeling modlił się w duchu o to, by niczego sobie nie zmyśliła. Bo informacje, które dzięki niej zdobył, wydawały mu się całkiem interesujące. Sięgnął po kolejne ciasteczko i ugryzł je z satysfakcją osoby, która właśnie, po licznych nieudanych próbach, dorwała zakazany owoc. Mulder wyglądała na zadowoloną.

– Policja już z panią rozmawiała? – zapytał, kiedy przełknął ostatni kęs.

– Taaak. – Mulder machnęła ręką. – Zadawali całą masę głupich pytań i w ogóle nie słuchali odpowiedzi. Ja to się takich boję, wie pan?

– Dlaczego?

– Bo z nimi nigdy nic nie wiadomo. Powiem coś, co zabrzmie może dwuznacznie albo oni sobie to po swojemu zinterpretują, jak jakaś święta inkwizycja, i potem będzie, że przeze mnie ktoś za kratki pójdzie. Ja tam wolę zachować ostrożność.

– Bardzo słusznie. Czyli co im pani powiedziała? – Ebeling upił kolejny łyk herbaty.

Siedział u pani Mulder dopiero kwadrans, a już miał wrażenie, że za moment pęknie. Na wszelki wypadek odsunął od siebie pusty talerzyk, upstrzony okruchami. Dopiero teraz zauważył, że kobieta wpatruje się w niego przenikliwie. Bezwiednie poprawił się na fotelu.

– A pan to na pewno jest byłym policjantem? – odezwała się.

W pierwszym odruchu chciał poszperać w kieszeniach w poszukiwaniu dokumentów, ale to byłoby przecież bez sensu. W dowodzie nie miał zapisanej profesji, a odznakę oddał już dawno temu. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Sięgnął po telefon. Wszedł do sieci i włączył stronę internetową swojej dawnej komendy. W zakładce „pracownicy” wciąż jeszcze znajdowało się jego zdjęcie i notka, wraz z wykazem najważniejszych zasług. Poczuł dumę, kiedy podawał starszce telefon.

– To ja – powiedział i uśmiechnął się.

– Mhm... – mruknęła i zmarszczyła brwi. – Tylko jakiś młodszy. Mhm, mhm... To pan go aresztował? Tego wariata, który podpalił...

Pani Mulder kontynuowała swój wywód na temat osiągnięć Ebelinga, a on sam pogrążył się w zadumie. Czegoś jednak w życiu dokonał. Chwilami naprawdę brakowało mu pracy w policji, gdzie ciągle coś się działo i nigdy nie było czasu na odpoczynek. Odpoczynek okazał się jednak nieco przereklamowany. A ta babunia nieźle znała kronikę policyjną. Oddała mu wreszcie telefon i usadowiła się wygodnie, gotowa do kolejnego monologu. Wyglądała na uspokojoną.

– No dobrze. To tak... Powiedziałam im tylko samą prawdę.

– Prawdę? – Ebeling uniósł brwi.

– Tak. Czyli to, co czasami słyszeli i widzieli też inni sąsiedzi. Ale pominęłam swoje...

– Wnioski? – dokończył. Miał ochotę puścić do niej oczko.

– Właśnie. Tak właściwie moje wnioski nie muszą nikogo obchodzić, prawda?

– Prawda.

– Jesteśmy więc zgodni.

– Co dobrze wróży na przyszłość. – Teraz już nie powstrzymał się i mrugnął. Staruszka roześmiała się skrzekliwie. W młodości musiało być z niej niezłe ziółko.

– A zatem – ta dziewczyna. Marlene Sachs. Z początku mi się podobała, wie pan? Wydawała się taka inna. Nosiła dobrze skrojone sukienki i płaszczyki, zawsze ładnie uczesana, umalowana z umiarem, grzeczna, dzień dobry, do widzenia, co u pani słyhać. Jak nie z tego świata i tych czasów. Miła osoba. Dopiero później wyszło szydło z worka. I się zaczęło.

– Co konkretnie?

– Histeryzowała. Darła się tak, że słyhać ją było w całej kamienicy. I bynajmniej, panie emerytowany komendancie, nie krzyczała z rozkoszy. Na to bym się nie oburzała, nie zazdroszczę, jak komuś jest dobrze. Życie krótkie.

Mulder urwała i wsypała do swojej herbaty dwie łyżeczki cukru. Ebeling poczuł, że się czerwieni. Nie był przyzwyczajony do przebywania w towarzystwie bezpruderyjnych starowinek. Stuletnie babcie kojarzyły mu się całkiem stereotypowo – z siwym koczkim i kłębkim wełny.

– W każdym razie – podjęła – Marlene darła się na tego biednego Ernsta Bauera, aż huczało. Że za mało zarabia, ma za mało zleceń, ciągle nie zrobił jeszcze ogólnoeuropejskiej lub ogólnoświatowej kariery, ma małe studio i w dodatku na Neubau, w zwykłej kamienicy, zamiast wynająć piękne atelier gdzieś bliżej centrum, i takie tam. Obiecywała, że za niego wyjdzie, jeśli wreszcie stworzy arcydzieło.

– Jak Alma Mahler – szepnął Ebeling w zamyśleniu.

– Słucham?

– Alma Mahler mówiła tak Oskarowi Kokoschce. To był taki...

– Za kogo pan mnie ma? WIEM, kim był Kokoschka, ale już co tam do niego mówiły jego dziewczyny, niestety, pan wybaczy, nie kojarzę. W każdym razie z Marlene była straszna jędza. Krytykowała Ernsta za to, że źle rzeźbi. Ona, modelka, uczyła jego rzeźbić! Ciągle chodziła niezadowolona. Raz wyrzuciła mu przez okno narzędzia i dwa spore kawały drewna. Całe szczęście, że była noc i pod oknami nikt nie przechodził, bo doszłoby do tragedii!

– Ktoś z mieszkańców kamienicy zareagował?

– Sąsiedzi z góry chcieli dzwonić na policję, ale Ernst ich udobruchał. Wie pan, że nie tak łatwo zdobyć dwie wielkie bryły drewna? To nie te czasy, że człowiek poszedł do lasu z siekierą i wyrąbał. Na wszystko trzeba mieć pozwolenie. Czyli pozostaje kupno. A ona mu to wyrzuciła za okno. Rozprysło się, rozbiło, było nie do użytku. Marlene chodziła później po wszystkich lokatorach i przeproszała. Pamiętam ten dzień. Wyglądała pięknie. Miała na sobie eleganckie kimono i taką śliczną broszkę. Z małych koralików, czarnych, czerwonych i żółtych. Cudo. Pewnie ręczna robota, bo ktoś oddał każdy detal. Musiała sporo kosztować.

Ebeling nie wiedział, dlaczego nagle poczuł chłód pełznący po karku. Oderwał plecy od oparcia i pochylił się w stronę pani Mulder.

– Ktoś oddał każdy detal? Co ma pani na myśli?

– Ach, tak! Wyraziłam się nieprecyzyjnie. Ta broszka miała kształt dwugłowego orła. Godła Habsburgów. No przecież pan wie, o czym mówię. Każdy by wiedział.

– Oczywiście, wiem. Mówiła pani o tym policji?

– O czym?

– O broszce.

– Nie. A powinnam? Przecież to tylko ozdoba. Myśli pan, że...

– Nie, nie. Nic nie myślę, tylko tak zapytałem. Stare nawyki każą mi się czepiać szczegółów.

Staruszka wzruszyła ramionami i dołała mu herbaty. Zapatrzyła się na chwilę w bursztynowy płyn. Ebeling ponownie poczuł chłód w okolicy karku. Dobrze znał to uczucie, choć dawno go już nie doświadczał. Wiedział, z czym się wiązało. Z przeczuciem, że właśnie trafił na coś ważnego, choć jeszcze nie miał pojęcia dlaczego. Broszka. Dwugłowy orzeł. Nie pierwszy raz o nim słyszał w kontekście jakiejś dziwnej sprawy... Ale najważniejsze skojarzenie wciąż mu się wymykało.

– Jak pani myśli – odezwał się. – Dlaczego on jej, mówiąc brzydtko, nie pogonił w diabły? Skoro tak go traktowała? Z tego, co mi się wydaje, to raczej on „zatrudnił” ją, a nie na odwrót?

– Prawda. Widocznie jednak Marlene była w jakiś sposób niezastąpiona. Kto by tam zrozumiał artystów? Biedny chłopak, wszystko robił tak, jak chciała. A kiedy odeszła do tego jakiegoś innego rzeźbiarza, przez cały tydzień pił. Aż przykro było patrzeć. Raz to nawet zasnął na klatce schodowej, tak się urząnął. Potem trochę mu przeszło, ale pozostał smutek w oczach. Rozumie pan? Taki smutek, którego trudno się pozbyć, bo się w człowieka wżera jak śmiertelna choroba.

Spojrzenie pani Mulder na moment stało się nieobecne i Ebeling zrozumiał, że ona musiała o takim smutku wiedzieć bardzo dużo. Uśmiechnął się łagodnie.

– Kiedy ta Marlene odeszła od Bauera?

– Będzie niecały rok. Wtedy, kiedy tamten zaczął odnosić pierwsze sukcesy. Widać taki ktoś był jej potrzebny. Miała, jak to się teraz mówi, parcie na szkło. Ja tam jestem zaskoczona, że artystyczny świat może jeszcze wywoływać takie odczucia. A ponoć sztuka schodzi do podziemia, nikt nie ogląda obrazów, nie czyta książek, nie słucha porządnej muzyki. I proszę. Rodzą się jeszcze w tej niszy prawdziwe emocje. Ludzie zaangażowani w sztukę z jakiegoś powodu odbierają sobie nawzajem życie.

Znowu się zamyśliła. Ebeling miał wrażenie, że jej zmysły tracą ostrość i pani Mulder opuszcza rzeczywistość, wkraczając do świata swoich własnych myśli. Niczego już się od niej nie dowie. A przynajmniej nie dziś. Dopił herbatę i wstał z fotela.

– Dziękuję pani bardzo, pani Mulder. Czy mógłbym jeszcze kiedyś panią odwiedzić?

– Oczywiście, proszę. Zapiszę panu mój numer telefonu. Jeśli pan wcześniej zadzwoni, upiekę znowu te ciasteczka. Bo dziś to tak przypadkiem...

– Dziękuję jeszcze raz – powiedział i uściśnął jej dłoń.

Dziesięć minut później siedział już w tramwaju i jechał w stronę komisariatu, gdzie czekał na niego Franz Weber. Niewiele pozostało mu czasu, by zbudować choćby żalną teorię i mieć autentyczny pretekst do tych odwiedzin. Jedyne, co miał, to informacja

o broszce Marlene Sachs. Tej w kształcie dwugłowego orła.

\*\*\*

Anna czuła się dziwnie. Leon patrzył na nią podejrzliwie. I jego matka również. Tylko ojciec ratował sytuację i starał się prowadzić uprzejmą rozmowę, dorzucając do puli kolejne pytania o zdrowie poszczególnych członków rodziny Lindholmów. Niestety – szybko skończyli mu się kandydaci. Anna musiała jednak przyznać, że miał odwagę wspomnieć dwie osoby, o których każdy w jej otoczeniu bał się rozmawiać. Prawie lekkim tonem rzucił: „Nadal nie wiesz, gdzie przebywa twoja matka?”, a kiedy pokręciła głową, dodał: „I nadal nie widziałaś się z Lidką od czasu aresztowania?”. Ponowne milczące zaprzeczenie. Woliński bardzo elegancko sprowadził ją na ziemię. Zdarzało się, że zapominała, kim jest i przez co przeszła. Skupiała się na sobie i swoich marzeniach o normalnym życiu. A przecież wypadałoby znaleźć matkę. Może spotkało ją coś złego? Może cierpiała i potrzebowała pomocy? I wypadałoby porozmawiać z Lidką. Tyle że matka nie chciała zostać znaleziona, a siostra nie życzyła sobie odwiedzin. Z ojcem i macochą Anna utrzymywała coraz luźniejszy kontakt, sprzedała firmę w Szwecji i dom, odcięła się od przyjaciół z Ystad. W Wenecji na chwilę odnalazła szczęście, które teraz uciekało jej do Neapolu. Czy kiedyś jeszcze mogło być normalnie? Zerknęła na Leona. Wykręcał sobie palce. Atmosfera panująca w salonie Wolińskich stawała się nie do zniesienia. Anna poczuła, jak ogarnia ją smutek. Kiedyś zawsze czuła się tutaj dobrze. Nawet nie tak dawno temu, tuż po śmierci Vidara. Przyszła do Leona w nocy i nikt jej stąd nie wygonił. Została dobrze przyjęta, ciepło i z życzliwością, posadzona w żółtej kuchni, przy grzejniku, poczęstowana herbatą, obdarzona nienachalnym współczuciem. A teraz? Rezerwa matki Leona była z tego wszystkiego najgorsza.

Anna podniosła się z krzesła, które szurnęło głośno. Wzdrygnęła się.

– Pójdę już, przepraszam za najście. Woliński natychmiast również wstał.

– Żadne najście, zostań jeszcze. Opowiedz, co tam nowego... yyy... u twojego... znajomego? U... no...

– Antonia? – podsunęła i uśmiechnęła się mimowolnie. Człowiek naprawdę robił, co mógł.

– O, właśnie! Podoba mu się tutaj?

– Tak, bardzo. Ale teraz na trochę wyjeżdża. Ma coś do załatwienia w Neapolu.

Leon w końcu zaszczycił ją uważnym spojrzeniem. Chciała dać mu do zrozumienia, że potrzebuje porozmawiać z nim na osobności, ale teraz patrzyli już na Annę wszyscy. I nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

– Właściwie to przyszłam w tej sprawie. Tylko czuję się trochę niezręcznie. Otóż – ja też muszę wyjechać, a jak już mówiliśmy, dopiero został mi przekazany pensjonat

matki. To znaczy mój dawny dom... I mam mały kłopot. Myślałam, że może moja gosposia, Lempi, zechce pojechać ze mną, ale chyba się nieco przeliczyłam. A jeśli jednak zostanie tutaj, może mieć małe kłopoty z prowadzeniem interesu. Nie mówi po polsku, a angielskiego dopiero się uczy. Biegłe mówi po fińsku, a w stopniu satysfakcjonującym zna szwedzki i rosyjski, ale to chyba nie za bardzo jej tu pomoże.

Matka Leona po raz pierwszy szczerze się uśmiechnęła.

Anna odetchnęła. Napięcie odrobinę z niej zeszło.

– Chciałaś nas o coś poprosić? – domyślił się Woliński.

– Tak... Jeśli mogliby państwo nieco wesprzeć Lempi w razie jakichś kłopotów, byłabym wdzięczna. Ja oczywiście będę pod telefonem, ale to nie to samo. I...

– Oczywiście. Możesz na nas liczyć – odpowiedział szybko mężczyzna, zanim jego żona zdążyła się odezwać. Anna miała jednak wrażenie, że matka Lajona nie chciała zaprotestować.

– Dziękuję – mruknęła. – To dla mnie bardzo ważne, bo... ja...

Umilkła. Chciała powiedzieć, że ostatnio mogła liczyć głównie na siebie i Lempi, którą właśnie zamierzała znowu opuścić, ale przypomniał jej się Leon. I Antonio. „Przestań się mazgaić” – nakazała sobie.

– Nie ma problemu – zapewnił ją ponownie Woliński. – Powinnaś pojechać na wakacje. Wypocząć.

– Tak. Ostatnio w ogóle mi to nie wychodzi. Myślałam, że odpocznę w Wenecji.

Leon parsknął urywanym śmiechem. Wyprostował się i położył Annie dłoń na ramieniu.

– Chodź, Anka. Odprowadzę cię.

Kiedy wyszli przed dom, rzucił jej rozbawione spojrzenie. Przystanąła.

– O co ci chodzi? – spytała zaczepnie.

– Po to przyszłaś? Serio? Żeby rozmawiać o pensjonacie i Lempi? Jak gdyby Lempi była jakimś dzieckiem we mgle? Ona poradzi sobie wszędzie i ze wszystkimi.

– Nie zna języka.

– I to jej jedyny problem tutaj. O nią się nie martw. Dostaje pensję, jest lojalna i sumienna. Raczej martw się o siebie. Ty naprawdę zamierzasz pojechać do tego Wiednia? Mało ci kłopotów?

Nie odpowiedziała od razu. Ruszyła powoli w stronę deptaku na Wiejskiej, który w połowie czerwca stawał się coraz bardziej zaludniony. Musiała to z siebie wyrzucić. Teraz, zaraz. Czuła, że to jest dobry moment, by powiedzieć, co naprawdę myśli.

– Widzisz... czuję, że muszę na chwilę zająć się cudzymi kłopotami. Cudzym życiem. Nie sobą. Siebie mam dość.

Przystanąła znowu i spojrzała mu w oczy. Spuścił wzrok. Nie miała pojęcia, dlaczego musiała to wytłumaczyć akurat jemu. Dlaczego wciąż do niego wracała? Co by zrobiła, gdyby się tutaj nie spotkali? Pomyślała, że tak chyba musiało być. Może to jakaś szansa od losu, sytuacja, która zdarza się tylko raz w życiu? Nigdy nie wierzyła w takie głupoty. W nic nie wierzyła.

– Leon... przepraszam za to, co wydarzyło się w Wenecji. Nie powinnam była cię tam ściągać, a później narażać na niebezpieczeństwo.

– Sam się naraziłem. I sam, z własnej woli, tam pojechałem. Ty napisałaś tylko SMS-a. To była moja decyzja. Pochopna, być może. Ale moja własna.

– Niezbyt mądra – podsunęła.

– Tak bym tego nie ujął.

– Ale czułeś się zawiedziony i wdałeś się w relację z...

– Lucrezią Doldano. Tak się nazywała. Nazywa. Powiedz to.

– Lucrezia Doldano – powtórzyła posłusznie.

– Bardzo dobrze. Stajesz się coraz dzielniejsza – pochwalił ją i uśmiechnął się krzywo. Jak to on.

– Myślisz o niej jeszcze?

– Oczywiście.

– Przykro mi.

– Przestań już. Idź się spakować. Kiedy wyjeżdżamy? Uniosła gwałtownie głowę i zmrużyła oczy.

– Co ty powiedziałeś?

– Kiedy wyjeżdżamy? Wolałbym wiedzieć. Nie wszystko mam poprasowane, poza tym chyba trzeba zamówić bilety na samolot, bo to za daleko, żeby jechać autem. Ale też można, jeśli ci zależy na wycieczce samochodem i podziwianiu po drodze jakichś widoków.

– Leon. Nie, nie, nie... Chwila. Znowu to robisz! Porywasz się na coś i... Tym razem nie wysyłałam ci żadnych wiadomości, nie zrobiłam nic, co mogłoby zostać odebrane jako zaproszenie i... Nie zrobiłam, prawda? Czy ty chcesz, żebym znowu czuła się winna? Nie patrz tak na mnie.

Zarumieniła się. Nie rozumiała go. Nie pojmowała, skąd się wziął i jaki miał ze sobą problem, że zawsze pakował się nie w to, w co powinien. Właściwie byli do siebie pod tym względem podobni. Leon wziął głęboki wdech i chwycił ją za ramiona.

– Nie bój się, Anka. Nie zamierzam wykorzystywać sytuacji ani robić innych tym podobnych głupich rzeczy. Po prostu mam teraz wolne. Dobrze, być może moje wolne często pokrywa się z twoimi dziwnymi przedsięwzięciami, ale na to już nic nie poradzę. Nie wiedziałem, że tu będziesz. Wiem natomiast co innego. I przy tym będę się upierał. Nie powinnaś pojechać do Wiednia zupełnie sama. Zwłaszcza na zaproszenie tej kobiety. Rozumiem, że czujesz pokusę, znam cię przecież. Ale samej cię nie puszcę. Chcę być tam z tobą. Zależy mi na twoim bezpieczeństwie. Zależy mi na tobie. Chyba już jaśniej nie mogę tego powiedzieć?

– Ale...

– Jadę z tobą. Chyba że powiesz mi teraz bez ogródek, definitywnie i ostatecznie, że nie chcesz mnie już więcej widzieć.

– Dlaczego...

– Jestem zero-jedynkowy. Jeśli mam się angażować, to albo na sto procent, albo w ogóle.

– To szantaż.

– Jak zwał, tak zwał. Słucham. Powiesz mi to?

Milczała. Leon skinął głową, odwrócił się i odszedł w stronę ceglasterwonego

domu swoich rodziców.

## CZEŚĆ II

*Sztuka jest niezbędna. Gdybym tylko wiedział do czego.*

André Malraux

*Sztuka potwierdza to, co nieludzkie w człowieku.*

Alain Badiou

*Nie ma we mnie żadnej myśli, w którą nie zostałaby wrzeźbiona śmierć.*

Michał Anioł



## WIEDEN

październik 2014

Marlene wiedziała już, co powinna zrobić. Teraz był dobry moment. Michael Niklaus miał dobrą passę i dopiero się rozkręcał, przyszłość w świecie sztuki stała przed nim otworem. To, co robił, wydawało się Marlene niezwykle i... dziwnie znajome. Kiedyś już oglądała rzeźby, które budziły w niej podobne emocje. Nie chodziło o to, że artyści tworzyli w zbliżony sposób i posługiwali się taką samą techniką, a raczej o ducha dzieł. O nastrój. O piękne i przerażające wrażenie, że obcuje się nie ze sztucznym tworem, ale z czymś żywym, organicznym, nabiegłym krwią. Rzeźby miały nawet lekko czerwony poblask – nie tyle kolor, co swego rodzaju łunę, powłokę, spod której przebijała szkarłatna nuta. Marlene nie potrafiła wyrazić się o nich jasno i precyzyjnie. Wy tłumaczyć, dlaczego wydają się jej takie niezwykle. Pamiętała za to bardzo dobrze swoje odczucia, kiedy poszła na wystawę i zobaczyła *Otella i Desdemonę*. Z początku w ogóle się nie zorientowała, że rzeźby wykonano z drewna. Były pomalowane na biało i czymś powleczone. Nie miała pojęcia, czym. Aż tyle o rzeźbie nie wiedziała, jej zadaniem zawsze było głównie pozowanie. W tym wypadku jednak... coś przeżyła. Coś głębokiego i silnego, jakiś osobliwy wstrząs. Z oczu popłynęły jej łzy. Nieśmiało zerkła na innych ludzi, zebranych w Phantastenmuseum. Oni także wyglądali na wstrząśniętych i poruszonych. Oczywiście – obcowanie z tego rodzaju sztuką wymagało pewnej wrażliwości i obycia, a jednak... jednak... Marlene nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Niklaus potrafiłby przekonać do siebie każdego. Nawet ludzi ogarniętych największą estetyczną znieczulicą.

Musiała go mieć. Tylko dla siebie. Ernst Bauer stanął w miejscu, sam nie wiedział, czego chciał. Nie potrafił wznieść się ponad pewien poziom. Jego talent miał granice. Niklaus tymczasem nie znał granic. Nie miał oporów, niczego się nie bał. Jego wielki dar objawił się nagle, jak cud. Marlene wierzyła w cuda, w niebo, anioły, nawet Boga. Miała swoją wizję raj, w którym znajdują się piękne przedmioty. Po którym chodzą piękni ludzie. Niklaus przybył właśnie z tego lepszego, pozaziemskiego świata. Mógł wzywać do „pierdolenia nazistów” i „jebania wyższych uczelni”, czy jak to tam wyraził, ale w głębi duszy był wrażliwym chłopcem, który tęsknił za miłością. Marlene tak go właśnie widziała. Pamiętała jedną scenkę, której stała się przypadkowym świadkiem. Niklaus minął się na korytarzu Phantastenmuseum z jakąś starszą panią, której upadła na podłogę torebka. Podniósł ją i oddał właścicielce. Sporo było w tym goście czułości i troski, niezwyklej jak na tak prostą sytuację. Na koniec Michael chwycił dłoń kobiety i złożył na niej pocałunek. Nikogo w tamtym momencie nie udawał. Po prostu taki był. A cała ta otoczka – happeningi, bunt, wściekłość i obalanie konwencji – sprowadzały się do gry. Teatryku na potrzeby widowni spragnionej chleba i igrzysk, przekleństw i seksu, przemocy i śmierci. To właśnie kręci teraz człowieka. Ciemna strona ludzkiej natury. U niego też było to widać. W jego rzeźbach, tak bardzo prawdziwych, tak dokładnych, tak... żywych. To słowo wciąż do niej wracało. „Żywe”. Te rzeźby były na swój sposób żywe. Miała ciarki na plecach, kiedy je oglądała.

Musiała odejść od Bauera i związać się z Niklausem, nawet gdyby miała mu nie pozować. Nie dał jej jednoznacznej odpowiedzi, kiedy złożyła swoją propozycję. Oczywiście schlebiało mu to zainteresowanie, którego nie wahała się nazywać uwielbieniem. Nie odrzucił jej. Spotkali się po kryjomu już wcześniej, kilka razy. Bawili się w związek. Raz nawet wyprasowała mu białą koszulę na jakiś event. A później wróciła do domu i następnego dnia ponownie odgrywała rolę partnerki Ernsta Bauera. To rozdarcie nie było dla niej. Nie wytrzymała nerwowo, traciła kontrolę nad emocjami. Chciała Michaela. Czowała, że on podziela wszystkie jej sekretne fascynacje. Te, o których prawie nikomu nie wspominała, bo bała się o nich mówić.

10 czerwca 2015

Patrzył na nią nieprzytomny ze złości. Jak tego dokonała? Wiedział, że była inteligentna, ale tutaj potrzeba było czegoś więcej. Przenikliwości, wyczulenia na detal. Wścibstwa. Tak, cholerna Marlene musiała być wścibska. Śledziła go. Podglądała. Krok po korku odkrywała jego tajemnice i siedziała cicho, by teraz wreszcie wybuchnąć. Owszem, tamten mógł jej o wszystkim opowiedzieć, ale przecież musiała podejrzewać już wcześniej. I po co do niego poszła? Jej żądania były takie głupie. Że też nie mogła mieć normalnych marzeń. Dlaczego mu to zrobiła? Dlaczego on musiał teraz zrobić coś z nią? Była taka piękna, taka... przydatna. Zawsze na miejscu. Wierna i oddana. Aż do teraz. Być może powinien zaryzykować? Ona nie chciała go wydać, pragnęła jedynie wiedzieć całą resztę. Dlaczego? Kto za tym stoi? Jak długo to potrwa i do czego doprowadzi? Co będzie później? Zadawała pytania, na które jeszcze nie poznała odpowiedzi. Choć i tak wiedziała już wiele. Ale to jej nie wystarczyło. Chciwość się w niej odezwała. Żądza władzy, pragnienie kontroli. Albo też udawała. Grała na zwłokę. Bo przecież wiedział, dlaczego tu przyszła. Do kogo. Grała... na zwłokę?

Niepotrzebnie był wobec niej taki wylewny. Bał się jej pytań. Nie pozwalały mu spać po nocach, ścisnęły żołądek i powodowały obezwładniający ból głowy. Kto? Dlaczego? Kiedy? Co potem? Wiedział kto. Wiedział dlaczego. Ale co potem? Tego już nie. Nie wiedział, nie wiedział! Dlaczego nie mogła się po prostu zamknąć? Dlaczego go sprowokowała?

Nie od razu zauważyła jego twarz wykrzywioną złością. Mówiła. Pytała. Każde jej słowo było jak ostra szpilka, która wkuwała się w jego uszy, w jego udręczony umysł. Wywlekła to, co chciał jak najdłużej zatrzymać w ukryciu. Spojrzała na niego i cofnęła się o krok. Co ją przestraszyło? A tak. Nóż. Rylec. Jego palce ścisnęły rączkę, mocno, do bólu. Zupełnie o tym zapomniał. Podniósł go z blatu, by obejrzyć ostrze, cienkie jak papier. Zawsze był zafascynowany takimi ostrzami, nigdy się nimi nie nudził. Nie wiedział, skąd to się brało. Znał przecież te noże doskonale. Fascynowały go, tylko tyle. Taki nawyk, głupi, ale ciężki do opanowania. Nawyk, nic więcej... Teraz jednak wszystko mogło się zmienić. Myślenie sprawiało mu ból. Trzeba było przestać myśleć. I tylko wykonać gest. Jeden krok, jeden ruch. Nie wierzyła, że jest do tego zdolny. Widział to wyraźnie, kiedy jęknęła, zwinęła się w pół i opadła na kolana. Jeszcze mógł coś zrobić. Jeszcze był czas.

Nie, już nie było czasu. Cholerny nóż. Miał go w dłoni. Nie został tam, między

przerwanymi tak nagle tkankami. Wyszarpnął go automatycznie. Teraz nie mógł przestać. Musiał to jakoś załatwić. Całe szczęście, że byli akurat tutaj, w tym miejscu, a nie gdzie indziej. Po co tu przyszła? Nie zdążyła mu powiedzieć, zaczęła się tłumaczyć, ale nie z celu swojej wizyty. Ale przecież... tak naprawdę wiedział. Chciała go zniszczyć. Przekreślić wszystko.

Spojrzał na Marlene. Drżała dziwnie, jak gdyby dostała ataku epilepsji. On również zaczął drżeć. Co najlepszego zrobił? Teraz nie miał już wyboru. Nie myśleć! Myślenie wiąże się z bólem. Pchnął dziewczynę na plecy. Z jej brzucha chlustała krew. Nie wierzył, że miał tyle siły. W co trafił? W żołądek? Odwrócił wzrok, ale tylko na chwilę. A później złapał dziewczynę za ręce i zawlókł ją na środek pokoju. Musiał użyć tego samego narzędzia, którego następnie należało się skutecznie pozbyć. Obciążyć, wrzucić do Dunaju... Staromodna metoda, ale nic innego nie przychodziło mu teraz do głowy. Chwycił dłoń dziewczyny i wycelował ostrze w jej nadgarstek. Jeszcze żyła. Pomyślał, że dzięki temu krew szybciej spłynie...

„Marlene Sachs o wszystkim wie”.

Słowa tamtego człowieka wciąż brzęczały mu w uszach. Przez niego tu przyszedł. I ona także. Oszukiwał sam siebie. Ona wcale nie była chciwa. Zależało jej już tylko na prawdzie.

Marlene Sachs znieruchomiała. Była teraz cicha i spokojna. Błada. Piękna.

A on posunął się do tego, czego zawsze najbardziej się bał. Przekroczył granicę.

15 czerwca 2015

Japońskie rylce. Poukładane równiutko w drewnianym pudełku. Doskonale je znała i traktowała jak starych dobrych przyjaciół. Nie stanowiły dla niej żadnej tajemnicy, wszystko była w stanie wyrecytować z pamięci, w każdej chwili, nawet wyrwana z głębokiego snu. Stal dwuwarstwowa, 62–63 HRc, grubość około pięciu milimetrów, kilka noży o różnych profilach, długość ostrza – mniej więcej trzy centymetry, rękojeść z woskowanego drewna czerwonego dębu Akagashi. Japońska precyzja i jakość. Marzyła o takich rylcach. I nie tylko ona. Mroczny przedmiot pożądania... Tamta miała przynajmniej podstawy do snucia podobnych marzeń, ukończoną szkołę, dyplom, papier zezwalający na uprawianie sztuki. A ona? Ona nie miała nic. Tylko jakiś tam talent, który stał się jej przekleństwem. Przez chwilę myślała, że się zemściła, ale minął już rok i wreszcie wszystko zrozumiała. W pokoju było cicho, jak zwykle. Głuche milczenie. Nawet jej własny głos pochłaniały ściany. Oblizwała spierzchnięte wargi i sięgnęła po rylce. Uniosła go do góry i obejrzała z fascynacją. Serce dudniło jak oszalałe. Zerknęła na szkice. Dłoń zdrząła jej niebezpiecznie. Dlaczego nie zrobiła tego wcześniej?

– Nic nie kombinuj. Nie uda ci się tego nigdzie schować. Nie zapominaj, że ciągle tu jestem. – Rozległ się głos od strony drzwi. Zamkniętych, jak zwykle.

Obróciła głowę. Wciąż zaskakiwał ją ten ton. Taki łagodny, spokojny. I nieustanne przypominanie, że przecież jest po jej stronie. I wszystko niebawem się zakończy. Jeszcze trochę, jeszcze dzień, tydzień, miesiąc. Śmiać jej się chciało. Wiedziała, że nigdy nie nastąpi koniec. Chyba że...

Ścisnęła mocniej rylce. Nie spodziewa się tego. Myśli, że jest za słaba. Obawia się

tylko ataku, cichego planowania ucieczki, chyba nawet morderstwa. A przecież mogła zrobić coś zupełnie innego. Wiedziała, gdzie celować, w końcu latami studiowała anatomię. Dzięki temu lepiej rzeźbiła, doskonale знаła ludzkie ciało, które teraz już nie kryło przed nią żadnych tajemnic. Tak jak japońskie rylce. Uśmiechnęła się i odwróciła w jego kierunku. Opierał się o drzwi. Zbladł. Wyprostował się. Otworzył usta. Widziała jego ruchy w zwolnionym tempie, tak samo jak swoje własne. Dłoń ściskającą rylce. Łuk, który zatoczyła. Ostrze dosięgło szyi i przecięło skórę. Bolało, cholernie bolało... Wiedziała jednak, że to już nie potrwa długo. Że to... już. Właśnie teraz.

Jak przez mgłę dostrzegła jego twarz.

Usłyszała chrapliwy głos. I to jedno krótkie słowo.

„Nie!!!”.

## Rozdział 7

Anna miała świadomość tego, że zbyt natarczywie wpatruje się w Chanę Sullam, ale kobieta wyglądała dokładnie tak, jak sobie ją wyobraziła. Smukła, może nieco zbyt koścista sylwetka, włosy zafarbowane na ciemno i spięte w ciasny kok, staranny, choć niekrzykliwy makijaż, elegancki minimalistyczny kostium, a na serdecznym palcu pierścionek z diamentowym oczkiem. Oczywiście, że z diamentowym... Anna uśmiechnęła się pod nosem. Prawdziwa kobieta z klasą. Bizneswoman. Znała swoją wartość. Zachowywała się jak dama nawet teraz, gdy jej oczy wyrażały przerażenie, a dłonie lekko drżały, kiedy podnosiła do ust filiżankę z kawą. Nie powinna pić kawy. Z pewnością ciśnienie i tak wzrastało jej z każdą sekundą. Ile miała dokładnie lat? Osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt? Mniej więcej tyle. Anna chciała zadać jej te wszystkie pytania, które nosiła w sobie od wyjazdu z Wenecji, ale wiedziała, że okoliczności nie sprzyjały tej rozmowie. Właściwie to nie sprzyjały rozmyślaniom o czymkolwiek innym poza Ernstem Bauerem, który zapadł się pod ziemię. Tego się nie spodziewała. Chana do niej nie zadzwoniła, o niczym nie uprzedziła.

Kiedy Anna pojawiła się na Ringstrasse w towarzystwie Leona, Sullam tylko machnęła ręką i kazała jakiejś dziewczynie, chyba tutejszej gosposi albo sprzątacze, przygotować jeszcze jeden pokój. Musiała skądś wiedzieć, że Leon nie jest partnerem Anny i że potrzebna będzie osobna sypialnia. Ale skąd? Nad tym też nie było czasu się zastanawiać. Nie było czasu się rozpakować ani pomyśleć o Antoniu, z którym pokłóciła się przed samym wyjazdem. Nie było czasu zadzwonić do Lempi ani zdobyć się na refleksję, że na tej samej ulicy, na pięknym słynnym Ringu, miała niegdyś swój dom Sofia Stiatesi. Może to i lepiej. Anna zerknęła tylko w okno i zobaczyła gmach Opery Miejskiej. I jakimś cudem ten widok nie wydał jej się przykry.

Usiadła wygodniej i poczęstowała się kawą. Leon wiercił się na krześle obok. Chana w milczeniu piła nadal swoją kawę, wolno, małymi łykami. Wspomniała, że rzadko bywa w Wiedniu i nie zna tu nikogo poza wnukiem i znajomym, który użyczył jej mieszkania. Opowiedziała też to, co wydało się jej najważniejsze. O morderstwie Marlene Sachs, o podejrzeniach ciężących na Ernście, o relacjach wnuka z byłą modelką i największym rywalem, Michaeliem Niklausem, i wreszcie o tym, że Ernst zniknął i nikt nie wie, jak ani kiedy. Ostatniej informacji Anna wysłuchała z uczuciem przykrości. Ernst zniknął. Musiał się bardzo postarać, skoro Chana i ta sprzątaczką nie zauważyły, kiedy to się stało. A zatem wszystko zaplanował, inaczej by mu się nie udało. Z tego płynął wniosek, że chciał zniknąć. Czyli mógł być winny zbrodni albo mieć nieczyste sumienie z jakiegoś innego powodu. Bo powód musiał być. Ernst nie uciekł dla kaprysu i nie został też porwany. Taką hipotezę od razu wykluczyła policja. W mieszkaniu nie znaleziono żadnych nowych śladów, poza tymi należącymi do Chany, młodej sprzątaczką i samego Ernsta. Wszystkie pozostałe były stare i pochodziły co najmniej sprzed kilku miesięcy. Przed nimi w apartamencie na Ringu przebywał tylko właściciel i jego ewentualni goście. Aż do teraz mieszkanie stało puste. Hipotezę o porwaniu musiały też wykluczyć same kobiety – z pewnością zobaczyłyby, gdyby ktoś wszedł do środka. Lokal znajdował się na trzecim piętrze, więc odpadało również ewentualne zakradanie się przez okno. Ernst

musiał wyjść drzwiami. Wtedy, kiedy nikt nie patrzył. A przecież sprzątaczką twierdziła, że zaglądała do niego co chwilę, bo był w kiepskim stanie. Owszem, krzątała się po całym domu i usiłowała uporać się z nieporządkiem, ale wracała co kilkanaście minut. Później odrobinę zmniejszyła częstotliwość tych wizyt, bo Ernst włączył Metallicę, więc automatycznie przyjęła, że siedzi w pokoju i słucha. Poza tym wciąż powtarzał jej, że chciałby zostać sam. Wykorzystał zatem sekundy, by zniknąć. Zrobił użytek z chwilowej nieuwagi Ulrike. Dlaczego?

Anna poczuła ssanie w żołądku i łakomym wzrokiem wpatrzyła się w maślane rogaliki. W Wiedniu bardzo podobało jej się to, że większość potraw podawano na słodko. Dawniej za każdym razem wyjeżdżała stąd objedzona do granic możliwości. Przez moment rozważała poczęstowanie się rogalikiem, zrezygnowała jednak i ograniczyła się do kawy. Trudno byłoby jej jeść, kiedy siedząca tuż obok Chana wydawała się taka przybita. Ona naprawdę nie brała pod uwagę możliwości, że jej wnuk był winny. I słusznie. Powinno się ufać swoim bliskim. Dopóki to możliwe.

Pomyślała, że dość już siedzieli w milczeniu. Musiała zadać parę pytań, a później... Później powinna się przemóc i zadzwonić do Ingvara. Nie kontaktowali się od lutego i na samą myśl o tym robiło jej się zimno, ale sytuacja wymagała poświęceń. Ingvar kogoś tutaj znał. Anna również bywała w Wiedniu nie raz, jednak jej znajomości ograniczały się do osób z branży meblarskiej, z którymi teraz utrzymywała zaledwie luźny kontakt. W niczym nie mogli jej pomóc. Ingvar natomiast znał tu jakiegoś emerytowanego policjanta. Bardzo ciekawskiego i wścibskiego, któremu chyba nie służyło przejście w stan spoczynku. Pamiętała, że ten człowiek zainteresował się sprawą Narcyza i zaoferował nawet swoją pomoc, ale Ingvar uznał ją za niepotrzebną. Poradzili sobie bez wsparcia z zewnątrz. A jednak ten starszy policjant i jej były kochanek przez jakiś czas utrzymywali ze sobą kontakt, który może jeszcze się nie urwał. Taką miała nadzieję. Emerytowany czy nie, mężczyzna z pewnością wiedział o funkcjonowaniu tutejszej policji więcej niż ona.

– Pani Sullam – zaczęła niepewnie, wyrywając kobietę z zadumy.

– Chana – poprawiła ją szybko.

– Chana... Czy coś zauważyłaś w pokoju Ernsta? Coś dziwnego, nie na miejscu?

– Masz na myśli ten pokój? Tutaj?

– Tak.

– Nie. Jesteśmy tu krótko, nie zdążyłam się niczemu przyjrzeć.

Kłamała. Przez całe lata nielegalnie handlowała diamentami i musiała zwracać uwagę na detale. Ale Anna postanowiła wrócić do tego tematu później. Teraz należało jakoś ruszyć z miejsca.

– Chodzi mi o to, czy zabrał coś ze sobą. Jakieś ubrania, kosmetyki...

– Nic nie wziął – odezwała się nagle dziewczyna, która do tej pory siedziała pod ścianą. Teraz wstała i zbliżyła się do stolika. – Nic. Ani ubrań, ani kosmetyków. Nie miał tutaj zresztą zbyt wielu rzeczy. Ale kiedy weszłam do jego pokoju, wszystko było tak jak wcześniej. On się nawet dobrze nie rozpakował. Jego walizka nadal stała w kącie. Później dopiero rozbebeszyła ją policja, ale niczego nie znaleźli. Nie wiem, kiedy i jak Ernst zdołał stąd wyjść, ale zrobił to tak, jak stał. Bez bagażu.

– W co był ubrany? Porządnie? Jak gdyby się dokądś wybierał czy raczej domowo?

– Domowo. Od dwóch dni chodził w tym samym dresie. Nie pachniał już zbyt przyjemnie, jeśli mogę sobie pozwolić na szczerość. – Ulrike zerknęła niepewnie na Chanę, ale ta nic nie powiedziała.

Anna zamyśliła się i zaczęła bębnić palcami w blat stołu. Dziwne było to wszystko. Dlaczego Ernst uciekł – bo tak przecież należało określić jego zachowanie – skoro ciąży na nim podejrzenie o dokonanie morderstwa? Musiał wiedzieć, że postawi go to w bardzo złym świetle. Uciekł, jak gdyby był winny i spanikował. Jak gdyby nie wierzył, że może się z tego wywinąć i uniknąć kary. Że ktoś go z tego wyciągnie. Czy niewinny człowiek zdobyłby się na podobny ruch? Czy zaryzykowałby aż tak głupio? Jakie miał szanse? Wyszedł z domu bez najmniejszego bagażu i w przepoconym dresie. Dokąd się udał? Może przygotował to wcześniej, ukrył gdzieś pieniądze i ubrania na zmianę, może z kimś się umówił? I wcale nie wyszedł „jak stał”? Może właśnie chciał, by wszyscy tak myśleli? Tylko kiedy zdążył się przygotować, skoro najpierw przebywał w areszcie, a później przez cały czas tutaj? Chyba że... poczynił niezbędne kroki, zanim zamordował tę dziewczynę. Załatwił ją, odegrał teatrzyk nad ciałem, załamanie nerwowe na komisariacie i przygnębienie przed Chaną i Ulrike. Wiedział, że zostanie głównym podejrzanym, i właśnie o to mu chodziło. Wszystko miał już przygotowane. Wykorzystał nieuwagę sprzątaczk i wymknął się w nieświeżym dresie, właśnie po to, by każdy zastanawiał się, dlaczego zachował się w taki dziwny sposób. Ewentualnie – ktoś skłonił Ernsta do wyjścia z domu. Zmusił chłopaka, by zrobił to szybko, nie dał mu czasu na przebranie się i zabranie ze sobą czegokolwiek. Anna przymknęła oczy. Którą z opcji powinna wziąć pod uwagę? O czym jeszcze nie pomyślała? Co pominęła? Jakie są możliwe scenariusze tego, co się tutaj wydarzyło?

Uniosła głowę. Chana skubała róg obrusa, Leon kruszył rogalik, ale nie wziął do ust nawet jednego kęsa, a Ulrike Seinfeld siedziała pod ścianą i nie spuszczała wzroku z Anny. Ta dziewczyna z pewnością wiedziała o Ernście Bauerze bardzo wiele. Ciekawe, w jakich pozostawali relacjach? Czy mieli do siebie stosunek neutralny, czy nie do końca? Co ona o nim naprawdę myślała? Co myślała o Marlene Sachs? Ile zdołała zaobserwować? Wyglądała na jedną z tych osób, które zawsze wszystko wiedzą, choć nigdy specjalnie się nie starają, by zdobyć jakiegokolwiek informacje. Anna uznała, że warto będzie zacieśnić nieco znajomość z Ulrike. Zdobyć jej zaufanie.

A teraz musiała przede wszystkim przełknąć dumę i zadzwonić do Ingvara.

\*\*\*

Franz Weber z grymasem złości na twarzy otworzył drzwi przed Thomasem Ebelingiem i wpuścił go do swojego gabinetu. Emerytowany komendant przysiadł na

krześle, a komisarz przerzucił nerwowo jakieś papiery i zignorował dzwoniący telefon. Na skroni pulsowała mu fioletowa żyłka. Pewnie miewał migreny. Teraz również musiała go boleć głowa, bo policjant raz po raz krzywił się i przyciskał dłoń do czoła. Ebeling nie miał pojęcia, o co chodzi. Kiedy widzieli się ostatnim razem, całkiem zresztą niedawno, Weber wydawał się bardzo niezadowolony z najścia i jeszcze bardziej niezadowolony z wydumanej teorii, którą zaserwował mu Thomas. Bo tak całkiem serio, to nie było żadnej teorii. Ebeling posłużył się chaotycznymi informacjami uzyskanymi od pani Mulder, na podstawie których skomponował naprędce mocno kulejący profil psychologiczny Marlene Sachs. Czuł się jak żalosny amator, ale musiał zaryzykować. Interesowały go wyniki sekcji zwłok i ekspertyza techników. Chciał wiedzieć, czy Marlene Sachs umarła, bo ktoś podciął jej żyły – albo też sama je sobie podcięła – czy raczej przyczyny zgonu należało szukać gdzie indziej. Interesowała go kwestia ułożenia ciała, bo nie mógł się oprzeć wrażeniu, że całe to upozowanie na jeden z aktów Kokoschki było przypadkowe, podobnie jak pozostawienie kartki z cytatem. I wreszcie – zamierzał podpytać o tę broszkę w kształcie dwugłowego orła. Nie wiedział dlaczego, ale wciąż wracał do niej myślami.

Zaiste – Ebeling miał piękny plan na te odwiedziny i całą listę pytań w głowie, które postanowił zadać Weberowi „w imię starej znajomości”. Komisarz wiele się od niego nauczył i sporo mu zawdzięczał. Była kiedyś taka niefortunna sytuacja, kiedy okropnie spartaczył jedno ze swoich pierwszych śledztw. Ebeling krył go wtedy i pomógł naprawić kilka błędów. Weber musiał to pamiętać. Emerytowany komendant, w każdym razie, pamiętał na pewno. I zamierzał to wykorzystać, nawet jeśli wiedział, że takie zachowanie jest bardzo nieeleganckie i z pewnością zostałyby potępione przez jego żonę.

Piękny plan Ebelinga spalił jednak na panewce. Owszem, zadał swoje pytania, ale nie doczekał się odpowiedzi. Komisarz rzucał te swoje głupie hasła o tajemnicy, etyce zawodowej, procedurach i tym podobnych sprawach. Emerytowany komendant wiedział oczywiście, że nie powinno się zdradzać szczegółów prowadzonego śledztwa, ale przecież on... nie był obcy. Nie do końca. Pomógł temu gówniarzowi wielokrotnie. Przypomnił mu kilka sytuacji, z których ledwo wyszedł cało. I nic. Kompletnie nic to nie dało. Ebeling opuścił komisariat z wściekłością, którą trudno mu było ukryć pod kurtuazyjnym uśmiechem. Później oczywiście dumiał nad tą sprawą w zaciszu własnego mieszkania, ale niewiele miał przesłanek. Brakowało mu materiału do pracy. Brakowało mu faktów.

Teraz jednak czuł się zupełnie dezorientowany. Franz Weber, wkurzony do granic możliwości, wpatrywał się w niego zza biurka. Sam go wezwał. I to przed południem! A zatem coś musiało się stać. Weber... potrzebował go. Ebeling z trudem powstrzymał wykwitający mu na ustach triumfujący uśmiech i chrząknął znacząco.

– Coś konkretnego? – zapytał tylko, nie bawiąc się w dyplomację.

Weber skrzywił się jeszcze bardziej i sięgnął do szuflady po listek tabletek przeciwbólowych. Myśl, że miałby ponownie zwrócić się o pomoc do Ebelinga, z pewnością napawała go obrzydzeniem. Wetknął do ust pastylkę i popił wodą. Westchnął ciężko i rzucił na blat biurka dużą kopertę, z której zaczął wyjmować jakieś fotografie. Ebeling zamarł. To była ona. Marlene. Pochylił się nad fotografiami



i natychmiast ogarnął go niewysłowiony smutek na widok pięknej, choć śmiertelnie bladej twarzy, zamkniętych oczu o nienaturalnie długich rzęsach i burzy ciemnych loków, z jednej strony zlepionych krwią. Na tym boku musiała leżeć, z policzkiem na dłoni. Niemal na krwawiącym nadgarstku. Serce zaczęło mu bić szybciej i Ebeling wziął głęboki wdech. Czuł przyływ złości wobec tego „kogoś”, kto pozwala, by na świecie działały się takie rzeczy. Co zrobiła Marlene? I dlaczego ją za to ukarano?

– Jediną przyczyną zgonu nie było podcięcie żył – przemówił Weber bezbarwnym głosem. – Dziewczyźnie zadano najpierw cios w brzuch. Ale od tego od razu nie umarła. Ktoś pociął jej nadgarstki, kiedy jeszcze żyła. Serce wciąż pompowało krew.

Ebeling podniósł wzrok na komisarza.

– Ten cios – zaczął powoli – mógłby sam w sobie okazać się śmiertelny?

– Gdyby nie udzielono jej pomocy na czas. To oczywiste. Ale nie trafił w tętnicę, ostrze ominęło też ważniejsze organy. Więc miała chwilę...

– Tylko że ktoś tę chwilę wykorzystał inaczej – dodał w zadumie Ebeling i lekko się wzdrygnął. – Morderca nie tracił czasu.

– Ano nie. Słuchaj, Ebeling...

– Po co to właściwie zrobił? – przerwał mu były komendant.

– Co konkretnie? – Weber znowu przyłożył dłoń do czoła. Ból głowy pewnie go nie opuszczał.

– No całą tę szopkę? Z podcinaniem żył, układaniem w określonej pozie, przypinaniem cytatu i tak dalej?

– Chciał nam coś powiedzieć.

– Naprawdę tak myślisz?

– A ty nie?

– Nie wiem. Nie pasuje mi do tego cios w brzuch. Który, jak sam mówisz, nie był aż tak groźny. Gdyby facet rzeczywiście planował określoną scenkę, to raczej otumaniłby czymś dziewczynę, później podciął jej żyły i jeszcze później upozował. Albo też nie nafaszerowałby jej niczym, tylko unieruchomił, podciął żyły i dalej już wedle tego samego scenariusza. Jeśli dobrze by się postarał, moglibyśmy... moglibyście wziąć nawet pod uwagę hipotezę o samobójstwie.

– Masz rację – przyznał niechętnie Weber. – Ja też o tym myślałem. Z raportu patologa wynika, że ten cios w brzuch zadano pewnie, silną ręką, ale nieprecyzyjnie. Pod takim kątem, jak gdyby...

– To był wypadek? Albo cios zadany w afekcie? Mężczyźni popatrzyli na siebie. Weber sięgnął po kolejną tabletkę przeciwbólową i przez chwilę obracał ją w palcach. Wreszcie skinął głową.

– Brałem to pod uwagę – powiedział.

– Widzieliśmy już w swojej robocie mnóstwo podobnych wypadków – dodał Ebeling i ponownie zerknął na fotografie.

– W takim razie o co chodzi z całą tą resztą?

– Sprawca się przestraszył. Myślał, że dziewczyna z tego nie wyjdzie, a pewnie wcześniej się jeszcze pokłócili. I tyle. Później spanikował i zaimprovizował scenkę à la Kokoschka, z pozą, cytatem i tak dalej. A podciął jej żyły, bo...

– To wydało mu się najszybszym i najpewniejszym sposobem w tamtej sytuacji?

– Chyba tak.

– Wiesz, że wszystko mogło rozegrać się zupełnie inaczej? Mógł to zaplanować, żeby właśnie tak wyglądało. Żebyśmy tak myśleli.

– Przecież wiem. Ale widzisz... Ciosy zadano narzędziem, któremu najlepiej odpowiada nożyk rzeźbiarski. Taki, wiesz...

– Rylec?

– Właśnie. Diabelnie ostry. W pracowni Bauera było takich narzędzi od jasnej cholery. Wszędzie się wałały. Różne, różniste, wszystkie, poza jednym. Tym, którego szukamy. Nie był na tyle głupi, żeby go umyć i ukryć wśród pozostałych noży. Sprawdzaliśmy każde narzędzie znalezione w tym mieszkaniu. I nic. Żadnych śladów krwi. Zabrał go stamtąd.

– Ernst Bauer? Nadal jest głównym podejrzanym?

– To by było za proste, co? Ja też tak myślałem. Tylko problem polega na tym, że Bauer zniknął.

– Uciekł?

– Pojęcia nie mam. Uciekł, porwali go, ukatrupili. Kurwa! Nie wiem. Ale zniknął. Do tego się ogranicza moja pieprzona wiedza.

Weber wyglądał na przybitego. Jego ruchy stawały się coraz bardziej nerwowe, a wzrok rozbiegany. Częściej przykładął dłoń do czoła. Ból musiał się nasilać. Poza tym wciąż dzwonił telefon na jego biurku, a za drzwiami, na korytarzu, wrzało. Ebeling stał się czujny. Dopiero teraz to zauważył. Jakaś osoba wetknęła na chwilę głowę do gabinetu komisarza, ale Weber zbył ją gestem. Coś się działo. Po to tu przyszedł. Nie dlatego, że Weber nagle zechciał streścić mu raport z sekcji zwłok Marlene Sachs. Nie dlatego nawet, że Ernst Bauer uciekł czy też zapadł się pod ziemię w innych okolicznościach. Nie, nie... Tutaj chodziło o coś zupełnie innego. A jednocześnie związanego ze sprawą. Ebeling uniósł brwi. Czekał. Na biurku Webera znowu zadzwonił telefon. Komisarz zaklął.

– Co jest? – nie wytrzymał Thomas. – Bo coś jest, prawda? Przecież widzę.

Młodszy mężczyzna utkwiał w nim udręczone spojrzenie. Zniknęła gdzieś niechęć i cicha rywalizacja. Teraz Weber przeobraził się w kogoś, kto znalazł się pod ścianą i stracił pole manewru, kto szuka po omacku wyjścia z sytuacji, która wydaje się skrajnie beznadziejna.

– Dziś rano w Lesie Wiedeńskim znaleziono zwłoki dziewczyny. Czekamy na sekcję, sprawa ma priorytet. Na razie wiemy tyle, że leżała twarzą do ziemi, a w szyję miała wbity...

Ebeling poczuł zalewającą go falę gorąca.

– Rylec?

– Tak. Identyczny jak te w pracowni Bauera. Którego to Bauera, przypominam, nie możemy zlokalizować.

– Zbadali to narzędzie?

– Nic ciekawego nie odkryli. Jedynie krew ofiary i odciski palców... również ofiary. Ostatecznie mogła złapać za trzonek, zanim nastąpił zgon. To prawdopodobne.

– Leżała twarzą do ziemi – powtórzył w zamyśleniu Ebeling. – To by mogło

znaczyć...

– Wiedziałem, że mi zaraz zaczniesz wyskakiwać ze swoją psychoanalizą. Tak, tak! Morderca mógł znać ofiarę i odczuwać względem niej wyrzuty sumienia. Albo też ułożył ją tak przypadkiem. Co nie? Albo specjalnie, żebyśmy robili teraz swoje wydumane profilowanie. Wiesz, jakoś to do mnie nie przemawia.

– Ale na wszelki wypadek lepiej tej tezy nie wykluczać – zaproponował ugodowo były komendant.

– Taaaaak. Nie zapytałeś nawet, kim była ofiara. Ebeling poderwał się z miejsca.

– A wiecie?

– Wyobraź sobie, że zdjęcie od roku znajduje się w bazie osób zaginionych. Choć nikt jej jakoś specjalnie nie szukał. Kilkoro znajomych doniosło o jej zniknięciu i na tym sprawa umarła. Nazywała się...

– Angie Hamilton? – zapytał słabo.

– Widzę, że jesteś na bieżąco – rzucił sarkastycznie Weber. Teraz obejmował już dłońmi całą głowę. Ebeling zignorował przytyk.

– Franz – zwrócił się do byłego podwładnego po imieniu. – Dlaczego mnie tu wezwałeś? Nie mogłeś wiedzieć, że słyszałem o tej dziewczynie. Z pewnością nie chciałeś też podyskutować ze mną o Bauerze i autopsji Marlene. A więc dlaczego?

Weber skrzywił się jeszcze mocniej, tak, jak gdyby zbierało mu się na wymioty. Odsunął szufladę i wyjął z niej kolejną kopertę ze zdjęciami. Tym razem było ich mniej. Rozłożył fotografie i bardzo powoli przeniósł wzrok na Ebelinga. Thomas wciągnął gwałtownie powietrze. Komisarz pokiwał smętnie głową.

– Tak, tak. Właśnie. Ostatnio, zdaje się, pytałeś o coś podobnego. A to konkretne coś znaleziono przy ciele Angie Hamilton. I przy tamtym... przy Marlene Sachs również leżała taka sama. Kropka w kropkę identyczna – powiedział i postukał palcem w pierwsze z brzegu zdjęcie.

Przedstawiało broszkę.

\*\*\*

Michael Niklaus przyjechał na Zentralfriedhof później niż zwykle. Bał się zjawić tutaj z samego rana. Słyszał o ucieczce Bauera, trąbiono o tym w radiu, a jemu samemu przekazano informację prosto z komisariatu. Ostrzeżono go. Bo przecież Bauer mógł być niebezpieczny, pozostawał głównym podejrzanym w sprawie o zamordowanie Marlene, a z Michaeliem miał osobiste zatargi. A jeśli chodziło mu o oboje? O rywala i wiarołomną kochankę? Z pewnością tak właśnie rozumowali tam, na policji, ale naprawdę... błędzi. Niklaus wiedział, że błędzi. I lepiej, aby ten stan nie za szybko uległ zmianie. Jeśli przestaną błędzić, to zrobi się niebezpiecznie. Przede wszystkim dla niego. Będzie

skończony, definitywnie. Nic mu nie pozostanie, oprócz śmierci. Już teraz Niklaus miał pewność, że Bauer po niego przyjdzie. Miał przecież doskonały powód. Idealny motyw, by go ukatrupić w najgorszy z możliwych sposobów. A nawet on nie wiedział wszystkiego. Nawet on! Nie spodziewał się, niczego nie podejrzewał. Był na to zbyt uczciwy. On, wnuczek szmuglerki i złodziejki. Dziwnie czasem układają się ludzkie losy.

Teraz należało dalej prowadzić tę grę. Dostał swoją szansę, tak jak mu obiecano. Zamierzał ją wykorzystać. Wiedział, że później z pewnością przyjdzie mu zapłacić wysoką cenę, a jednak chwila, którą obecnie żył, była tego warta. Czekał na nią latami. Nie sądził, że akurat to marzenie może się spełnić. Mówili co innego, wszyscy razem i każdy z osobna. Przekonywali go, by dał sobie spokój, ale się nie poddał. Czym były konsekwencje w obliczu takiego szczęścia? Co go czekało? Śmierć? Dobrze, zasłużył na nią. Ale zostanie zapamiętany. „W Wiedniu musisz umrzeć, żeby wypito twoje zdrowie. Ale potem żyjesz długo”. Tak mawiał Qualtinger i Niklaus bardzo lubił go cytować. Wydarzyło się już tak wiele, że nawet śmierć nie wydawała się przerażająca. Nigdy zresztą nie napawała go lękiem i nie zamierzał się w tej kwestii oszukiwać. Teraz jednak...

Skierował kroki w stronę starego kirkutu. Przemierzył dobrze już znaną alejkę i znalazł się pomiędzy porośniętymi bluszczem grobami. Zbliżył się do jednej z mogił, przyklęknął i wsunął dłoń pod skłębione łodygi. Jego palce nie napotkały żadnego kształtu. Niklaus miał wrażenie, że serce przestało mu bić. Wsunął dłoń głębiej i przez chwilę żałośnie zaciskał palce, które nadal niczego nie pochwyciły. Pustka. Nic. Tym właśnie był, bez swojej sztuki. Niczym. Tak się czuł. Z pustym plecakiem na plecach, z pustą głową, z pustymi dłońmi. Czy przyszedł już czas, by ponieść konsekwencje?

Marlene miała rację. Angie też.

Bez sztuki nie był nic wart.

\*\*\*

Odebrał po drugim sygnale. Kiedy usłyszała jego głos, przez chwilę nie mogła się odezwać. Ale Ingvar wiedział doskonale, kto do niego dzwonił, i nie zamierzał robić uników.

– Ana, to ty?

Musiała odpowiedzieć. Oparła się o ścianę i rozejrzała po przestronnym korytarzu. Była tutaj sama, a mimo to czuła, że brakuje jej prywatności. Przemknęła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Miała nadzieję, że nie straci zasięgu. Przekręciła zamek i ogarnęła ją cisza.

– To ja.

Ingvar wciąż czekał, aż się odezwie. Każdy na jego miejscu już by się rozłączył, ale

nie on. Ingvar miał niezliczone pokłady cierpliwości, za które zawsze go podziwiała. Gdzie teraz był? W Ystad? Na komisariacie czy w domu? Sam czy z Ester? Nie mogła go o to zapytać. Prywatne życie Ingvara Friska było już dla Anny niedostępne.

– Stało się coś?

Spodziewała się właśnie takiego pytania. Ingvar nadal dobrze ją znał. Nie zdążyła się zmienić na tyle, by stać się dla niego nieczytelną. Pomyślała, że to ostatni łącznik z przeszłością, z pewnym etapem życia, który został już zamknięty. Sama dokonała wyboru.

– Nie wiem – odpowiedziała wreszcie, żeby dłużej już go nie męczyć.

– Ana, wpakowałaś się w coś!

– Nie rozumiem, skąd ten pomysł.

Ingvar po drugiej stronie na chwilę umilkł, po czym roześmiał się. Był do tego zdolny. Do zadawania normalnych pytań, do żartów. Ze wszystkim już się uporał.

– Jestem w Wiedniu.

– Widziałem, że sprzedałaś dom – powiedział, jak gdyby informacja o tym, gdzie teraz przebywa Anna, w ogóle go nie obeszła.

– Tak. Byłeś tam? – wydało jej się to sensowniejsze niż „skąd wiesz?”.

– Byłem. – Ingvar najwyraźniej nie zamierzał owijać w bawełnę. – Nawet niedawno. Okolica pięknie się zazieleniła.

– Dlaczego tam pojechałeś?

– Nie wiem.

– Ingvar...

– No dobra, nie dzwonisz przecież po to, żebym ci opowiadał o moich wycieczkach do lasu. Co robisz w Wiedniu? Niech zgadnę. Masz tam coś do załatwienia. Coś tam się stało. Bo wybaczyć, ale nie uwierzę, że pojechałaś na koncert do opery i zjeść torcik Sachera. Odpada też muzeum Sissi w Hofburgu, bo ona akurat nigdy nie była twoją ulubioną postacią historyczną. A zatem? Co się stało? I jak mogę pomóc?

Tym razem Anna się roześmiała. Ale było w tym śmiechu coś smutnego, jakaś tęsknota i żal. Może nawet pretensja i zazdrość, że tak łatwo mu szło. Nie powinna się dziwić. Zostawiła go. Dobrowolnie zrezygnowała z tego, co mieli, i dokonała innego wyboru. A osoba, która się z tym wyborem wiązała, teraz przebywała w Neapolu i nie odzywała się.

– Thomas Ebeling – przeszła wreszcie do sedna. Musiała wziąć się w garść. – Pamiętasz go?

– Pamiętam. Emerytowany wiedeński komendant. Detektyw-pasjonat, jak Herkules Poirot. Nudzi mu się na emeryturze i ćwiczy szare komórki, wynajdując sobie ciekawe sprawy w gazetach i internecie, a potem próbuje się w nie wtrącać. Ja mu się nie dziwię. Stare nawyki zawsze się odezwą.

– Masz z nim ciągle kontakt?

– Mam. Niezbyt częsty, ale piszemy do siebie. Ostatnio zadzwonił nawet, żeby mi...

Ingvar urwał, a Annę coś ścisnęło za gardło. Jakimś cudem wiedziała, co chciał powiedzieć, ale i tak musiała to usłyszeć. Słowo powinno paść. Powinno sprowadzić ich

na powrót do właściwych ról.

– Żeby co? – zapytała i wstrzymała oddech.

– Żeby mi pogratulować. Napisałem mu o zaręczynach. Moich i...

– Wiem.

– Tak. A jak tam Valli? Jest z tobą w Wiedniu?

– Dojedzie – skłamała szybko.

– No dobra, to co z tym Ebelingiem?

– Potrzebny mi na niego namiar. Nie znam nikogo z tutejszej policji, a on na pewno ma jeszcze jakieś dojścia.

– Na pewno ma – zgodził się. – Czyli dobrze kombinowałem, że znowu w coś się wpakowałaś?

– Mniej więcej. – Nie miała ochoty wyjaśniać mu związku między tą sprawą a tym, co kilka miesięcy wcześniej robiła w Wenecji. Musiała jak najszybciej zakończyć rozmowę.

– Podam ci jego numer i adres, ale Ana, błagam... Uważaj na siebie! Proszę cię, nie rób głupot, nie działaj...

– Pod wpływem emocji? – wtrąciła się. Ostatnio przytrafiało jej się to często. Ingvar wcale się nie pomylił.

– Mniej więcej – powtórzył to, co sama przed chwilą powiedziała. – Bo przecież do niczego cię i tak nie zniechęcę. Prawda? Co ja mogę?

Ingvar wyrecytował numer telefonu i adres Thomasa Ebelinga, a Anna obracała w myślach jego ostatnie zdanie. „Co ja mogę?”. Co mógł? Co ona mogła? Babrała się w cudzym życiu, bo nadal nie potrafiła zająć się własnym. A Ingvar to potrafił.

– Dziękuję.

– Zapytałbym, czy mogę do ciebie zadzwonić i porozmawiać o postępach w tej twojej tajemniczej wiedeńskiej sprawie albo czy ty odezwiesz się do mnie, ale...

– Ale?

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – odparł szczerze.

– Ja też nie wiem. Zobaczymy, co będzie. Ingvar?

– Tak?

– Gratulacje – powiedziała i rozłączyła się.

Przez chwilę ścisnęła telefon mocno w dłoni. A później odetchnęła i wybrała numer Antonia.

## Rozdział 8

Inge Altman przyjechała na Rysergasse najszybciej, jak się dało. Czyli nie za szybko. Utkwiła w potężnym korku na prawie dwie godziny i osiągnęła już ten stan irytacji, w którym zawsze podłączała swojego iPhone'a do głośników i puszczała utwory ze składanki na „kryzysowe sytuacje”. Prym wiedli na niej Backstreet Boys i New Kids On The Block. Niestety tak właśnie było. Inge ogarniał wstyd za każdym razem, kiedy spadała z piedestału muzyki klasycznej, turlała się przez jazz, alternatywny rock, aż do poziomu popu i Mariah Carey. Mariah, która przynajmniej potrafiła śpiewać, była swoistym czyścem. Piekło znajdowało się bezpośrednio pod nią. Ogłupiająca, pulsująca prostym rytmem, zmuszająca do śpiewania w kółko tych samych refrenów otchłań *guilty pleasures*. Inge poddała się i ostatnie kilometry korka pokonała, skandując „get down, get down, and move it all around” i jeszcze „ooh baby you're so fine-/I'm gonna make you mine”. Uczucie wściekłości wróciło do niej, kiedy dotarła na Rysergasse i zobaczyła w oddali soczystą zieleń Lasu Wiedeńskiego.

Oni wszyscy musieli mieć jakąś obsesję na punkcie tego miejsca. Profesor Steinbeck tu mieszkał, jego bratanek i spadkobierca, a od niedawna także Michael Niklaus. Kupił sobie dom po tym, jak jeden z londyńskich kolekcjonerów nabył kilka rzeźb za „przyzwoitą” kwotę. Inge nigdy nie widziała czegoś podobnego. Niklaus był fenomenem. Żaden artysta nie robi w dzisiejszych czasach kariery w tak zawrotnym tempie. Trzeba swoje odczekać i wydeptać. Z drugiej jednak strony... nikt nie rzeźbi tak, jak on. Talent plus charyzma i wygląd, które wciąż kojarzyły się Inge z Egonem Schielem, zrobiły swoje. Niklaus był ulubieńcem artystycznych elit Wiednia, a może nawet całej Europy. Jego dzieła zostały dobrze odebrane za oceanem. Nic tylko korzystać z życia. Dlaczego zatem zadzwonił do niej z prośbą, by przyjechała, i mówił takim rozgorączkowanym tonem? Powinien pracować. Szykowali przecież wystawę z udziałem Rudolfa Steinbecka, a raczej – przy wykorzystaniu jego pieniędzy – i musieli jakoś wznieść się ponad szum związany ze śmiercią Marlene Sachs. Wszystko uzgodnili podczas tamtego spotkania, na które Inge pojechała razem z Niklausem prosto z cmentarza. Rudolf zgodził się pomóc, wreszcie. Należało dobrze to wsparcie wykorzystać. Z początku była pewna, że Michael da sobie radę. Cierpiał z powodu Marlene, ale nie pogrążył się w kompletnej rozpacz. Kiedy spotkali się na Zentralfriedhof, zachowywał się w miarę normalnie i to, co mówił, miało sens. Nawet jeśli w kilku punktach rozminął się z prawdą. Nieszczerólnie ją to obeszło. Trudno, każdemu się zdarza. Ważne było to, by nie zaczął wariować. By nie porzucił pracy.

Rysergasse znajdowała się na skraju Lasu Wiedeńskiego, a dom Niklausea wybudowano... w krzakach. Inge właśnie tak to zawsze widziała i nie docierały do niej argumenty, że należałoby raczej mówić o krzewach i małych drzewkach, które z czasem urosną, dając przyjemny cień w upalne letnie dni. Też coś! Nigdy nie rozumiała ludzi, którzy świadomie decydowali się na zamieszkanie w krzakach. I tyle. Zaparkowała auto na końcu asfaltowej uliczki i z niechęcią spojrzała na trawiastą alejkę. Jej szpilki źle to zniosą...

Po drodze zauważyła świeże ślady opon i urwany kołpak. Uśmiechnęła się

z satysfakcją. Kiedy pojawiła się tutaj po raz pierwszy, też popełniła ten błąd i spróbowała dojechać do domu Michaela swoim niskopodłogowym peugeotem. Od tamtej pory wiedziała, że na takiej drodze znacznie lepiej sprawdza się terenówka. Westchnęła z rezygnacją i wspięła się na niewielkie wzniesienie. Między znajomymi „krzakami” zauważyła białe ściany domu Niklause. Może wyglądało to ładnie, skąpane w intensywnym czerwcowym słońcu, ale mimo wszystko... Krzaki pozostawały krzakami.

Zapukała do drzwi. Gdzieś nad jej głową zaśpiewał ptak, którego nie potrafiła nazwać. Zapukała ponownie. Szczęknął zamek, poruszyła się klamka. I wreszcie go zobaczyła. Rozczochranego, zasmarkanego, z czerwonymi zapuchniętymi oczami. Przez chwilę nie mogła złapać tchu. Weszła do środka i chwyciła go za koszulę, która i tak była wymięta. Niklaus zakwilił jak dziecko i rozbeczał się na dobre. Śmierdział alkoholem, jeszcze nieprzetrawionym. Inge zerknęła do otwartego salonu, w którym walały się bryły drewna i kamienia, glina, brudne dłuta i skłębione szmaty. Dostrzegła coś jeszcze. Ogromną fototapetę przedstawiającą Wotrubakirche, kościół zaprojektowany przez Fritza Wotrubę, znanego wiedeńskiego rzeźbiarza i architekta. Przypomniała sobie, że Niklaus zawsze uważał go za swojego największego idola. Sam budynek znajdował się zresztą bardzo blisko. Czy dlatego właśnie Niklaus wybrał sobie to miejsce na swój dom?

Inge chwyciła go za ramię i pchnęła na kanapę. Po prostu pięknie. Przyszło jej niańczyć artystę z przerośniętym ego, który teraz pewnie urządzi popisową gradację i będzie chlapał przez godzinę, a dopiero później powie, o co chodzi. Nie cierpiała takich sytuacji. Sięgnęła do torebki po telefon i zadzwoniła do Phantastenmuseum, po czym poinformowała swoją asystentkę, że ma ważne spotkanie, które z pewnością potrwa kilka godzin. Dziś już do pracy nie wróci. Akurat, wyjątkowo, nie czekało tam na nią nic pilnego. To on był dla Inge pilny. Niklaus. Wokół niego wszystko się ostatnio kręciło. A teraz smarkał i beczał, jak uparty gówniarz, który pograża się w rozpacz z powodu zepsutej na wieki wieków zabawki. Zrzuciła czternastocentymetrowe szpilki i na boso przeszła do otwartej kuchni. W lodówce znalazła białe wino. Wolałaby coś mocniejszego, ale Michael nie wyglądał na takiego, co lubuje się w konkretnych alkoholach. Napełniła więc kieliszek ciecżą o obrzydliwym słomkowym kolorze i upiła łyk. Poczwała na języku kwaśny smak i z niechęcią pomyślała o tym, że do domu będzie musiała wrócić taksówką. W salonie Niklaus głośno wydmuchał nos i nieco się wyciszył. Uznała to za dobry znak. Wypiła wino, ponownie napełniła kieliszek i usiadła obok niego na kanapie. Pociągnął nosem. Inge przewróciła oczami.

– Nie mam dla ciebie całego dnia. – Nie wytrzymała. Ale zrobiła, co mogła, by jej słowa nie ociekały jadem. Była z siebie bardzo dumna.

– Miałaś przyjechać szybko.

– Utknęłam w korku. Może przejdźmy do rzeczy. Co się stało? Dlaczego do mnie zadzwoniłeś? I dlaczego histeryzujesz?

– Policja u mnie była.

Inge wreszcie usłyszała coś interesującego. Poczwała jednak ukłucie niepokoju.

– Odkryli coś nowego w sprawie Marlene?

– Nic nie słyszałaś? Od rana mówią o tym w radiu.



– O czym, do cholery? – Inge obróciła się w stronę Michaela. Dłoń, w której trzymała kieliszek, zadrżała.

– Bauer uciekł.

– Ach! Tak, słyszałam. To dlatego się mażesz? Boisz się, że wpadnie tu i ciebie też ukatrupi? Daj spokój! Jeśli faktycznie zwiął, to jest już daleko. Nie będzie się pakował tam, gdzie z pewnością zechcą go szukać. A zresztą, gdyby na ciebie też postawił krzyżyk, to chyba nie robiłby sobie przerwy, tylko załatwił was jedno po drugim. Przynajmniej ja bym tak zrobiła, ale nigdy nikogo nie zamordowałam, więc może teoria i praktyka nieco się w tej kwestii rozjeżdżają – powiedziała i wzruszyła ramionami.

Słowa Niklause odrobinę ją zaniepokoiły, ale nie mogła dać tego po sobie poznać. I tak zachowywał się już jak psychicznie chory. Trząśł się cały, drapał się po głowie i karku, zacierał ręce i mamrotał pod nosem coś, czego nie rozumiała. Kręcił głową jak zaszczute zwierzę – lub też tak, jak Inge wyobrażała sobie zaszczute zwierzęta – i wciąż pociągał nosem. Bał się Bauera. Był naprawdę przerażony. Dlaczego?

– Bauer uciekł. On... ma powód, żeby tu przyjść...

– Co ty mówisz? – Inge wyprostowała się gwałtownie i postawiła kieliszek po winie na podłogę.

– Nie, nic. Jest coś jeszcze. Słuchałaś tego radia?

– Kiedy? – Niklaus działał już jej porządnie na nerwy.

– No dzisiaj. Słyszałaś o Bauerze, więc może...

– O Bauerze słyszałam rano, w aucie. Później już nie miałam okazji śledzić najświeższych wiadomości. Niektórzy muszą pracować.

– No widzisz. A mówili ważne rzeczy.

– Michael, nie dam rady dłużej tego ciągnąć, wybacz.

Albo mów, o co ci chodzi, albo ja stąd znikam.

– W lesie... tym lesie – Niklaus machnął ręką w kierunku okna – znaleziono dziewczynę. Martwą. Miała ranę kłutą szyi, a cios zadano... rylcem. Takim, jakich ja mam całe mnóstwo. Policja twierdzi, że Marlene zamordowano podobnym narzędziem. Może nawet takim samym. I... i...

– O kurwa! – Inge poderwała się z kanapy i wpatrzyła w czubek głowy chłopaka. – I co? Mów!

– To była Angie Hamilton. Moja dawna modelka. Pozowała mi w zeszłym roku. Zniknęła nagle. Zapadła się pod ziemię. Nie zabrała nawet swoich rzeczy i policja uznała tę sprawę za zaginięcie. Wzięli mnie na chwilę pod lupę. Boże, jakie to było upokarzające! Myśleli, że coś jej zrobiłem, skoro tak nagle rozplynęła się w powietrzu. Ale nie znaleźli żadnych dowodów, zresztą... co mieli znaleźć? Uwielbiałem Angie! Związała się ze mną, choć jeszcze nikt mnie wtedy nie znał. Nie miałem pieniędzy, zalegałem z czynszem. Nawet żywiłem się byle czym. Ona była utalentowana. I to jak. Wszystkiego uczyła się sama, ale biła na głowę niejednego, pożał się Boże, „artystę” z dyplomem. Mieliśmy plany. Chcieliśmy stworzyć razem coś naprawdę wyjątkowego. Później bardzo mi jej brakowało. Nadal brakuje. I było mi tak przykro, że nikt jej nigdy nie szukał, nikt za nią nie tęsknił. Niezwykła, wyjątkowa osoba. – Michael znowu się rozszłochał. – Ja nie wiem... ile ty o niej... słyszałaś.

– Niewiele – przyznała cicho.

Nie odzywała się przez chwilę, usiłując jakoś to sobie poukładać. Pamiętała sprawę Angie Hamilton jak przez mgłę. Nie interesowała się wtedy Niklausem, bo on sam nie odniósł jeszcze żadnego sukcesu. Robił wokół siebie dużo szumu, ale to wciąż nie była sztuka. W Phantastenmuseum miał wtedy swoją niewielką wystawę Ernst Bauer. Ekspozycja nie cieszyła się zbyt dużym zainteresowaniem, bilans był wręcz ujemny. Bauer przekazał jej informację o zniknięciu „modelki Niklausa, tego dość kiepskiego rzeźbiarza, z którym przez moment studiował na jednym roku” w charakterze branżowej ciekawostki. Angie Hamilton była dla niej tylko obcym nazwiskiem. Ale teraz wszystko się zmieniło. Teraz Hamilton się znalazła. W Wiedniu. Martwa. Ktoś ją zamordował narzędziem rzeźbiarskim. Kurwa, co tu się wyprawiało? Ktoś był niebezpieczny i prowadził chorą grę. Kto? Ernst Bauer? Zniknął przecież. Nikt nie wiedział, gdzie przebywa. Nikt go nie kontrolował.

– Co teraz? – zapytała, kiedy Niklaus odrobinę się uspokoił.

– Nie wiem. Na razie powiedzieli mi, że nie mogę opuszczać miasta.

\*\*\*

Niebo zszarzało, kiedy Anna i Leon pojawili się na Hardeggasse, przed gustowną żółtawą szeregówką. W oknach Thomasa Ebelinga wisiały barwne firanki, a przed domem stał zabytkowy volkswagen w kolorze, który Anna określiłaby jako fuksję. Wszystko to razem wydało się jej bardzo ciekawe. Ktoś tutaj z pewnością usiłował iść pod prąd i miał osobowość tak barwną, jak przedmioty i urządzenia, którymi się otaczał. Czy był to sam Ebeling? A może jego żona? Chyba jakąś miał, ale o to już Ingvara nie dopytała. Stała przed żółtą szeregówką i nie wiedziała, czy dobrze postąpiła. Być może powinna najpierw zadzwonić i umówić się, tak jak nakazywały zasady grzeczności. Tylko bała się, że emerytowany wiedeński komendant nie będzie chciał z nią rozmawiać. W końcu sytuacja nie była zbyt prozaiczna. Anna sama tak do końca nie wiedziała, czego od niego oczekuje. Póki co błędziła, ale musiała przecież jakoś zacząć. Jeśli Ebeling ją stąd przegoni, znajdzie inny punkt, z którego będzie mogła wystartować. Czas jednak nie działał na jej korzyść, Ernst Bauer wciąż się nie odnalazł, a policja złożyła wizytę w domu na Ringu, by poinformować Chanę Sullam o zwłokach dziewczyny znalezionej w Lesie Wiedeńskim. Została zamordowana rylcem rzeźbiarskim. A Ernst Bauer przebywał nie wiadomo gdzie. Annie chciało się śmiać. To wszystko wydawało się zbyt oczywiste i zbyt nachalne. Albo ten Bauer działał w taki sposób celowo i chciał coś udowodnić, albo był idiotą, albo ktoś go w niezbyt subtelny sposób wrabiał.

– Wchodzimy? – odezwał się nieśmiało Leon.

– Jeszcze minuta – powiedziała.

– Co ci da ta minuta? – zirytował się.

– Kiedyś miałeś więcej cierpliwości. Poza tym pozwól, że ci coś przypomnę. Jesteś tutaj na zasadach wolontariatu.

– I lepiej od ciebie mówię po niemiecku – odciął się. Miał rację. Anna знаła niemiecki i przez kilka lat utrzymywała kontakty handlowe z wiedeńcami, z którymi prowadziła też obszerną korespondencję, ale Leon świetnie radził sobie z mową potoczną. Był w stanie porozumieć się tutaj z każdym, niezależnie od wieku i statusu społecznego, a ona nie potrafiła nawet porządnie w tym języku przekląć.

– Co powiedział Ingvar? – zapytał znowu, przestępując z nogi na nogę.

– Że bierze ślub z Ester.

Lajon spojrzał na nią zaskoczony i lekko się zaczerwienił.

– Mmmm... miałem na myśli raczej to, co ewentualnie mógł powiedzieć o tym całym Thomasie Ebelingu. Nie wiedziałem, że zdążyliście zahaczyć również o tematy egzystencjalne.

Anna zdjęła z nosa okulary słoneczne i wetknęła je sobie na czubek głowy. Zmrużyła oczy.

– O Ebelingu wiem tyle, że jest ciekawski i nudzi mu się na emeryturze. A to akurat dobrze. Okej, wchodzimy. To znaczy – zapukajmy może najpierw.

– Tak, myślę, że powinniśmy. Pogratulowałaś mu? Anna uniosła dumnie głowę i ruszyła w stronę drzwi.

Otworzyła im kobieta w turbanie na głowie i od razu wiadomo było, kto w tym domu odpowiada za wystrój wewnątrz. Poza turbanem miała na sobie czerwoną tunikę i klapki z koralikami. Anna mogła się założyć, że zabytkowy volkswagen także należał do niej. Ciekawe, jak prezentował się mąż tej kobiety? Emerytowany glina... Czy tęczą go pochłonęła? A może to była raczej córka Ebelinga? Kobieta wyglądała na jakieś czterdzieści, czterdzieści kilka lat, nie więcej. Uśmiechnęła się na ich widok i powiedziała uprzejmie „dobry wieczór”, jeszcze zanim którekolwiek z nich się odezwało. Należało jakoś wykorzystać jej pozytywne nastawienie.

– Dobry wieczór – odpowiedział szybko Lajon. – Nazywam się Leon Wit, a to moja koleżanka Anna Lindholm. Czy zastaliśmy pana Thomasa Ebelinga? Chcielibyśmy z nim porozmawiać. Pani Lindholm i pan Ebeling mają wspólnego znajomego. Ze Szwecji.

– Ze Szwecji? – powtórzyła kobieta, wyraźnie zaintrygowana. – To ciekawe. Mój mąż nigdy nie był w Szwecji.

Anna dostała gęziej skórki. Jasna cholera... Żle się to zaczęło. I jednak ta młoda kobieta faktycznie była żoną starego policjanta.

– Może ja... – zaczęła, ale pani Ebeling zachichotała.

– Lindholm, teraz kojarzę. Wejdźcie – odsunęła się i wpuściła ich do środka. Kiedy szli za nią do kolorowego salonu, usłyszeli jeszcze ciche, wypowiedziane raczej do siebie:

– Lindholm, ze Szwecji. Oczywiście, kojarzę. Niestety.

Zaprosiła ich gestem, by zajęli wściekle pomarańczową sofę, a sama gdzieś się ulotniła. Anna usiadła niepewnie i zerknęła na Leona. Uśmiechał się.

- Z czego się tak cieszysz?
- Twoje nazwisko chyba jej się za dobrze nie skojarzyło.
- Jestem zaskoczona, że w ogóle się skojarzyło. W życiu nie rozmawiałam z jej mężem. Ingvar musiał coś o mnie wspomnieć.
- Nie odpowiedziałas na moje pytanie – szepnął.
- Które? Ciągle o coś mnie pytasz, jak pięcioletnie dziecko ze słowotokiem.
- Czy mu pogratulowałaś?

Nie zdążyła wygłosić ciętej riposty, którą już sobie przygotowała na tę okoliczność. W salonie zjawił się bowiem bardzo interesujący mężczyzna. Koło sześćdziesiątki, cały odziany w dżins, z długimi siwiejącymi włosami, które opadały mu na ramiona. Wyglądał dość ekscentrycznie, ale Anna zwróciła przede wszystkim uwagę na jego oczy. Błyszczące z podekscytowania. Rozejrzała się dyskretnie po kolorowym wnętrzu. Ebelingowie wyglądali trochę jak hipisi i nagle przyszło jej do głowy, że może też coś... hm... zażywali?

Zanim zdążyła się odezwać, przywitać, przedstawić i wyjaśnić przyczynę najścia, w salonie na powrót zjawiła się pani domu. Trzymała tacę, na której ustawiła cztery wysokie szklanki wypełnione zieloną ciecżą.

– Wyjątkowy zbieg okoliczności! – zawołała radośnie. – Akurat zrobiłam koktajl z jarmużu. Starczy dla wszystkich.

Leon zacharczał cicho, a Anna pomyślała jedynie o tym, że Ingvar poczułby się u Ebelingów jak u siebie. Kto wie – może dlatego korespondencja między młodszym policjantem ze Szwecji i starszym policjantem z Austrii aż tak rozkwitła? Bo chłopcy znaleźli sobie jakąś wspólną odskocznnię od szarej rzeczywistości? I gdy omawiali poszczególne przypadki sadystycznych morderców i zwyrodniałych zbrodniarzy, wymieniali się przepisami na koktajl z jarmużu i kotlety z ciecierzycy? Każdy potrzebuje hobby.

Anna uśmiechnęła się, nieco zbyt szeroko, i podziękowała.

– Przepraszam za najście – zaczęła. – Panie komendancie, Ingvar Frisk, mój dawny... s z e f z Ystad bardzo pana chwali. Dlatego też ośmieliłam się tutaj przyjść i prosić o pomoc. Jeśli uzna pan, że to z mojej strony bezczelność, proszę pokazać mi drzwi. Chodzi o...

Zaczerpnęła tchu i streściła mu wydarzenia ostatnich kilku dni. Przyznała, że przyjechała na prośbę Chany Sullam, ale nieco przekłamała ich wspólną historię. Wedle przekazanej Ebelingowi wersji Anna i Chana poznały się w Wenecji, gdzie obie spędzały urlop i bardzo się polubiły. Chana mieszkała na stałe w Belgii, a jej wnuk przeniósł się do Wiednia. Starsza dama nikogo tutaj nie zna, więc pierwsze, o czym pomyślała, to telefon do Anny. Można sobie było pozwolić na takie drobne kłamstewko. Nawet jeśli Ebeling jakimś cudem słyszał o morderstwach popełnionych w Wenecji podczas ostatniego karnawału, nigdzie nie natknął się na nazwisko Chany. Nikt o niej nie wspominał. Anna nie miała ochoty tłumaczyć policjantowi, emerytowanemu czy nie, że przyjechała tutaj na prośbę osoby, która handlowała kradzionymi diamentami. Nie sądziła, by pomogło jej to w budowaniu dobrego wizerunku.

Thomas Ebeling zachowywał się dziwnie. Chodził po pokoju z dłońmi splecionymi

za plecami, to znów przystawał i drapał się po brodzie, chwycił szklankę, upijał łyk koktajlu z jarmużu, krzywił się, odstawiał szklankę i zaczynał spacer od nowa. Poza tym jego oczy błyszczały coraz bardziej. Anna nie miała pojęcia, jaka nielegalna substancja tak go nakręciła, ale musiała być bardzo dobra. Zerknęła na żonę mężczyzny. Siedziała na oparciu fotela i patrzyła w okno. Sprawiała wrażenie osoby kompletnie znudzonej tematem.

Kiedy Anna skończyła swoją opowieść i umilkła, pani Ebeling zachęciła ją i Leona do poczęstowania się zieloną ciecżą. Nie mieli wyjścia. Anna sięgnęła po dwie szklanki i jedną podała przyjacielowi. Przyjął ją bez nadmiernego zachwytu. Thomas Ebeling usiadł naprzeciwko nich i zatarł ręce.

– Nie ukrywam, że ta sprawa mnie interesuje – powiedział uroczystym tonem.

Jego żona prychnęła – prawie tak, jak zazwyczaj prychnęła Lempi – i wstała.

– To ja może was zostawię. Trupy są nie dla mnie, wybaczenie – oświadczyła i zniknęła w korytarzu.

Ebeling uśmiechnął się przepaszająco.

– Diane uważa, że przesadzam – wyjaśnił.

Anna doskonale wiedziała, o co mu chodziło, nawet jeśli nie uściślił, z czym niby miał przesadzać. I nagle poczuła, że świetnie tego człowieka rozumie. Herkules Poirot chciał przejść na emeryturę i hodować dynie, ale zaczął się nudzić i dogoniło go przeznaczenie. Thomas Ebeling musiał ze względów zdrowotnych odejść ze służby, a jednak nie potrafił uspić swojej własnej natury, która raz po raz dawała o sobie znać. Potrzebował w jakiś sposób dawkować sobie adrenalinę, ćwiczyć szare komórki, by nie wyjść z wprawy. Czy ją też właśnie taki los czekał? Nie odpuści sobie do końca życia, nawet jeśli odejdzie z policji na dobre? Nawet jeśli... już odeszła? Finał Herkulesa Poirota w powieści *Kurtyna* nie napawał optymizmem.

– Rozumiem – odezwała się po chwili, bo Ebeling najwyraźniej milczał w oczekiwaniu na jej reakcję.

– Kogo pani rozumie? Diane czy mnie?

– Pana – odrzekła bez wahania, a Ebeling wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Mów mi Thomas.

– W takim razie ty mów mi Anna. A to...

Przekręciła głowę, nagle przypomniawszy sobie o obecności Leona. Siedział wciśnięty w róg sofy i ze zboląłą miną sączył jarmuż w płynie. Poderwał głowę i zamachał wolną ręką.

– Leon, miło mi. Albo Leo. Ewentualnie Lajon, ale to już dawne dzieje – bąknął.

– Leo? – powtórzyła mechanicznie. – Yyyy... Tak, to mój przyjaciel. Przyjechaliśmy tu razem.

Zabrzmiało to wyjątkowo niemądrze i Anna poczuła się jak podczas gry w podchody. Przez chwilę wydawało jej się, że wszystko tutaj jest tylko zabawą. Ona się bawi, Leon się bawi i nawet ten siwy hipis. Wynaleźli sobie interesującą rozrywkę, by uniknąć myślenia o rzeczach naprawdę ważnych. O życiu, zdrowiu, osobach, które się skrzywdziło. O odpowiedzialności za siebie i innych, której z tchórzostwa nigdy się nie podjęło. A przecież to nie była do końca prawda. Ktoś stracił życie. Ktoś był podejrzany

o zbrodnię. Ktoś zniknął i jeszcze ktoś cierpiał, bo nie wiedział, czy osoba, którą kochał, byłaby zdolna do morderstwa. Anna świetnie знаła ten stan. Rozumiała Ebelinga, ale doskonale wiedziała też, co czuła Chana Sullam. Może o to właśnie chodziło? O analogię?

– Dobrze się czujesz? – zapytał Thomas, wrywając ją z zamyślenia.

– Tak, tak, wszystko w porządku – zapewniła. Nie uwierzyli jej. Ani jeden, ani drugi.

Thomas znowu zaczął krążyć po pokoju i zachowywać się jak osoba pod wpływem substancji pobudzającej, a Leon z determinacją kończył koktajl. Wreszcie emerytowany komendant przystanął, chwycił telefon komórkowy i przez chwilę ścisnął go w dłoni.

– Tak ogólnie to nie podoba mi się, że osoby prywatne i zupełnie niezwiązane z tą sprawą zamierzają się w nią mieszać – oznajmił. – Ale z tego, co opowiadał o tobie Ingvar, wnioskuję, że i tak sobie raczej nie odpuszczysz. Więc może faktycznie lepiej będzie trzymać się razem.

– Ty też jesteś osobą prywatną, niezwiązaną ze sprawą. Nie cieszysz się, że jest nas więcej? – zauważyła jak najuprzejmiej. – W grupie różnie – dodała cicho.

Ebeling zaczerwienił się. Odgarnął z czoła siwą grzywę i podał jej telefon.

– Dziś rano spotkałem się z komisarzem, który prowadzi sprawę zabójstwa Marlene Sachs. Powiedział mi kilka ciekawych rzeczy, ale najpierw zerknijcie na to. – Otworzył katalog ze zdjęciami i wybrał jedną z fotografii.

Anna spojrzała na ekran. Leon przysunął się bliżej i zerkał jej przez ramię. Od razu wiedziała, na co patrzy. Znała ten symbol bardzo dobrze i nie miała wątpliwości, że jej przyjaciel również bez problemu go zidentyfikował. Przy okazji zauważyła, że przedmiot na zdjęciu jest bardzo piękny i z pewnością kosztowny, wykonany z ogromną precyzją mistrzowską ręką. Broszka. Ozdoba, biżuteria. W Wenecji też miała do czynienia z jubilerem. Dziwne, jak wszystko się w życiu powtarza.

Oddała Ebelingowi telefon i usiadła wygodniej. Poczwała, że budzi się w niej ciekawość. Wymieniła z Thomasem porozumiewawcze spojrzenia.

– Dwugłowy orzeł. Godło Habsburgów. W Wiedniu wszędzie go pełno – zauważyła. – Widnieje nawet na dachu katedry świętego Szczepana.

– Taką broszkę znaleziono przy ciele Marlene Sachs – powiedział powoli Ebeling.

– Domyśliłam się.

– Ale to nie wszystko. Identyczną znaleziono dzisiaj w lesie, przy ciele innej dziewczyny, zamordowanej najprawdopodobniej takim samym narzędziem.

Anna poczuła na plecach nieprzyjemny dreszcz. Wstała z kanapy i utkwiała wzrok w emerytowanym komendancie. Dobrze wiedziała, o czym mówi, ale poznała zbyt mało szczegółów, by się w tej kwestii szczegółowo wypowiedzieć.

– Innej dziewczyny? Tej, o której od rana mówią w radiu? Chanę Sullam odwiedził dziś policjant, by ją o wszystkim poinformować i zadać kilka pytań. Bo przecież Ernst Bauer zniknął, a wciąż jest głównym podejrzanym w sprawie zamordowania Marlene Sachs. I zdaje się, że znał również Angie Hamilton.

– Czyli już o niej wiecie?

– Niestety bardzo niewiele.

Ebeling przystąpił do relacjonowania przebiegu swojej wizyty u komisarza Webera, a Anna miała wrażenie, że ta sprawa zaczyna dla wnuka Chany Sullam wyglądać coraz gorzej. Ernst Bauer zniknął. W tym samym czasie ktoś zamordował dziewczynę i podrzucił jej ciało do lasu, ale w miejsce, gdzie bez problemu zostało znalezione. Do tego dochodziła broszka. Identyczna u obu ofiar. Znak rozpoznawczy? Informacja? Wskazówka? Ernst... czyżby to jednak on był winny?

## Rozdział 9

Budzik zadzwonił punktualnie o szóstej. Ulrike Seinfeld w okamgnieniu odrzuciła kołdrę i usiadła na łóżku, wyprostowana jak żołnierz gotowy do musztry. Ziewnęła i podeszła do okna, by odsunąć zasłony. Na zewnątrz siał deszcz, smagając drobnymi kroplami szybę, a ciemne chmury zwieszały się ciężko nad ziemią. Pozostałość po burzy. Tej nocy, właśnie przez pioruny, Ulrike nie mogła spać. Przewracała się z boku na bok i zaciskała powieki za każdym razem, kiedy niebo rozcinała błyskawica. Od dziecka bała się burzy, ale teraz było jeszcze gorzej. Wszystko źle na nią wpływało – to mieszkanie, pokój, którego nie знаła, dobrej jakości pościel, w której nikt przed nią nie spał, i wreszcie ludzie, którym nie potrafiła zaufać. Dzieliła z nimi przestrzeń, ale czuła się wyizolowana, a do tego... całkiem samotna. Wczorajszego wieczoru, kiedy kładła się spać, rozpamiętując kolację w milczącym towarzystwie Chany Sullam, poczuła, że nie ma na świecie ani jednej osoby, z którą mogłaby porozmawiać o sytuacji, w jakiej się znalazła. Z rodziną zerwała kontakty już dawno, a do garstki wiedeńskich przyjaciół obawiała się zadzwonić. Przecież pracowała u Ernsta Bauera, którego podejrzewano o dokonanie morderstwa. Bała się, że kontakty z nią mogą na kogoś sprowadzić kłopoty. Nawet jeśli sama nie miała ze śmiercią Marlene nic wspólnego. Chwilami zastanawiała się, dlaczego jeszcze nie awansowała na jedną z głównych podejrzanych. Komisarz, który ją przesłuchiwał, powiedział wprawdzie, by nie opuszczała miasta, ale nie wysilił się nawet na jedną przyzwoitą aluzję. Ulrike Seinfeld nie widziano w roli morderczyni, a przecież takiej zbrodni akurat byłaby w stanie dokonać. Podciąć żyły Marlene... O tak, nie raz marzyła o tym, by zrobić jej krzywdę. Nie cierpiała tej głupiutkiej panienki. Prawie zniszczyła Ernsta. Powinna wiedzieć, że artyści bardzo się wszystkim przejmują, i załatwić to całe „zerwanie” nieco inaczej. Ale ona musiała być zmiją do samego końca. Powiedziała mu, że jest miernotą. Nie mógł się pozbierać przez pół roku. Ulrike bardzo mu współczuła, choć w głębi serca nie miała pojęcia, o co tyle szumu. Na całym świecie ludzie schodzą się i rozchodzą każdego dnia.

O żyłach Marlene Sachs pomyślała w nocy, podczas burzy. Dokładnie w momencie, kiedy zwlekła się z łóżka, żeby zaciągnąć zasłony. Pod kołdrę wróciła biegiem, jak gdyby błyskawice usiłowały osiągnąć tylko jej jednej na świecie. Przyłożyła głowę do poduszki, ale oczu nie była w stanie zamknąć. Żyły Marlene. Drobne dłonie i chude nadgarstki. Cała postać chuda, wiotka. Dlaczego od razu pomyślała, że zabił ją mężczyzna? Równie dobrze mogła tego dokonać kobieta. Tylko jak? Czy oprócz podciętych żył było coś jeszcze? Jakaś inna rana? Ulrike mieszkała w rzeźni przez całe swoje dzieciństwo i o zadawaniu śmiertelnych ran wiedziała sporo. Zwierzęta czuły zagrożenie instynktownie i wierzgały, walcząc o życie. Marlene przecież... również musiała walczyć. A może na to pozwoliła? Mieli przecież z Ernstem ten swój chory „moment”, kiedy fascynowali się zagadnieniem samobójstwa. Czytywali książki i artykuły na temat syna cesarzowej Sissi i jego kochanki, którzy odebrali sobie życie w pałacyku Mayerling. Dlaczego? Nikt tego dokładnie nie wiedział. Jedni mówili, że z miłości, a inni – że arcyksiążę po prostu chciał to zrobić i szukał kandydatki, która udałaby się z nim w drogę do lepszego świata. Ponoć kilka mu wcześniej odmówiło,



w tym znana wiedeńska kurtyzana Mitzi Caspar. Ale Ernst i Marlene więcej filozofowali niż działali. Nie zdobyliby się na podobny akt. Za bardzo byli zapatrzeni w czubki własnych nosów, jedno i drugie za bardzo kochało siebie. Marlene nie odebrała sobie życia, ktoś ją zamordował, a jednak niekoniecznie mężczyzna. Z takim chuchrem poradziłaby sobie także przeciętnie wysportowana kobieta. Ulrike, wzdrygając się na dźwięk kolejnego grzmotu, pomyślała, że powinna chyba mieć jakieś alibi. Była wyższa od Marlene i silniejsza, bo od kilku ładnych lat pracowała fizycznie. Kto jeszcze pasowałby na idealną podejrzaną? Kto „przewinął” się przez mieszkanie i pracownię Ernsta? Wiele osób, wiele kobiet. A wśród nich Inge Altman z Phantastenmuseum...

Inge uważała, że Ernst jest przeciętnym rzeźbiarzem i przez swoją zachowawczość nigdy nie zrobi wielkiej kariery. Dlatego zajęła się Niklausem, który chciał być drugim Fritzem Wotrubą czy jakimś innym kimś, kto nie oglądał się na trendy, tylko podążał za tym, co dyktowała mu wyobraźnia. Ale przed erą Niklause Inge interesowała się przecież Ernstem, dała mu szansę w Phantastenmuseum. Wiedziała, że uwielbiał go jej ukochany profesor Steinbeck z Akademii Sztuk Pięknych. Chyba nawet coś między nimi było, a przynajmniej Ulrike odniosła takie wrażenie. Mówiąc bez ogródek: Altman nie była do końca obojętna na wdzięki Ernsta. Ich relacja jakoś się jednak rozmyła. Trudno było zauważyć wyraźny początek i definitywny koniec. Ulrike myślała nawet, że to wszystko mogło jej się tylko wydawać, ale co jakiś czas przypominała sobie tamten poranek w mieszkaniu Ernsta na Salzstrasse... Przyszła posprzątać i w drzwiach minęła się właśnie z Inge. O siódmej rano. Później w jego sypialni znalazła damskie rajstopy. Wiedziała, do kogo należały. Tylko Altman spośród znanych Ernstowi kobiet była taka wysoka, nawet bez swoich nieodłącznych kilkunastocentymetrowych szpilek. Szef zachowywał się tamtego ranka dziwnie, od euforii przechodził do wściekłości, uśmiechał się słodko, po czym trząskając szufladami, bo nie mógł znaleźć jakiegoś pędzla. Kiedy wreszcie wyszedł do pracowni, odetchnęła z ulgą. A sytuacja z Inge więcej się nie powtórzyła. Albo też Ulrike nie była jej świadkiem.

Czy Inge Altman miałaby motyw, by zamordować Marlene Sachs? Fizycznie byłaby do tego zdolna. Ale po co miałaby to robić? Nie kontaktowała się z Ernstem od kilkunastu miesięcy lub też kontaktowała się tak, że nikt nic nie wiedział. Czy miała motyw? Inge – Ernst – Marlene – Niklaus. Wszyscy jakoś ze sobą powiązani. A może Ulrike niewiele wiedziała? Może nie wiedziała nic? Wreszcie jej powieki opadły i pogrążyła się we śnie.

Teraz jednak wszystko, o czym myślała w nocy, wróciło do niej jak wspomnienie burzy. Czuła, że powinna o tym komuś powiedzieć. Może Annie Lindholm? Po coś tu w końcu przyjechała. Ulrike nabrała ochoty na zwierzenia, ale Lindholm i ten jej bodyguard wrócili do domu po północy. Chichotali w korytarzu, że mokro i deszcz pada... Szeptali coś do siebie, a później poszli do pokoju – na sto procent do tego samego. Ulrike bardzo im zazdrościła. Szeptu, chichotu w korytarzu i zamykania drzwi na klucz, który szczękniętą w zamku nieco zbyt głośno. Co robili, kiedy już przebrzmiało echo tego dźwięku? Ulrike nakryła głowę poduszką, żeby niczego sobie nie wyobrażać. Nie myśleć o tym, że jest zupełnie sama. Czy powinna pójść do Anny Lindholm? Podzielić się z nią swoimi wątpliwościami i podejrzeniami? Tak, robi to. Najpierw jednak pojedzie

w jedno miejsce. Przygotuje śniadanie, sprzątnie w kuchni. Zostawi kartkę, że wyszła na zakupy. I pojedzie. Może tam natrafi na jakiś ślad Ernsta.

\*\*\*

Delikatne stukanie deszczu o szyby doprowadziło Inge Altman do skrajnej irytacji. Otworzyła oczy i wpatrzyła się w dwa wielkie okna dachowe. Nie rozumiała, jak Michael mógł tutaj sypiać na co dzień. W pokoju było jasno nawet po zmroku, a podczas pełni musiał mieć tutaj prawdziwy dzień polarny. Mimo to Niklaus nie zainstalował rolet. Każdego wieczoru kładł się właśnie tutaj i przed zaśnięciem patrzył w niebo. Nie zapytała go, czy miewał kłopoty ze snem. Ona sama na pewno nie położyła się tutaj po to, by spać, a przynajmniej – nie tylko po to. Teraz, o szóstej piętnaście, w deszczowy szary poranek, była na siebie wściekła. Za dużo rozmów, za dużo empatii, za dużo chęci przypodobania się swojemu najważniejszemu artyście i przede wszystkim – za dużo wina. Wina, którego nie znosiła, po którym nadal paliło ją w gardle. Źle na nią podziałała opowieść o dziewczynie zamordowanej w lesie. O Angie Hamilton, byłej modelce Niklause, która zniknęła nagle, rok temu. I na dodatek jeszcze to narzędzie zbrodni. Takie samo lub podobne do tego, którego użyto, by pozbawić życia Marlene. Angie. Marlene. Dwie głupie... zdziury. Inge nie cierpiała takich dziewczyn. Próbowwały udowodnić, że są coś warte, pchając się do łóżka wartościowym osobom. Ta Hamilton ponoć trochę potrafiła rzeźbić, ale Sachs? Jedyne, co miała, to ładna buźka i figura dziecka. Artyści lubią takie modelki. Lubili od lat. Jeden Rubens się wyłamał i postawił na wieloryby z cellulitem. Nikt natomiast nie chciał rzeźbić ani malować wysokich, płaskich patyków bez bioder. Takich jak Inge. Inge mogłaby zrobić karierę w branży modowej, ale nie jako modelka artystów. Profesor Steinbeck powiedział to kiedyś bardzo wyraźnie. Nie żeby kiedykolwiek chciała pozować, ale zrobiło jej się wtedy przykro.

Angie. Skąd, do cholery, nagle wzięła się w lesie?

Martwa?

Inge obróciła się na bok i zerknęła na podłogę. Szlag by to jasny trafił. Na parkiecie walały się jej ciuchy – piękny i drogi kostium, teraz całkiem wymięty, i biała jedwabna bluzka. Będzie musiała jakoś dotrzeć w tym do domu i przemknąć przez klatkę schodową. Kiedy zrzuciła z siebie to wszystko, nie myślała za wiele. I mało pamiętała. Zero szczegółów. Była pijana, Michael też. Obojgu nie dopisywały humory. Inge nie miała ochoty dzwonić po taksówkę ani też odbierać setki telefonów. Wiedziała, że wszyscy pracownicy Phantasten słyszeli już o dziewczynie z lasu i zniknięciu Bauera. Domyślała się też, kto będzie najgorszy i najbardziej w związku z tym natarczywy. Rudolf Steinbeck. Bratanek profesora. Miał przecież zainwestować w wystawę. I oczywiście musiał się znaleźć nowy trup, który za życia znał Niklause. Dlaczego nie?

Inge nie wiedziała, co odczuwa mocniej. Strach czy złość. Wszystko się sypało. Po raz pierwszy od dawna traciła kontrolę nad sytuacją. Musiała się odstresować i stąd ta głupia decyzja. Ona i Michael. Przecież to jakaś farsa! Z Ernstem Bauerem też wylądowała w łóżku, ale tamta sprawa była zupełnie inna, Bauer ją pociągał, bardzo pociągał nawet... Ale Michael? Był śmieszny i żaloszny, wkurzał ją co pięć sekund, i bronił się jedynie talentem, który niewątpliwie posiadał. W życiu by nie pomyślała, że otrze się o aż taką desperację. Nie potrafiła nawet przypomnieć sobie, kiedy to się dokładnie stało. W jednej chwili siedzieli na sofie i pili wino. On chlipał, ona usiłowała zachować cierpliwość. W drugiej – leżeli na podłodze i Michael wsuwał dłonie pod jej spódnice. Zanim zdążyła się nad tym wszystkim zastanowić, było za późno. Nie broniła się. Chciała tego. Ale późniejszych wydarzeń – niestety albo na szczęście – już zupełnie sobie nie przypominała.

Inge Altman spędziła noc z Michaeliem Niklausem i teraz musiała jakoś z tym żyć. Musiała jakoś pracować. Poukładać wszystko w miarę sensownie. Obrócić sytuację na swoją korzyść. Z tą myślą wstała z łóżka i z obrzydzeniem wciągnęła na siebie wczorajsze ubranie. Miała zamiar doprowadzić się w łazience do względnego porządku i poinformować Michaela, że wychodzi, kiedy zdała sobie sprawę z panującej wokół głuchej ciszy. Tylko deszcz wciąż dzwonił o szyby. Dlaczego właściwie Michael już nie spał? Gdzie był?

Z bijącym coraz szybciej sercem wybiegła z sypialni. Nie знаła topografii tego dziwnego domu usytuowanego w krzakach, ale uznała, że najlepiej popędzić na dół. Zdyszana wpadła do salonu. Pusto. Poczowała, jak ogarnia ją panika.

– Michael?

Wołanie pochłonęła ta sama głucha cisza, która gryzła ją w uszy na górze. Rozejrzała się i pobiegła do kuchni. Pusto.

– Michael?!

Nadal nic. Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu Inge zapiekły oczy. Chciało jej się płakać. Wiedziała, że to ze strachu. Oddychała coraz szybciej, a jej gardło zaciskało się mocniej z każdą sekundą. Obróciła się na pięcie i pognęła do łazienki. Przez szparę w drzwiach zobaczyła, że pali się w niej światło. Przystanąła. Cisza, nadal cholerna cisza. Pchnęła drzwi i zmrużyła oczy. Pomieszczenie zawirowało jej przed oczami. Wszystko zawirowało. Umywalka, prysznic, wanna, białe ręczniki na wieszakach i czarny szlafrok rzucony na pralkę. I on. Na podłodze. Zgięta w pół postać z krwawymi ranami na nadgarstkach.

\*\*\*

Annę obudził dźwięk zamykanych drzwi. Spojrzała na ścienny zegar. Dochodziła

ósma. Kiedy tylko otworzyła oczy, od razu poczuła ukłucie niepokoju. Nie wiedziała, skąd się wzięło. Bała się też wykonać najdrobniejszy ruch. Jego obecność w tym pokoju była namacalna. Słyszała oddech, wyczuwała ułożenie ciała i zapach. Z wolna wracały do niej wspomnienia wczorajszego wieczoru. Spotkanie z Ebelingiem, rozmowa o śledztwie, nowe fakty i informacje o martwej dziewczynie w lesie, koktajl z jarmużu i kolacja, na którą zaprosiła ich żona byłego komendanta. Zasiedzieli się. Anna miała wrażenie, że z tej znajomości mogło wyniknąć coś sensownego, że ona i Thomas byli w stanie pomóc sobie nawzajem. Kiedy wracali z Leonem na Ringstrasse, znowu rozmawiali o Ingvarze i jego planowanym ślubie z Ester, a później też o Vallim. Dzwoniła do niego. Rozmawiali. Przeprosili się. On powiedział, że w Neapolu wszystko w porządku i panuje nad sytuacją. Ona poprosiła go, żeby się nie martwił. Tak, rozmawiali, a jednak nadal czuć było między nimi napięcie. Anna tęskniła za Antoniem, za jego głosem, cynicznym uśmiechem i sarkastycznym poczuciem humoru. Miała wrażenie, że już tworzy z nim całość, i nie wiedziała, czy nie jest na to za wcześnie. Musiała się zredukować, przestać myśleć choć na chwilę. Zapomnieć się. Dlatego poszła z Leonem... gdzieś. Nie pamiętała już nazwy tego klubu. Przypominała sobie jedynie smak alkoholu, którego zresztą wcale nie wypijała tak dużo. Pamiętała też twarz Leona i jego oczy. Jego sylwetkę w oddaleniu od swojej. Co najmniej pół metra. Szanował przestrzeń Anny. Skąd zatem wziął się tutaj? Myślała, że nic jej wczoraj nie umknęło, żaden szczegół.

Odważyła się wreszcie i spojrzała w bok. Leon spał na plecach, z jedną dłonią wsuniętą pod głowę. Brązowe włosy opadały mu na oczy, klatka piersiowa łagodnie falowała. Miał na sobie koszulkę, a to był naprawdę bardzo dobry znak. Anna miała nadzieję, że od pasa w dół również był w coś odziany, ale bała się zajrzeć pod kołdrę. Spali pod wspólną i już to wystarczyło, by poczuć lekkie przygnębienie. Uniosła się na łokciu i przyjrzała Leonowi dokładniej. Zastanawiała się, czy jest taki moment w roku, kiedy schodzi mu ta subtelna opalenizna. Wciąż gdzieś jeździł, wciąż dokądś go nosiło. Niespokojny duch. Zupełnie jak ona. Opanowało ją nagle dziwne wzruszenie. Z jednej strony bardzo chciała sięgnąć po telefon i wybrać numer Antonia, z drugiej – zostać właśnie tutaj.

– Anka? Co jest? – mruknął, nie otwierając oczu, a ona poczuła, jakby przyłapał ją na gorącym uczynku.

Położyła się na wznak i wbiła wzrok w sufit. Oczywiście udawanie, że wcale na niego nie patrzyła, byłoby w zaistniałej sytuacji bez sensu. Tym razem Leon otworzył oczy i ułożył się na boku.

– O czym tak myślisz? O tym, co tu robię? Czy raczej o tym, kto zabił modelkę rzeźbiarza i dokąd zmył się sam rzeźbiarz?

– O tym, co tu robisz – odpowiedziała ponuro, zgodnie z prawdą.

– A jednak.

– Weź mnie nie denerwuj.

– Kiedyś też tak do mnie mówiłaś. Pamiętasz?

– Leon, konkrety. Przerobiliśmy razem tyle sytuacji, że chyba coś mogło mi umknąć. Masz na myśli Wenecję?

Nadal na niego nie patrzyła, ale wiedziała i bez tego, że się skrzywił. Nie potrafiła dokładnie odgadnąć, o co mu z tą Wenecją chodzi. Czy bardziej przeżywał swoją dwuznaczną relację z Lucrezią Doldano, czy raczej miał na myśli Annę i Antonia. Pewnie jedno i drugie. Leon taki już był. Nie rozkładał na czynniki pierwsze swoich emocji, niewiele mówił o sobie. Może się jej naprzykrzał, ale z pewnością nie był absorbujący. Nawet jeśli nie jeździł za nią wszędzie bezinteresownie. Wiedziała o tym aż za dobrze. Co by było, gdyby Chana zadzwoniła miesiąc wcześniej lub miesiąc później? Albo gdyby Leon nie przyjechał do Helu? Czy odważyłaby się wreszcie znowu z nim tak naprawdę skontaktować? Bo nie mogła uznać za prawdziwy kontakt e-maili czy SMS-ów. One tylko pozwalały jej trwać w iluzji, że wszystko między nimi jest w porządku.

Skąd się brała dziwna swoboda między nimi? Po tym wszystkim, co się wydarzyło?

– Nie mam na myśli Wenecji – odpowiedział po chwili milczenia.

Anna obróciła się powoli w jego stronę.

– Mam na myśli Hel. Ale nie ten Hel sprzed kilku miesięcy, kiedy... Sama wiesz. Mam na myśli nasz Hel z dzieciństwa. Pamiętasz zespół From Hel? Pamiętasz, jak usiłowałem śpiewać Aerosmith?

Roześmiała się. Oczywiście, że pamiętała.

– To jedno z moich najwyrazistszych wspomnień – odparła. – Śpiewać to ty nie umiałeś, ale nadrabiałeś urokiem osobistym.

– Jedno z najwyrazistszych? I nie pamiętasz, jak mówiłaś: „weź mnie nie denerwuj”?

– Coś mi świta.

– Przynosiłaś nuty za każdym razem, kiedy ćwiczyliśmy jakąś piosenkę, a ja...

– Mówiłaś, że nie rozumiesz tych wszystkich czarnych kropek i kresek, zaczynałeś nucić melodię i pytałaś mnie, czy mniej więcej tak to idzie.

– A ty wtedy odpowiadałaś: „weź mnie nie denerwuj”. To był twój cały komentarz. Cholernie głupio się czułem. Zawsze byłaś dobra w sprowadzaniu człowieka do parteru.

– Jednak śpiewać nie każdy może, wbrew temu, co głosił kiedyś w piosence pewien znany aktor – skwitowała, nadal bardzo rozbawiona. To było miłe wspomnienie, jasna karta przeszłości.

– Anka...

– Co?

– Po prostu zasnęliśmy. I tyle.

– W porządku.

Cisza, która zapadła, wydała się Annie niezręczna. Po raz pierwszy zresztą, odkąd spotkali się w Helu i pomijając sztuczną wymianę zdań na Rybackiej, poczuła się nieswojo przy Leonie. Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa, a gdzieś w tle o szybę uderzały krople deszczu. Leon uniósł dłoń i chwycił w dwa palce kosmyk jej włosów. Anna wstrzymała oddech. Doświadczyła osobliwego déjà vu. Znalazła się już kiedyś w podobnej sytuacji – z Antoniem w Padwie. Tam też po prostu zasnęli, a rano przyglądali się sobie z uwagą badaczy-naukowców. Wszystko się powtarzało, każda chwila opierała się na identycznym, powielanym bez końca schemacie. Przeraziło ją to, że nie chciała uciec. Leon spojrzał na nią wyczekująco. Coś musiała zrobić. Potrzebny był

zdecydowany krok – w jedną lub w drugą stronę. A później czekały na nią konsekwencje, jak zwykle. Przysunęła się do Leona. W uszach szumiało jej tak bardzo, że ledwie usłyszała pukanie do drzwi. Z początku delikatne, a zaraz później zdecydowane, mocne. To była Chana.

– Anno! Anno, proszę otworzyć! Proszę wstawać!

Wyskoczyła z łóżka i pobiegła do drzwi. Nie zamierzała teraz przejmować się tym, że miała w sypialni gościa, który otrzymał w tym apartamencie zupełnie inny przydział lokality. Chana Sullam również nie zwróciła uwagi na Leona. Była śmiertelnie biała i dyszała ciężko.

– Dzwonili z policji. Musimy... Muszę jechać na komisariat. Coś się stało temu drugiemu rzeźbiarzowi. Temu... konkurentowi mojego wnuka. Podejrzewają Ernsta. Podejrzewają go...

Chana zakasłała, zsiniała, złapała się za szyję i osunęła na podłogę.

\*\*\*

Ulrike Seinfeld zignorowała brzęczący w torbie telefon. Wiedziała, że dzwoniła Sullam. Po raz trzeci zresztą. Teraz nawet nie zerknęła na wyświetlacz, po prostu pozwoliła, by melodyjka wybrzmiała do końca i umilkła. Co ta kobieta sobie myślała? Że Ulrike stała się nagle jej własnością? Nie, o niczym takim nie było mowy. Rozmawiały jedynie o pracy, obowiązkach i wynagrodzeniu, nigdy i nigdzie nie padło słowo „niewolnictwo”. Zostawiła przecież śniadanie i sprzątnęła kuchnię, tak jak zaplanowała. Przyczepiła do lodówki stosowną informację, że wychodzi i resztę zrobi po powrocie. Chyba nie dopuściła się jakiegś straszliwej zbrodni, opuszczając na chwilę tych dziwnych ludzi z Ringu?

Musiała tu przyjechać. Wszystko dokładnie obliczyła i wyszło jej, że jeśli się pośpieszy, wróci do Wiednia wczesnym popołudniem. Na miejsce dotarła autobusem. Nie znalazła się tu zresztą po raz pierwszy w życiu, znała drogę. To Ernst zwrócił kiedyś jej uwagę na Mayerling – właśnie wtedy, gdy z Marlene sporo rozmawiali o arcyksięciu Rudolffie i baronównie von Vetsera, którzy popełnili razem spektakularne samobójstwo. Ulrike bardzo podobał się dawny myśliwski pałacyk, po śmierci kochanków przemieniony w klasztor Karmelitanek. Mimo dramatycznych wydarzeń, które się tu rozegrały, czuła spokój, patrząc na żółtawe ściany i rdzawe dachówki. Ernst również odwiedzał Mayerling w chwilach wzburzenia, zwątpienia lub smutku. Zawsze sam. Później pokazywał Ulrike zdjęcia i szkice. Właśnie tu ładował baterie. W miejscu, gdzie arcyksiążę zabił swoją młodziutką kochankę, po czym sam strzelił sobie w głowę. Artyści naprawdę nie są do końca zdrowi na umyśle... A jednak Ulrike gdzieś w głębi serca rozumiała Ernsta. Wiele o nim wiedziała, nawet jeśli do niedawna nie zdawała sobie

z tego sprawy.

Mayerling przysłaniała zasłona deszczu. O poranku i przy takiej pogodzie teren wokół zameczku świecił pustkami. Ulrike drżącą ręką rozłożyła parasol i ruszyła przed siebie. Wkrótce stanęła przed okazałą budowlą i spojrzała na gotycką fasadę. Było jej gorąco, mimo że deszcz pozwolił na chwilę wytchnienia od czerwcowych upałów. Co ona sobie myślała? Że spotka go właśnie tutaj? Przecież to by było za proste. Głupia! Głupia, głupia! Ernst... A co on sobie myślał? Dlaczego uciekł? Bo przecież skoro to zrobił, musiał mieć coś do ukrycia. Inaczej siedziałby na miejscu, słuchał grzecznie swojej babci, która wydawała się od niego znacznie bystrzejsza, i czekał na rozwój wypadków. Czy rzeczywiście zabił Marlene?

To pytanie tkwiło w głowie Ulrike nieustannie i nie dawało jej spokoju. Odeszła na bok i przysiadła na mokrej od deszczu ławce. Musiała pomyśleć. O tym, nad czym już zaczęła się zastanawiać w nocy i o świcie. Ile wiedziała? Czy wiedziała coś ważnego? Na co nie zwróciła należytej uwagi? Sięgnęła do torby po notes i długopis. Deszcz przeistoczył się w lekką mżawkę, więc złożyła parasol i naciągnęła na głowę kaptur. Przez chwilę wpatrywała się w białą pustą kartkę, po czym zaczęła pisać. Punkt po punkcie zapełniała stronę informacjami, które udało jej się – świadomie bądź nieświadomie – zdobyć. Kiedy skończyła, przeczytała wszystko od początku, linijka po linijce, kilka razy.

Ernsta ciekawiła tragedia w Mayerlingu. Interesował się śmiercią i samobójstwem, czemu dawał wyraz w swoich rzeźbach, przesyconych świadomością końca. Często tak mówił, pisano o tym również w recenzjach z wystaw, które Ulrike niekiedy podczytywała, by mieć ze swoim szefem jakiś wspólny temat do rozmowy. Ernstowi pozowała Marlene Sachs, młoda dziewczyna, bardzo ładna i wrażliwa, ale pozbawiona większych talentów. Studiowała historię sztuki, niczego jednak nigdy sama nie stworzyła. Dalej – Ernst zaraził Marlene kilkoma swoimi pasjami, w tym fascynacją śmiercią i tragedią w Mayerlingu. Odniósł pierwsze sukcesy, ale później stanął w miejscu i propozycje kolejnych wystaw przychodziły coraz rzadziej. Marlene poznała Niklausa, który z kolei zaczął robić wielką karierę. Niklaus i Bauer znali się jeszcze ze studiów. Ernst był wzorowym studentem i ulubieńcem jednego z profesorów, Michael wyleciał z uczelni. Niklaus i Bauer rywalizowali ze sobą. Marlene odeszła do Niklausa, uprzednio tłumacząc Bauerowi, że jest miernotą. Ernst załamał się, nie szło mu rzeźbienie, trochę pił, łykał za dużo pastylek na uspokojenie, popadł w depresję. Próbował pracować. Odrobinę się wyciszył. Udało mu się coś stworzyć, czekał na kolejną wystawę. Marlene zginęła. Ktoś podciął jej żyły i zostawił w pozycji przywodzącej na myśl jeden z obrazów Oskara Kokoschki. Do Wiednia przyjechały Chana Sullam i Anna Lindholm ze swoim ochroniarzem. Ernst zniknął. W lesie ktoś porzucił zwłoki dziewczyny, która była niegdyś modelką Niklausa. Ernst sypiał z Inge Altman z Phantastenmuseum. A potem Inge promowała Niklausa. Ernst miał obsesję na punkcie rzeźb konkurenta – widział w tym „szwindel”. Jego teoria spiskowa w pewnym momencie była tak rozbudowana, że przyglądał się dziełom Niklausa w poszukiwaniu „czegoś”. Ulrike nie miała pojęcia, czy to „coś” wreszcie znalazł. Po kryjomu robił zdjęcia eksponatom na wystawach i raz wyproszono go nawet z galerii. Po tym incydencie się wyciszył. Mówił, że czas odpuścić.

A czy naprawdę odpuścił?

Co jeszcze? Ile Ulrike przeoczyła? Czego nie zdołała się dowiedzieć? O co w tym wszystkim chodziło? Dokąd uciekł Ernst? I jeśli był winny – to dlaczego? Zamknęła notes i wrzuciła go do torby. Jej ubranie całkiem przemokło i wreszcie poczuła, jak bardzo zmarzła. Podniosła się z ławki i szybkim krokiem ruszyła w drogę powrotną, nie oglądając się na gmach dawnego zameczku myśliwskiego. Musiała porozmawiać z Anną Lindholm. Najpierw z nią, skoro już tu przyjechała.

Ulrike poczuła przypływ energii.



## Rozdział 10

Dochodziła północ, kiedy Thomas Ebeling wrócił do domu. Anna siedziała na kanapie z kolanami pod brodą i tępo wpatrywała się w okno. Deszcz przestał padać, ale żółta fasada przeciwległej szeregówki wciąż wydawała się ciemniejsza i bardziej ponura niż wtedy, gdy widziała ją po raz pierwszy. Od godziny nie odezwała się słowem. Wcześniej usiłowała skupić uwagę na czymś, co pozwoliłoby jej nie myśleć o wydarzeniach, które miały miejsce o poranku. Zadzwoiła do Lempi i wysłuchiwała tyrady o świeżych rybach zakupionych u lokalnych „poławiaczy”, wynalezionych przypadkiem nowych potrawach z tychże ryb, kolejnych lokatorów w pensjonacie, „tacie pana Lajona”, bardzo pomocnym w każdej sytuacji, nawet wtedy, gdy jego wsparcie zupełnie nie było potrzebne, i wreszcie – werandzie pomalowanej na turkusowo. Na tę ostatnią wieść Annie zrobiło się trochę słabo, ale uznała, że w porównaniu z innymi sprawami, z którymi miała do czynienia, turkusowa weranda to doprawdy nic wielkiego. Lempi działała pod wpływem impulsu. Coś kazało jej ożywić „ten smutny dom, w którym swego czasu mieszkał psychopatyczny morderca”. Słuszny argument. Anna miała nadzieję, że jej matka nie zechce nagle wrócić do Helu bez zapowiedzi, bo na widok turkusowej werandy jak nic padnie trupem i będą już mogli śmiało zmienić nazwę domostwa z Heelu na Krwawą oberżę. Lempi rządziła po swojemu i wyglądało na to, że świetnie daje sobie radę. Być może przywykła do bycia porzucaną przez Annę i przyjęła postawę stoicką wobec zmiennych kolei losu. A może po prostu jej się tam spodobało?

Kiedy już zakończyła rozmowę z Finką, otworzyła laptop i zajęła się najbardziej prozaicznym i pragmatycznym działaniem na świecie, czyli płaceniem rachunków. A dokładnie – płaceniem ich na zapas, bo wszystkie tego typu formalności załatwiła przed wyjazdem. Później osobiście zatelefonowała do ojca Leona i wypytała go, czy Lempi faktycznie tak świetnie daje sobie radę. Na koniec – co uczyniła z oporami – postanowiła wybrać numer Antonia. Wiedziała, że z nim nie pójdzie tak łatwo, bo już nie ucieknie od rzeczywistości w świat cyferek, kont bankowych i przelewów. Zanim jednak zadzwoniła, z wdzięcznością przyjęła od żony Ebelinga kieliszek koniaku. Ulżyło jej, że Diane wykazała się zrozumieniem i tym razem nie zaserwowała koktajlu z jarmużu. Wychyliła koniak i przyłożyła telefon do ucha. A później, po zdawkowym powitaniu, poinformowała Antonia o tym, co się stało. Powinien wiedzieć. Nie znał Chany, ale słyszał o niej wiele. Poza tym Anna najzwyczajniej w świecie potrzebowała o wszystkim mu opowiedzieć. Nie mogła utrzymać tej informacji w tajemnicy, musiała ją z siebie wyrzucić, przekazać komuś, na kogo zrozumienie liczyła. Antonio milczał przez długą chwilę, a Annie zbierało się na płacz. To, co się wydarzyło, było bez sensu. Niepotrzebne, głupie, okropne. Wciąż pamiętała bladą twarz Chany, sine usta, przekrwione oczy. Dlaczego akurat teraz? Los wybrał dla niej najgorszy moment. Chwilę, w której była zdruzgotana i straciła nadzieję. Anna czuła narastającą wściekłość. Dlaczego Chana nie mogła umrzeć, znając prawdę o swoim wnuku? Dlaczego odeszła w niewiedzy?

Antonio wysłuchiwał jej cierpliwie, a gdy wreszcie się odezwał, jego głos wydawał się zmieniony. Chyba chciał zakląć, ale powiedział tylko: „Przykro mi”. A później: „Anno, tam się dzieją niebezpieczne rzeczy. Wróć do domu, proszę cię”. Prawie się

roześmiała. Zawsze chciało jej się śmiać, kiedy ktoś mówił o domu. Wciąż nie wiedziała, gdzie był dom. Nie w Ystad. I, jak się okazało, nie w Wenecji. A w Helu? Nadal nie miała pojęcia. Jeszcze nie zapuściła tam korzeni, podobnie jak Antonio. Chyba że on widział to inaczej. Dałaby wiele, by móc wreszcie jakieś miejsce nazwać domem. Odetchnęła głęboko. „Nie mogę teraz wyjechać” – powiedziała bez wahania – „Jestem jej coś winna”. „To ona jest... była coś winna tobie” – stwierdził, wyraźnie zdenerwowany – „Nic cię z tą kobietą nie łączy, a i tak raz już wyświadczyłaś jej przysługę”. „Nie rozumiesz. Nie widziałeś jej, kiedy to się stało. Nie widziałeś jej... twarzy” – odparła i rozłączyła się.

Chciała użyć innego określenia, ale żadne nie wydawało się właściwe. Powiedziała jednak to, co naprawdę myślała. Była winna Chanie Sullam prawdę. Musiała ją odkryć. Teraz pragnęła tego bardziej, niż kiedy tu przyjechała. Widziała niepewność kobiety, jej strach i rezygnację, ale taką, w której pozostaje jeszcze cień nadziei. Anna знаła ten stan. Również do końca łudziła się, że jej siostra nikogo nie zamordowała. Że to jakaś fatalna pomyłka i takie rzeczy przytrafiają się tylko innym ludziom. Nie jej. A jednak stało się. Od kilku dni, aż do dzisiejszego poranka, znowu się łudziła. Miała nadzieję, że wnuczek Chany okaże się niewinny i los ją oszczędzi. A tymczasem...

Zerknęła na zegarek.

– Dobrze się czujesz? – zapytał ostrożnie Ebeling.

To pytanie wyrwało ją z zadumy. W błyskawicznym tempie dokonała kilku odkryć. Po pierwsze – nie miała pojęcia, kto się zajmie pogrzebem Chany i gdzie ta tajemnicza kobieta w ogóle chciała być pochowana. Po drugie – cały swój bagaż, podobnie zresztą jak Leon, zostawiła na Ringstrasse. Po trzecie – jeśli rzeczywiście chciała zostać w Wiedniu, musiała sobie znaleźć lokum, bo w apartamencie przyjaciela Chany, którego nigdy w życiu nie widziała na oczy, nie mogła dalej mieszkać. Po czwarte – zadała sobie w duchu pytanie, czy Leon zechce ciągnąć z nią dalej tę komedię, czy raczej wróci do domu. I po piąte wreszcie – doszła do wniosku, że o kimś w całym tym chaosie zapomniała. Ulrike Seinfeld. Milcząca sprzątaczką, na oko trzydziestoletnia, może nawet nieco młodsza. Wyszła o poranku i zostawiła notkę, że niebawem wróci. A tymczasem wydarzyło się to wszystko... Michael Niklaus podciął sobie żyły, a Chana Sullam umarła. Gdzie zatem była teraz Ulrike Seinfeld? I czy nie groziło jej niebezpieczeństwo? Annie zrobiło się niedobrze. A jeśli ta dziewczyna zrobiła coś głupiego? Niechcący lub przypadkiem? Ile o niej wiedziała? Pracowała dla Ernsta Bauera i... i tyle.

Thomas Ebeling nadal stał nad Anną jak wyrzut sumienia. Przypomniała sobie, że przecież zadał pytanie, kurtuazyjne, ale szczerze. Powoli przeniosła na niego wzrok.

– Niezbyt – przyznała.

Przysiadł na poręczy fotela i obrócił w dłoni kieliszek z koniakiem. Dostał mniej niż pozostali. Zaledwie kilka kropel złocono się na dnie. Diane dbała o męża. Anna przekrzywiła głowę i przyjrzała mu się dokładnie. Wiedziała już, kogo jej przypominał. Stevena Tylera z Aerosmith. Uśmiechnęła się mimowolnie, ale zaraz na powrót spoważniała. Ebeling posmakował koniaku.

– Była ci bliska? – zapytał, choć wiedział już, że musiała zaprzeczyć.

W szpitalu nie potrafiła odpowiedzieć na podstawowe pytania o stan zdrowia

Chany i lekarze rozmawiali z nią niechętnie. Nie była członkiem rodziny. Otrzymała jakiegokolwiek informacje tylko dlatego, że nikt inny się nie pojawił – nikt nie zainteresował się stanem Chany i sposobem, w jaki odeszła. Ani też tym, co dalej z nią się stanie. Do szpitala przyjechała tylko Anna Lindholm, jakaś kobieta ze Szwecji albo z Polski. Dobrze, że w ogóle ktoś się zjawiał. Na pewno tak właśnie pomyślano. I dlatego usłyszała kilka suchych, wypranych z emocji zdań o rozległym zawale, który w tym wieku nie mógł się skończyć dobrze.

Czy powinna o wszystkim opowiedzieć Ebelingowi? O prawdziwej Chanie Sullam, o Saskii Verbeek i jej życiu w Antwerpii? Przecież sama wiedziała tak mało. Chciała zadać jej mnóstwo pytań, porozmawiać o obrazie Capellego, marynarza z Wenecji, który nie uratował z tonącego frachtowca małej żydowskiej dziewczynki. Zostawiła to sobie na później. Postanowiła, że nie wyjedzie z Wiednia bez odpowiedzi, ale na zwierzenia był jeszcze czas. Miały ważniejsze sprawy na głowie. Ważniejsze. Od przeszłości, dawnych traum i wydarzeń, które mogą człowieka ukształtować już w najmłodszych latach życia.

Tak, powinna mu powiedzieć. Tyle, ile wiedziała. Wyprostowała się na fotelu i zaczęła mówić. Przyszło jej do głowy, że może popełnia błąd, wypuszczając na świat nie swoje tajemnice. A jednak musiała to zrobić. Nie wiedziała, jak długo wyrzucała z siebie frazy, tak samo wyprane z emocji, jak szpitalna informacja o śmierci Chany. Kiedy skończyła, poczuła ulgę. Ebeling patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. Diane dyskretnie wyszła z pokoju. Leon tkwił na sofie i ścisnął w dłoniach kolorową poduszkę. Anna umilkła.

– O... cholera – mruknął Thomas i zaczął nerwowo przemierzać salon.

– Tak, chciałam pomóc złodziejce – podsumowała. – Nadal zamierzam, z twoim wsparciem lub bez.

– Oczywiście, że z moim – odparł natychmiast i zamachał rękami. – Przecież tu chodzi o tego chłopaka i nieżyjącą dziewczynę. Dwie dziewczyny. I Niklusa, który próbował targnąć się na własne życie. Coś się dzieje. Coś bardzo brzydkiego i w dodatku bardzo szybko. Nie wiem, na ile „profesja” Sullam ma tu znaczenie, ale musimy wziąć ją pod uwagę.

– Chcesz mi powiedzieć, że ktoś zrobił w morderstwo Ernsta, by dotrzeć do jego babki? – Anna poczuła, jak na jej policzki wpełza rumieniec. Powinna od razu wziąć to pod uwagę. Dlaczego nie wzięła? Ebeling pomyślał o tym w chwili, kiedy tylko usłyszał o przestępczej przeszłości Chany.

– To możliwe, prawda? O ile słusznie przypuszczamy, że ktoś Ernsta zrobił.

– O ile – powtórzyła cicho. Bo przecież to przypuszczenie równie dobrze mogło okazać się niesłuszne.

– Ale jeżeli nikt go jednak nie zrobił – wtrącił się Leon – to rzeźbiarz musiał mieć powód, by zabić tę całą Marlene Sachs. A co z drugą dziewczyną? Z lasu? Ją też przecież znał. Już o tym mówiliśmy. Czy Ernst Bauer mógł mieć powód, by i jej się pozbyć? Ile o niej wiemy?

Ebeling westchnął ciężko i z utęsknieniem zerknął do pustego kieliszka.

– Dziewczyna, którą znaleziono w lesie, Angie Hamilton – zaczął i potarł kciukiem

oczy – miała dwadzieścia pięć lat. Pochodziła ze Stanów, z Teksasu. Do Wiednia przyjechała dwa lata temu, pracowała gdzieś po kawiarniach jako kelnerka, a w wolnym czasie, amatorsko, rzeźbiła. Później zaczęła pozować artystom. Z tego, co wiem, właśnie w taki sposób poznała Michaela Niklause. Dziewczyna wyraźnie kręciła się koło artystycznego środowiska, chodziła do Museums Quartier, pod Akademię Sztuk Pięknych, włóczyła się po miejscach, w których uliczni malarze i rzeźbiarze wystawiali swoje dzieła. Podobno sama była całkiem niezła. Dobrze rzeźbiła, choć nigdy nie studiowała na akademii, ani w Wiedniu, ani nigdzie w Stanach.

– Niklaus był największym konkurentem Ernsta Bauera? – przerwała Anna.

Niczego właściwie nie wiedziała o Niklausie, a jego nazwisko wciąż gdzieś się pojawiało. Ernst Bauer i Michael Niklaus musieli funkcjonować w pewnej zależności, nawet jeśli nie zdawali sobie z tego sprawy. Jeden bez drugiego nie istniał.

– Chyba tak, choć Bauer ostatnio nieco się opuścił. Przed rokiem jeszcze inwestował w niego niejaki profesor Steinbeck, wykładowca, nauczyciel rzeźby i znany w Wiedniu kolekcjoner. Ale zmarł, a jego bratanek i spadkobierca, choć również od czasu do czasu dotuje wystawy Ernsta, nie robi już tego z tak wielkim zapałem. I jednak ten bratanek, Rudolf Steinbeck, słabiej wypada wizerunkowo. Rozumiecie – młody, lancerskie ciuchy, włosy jakieś takie tu wygolone, tam rozczochrane, broda drwała, najnowszy model iPhone'a, gadka najeżona kolokwializmami.

– Przeciwnieństwo wuja?

– Jakby to powiedzieć... Rudolf jest po prostu *cool*, a jego wuj był nobliwym jegomościem koło pięćdziesiątki, ciągle bardzo przystojnym, zawsze w nienagannie odprasowanym garniturze, uczesany, ogolony, szarmancki i elegancki. Wysławiał się jak osoba z wyższych sfer i wiedział, jak w wyrafinowany sposób spożyć... wszystko. Nawet ptysia. Pasował na kolekcjonera dzieł sztuki. Młody bardziej się nadaje na YouTubera, który by na swoim kanale mówił o modnych ciuchach i lokalach, w których bawi się bananowa młodzież.

Anna uśmiechnęła się pod nosem. Ebeling z pewnością miał zmysł obserwatora. Zaczynała go lubić.

– Czyli profesor umarł i kurek z dotacjami nieco się przykręcił? A co mu się w ogóle stało? Przecież, z tego co powiedziałaś wynika, że raczej nie odszedł ze starości. Chorował? – zapytała. Nie wiedziała dlaczego, ale opowieść o Steinbeckach ją zainteresowała.

– Nie chorował. Głupia sprawa. Taka, jakich niestety wiele. Poślizgnął się na kafelkach w kuchni, przewrócił i rąbnął w potylicę. Czaszka pękła i dostał krwotoku wewnętrznego. Był w domu sam i nikt nie udzielił mu na czas pomocy.

Anna czuła na sobie świdrujący wzrok Leona. Żołądek podszedł jej do gardła, a dłonie się spociły. Zerknęła na niego i zobaczyła, że pobladał i wyprostował się jak struna. Oboje znali już podobny scenariusz. W taki sam sposób zginął Bruno Kuc, jej szwagier. Uderzył głową o kamień i stracił przytomność, a Anna i Leon za późno zorientowali się w sytuacji, by mu pomóc. Ostatecznie jednak on był bezwzględny mordercą, można więc uznać, że otrzymał zasłużoną karę. A profesor Steinbeck? Kim był? Czy również... zasłużył sobie na taki koniec? W głowie Anny rozległ się sygnał

ostrzegawczy, na razie cichy i nienachalny, ale dość wyraźny, by trudno go było zignorować. Ostatnio już obracała w myślach tę refleksję. Że w życiu wszystko lubi się powtarzać.

– To na pewno był wypadek? – odezwała się i natychmiast tego pożałowała. W oczach Ebelinga rozbłysło rozbawienie.

– Sam się nad tym zastawiałem i oczywiście nie odpuściłem sobie tematu, dopóki nie zasięgnąłem języka. Tak. To był wypadek. Nic nie wskazywało na udział osób trzecich. W domu co prawda znaleziono mnóstwo śladów – buty, odciski palców i tak dalej. Ale profesor był osobą towarzyską i prowadził dom otwarty. Często miał gości, a bratanek, Rudolf, u niego mieszkał. Historii młodszego Steinbecka już nie zgłębiałem tak dokładnie. Na pewno był synem brata profesora, wcześniej stracił rodziców i wuj zastępował mu ojca. Chłopak dostał cały majątek, z wyłączeniem kilku sum dla różnych placówek artystycznych. Z tego też powodu przez chwilę uważano go nawet za głównego podejrzanego o spowodowanie śmierci profesora, ale szybko się z tej teorii wycofano. Nie znaleziono żadnych dowodów.

– Ale to jeszcze nie znaczy, że...

– Nie znaczy. Ale zapewniam cię, Anno, że moi byli koledzy po fachu szukali bardzo dokładnie.

Ebeling umilkł, a Annie zrobiło się wstyd. Dlaczego musiała ucześć się tego wątku? Dlatego, że raz widziała, jak los sam wymierza sprawiedliwość? W wypadku Steinbecka wcale nie musiała być tak samo. Może faktycznie się poślizgnął. Może faktycznie w domu było pusto – akurat w tej jednej konkretnej chwili. Nawet ludzie towarzyscy i gościnni potrzebują niekiedy samotności. Powinna skupić się na tym, co ważne. Co rozgrywa się teraz. Odchyliła się na fotelu, usiłując przybrać swobodną pozę, choć każdy jej mięsień był napięty do granic możliwości. Musiała się uspokoić, zdławić w zarodku tę uporczywą myśl, brzęczącą jak natrętna mucha. W życiu wszystko lubi się powtarzać.

– No dobrze, a co z Niklausem? – zapytała, zbyt nerwowo i za głośno.

– Przeżył. Stracił dużo krwi i konieczna była transfuzja, ale jego stan jest stabilny. Wylize się.

– Sam to zrobił czy...

– Wygląda na to, że sam. W jego domu była Inge Altman z Phantastenmuseum, kuratorka wystaw i promotorka młodych artystów. Ma do nich świetne oko. To ona jako pierwsza odkryła Niklausa i zorganizowała mu wystawę w pałacu Palffy. Michael jest jej kurą znoszącą złote jaja. Poza tym to ona zadzwoniła po karetkę. Była roztrzęsiona. Wygląda na to, że spędzili ze sobą noc. Nie wiem, czy pierwszą, czy raczej setną.

– Ta Altman pozostaje poza podejrzeniami?

– Jeśli chodzi o Niklausa to raczej tak. Phantasten wzbogaciło się dzięki jego wystawom. Poza tym nie wezwałyby pomocy, gdyby coś mu zrobiła.

– Różne rzeczy już widziałam – mruknęła Anna i leniwie zerknęła na butelkę koniaku.

– Ja też. Ale Inge Altman stała murem za Niklausem. Nie wiem, co musiałby zrobić, żeby chciała się go nagle pozbyć. Co do reszty natomiast – Marlene i Angie – to

już nie wiem. Nic mi nie przychodzi do głowy.

- Niklaus będzie mógł nadal rzeźbić?
- Jeśli nie uszkodził sobie żadnego nerwu...
- Idiota.
- Owszem.

W salonie na moment zapadła cisza. Za oknem było już zupełnie ciemno, zgasły uliczne latarnie i tylko z rzadka dało się słyszeć przejeżdżający gdzieś w pobliżu samochód. Anna zdała sobie sprawę, że cisza była bardzo charakterystyczna dla oddalonych od centrum dzielnic Wiednia. *Bezirke*. Tak o nich mówili. Leon używał spolszczonej formy „becyrk”, która bardzo jej się podobała. Kolejna przestrzeń i związane z nią nazwy, zapachy i smaki. Ile jeszcze?

Leon uniósł się i sięgnął po butelkę koniaku. On też z trudem radził sobie z tą sytuacją. Rozlał alkohol do kieliszków, Ebelingowi odmierzając dokładnie tyle, na ile wcześniej pozwoliła mu żona. Emerytowany komendant skrzywił się. Anna wiedziała, że wszyscy teraz zadawali sobie w duchu to samo pytanie – dlaczego Niklaus targnął się na własne życie? I jaki miało to związanie z dwiema martwymi dziewczynami, które znał?

– Ja tam się nie chcę wymądrzać – przemówił Leon, wychyliwszy swoją porcję koniaku. – Ale powinniśmy albo położyć się spać, albo, jeśli jeszcze nie mamy dość, zastanowić się nad trzema sprawami.

– Jakimi sprawami? – zapytali równocześnie Anna i Thomas.

– Wiedziałem, że opcja spania przepadnie.

– Ja chyba domyślam się przynajmniej jednej z tych spraw – powiedziała Anna i wróciło do niej wspomnienie pozostawionych na Ringstrasse bagaży. – Ale proszę, mów. Scena jest twoja.

– Zostaliśmy aktualnie pozbawieni dachu nad głową i nie jesteśmy w posiadaniu ani jednego elementu garderoby na przebranie...

– On zawsze mówi tak po alkoholu? – Ebeling uniósł brwi. Jeszcze bardziej przypominał teraz Stevena Tylera.

– A ponadto – zignorował go Lajon – ktoś musi się zająć pogrzebem Chany Sullam. Jak wiemy, jej wnuk przebywa w miejscu nieznanym. I wreszcie ostatnia sprawa. Niewiele słyszeliśmy na temat dziewczyny z lasu.

– Nie, nie. Chwila. Jak to niewiele? Przecież Thomas już nam o niej opowiedział całkiem sporo – zaprotestowała Anna. – Amerykanka z Teksasu, pozowała...

– Ale ja nie o tym. Owszem, Amerykanka z Teksasu i pozowała. Tyle wiemy o fragmencie jej życia. A o śmierci? O momencie poprzedzającym śmierć? Nie żebym się znał na prowadzeniu śledztwa, ale może jakieś... hm... ślady, obrażenia, wygląd i takie tam, coś by nam w głowach rozjaśniły?

Ebeling sięgnął pod stół i wyjął stamtąd torbę, całą z dzinsu, która wyglądała jak staromodny worek na kartofle. Z jej wnętrza wygrzebał notatnik i przystąpił do skrupulatnego przekazywania Annie i Leonowi wszelkich informacji na temat Angie Hamilton.

– Ja będę mówił, a wy myślcie.

– Będzie ciężko o tej porze...

– To się chociaż postarajcie. Angie zginęła od ciosu w tętnicę szyjną. Cios zadano japońskim rylcem rzeźbiarskim. Prawdopodobnie takim samym narzędziem zaatakowano Marlene Sachs. Atak nie nastąpił w miejscu, w którym została znaleziona. Ktoś ją tam przeniósł, już po śmierci. Na jej ubraniu widniały ślady krwi, ale wokół niej już tych śladów za wiele nie znaleziono. Cios zadano gdzie indziej. Zmarła kilkanaście godzin przed tym, jak natrafiono na jej zwłoki. I teraz zaczyna się najciekawsze...

Ebeling zrobił dramatyczną pauzę i oderwał wzrok od notatek. Anna zastygła w bezruchu, a Leon przycupnął na samym brzegu kanapy.

– Po pierwsze cios. Zadano go pod dziwnym kątem. To może być czysty przypadek, ale technik i patolog zrobili kilka prób i wychodzi, że...

– Sama się zabiła? – wyrwało się Leonowi.

Anna i Thomas spojrzeli na niego z zaskoczeniem.

– Mmmm... a jeśli mogę zapytać... yyy... – zaczął dukać Ebeling, ale z powodu doznanego szoku nie zdołał dokończyć zdania. Był też wyraźnie zawiedziony, że Leon zepsuł mu finał opowieści.

– Skąd wiem? – Leon wydawał się bardzo usatysfakcjonowany. – Z serialu.

Ebeling jęknął i zdusił odruch sięgnięcia po butelkę koniaku. Anna wychyliła się z fotela i szarpnęła przyjaciela za rękaw bluzy.

– Leon, do rzeczy! Z jakiego znowu, cholera, za przeproszeniem, serialu?

– *How To Get Away With Murder* – oświadczył triumfalnie. – Tam jest taka scena, jak bohaterka wbija sobie nóż w szyję. Później wszyscy się zastanawiają, kto ją zabił, oczywiście poza osobą, która to widziała. A mnie dręczyło ciągle tylko jedno pytanie. Czy nie da się jakoś odkryć, że ktoś zrobił to sam?

– Leon...

– Bardzo dobre pytanie – niechętnie pochwalił go Ebeling. – Pewnie w niektórych wypadkach rzeczywiście trudno to ustalić. Zależy od kąta, ułożenia ręki, nawet sprawności nadgarstka. Tutaj widocznie się dało, choć i tak nie ma stuprocentowej pewności. Z tego, co się zdążyłem dowiedzieć, cios zadano od dołu i z bardzo bliska, a do tego z dużą siłą, pewnie. Ostrze poszło do góry. Oczywiście taki cios mógł jej też zadać ktoś inny, ale jeśli weźmiemy pod uwagę sposób pchnięcia, kąt, siłę i odległość, wyjdzie nam, że najłatwiej byłoby to zrobić...

– Samemu, trzymając nóż w prawej dłoni i uderzając w szyję z lewej strony? – uzupełniła Anna.

– Dokładnie tak. Ale oczywiście nie można wykluczyć morderstwa, nawet jeśli wymagałoby pewnej gimnastyki. Nie takie rzeczy już widziałem.

– Musiałyby wiedzieć, gdzie uderzyć – dodała w zadumie.

– O tym samym pomyślałem. I teraz dokładam swoje pytanie – dlaczego popełniła samobójstwo w taki straszny sposób? Są inne metody, mniej bolesne i hm... bardziej konwencjonalne. Mogła się powiesić, utopić, skoczyć z dachu, otruć. Ale wbiła sobie rylec w szyję.

Ebeling spojrział kolejno na Annę i Leona. Nikt mu nie odpowiedział. Emerytowany komendant zamknął notes i mierzył ich przez chwilę wzrokiem. Szykował się na ostatnią porcję nowin, ale już nie wyglądał na podekscytowanego. Na jego twarzy

pojawił się wyraz zadumy i rezygnacji. Anna zrozumiała, że pozornie łatwa sprawa pojedynczego morderstwa Marlene Sachs właśnie bardzo się skomplikowała.

– Jest jeszcze coś – przyznał wreszcie. – Autopsja nie wskazała tego jasno i wyraźnie, ale Angie Hamilton najprawdopodobniej gdzieś przetrzymywano. Gdzieś, gdzie nie było dostępu do światła dziennego i świeżego powietrza. Miała bladą, wysuszoną, cienką skórę, nieco zapadniętą klatkę piersiową, głębokie cienie pod oczami i kilka zepsutych zębów. Do tego anemię, choć nie była wychudzona, więc pewnie przez dłuższy czas żywiła się niezdrowym jedzeniem, pozbawionym świeżych warzyw i owoców. Na nadgarstkach i wokół kostek widnieją już zabliźnione ślady... krępowania. Kiedyś ktoś ją wiązał, mocno, najpewniej nie raz, ale nie w ostatnich dniach. Miała zwiotczałe mięśnie nóg, jak gdyby niewiele chodziła, ale bardzo dobrze wyrobione mięśnie rąk i silne ramiona. Plecy nieco wykrzywione. Jak u kogoś, kto...

– Rysuje? Albo maluje? – Anna uniosła się z fotela. – Albo rzeźbi?

Ebeling spojrzał na nią z niekłamanym podziwem.

– Właśnie – przyznał.

Anna zaczęła w zamyśleniu skubać dolną wargę. Nie dokonała epokowego odkrycia, ale widziała już podobne, bardzo charakterystyczne skrzywienia pleców i barków. Vidar miał taki defekt... Sporo szkicował, wszystkie projekty wykonywał sam. Często skarżył się na ból pleców i z czasem potrzebował specjalnych ćwiczeń i masaży. Anna zamrużyła powiekami, by przepędzić przed oczu obraz swojego zmarłego męża. Zrobiła rundkę wokół salonu i zatrzymała się przed Thomasem.

– Podsumujmy to może?

– Bardzo proszę.

– Weźmy pod uwagę nasze domysły. Angie Hamilton popełniła samobójstwo, wbijając sobie rylce w szyję. Wcześniej była przetrzymywana. Jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że zaginęła bez wieści przed rokiem, wszystko nam na razie pasuje. Angie znika bez śladu, jest gdzieś więziona. Nie spaceruje za dużo, bo pewnie przydzielono jej niewielką przestrzeń, bez możliwości wychodzenia na zewnątrz. Ale ma silne ręce i ramiona. Skądś musiała też wziąć rylce. Skrzywione plecy i wyrobione mięśnie górnych kończyn mogą wskazywać na fakt, że dziewczyna miała konkretne zajęcie. Na przykład rzeźbiła, bo to akurat umiała.

Leon chrząknął cicho i zgłosił chęć zabrania głosu. Anna i Thomas ze zniecierpliwieniem obrócili głowy w jego kierunku.

– Ja znowu nie chciałbym wyjść na mądralę, ale wydaje mi się, że porywanie kogoś i przetrzymywanie go w zamknięciu, przy jednoczesnym ofiarowaniu ostrych narzędzi rzeźbiarskich do dyspozycji, jest pomysłem co najmniej kiepskim...

– Masz trochę racji – przyznała Anna. – Ale przecież nie musiała mieć tych narzędzi do dyspozycji przez cały czas. Ktoś mógł przynieść jej rylce, piły i co tam jeszcze, a następnie pilnować dziewczynę podczas pracy. Pewnie był powód, dla którego go nie zaatakowała. Może za bardzo się bała, może nie potrafiła. Albo było ich kilku i nie miała szans. Aż wreszcie uznała, że choć nie jest w stanie zaatakować swojego oprawcy, istnieje inny sposób, by to wszystko zakończyć. Porywacz się tego nie spodziewał, nie zdążył zareagować, zaskoczyła go. Oczywiście mogą się mylić.



– Oczywiście – skwitował z lekkim uśmiechem Ebeling. – Ale możesz też mieć rację. Przyjmijmy, że masz... Że wyniki autopsji za tym przemawiają. Wciąż pozostaje jedno pytanie, na które nawet przy takim scenariuszu nie znamy odpowiedzi.

– Tak?

– Po co ktoś porwał Angie Hamilton i kazał jej rzeźbić?

– Nie mam pojęcia – odrzekła i opadła na fotel.

Teoria, którą przed chwilą wygłosiła, teraz wydała jej się pozbawiona sensu.

## Rozdział 11

Rudolf Steinbeck wyłączył odkurzacz i otarł pot z czoła. Jego wzrok automatycznie powędrował w kierunku okna. Za szybą, w porannej mgle, majaczył Kahlenberg. Nienawidził tego miejsca i jednocześnie je kochał. Dziś miał wrażenie, że szala przechyla się bardziej na stronę nienawiści. Za wiele się wydarzyło. Wszyscy powariowali. Marlene, Ernst, Angie. I Niklaus. Rudolf poczuł dławienie w gardle. To nie było na jego nerwy. Profesor, bo nawet on właśnie tak go nazywał, z wiadomych przyczyn dawał sobie radę. Miał... predyspozycje. Od biedy można by nawet powiedzieć, że miał pasję. W prawdziwą pasję może zamienić się wszystko, a prawdziwa pasja z kolei stopniowo zagarnia wszelkie dziedziny życia. I nie tylko. To właśnie było najgorsze. Prawdziwa pasja profesora wykraczała poza sferę życia, zataczała szersze kręgi i śmiało dotykała zagadnienia śmierci. I wszystkiego, co się ze śmiercią wiązało. Strachu. Milczenia. Sztuki funeralnej. Śmiano się z niego, że jest wiedeńczykiem z krwi i kości, tak jak śmierć jest – musi być – wiedenką. Żartowano, że urodził się o sto, a nawet dwieście lat za późno. Powinien był przyjść na świat w dziewiętnastym wieku, kiedy każdy pochówek wiązał się z wielkim widowiskiem, a ludzie płacili wysokie ceny, by móc na własne oczy zobaczyć przejście przez miasto orszaku pogrzebowego jakiegoś członka rodziny cesarskiej. Wiedeńczycy przez całe życie oszczędzali na „czarną godzinę”, która w żadnym innym zakątku świata nie oznaczała tego, co tutaj. Tutaj bowiem chodziło o to, by odejść z pompą.

Rudolf roześmiał się, przerzucając wspomnienia jedno za drugim. Migawki z życia Steinbecka, tego, co razem robili, w co profesor wprowadził bratanka. **B r a t a n k a**. Rudolf bardzo lubił to słowo. Cieszyła go i zarazem załamywała świadomość, jak ludzie niewiele wiedzieli. O profesorze. O nim. O nich. O tym, co robili. Razem. Robili razem. Rudolf musiał powtarzać to sobie głośno, kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt razy dziennie. Najlepiej przed lustrem. Wtedy miał wrażenie, że przekonał sam siebie. I nie próbuje odciąć się od odpowiedzialności. Wiedział o wszystkim, a zatem również brał w tym udział. A zatem razem. Robili razem.

Nad Lasem Wiedeńskim z wolna wschodziło słońce. Na tym powinien się skupić. Na świetle. Jasności. Czystości. Musiał wrócić do sprzątanania, wycierania kurzu, zmywania plam. Musiał pozbyć się brudu, przynajmniej tego na zewnątrz. Nie umiał usunąć tych innych nieczystości, wewnętrznych, z głowy i serca, z pamięci – przede wszystkim z pamięci. Nikt nie wiedział... Nikt nic o nich nie wiedział, nawet biedna Angie Hamilton, która myślała, że słusznie postępuje. Zniknęła przed rokiem, a teraz nie żyła. I po co jej to było? Nawet nie wiedziała, że się pomyliła. Przez cały ten czas musiała żyć w nieświadomości, wierzyć w słuszność własnych osądów. Być może powinien był powiedzieć jej prawdę? Wtedy, zanim zniknęła? Nie zdążył. Wszystko wydarzyło się za szybko, a teraz było za późno. Przed rokiem także było już za późno. Musiał spojrzeć prawdzie w oczy, przestać się wreszcie oszukiwać. A prawda była taka, że nie miał pojęcia, co teraz. Wokół niego działy się złe rzeczy. Powinien się tego spodziewać. Wiedział, że nie da rady, że nie będzie w stanie kontynuować „dzieła” swojego wuja. Ale Marlene? Akurat ona? I Angie? Że też musiała... musiały...

Rudolf złapał się za głowę. Czuł znajomy, tępy ból, który lokował się z tyłu, tam, gdzie szyja łączyła się z głową, gdzie znajdował się duży kręgiel, a za nim delikatna, krucha potylicyca. Zadrżał. Ból pełził wyżej, wił się nad uszami i uciskał skronie, obejmował czoło. Głowę Rudolfa oplótła ciasna obręcz. Poczłł mdłości. Musiał sprzątać. Pozbyć się brudu, który był wszędzie, pod dywanem, za sofą, na kuchennym blacie i podłodze. W sypialni, na tarasie i w piwnicy. Na nim. Na ubraniu i na skórze. Pod skórą. Pod kopułą czaszki, razem z rozsadzającym bólem. Niklaus. Pieprzony, pierdolony Niklaus. Chciał się zabić. Dlaczego mu się nie udało? Był taki sam jak profesor. Był jednym z nich.

\*\*\*

Inge Altman zaparkowała na Rysergasse i wyłączyła silnik. Jej frustrację pogłębiał fakt, że nie mogła rozładować napięcia, słuchając swoich *guilty pleasures*. W samochodzie panowała cisza, zakłócana jedynie dyskretnym szumem klimatyzacji. Na fotelu pasażera, z odchyłoną do tyłu głową, drzemał Michael Niklaus. Wypisał się ze szpitala na własne życzenie po upływie doby, choć lekarze i jakiś dyżurny psycholog zdecydowanie mu to odradzali. Jego stan fizyczny wydawał się wprawdzie stabilny, ale Niklaus był wciąż osłabiony. Nie chciał jeść i rzadko wstawał z łóżka, prawie w ogóle się nie odzywał i zupełnie niczym nie interesował. Ale i tak najgorzej sytuacja przedstawiała się z jego... głową. Wyglądało na to, że kompletnie mu odbiło. Oczywiście ktoś, kto atakuje ostrym narzędziem własne żyły, raczej nie może się pochwalić zbyt stabilną psychiką, ale w historii ludzkości znalazłoby się kilka takich przykładów, kiedy samobójca wiedział doskonale, co robi i z jakiego powodu. Inge przez chwilę miała nadzieję, że Niklaus jest właśnie takim typem samobójcy. I że kiedy go odratują, przejrzy na oczy i zacznie mówić z sensem. No cóż – przeliczyła się. Michael konsekwentnie grał rolę szaleńca. Kiedy szpitalny terapeuta zadał swoje rutynowe pytania, ten tylko wzruszył ramionami. Jeśli już się odzywał, to tylko po to, by powtarzać w kółko, że życie jest do dupy, uprawianie sztuki jest do dupy, sukcesy są do dupy i pieniądze również. On sam się wypalił, zapadł na niemoc, niczego już nigdy nie stworzy, a jego jedyna miłość została zamordowana. Oczywiście na pozór trzymało się to wszystko kupy. Inge nie dziwiła się, że w szpitalu kupiono tę durną bajeczkę. Szok spowodowany zabójstwem Marlene i ogólna labilność emocjonalna, tak przecież typowa dla artystów, mogły doprowadzić do podobnej sytuacji. „Zaleca się terapię i środki farmakologiczne”. Jeden z lekarzy chyba coś takiego powiedział i ze współczującym uśmiechem wręczył jej wizytówkę jakiegoś psychiatry z prywatnym gabinetem.

Nie zdążyła się nad niczym porządnie zastanowić, bo po dwudziestu czterech godzinach Niklaus wyrwał sobie wenflon, odepchnął stojak z kroplówką i zażądał, by przyniesiono mu ubranie. Lekarz – ten od wizytówki – ściszym głosem tłumaczył Inge,

że to niebezpieczne, sytuacja może się powtórzyć, pacjent wymaga opieki i stałej kontroli, jest nieobliczalny i niepewny. A jeśli ponownie spróbuje odebrać sobie życie? Co wtedy? Dobre pytanie. Inge nie знаła na nie odpowiedzi i sama gubiła się we własnych emocjach. Z jednej strony cieszyła się, że przyszła do Niklause i została z nim na noc, bo inaczej z pewnością ten idiota leżałby teraz na stole u patologa sądowego. Z drugiej jednak była zła, że spadła na nią nagle olbrzymia odpowiedzialność. Chcac nie chcąc – miała go na karku. Nie mogła teraz odejść, zaprowadzić go do domu, wrócić do auta i odjechać. Chętnie tak by właśnie postąpiła. Rozsiadła się na dywanie w swoim mieszkaniu na Mariahilfer, którego okna wychodziły wprost na dawny bunkier z czasów wojny, z wypisanym na nim hasłem „Im Frieden Der Nacht”. Napiłaby się czegoś mocniejszego. Zjadła frytki albo strudel. Zrobiła coś zwykłego, kojarzącego się z normalnym życiem, codzienną rutyną samotnej kobiety, dla której liczy się tylko praca. Tęskniła za tym. Nie potrafiła wziąć odpowiedzialności za drugą osobę.

A jednak zapewniła lekarza, że Niklaus nie zostanie sam. Zabrała go na Rysergasse, do luksusowego domu pod Lasem Wiedeńskim, w pobliżu brylastego, betonowego kościoła, zaprojektowanego przez idola i niedościgniony wzór artysty rzeźbiarza i artysty architekta. Inge zadrżała, kiedy w oddali mignął jej kontur Wotrubakirche. Szturchnęła Michaela.

– Obudź się. Jesteśmy na miejscu.

Zamrugał i ziewnął. Pomyślała, że przydałoby się zrobić jakieś zakupy, bo ten skończony dureń z pewnością ma pustą lodówkę. Ale przecież nie zostawi go samego ani też nie zabierze ze sobą. Musiała zadzwonić do Palffy, wziąć kilka dni urlopu i zastanowić się, co z wystawą. Skontaktować się z Rudolfem Steinbeckiem. A ten z pewnością się wścieknie... Wszystko szło nie tak, jak sobie zaplanowali.

Inge otworzyła drzwi i do auta wlał się czerwcowy skwar.

– Michael, obudź się – powtórzyła ze znużeniem. – Wyłaż.

Drgnęła, kiedy usłyszała jego stłumiony szloch. Powoli obróciła głowę.

– Ja nie chciałem, Inge – jęknął i przycisnął pięści do oczu. – Nie chciałem!

Zaschło jej w gardle.

– Czego nie chciałeś?

– Nie chciałem! Te rzeźby... Nigdy już tego nie tknę. Nie chciałem! Marlene... to przeze mnie. Ona nie dała rady. Przykro mi, Inge. Nie chciałem, przepraszam.

Michael zakwilił jak niemowlę i skulił się na siedzeniu. Inge nie zrozumiała ani słowa, ale poczuła, że z sekundy na sekundę paraliżuje ją strach. Najgorszy z możliwych. Ten, którego źródło pozostaje ukryte i trudne do odnalezienia.

\*\*\*

U-Bahn. Wiedeńskie metro. Sieć przecinających się tasiemek, pajęczyna rozpięta pod miastem. Trasa nadziemna, trasa podziemna. U1, U6, U3, U2. Tramwaj. Autobus. Widok za oknem, raz na mijane budynki, raz na ciemną ścianę tunelu. Ulrike przesiadała się z wagonu do wagonu, z metra do tramwaju, z tramwaju do autobusu. Było jej gorąco, włosy przylepiały się do twarzy, koszulka do pleców. Podróż wyczerpała ją. Raz nawet, chyba w U6, przymknęła oczy i na chwilę zasnęła. Przebudziła się, gdy ktoś wymierzył jej mocny kopniak w pieszczel. Poderwała się. Strach szarpnął ją za gardło. Przez kilka potwornych minut usiłowała zrozumieć, co się stało. Patrzyła w migdałowe oczy śniadego chłopca, który coś do niej mówił. Nie po niemiecku. A później dziecko, również nie po niemiecku, skarciła tak samo śniada kobieta. Turczynka. I jej syn.

– *Entschuldigung* – powiedziała jeszcze kobieta i pociągnęła dziecko w stronę wyjścia.

Chłopczyk. Syn Turczynki. To on ją kopnął, kiedy spała. Ulrike gwałtownie wciągnęła powietrze do płuc. Z jej oczu popłynęły łzy, nad którymi nie potrafiła zapanować. Drugi dzień jeździła po Wiedniu komunikacją miejską, bo tylko dzięki temu czuła, że wciąż przynależy do świata, przebywa między żywymi i nic jej nie grozi. We własnym mieszkaniu czuła się jak w trumnie. Dwa ciasne pokoje na Türkenstrasse, widok na przeciwległą kamienicę, na dachy i kominy. Jak w trumnie, a jednak nie w ciszy. Ona sama milczała, ale wokół wciąż słyszała dźwięki. Stukanie, szuranie, kroki, głosy. Traciła rozum. Miotła się od ściany do ściany, wyglądała przez okno, splatała palce, by nie trzęsły jej się ręce, po czym chwyciła klucze, wychodziła, wsiadała do metra. Dwa dni. Miała wrażenie, że robi już tak całą wieczność. Czy mogła coś zmienić?

Po jej niedawnej odwadze nie został nawet ślad. Pod Mayerlingiem na chwilę poczuła się silna, może nawet zdeterminowana. Chciała działać. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Owszem, poszła na policję po tym, jak się okazało, że stara Żydówka umarła. Pytali ją, gdzie była. Odpowiedziała zgodnie z prawdą, że na wycieczce w Mayerlingu. To miejsce nie było dla policji podejrzane, jeszcze nie. Z nikim im się nie kojarzyło. Pytali, czy na pewno nie wie, gdzie przebywa Ernst Bauer. Nie, nie wie. Prawie wyrwało się jej, że „niestety”. Gdzie był? Ktoś musiał pochować Sullam. Przez niego umarła. Niepotrzebnie przyjeżdżała. Ulrike powiedziała to chyba nawet na głos, a przesłuchujący ją policjant uznał, że powinna pójść do domu i odpocząć. Z pewnością była pod obserwacją. Sprzątaczką rzeźbiarza. Sprzątaczką mordercy? Oddali jej rzeczy, które zabrała na Ringstrasse. I znowu została sama, jak wtedy, kiedy wyniosła się z rodzinnego domu-rzeźni.

Ulrike wysiadła na Stephansplatz. Nie mogła się pozbyć wrażenia, że ktoś za nią idzie, krok w krok, jak cień. Obejrzała się przez ramię. Ani jednej znajomej twarzy. Ulga i przerażenie zarazem. Do kogo mogła się zwrócić, gdyby... coś się stało? Miała przecież porozmawiać z Lindholm, ale nie wiedziała, gdzie teraz przebywa. Zniknęła, kiedy umarła Sullam. Może to właśnie Anna zajmie się pogrzebem? Może wystarczy poznać termin i miejsce pochówku? Ta myśl nieco ją pokrzepiła. Ulrike stanęła przed fasadą Stephansdom i starała się uspokoić oddech. Oddech był potrzebny do życia. Zamknęła oczy. Gorący wiatr potargał jej włosy. Oddech. Anna Lindholm. Spokój. Odzyskać spokój...

Ktoś wpadł na nią i popchnął mocno. Ulrike otworzyła szeroko oczy, zachwiała się i przewróciła. Rozejrzała się zdezorientowana i poczuła, jak jej biodro przeszywa ból. Usiłowała wstać. Na ratunek przybiegł jej młody mężczyzna w stroju z osiemnastego wieku, który pod katedrą sprzedawał bilety na koncert z muzyką Mozarta.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Wstała z trudem i skrzywiła się. Upadła niefortunnie.

– Proszę pani? Nic się nie stało? Potrzebuje pani lekarza? Może pani stać? A chodzić?

– Tak. Chyba tak. – Zrobiła na próbę kilka kroków. Biodro bolało ją okropnie, ale mogła się poruszać bez niczyjej pomocy.

– Proszę. Pani telefon.

– Słucham?

– To pani telefon. Musiał wypaść pani z ręki.

Ulrike wyciągnęła dłoń i przyjęła komórkę. Mężczyzna coś jeszcze powiedział, po czym oddalił się i wrócił do swojej pracy. Stała przez chwilę z telefonem w ręku i bała się na niego spojrzeć. W głowie huczała jej jedna, potężna myśl – że się nie pomyliła. Ktoś naprawdę za nią szedł. Widział, co robiła, gdzie była. Nie ukryła się, ani w tłumie, ani w swoich czterech ścianach. Wreszcie opanowała lęk i zerknęła na telefon. Prosty, tani, na kartę. Bez ustawionego hasła. Ulrike otworzyła skrzynkę z wiadomościami. Znalazła tylko jedną.

„Jutro o północy, za kościołem Wotruby. Przy fundamentach. Weź ze sobą Lindholm. Tylko ją.”

Nie miała pojęcia, skąd to wie, ale była pewna, że wiadomość wysłał Ernst Bauer.

## Rozdział 12

Zentralfriedhof wydał się Annie dziwny. Była w nim pewna dwoistość i jakaś wizerunkowa niespójność. Mówiono, że to największy cmentarz w Europie, czy też może drugi co do wielkości, potężna nekropolia, po której jeździ autobus, a chętnych oprowadza przewodnik. I rzeczywiście – przestrzeń była ogromna. Anna wydała się sobie żałośnie mała wobec bezmiaru upstrzonych mogiłami płaszczyzn. Ebeling próbował coś jej o tym miejscu opowiedzieć, wskazywał na łukowate arkady, pod którymi znajdowały się krypty sławnych ludzi, na symboliczny grób Mozarta i – prawdziwy – jakiegoś polityka, a na koniec na imponujących rozmiarów kościół. Słuchała go, owszem, nawet z pewnym zainteresowaniem. Żałowała, że nie potrafi się bardziej skupić, wyłowić z tej historii ważnych informacji, znaleźć coś dla siebie. Uwielbiała miejsca, w których przeszłość przenikała się z terażniejszością, a tutaj właśnie tak było. Zentralfriedhof przerażał i zachwycał jednocześnie, przypominał o nieuniknionym finale losu każdej ludzkiej jednostki, a zarazem przynosił dziwne ukojenie. Kazał skupić się na tym, co naprawdę ważne – na życiu, które wciąż trwa. Właśnie teraz, zanim będzie za późno.

Cmentarz, mimo swoich rozmiarów, licznych map, strzałek, numerków i innych wskazówek pozwalających zorientować się w przestrzeni, pomimo autobusu i dostępnych audioguide'ów, zdawał się spokojny i pusty. Ebeling twierdził, że w niedziele i święta pełno tu ludzi, ale w tygodniu można się poczuć samotnym. Anna cieszyła się z panującej wokół ciszy. Obok niej siedł Leon, przed nią Ebeling, a za nią – Diane. O kilka metrów na ścieżce wyprzedzał ich rabin i mężczyźni, którzy wcześniej nieśli trumnę Chany na nowy cmentarz żydowski. Teraz mogli już odejść. Po ceremonii pogrzebowej przestało ich z Anną łączyć cokolwiek. Oni wykonywali tutaj tylko swoją pracę.

Ona tymczasem nie miała pojęcia, co właściwie robiła i dlaczego. Wiedziała, że tylko dzięki Ebelingowi udało jej się załatwić wszelkie formalności związane z pochówkiem. Nie pytała nawet, jak tego dokonał. Zdawała sobie sprawę, że z pewnością nie było łatwo. Chana Sullam nie mieszkała w Wiedniu, pochodziła z Belgii, a ostatnie lata życia spędziła nie wiadomo gdzie. Zameldowana była w niewielkim mieszkanku w centrum Antwerpii, nie pobierała państwowej emerytury, ale na jej koncie oszczędnościowym leżała spora suma. Na szczęście spisała testament. Prawie cały majątek, poza kwotami przeznaczonymi na kilka domów dziecka, przekazała wnukowi. Zawarła tam również informację, że nie ma dla niej znaczenia miejsce pochówku, ale chciałaby, jeśli okaże się to możliwe, by pogrzeb odbył się w obrządku żydowskim. Ten ostatni zapis parę spraw ułatwił. Anna chciała zaangażować się w to wszystko bardziej, polecieć do Antwerpii, pokazać – choć nie bardzo wiedziała komu – że ona i Chana naprawdę się znały, może nawet na swój sposób przyjaźniły. Tak to czuła. Widziała tę kobietę krótko i nie rozmawiały za wiele, ale przecież coś je łączyło. Chana Sullam zaufała Annie. Poprosiła ją o pomoc. Musiała mieć powód. Anna nie mogła się pozbyć wrażenia, że powinna się odwdziżyć. Albo też wmawiała sobie to wszystko, bo zainteresowała ją ta sprawa. Tajemnice Chany, tajemnice Ernsta i dwóch zmarłych dziewczyn. I tego rzeźbiarza, który właśnie teraz usiłował odebrać sobie życie. Umysł

Anny pracował na wysokich obrotach. Może źle postępowała i powinna posłuchać Antonia, który dzwonił co kilka godzin i prosił, by wróciła do domu. A jednak musiała – i chciała – zostać. Antonio natomiast nie wspominał o tym, kiedy sam wróci, co dokładnie robi i jak mu idzie naprawianie relacji z synem. Chciał tylko, by Anna znalazła się z dala od wydarzeń, które rozgrywały się w Wiedniu. Żeby nie musiał się martwić. Żeby o niej nie myśleć? Nie mogła zastanawiać się teraz nad swoją relacją z Tonim. Zajmie się tym później.

Zerknęła na szerokie i proste plecy Ebelinga, który odpuścił sobie swoją przewodnicką misję i szedł przez Zentralfriedhof w milczeniu. Bąknął tylko, że poprowadzi ich przez stary cmentarz żydowski, by mogli zobaczyć „jak to kiedyś wyglądało i ile z tego zostało”. Nie protestowała. Była mu ogromnie wdzięczna za to, że wszystkim się zajął. Poleciał do Antwerpii, a w Wiedniu porozmawiał z kim trzeba i uzyskał pozwolenie, by Anna zajęła się zorganizowaniem ceremonii pogrzebowej. Nikt inny nie upominał się o Chanę. A ona przecież wiedziała już, jak powinien wyglądać żydowski pochówek... Nawet jeśli Chanie w ostatniej drodze towarzyszyło mniej ludzi niż Vidarowi, nie zjawiała się Chewra Kadisza i wszystko działało się szybciej. Anna i tak doświadczyła uczucia déjà vu. Kiedy rabin odmawiał modlitwę, kiedy ona sama bezgłośnie, poruszając jedynie wargami, wypowiadała słowa, których nie rozumiała i w które nie wierzyła. A jednak poczuła się spokojniejsza, że nie zostawiła jej samej.

Na starym cmentarzu żydowskim Ebeling zwolnił. Wkroczyli do innego świata, w którym cisza aż kłuła w uszy. Było tutaj pusto, miejscami nawet ciemno – tam, gdzie drzewa rosły gęsto i blokowały promienie słoneczne. Szli niespiesznie, a Leon co jakiś czas zatrzymywał się, żeby zrobić zdjęcie. Ona również przystanęła i spojrzała na niego. Uniósł brwi.

– Coś nie tak? – zapytał bardzo cicho, jak gdyby bał się zakłócić spokój tego miejsca.

– Robisz zdjęcia grobom – powiedziała tylko i zachmurzyła się.

Leon oblał się rumieńcem, ale nadal trzymał w dłoniach aparat.

– Wiem, że to dziwne – przyznał. – Ale sama powiedz. Jest coś niezwykłego w starych cmentarzach, zwłaszcza takich opuszczonych.

Skinęła głową i utkwiała wzrok w szeregu niezwykłych mogił, utworzonym z zaokrąglonych u góry, minimalistycznych płyt, pozbawionych ozdób. Na prostych, prawdopodobnie symbolicznych nagrobkach widniały jedynie wyryte w kamieniu gwiazdy Dawida, wypisane czarnymi literami nazwiska i daty. Pojedyncze. Śmierci czy narodzin? Nie wiedziała. Przesuwała wzrokiem po literach, które układały się w słowa. Leinmuller, Wurm, Lohner, Landau, Reinfeld... I wiele innych nazwisk. I daty. Odległe. Dzień, miesiąc, rok. Tak, Leon miał rację. Było coś niezwykłego w starych cmentarzach. Zwłaszcza żydowskich, które w tej części Europy prawie zawsze były opustoszałe. Zniknęli ludzie, którzy mogliby tu przychodzić, dbać o groby, odwiedzać zmarłych. Ich losy, często tragiczne, tonęły w mrokach historii. Daty śmierci, tam, gdzie je wypisano, kończyły się na latach trzydziestych lub wczesnych czterdziestych. Co się stało z ludźmi, którzy pochowali tu swoich ojców i swoje matki? Vidar lubił odwiedzać stare cmentarze żydowskie. Zawsze popadał w takich miejscach w osobliwą zadumę i chyba tylko wtedy



czuł prawdziwą przynależność do „swoich”. Na co dzień nie był zbyt gorliwy. Nie chadzał regularnie do synagogi i nie modlił się za często. A jednak miał swojego Boga, w którego wierzył, i ludzi, którzy myśleli podobnie jak on. Zazdrościła mu tego.

– Anka?

Głos Leona wyrwał ją z zamyślenia.

– Tak, tak. Jest coś niezwykłego w starych cmentarzach – rzekła i uśmiechnęła się smutno.

– Wszystko gra?

– Nie wiem.

Leon chwycił ją za ramiona i obrócił do siebie. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy i Annie przypomniało się, że przecież nie tak dawno mieli swój „moment”. W sypialni na Ringstrasse. Przysunęła się wtedy do niego i... chciała coś zrobić? A przecież to się nie mogło wydarzyć. Nie teraz, nie tutaj. Nie wtedy, gdy Antonio był daleko. Nie w chwili, kiedy nie potrafiłaby ustalić właściwej przyczyny takiego zachowania. Leon na to nie zasłużył. Ani Antonio.

– Anka, chciałem ci tylko powiedzieć...

– Później mi powiesz. Chyba to nie jest najlepsze miejsce na taką rozmowę?

– Masz rację, ale...

– Ja i tak wiem – powiedziała, odwracając wzrok. Leon przez chwilę milczał. Zaskoczyła go.

– To... dobrze.

– Póki co, wszystko dzieje się za szybko. A my wybieramy sobie coraz dziwniejsze miejsca na dyskusowanie o ważnych sprawach. Nie uważasz?

– Anka, znam cię już trochę...

– A przynajmniej tak ci się wydaje.

– A przynajmniej tak mi się wydaje – powtórzył powoli. – Popraw mnie, jeśli jestem w błędzie.

Wpatrywał się w nią tak intensywnie, że ledwie mogła to znieść. Objęła wzrokiem całą jego twarz, piegi na policzkach i nosie, brązowe włosy opadające na powieki, gęste i lekko kręcone, wyraziste kości policzkowe, złocistą opaleniznę. Za dużo było w tym wszystkim przypadku. On i ona w Helu, jednocześnie. Jego deklaracja, by z nią tutaj przyjechać, tak po prostu, jak gdyby gdzieś w tle nie toczyło się normalne życie. Leon był wolny. Jeździł, dokąd chciał, robił zdjęcia, wracał do domu, a później wyjeżdżał znowu, by zrealizować kolejne zlecenie. Nie musiał zapuszczać korzeni ani wybierać sobie jednego miejsca do życia. Cały świat był jego. Anna tymczasem uparcie szukała domu. Ich cele się różniły. A jednak był tutaj, na wiedeńskim cmentarzu, na pogrzebie kobiety, której nie znał. Brał udział w sprawach, których nie rozumiał. Dopiero teraz dotarło do niej, jak bardzo jest mu za to wszystko wdzięczna.

– Nie jesteś w błędzie. Rzeczywiście trochę mnie już znasz – przyznała wreszcie.

Leon zbliżył się do niej i chwycił ją za rękę. Szepnął, swoim zwyczajem, „Anka”, ale ktoś go zagłuszył. Na ścieżce przed nimi wyrósł Ebeling.

– Ja wiem, że to jest bardzo romantyczne miejsce i równie romantyczny moment na gruchanie, ale muszę wam przeszkodzić.

Anna odskoczyła od Leona. Zrobiło się jej gorąco i okropnie wstyd.

– Musimy iść. Przy głównym wejściu czeka komisarz Weber. Chciałby chwilę z nami porozmawiać. Idę o zakład, że przyszedł tutaj, bo miał nadzieję spotkać na pogrzebie Ernsta Bauera. Nie wiem... ukrytego za drzewem, jak w filmach? A przecież Bauer nie jest idiotą. Choć trzeba przyznać, że czasem ludziom przychodzą do głowy bardzo dziwne pomysły.

– Sama na jego miejscu bym to sprawdziła – uznała i ruszyła w ślad za Thomasem. Leon włókł się z tyłu, razem z Diane.

– No więc właśnie. Uśmiechaj się i bądź uprzejma. Lepiej, żeby nie wiedział, jak bardzo masz zamiar wtrącać się w tę sprawę. Ja już mu w zupełności wystarczam.

– Przecież mówiłeś, że sam do ciebie zadzwonił, kiedy w lesie znaleziono Angie.

– Tak, ale tylko przez broszkę. Napomknąłem o broszce, którą nosiła Marlene. Taką samą znaleziono przy ciele Angie. I Weber się zestresował, że coś przeoczył. Niestety... ja sam nie mam jeszcze teorii na temat tej broszki.

– Mnie ona też do niczego na razie nie pasuje. Ale to dlatego, że wciąż za mało wiem.

Minęli sporą łąkę, której widok na środku dużego cmentarza bardzo Annę zaskoczył, i wkrótce dotarli do głównej alei. Ebeling posłał jej łobuzerskie spojrzenie.

– Trzeba ustalić wspólną wersję. Spotkaliśmy się na komisariacie po śmierci Chany, zaczęliśmy rozmawiać, mnie się zrobiło ciębie żal, bo byłaś zrozpaczona po stracie przyjaciółki i postanowiłem ci pomóc z pogrzebem.

– Akurat to łyknie – mruknęła i nasunęła na nos ciemne okulary.

– Ale i tak sobie utrwał.

– Dobrze, szefie. Aha, mam mały kłopot. – Anna zatrzymała się, kiedy byli już bardzo blisko głównego wejścia. – Rozmawiałam z Leonem i postanowiliśmy dać sobie miesiąc. To znaczy... miesiąc tutaj, w Wiedniu. Jeśli po upływie tego czasu na nic nie natrafimy...

– Rozumiem. I to jest ten mały problem? – Wzrok Ebelinga powędrował w bok i emerytowany komendant wyszczerzył zęby w sztucznym uśmiechu. Przy głównym wejściu przechadzał się mężczyzna, który uśmiechnął się do niego równie naturalnie.

– Nie. Problem polega na tym, że nie mamy gdzie mieszkać. Nie podoba nam się pomysł wprowadzania się na miesiąc do hotelu, a u ciebie chyba dłużej nie dam rady...

– Koktajle z jarmużu? – zapytał ze zrozumieniem. – Jasne, każdego by wykończyły.

– O nie, nie każdego. Ingvar byłby zachwycony.

– A jednak jesteś tu z kimś innym. – Ebeling mrugnął i przestąpił z nogi na nogę. – Mam propozycję. Dam ci klucze do mojego starego mieszkania na Klostergasse. Stoi puste, no wiesz, z sentymentu. Tylko pewnie trochę tam kurzu.

– Nic nie szkodzi – zapewniła.

– Świetnie. Nieopodal znajduje się mój pierwszy komisariat, w którym pracowałem kilka lat – dodał, rozmarzony. I natychmiast spochmurniał, kiedy mężczyzna spod głównego wejścia ruszył w ich stronę.

Anna wyprostowała się i miała nadzieję, że wygląda godnie. Jak pogrążona

w żałobie przyjaciółka Chany Sullam, którą Thomas Ebeling poznał zupełnie przypadkowo.

\*\*\*

Nad cmentarzem zebrały się czarne chmury, a powietrze znieruchomiało. Ostatnio dni były do siebie bardzo podobne. Od rana upał i ostre słońce, w południe chmury, po południu burza. I zaduch blokujący oddech. Ulrike zakręciło się w głowie, kiedy opuściła nowy cmentarz żydowski. Spóźniła się. Grabarz poinformował ją, że „już po”. Po pogrzebie. Nie zdążyła, choć tak bardzo starała się dotrzeć na czas, a wcześniej równie mocno starała się zdobyć informację o miejscu i czasie ceremonii. Zadzwoiła do tego policjanta, który ją przesłuchiwał, i okropnie dukąła, zanim przeszła do sedna. Tłumaczyła, że przez moment pracowała dla Sullam, że jej bardzo przykro i chciałaby uczestniczyć w pogrzebie, i być może akurat coś o nim „panu komisarzowi” wiadomo. Nie miała pojęcia, co wydało mu się bardziej podejrzane: jej nieskładna wypowiedź i wyraźne zakłopotanie czy raczej zainteresowanie Chaną. I która z tych dwóch opcji stawiała Ulrike w gorszym świetle. Ale ostatecznie skąd miała zdobyć taką informację? Jak dojść do tego, co zrobili z ciałem? Czy przewieźli je do Belgii, czy zostawili tutaj? I kto się zajmie pogrzebem? To przecież nie była normalna sytuacja!

Ernst nadal się nie ujawnił, a Sullam nie miała ponoć innej rodziny. Ulrike łudziła się, że jej domysły co do przejęcia inicjatywy przez Annę Lindholm okażą się słuszne. Ale nawet tego nie dowiedziała się od cynicznego policjanta. Kiedy zapytała go wreszcie o pogrzeb, w słuchawce rozbrzmiało znaczące chrząknięcie, po czym padła informacja o miejscu i czasie. Nie miała śmiałości pytać dalej. Rozłączyła się i ucieszyła w duchu przynajmniej z tego, że wszystko dzieje się tutaj, w Wiedniu. Oczywiście mogła poprosić komisarza o numer telefonu Lindholm, ale głos uwiązł jej w gardle. Czy byłby skory przekazać taką informację? Pewnie nie, a przynajmniej – nie bez podejrzeń. Pozostawała jeszcze opcja Google’a, ale kiedy Ulrike wklepała w wyszukiwarkę nazwisko Lindholm, znalazła tylko numery do jakichś warsztatów meblarskich w Szwecji, z adnotacją, że zmienił się ich właściciel. Konta na Facebooku Anna nie miała. I kółko się zamknęło. Nie zdążyła poprosić jej o numer telefonu, kiedy jeszcze przebywały pod jednym dachem, i teraz ponosiła konsekwencje odkładania wszystkiego na później. Poza tym Ulrike naprawdę nie chciało się dłużej kombinować. Pogrzeb wydał się jej idealnym rozwiązaniem. Aż do teraz.

Minęła kościół i arkady, pod którymi mieściły się krypty. Słońce całkiem już zaszło, a powietrze zamieniło się w gęstą zupę. Po policzkach Ulrike płynęły łzy. Poległa. Co jeszcze pozostało? Wsunęła dłoń do kieszeni i zacisnęła palce na telefonie, który „wręczył” jej ktoś pod katedrą św. Szczepana. To dzisiaj. O północy, za Wotrubakirche,

przy fundamentach. Wiedziała, które miejsce miał na myśli nadawca. Za kościołem Wotruby biegła wąska ścieżka, prowadząca między gęsto rosnące drzewa i krzewy. Od niej odchodziła kolejna, jeszcze węższa i bardzo zarośnięta dróżka. Można nią było dojść do starych fundamentów jakiejś budowli. Ulrike nigdy nie sprawdziła, co tam się niegdyś znajdowało, ale pewnego dnia pojechała w to miejsce. Jeden jedyny raz. Bo Ernst jej polecił. Nawet za dnia można było dostać gęsiej skórki, a co dopiero o północy.

Zatem – to dziś. Miała zabrać ze sobą Lindholm. Tylko ją. A jeśli przyjedzie sama? Czy w ogóle powinna to zrobić? Oczywiście, że nie. Chyba upadła na głowę! Ale z drugiej strony – przecież musiała. Jeśli to Ernst, jeśli potrzebował pomocy... Jeśli był niewinny i nie miał do kogo się zwrócić? Ulrike rozumiała ten stan. Ona również była teraz zupełnie sama.

Jej oczom ukazało się główne wejście. W tej samej chwili z nieba spadły pierwsze, ciężkie krople deszczu. Zmyły z jej policzków łzy i na sekundę przyniosły coś na kształt ukojenia. Postanowiła, że pójdzie tam sama. Niech się dzieje! Ile miała do stracenia? Ulrike zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę bramy. I wtedy ich zobaczyła. Cynicznego komisarza, z którym nie tak dawno rozmawiała przez telefon. Kobieta w granatowej hipisowskiej sukni do ziemi. Mężczyznę w czarnych dżinsach i koszuli, który najwyraźniej chciał wyglądać jak żałobnik, ale nie miał odpowiedniej garderoby. A poza tym bardzo przypominał Stevena Tylera. I wreszcie ich – Lindholm i jej... kolegę? Nie chłopaka, a przynajmniej nie oficjalnego, bo na Ringstrasse dostali przecież osobne sypialnie. Co tu robili z policjantem? Co tu robił sam policjant? Kim byli ci dziwni ludzie, hipiska i Steven Tyler? Jak miała teraz podejść do Lindholm i z nią porozmawiać?

Dostrzegła swoją szansę wtedy, kiedy grupka obserwowanych przez nią ludzi zaczęła się żegnać na parkingu. Ulrike ukryła się za filarem i z niepokojem śledziła bieg wydarzeń. Najważniejsze było to, że policjant wszedł do auta i odjechał. Pozostali przystanęli przy starym volkswagenie i najprawdopodobniej również mieli zamiar – tym właśnie pojazdem – oddalić się z cmentarza. Kiedy hipiska wyjęła kluczyki i otworzyła drzwi, Ulrike nie mogła dłużej czekać. Puściła się biegiem w ich stronę. Widziała, jak odwracają się kolejno. Starsi uprzejmie zaskoczeni, a Anna i Leon bardzo zdziwieni. Lindholm ruszyła w jej stronę. Ulrike poczuła ulgę. Zatrzymała się i poczekała, aż dziewczyna do niej dołączy. Dyszała ciężko i myślała tylko o tym, żeby się znowu nie rozbeczeć. Musiała wziąć się w garść. To nie był dobry moment na uzalanie się nad sobą.

Lindholm stanęła przed Ulrike, wyraźnie zaniepokojona jej stanem i wyglądem.

– Myślałam o tobie. Pytałam nawet o ciebie komisarza Webera, ale powiedział, że wróciłaś do domu. Miałam zadzwonić, ale... pogrzeb i...

– W porządku! – zawołała ze zniecierpliwieniem i odciągnęła Annę jeszcze dalej od jej towarzystwa.

– Czy ty się dobrze czujesz? Bo wyglądasz...

– Zobacz – powiedziała nerwowo i wręczyła jej komórkę.

Anna Lindholm przejęła telefon i przeczytała wiadomość. Zbladła. Zerknęła przez ramię na tego swojego chłopaka, który wyglądał jak dzikie zwierzę gotowe do skoku. A później znowu spojrzała na Ulrike. Płynnym ruchem oddała jej komórkę.

– Chyba nie myślisz o tym, by...?

## Rozdział 13

Na pierwszym piętrze, w niewielkim barze połączonym ze sklepikiem z suvenirami, było ciszej i spokojniej niż na dole. W piątkowe wieczory na parterze pałacu Palffy świętowano. Do galerio-pubu schodzili się wiedeńscy artyści, często ci awangardowi, i z determinacją idący pod prąd, by uczcić... coś, w zależności od sytuacji. Przeważnie w Phantastenmuseum można było zobaczyć jakąś wystawę, a to zdawało się zawsze dobrym powodem do imprezowania, jednak aktualną ekspozycję – malowidła Rozenza Opfa – wszyscy stali bywalcy zdążyli już obejrzeć co najmniej kilkanaście razy. Inge miała zamiar dołączyć do wesołej kompanii na parterze, ale zatrzymał ją widok jednego z obrazów Opfa. Przedstawiał dzieło w dziele, płótno, na którym ktoś wymalował czyjs portret z wielką różą zamiast głowy, z pojedynczym okiem w miejscu czoła i różowym jęzorem wystającym spomiędzy płatków. Oczywiście widziała już ten obraz wcześniej, ale dopiero dziś poczuła, że to ponad jej siły. A może miała zły dzień. Musiała wyjść z domu i przyjść do Palffy, napić się albo poudawać, że nad czymś pilnie pracuje. Kolejna godzina spędzona na Rysergasse w towarzystwie Niklause skończyłaby się dla niej bardzo źle. Michael od wczoraj przesiadywał na sofie i właściwie nie zmieniał pozycji. Gapił się w ścianę i jeśli cokolwiek mówił, to ograniczał się do „przepraszam, nie chciałem”. Z początku ją przerażał. Przez chwilę myślała, że naprawdę coś zrobił, popełnił jakiś fatalny błąd, który miał tragiczne skutki. Czekwała na konkrety, ale się nie doczekała. Uznała więc, że po prostu mu odbiło.

Dlatego też z samego rana zrobiła dwie rzeczy. Po pierwsze sprowadziła na całą dobę pielęgniarkę, która miała czuwać nad zdrowiem Michaela. Po drugie zaprosiła na Rysergasse także swoją asystentkę z Palffy, Angelę, by wsparła przedstawicielkę służby zdrowia, na wypadek gdyby chłopak się stawiał. Przez głowę przemknęła jej myśl, że powinna raczej zaangażować do tej roboty jakiegoś osiłka, ale wówczas napotkałaby ze strony Niklause stanowczy opór. I tak się naburmuszył. Mruknął, że nie potrzebuje nianiek i żeby wszyscy się łaskawie „odpierdolili”. Zignorowała go. Jeszcze aż tak nie upadła na głowę, by zostawić tego durnia samego w domu po tym, co zrobił. A Niklaus ostatecznie nie wszczął awantury. Po prostu demonstracyjnie gapił się w ścianę. Kiedy więc w domu pojawiły się pielęgniarka z Angelą, Inge czym prędzej czmychnęła do samochodu.

Po przybyciu do Palffy chciała się napić whisky na dole w galerii, ale powstrzymał ją właśnie widok róży z wielkim okiem i różowym jęzorem. Róża z okiem przelała czarę goryczy. Inge pomknęła na górę, weszła do barku na piętrze, przy sali Figara, w której zazwyczaj odbywały się koncerty Mozartowskie, i skupiła wzrok na butelce wypełnionej bursztynowym płynem. Nalała sobie solidną porcję i upiła duży łyk. Oparła się o ścianę i zerknęła w bok, na okno, za którym widniała rześcicie oświetlona fasada Hofburga. O zmroku prezentowała się jeszcze piękniej, jak ostoja porządku i normalności. Inge z niechęcią przeniosła wzrok na malowidła, których w barku na piętrze też było sporo. A jednak Laszlo Prihoda przy Opfie wydawał się przyjemnie nudny i przewidywalny. Tutaj nie było już róż z oczami. Jedynie miłe dla oka pejzaże utrzymane w duchu impresjonizmu. Inge pomyślała, że powinna zmienić miejsce pracy, zatrudnić się

w jakiejś sympatycznej galerijce, gdzie sprzedawałaby zachowawcze prace, które bogaci mieszczenie lubili sobie wieszać nad kominkami. Jakieś austriackie górki, na przykład. Nie wiedziała, ilu jeszcze zniesie Opfów. I ilu Niklausów. Zadrżała na myśl o tym ostatnim. Próbował się zabić. Gdyby mu się udało... niczego by już nie osiągnął. Niczego nie wyrzeźbił. Jak można zmarnować równie wielki talent? Wszystko dopiero się dla niego zaczynało. Mamrotał, że „nie chciał”. Czego nie chciał? A jeśli chodziło mu o swoją twórczość? O to, że sytuacja go przerosła? Nie, niemożliwe. Inge widziała, jak błyszczały mu oczy, kiedy odniósł pierwszy sukces. Marzył o tym. Dlaczego więc...?

Nalała sobie kolejną porcję alkoholu, wyszła z baru i ze szklanką w dłoni pomaszerowała do sali Figara. Dziś nie odbywał się tu żaden koncert. Było przyjemnie pusto, chłodno i cicho. Nie zapaliła światła, tylko w ciemności ostrożnie weszła na podium i usiadła w swoim ulubionym miejscu, pod niewielką pozłocaną rzeźbą Mozarta. Zakręciło jej się w głowie od alkoholu i poczuła się prawie błogo. Przymknęła oczy. Z dołu dobiegała muzyka i gwar rozmów. Kiedy Inge znowu otworzyła oczy, dostrzegła, że na widowni ktoś siedzi. Z tyłu, tuż przy filarze. Mężczyzna uniósł się z krzesła i przemówił. W pustej sali jego głos wydawał się stłumiony.

– Dzwoniłem. Nie odbierałaś.

– Ja...

– Wiedziałem, że cię tu znajdę.

\*\*\*

Dzwonił, ale nie odbierała. Wziął tabletkę, jedną, drugą i wreszcie trzecią. Po czwartą bał się sięgnąć. Przeczytał ulotkę, w której obiecywano, że ból ustąpi od razu i przekraczanie dozwolonej dawki nie będzie konieczne. A przynajmniej Rudolf tak to rozumiał. Posprzątał w domu i wyszedł na spacer. Do cholernego lasu, w którym znaleziono ciało Angie Hamilton. Tak blisko.

Dziś Rudolf miał swój moment słabości. A właściwie wszystko zaczęło się wczoraj, wraz z włączeniem odkurzacza. Wczoraj i dziś zlały się w jedno, w ciąg długich godzin, wypełnionych bólem, strachem i dziwną, masochistyczną niecierpliwością w oczekiwaniu na najgorsze. Nie spał. Chyba nie. Myślał o czystości, krwi i śmierci. O Angie, Marlene, Ernście i Michaelu. O siostrze Angie, która wylądowała w psychiatryku. Pomogli jej tam? Bardzo wątpił. Angie też nikt nie pomógł. On jej nie pomógł, choć przecież chciał. O to mu chodziło od samego początku, ale zwlekał zbyt długo. Wreszcie uznał, że porozmawia z Inge. Z tą zimną, wysoką i szczupłą jak modelka, wyrachowaną suką na obcasach, która stawiała sobie konkretne cele i realizowała je z bezwzględną konsekwencją. Chciała być kimś w wiedeńskim artystycznym świecie, a w Palffy nikt jej nie rozpieszczał. Nic dziwnego, że uczepliła się

tego Niklause. Nie wiedziała jednak... Nic nie wiedziała. Dzwonił do niej, ale nie odbierała. Co piętnaście minut. A między wybieraniem połączeń przykładał głowę do zimnego kuchennego blatu, jęczał z bólu i patrzył na czarne podłogowe kafle, na których profesor Steinbeck zakończył życie. W głupi sposób.

Musiał komuś powiedzieć. Wszystko do niego wracało, cała przeszłość, każde wydarzenie, na które wyraził milczącą zgodę. Wiedział, że zginie, jeśli komuś nie powie. Inge nie odbierała, więc wsiadł w samochód i pojechał na Rysergasse. Sama mu powiedziała, że się tam na jakiś czas wprowadza, na wypadek gdyby jej szukał. Opiekowała się... nim. Michaelem Niklausem. Boże. To już nie była zabawa. Rudolf czuł, że powinien coś zrobić. Nie tylko dla siebie. Zaparkował auto niedbale pod domem rzeźbiarza i ruszył do drzwi. Otworzyła mu jakaś kobieta. Wszedł. Słuchał jej jednym uchem, usiłując zapanować nad mdłościami. Powietrze pulsowało dziwnie jak podczas upału. Trzy tabletki przeciwbólowe i ból, który po nich nie ustąpił. Kobieta była pielęgniarką, sprawowała kontrolę nad Niklausem pod nieobecność pani Altman. „Pan Niklaus poszedł wziąć prysznic”. „Pilnujemy go na zmianę z Angelą Bloch”. „No kojarzy pan, prawda? Angela Bloch, asystentka pani Inge z Palffy”. Rudolf usiłował się skupić. Nic nie rozumiał, ale musiał przecież zadać pytanie. Mówił wolno i nieskładnie, jak po spożyciu alkoholu. Pielęgniarka odsunęła się od niego dyskretnie.

– Gdzie jest Inge? – zapytał wreszcie, przestając się bawić w dyplomację.

– Powiedziała, że będzie pod telefonem, ale gdyby coś się wydarzyło, to mamy jej szukać w Palffy.

– W Palffy – powtórzył ze ściśniętym gardłem.

Wybiegł z domu rzeźbiarza i wskoczył z powrotem do auta. Nie wiedział, czy dobrze robił, prowadząc w takim stanie. Nie wiedział, czy dobrze robił, zostawiając Niklause sam na sam z tymi kobietami. Nie wiedział wreszcie, czy miał inne wyjście. I czy się nie mylił. Może Niklaus się zmienił? Nie. Na pewno nie.

\*\*\*

Był pijany? Inge poczuła, jak napinają się jej wszystkie mięśnie. Chwilowe uczucie błogości wywołane whisky gdzieś się ulotniło. Pod filarem, w ostatnich rzędach, siedział Rudolf Steinbeck. Nie wiedziała, dlaczego ten widok aż tak bardzo ją przeraził. Nie powinna się nawet dziwić, że przyszedł akurat tutaj. Każdy, kto choć trochę znał Inge Altman, wiedział, gdzie w Palffy znajdowało się jej ulubione miejsce. Ona tymczasem zdawała sobie sprawę, że dzwonił, i nie odbierała z premedytacją. Chciała z tą rozmową poczekać, aż z Niklausem będzie można dojść do porozumienia. Póki co, nie miała Rudolfowi do przekazania żadnych konkretnych informacji. Ale on widocznie nie zamierzał czekać...



Patrzyła, jak powoli podnosi się z krzesła i idzie w jej stronę. Żałowała, że nie zapaliła światła i że zamknęła za sobą drzwi. Salę Figara rozświetlały jedynie uliczne latarnie i blask bijący od jasnej fasady przeciwległego Hofburga. Mało, pomyślała. Po ścianach i suficie przemykały fantastyczne cienie, które zamknięte w stop-klatce można by pokazywać w Phantasten jako dzieła sztuki. Sylwetka Rudolfa wydawała się wyższa i okazalsza, kiedy przed nią stanął. Chwiał się i nawet w tak słabym świetle zauważyła, że był bardzo blady. Powoli odstawiła szklanekę i wstała.

– Rudolf? Dobrze się czujesz? Przepraszam, że nie odbierałam, ale sam rozumiesz. Ta sytuacja z Michaeliem nieco mnie przerosła. Nie przywykłam... do opiekowania się kimkolwiek.

– Obiecałaś mi wystawę. Jego wystawę. Taką, że szczeka miała mi opaść – wycedził. Śmierdział potem i płynem do mycia szyb.

– Wiem. Ale przecież nie pomyślałabym, że on zechce się poharatać. Ty byś pomyślał?

– Ja nie jestem od myślenia o takich rzeczach. To ty go znałaś. Ręczyłaś za niego.

– Wiem, przepraszam – powiedziała po prostu.

Miała nadzieję, że jej skrucha i bezradność przyniosą dobre efekty. Ale Rudolf tylko zaśmiał się jak wariat. Inge zerknęła w bok i oceniła swoje szanse. Mogła zaryzykować i rzucić się do ucieczki, ale Rudolf stał tuż przy niej. Złapałby ją bez problemu. Musiała wywabić go stąd inaczej, sprawić, by sam zechciał wyjść.

– Rzeźby Michaela... – zaczęła.

Rudolf przechylił się w jej stronę. Chwiał się i sapał ciężko, a po czole spływał mu pot. A jednak nie wyczuła w jego oddechu nawet nutki alkoholu. Może zaaplikował sobie coś innego?

– Rzeźby Michaela – powtórzył za nią wolno. – Co z nimi? Kontynuuj, proszę.

– Mam tu kilka. Kilkanaście. Właśnie na tę przygotowywaną wystawę. Miał coś jeszcze wykonać i dołączyć do tej ekspozycji, ale ostatecznie... No cóż, nawet jeśli tego nie zrobi, to i tak mamy bazę.

– Bazę, mówisz?

– Możemy równie dobrze wystartować z tym, co mamy. I tak jest nieźle, moim zdaniem. Chciałbyś je obejrzeć? Zaraz zadzwonię do Hanza z portierni, żeby otworzył nam magazyn.

Rudolf cofnął się o krok i spojrzał na nią z mieszaniną podziwu i politowania.

– Niezły ruch, Altman. Boisz się mnie, co?

– Słucham?

– Boisz się mnie.

– Niby dlaczego?

– Pojęcia nie masz. O niczym. Gdybyś wiedziała wszystko, dopiero zaczęłabyś się bać.

– Rudolf, o czym ty mówisz, do jasnej cholery?

– Spałaś z nim?

Inge poczuła pulsowanie w skroniach i gardle. Bardzo chciała zrozumieć, co się tutaj działo. Po co przyszedł i czego chciał? Dlaczego się tak zachowywał? Przesunęła się

w bok, w kierunku drzwi. W kieszeni marynarki wyczuła telefon komórkowy. Wyjęła go.

– No więc? – odezwał się znowu. – Spałaś z nim? Czy Michael Niklaus zaliczył Inge Altman?

– Tak... Raz.

– Raz? Oszczędnie.

– Rudolf...

– Jak to zrobił?

– Słucham?!

– Jak to z tobą zrobił?

– Dlaczego pytasz mnie o takie rzeczy? To moja...

– Prywatna sprawa, wiem. Już kiedyś coś podobnego słyszałem. O prywatnych sprawach. Wiele zjawisk może się do nich zaliczać. Ale oczywiście ty nie masz o tym pojęcia. Chodźmy obejrzyć rzeźby.

Rudolf zmienił się na twarzy. Teraz wyglądał na zrezygnowanego, jak gdyby zamierzał coś zrobić, ale w ostatniej chwili się poddał. Ruszył w stronę drzwi i wyszedł na korytarz. Inge odetchnęła. Wybrała numer Hanza z portierni i poprosiła, by otworzył magazyn. Policzki piekły ją z nerwów.

\*\*\*

Leon wiedział, że Anna i tak postąpi wedle własnego uznania, jak zwykle. Wcale się jej nie dziwił. Był dokładnie taki sam. Działał pod wpływem impulsu i robił to, co w danej minucie wydawało mu się słuszne. Dlatego znalazł się w Wiedniu, a wcześniej w Wenecji. Dlatego na jesieni pojechał do Ystad i podróżował autostopem po nieznanym lesie. Bo nie odbierała telefonu i rzadko się odzywała. I dlatego nawet pozwolił zaciągnąć się do łóżka Lucrezii Doldano. A zresztą – w jej ramionach nieco łatwiej było zapomnieć o istnieniu Antonia Vallego. Leon nie miał pojęcia, co się teraz działo z weneckim komisarzem, w jakim celu naprawdę pojechał do Neapolu i kiedy stamtąd wróci. Czy wróci. I dokąd wróci. Gdzieś na obrzeżach jego świadomości kołatało się przekonanie, że postępował tak, jak obiecał sobie już więcej nie postępować. Wykorzystywał sytuację. Uderzał w słabości Anny, w jej chwilową samotność. Wiedział, dlaczego naprawdę tu przyjechała. Chciała pomóc Chanie, z którą poczuła więź, jeszcze zanim się poznały. Ale to nie było wszystko. Anna uciekała. Od odpowiedzialności, stabilizacji i zwykłego życia, od rutyny i spokoju. Od mglistej wizji domu. Mogła udawać przed samą sobą, że pragnie ten dom znaleźć i odkryć swoje własne miejsce na świecie. Kiedyś już przecież tego dokonała i okazało się, że nic nie jest dane na zawsze. Dlatego teraz było jej trudniej. Wiedziała dobrze, że wszystko wiąże się z ryzykiem, a już zwłaszcza zaufaniem. Zwłaszcza miłość, jakkolwiek patetycznie mogło to brzmieć. Leon bał się powiedzieć jej

cokolwiek wprost. Choć przecież musiała wiedzieć, co do niej czuł.

A teraz naprawdę zamierzała pojechać na Rysergasse i biegać po krzakach ze sprzątaczką rzeźbiarza. Pomysł każdemu innemu logicznie myślącemu człowiekowi wydałby się skrajnie idiotyczny, ale nie jej. Anna była... nie taka, jak każdy inny logicznie myślący człowiek. Teraz miała dodatkowy argument w postaci „swobody” i „wolności”. Nie pracowała dla policji, nawet w charakterze konsultanta. Nie musiała się pilnować ani trzymać żadnych procedur. Ryzykowała jako osoba prywatna i oficjalnie nie prowadziła żadnego śledztwa. Poza tym wciąż tkwiła w podstawowym błędzie, który nawet Leon, nigdy niezwiązany z policją, potrafił łatwo rozpoznać. Wierzyła w niewinność Ernsta. Nie brała pod uwagę ewentualności, że to on zamordował te dwie dziewczyny, choć przecież miał motyw, by usunąć przynajmniej jedną z nich. Był zazdrosny o Marlene Sachs, był zazdrosny o Michaela Niklausa, Marlene odeszła do Niklausa, Niklaus odnosił większe sukcesy na polu artystycznym. Nietrudno było doszukać się w tej relacji ukrytych pokładów zazdrości, zawiści czy nawet nienawiści. Jedno tylko Leonowi nie pasowało – sposób dokonania zbrodni. I narzędzie. Rylec rzeźbiarski, który jednoznacznie wskazywał na sprawcę. Za łatwo i za gładko. Gdyby Ernst Bauer rzeczywiście chciał pozbyć się zdradzieckiej byłej kochanki i modelki, z pewnością zrobiłby to inaczej i przynajmniej postarał się zatrzeć ślady. Rylec miał pewnie pod ręką, ale...

Leon wyobraził sobie nożyk rzeźbiarski i popadł w zadumę. Jednocześnie opanowywał go coraz silniejszy lęk. Rylec pod ręką. A jeśli właśnie tak to się odbyło? Marlene przyszła do Ernsta, czymś go zdenerwowała, on chwycił narzędzie i... Później spanikował i przerobił scenerię tak, by okoliczności wskazywały na zbrodnię z premedytacją. Zbrodnię „artystyczną”, bo w końcu ze śmierci również można uczynić sztukę. Wbrew pozorom rylec bardzo tutaj pasował, a śledczy mogli dojść do podobnych wniosków, co Leon. Że to zbyt oczywiste i za łatwe. Ernst mógłby też liczyć na to, że podejrzenia padną wreszcie na Michaela Niklausa, również rzeźbiarza związanego z Marlene. Tutaj także łatwo było spreparować jakiś motyw oparty na zazdrości. Marlene znudziła się Niklausem, uznała, że Bauer jest jednak ciekawszy i lepiej jej się z nim żyło albo coś w tym rodzaju. Dziewięćdziesiąt procent wszystkich morderstw popełnia się z banalnych przyczyn. Zazdrość, zdrada, urażona duma. Leon nie raz o tym słyszał i czytał. A zatem Bauer mógł to wszystko urządzić celowo. Zabić Marlene tak, by okoliczności wskazywały na niego, i bronić się, używając właśnie tego argumentu. Dobrego argumentu. Wniosek, do którego doszedł Leon, nie napawał optymizmem. Wnuczek Chany Sullam najprawdopodobniej był niebezpiecznym człowiekiem, a Anna planowała spotkać się z nim w nocy, w gęstych krzakach. Musiał opowiedzieć jej o swoich przemyśleniach.

Wstał z kanapy i podszedł do drzwi, za którymi znajdował się mały prysznic. Mieszkanie Ebelingów na Klostergasse mieściło się na parterze dziewiętnastowiecznej kamienicy i składało z dwóch pokoi i kuchni. Toaletę architekt zaplanował na korytarzu, a o czymś takim jak łazienka nie pomyślał w ogóle. Przyszedł mu za to do głowy inny koncept. Na korytarzu umieścić piękny rzeźbiony kran... Leon wolał nie analizować zbyt dokładnie jego przeznaczenia. Ebelingowie – jak i zapewne pozostali lokatorzy

kamienicy – wydzielili sobie łazienkę i toaletę z kuchni, przez co oba pomieszczenia wydawały się żałośnie ciasne. Ale w budynku zainstalowano windę. Dobrze, że zrobiono chociaż tyle. Ulrike Seinfeld, sprzątaczką rzeźbiarza, powiedziała, że w Wiedniu to normalne. Na windę w starej kamienicy można liczyć, a na toaletę i łazienkę w mieszkaniu – rzadko. Oczywiście dla Leona informacja nie była nowa. Mieszkał tutaj przecież przez kilka miesięcy. Zamknął Wiedeń w swoich fotografiach, jak wiele innych miast na całym świecie.

– Anka? – zawołał i zapukał delikatnie.

– Czego chcesz?

– Wyłącz.

Drzwi szczęknęły i w szczelinie ukazała się głowa Anny, owinięta ręcznikiem. Szykowała się do tego bieganina po krzakach jak na randkę.

– Nie zgadzam się – oznajmił.

– Hm?

– Na tę eskapadę.

– A wydaje ci się, że masz coś do powiedzenia? – zapytała uprzejmie i otworzyła szerzej drzwi. I tak nie mógł wejść do pomieszczenia, bo było jednoosobowe i skłaniało człowieka do zastanowienia się nad przejściem na dietę.

Leona nie zraził ton Anny ani jej determinacja. Zrobił krok do przodu i pokrótce opowiedział o swoich wnioskach i podejrzeniach względem Ernsta Bauera. Anna słuchała go w milczeniu. Kiedy skończył, uśmiechnęła się.

– Wspaniale, a teraz mogę się wytrzeć? I ubrać?

Dopiero teraz uważnie jej się przyjrzał. Miała na sobie dwa ręczniki, jeden na głowie, a drugi przepasany wokół tułowia. Krótki. Przełknął ślinę i w duchu powiedział sobie, że rosnąca ekscytacja, którą właśnie odczuwa, jest w zaistniałych okolicznościach zupełnie nie na miejscu.

– Mmmm – jęknął.

– Właśnie – przyznała Anna. – A poza tym mam kilka uwag do tej twojej teorii – powiedziała, podciągając wyżej ręcznik. Najwyraźniej zapomniała, że chciała się wytrzeć i ubrać. Leon z godną podziwu konsekwencją patrzył jej w oczy. – Po pierwsze Ernst Bauer czekał na wizytę swojej babki, która była dla niego bardzo ważną osobą. Kazał Ulrike posprzątać mieszkanie i pracownię i w ogóle wszystko przygotować jak na przyjazd cesarzowej Sissi...

– Chyba z za grobu...

– Kto co lubi. W każdym razie nie sądzę, by akurat ten moment wybrał sobie na popełnienie morderstwa. Serio.

– Chyba że właśnie tak to zaplanował. Wiedział, że babka mu pomoże, wynajmie dobrego adwokata i postara się...

– Mógłby ją o to poprosić, nawet gdyby nie była na miejscu. Jaki to problem zadzwonić? Jej obecność tutaj była ryzykowna. Gdyby wezwał Chanę po fakcie, mógłby o całej sytuacji opowiedzieć tylko ze swojej perspektywy. A tak babka znalazła się w centrum wydarzeń i utrzymywała kontakt z policją. Nie sądzę, by o to mu chodziło, chyba że miał jakiś konkretny powód.

– Otóż to. Jak już mówiłem...

– Oczywiście wszystko można obrócić na jego niekorzyść – weszła mu w słowo. – Wziąć pod uwagę twoją koncepcję, że działał w afekcie, bo Marlene go czymś wkurzyła, a później spanikował i odpowiednio upozorował scenę. Myślałam już o tym. Z opowieści Ebelinga i ze zdjęć wynika, że na miejscu zbrodni dało się zauważyć pewien chaos i brak spójnej koncepcji, która przy zaplanowanej i dokonanej z zimną krwią zbrodni jest bardzo charakterystyczna. A tutaj mamy wszystko od czapy. Cytat z Almy Mahler i ułożenie ciała, które może przywołać na myśl obrazy Kokoschki, ale znowu wcale nie musi. Wiadomo jednak, że znawcom tematu Alma Mahler od razu skojarzy się z Kokoschką, a Kokoschka z jego aktami.

– Twój umysł nie znajdował się ostatnio w stanie spoczynku – mruknął.

Anna puściła jego uwagę mimo uszu. Zdjęła z głowy ręcznik, a mokre włosy opadły na ramiona.

– Jedźmy dalej – zapaliła się. – Podcięte żyły, ale też i rana kluta w okolicy żołądka. Wcześniejsza, choć tylko trochę. Nie spowodowała natychmiastowej śmierci, bo ostrze ominęło tętnicę. Dziwna ta zbrodnia.

– To, co mówisz, niekoniecznie przemawia na korzyść Ernsta.

– No dobrze, może nie wszystko. Niemniej jednak po co uciekł?

– Żeby zamordować tę drugą dziewczynę, z lasu.

– Która nie miała z nim nic wspólnego. Z tego co słyszeliśmy, od początku współpracowała tylko z Niklausem. Z Bauerem ledwie się znali.

– Ale niczego nie wiemy na pewno i nie znamy ani Niklausa, ani też za dobrze Bauera.

– Bauer musiał wiedzieć, że jego ucieczka tylko wzmoże podejrzenia. Nie pomogła mu.

– Być może nie, ale musiał mieć dobry powód, by się ulotnić.

– I twoim zdaniem co to było?

– Na przykład chęć pozbycia się Amerykanki, która stanowiła dla niego zagrożenie. A wzięłaś pod uwagę, że może to on ją gdzieś przetrzymywał? I wobec podejrzeń o zamordowanie Marlene musiał się pozbyć Angie, bo bał się, że do niej teraz dotrą? Co by go oczywiście ostatecznie pogrążyło.

– Przecież to jest jakiś absurd! – zawołała Anna i roześmiała się. – I co? Trzymał Angie w ciemnej komórce i kazał jej rzeźbić? Po jaką cholere?

– Tego, że rzeźbiła, tylko się domyślamy. Mogła robić coś innego...

– Tak, rylcem.

– Rylcem, rylcem! Nie wiemy, jak było. Możesz się mylić. A ciosu wcale nie musiała sobie zadać sama. Przemyślałem to i wydaje mi się, że ktoś mógł ją zaatakować od tyłu. O tak...

Leon obrócił Annę plecami do siebie i oplótł jej prawe ramię wokół szyi. Zwinął dłoń w pięść i symulował zadawanie ciosu. Kął się teraz zgadzał, wiedział o tym. Angie wcale nie musiała popełniać samobójstwa w taki sam sposób, jak jedna z bohaterek *How To Get Away With Murder*. Ktoś mógł ją zabić, a oni zbyt szybko odrzucili tę tezę. Nawet patolog. Nawet Ebeling. Nawet Anna. Zwłaszcza Anna. A teraz wierzyła w niewinność

Ernsta zupełnie bezpodstawnie. Pakowała się w niebezpieczeństwo, w sprawę, która jej nie dotyczyła. I nic nie mógł na to poradzić.

Stali obok siebie nadal, a on obejmował ją ramieniem. Anna tkwiła przy nim w bezruchu. Z jej mokrych włosów kapłała woda. Bez sensu było to wszystko. Ich teorie. Oni sami, właśnie tutaj. Nie mógł przekonać jej, by sobie odpuściła. Zawzięła się.

– Proszę cię, uważaj – wyszeptał jej do ucha.

Chciał się odsunąć, ale złapała go za rękę i przez chwilę nie puszczała.

– Muszę z nim porozmawiać. Chana mu wierzyła.

– Anka, nic nie musisz. Naprawdę tym razem zupełnie nic nie musisz. Możesz wrócić do... – Co miał zamiar powiedzieć? „Do domu”? Z pewnością tego akurat nie chciała usłyszeć. Powtórzył więc tylko: – Nic nie musisz.

– Ale chcę. Zrozum.

– Wykończę się przez ciebie kiedyś. I w dodatku na własne życzenie.

– Pojedziesz z nami. Poczekasz... w jakiejś rozsądnej odległości – powiedziała cicho.

Uśmiechnął się. Rozsądnej? Nie znał tego słowa.

\*\*\*

Snuli się po magazynie jak dwie zjawy. Inge chciała z początku poprosić Hanza z portierni, by poczekał przy drzwiach, ale z tego zrezygnowała. Czuła się jak skończona idiotka. Rudolf zachowywał się podejrzanie, nie przypuszczała jednak, by naprawdę chciał ją skrzywdzić. Niby dlaczego? Z drugiej jednak strony nie potrafiła również zrozumieć, z jakiego powodu popadł w taki dziwny stan. Wszystkie te osobliwe i tragiczne wypadki, które niedawno miały miejsce, jego akurat zupełnie nie dotyczyły. Mógł się zdenerwować próbą samobójczą Niklausa, bo przecież zamierzał zainwestować w nową wystawę, ale Inge odniosła wrażenie, że tutaj nie tylko o pieniądze chodziło. Rudolf przeżywał coś bardzo mocno i to coś miało charakter osobisty. Do tego pewnie się naćpał, bo przecież nie napił. Tyle zdążyła ustalić. Był młodym gniewnym, bawił się z innymi młodymi gniewnymi i z pewnością nie raz raczył się podejrzanymi substancjami. W dodatku nie cierpiał na brak odpowiednich funduszy. Wszystko razem mogło mu w końcu paść na mózg. Ponadto, z tego co się orientowała, znał obie zamordowane dziewczyny. Angie słabo, a Marlene nieźle, bo przecież utrzymywał kontakty z Bauerem. I nieco chłopakiem szarpnęło. Wrażliwość się w nim odezwała. Inge pomyślała, że to chyba dobrze. Może nie był zimną nadzianą kanalią, za jaką go z początku brała. A jednak przeraził ją. Przez chwilę był kimś innym. Zupełnie jak gdyby w jego mózgu przeskoczyła klapka zmieniająca osobowość. I zadawał pytania, których nie pojmowała. „Spałaś z nim?”. „Jak to z tobą zrobił?”. Jak... zrobił? Inge nie wiedziała,

co miał na myśli. Brutalnie wtargnął w jej prywatność, w sferę, do której dopuszczała tylko nielicznych. Nigdy wcześniej na nic podobnego sobie nie pozwolił. Nie spoufalął się z Inge. Poczwała się dziwnie.

To pytanie nie dawało jej spokoju przez cały czas, kiedy wraz z Rudolfem chodziła po magazynie i przyglądała się rzeźbom Michaela. Bratanek profesora Steinbecka uspokoił się i wyciszył. Miała wrażenie, że czuje się nawet nieco zażenowany swoim wcześniejszym zachowaniem. I słusznie, pomyślała, teraz już bardziej ze złością niż ze strachem. „Jak to z tobą zrobił?”. Co to miało niby znaczyć? Jak zrobił? Normalnie. Napili się, rzucili na siebie, uprawiali seks, a później poszli spać. Właściwie nawet nie pamiętała, kiedy zasnęła i jak „to” się dokładnie wydarzyło, ale... trudno, stało się. Nie eksperymentowali. Inge nie przypominała sobie żadnych przekombinowanych pozycji ani niczego w tym guście. Chyba specjalnie się jakoś nie wysilali. „Chyba”, „raczej”. Nic konkretnego. Prawie nic... w ogóle. Inge zrozumiała, że właściwie nie przypomina sobie tej sytuacji. „Jak to z tobą zrobił”? Cholera... Nie wykorzystał jej przecież. Zgodziła się na wszystko. Pamiętała moment na dywanie, migawki z sypialni, a później... co? Rano obudziła się z bólem głowy, zeszła na dół i znalazła Michaela w łazience.

Zatrzymała się w pół kroku i spojrzała na Rudolfa. Stał odwrócony do niej plecami i wpatrywał się w pojedyncze elementy, które po odpowiednim scaleniu miały ułożyć się w jedno, niepowtarzalne dzieło. Rzeźbę. Taką, jaką potrafił stworzyć tylko Niklaus. Nad większymi kompozycjami i figurami zawsze pracował w podobny sposób – budował je z mniejszych części, niczym przestrzenne puzzle. W wielu wypadkach nie kamuflował łączy. Wręcz przeciwnie – eksponował je, czynił z nich atut. Niektóre figury Michaela przypominały twór Frankensteina, ale z pewnością udoskonalony, piękniejszy, bardziej świadomy swoich walorów i mniej kłopotliwy. Bo martwy. Inge zadrżała. Rudolf pochylił się nad wyrzeźbioną w drewnie dłońią. Dłoń miała perfekcyjnie wykonane palce, paznokcie, zagłębienia między kośćmi, podskórne żyłki i delikatne zmarszczki. Jak żywa. Martwa. Żywa. Inge zmarszczyła brwi. Przyjrzała się dłoni, po czym przeniosła wzrok na inne rzeźby lub ich fragmenty. Oczywiście widziała to już wcześniej, ale dopiero teraz pomyślała, że miało głębszy sens. Drugie dno. „To”. Wzorki wyżłobione w drewnie. Znak rozpoznawczy Michaela Niklause. Wężowate zawijasy wyrzeźbione w zagłębieniach rzeźb. I cyfry. Przecież cyfry zauważyła już dawniej, na rzeźbie, którą ostatecznie wystawił w Mumoku. Nic jej nie mówiły. Niklaus nie był pierwszym artystą, który na swoich dziełach coś zapisywał. O ile jednak cyfry nie układały się Inge w nic sensownego, o tyle... te wzorki... Inge nigdy się nad nimi nie zastanawiała. Po prostu tam były. Dość trudne do zauważenia przy pierwszym oglądaniu, bo rzeźby Michaela nie miały gładkiej powierzchni. Pełno było na nich bruzd, zmarszczek i zagłębień, a w nich znajdowały się te wzorki. Wężowate zawijasy, drobne, misterne. Nie, jednak nie mogła powiedzieć, że już je wcześniej widziała. Bo tak naprawdę nie widziała, tylko patrzyła. Dopiero teraz to do niej dotarło. W tej chwili oglądała dłoń – piękną i perfekcyjną, na której po dłuższym namyśle dostrzegła nie tylko wężowate zawijasy, lecz także... Tak, jeśli przyrzeć się im wnikliwie i z bliska, wzorki układały się w litery. Nie zapisano ich w takiej kolejności, by od razu utworzyły słowo. A jednak, kiedy już człowiek dokonał tego dziwnego odkrycia, wiedział, jak na nie patrzeć. To musiało coś znaczyć. Albo też

ona tak właśnie chciała myśleć. Ste... F... F... L... Steffl?

W ten sposób, skrótowo, nazywano w Wiedniu południową wieżę katedry św. Szczepana. Znajdował się tam dwugłowy orzeł cesarski, godło Habsburgów. O to słowo chodziło? Musiała się temu wnikliwiej przyjrzeć. Tylko po co Michael miałby oznaczać swoją rzeźbę właśnie tak? Żeby zahaczyć się jakoś w przestrzeni, która go zainspirowała? Przecież chciał być drugim Fritzem Wotrubą, a nie wzorować się na wiedeńskim gotyku! Albo... na Hansie Holbeinie. O co tu chodziło? A może to jej już mieszało się w głowie? Powinna dać sobie spokój i zająć się czymś pożytecznym. Zadzwoić do Angeli i zapytać, czy Michael nie szaleje. Jakoś... uporządkować na powrót swoje życie.

Ponownie zerknęła na Rudolfa. Przeszedł się po magazynie, po czym wrócił do drewnianej dłoni i zaczął ją głaskać. Opuszkami palców dotykał kolejno liter, które Inge przed chwilą złożyła w konkretne słowo. Miała nadzieję, że on nadal jednak widział w nich węzowate wzorki. Jak... wszyscy. Instynktownie cofnęła się o krok. Dlaczego? Przecież uznała już, że niepotrzebnie się go bała. Jej oddech przyspieszył. Rudolf uniósł głowę i uśmiechnął się lekko.

– Dobra z ciebie dziewczyna, Inge – powiedział, ominął ją i ruszył do wyjścia.



## Rozdział 14

Wotrubakirche robił naprawdę niesamowite wrażenie. Wyrastał na niewielkim wzgórzu, w pobliżu szczytu Georgenberg, w willowej dzielnicy Mauer, na samym skraju zabudowy miejskiej. Musiał być prawdziwą solą w oku dla entuzjastów klasycznej sztuki sakralnej. Wybudowany według planów słynnego wiedeńskiego rzeźbiarza, Fritza Wotruby, przy wsparciu architekta Fritza Mayera, składał się ze stu pięćdziesięciu dwóch brył surowego betonu, pomiędzy którymi umieszczono spore tafle szkła. Na widok tego kubistyczno-futurystycznego obiektu, wydającego się pozostawać w ciągłym ruchu, Anna przystanęła i na moment zapomniała, w jakim celu tu przyszła. Wotrubakirche, dobrze oświetlony, przypominał układankę z klocków, a jednocześnie obezwładniał surowością, monumentalnością i żelazną precyzją wykonania. Właśnie teraz, w tak nieodpowiedniej chwili, po raz pierwszy w życiu widziała ten kościół, choć przecież Wiedeń znała bardzo dobrze. Nie wiedziała, dlaczego nigdy wcześniej nie dotarła na Mauer i Rysergasse. Za dnia musiało tu być pięknie, zwłaszcza wiosną i wczesnym latem.

Rozejrzała się niepewnie i przeraziła ją panująca wokół cisza. Za Wotrubakirche piętrzył się Las Wiedeński. To właśnie tam miały się spotkać z... właśnie – z kim? Ulrike utrzymywała, że wiadomość wysłał Ernst, ale oczywiście nie mogła mieć stuprocentowej pewności. Ona również wierzyła w jego niewinność albo też chciała w nią wierzyć. Pod tym względem znakomicie się rozumiały. Annie przyszło oczywiście do głowy, że spotkanie, wiadomość w tajemniczym telefonie i wizyta Ulrike na cmentarzu mogą wydawać się podejrzane, a nawet stanowić pułapkę, ale musiała zaryzykować. Nie potrafiła też znaleźć rozsądnego argumentu, który by za tą pułapką przemawiał. Przecież przyjechała do Wiednia, żeby pomóc Ernstowi, a nie szukać dowodów świadczących na jego niekorzyść.

Leon oczywiście zupełnie się z nią nie zgadzał. Posunął się nawet do poinformowania o całej sprawie Thomasa Ebelinga. Anna z pewnością wściekłaby się na niego za to bardziej, gdyby nie fakt, że emerytowany komendant przyjechał na Klostergasse, by ofiarować jej... gaz łzawiący. Zaczęła się histerycznie śmiać – nie wiedziała, z czego bardziej, z nerwów czy z własnej głupoty. Oczywiście powinna coś przy sobie mieć. Nie posiadała żadnej broni, a raz już biegali z Leonem po helskim lesie, uzbrojeni jedynie w taser i wielki badył, które okazały się nader przydatne. Przyjęła więc od Ebelinga „podarunek” z wdzięcznością i ulgą, a on mrugnął do niej znacząco i oznajmił, że też zamierza „działać”. Leon był niepokieszony. Stracił ostatnią nadzieję i z rezygnacją powlókł się z Anną i Ulrike do metra, a później do autobusu. Dziewczyna miała mieszane uczucia – z jednej strony krępowała się i obawiała, że jego obecność może przepłoszyć Ernsta, a z drugiej czuła się pewniej i bezpieczniej.

Rozstali się przy stopniach prowadzących do kościoła. Leon otrzymał rozkaz pozostania na miejscu, uważnego nasłuchiwania i regularnego spoglądania na telefon, co jeszcze bardziej go zdenerwowało. Mamrotał coś pod nosem niewyraźnie i nerwowo wyłamywał palce. Nie rozumiał, że nie jest jedynym, który się martwi. Anna również obawiała się, że coś mu tutaj grozi, i przez chwilę żałowała całej tej eskapady. Ale było już za późno na odwrót. Postanowiła, że może... może... przemyśli swoje zachowanie

w przyszłości. Po krótkim wahaniu złapała go za ramiona i pocałowała delikatnie w policzek. Zanim zdążył jakoś zareagować, razem z Ulrike wspięły się na wzgórze.

W ciemności ścieżka między krzewami była ledwie widoczna. Anna i Ulrike przyświecały sobie latarkami. Wkrótce zboczyły z dróżki i weszły w jeszcze dzikszyc gąszcz. Dziewczyna zatrzymała się przy jakimś starym murze, na poły zakopanym w ziemi i porośniętym bluszczem. Coś tu musiało niegdyś być. Jakaś budowla, o której Anna nigdy nie słyszała. Rozejrzała się, ale światło latarki nie pozwalało zobaczyć za wiele. Gardło wyschło jej na wiór. Ulrike wydawała się jeszcze bardziej przerażona. Od starych murów bił smród stęchlizny. Annie zrobiło się zimno. Źle postąpiła. Ulrike mogła być naiwna, mogła wierzyć ślepo, że właśnie ratuje Ernsta od zagłady, ale ona? Przecież ten telefon... ta wiadomość... A jeśli pochodziła od kogoś, kto chciał im zaszkodzić? Nie od Ernsta, tylko od osoby, która widziała w Ulrike zagrożenie? Przecież to miejsce było idealne, żeby się kogoś pozbyć! Ani żywej duszy, pustka i głucha cisza. Anna nie przypuszczała, że okaże się aż tak odosobniona.

Usłyszała szelest i odgłos kroków na ścieżce. Ulrike skierowała światło w jeden punkt. Anna obejrzała się przez ramię. I wtedy go zobaczyła.

\*\*\*

Jedną z nich znał. W poprzednim, całkiem niedawnym życiu, przed czerwonymi pręgami na nadgarstkach, widywali się często i rozmawiali – najczęściej o sztuce. Ona nie miała o rzeźbie bladego pojęcia i nikt tego od niej nie wymagał. W swojej pracy otrzymywała zupełnie inne zadania. Kilkakrotnie zadawał sobie pytanie, czy go choć trochę podziwiała. Lubił podziw i szacunek. Dokonywał wielkich rzeczy. Był kimś. Długo na to czekał. Na sukces i na spełnienie obietnicy.

Asystentka Inge miała na imię Angela. Nie była ładna, ale takie jak ona mogły stanowić dla artysty inspirację. Fritz Wotruba również nie zajmował się klasycznym pięknem – ciała, które rzeźbił, zdawały się toporne, a nawet pogrążone w bólu. Kamienne figury o prostych, niemal prymitywnych rysach. Michael Niklaus podziwiał Fritza Wotrubę. Zazdrościł mu... kamienia. Betonu. Twardych, trwałych surowców, z których wydobywał kształty. Michael miał do dyspozycji jedynie drewno, nie mógł pozwolić sobie na więcej. Zdecydowano za niego i wiedział, że ta decyzja miała drugie dno. Drewno było mniej trwałe od kamienia i bardziej podatne na szkodliwe działanie czynników zewnętrznych. Wchłaniało wodę, psuło się, cuchnęło zgnilizną i puchło. Jak ludzkie ciało po śmierci. Oczywiście można je było zabezpieczyć. Jak ludzkie ciało. Ale tak czy inaczej, w niekorzystnych warunkach, psuło się mimo to. Jak... ludzkie ciało.

Asystentka miała na imię Angela i była nieładna, ale w bardzo artystycznym stylu. Niklaus pomyślał, że jej płaski nos z pewnością spodobałby się Wotrubi. Pielęgniarka

natomiast miała ładną, owalną twarz, która zupełnie nie pasowała do zwalistego plebejskiego ciała. Już teraz przypominała brylaste i toporne dzieła Wotruby. Była jak Frauliche Felsen z czterdziestego ósmego. Masywne uda, duże ramiona, szeroka talia i duże piersi, przy dość małej głowie. Miała na imię Frieda. Angela i Frieda. Mógłby tak właśnie zatytułować swoje dzieło, gdyby był w stanie je stworzyć. Obserwował kobiety z kanapy, na której siedział od rana. Wstawał sporadycznie, tylko po to, by wyjść do toalety. Nie po to, żeby pić i jeść. Nie chciał pić i jeść. Głód i pragnienie ponownie zbliżały go do tego fascynującego stanu, jakim od zawsze i dla każdego była śmierć. Otarł się o nią. Z początku bał się. Bólu i czerwieni na podłogowych kaflach. Słabości i zawrotów głowy, miękkości w kolanach, szumu w uszach, nawet własnego serca, które biło coraz wolniej. Bał się swojego ciała, uwalniającego życie. Był zły, że cały ten proces nie może odbywać się świadomie. Chciał umrzeć, bo znowu to zrobił, choć przecież obiecał sobie przestać. A teraz cieszył się, że żył. I mógł spróbować ponownie.

Angela i Frieda. Dwie kobiety, dwa ciała. Strażniczki. Rządziły się i wydawały mu rozkazy, musisz jeść, pić, wstań i przejdź się, umyj się, przebierz, uczesz, umyj zęby, weź leki, zjedz, wypij, umyj się, przebierz, uczesz, umyj zęby, weź leki, jedz, pij, myj, przebierz, czesz, zęby, leki... Ich głosy brzęczały mu w głowie, zlewały się w jeden bełkot i doprowadzały do szału. Plecy bolały go od siedzenia.

Dwie kobiety, dwa ciała. Dwie rzeźby?

Angela i Frieda. Michael poczuł, jak pot cienką strużką spływa mu po skroni. Wieczór był gorący, a one wyłączyły klimatyzację. Pielęgniarka mówiła, że jest niezdrowa, wysusza śluzówki i powoduje choroby zatok. Klimatyzacja nie zawsze służyła też rzeźbom, nie wszystkim.

Angela i Frieda. Dwie figury.

Jego szczęki zacisnęły się, a dłonie stały lodowate i wilgotne. Żył, ale żyć nie dało się tak po prostu. Pewne rzeczy były silniejsze od niego, pewne sprawy zrozumiałe tylko dla nielicznych. Słyszał kiedyś od kogoś, że po prostu musi siebie zaakceptować. Że to inni chcą go wtłoczyć w jakieś ramy, przyciąć do ogólnie obowiązujących schematów. Bo ci, którzy pozostają poza schematem, nie są normalni.

Michael podniósł się z kanapy i spojrzał na dwie kobiety, krzątające się za kuchenną ladą. Przygotowywały jedzenie, które będą w niego wmuszać. Co z Inge? Co się stanie, jeśli wróci teraz, a nie rano, jak zapowiedziała? Michael wiedział, że wcześniejszy powrót nie skończy się dla niej dobrze. Musiał podjąć ryzyko. Zrobił pierwszy krok i teraz już nie potrafił się zatrzymać. Chwiejnie ruszył w stronę Angeli i Friedy.

– Właściwie to chętnie coś przekaszę – wychrypiał. – Jeśli zjecie ze mną.

\*\*\*

Minęło piętnaście minut, odkąd Anna i Ulrike zniknęły za kościołem Wotruby. Leon przechadzał się nerwowo u stóp wzgórza i ścisnął w dłoni telefon. Z trudem zwalczał w sobie chęć puszczenia się biegiem za Anną, zwłaszcza że znał drogę. Kilka lat temu fotografował zarówno Wotrubakirche, jak i okoliczne krzaki. Rzeczywiście – w gąszczu za kościołem znajdowały się fundamenty dawnej budowli, ale co to było dokładnie, nie miał pojęcia. Zrobił kilka zdjęć, obszedł zarośnięte fundamenty, uznał, że miejsce ma niezwykły klimat, i dalsze dociekania sobie odpuścił. A teraz właśnie tam poszła Anna. Pocieszał się jedynie myślą, że znajdowała się stosunkowo niedaleko. Nie pocieszał świadomością, że najpaskudniejsze rzeczy dzieją się zawsze bezpośrednio przed oczami człowieka. Najciemniej pod latarnią.

Wiedział, że Annę trzeba niekiedy sprowadzić na ziemię, ale bardzo nie lubił tego robić. Był daleki od narzucania komukolwiek czegokolwiek, a tutaj chodziło akurat o nią. Osobę, którą akceptował z całym dobrodziejstwem inwentarza. Właśnie tutaj, pod dziwnym kościołem zbudowanym z betonowych bloków, uświadomił sobie, że wcale nie chciał jej zmienić. Takiej Anny pragnął i takiej nie mógł stracić. Czy gdyby podszedł bliżej, powiedzmy – pod wejście główne, i tam czekał na rozwój wypadków, to by coś zmieniło? Miał nadzieję, że nie...

Wbiegł na wzgórze i przemknął pod ścianę kościoła. W świetle latarni musiał być dobrze widoczny, więc wsunął się za jedną ze sterczących betonowych brył. Stąd całkiem nieźle widział wąską ścieżkę, która znikła między krzewami. Wiatr tańczył wśród gałęzi, uwalniając kakofonię szelestów i szeptów. Leon miał wrażenie, że słyszy jakieś głosy, ale zdawał sobie sprawę, że tutaj, w tym dziwnym miejscu, mogło mu się to tylko wydawać. Usiłował uspokoić oddech i uzbroić się w cierpliwość. Dwadzieścia pięć minut. Czy ten ktoś już tam przyszedł? Czy był nim rzeczywiście Ernst? Leon przycisnął czoło do betonowego bloku. Powinien zająć czymś myśli – najlepiej czymś pożytecznym. Prześledził w pamięci ostatnie wydarzenia. Zginęły dwie dziewczyny, zniknął Ernst, drugi rzeźbiarz i jego największy konkurent podciął sobie żyły, umarła Chana Sullam. Jatka na całego.

Leon obrócił się plecami do ściany i przysiadł na ziemi. Miał wrażenie, że coś pominął. Że oni wszyscy coś ciągle pomijali. Przerzucił w głowie listę tematów, które poruszyli z Thomasem Ebelingiem. I wreszcie przypomniał sobie szczegół, który spowodował, że komisarz zajmujący się tą sprawą w ogóle dopuścił Ebelinga do materiałów dowodowych. Broszka. Złoty, wysadzany czarno-czerwonymi kamyczkami dwugłowy orzeł Habsburgów. Identyczna u obu dziewczyn. To nie mógł być przypadek. Leon miał tylko nadzieję, że nie chodziło tutaj o żadnego psychopatycznego „seryjnego” i jego znak rozpoznawczy. A jednak morderca, porzucając broszki przy zwłokach, chciał coś zmanifestować. Czy chodziło mu o to, by pokazać, że dwóch zbrodni dokonała jedna osoba? Wówczas upadłaby teoria o samobójstwie Angie, w którą Leon wciąż, na przekór wszystkiemu, wierzył. Ale jeśli morderców było dwóch, to może w grę wchodził ten sam motyw? Albo coś, co łączyło dziewczyny. Obszar zainteresowań? Przynależność do jakiejś organizacji? Wydarzenie z przeszłości? Relacja z jakimś człowiekiem, może nawet romans z tym samym mężczyzną, który im te broszki podarował? Ale dlaczego

identyczne? Leon gubił się we własnych domysłach, z których połowa wydała mu się absurdalna. Nie pracował w policji, nie uczył się myśleć logicznie i bazować na dowodach. Nie miał do dyspozycji właściwie żadnych dowodów. Polegał tylko na własnej wyobraźni, która bywała zawodna. Podobnie jak talent do kojarzenia faktów.

Broszka. Orzeł Habsburgów. Habsburgowie. Dynastia z ambicjami pragnąca panować nad całą Europą, a nawet światem. Rozmiłowana w przepychu i ceremonialności wszystkich dziedzin życia. Nie tylko życia zresztą. Także śmierci. To właśnie ze specyficznym pochówkiem kojarzyli się Leonowi Habsburgowie. Każdy członek cesarskiego rodu mógł liczyć nie tylko na kondukt żałobny, ale i na tradycyjne rozczłonkowanie doczesnych szczątków. Do kościoła Augustianów trafiały srebrne urny z sercami, urny z wnętrznościami do Krypty Księżęcej pod Stephansdom, a zabalsamowane ciała – do kościoła Kapucynów na Neue Markt. Wiedeńczycy do dziś przechowywali pamięć o ceremonialnych pogrzebach Habsburgów i otaczali śmierć kultem. Nikt tutaj nie żałował pieniędzy na wystawny pochówek. Każdy znał powtarzane od wieków sformułowanie *Schöne Leich*. Piękne zwłoki...

Leon mimowolnie zadrżał. Wiedeń przesiąknięty był śmiercią i pamięcią o tym, co nieuniknione, ale jednocześnie tętnił życiem. Nawet to miejsce, nawet te betonowe bloki, w których czuć było ducha ich twórcy. Śmierć. Piękne zwłoki. Orzeł Habsburgów. Broszka. Leon czuł, że trafił na coś ważnego, ale nie potrafił powiązać swojego skojarzenia z żadnym konkretnym obrazem. Z żadnym pojęciem i wskazówką, która mogłaby doprowadzić go do istotnego wniosku.

A jednak jego niepokój nagle bardzo się wzmógł. Wstał z ziemi i wysunął się zza betonowej bryły. Wszechobecna cisza była tak przejmująca, że słyszał bicie swojego serca i przytłumiony odgłos własnych kroków na trawie. Musiał tam pójść. Zbyt długo zwlekał. Miał złe przeczucia.

## Rozdział 15

Mężczyzna wyglądał jak upiór. Był blady, miał zmęczone, podkrążone oczy, zapadnięte policzki i spierzchnięte usta. Wydawał się też dużo chudszy, choć przecież nie tak dawno go widziała. Domyślała się, że wykończyły go nerwy, ciągłe napięcie i niepewność, brak apetytu, a także niemożność przygotowania sobie jakiegoś sensownego posiłku. Ernst dbał o siebie i uprawiał sport, ale lubił dobrze zjeść. Uwielbiał tradycyjne wiedeńskie potrawy, które Ulrike specjalnie dla niego nauczyła się przyrządzać. Jak choćby *Schweinebraten* – pieczone okrawki wieprzowiny w sosie własnym, które podawała z knedlami przyrządzonymi z bułki, masła, jajek i ziół. Lubił też sznycel wiedeński i ostry, zawiesisty gulasz z kawałkami wołowiny i papryką, a do tego zawsze kluski. Wolał je od chleba. I oczywiście desery: *Punschrappen* – ciasto nasączone rumem, z nugatem, dżemem brzoskwiniowym i czekoladą albo *Palatschinken* – cieniutkie naleśniki z marmoladą lub miodem. Te ostatnie chętnie zjadał również jako danie główne, w wersji z serem czy mięsem. Babka Ernsta była Żydówką, ale on sam nigdy nie wspominał o koszernym jedzeniu i tradycyjnej żydowskiej kuchni. Jego zmarli przedwcześnie rodzice najwyraźniej nie wychowali go wśród zasad przodków. Ernst żył wedle swoich upodobań i tworzył własne reguły. Wiedeńskie potrawy stały się ważnym elementem jego codzienności.

Teraz Ulrike patrzyła na chudą sylwetkę i nie mogła uwierzyć własnym oczom. Co się z nim stało? Serce ścisnęło się jej z żalu. Tęskniła za dawnym, rozchwianym emocjonalnie i porywczym Ernstem, na którego jednak zawsze mogła liczyć. Wtłoczył jej życie w jakieś ramy, nadał mu sens i cel. Teraz obojgu nie pozostało już nic oprócz... czego? Ulrike opuściła latarkę i sylwetkę Ernsta spowija ciemność. Poczucie beznadziei, które nagle ją ogarnęło, było do bólu przytłaczające. Z całych sił wierzyła, że był niewinny. Tylko co z tego?

Anna Lindholm nie wiedziała, jak się zachować i gdzie spojrzeć. Oczywiście natychmiast rozpoznała Ernsta i Ulrike doskonale wiedziała, że kobieta się przestraszyła. Nie miała pojęcia, czego się spodziewać i na pewno zastanawiała się, czy nie wpadła w pułapkę. Lindholm zaryzykowała, przychodząc tutaj. Musiała mieć jednak swój własny cel, który kazał jej zostać w Wiedniu i brnąć w sprawę morderstwa Marlene Sachs. Czyżby pamięć o Chanie Sullam?

Ernst zbliżył się do nich, a Anna zrobiła dwa kroki do tyłu. Oparła się plecami o stare fundamenty i ścisnęła latarkę. Drugą dłoń wsunęła do kieszeni kurtki. Na pewno coś tam miała. Na przykład coś ostrego albo gaz. Bała się. Ulrike natomiast po raz pierwszy od kilku dni poczuła spokój. Spokój i rezygnację, wynikającą z przekonania, że nic już nie da się zrobić, by mu pomóc.

Anna westchnęła cicho i skierowała snop światła prosto na twarz Ernsta. Zamrugał i osłonił dłonią oczy.

– Czego chcesz? – zapytała. Głos, o dziwo, brzmiał pewnie. Zdradzało ją jedynie drżenie rąk.

Bauer podszedł bliżej i uniósł ramiona w obronnym geście. Był wrakiem człowieka. Nie mógł wyrzucić im żadnej krzywdy.

– Nie wyjechałaś – zauważył, zamiast udzielić odpowiedzi.

– Jak widać.

– Dlaczego? Przez nią? Zostałaś, bo Chana cię tu sprowadziła? Byłyście sobie bliskie? Tak naprawdę?

Anna opuściła nieco latarkę, a Ernst przestał mrużyć oczy. Kobieta wahała się przez chwilę.

– Nie znałaś jej – powiedział powoli, a twarz Lindholm wykrzywił dziwny grymas.

– Opowiadała mi o tobie. Mówiła, że jej pomogłaś, a teraz pomożesz mnie. Ale nie znałyście się. Tutaj, w Wiedniu, zobaczyłaś ją po raz pierwszy. Prawda?

Zaskoczona Ulrike wbiła wzrok w Annę. Oczywiście zauważyła, że kiedy Lindholm zjawiła się na Ringstrasse, nie rzuciła się Chanie na szyję, ale obie sprawiały wrażenie, jak gdyby znały się całkiem dobrze. Musiały się wcześniej spotkać, mieć ze sobą kontakt. Inaczej... to wszystko było bez sensu! Po co Anna tu przyjechała, skoro nigdy wcześniej nie widziała Sullam na oczy? Była aż tak lekkomyślna? I w ogóle... kim ona właściwie była? Dawniej pracowała w policji. Ale kim była teraz?

– Nie znałaś jej – powtórzył cicho Ernst i zaśmiał się.

– Nie widziałyśmy się nigdy wcześniej – przyznała Anna. – Ale to nie znaczy, że jej nie znałam. Albo że nic o niej nie wiedziałam.

– Kazałaś tamtemu facetowi z Wenecji... Marconiemu... ją znaleźć. I zwrócić obraz. Powiedziała mi. Dlaczego to zrobiłaś?

– Czuję, że powinnam.

– Bardzo szlachetne. I na pewno nie spodziewasz się tego, co za chwilę ci powiem.

– Zaskocz mnie.

– Zaskoczę. Moja babka uraczyła cię opowieścią, jak to nikogo w Wiedniu nie znała. Mam rację?

– Na razie wszystko się zgadza.

– Właśnie. Otóż Chana cię okłamała.

\*\*\*

„Chana cię okłamała”. Słowa Ernsta Bauera wtopiły się w przestrzeń i nie odbiło ich nawet echo. A jednak Anna wciąż je słyszała. Poczuli się nagle bardzo głupio. Stała o północy w lesie i rozmawiała z człowiekiem, który być może zamordował dwie kobiety. W dodatku przyszła tu dobrowolnie, z zupełnie obcą dziewczyną. Co było z nią nie tak? Dlaczego nie umiała przestać, znormalnieć? Ernst miał rację! Zobaczyła Chanę po raz pierwszy w Wiedniu. To, że ich losy na moment przecięły się w Wenecji, nie miało żadnego znaczenia. Anna powinna pójść własną drogą. Ale znalazła się tutaj.

Czuła, że za pomocą jednego zdania Ernst Bauer jeszcze mocniej wciągnął ją w tę

sprawę. Z jakiegoś powodu biografia dziewczynki, która ledwo uszła z życiem z tonącego frachtowca, a później, okaleczona i osierocona, bez grosza przy duszy, uczyła się trudnej sztuki przetrwania, była dla niej bardzo ważna. Życie Chany urwało się nagle. Zapłacała za wszelkie zło, jakie kiedykolwiek wyrządziła. Ale musiała przecież zrobić także coś dobrego. Choćby dla tego chłopaka, swojego wnuka. Potrafiła kochać. A miłość do Ernsta uczyniła ją słabą i podatną na zranienia. Może i kłamała. Anna też wielokrotnie mijiała się z prawdą. Wiedziała, jak smakuje zdrada, potrafiła wyrządzać krzywdę i nie zawsze ponosiła za to konsekwencje. Rozumiała Chanę. Ją samą też wspomnienia czyniły słabą. Przeszłość, o której nie dało się zapomnieć. Miłość, której wciąż nie rozumiała.

„Chana cię okłamała”. Nie ona pierwsza.

– Brałam to pod uwagę – powiedziała wreszcie. Czowała, jak jej mięśnie się rozluźniają, a oddech spowalnia. Ten chłopak nie był mordercą. Nie wiedziała, kim tak naprawdę jest, ani też dlaczego się ukrywa. Ale z pewnością nie dlatego, że pozbawił kogoś życia.

Ernst Bauer również nieco się rozluźnił. Opuścił głowę i przez chwilę dłużył czubkiem buta w ziemi. Wyglądał żałośnie. Anna widziała, że Ulrike ma podobne odczucia, i pomyślała, że dla niej to wszystko musi być dużo trudniejsze. Znała go. Ufała mu bardziej niż Anna. Z pewnością chciała wrócić do tego wycinka rzeczywistości, w którym zbudowali razem coś na kształt porozumienia i wzajemnego szacunku. Nawet jeśli jeszcze nie była to prawdziwa przyjaźń.

– Może w takim razie ty powiedz mi prawdę. Albo przynajmniej się postaraj – poprosiła. Zawahała się, po czym dodała: – Ale najpierw chciałabym wiedzieć, dlaczego uciekłeś. Daj mi coś na początek. Coś, czego będę w stanie się uczyć, żeby ci wierzyć.

Oczywiście w tej chwili również mógł ją okłamać, ale musiała zaryzykować. Ernst uniósł głowę i spojrzał na nią. Anna położyła latarkę na fragmencie starego muru i splotła ramiona. Ulrike wstrzymała oddech.

– Te dwie sprawy da się załatwić za jednym razem – oświadczył z przekąsem. – Ucieczka w bardzo prosty sposób wiąże się z kłamstwem mojej babki. Bo ona okłamała również mnie. A raczej okłamywała od wielu lat. Ja tymczasem jej ufałem. Wierzyłem, kiedy mówiła, że mam talent i mogę zdziałać wielkie rzeczy. Kiedy dzwoniłem do niej po odejściu Marlene, a ona tłumaczyła, że na jednej kobiecie świat się nie kończy. Oczywiście miała rację. Kiedy wreszcie... narzekałem na Michaela Niklausa...

– Tego drugiego rzeźbiarza? Słyszałam już o nim – podsunęła, zanim Ernst na dobre popadł w zadumę.

– Tak, rzeźbiarza. Czy drugiego? Ależ skąd. Niklaus jest zawsze na pierwszym miejscu. Wszyscy tutaj go kojarzą. A raczej wszyscy ci, którzy mają jakieś pojęcie o sztuce i wierzą, że może zmienić świat – dodał z nieco przesadną egzaltacją.

– Ten Niklaus w bardzo krótkim czasie zrobił wielką karierę, prawda?

– W tak krótkim, że aż niemożliwym. To nie jest jakiś „biznes”, który rozkręcasz, licząc na właściwą koniunkturę. Owszem, musisz trafić na odpowiednich odbiorców, ale zanim zaczniesz tworzyć, musisz najpierw coś umieć. Na to trzeba pracować. Latami, cholernie ciężko.

Ernst przerwał na moment, a Anna poczuła, jak w jej umyśle tłoczą się uspione



wspomnienia. To samo mówił kiedyś Vidar o meblach. Przy każdej nadarzającej się okazji przekonywał wszystkich, że takiego sukcesu, jaki stał się jego udziałem, nie odnosi się z dnia na dzień. Że to nie jest jak otwarcie warzywniaka w dobrym punkcie i podpisanie umowy z rzetelnym dostawcą towaru. Na wszystko musiał zapracować własnymi rękoma. Pomysły rodziły się w jego głowie, a on znajdował dla nich ujście. Harował jak wół, dniami i nocami. I dlatego Anny nie zdziwiły słowa Ernsta, nawet jeżeli chłopak miał jeszcze za mało lat, by być aż tak zgorzkniałym. Chociaż? Musiał już przekroczyć trzydziestkę. Byli prawie rówieśnikami.

– Mówiłeś o tym, że Chana cię okłamała – naprowadziła go na temat, który na chwilę porzucił.

– Właśnie – mruknął. – Pozwoliła mi wierzyć w to, że coś potrafię.

– Przecież potrafisz! – wtrąciła się Ulrike, która dotąd nie odezwała się słowem.

Ernst roześmiał się.

– Pracujesz... Pracowałaś dla mnie od dwóch lat – zwrócił się do niej. – Pamiętasz profesora Steinbecka z Akademii Sztuk Pięknych? Był moim nauczycielem.

– I promotorem. Tak, pamiętam. Zainwestował w kilka twoich wystaw – przyznała.

Ernst skinął głową i na powrót spojrzał na Annę.

– Profesor Steinbeck wspierał mnie od początku studiów. Utrzymywał w przekonaniu, że mam wielki talent i kiedyś osiągnę sukces. Chwalił, stawiał dobre stopnie, udzielał cennych rad, podsuwał źródła, wskazywał, jak naprawiać błędy i gdzie szukać inspiracji. Później, kiedy skończyłem studia, zainwestował w moje pierwsze wystawy. Powiedział, że nigdy nie będzie żałował środków na wspieranie mojej twórczości.

– A skąd miał te środki? – przerwała mu, bo była bardzo ciekawa, jakim cudem profesor Akademii Sztuk Pięknych i artysta, nawet z dobrze prosperującego kraju i zamożnego miasta, zdobywał astronomiczne kwoty na kolekcjonowanie dzieł sztuki i inwestowanie w początkujących twórców.

– Pochodził z bogatej rodziny wiedeńskich finansistów i był jedynym spadkobiercą sporej fortuny Steinbecków. Nigdy nie poszedł w ślady przodków, nie interesowała go ekonomia. Część pieniędzy ulokował w banku, część korzystnie zainwestował i spijał śmietankę. Sam również coś zarabiał, udzielał się w całej Europie, był wielkim autorytetem w dziedzinie rzeźby i wszędzie go zapraszano. Mógł w wolnym czasie oddawać się swoim pasjom.

– I pomógł ci się wybić.

– Nie tylko wybić. On był dla mnie... jak ojciec. Dopiero później to zrozumiałem, kiedy już umarł. Przewrócił się we własnej kuchni i uderzył w głowę. Głupia historia i głupia śmierć. W każdym razie... jego przywiązanie znalazło wyraz nawet w testamencie. Nie tylko przeznaczył mi pewną sumę na „rozwój”, ale też zaznaczył, bym to ja zaprojektował jego nagrobek. Miał pewnego rodzaju obsesję na punkcie dwugłowego orła Habsburgów. Chciał, by mogiłę zdobiła... wariacja na jego temat. Dawał mi wolną rękę. Mogłem puścić wodze fantazji. Zrobiłem, o co prosił, choć było mi trudno. Nie mogłem się pogodzić z jego śmiercią.

Ernst ponownie umilkł, a na jego twarzy, zamiast smutku, pojawiła się złość. Anna wiedziała już, że to nie będzie jedna z ckliwych i łzawych historyjek o wielkiej przyjaźni i przywiązaniu. Jednocześnie coś sobie przypominała. Orzeł Habsburgów zadziałał jak zapłon: odświeżył wspomnienie, całkiem zresztą niedawne. Broszki. Cholerne broszki znalezione przy zwłokach Marlene i Angie. Czy to mógł być przypadek? Anna przypominała sobie opowieść Ebelinga o profesorze Steinbecku i jego bratanek. Od początku nie mogła się oprzeć wrażeniu, że zawierało się w niej coś intrygującego i... podejrzanego. Ale to były znowu tylko domysły, bazowanie na intuicji, która nie raz okazywała się zawodna. Ostatecznie – nie знаła tych ludzi. Stanowili dla niej tylko figury, których myśli i emocje mogła sobie jedynie wyobrażać. A jednak... Orzeł. Na grobie, na broszkach. Przypadek?

Bauer potarł powieki i pociągnął nosem. Gdzieś w górze zakrakęła wrona. Zerwał się wiatr i gałęzie krzewów kołysały się teraz nad ich głowami. Annie wydawało się też, że usłyszała ostrożne kroki, które wybrzmiały za plecami Ernsta. Nikogo jednak nie dojrzała. Ile czasu już tu tkwili? Co się działo z Leonem? Został na miejscu czy wybrał się na wycieczkę?

Spojrzała na Ernsta i przysunęła się odrobinę, by łatwiej nawiązać z nim kontakt wzrokowy. Milczała i miała nadzieję, że odczyta to w końcu jako zachętę. Zbliżał się do nieprzyjemnego fragmentu opowieści i wołała nie naciskać. Jednocześnie jednak traciła cierpliwość. Dlaczego Chana ją okłamała? Dlaczego okłamała Ernsta?

– Od śmierci profesora minął rok – podjął w końcu przerwany wątek. – Nie zostałem zupełnie na lodzie. Jak już wspomniałem, zapisał mi pewną kwotę, ciągle też wspierała mnie Chana. Ale jej pieniądze miały tylko znaczenie materialne. Dzięki nim mogłem się skupić na tworzeniu, nie musiałem szukać sobie innej pracy...

Anna z trudem przełknęła ślinę. Powtarzalność. W życiu, przyrodzie, sztuce. Powtarzalność myśli, celów i ambicji. Wszyscy ludzie byli do siebie podobni. Świat osadzał się na schematach i kliszach. Już kiedyś słyszała podobne hasło o tym, że ktoś mógł skupić się na tworzeniu i nie musiał szukać sobie dodatkowej pracy. W Wenecji takie same słowa wypowiedział młody Yves Ronsard, malarz pozostający pod finansową opieką Luigiego Marconiego, bogatego jubilera, swego czasu podejrzanego o dokonanie morderstwa. Artyści nie mieli łatwego życia. Nie dziwiła im się, że szukali mecenasów.

– Słuchasz mnie? – zapytał nagle z przekąsem. Musiał zauważyć jej rozkojarzenie. Przywołała się do porządku.

– Oczywiście.

– Przez chwilę na to nie wyglądało. W każdym razie... Profesor Steinbeck ofiarował mi coś więcej niż tylko wsparcie materialne. Coś o wiele ważniejszego.

– Prestiż? – domyśliła się. – Związany z nazwiskiem?

– Tak, prestiż związany z nazwiskiem. A kiedy umarł, jak już wspomniałem, nie zostałem na lodzie. Rolę profesora przejął jego bratanek Rudolf. Oczywiście to już nie było to samo, ale jednak nazwisko pozostaje nazwiskiem. Myślę, że profesor jakoś Rudolfa zobowiązał do inwestowania w moje wystawy. Chłopak sam z siebie nie kiwnąłby palcem. Tak sądzę.

– Opowiedziałeś mi bardzo ciekawą historię – zaczęła Anna ostrożnie. – Ale nadal

nie wiem, dlaczego Chana mnie okłamała.

– I mnie – dopowiedział i spochmurniał jeszcze bardziej.

– I ciebie.

– Dobrze, najwyższy czas przejść do sedna. Otóż moja babka porozmawiała ze mną tamtego dnia, kiedy zniknąłem. Rano. – Zerknął na zastygłą w bezruchu Ulrike. – Ty wtedy jeszcze spałaś. Ja przez całą noc nie zmrużyłem oka. Natknąłem się na babcię w kuchni, siedziała przy stole i patrzyła w okno z dziwnym wyrazem twarzy. Powiedziała, że musi ze mną porozmawiać. Nie czekała na moją reakcję, po prostu zaczęła mówić. Ale nie powiedziała wszystkiego. Nie pozwoliłem jej na to.

– Dlaczego?

– Zdenerwowała mnie. Zrozumiałem, że żyłem złudzeniami. Zdeptała moje marzenia, poczucie własnej wartości, wiarę w sens tego, co robię. Zostawiłem ją tam i zamknąłem się w pokoju. Później prawie z niego nie wychodziłem, aż wreszcie nie wytrzymałem i po prostu się wymknąłem. Z tamtego domu, z tamtej dzielnicy. Nie potrafiłem wytrzymać z nią pod jednym dachem. A teraz ona nie żyje i już nigdy nie dowiem się tego, czego nie zdążyła mi wtedy powiedzieć.

Anna zacisnęła zęby. Ernst gubił się w swojej opowieści i dał się ponieść emocjom. Nie wiedziała, o co mu chodziło, do czego dążył. Poczula się nieswojo. Chana zdeptała jego marzenia, co znaczyło, że na tej miłości była jakaś skaza. Anna nie wiedziała, czy chciała to usłyszeć. Czy jej złudzenia również za chwilę się nie rozsypią.

– Ernst – przemówiła delikatnie. – Nie wiedziałeś, co się wydarzy. Nie możesz się za to winić.

Była na siebie zła za te słowa. Głupie, płaskie, beznadziejne. Oczywiście, że się za to winił. Ona akurat nie powinna mu się dziwić. Ernst zmrużył oczy, jak gdyby znowu oślepiło go światło latarki. Anna nic już nie powiedziała. Ulrike również milczała jak zaklęta i tylko nerwowo splatała i rozplatała palce.

– Ona... – odezwał się, a jego głos zadudnił głucho. Zrozumiała, że chciało mu się płakać. – Przyznała się. Znała go. Znała, rozumiesz?

– Profesora Steinbecka? – zapytała Anna. Nie wiedziała, dlaczego ta informacja przyprawiła ją o skurcz żołądka.

– Tak. Wiedział, czym się zajmowała. A Chana wiedziała, czym zajmował się on. Dlatego właśnie... Dlatego mi pomagał! Nie dlatego, że wierzył w mój talent. Cholera! Nie dlatego!

Anna nie wytrzymała i szarpnęła Bauera za ramiona.

– Ernst! Czym zajmował się Steinbeck?

Mężczyzna przez chwilę patrzył na nią, jak gdyby zupełnie nie rozumiał, o co pytała.

\*\*\*

Inge Altman stała w magazynie i analizowała słowa Rudolfa. „Dobra z ciebie dziewczyna, Inge”. Co to miało niby znaczyć? Dlaczego Rudolf Steinbeck wydał jej się nagle niezrównoważony psychicznie? Widywała go już z rozszerzonymi źrenicami i często słyszała, że jest zimną i wyrachowaną suką – ale to? „Dobra”? W czym i dla kogo? Inge wcale nie była dobra. Podeszła do drewnianej dłoni, którą oglądał i dotykał. Przyjrzała się jej ponownie, tym razem na spokojnie. Zarejestrowała wzrokiem litery. Wypełniały wyłobienia i bruzdy na całej dłoni i było ich mnóstwo, ale się powtarzały. Kilkanaście małych „esek”. Podobnie z „t”, „e”, „f” i „l”. Inge pochyliła się i zaczęła liczyć. Jej domysły znalazły potwierdzenie, kiedy odkryła, że „f” jest dwa razy więcej niż pozostałych liter. I dlatego należało odczytać ją podwójnie. Musiało o to chodzić. STEFFL. Pierwsze wrażenie okazało się słuszne. Wieża i dach z orłem Habsburgów. A jeśli to przypadek? Albo też Michael tak po prostu oznaczył wieżę jako rebus i intelektualną rozrywkę dla spostrzegawczych? Inge rozejrzała się po magazynie. Podeszła do innej rzeźby, mniejszej, tworzącej jedną całość i niezbudowanej z kilku elementów. Na niej również były litery, tak jak na wszystkich innych. Mnóstwo drobnych zawijasów. Także się powtarzały, ale ich repertuar był ograniczony, a ilość przy każdej taka sama. GANEVOKLSRT. Inge postanowiła przyjąć na początek, że chodzi o miejsce lub obiekt w Wiedniu, podobnie jak w wypadku Steffl, i zaczęła szukać dla liter odpowiedniej kolejności, zapisując je w różnych kombinacjach w notesie. I znalazła. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Spojrzała jeszcze raz na kartkę, na której własnoręcznie wypisała VOLKSGARTEN. Cholera... Czyżby na coś wpadła? Ale dlaczego Michael Niklaus bawił się w rebusy?

Uzbrojona w notes i długopis zaczęła krążyć po magazynie. W kilku przypadkach, kiedy pochyliła się nad mocno rozczłonkowanymi eksponatami, na nic nie natrafiła. W drewnie wyryto oczywiście jakieś litery, ale nie była w stanie ułożyć z nich całości. Musiałaby poskładać najpierw figury, a na to nie miała teraz czasu. Szukała dalej. W magazynie znajdowało się jeszcze kilka pomniejszych pojedynczych rzeźb i parę większych elementów, podobnych do tamtej ręki, więc postanowiła spróbować szczęścia z nimi. I znowu się udało. Na kanciastej kobiecie z oczami zajmującymi pół twarzy i na „drwalu” z wielką siekierą, uniesioną nad głową, odczytała kolejne napisy. Zapisała je w notesie. PAULINENWARTE. GLORIETTA. Inge poczuła, że ciśnienie niebezpiecznie jej się podniosło. Przypadek odpadał. Ale jaki cel przyświecał Niklausowi? I co łączyło te miejsca?

Steffl, Volksgarten, Paulinenwarte, Glorietta. Domyślała się, co łączyło dwa pierwsze i czwarte, ale nie była pewna co do trzeciego. Paulinenwarte, wieża w Türkenschanzpark, była kilka lat po remoncie i służyła za punkt widokowy. Inge dawno w tym parku nie była i nie pamiętała żadnych detali związanych z tą budowlą. Z kieszeni marynarki wyjęła telefon i weszła do sieci. Wpisała hasło w wyszukiwarkę i po chwili oglądała już zdjęcia Paulinenwarte. Jeden szczegół przykuł jej uwagę i wszystko inne stało się nieistotne. Miała rację. Coś łączyło te miejsca. Rozejrzała się po magazynie i postanowiła pójść na dół, by rzucić okiem na kilka starszych rzeźb Niklause,

które wchodziły w skład stałej ekspozycji Phantastenmuseum. A później... Zerknęła na zegarek. Dochodziła pierwsza i Inge zrozumiała, że niewiele już dzisiaj zrobi. Na parterze impreza dogorywała, a przy barze zostali tylko najtwardsi zawodnicy. Skierowała się w stronę stałej wystawy, ignorując zaczepki podpitych gości. Powinna też odwiedzić Mumok. Tam również pokazywano kilka rzeźb Niklause, o które swego czasu zrobiła mu prawdziwą scenę zazdrości. Musiała je zobaczyć i dokładnie przeanalizować.

Ciekawe, jak na Rysergasse dziewczyny dawały sobie radę z Michaeliem?

\*\*\*

Po tym, co usłyszał, wrósł w ziemię tak bardzo, że nawet gdyby chciał do nich dołączyć, nie byłby w stanie. Wszedł między krzewy z zamiarem sprawdzenia, czy wszystko z Anną w porządku i dość mocnym postanowieniem wtrącenia się w sprawę. Biegając po schodach na szczyt wzgórza, wyrzucał sobie, że puścił dziewczyny same i dał się – nie pierwszy raz zresztą – wciągnąć w szaleńczy plan Anny. Może i nie chciał jej zmieniać, ale nie zaszkodziłoby się od czasu do czasu postawić... Drogę do miejsca, w którym umówiły się z „Ernstem”, pokonał w okamgnieniu, ale i tak w jego umyśle zdążyły stoczyć walkę skrajnie różne emocje. Dobrze postąpił? Źle postąpił? Był idiotą? Nie był idiotą, tylko osobą skłoną do kompromisów? Jakich kompromisów? Przez Ankę nie potrafił już logicznie myśleć. A zatem tak – był idiotą.

Kiedy wszedł na właściwą ścieżkę, usłyszał stłumione głosy. Nie był w stanie rozpoznać poszczególnych słów, ale zidentyfikował głos Anny, która mówiła pewnie. A to znaczyło, że albo się nie bała, albo dobrze udawała. Nie słyszał tej drugiej dziewczyny. Z Anną rozmawiał jakiś mężczyzna, który chrypiał i jękał się. Leon podszedł bliżej i zatrzymał się w bezpiecznej odległości. Wyłączył dźwięk w telefonie i przykucnął. Krzewy raz po raz przecinało światło latarki, dzięki czemu dostrzegł trzy sylwetki. Annę pod starym murem, Ulrike tuż obok, a naprzeciwko nich mężczyznę, niewysokiego i dość chudego. Teraz był również w stanie usłyszeć, co mówili. Z każdym kolejnym słowem skóra coraz bardziej mu cierpła. Chciwie przyswajał następujące po sobie informacje i skupił całą swoją uwagę na opowieści Ernsta Bauera. Bo to był oczywiście on. Na szczęście. Mówił o kłamstwie Chany, o swoich relacjach z profesorem Steinbeckiem, o rywalizacji z Niklausem i siostrzeńcu Steinbecka, który nie odmówił mu wsparcia po śmierci wuja. I wreszcie o tym, że Chana i profesor się znali. Wiedział, czym się zajmowała. Że handlowała kosztownościami, głównie szlachetnymi kamieniami, zrabowanymi w czasie drugiej wojny światowej, interes szedł jej dobrze i nie wycofała się z branży nawet po kilkuletniej odsiadce. Że miała swoje powody, by w tym tkwić. Chana wiedziała natomiast, czym zajmował się Steinbeck...

I tutaj zaczynała się najciekawsza część opowieści Bauera. Leon wstrzymał oddech

i coraz szerzej otwierał oczy ze zdziwienia. Przypomniawszy sobie, co sam słyszał o niechlubnych kartach w historii Wiednia. O prześladowaniach ludności żydowskiej, jeszcze zanim na dobre zaczęła się wojna, o kosztownościach, a przede wszystkim – dziełach sztuki odbieranych bogatym wiedeńskim Żydom, o zdziesiątkowanej, przetrzebionej społeczności, która niegdyś była w tym mieście tak ważna. Słyszał o słynnym, ciągnącym się przez lata procesie wytoczonym przez Marię Altman władzom Wiednia. O tym, jak zdeterminowana kobieta odzyskała wreszcie obraz *Złota Adela* Gustawa Klimta, należący przed wojną do jej ciotki, Adeli Bloch-Bauer. *Złotą Adelę* zdjęto ze ściany w Belwederze i oddano prawowitej właścicielce, potomkini ważnej żydowskiej rodziny. Podobna sytuacja miała miejsce w wypadku spadkobierców Lei Bondi Jarai, przedwojennej wiedeńskiej marszandki, także Żydówki, do której w latach trzydziestych należał obraz Egona Schielego *Portret Wally*. Malowidło trafiło w ręce nazistów, a w latach pięćdziesiątych nabył je Rudolf Leopold, słynny kolekcjoner. Swoje zbiory sprzedał później miastu, które utworzyło Muzeum Leopoldów, jedno z najpiękniejszych w Wiedniu, gdzie można było podziwiać dzieła Schielego i Klimta. Leopold najprawdopodobniej wiedział o niechlubnym pochodzeniu *Portretu Wally*, co nie przeszkodziło mu w dokonaniu zakupu. Spadkobiercy Lei Bondi Jarai również dochodzili swoich praw na drodze sądowej, a niespełna miesiąc po śmierci kolekcjonera muzeum musiało im wypłacić dziewiętnaście milionów dolarów odszkodowania. Mówiło się o tym, że więcej obrazów ze zbiorów Leopolda pochodziło z podobnego źródła i zawirowania wokół kolekcji jeszcze się nie uciszyły. Ile podobnych historii skrywał Wiedeń?

Teraz Ernst Bauer mówił o ciemnych interesach profesora Steinbecka, który również kolekcjonował dzieła sztuki. Lubił zwłaszcza rzeźby. Nie chwalił się wszystkimi swoimi zbiorami. Chciał je mieć dla siebie. Kupował, sprzedawał, wymieniał się, nawiązywał kontakty z „przedsiębiorcami”, którzy dzielili tę samą pasję. Doskonale wiedział, skąd pochodził towar, a często też komu został ukradziony. Ścieżki Chany i Steinbecka musiały się w którymś momencie przeciąć. W jakiejś ciemnej piwnicy, może na statku płynącym do antwerpskiego portu, może na jednej z wysp-rajów podatkowych, gdzie większość prowadziła nielegalne interesy. Może w samej Antwerpii. Może nawet w Wiedniu. On i Chana mieli wiele wspólnego. Często też trafiali na tych samych kupców...

A zatem Chana знаła Steinbecka, Steinbeck znał Chanę. Oboje handlowali towarem zagrabionym Żydom podczas drugiej wojny światowej. Ona szlachetnymi kamieniami, on dziełami sztuki. Dlatego też Steinbeck wspierał Ernsta, jej wnuka. Może z sentymentu, może został do tego w jakiś sposób zmuszony, na przykład szantażem. Dlatego Ernst uciekł z mieszkania na Ringstrasse. Bo poczuł się urażony i zdradzony. To była jego historia, jego tło. Ale wciąż nie odpowiedział na pytanie, dlaczego się ukrywał. Co opowieść o Steinbecku miała wspólnego ze śmiercią Marlene Sachs i Angie Hamilton?

Leon poczuł, że cierpną mu nogi. Musiał zmienić pozycję. Odchylił się i przysiadł na ziemi, poruszając stopami, by przywrócić krążenie krwi. Bauer umilkł na chwilę i wtedy odezwała się Anna. Najwyraźniej czytała Leonowi w myślach.

– Rozumiem, że poczułeś się skrzywdzony. Miałeś prawo. Chana rzeczywiście okłamała mnie, ale ciebie znacznie poważniej. A jednak nadal nie rozumiem, dlaczego się ukrywasz i pozwalasz, by ta sytuacja świadczyła przeciwko tobie. Angie Hamilton zamordowano pod twoją nieobecność.

– Ledwie ją znałem.

– Ale znałeś. I nie masz żadnego alibi. Uciekłeś, kiedy ciążyły na tobie podejrzenia o zabicie Marlene. Policja znalazła sporo dowodów. Narzędzia podobne do tego, którym zadano dziewczynie cios. Musiałeś, jako rzeźbiarz, umieć się nimi sprawnie posługiwać. Na miejsce zbrodni wybrano twoją pracownię. Na ofiarę – twoją byłą modelkę i kochankę, która odeszła do konkurenta. Wcześniej cała kamienica nie raz słyszała wasze kłótnie. Hasło „poślubię cię, kiedy stworzysz arcydzieło” każdy kojarzy właśnie z wami. Działo ci na nerwy i podcinało skrzydła. I wreszcie Niklaus...

– Niklaus! – wszedł jej w słowo Bauer i zaklął pod nosem.

– Też podciął sobie żyły – dokończyła. – Próbował się zabić.

– Gównu mnie to obchodzi. Powinnaś mu się przyjrzeć.

– Niklausowi? Po co?

– A w ogóle go nie podejrzewasz? On też miał styczność z tymi dziewczynami. Z Angie widywał się o wiele częściej, i hm, intensywniej niż ja.

– No dobrze. I co? Podciął sobie żyły, bo się załamał po tym, jak je zabił?

– Nie mam pojęcia, co siedzi w jego chorej głowie, ale mówię ci! Ten facet nie jest tym, kim się wydaje. Od początku coś mi się w nim nie podobało. A wracając do mojej babki... Ona chciała coś mi jeszcze powiedzieć. O profesorze Steinbecku. Uważała, że odkryła jakąś jego tajemnicę i że ta tajemnica może mieć związek ze śmiercią Marlene. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy o Angie. Powiedziała mi to, ale ja i tak nie chciałem słuchać dalej. Myślałem, że... jeszcze będzie okazja. A w tamtej chwili musiałem wyjść z kuchni, pokazać, jak bardzo jestem na nią zły.

– Dlaczego uważała, że ta tajemnica Steinbecka miała związek ze śmiercią Marlene? Przecież na pierwszy rzut oka nie mogła ich ze sobą skojarzyć. Niklaus wyleciał z uczelni i nie był chyba ulubionym studentem żadnego profesora, a już zwłaszcza Steinbecka. Chana nie mogła wiedzieć, czy oni w ogóle się o siebie otarli na uczelnianych korytarzach. Powiedziała ci coś? Cokolwiek, co spowodowało, że skojarzyła jedno z drugim?

– Policja podczas rozmowy pokazała jej zdjęcie broszki...

– Dwugłowy orzeł?

– Tak. Broszka, którą znaleziono przy Marlene. Broszka, którą Marlene często nosiła za życia.

– Skąd ją miała?

– Nie wiem.

– Ale dlaczego akurat ta broszka dała Chanie do myślenia?

– Powiedziała mi, że już ją widziała. Ta broszka miała jakiś związek ze Steinbeckiem i tą jego pieprzoną tajemnicą, o której nie chciałem słuchać! Tylko tyle mi jeszcze przekazała, że Steinbeck był niebezpiecznym człowiekiem i jeśli ta sprawa rzeczywiście ma z nim związek, to powinienem uważać. Broszka, kurwa! Wyśmiałem ją.

Ale ona twierdziła, że to nie jest ozdoba, którą każdy może kupić na bazarze...

Głos mu się załamał, a cała sylwetka zachwiała. Leon czuł chłód i wilgoć bijące od ziemi, na której teraz już prawie leżał. To, co słyszał, przyprawiało go o zawroty głowy. Czekał na dalszy ciąg. Nie miał pojęcia, do czego Bauer zmierzał. Dostrzegł ruch i zobaczył, jak Anna podchodzi do chłopaka i kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Co zamierzasz? Może... po prostu pójdziemy na policję? – zaproponowała, wyraźnie bez przekonania.

Musiała wiedzieć, że natychmiast go zamkną. Ale za kratkami przynajmniej nic by mu nie groziło. Z rąk ewentualnych zbirów, oczywiście. Co do wymiaru sprawiedliwości Leon nie był już tego taki pewny.

– Nie, nie mogę... Jeszcze nie. Nic nie mam na swoją obronę, nikt mi nie uwierzy. Nie dam się zamknąć tak łatwo.

– W takim razie... Co mi radzisz? Co powinnam zrobić? – zapytała rzeczowo.

Bauer uniósł głowę i wyprostował się.

– Idź do Palffy, a później do Mumoka.

– Do muzeów?

– Tak. Nie potrafię ci powiedzieć, jaki to ma związek ze sprawą ani do czego doprowadzi. Ani też skąd w ogóle wzięły mi się te podejrzenia. Ale musisz...

– Muszę?

– Obejrzeć dokładnie rzeźby Niklausa. Bardzo dokładnie. Coś z nimi jest nie tak.



## Rozdział 16

Ludzie przy barze bełkotali. Była pierwsza trzydzieści. Ktoś mówił właśnie: „kurwa, sztuka jest ważna”, kiedy Inge zrozumiała, o co chodzi. Nazwy się powtarzały. A przynajmniej te, na które natknęła się tutaj. Steffl, Volksgarten, Paulinenwarte, Glorietta, a do tego jeszcze Hofburg, Neue Burg i Schönbrunn. Autor wybrał tylko kilka konkretnych punktów, nie chciał się rozdrabniać – miał przecież do wyboru całe mnóstwo obiektów w Wiedniu, które łączył ten sam symbol. Dwugłowy orzeł. Można go było zobaczyć w każdym z miejsc, których nazwy dało się odczytać na rzeźbach. Inge wiedziała, że właśnie o to chodziło, choć nie miała pojęcia, czy zamysł Niklause miał jakieś głębsze znaczenie. Tego wciąż nie ustaliła. Być może Michael bawił się z odbiorcą, pokrywał swoje rzeźby literami i cyframi, by dać mu powód do namysłu, zaprosić do wyrafinowanej gry w skojarzenia? Czy ktoś wcześniej wpadł na to, by literową rozsypankę uporządkować? I czy jeśli wpadł, przyszło mu do głowy, by doszukiwać się w tych słowach drugiego dna? Czy ktoś w ogóle miał na tyle bystry wzrok i był wystarczająco spostrzegawczy, by zauważyć, że esowate wzorki to tak naprawdę litery? Zwłaszcza, na przykład, w muzeum, gdzie rzeźbę zawsze ogląda się z pewnej odległości? Zresztą nawet z bliska trudno było to odczytać. Może Inge ogarniała powoli niezdrowa obsesja?

Zamknęła notatnik i wrzuciła go do torebki. Powinna chyba zadzwonić do Michaela. Nikt o niczym jej nie informował, nie odezwała się ani Frieda, ani Angela. Ale to był na pewno dobry znak. Inge nie chciała wywoływać wilka z lasu. Gdyby coś się działo, z pewnością zawracałyby jej głowę, wydzwaniały i prosiły, by wróciła. Miała nadzieję, że Michael nieco wyluzował. Zerknęła na wyświetlacz telefonu, znalazła numer Angeli, zawahała się, po czym zrezygnowała z wybierania połączenia. W myślach powtórzyła sobie dobitnie, że gdyby coś się działo, same by się z nią skontaktowały. Znały numer i do niej na komórkę, i do wszystkich innych miejsc, w których dzisiaj mogła się znaleźć. Do Palffy, do każdej placówki w Museumsquartier, nawet do Hofburga. Tego wieczoru planowała kręcić się w pobliżu, a wszyscy ją tu kojarzyli. Nie wiedziała, jaki dokładnie cel obierze i w które z tych miejsc ostatecznie trafi. Choć spodziewała się po sobie raczej tego, że zostanie w Palffy. Na wszelki wypadek jednak okleiła lodówkę Michaela numerami. Wszędzie cyferki, na całych drzwiach, wielkie, żeby było widać z daleka.

Cyferki. Inge wyszła z galerii do hallu, zostawiając za sobą odgłosy dogorywającej imprezy. Cyferki. Na rzeźbach Michaela pokazywanych w Palffy, tych, które dzisiaj tak dokładnie obejrzała, nie zobaczyła żadnej. Ale wcześniej jakieś przecież widziała na *Posejdonie*. Wielkiej drewnianej figurze greckiego boga mórz. Brylastej, monumentalnej, niezwyklej. Usianej mnóstwem małych literek z osobliwymi zawijasami, jak zwykle u Niklause. Ale właśnie na tej rzeźbie były też cyfry. Inge zapamiętała to dokładnie, bo nie powtórzyło się nigdy wcześniej, ani nigdy później. Michael pracował nad tą rzeźbą najdłużej, najbardziej się starał i osiągnął najlepszy efekt. Złożył całość z pomniejszych elementów, uwidoczniał łączenia, wykrzywił i obrzydził Posejdona, zawierając w nim kwintesencję turpizmu. Inge zachwyił ostateczny efekt. A Niklaus sprzedał rzeźbę

Mumokowi. Wściekła się wtedy okropnie.

Musiała znowu to zobaczyć. *Posejdona* i cyfry. Nabrała przekonania, że tam właśnie natrafi na coś nowego, co jeszcze nigdzie się nie powtórzyło. Musiała... pójść do Mumoka teraz. Ktoś z pewnością ją wpuści. Portierzy i ochrona znali Inge. Pracownicy muzeów nie raz odwiedzali się późnym wieczorem lub nawet nocą, zwłaszcza jeśli przygotowywali nową wystawę. Wszyscy utrzymywali ze sobą kontakty, informowali się, konkurowali ze sobą. Musiała... coś wymyślić.

Chwyliła telefon i wybrała numer Martiny Jung, kustoszki z Mumoka. Kobieta odebrała, ale była wyraźnie zaspana i zirytowana.

– Inge Altman. Popierdoliło cię?

– Coś w tym stylu. Potrzebuję drobnej przysługi. Muszę wejść na twoją wystawę. Realizm magiczny. Ta, między innymi, z rzeźbami Niklausa...

– Przecież wiem, co wystawiamy. – Martina ziewnęła głośno wprost do słuchawki.

– Widzisz, przygotowujemy własną ekspozycję nowych rzeźb Niklausa...

– On da radę? Przecież chciał się zabić – zauważyła jej rozmówczyni, wyraźnie już rozbudzona i zaintrygowana.

– Właśnie, przechodzi kryzys. Teraz na przykład płacze mi w rękaw, że musi zobaczyć *Posejdona*. Bo stracił wenę. Musi i już. Sama wiesz, jak z nimi jest czasem ciężko.

– Chwila, chwila. To dlatego dzwonisz o tak cholernie nieludzkiej porze? Bo... teraz chcesz tam wejść?

– No właśnie.

– Psychole. I ty, i on. Nie wiem, które z was jest gorsze.

– Wybacz. To duży kłopot? Boję się, że znowu mi się zacnie ciąć. Ze świrami nigdy nic nie wiadomo.

Martina sapnęła w telefon. Była przyzwyczajona do niecodziennych akcji z udziałem wielkich artystów nawet bardziej niż Inge – w końcu pracowała w słynnym Mumoku. Zdarzały się takie momenty, że w ogóle stamtąd nie wychodziła. Inge miała więc nadzieję, że nie będzie specjalnie podejrzliwa. Ona kiedyś również wpuściła ją do Palfy w nocy, a potem piły razem wódkę pod wielką rzeźbą przedstawiającą kościotrupa, podczas gdy jeden z wiedeńskich malarzy szkicował fasadę Hofburga i Josefplatz, bo musiał mieć na nie widok akurat z okien Phantastenmuseum. I akurat o zmroku. Inge liczyła na Martinę i przygotowała sobie również wymówkę na okoliczność pojawienia się w Mumoku bez Niklausa. „W ostatniej chwili zrezygnował”. I wysłał ją, by zrobiła kilka zdjęć. Zbliżenia, detale i w ogóle. Takie, jakich nie ma w katalogach i jakich on sam nigdy swojemu dziełu nie zrobił. Wszystko brzmiało jak obrzydliwie naciągane, ale musiała zaryzykować. Wiedziała też, że ona i Martina w całej swojej karierze przeżyły już dziwniejsze sytuacje. Kustoszka z Mumoka ponownie głośno ziewnęła.

– Zaraz zadzwonię do Maxa, żeby cię wpuścił. Ale wejdzie na salę z tobą.

– I bardzo dobrze. Może mnie nawet trzymać za rękę – zgodziła się szybko. Zamierzała przecież tylko patrzeć i zrobić kilka zdjęć, nic więcej. Mogły ją nagrać wszystkie kamery świata.

– Okej, już załatwiam. Jesteś mi winna piętnaście minut snu.

- Mogę odpłacić w procentach?
- Tylko dobrej jakości, a nie żaden sikacz.
- I tu się zawsze zgadzamy.

Inge rozłączyła się z ulgą i zadowoleniem. Wyszła z Palfy i skierowała się w stronę Museumsquartier. Po drodze wystukała numer Angeli, ale asystentka nie odebrała. Podobnie jak pielęgniarka Frieda. Ostatecznie jednak dochodziła druga i ludzie o tej porze mieli pełne prawo smacznie spać.

\*\*\*

Zentralfriedhof był ogromny, ale za każdym razem, kiedy Michael się tam udawał, zauważał znikomą liczbę rzeźb i posągów. A może źle szukał? Dostrzegł w każdym razie tylko jedno dzieło sztuki cmentarnej, które naprawdę go zaintrygowało. Przedstawiało dwie kobiety. Stały naprzeciwko siebie, z ramionami opuszczonymi wzdłuż tułowia, w lekkich sukniach przypominających togi. Niemal równego wzrostu, z włosami spływającymi na ramiona. Ich nosy prawie się stykały.

Ilekcioć Michael mijał ten grób, zastanawiał się, kim były i co też miały przedstawiać. Rzeźby, piękne, o klasycznych rysach, odarto z wszelkich symboli religijnych. Budziły niepokój i zaciekawienie. Nie pozostawiały przechodnia obojętnym. Michael bał się takiej prostej klasyki, a jednocześnie się nią fascynował. Sam nie był w stanie stworzyć nic podobnego. Teraz jednak odczuwał coś na kształt satysfakcji.

Angela i Frieda. Wprawdzie leżały, a nie stały, ale ułożyły je w podobnych pozach. Naprzeciwko siebie, z ramionami wzdłuż tułowia, z rozpuszczonymi włosami i nosami, które prawie się stykały. Błede, nagie ramiona, suknie udrapowane z prześcieradeł.

Poczuł spokój. Tyle mógł zrobić. Posiadał dość talentu.

\*\*\*

- Coś z nimi jest nie tak? Co konkretnie? – zapytała Anna, całkiem już skołowana.

Żałowała, że nie nagrywała tej rozmowy. Słowa Ernsta Bauera układały się w coraz mniej zrozumiałą całość, chłopak mówił nieskładnie i przeskakiwał z tematu na temat. Pojęła, że i jemu brakowało właściwego rozeznania. Chana nie zdążyła powiedzieć wszystkiego. Nakreśliła historię profesora Steinbecka i jego niechlubnej profesji, co nawet – zważywszy na to, czym sama się zajmowała – łączyło się w sensowną całość

i tłumaczyło ich kontakty. Ostrzegła go, że Steinbeck był niebezpieczny i że wciąż jeszcze po świecie chodzą inni, równie nieprzyjemni ludzie, z którymi za życia miał styczność. Dlaczego jednak mogli stanowić zagrożenie dla Ernsta, skoro on akurat nie znał drugiego oblicza profesora? I kim byli? Czym się zajmowali? Również handlem kradzionymi dziełami sztuki? Czy to nie było zbyt banalne? Z drugiej jednak strony – rozwiązania najtrudniejszych zagadek często wydawały się banalne. Ktoś uznał, że Ernst Bauer z jakichś powodów jest niebezpieczny. Na przykład przez to, co wiedziała jego babka. Zabił Marlene i chciał zrobić go w morderstwo.

Nie...

Anna spojrzała Ernstowi w oczy, a on był już na tyle zrezygnowany, że nie odczuwał zakłopotania i nie odwrócił wzroku.

Nie.

Nie pasowało jej takie wyjaśnienie. Były prostsze metody. Jeśli profesor miał kontakty na czarnym rynku i ktoś z jego dawnych znajomych wpadłby na powiązanie Ernsta z Chaną Sullam, po czym uznał, że chłopak może komuś zaszkodzić, sprzątnąłby go ciszej i dyskretniej. Nie bawiłby się w żadne pozowanie, w cytowanie Almy Mahler i podrzucanie broszek. W tym, co się stało, należało szukać symbolu. Jakaś wiadomość dla kogoś. Dla kogo? A może znowu się myliła? Istniała jednak ta durna broszka z dwugłowym orłem i ona z jakiegoś powodu była ważna. Na tyle ważna, że zobaczywszy ją, Chana Sullam od razu pomyślała o Steinbecku. Widziała już ją dawniej i znała się na biżuterii oraz szlachetnych kamieniach, więc z pewnością potrafiła oszacować wartość i uznać coś za rzadki okaz. Skoro mówiła, że to nie jest ozdoba, którą kupuje się na bazarze, musiała mieć rację.

A zatem broszki wykonano na zamówienie i z pewnością w ograniczonej liczbie. Może były tylko te dwie, dla Angie i Marlene? Ernst twierdził, że nie wie, skąd Marlene miała tę ozdobę, ale nosiła ją często za życia. Nosiła wtedy, kiedy jeszcze byli razem, czyli przed kilkunastoma miesiącami. Ale chłopak powiedział też, że nie utrzymywał bliskich kontaktów z Angie Hamilton, która od początku nawiązała relację z Niklausem.

Niemniej jednak broszka była ogniwem, które łączyło Marlene z profesorem Steinbeckiem. Nieżyjącym profesorem Steinbeckiem. Jeśli oczywiście Chana, tym razem, mówiła prawdę. Broszka łączyła Marlene ze Steinbeckiem, a Chana łączyła z nim Ernsta. Kim była Marlene? Skąd miała broszkę? Anna potrząsnęła głową. Za mało wiedziała. A teraz jeszcze Bauer mówił o rzeźbach Niklause. Kolejny element, który na pozór do niczego nie pasował.

– Co konkretnie jest z nimi nie tak? – zapytała ponownie, bo ciągle milczał.

– Nie wiem – odpowiedział zakłopotany.

– Nie wiesz?

– Właśnie o to chodzi. Nie zdążyłem się im wszystkim dobrze przyjrzeć. Nie chciałem na nie patrzeć. Oczywiście na pierwszy rzut oka widać, że są doskonałe, więc ogarnęła mnie potężna zazdrość. Ale ostatnio się przemogłem. Coś jest w nich nie w porządku. Nie wiem, co. Nie zdążyłem do tego dojść.

– Wiesz, że to wszystko brzmi absurdalnie? – zauważyła. Miała nadzieję, że w jej głosie nie było słyhać zbyt wiele sceptycyzmu.

– Wiem... Ale jeśli naprawdę, z niezrozumiałych dla mnie przyczyn, chcesz mi pomóc, to idź do Mumoka i Palffy. Obejrzyj te rzeźby. W Mumoku będziesz musiała się pilnować, bo wszędzie jest monitoring i całe mnóstwo obstawy, ale w Palffy wystarczy, że zagadasz z Inge Altman. Ona zajmuje się ostatnio Niklausem. Udaj zainteresowanie i ją kupisz. To pasjonatka. Sprawia wrażenie zimnej i wyrachowanej jędry, ale ma łeb na karku i lubi rozmawiać o swojej pracy. Z pewnością nie jest jej teraz lekko, po tym jak Niklaus...

Ernst zmarszczył czoło, a jego oczy lekko się zaszklily. Mógł zazdrościć Niklausowi. Nawet go nienawidzić. Ale Anna nabrała pewności, że nie życzył mu śmierci. Nie posunąłby się do tego.

– Masz jakiś pomysł, dlaczego Niklaus mógł chcieć ze sobą skończyć?

Bauer zawahał się na moment. Zerknął w bok.

– Nie mam pojęcia. Moim zdaniem nie miał powodu, wszystko mu się udawało.

– Chyba że zrobił to z rozpaczy po śmierci Marlene. I Angie – zasugerowała niepewnie. Ta teoria jej samej wydawała się mocno naciągana.

– Tak. Albo sam je zabił. A później nie wytrzymał napięcia. Czy nie jakoś tak wyraziłaś się na początku naszej rozmowy?

Annę zmroził sposób, w jaki wypowiedział te słowa. Suchy, kompletnie pozbawiony emocji. Ernst zacisnął zęby i ponownie na nią spojrzał. Jego wzrok był świdrujący, natarczywy. Teraz Bauer wprost kipiał ze złości i to tej najgorszej z możliwych, bo sztucznie powściąganej, tłumionej, napinającej każdy nerw. Może jednak... za szybko mu zaufała? Opanowała chęć cofnięcia się o krok. By dodać sobie odrobinę otuchy, zerknęła przelotnie na Ulrike, która wciąż stała nieruchomo obok niej.

– Czy na pewno chcesz teraz zasugerować, że on... Naprawdę wracamy do tej hipotezy?

– Powtarzam: przyjrzyj mu się – wszedł jej w słowo. – Jemu, jego rzeźbom, w ogóle wszystkiemu. Bratankowi Steinbecka...

– A co ma do tego bratanek?

– I może też byłym studentkom profesora – ciągnął, jak gdyby jej nie słyszał.

– Tym, które oskarżyły go o molestowanie?

– Czyli jednak coś słyszałaś.

– Bardzo mało.

– To dowiedz się więcej.

– Uważasz, że rzeczywiście Steinbeck...

– Nie wiem, co powinienem uważać. Ktoś robi coś paskudnego. A zaczął w mojej pracowni. Zamordował kobietę, którą kiedyś kochałem. I w dodatku dokonał tego tak, że ja stałem się głównym podejrzanym. Zadał sobie sporo trudu i pobrudził ręce. Tu nie chodziło o ciche pozbycie się Marlene. Jej śmierć miała coś pokazać...

– Ale co? Komu?

– Nie wiem! Ta pieprzona broszka... Moja babka mogła być kłamliwa i dwulicowa, ale w tej kwestii jej wierzę. Jeśli twierdziła, że widziała ją już wcześniej, to wiedziała, co mówi. I dlatego Steinbeck musi mieć z tym coś wspólnego.

– Raczej jego duch.

– Duch... Właśnie. – Wzrok Ernsta stał się nieprzenikniony. – Tam też możesz się przejechać.

– Gdzie?

– Na Zentralfriedhof.

– Byłam już...

– *Gruppe* szesnaście. Tam jest grób Steinbecka. *Gruppe* sto pięćdziesiąt cztery. Tam z kolei pochowano jedną z tych studentek, które oskarżyły go o molestowanie. Popełniła samobójstwo.

– Słucham?!

– Danni Fritz. Połknęła jakieś pigułki. Pochodziła z Niemiec, nie miała żadnej bliskiej rodziny, mieszkała w akademiku. W jej pokoju znaleziono trzy fotografie profesora Steinbecka. I nic poza tym. Tyle wiem. Trochę teraz poszperałem, a trochę też pamiętam. To sprawa sprzed dziesięciu lat. Byłem wtedy na trzecim roku studiów, a Danni Fritz na ostatnim. W tym samym mniej więcej czasie Niklaus wyleciał z uczelni i zaczął robić swoje happeningi na Stephansplatz. Wszyscy się spodziewali, że śmierć Danni odświeży sprawę o molestowanie seksualne, ale nic takiego się nie stało. Nie uważasz, że to dziwne?

– Dziwne – przyznała. – Ale nadal nie widzę związku ze śmiercią Marlene i Angie. One zginęły teraz, a jedynym, co może, ale wcale nie musi, łączyć je z tamtymi wydarzeniami, jest...

– Broszka – odpowiedział cicho.

\*\*\*

*Posejdon*. Patrzył na nią z góry, podobnie jak ochroniarz Max. Chichotała głupio. Nie sądziła, by o coś ją podejrzewał, uodpornił się już na wątpliwie przyjemne kontakty ze światem sztuki. Ostatecznie lepsze to niż supermarket, pomyślała jeszcze. Prestiż, te sprawy... Posłała mu jeszcze jeden uśmiech i podeszła do rzeźby. Dostrzegła całe mnóstwo maleńkich wzorków i strach szarpnął ją za gardło. A jeśli nie będzie w stanie ich odczytać? Jeśli zajmie to jej zbyt dużo czasu i Max zacznie coś podejrzewać? Litery... Dużo. Obeszła obiekt i ustaliła, gdzie dokładnie je zapisano. Na szczęście nie na całym dziele. Wzorki biegły wężowato w poprzek fałd na brzuchu Posejdona, przez jego uda i wzdłuż marszczeń przepaski na biodrach. I tyle. Na ramionach natomiast Inge zobaczyła cyfry. Wyjęła notatnik i zapisała je, po czym przystąpiła do spisywania liter. Wykonała kilka zdjęć, na pokaz. Przecież teoretycznie po to tu przyszła – nakłamała, że Niklaus domagał się fotografii. Modliła się w duchu, by wszyscy nagle zgłupieli i nie dostrzegli jej oszustwa. Litery...

Rozwiązanie rebusu zajęło jej godzinę. Słowa ułożyła stosunkowo szybko, ale

musiała się upewnić, czy nie pominęła ani jednej litery. Kilka się powtarzało. Z początku nic do siebie nie pasowało i Inge powoli traciła nadzieję. Dopiero po dłuższej chwili pomyślała, że wcale nie musi chodzić o jedno słowo. Musiała się skupić, szukać miejsca, obiektu, punktu. Gdzieś w Wiedniu. I wreszcie to zobaczyła. Krew zastygła jej w żyłach. Tego się właśnie obawiała. Tego się... spodziewała? Zapisała w notatniku słowo i przyjrzała mu się. ZENTRALFRIEDHOF. Tak, tam również był symbol orła... Zerknęła na pozostałe litery, a następnie na cyfry. Teraz już odczytała kolejne hasło bez najmniejszych przeszkód. Połączyła wyraz z liczbą i wiedziała, że słowo należy podwoić. Jeszcze raz zerknęła w swoje notatki. GRUPPE 16. GRUPPE 154. Zentralfriedhof. Kwadrat, w którym znajdował się grób Steinbecka i kwadrat, w którym pochowano jego studentkę, Danni Fritz. Nagrobek, na którym flamastrem wyrysowano dwugłowego orła. Bardzo dokładnie, wprawną dłonią...

Inge zmusiła się do uśmiechu i podziękowała Maxowi. Obróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia. Serce tłukło się jej szaleńczo, a w głowie rozprzestrzenił ból. Musiała dorwać Niklausa. Musiała zadać mu pytanie wprost. Dlaczego to zrobił? Po co wypisał te hasła na swoich rzeźbach? Do czego mu był potrzebny szyfr? Jak długo... to robił? Jak długo czekał, aż ktoś to odczyta? Jeszcze w Palfy myślała, że Michaelowi mogło chodzić o wyrafinowaną grę z odbiorcą, bez żadnego podtekstu, ale teraz odrzuciła tę koncepcję. Nie mogło być mowy o przypadku, o rozrywce. Cmentarz, a w nim konkretne miejsca, oznaczył celowo. Tylko po co? Musiała zobaczyć więcej. Obejrzeć wszystko, co kiedykolwiek wyrzeźbił Niklaus, absolutnie wszystko!

A przede wszystkim... porozmawiać z nim. Dopaść go, właśnie teraz. Mieli ze sobą kontakt. Od roku razem pracowali. Rozmawiali ze sobą codziennie. Spali ze sobą, do jasnej pieprzonej cholery! Dlaczego nie powiedział jej niczego wprost? Bał się? Kogo? I co właściwie chciał powiedzieć? Nie mógł przecież spodziewać się, że akurat ona to odczyta. Każdy mógł... Każdy! „Jak to z tobą zrobił”? Pytanie Rudolfa uderzyło w nią ze zdwojoną siłą. Co... miał na myśli?

Inge puściła się biegiem w stronę parkingu, na którym zostawiła samochód. Ze strachu drżały jej dłonie, które z całej siły zaciskała na kierownicy. Musiała się uspokoić. Wypadek albo policja to była ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebowała. *Guilty pleasures*. Musiała się nimi poratować. Włączyła Backstreet Boys i ze ściśniętym gardłem zaczęła śpiewać *Quit Playing Games With My Heart*. Nie wiedziała, co ją właściwie tak nagle wystraszyło. Przecież Niklaus bawił się w te rebusy od dawna, a więc dziś... Dlaczego nabrała przekonania, że źle postąpiła, zostawiając go samego z tamtymi kobietami? Co robił Niklaus wtedy na cmentarzu? Tak naprawdę? Spotkali się przecież... Mówił, że przyszedł z myślą o pogrzebie Marlene, ale przecież od tamtego czasu temat zupełnie ucichł. Z tego, co Inge się zorientowała, ciało dziewczyny oddano jakiejś jej dalekiej ciotce i pochowano w rodzinnej wiosce. Niczego konkretnego się o niej nie dowiedziano. Właśnie... Czy to nie powinno wydawać się dziwne? Kim właściwie była Marlene Sachs? Dlaczego Inge tak mało czasu jej poświęciła? Dlaczego... teraz nabrała podejrzeń wobec Michaela?

Wcisnęła mocniej gaz i przejechała na czerwonym świetle. Kurwa! *Quit Playing Games With My Heart*... Jeszcze trochę. Rysergasse jest daleko, ale teraz nie ma korków.

Jechać. Chodzi o to, żeby pokonywać kolejne kilometry. Zbliżyć się do celu.

Kiedy dotarła do dzielnicy Mauer i skręciła w Rysergasse, zobaczyła trzy osoby idące od strony Wotrubakirche. Dochodziła czwarta. Dziwne. Nie sądziła, że spotka tu kogoś o tej porze. Dwie kobiety i jeden mężczyzna. Nie miała czasu im się przyjrzeć. Pomknęła dalej, warkotem silnika przecinając ciszę uspiętej ulicy. Jeszcze trochę. Blisko. Już.

Wypadła z auta, nie zamykając za sobą drzwi. Torebka. Klucze. Szczęk zamka. Klamka. Ciemność. Ciepłe, suche powietrze. Delikatnie wyczuwalny zapach smażonego mięsa. Kuchnia, salon. Kanapa. Fotel. Szezlong pod oknem.

Na kanapie pielęgniarka. Na fotelu Angela. Na szezlongu Michael.

Cisza.

\*\*\*

Anna i Leon odprowadzili Ulrike na Türkenstrasse. Dziewczyna, mimo zasłyszanych informacji i dość niecodziennej sytuacji, w jakiej się znalazła, wydawała się spokojniejsza niż wcześniej. Może to dlatego, że zobaczyła Ernsta Bauera żywego i przy w miarę zdrowych zmysłach. Nie bała się go. I wierzyła, że jest niewinny. Anna nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Ona sama również mu wierzyła. Musiała to przyznać, choć tam, pod kościołem Wotruby, na chwilę się zawahała. Ernst również coś kombinował i nie miał chyba zbyt mądrego planu na najbliższą przyszłość. Powiedział tylko tyle, że na razie nie zamierza się ujawnić i będzie się z nimi kontaktował poprzez nowy numer Ulrike. Dziewczyna miała w razie problemów po prostu pozbyć się telefonu. Annie na moment zachciało się śmiać. To wszystko było jak z taniego filmu szpiegowskiego. Biedny Ernst nie zdążył pójść na żadne korepetycje z kamuflażu, ukrywania się po krzakach, zacierania za sobą śladów i tajnych kontaktów. Miała przykre wrażenie, że niebawem go w końcu dorwą i to jeszcze zanim zdoła „odkryć” cokolwiek na swoją korzyść. Ale jak na osobę niewprawioną w ucieczki i prowadzenie walki o odzyskanie dobrego imienia, nawet dawał sobie radę. Tylko co będzie dalej?

Kiedy już Ulrike zamknęła drzwi swojego mieszkania na wszystkie spusty, ruszyli w stronę autobusu. O tej porze był prawie pusty. Po drodze półgłosem omówili to, co usłyszeli od Ernsta. Anna miała oczywiście ochotę zamordować Leona za jego głupotę, ryzykowanie i podsłuchiwanie – bo miał przecież czekać na nie pod kościołem Wotruby – ale była już tak zmęczona, że odpuściła sobie nawet pretensje. Poza tym martwił się o nią, więc powinna okazać mu wdzięczność. Tak ogólnie. Za to, że z nią tu przyjechał i został. A jeśli wreszcie zechce wyjechać?

Po raz pierwszy w życiu Anna naprawdę nie chciała zostać sama. Mimo zmęczenia przejaśniło jej się w głowie. Wiedziała, dlaczego tutaj została. Uciekała od życia,



obowiązków, od siebie. Potrzebowała adrenaliny i zaangażowania się w cudze problemy, by nie myśleć o własnych. Musiała doprowadzić to, co zaczęła, do końca. A później...

Oparła głowę na ramieniu Leona i przymknęła oczy. Szturchnął ją delikatnie, kiedy dojechali do swojego przystanku. Na Klostergasse szli już w milczeniu, wolno przemierzając wyludnione uliczki. Anna z dłonią wsuniętą pod ramię Leona, którą przyciskał do swojego boku. Powieki same jej opadały. Postanowiła pomyśleć o tym wszystkim jutro. A raczej dziś, ale po przyzwoitej dawce snu. Ledwo powłóczyła nogami. Widziała już zarys bramy wejściowej i okno na parterze, z firanką w liliowym kolorze. Powoli świtało, ale wokół wciąż panowała niczym niezmacona cisza.

Ktoś stał pod kamienicą na Klostergasse. Jakiś mężczyzna. Opierał się o ścianę. Przy nim, na chodniku, leżała niewielka torba podróżna. Anna otworzyła szerzej oczy. Uczucie senności minęło. Rozpoznała go.

### CZEŚĆ III

*Nie lękam się śmierci, w ogóle się jej nie boję. Jest mi równie znajoma jak sen, jej bliźniak. Dlaczegoż miałbym unikać ciemnego towarzystwa w drodze przez jasne życie?*

Egon Schiele

*Dzieło sztuki ma wyrażać to, co nie jest poddane śmierci.*

Constantin Brâncuși

*Śmierć przychodzi tylko raz, ale czuje się ją w ciągu całego życia.*

Jean de La Bruyère

## WIEDEN

czerwiec 2014

Profesor Steinbeck nie od razu zrozumiał, po co przyszła i kim jest. Zauważył pewne podobieństwo, ale równie dobrze mogło mu się wydawać. Minęło dziesięć lat – miał prawo nie pamiętać wszystkiego. Zwłaszcza każdej twarzy, którą w życiu oglądał. Długo miał nadzieję, że cień podobieństwa jest albo złudzeniem, albo przypadkiem. Dziewczyna jednak zaczęła mówić, a jej kolejne słowa były jak strome schody, po których najpierw stąpił powoli, później szedł szybko, następnie biegł, aż wreszcie spadał na łeb na szyję, na złamanie karku. Podobieństwo było nieprzypadkowe, a ona przyszła w jakimś celu. Jakim? Tego wciąż nie wyjawiała. Ale kiedy wspomniała swoją siostrę, Steinbeck wiedział już, że ta wizyta nie zakończy się dobrze. I musiał sprawić, by nie zakończyła się dobrze dla niej, nie dla niego... Nie pozostawiła mu wyboru. Wreszcie jej słowa, ostre i bezlitosne jak brzytwa, ułożyły się w sensowną całość i profesor zrozumiał, że Angie Hamilton, siostra Emilie Morton, nie zna prawdy. Podała tylko kilka faktów, jakieś rachityczne wiadomości, zawieszony w próżni. W duchu zaczął z niej szydzić. Z tym tutaj przyszła! Ile czekała? Musiała węszyć, zbierać informacje, może nawet... trafiła do nich? Do Brit i Loli? Ale one nic jej nie powiedziały, to jasne. I on również nie mógł. Musiała pozostać w niewiedzy jak najdłużej – najlepiej do samego końca.

Dlaczego popełnił taki kretyński błąd? Nie wiedział, że Emilie miała siostrę, że w ogóle miała jakąś rodzinę. Od początku wydawała mu się słabsza od tamtych i mniej odporna na niszczącą moc wyrzutów sumienia. Nic dziwnego, że trafiła do psychiatrika. Ale dopóki szpital znajdował się za oceanem, a ona siedziała cicho, brała pod język jakieś pigułki i kiwała się na krześle, wszystko było w porządku.

Tylko że teraz nie było, bo zjawiała się ona! Cholerna siostra. Wygadywała jakieś bzdury o molestowaniu, które zdruzgotało psychikę Emilie. O złamanej karierze, traumie, a nawet... gwałcie! Usłyszała to wszystko od samej Emilie czy wymyśliła? Emilie kłamała czy Angie miała wybujałą wyobraźnię? Tak czy inaczej – żadna z nich nie była normalna. Co miał jej powiedzieć? Jak wytłumaczyć, że wszystko, co mu wygarnęła, jest kompletnie bez sensu? I jednocześnie nie pogrzyść siebie? A zresztą! Steinbeck nie mógł się powstrzymać i zarechotał. Nawet gdyby powiedział jej najszczerzą prawdę, w życiu by nie uwierzyła. Patrzył na nią i śmiał się. Widział wściekłość w jej oczach. Chciał to wykrzyknąć. W oczy wyrzucił jej prawdę o Emilie Morton, o Brit i Loli, nawet o Michaelu, choć on dopiero zaczynał. Nawet o sobie samym.

Czy ona, jakaś tam Angie z Teksasu, zdawała sobie sprawę, że trudno było to wszystko zorganizować? „Ich” zorganizować? Znaleźć, sprowadzić do Wiednia, uformować w grupę? Skupić w jednym miejscu, na jednej uczelni? To ostatnie wydawało mu się niewykonalne. Kiedyś już próbował i poległ. Od tamtej pory radził sobie inaczej, ale kiedy w sieci natrafił na Brit, Lolę, Emilie i Michaela... Wszystkich w podobnym wieku, młodych, spoza Wiednia, z artystyczną duszą, pewnych swego? Swojej... inności? Internet tak wiele spraw ułatwiał. Tam dopiero profesor widział, ilu ich jest. Byli silni. Czy ona wiedziała, jak wiele dokonał i ile trudu go to kosztowało? Siostra

w psychiatryku! Też problem! Poszła tam na swoje życzenie. Nie musiała. Po prostu nie potrafiła siebie zaakceptować. Z braku akceptacji własnej osobowości zawsze rodziły się największe tragedie tego świata.

Może powinien pokazać jej obrazy? Rzeźby? Cenne dzieła, o których z pewnością słyszała, skoro interesowała się sztuką. Zrabowane, zaginione, poszukiwane. Wtedy zaczęłaby myśleć inaczej, doszła do jakichś wniosków, które uczyniłyby go choć trochę bezpieczniejszym. Mógłby jej zaoferować udział w zyskach. Albo zaszantażować, że jeśli komuś powie, źle skończy. To była potężna tajemnica. Mógłby coś wymyślić. Nadawała się na ofiarę. Rozedrgana, emocjonalna. Bezmyślna. Przyszła go szkalować i zastraszać, nie mając żadnych argumentów i nie znając prawdy. Znęcał się nad jej siostrą? Wykorzystywał? Osaczył? Ach tak – i jeszcze zgwałcił. Głupia Emilie. Jeśli to ona nagadała siostrze takich bzdur...

Dziewczyna miała broszkę. Pokazała mu ją, właśnie teraz. Dwugłowy orzeł, godło Habsburgów. Znał tę broszkę świetnie. Było ich więcej, a Angie Hamilton znalazła się w posiadaniu jednej. Tej tutaj. Miała ją od siostry, to pewne. A jednak nie знаła prawdy. Jak to możliwe, że Emilie dała jej broszkę i jednocześnie skłamała? Chyba że Angie ją ukradła... Niezależnie od tego, jak to zrobiła, była niebezpieczna.

Nie, nie mógł dłużej jej słuchać. Musiał działać. Zacznie po dobroci i od dzieł sztuki. Pokaże jej kilka mniej ważnych, nie może przecież wytaczać ciężkich dzieł i demonstrować tego, co naprawdę było cenne. Zaproponuje współpracę. A nuż się skusi?

Profesor Steinbeck skrzywił się i zrobił krok w stronę Angie Hamilton. Nie lubił takich pyskanych, pseudoniezależnych bab, co to myślały, że mogą wziąć sprawiedliwość w swoje ręce. Ona nie była taka jak jej siostra. Nie była TYM, czym była jej siostra.

Patrzył, jak cofa się i blednie.

Przestraszył ją. To dobry znak. A może by tak zmienić scenariusz? Zrobić coś, o czym zawsze marzył? Nigdy nie miał odwagi. Choć przecież one, Brit i Lola... Dzielne dziewczyny. Tylko Emilie okazała się słaba. Przestraszyła się wtedy nie na żarty. Uciekła na drugi koniec świata przez tamten mały wypadek przy pracy...

Krok drugi, trzeci. Cofa się. Profesor Steinbeck patrzy w dół, na lśniące podłogowe kafle. Widzi w nich swoją twarz. Widzi rozlaną wodę. Widzi swoją stopę w domowym pantoflu. Domowy pantofel ślizga się na kafli. Rozlana woda błyszczy. Stopy nie są już na podłodze, a on nie stoi. Uderza ciężko o podłoże i czuje ból z tyłu głowy. Mocny, porażający. Ból i trzask. Jego dłonie drżą. Dłonie, którymi rzeźbił. Wiedział, że uszkodzenia mózgu często upośledzają ruchy dłoni. Ból, krew w nosie i ustach. Dziewczyna? Nie, nie ma jej. Już nie ma. Jest kto inny. Inna twarz pochyla się nad nim i profesor Steinbeck przez chwilę czuje ulgę. Zna tę twarz. Otrzyma pomoc. Głowa boli niemiłosiernie. Czy można od tego umrzeć? Wymioty w gardle. Drżenie dłoni. Plamy przed oczami, ciemność, potem znowu światło i znowu ciemność. Twarz. Poważna. Uśmiechnięta? Poczekaj aż...? Nie, niemożliwe. Ryzykuje. Wszystko może się dobrze skończyć, a wtedy on powie, zapamięta... Krew w ustach, wymieszana z wymiocinami... Żrąca żółć. Ból. Plamy, ciemność. Obraz skaczący przed oczami jak w starym kinie. Twarz, którą zna. A na niej napięcie, oczekiwanie. Niecierpliwość.

Skąd się wziął? Czy przyszli razem?

czerwiec 2015

Często wspominał to, co stało się przed rokiem. Przebieg zdarzeń był w stanie odtworzyć w najdrobniejszych szczegółach. Pamiętał, jak szedł za dziewczyną, bo od początku zdawało mu się, że coś planuje. Lubił obserwować ludzi – przy maksymalnym skupieniu prawie zawsze dało się odgadnąć ich właściwe zamiary. Lubił też słuchać, a słuchanie okazywało się niekiedy nawet ważniejsze od patrzenia. Ale najistotniejsza i tak była całość. Pozornie nieistotne pytania i półsłówka, drobne gesty, nerwowe spojrzenia, tupanie nogą pod stołem, zerkanie w telefon, akcent wyrazowy i zdaniowy, „a czy nie wiesz może...”, „czy słyszałeś...”, „od zawsze mnie interesowało...”.

Angie Hamilton była na dodatek słabą aktorką. Albo on dobrze znał się na ludziach. Nikt inny nie zauważył niczego podejrzanego, a przynajmniej się z tym nie zdradził. On obserwował ją uważnie. Później zaczął też śledzić – wtedy, gdy uznał, że zwykłe sytuacje, w których przebywają razem, już mu nie wystarczają. Dostrzegał pewne podobieństwo, ale wciąż nie był przekonany... Kiedy ostatnim razem widział tamtą kobietę, był bardzo młody. On i tamten. Obaj byli młodzi. Jak to możliwe, że tamten nie widział podobieństwa? A może widział i dlatego właśnie się z nią zadawał? Może na coś czekał? Czy chciał powiedzieć jej prawdę? Bo przecież nie znała prawdy, przyszła do profesora z jakimiś bzdurami. Tamten nic jej nie powiedział, podobnie jak Brit i Lola. Teraz siedziały cicho, raz tylko wychyliły się z tym durnym pomysłem, że oskarżą profesora o molestowanie. I po co? Nic nie osiągnęły. Albo prawie nic. Może się bały, że skończą jak Emilie Morton, która wylądowała w wariatkowie. Nie dziwił się. Sam ledwo dawał radę i nie wiedział, jak długo jeszcze wytrzyma. Od wielu już lat nie wiedział.

A wtedy... Dziewczyna przyszła do profesora. On okrążył dom i wśliznął się do środka przez garaż. Znał drogę. Cała grupa znała, ale on najlepiej. Stał w korytarzyku przy salonie i wszystko słyszał. Wiedział już, że nie pomylił się co do Angie i jej podobieństwo do Emilie Morton nie było przypadkowe. Ale co ona wygadywała... Był naprawdę ciekaw, jak ta sytuacja się rozwinie. Co zrobi profesor i czy zdobędzie się na rozwiązanie ostateczne. Miał niemal pewność, że spróbuje pokazać jej obrazy i rzeźby. A to by oznaczało, że Angie, chcąc nie chcąc, dołączy do interesu. Profesor musiał się zabezpieczyć. W sumie mu się nie dziwił.

Tego, co wydarzyło się później, zupełnie nie przewidział. Profesor szedł ku dziewczynie, ona się cofała, on się poślizgnął i wyrznął tak, że aż w korytarzyku dało się słyszeć obrzydliwy trzask. Angie nie traciła czasu. Zanim wychynął zza rogu, już jej nie było. A profesor leżał na podłodze, telepał się, z nosa, ust i uszu leciała mu krew. Sytuacja była sprzyjająca. Mógł raz na zawsze z tym skończyć. Z całym ohydny procederem, z paskudztwem, które spędzało mu sen z powiek. Patrzył na profesora i zadawał sobie tylko jedno pytanie – a jeśli w ten sposób nie wykituje? Czym prędzej pogasił światła w domu i pozamykał drzwi. Musiał to skończyć, posprzątać i pojechać po Angie. Miał plan. Był po jej stronie.

Profesor otwierał i zamykał oczy. Teraz dostrzegał go tylko w delikatnym świetle księżycy, wpadającym przez okno. Widział, że nie wygląda to dobrze. Jeśli go tak zostawi, na pewno wszystko pomyślnie się zakończy. Ale postanowił chwilę poczekać, na

wszelki wypadek. Gdyby szczęściu trzeba było odrobinę pomóc...

Los się do niego uśmiechnął. Szczęściu nie trzeba było pomagać, a na szaleństwie, które ogarnęło go w związku z Angie, nie został przyłapany. Chyba tylko cudem. Kiedy później to wszystko analizował, dostawał dreszczy. Amatorszczyzna. Ryzykował. I teraz właśnie ponosił konsekwencje. Marlene, Angie. Zwłaszcza cholerna Angie, która tak go zaskoczyła i zawiodła.

A do tego Emilie Morton, która miała niebawem pojawić się w Wiedniu.

lipiec 2014

Minął miesiąc. Angie wiedziała, że nie miał planu i poszedł na żywioł. Ponoć ją widział. Jak zostawiła profesora i nie udzieliła mu pomocy. Umarł i była temu winna. Razem zawinili – on też, bo przecież skoro widział, co się stało, również mógł udzielić pomocy rannemu. Ale Angie uciekła pierwsza, szybko, nie namyślając się ani chwili. A zatem zabili go i teraz ona była tutaj. Już od miesiąca. Dziwnie się wobec niej zachowywał. Chyba... naprawdę myślał, że nie będzie się bronić. Że tak po prostu zgodzi się na więzienie! Skończony kretyn. Angie walczyła zaciekle, raz nawet kopnęła go tak mocno, że zwinął się w kłębek i zawył. Próbowwała uciec, ale poniosła porażkę. Nie potrafiła go ominąć, by dotrzeć do drzwi.

Dopał ją i ukarał za to, co zrobiła. Nie cierpiała kar. Zawsze czuła się potem otępią, miała wyschnięte gardło i bolała ją głowa. Nie mogła myśleć, była warzywem. Zrozumiała, że nabierał wprawy z każdym dniem. Był też od niej silniejszy. W pewnym momencie po prostu przestała się opierać, a on przestał ją karać. Ramię nie bolało od wkłuc, w umyśle się przejaśniło. Zaczęli rozmawiać, a on ciągle powtarzał, że jest po jej stronie. Zaproponował coś, co uznała za idiotyzm. Ale on mówił poważnie. Obiecywał, że kiedy już zrealizuje swój plan, zwróci jej wolność. Przez pięć minut nawet mu wierzyła. Dostała narzędzia. Ostre. Przyszło jej do głowy, że wreszcie otrzymała szansę odzyskania wolności. A jednak on śledził każdy jej ruch, a ona nie potrafiła już zdobyć się na walkę. Co by było, gdyby znowu okazał się silniejszy? Gdyby ponownie przegrała? Ukaralby ją po raz kolejny, jeszcze gorzej, z nadatkiem. Za oszustwo i zawiedzione zaufanie. Dogadali się przecież. Co by jej zrobił, gdyby złamała obietnicę?

Nie złamała zatem danego słowa. Rzeźbiła. Najlepiej jak potrafiła. Choć nie wiedziała, po co. Do czego wykorzystywał jej wyciosane z drewna kształty?

Ani też – ile jeszcze? Jak wiele strachu, milczenia i wyobrażenia śmierci?

## Rozdział 17

Anna Lindholm zadzwoniła do niego o szóstej rano i głosem, w którym wyraźnie pobrzmiwało zmęczenie, zrelacjonowała przebieg swojego spotkania z Ernstem Bauerem. Z początku Thomas wtrącał się w tę opowieść i zadawał pytania, ale po chwili zamknął się raz a dobrze. Historia zdanie po zdaniu stawała się coraz bardziej skomplikowana i nieprawdopodobna. Owszem, Ernst Bauer przekazał Annie kilka ważnych informacji i podsunął parę istotnych tropów. Wreszcie mieli się o co zahaczyć i zyskali mgliste pojęcie, gdzie powinni zacząć szukać. Bauer powiązał tę sprawę z osobami i wydarzeniami, które na pozór nie miały ze śmiercią Marlene i Angie nic wspólnego. Oczywiście cień profesora Steinbecka przez cały czas gdzieś tam się nad nimi unosił. Choćby przez wzgląd na fakt, że on i jego bratanek znali Bauera i Niklausa, więc wszystko pozostawało w przysłowiowej „rodzinie”. A jednak... Broszka. Ozdoba, którą Chana Sullam natychmiast powiązała z osobą Steinbecka. Tajemnica, jaką skrywał profesor. To, że uznała go za niebezpieczną osobę i kazała wnukowi mieć się na baczności. Bauer, który rozgniewał się na babkę i nie chciał jej dłużej słuchać.

Działalność Steinbecka... Handel dziełami sztuki zrabowanymi podczas drugiej wojny światowej, a tym samym wpisanie się w ciemną kartę historii Wiednia, związaną z zagrabieniem żydowskiego mienia. Ilu jeszcze ich było? Takich jak Steinbeck? Chciwych arogantów, którym wydawało się, że mogą tak po prostu handlować czymś, co nie należało do nich? Ebeling kochał swoje miasto i bardzo leżała mu na sercu jego dobra reputacja. Uważał, że mógł być dumny z Wiednia i tego, co się tutaj działo. Z inicjatyw artystycznych, zabytków, koncertów i muzeów, w których pokazywano dzieła najważniejszych artystów w historii sztuki. A jednak na Belweder rzuciła cień sprawa Marii Altman i *Złotej Adeli* Klimta. Na Muzeum Leopoldów – batalia o *Portret Wally* Eгона Schielego, toczona przez spadkobierców Lei Bondi Jarai. Co jeszcze miało nadejść? Co ukradł i sprzedał Steinbeck? Ebeling wołał o tym na razie nie myśleć.

Teraz powinien się skupić na bieżących sprawach. Anna opowiedziała mu o spotkaniu z Bauerem, a on z kolei musiał porozmawiać z Franzem Weberem i zdobyć jak najwięcej informacji na temat studentek Steinbecka, które oskarżyły profesora o molestowanie. Dopytać jeszcze raz o autopsje obu zmarłych dziewczyn. Ciało Marlene oddano już rodzinie, ale Angie... Właśnie – co z jej rodziną? Ebeling uświadomił sobie, jak mało w gruncie rzeczy wie o ofiarach. Miał oczywiście świadomość, że technicy odpowiednio rozejrzeli się w mieszkaniu Marlene Sachs i z pewnością nie natrafili na nic istotnego, skoro Weber nawet się w tej kwestii nie zająknął, a jednak powinien zadać komisarzowi parę pytań. I jeszcze... uspokoić się. Rano zmierzył sobie ciśnienie i nie był zadowolony z wyniku. Znowu narażał się na stres, a na dodatek wtykał nos w nie swoje sprawy. Wiedział jednak, że interesowałby się tymi wydarzeniami tak czy inaczej, nawet gdyby na jego progu nie stanęła Anna Lindholm. Zaczął już przecież zbierać informacje. Anna w pewnym sensie „zalegalizowała” jego udział. Jego wtrącanie się. Miał doskonały pretekst, nie mógł przecież zostawić dziewczyny samej w tym wielkim i niebezpiecznym mieście...

Thomas uruchomił ekspres do kawy – choć kawy akurat nie powinien pić – i zaczął

w zamyśleniu bawić się filiżanką. Musiał się pilnować przy Weberze i nie zdradzić z tym, że cokolwiek wie o Ernście Bauerze. Powinien po prostu... udawać chęć pomocy. Upił łyk kawy i pokręcił głową. Co on najlepszego wyprawiał? Miał sześćdziesiąt pięć lat, a zachowywał się jak ciekawski smarkacz i na dodatek wyglądem przypominał Stevena Tylera z Aerosmith. Wiedział o tym doskonale i – na pozór nieświadomie – podkreślał podobieństwo strojem. Może powinien ściąć włosy? Kupić kilka ładnych marynarek i porządnych pantofli? Jakies spodnie w kant? Kamizelki? Myślenie o tym w takiej chwili było kompletnym bezsens. Ebeling zaklął w duchu.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma. Postanowił, że zje zdrowe śniadanie, które z pewnością nie będzie mu smakowało, i wyruszy w drogę na komisariat. Kiedy zdejmował z półki słoje z musli, do kuchni weszła Diane. Miała na sobie kimono w papugi. Tego dnia nie wybierała się do pracy i z pewnością planowała namówić go na wspólne ćwiczenie jogi. Na samą myśl o ćwiczeniach Ebelingowi zeszytniał kark. Kiedy cała ta sprawa wreszcie się zakończy, będzie musiał wszystko jej wynagrodzić. Nie był idealnym mężem. Stary wścibski dziad z nadciśnieniem i długimi włosami. Tak, wszystko jej wynagrodzi. Kiedy tylko to się skończy...

\*\*\*

Anna pożegnała Ebelinga, życzyła mu powodzenia w rozmowie z Weberem i poprosiła po raz setny, by nie zdradził się w związku z Ernstem Bauerem. Jeśli chodziło o emerytowanego komendanta, była spokojna. Miała do niego zaufanie i nie wątpiła, że wcześniej już zdarzało mu się wtrącać w sprawy, których sam nie prowadził. No i ten cały komisarz Weber nie wydawał się przeciwny współpracy z Ebelingiem. Nie wiedziała tylko, jak by zareagował, gdyby dowiedział się o jej prywatnym „śledztwie”. Rozłączyła się i położyła telefon na kuchennej szafce. Po cichu przemknęła do pokoju, który bezpośrednio łączył się z kuchnią, i ostrożnie położyła się do łóżka. Oparła policzek na dłoni i wbiła wzrok w drzwi prowadzące do drugiego, mniejszego pokoju. Za ścianą był Leon. Bardzo wątpiła w to, że spał. Ona również nie zmrużyła oka. Wszyscy położyli się do łóżek przed godziną, z zamiarem podyskutowania później, kiedy już trochę się prześpią, ale Annie nic z tego nie wyszło. Ułożyła się jednak przy jego boku i poczuła znajomy zapach. Przez chwilę było jej dobrze i błogo. Miała wrażenie, że wreszcie jest bezpieczna i... na swoim miejscu. Leon wziął prysznic i czym prędzej czmychnął do pokoju, który zajmował na Klostergasse, a oni zostali sami.

Antonio przyglądał jej się z troską i pretensją. Powiedział tylko tyle, że zostanie w Wiedniu bardzo krótko. Dziś wieczorem musi wrócić do Neapolu i zupełnie nie spodziewał się, że prawie całą noc przeczeka pod drzwiami na Kloster. Przyleciał o dwudziestej drugiej. Przyjechał pod adres, który podała mu podczas rozmowy



telefonicznej, i chwilę kręcił się po okolicy. Poszedł na spacer. Wrócił i po raz kolejny dzwonił, pukał. Znowu kręcił się po okolicy. Wrócił ponownie. Telefonował do niej oczywiście i to nie raz. Nieodebrane połączenia od Antonia zobaczyła dopiero wtedy, kiedy wsiedli do autobusu na Türkenstrasse. Miała wyciszoną komórkę. Rozmawiała przecież z Ernstem Bauerem. Antonio, głosem niebezpiecznie spokojnym, powiedział, że zastanawiał się, czy powinien już zgłosić wiedeńskiej policji jej zaginięcie. Martwił się, odchodził od zmysłów, nie miał pojęcia, do kogo mógł się zwrócić w tym mieście. Nie dała mu przecież żadnego kontaktu do Thomasa Ebelinga. Oczywiście dzwonił także do Leona, ale ten również nie raczył odebrać. Dał sobie jeszcze trochę czasu, po czym zamierzał podjąć desperacki krok i pójść na najbliższy komisariat, kiedy wreszcie się pojawili. I wtedy Antonia ogarnęła dziwna rezygnacja. Takim go zastała. Czuła się okropnie. Tym bardziej, że nie chciał już z nią więcej rozmawiać. Położył się, chwilę na siebie patrzyli, po czym zamknął oczy i zapadł w niespokojny sen. Musiał być bardzo zmęczony. A ona...

Ona czuła jedynie przyspieszone bicie serca i pulsowanie w głowie, które w końcu zmieniło się w ból. Myśli o Ernście i wszystkim, co powiedział, mieszały się z tymi o Antoniu. Kiedy go zobaczyła na Kloster, znowu dopadły ją refleksje, że wszystko się powtarza. Doświadczyła już podobnych uczuć, kiedy przed kilkoma miesiącami spotkała się z Ingvarem w Mestre. Miała wtedy wrażenie pewnej ostateczności. Czuła ciężar decyzji, po których nie mogło już być odwrotu. Wiedziała, że coś na pewno się skończy albo też już skończyło. Widok Antonia wyzwolił w niej te same emocje. Widział ją z Leonem. Jej dłoń wsuniętą pod jego ramię. To dziwne porozumienie, które odrodziło się między nimi pomimo wszystkich wydarzeń, które miały miejsce w Wenecji. Może pewne relacje były bardziej odporne na wszelkie problemy? Może ona i Leon po prostu więcej potrafili sobie wybaczyć?

Uczucie końca i ostateczności było tym razem gorsze niż wtedy, w Mestre. Anna bowiem ponownie zdała sobie sprawę, że Antonio Valli jest dla niej bardzo ważny. Kiedy go zobaczyła, nie pomyślała, że tłą się w niej tylko resztki uczucia. Była zła za ten wyjazd do Neapolu, a kiedy znalazła się w Wiedniu, wciąż miała coś do zrobienia. Wciąż miała o czym myśleć. Ale przecież ona i Antonio zaczęli już razem coś budować. Zakochała się w nim mocno, szaleńczo. Niemożliwe, że był to tylko romans, który narodził się w sprzyjających okolicznościach. Czuła więź z tym człowiekiem, szanowała go i... tak, kochała. Nie zasługiwała na niego. Nie ufała sobie. Wystarczyło, że Leon okazał jej znowu swoje zainteresowanie i to osobliwe, niezrozumiałe oddanie, które kazało mu rzucać wszystko i po prostu być w pobliżu, kiedy tego potrzebowała, a ona już zaczynała mieć wątpliwości. Myśleć o nim inaczej. Zrozumiała wreszcie, że Leon nie jest jej obojętny. Ale to, co do niego czuła, było... inne. Trudne do zdefiniowania.

Obróciła się w stronę Antonia i spojrzała na jego twarz. Zamknięte powieki, za którymi kryły się popielate tęczęwki, wyraziste kości policzkowe, bruzdy na czole. Pokochała te bruzdy, tak jak i delikatne zmarszczki wokół oczu. Nie mogła mu tego zrobić. Nie mogła zawieść jego zaufania. Za wiele już w życiu przeszedł, by jeszcze ona miała mu wyrządzić krzywdę. Przysunęła się bliżej. Antonio poruszył się i otworzył oczy.

– Przepraszam – powiedział.

Gardło ścisnęło się jej tak mocno, że przez moment nie mogła oddychać.

– Ja też cię przepraszam – szepnęła. Antonio stał delikatnie łąz z jej policzka.

– Nie zrezygnujesz, prawda? – zapytał, ale bez wyrzutu.

– Dałam sobie miesiąc. Cztery tygodnie tutaj. Jeśli niczego nie osiągnę, wrócę do...

Urwała i spojrzała mu w oczy. Do czego wróci? Na pewno pojedzie do Helu, ale czy tam osiadzie? Im dalej była od swojego rodzinnego domu, tym bardziej w to wątpiła. Wciąż przypominała sobie słowa babci, które dodawały jej odrobinę nadziei. „Hel to miejsce, w którym coś się zaczyna”. Może i tak. Antonio patrzył na nią z czymś na kształt... zrozumienia. On też swego czasu uciekł, zaszył się w Wenecji i zagłębił w problemy i tragedie, które dotyczyły innych ludzi. Miał więcej czasu, by w miarę dojść do siebie, bo aż sześć lat. A później to ona właśnie pomogła mu wydostać się ze skorupy, sprawiła, że coś na nowo poczuł. Anna nie odczekała aż tyle. Od tragedii, którą przeżyła, nie minął nawet rok, a i tak wiele się przez ten czas wydarzyło. Sama sprawiała, że coś wciąż się działo. Może nie była jeszcze gotowa, by zyskać taką pewność, jaką wobec niej zyskał Antonio?

– Do domu? – podjął po chwili, nadal przyglądając się jej uważnie.

Uśmiechnęła się smutno.

– Nie wiem, gdzie jest dom – powiedziała wreszcie głośno to, co dręczyło ją od tak dawna.

– Znam ten stan – przyznał i pogłaskał ją po włosach.

– Nie przyjechałeś tu, żeby... – Nie była w stanie dokończyć zdania. Antonio zastygł z dłonią przy jej skroni.

– Żeby co? Powiedzieć ci, że to koniec? Spodziewałem się tego raczej po tobie. Jesteś tu z nim. Ten człowiek nigdy nie stanie ci się całkiem obojętny. Prawda?

– Chyba nie. Ale to nie znaczy...

– Dla mnie to, co wydarzyło się w Wenecji, nie sprowadzało się do skoków adrenaliny. Jestem też już na tyle stary, by wiedzieć, że w tych sprawach raczej niczego nie powinno się ciągnąć na siłę. Dlatego dam ci czas. Jeśli chodzi o mnie, nic się nie zmieniło. Przyjechałem tu, bo musiałem cię zobaczyć. Nie powinniśmy rozstawać się w gniewie i przepraszać przez telefon. Chciałem cię dotknąć i spojrzeć ci w oczy. Ale dziś wyjadę. Ja też... muszę coś załatwić.

Anna uniosła się na łokciu. Przez twarz Antonia przemknął cień i zobaczyła w jego oczach ból. Poczowała znajomy skurcz w żołądku. Strach. O to, że on także znalazł się w niebezpieczeństwie. Potrząsnęła go lekko za ramię.

– Powiedz, o co chodzi. Masz kłopoty? Twój... syn ma kłopoty?

Antonio skinął głową i odwrócił wzrok. Mówienie o Turce nie przychodziło mu łatwo.

– Tak, ma kłopoty. Znowu. Od razu się tego domyśliłem. Nie chodziło o żadną poprawę, wielkie życiowe zmiany i chęć uzyskania „przebaczenia”. To była tylko głupia, patetyczna, pusta gadka.

– I pretekst? Żeby ściągnąć cię do Neapolu?

– Na to wygląda, choć przecież musieli wiedzieć, że nabiorę podejrzeń. Nie miałem

tylko pojęcia, o co dokładnie im chodzi. Ale skoro wydzwaniła do mnie sama Claudia i prosiła, żebym przyjechał, to sprawa musiała być poważna. I teraz już wiem. A raczej dowiaduję się, wszystkiego po kolei. Choć chyba wolałbym nie wiedzieć.

– Czego się dowiadujesz? – Anna miała wrażenie, że serce za chwilę wyskoczy jej z piersi.

– Mój syn pojechał z kilkoma chłopakami na wakacje na Wyspy Kanaryjskie. Na Lanzarote. Nocą ktoś włamał się do Parku Narodowego Timanfaya, w którym można oglądać prawie trzysta wygasłych wulkanów, ale tylko ze specjalnego autobusu. A jednak ten ktoś jakimś cudem wszedł na teren parku na piechotę. Nad ranem kierowca pierwszego autobusu wycieczkowego zauważył zakrwawioną dziewczynę. Siedziała przy... zwłokach innej dziewczyny. Tę, którą pozostawiono przy życiu, pobito i zgwałcono. Tamtą drugą uduszono. Ta, która przeżyła, zeznała, że do parku weszły w towarzystwie mojego syna. Ta, którą uduszono, miała wokół szyi okręconą linkę wspinaczkową. Również należąca do mojego syna. Ta, która...

Antonio umilkł i przycisnął dłonie do oczu. Zadrżał. Anna zastygła w bezruchu. Interesowało ją w tej chwili tylko jedno. Dlaczego nic jej nie powiedział? Dlaczego od razu nie przyznał, o co chodziło? Dlaczego teraz mówił te wszystkie brednie o darowaniu czasu na zastanowienie, kiedy... Boże!

– Toni...

– Tak, właśnie. Wygląda to wszystko bardzo kiepsko, zważywszy na fakt, że mój syn wyleciał z Lanzarote nad ranem, tego samego dnia, kiedy dziewczyny znaleziono w Timanfai. I od tej pory się ukrywa. W Neapolu, w jednej z willi jego dziadka, ojca mojej byłej żony. Oczywiście jest poszukiwany. Nie zgłosił się na policję, nie wynajął adwokata, nie zachował się tak, jak powinien się zachować! A przecież nie pierwszy raz...

– Twierdzi, że jest niewinny?

– Oczywiście.

– Ale ty mu nie wierzysz?

Oderwał dłonie od powiek i spojrzał na nią. Miał zaczerwienione i załzawione oczy. Czowała się jak skończona idiotka. Nie wiedziała, jak się zachować, o co pytać, co zaproponować. Ale musiała mu pomóc. Być z nim teraz, za wszelką cenę.

– To jest właśnie mój największy problem – odpowiedział cicho. – Nie wierzę mu. Chciałbym, bo to przecież mój syn. Od lat żyłem nadzieją, że coś się zmieni, oboje dojrzejemy i będziemy w stanie się jeszcze dogadać. A teraz... nie wierzę mu.

Anna zerwała się z łóżka i stanęła na równe nogi.

– Pomogę ci. Pojadę z tobą. Do Neapolu albo na tę... Lanzarote. Co mogę zrobić? Od czego zaczniemy?

– Anno, chodź tutaj.

Antonio usiadł i chwycił ją za rękę.

– Nie możesz ze mną pojechać. Muszę to zrobić sam. A przynajmniej na razie, tyle, ile mogę... Nie chcę, żebyś to oglądała. Żebyś poznała tę część... mnie. Mojego dawnego życia. Nie jestem jeszcze na to gotowy.

– Przecież w Wenecji mówiłeś...

– Tak. Ale się pomyliłem. Jeśli Ture nie jest dobrym człowiekiem, to na pewno coś zrobiłem źle i w jakimś stopniu temu zawiniłem. Nie wychowałem go dobrze. Poniosłem porażkę. Muszę to zrobić sam. Jak najwięcej zrobić sam.

– Ale przecież będziesz potrzebował pomocy.

– Na razie potrzebuję udowodnić sobie, że coś jestem w stanie naprawić. Muszę się dowiedzieć, czy rzeczywiście to on jest winny. Nie wiem, co ze mną będzie, jeśli się okaże, że tak. Czy za drugim razem...

– Nie mogę cię teraz zostawić!

Patrzyła na niego z przerażeniem. Trzęsła się z żalu, gniewu i bólu. Jego bólu, który teraz też czuła. Znowu go to spotkało. Stare rany zostały rozdrapane i bolały bardziej niż kiedykolwiek. Anna dobrze wiedziała, co to znaczy, kiedy zbrodnię popełnia ktoś bliski, kogo kocha się wciąż, mimo podejrzeń, braku zaufania i wreszcie – potwornego zawodu. Gdy poznała prawdę o swojej siostrze, również wołała, aby jej cierpienie nie miało widowni. Rozumiała Antonia, ale nie wyobrażała sobie, że on przejdzie przez to wszystko sam.

– Mam w przechowalni większy bagaż – odezwał się, z twarzą ponownie ukrytą w dłoniach. – Skłamałem. Nie wracam do Neapolu. Polecę na Lanzarote, rozejrzę się tam. Może czegoś się dowiem. Jeśli... odkryję coś, co przemówi na korzyść Ture, to spróbuję go namówić, by oddał się w ręce policji. Choć z pewnością nie będzie łatwo. Już samo jego zniknięcie nie wygląda dobrze.

Podobnie jak Ernsta Bauera, pomyślała. Powtarzalność, znowu. Wielość identycznych schematów.

– Chcę ci pomóc – powiedziała słabym głosem. – Nie możesz zostać sam. Nie obchodzi mnie wnuczek Chany! Ty jesteś dla mnie ważniejszy. Przecież... cię kocham.

– Nie wiem, co tam zastanę. Nie mam pojęcia, czy to wszystko do mnie nie wróci. Stan, w którym tkwiłem przez ostatnie lata...

– Nie pozwolę na to. Spójrz na mnie. Spójrz! Nie jesteś już sam.

W tej chwili naprawdę tak myślała, nawet jeśli zabrzmiało to patetycznie i kliwie. Chciała być przy nim. Wszystkie wątpliwości minęły jak ręką odjął. On był ważny. Chudy facet o popielatych oczach, z głębokimi bruzdami na czole. Były wenecki komisarz.

– Pojadę tam sam. Podjąłem już decyzję. Proszę cię, nie naciskaj. Jeśli... jeśli uznam, że nie dam sobie rady, wtedy zadzwonię.

– W t e d y zadzwonisz? Chyba oszalałeś?!

– Będę dzwonił codziennie – poprawił się. – Ale jeśli uznam, że nie dam sobie sam rady, wtedy poproszę cię, żebyś przyjechała.

– I ja mam żyć z myślą, że ty jesteś tam sam?

– Przecież chyba się nie nudzisz? Masz zajęcie.

– Pieprzę to – zirytowała się. Z trudem powstrzymywała się od płaczu. – Jeśli coś ci się stanie...

– Wylatuję wieczorem – przerwał, nie patrząc na nią. – Spędźmy ten dzień tylko we dwoje.

\*\*\*

Lola Martinez, Brit Solberg, Emilie Morton i Danni Fritz. Tak nazywały się były studentki profesora Steinbecka, które oskarżyły go o molestowanie. Dotarcie do ich nazwisk okazało się bajecznie proste – wystarczyło wpisać odpowiednie hasło w Google. Thomas Ebeling czuł niemal obrzydzenie, kiedy wchodził do sieci. Kiedyś trzeba się było trochę napracować, żeby coś znaleźć, połączyć, popytać, poszperać. A teraz? Nikt już nie był anonimowy, wszyscy o wszystkich wszystko wiedzieli. Thomas przyszedł na komisariat punktualnie o ósmej rano i grzecznie przywitał się z portierem, powiedział, że jest umówiony z Weberem, po czym usłyszał, że komisarza jeszcze nie ma, ale zaraz powinien się zjawić. Ebeling postanowił zatem poczekać w korytarzu. Rozsiadł się na krześle i wzorem każdego współczesnego obywatela kuli ziemskiej – może z wyjątkiem Pigmejów czy innych amiszów – wyjął komórkę.

Kiedyś już słyszał o tamtej sprawie – o „skandalu pedagogicznym”, jak mawiała jego żona. Ale był wówczas świeżo upieczonym emerytem z problemami zdrowotnymi i usiłował zmierzyć się z rzeczywistością, w której nie musiał codziennie wychodzić na komendę. Nie znał więc szczegółów i kojarzył jedynie mgliste informacje. Nazwisko Steinbecka w połączeniu ze słowem „molestowanie” wpisał w Google na próbę. Od razu pojawiła się lista artykułów związanych ze sprawą. Oczywiście w większości z nich podano tylko imiona studentek, ale w kilku natrafił też na ich nazwiska. Jeszcze do niedawna, a w niektórych wypadkach nadal, przy okazji spraw kryminalnych w prasie podawano pełne personalia podejrzanych lub winnych. Chyba że informacje nie były pewne. Kiedy już dowiedział się, jak brzmiały nazwiska, szukał dalej.

Nie znalazł w sieci pełnych biogramów tamtych kobiet, bo żadna nie była osobą publiczną, ale poznał parę szczegółów. Parę... To nie było właściwe słowo. „Niewiele” pasowało znacznie bardziej. Niewiele szczegółów, ale za to ważnych, wśród których dało się zauważyć pewien wzór. Lola Martinez pochodziła z Hiszpanii, Brit Solberg z Norwegii, Danni Fritz z Niemiec, a Emilie Morton z USA. Żadna nie była stąd... Dziwne? Ta informacja wcale nie musiała okazać się ważna, ale Ebelingowi taka przypadkowość rzuciła się w oczy. Wiedział, że do Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu spływały podania z całej Europy, a nawet z całego świata. Nie mówiąc już o tym, jak wielu studentów przyjeżdżało z innych miast Austrii. Jednak fakt, że wokół Steinbecka zgromadziły się cztery cudzoziemki, które później – wszystkie razem – wystosowały przeciwko niemu oskarżenie, mógł coś znaczyć. Tylko co? Poza tym Marlene Sachs i Angie Hamilton również nie pochodziły stąd. Sachs mieszkała w jakiejś wiosce, przy granicy z Włochami, a Angie w USA. USA... Ebeling zmarszczył brwi. Gdzie dokładnie w USA? Zaraz jednak roześmiał się i pokręcił głową. Stany Zjednoczone były dosyć duże i trudno, żeby coś łączyło akurat Angie i Emilie. Schował telefon i zasepił się. Musiał do

nich dotrzeć. Tylko jak poruszyć ten temat przy Weberze, by dowiedzieć się, gdzie szukać, i by komisarz jednocześnie nie zaczął niczego podejrzewać? Bo przecież on sam chyba jeszcze nie znalazł żadnego powiązania między broszką Marlene a Steinbeckiem. Profesor był na razie figurą mgliście związaną z Ernstem Bauerem jako jego dawny nauczyciel i promotor. I tyle. Okropnie to wszystko wydawało się poplątane.

Studentki. Broszka. Marlene i Angie. Nie wspomnieć o Bauerze. Cholera! Był już za stary na takie rzeczy...

– Ebeling? – zwrócił się do niego ktoś od strony portierni.

Thomas uniósł głowę. Tuż obok stał komisarz Weber, z czerwonym nosem i podpuchniętymi oczami. Świetny moment wybrał sobie na chorowanie.

– Nie, no co ty. Święty Mikołaj – odpowiedział z przekąsem.

– Daruj sobie. I tak już rzygam na to wszystko – odrzekł policjant i ruszył do gabinetu. Ebeling powlókł się za nim. – Masz coś konkretnego? Czy wpadłeś na kawkę?

– A naprawili wam ekspres?

– A powinieneś pić kawę?

Thomas uśmiechnął się. Weber poprawił się zdecydowanie, jeśli szło o cięte riposty. A taki się kiedyś wydawał gamoniowaty...

– Może być zielona herbatka – odpowiedział uprzejmie.

– Ano pewnie, zaraz wezwę służącą, bo przecież mamy tutaj prawie jak w *Gosford Park*. I jak? Coś ci przyszło do głowy? Bo ja na razie mam wrażenie, że przeszukuję cały Wiedeń, łącznie z lasem, a niedługo pewnie wybierzemy się w Alpy. W końcu to świetna kryjówka. Może tam jest Bauer?

– Strasznie się uczepliłeś tego Bauera – zauważył niewinnie i zerknął na swoje paznokcie.

– No nie, rzeczywiście nie ma się co czepiać. Facet sprawia wrażenie niewinnego jak nowo narodzone dziecko. A że w jego pracowni znaleziono zwłoki, to nic. I że kolejne zwłoki znaleziono w lesie, jak tylko on sam się gdzieś ulotnił. Rzeczywiście. Wygląda na totalny zbieg okoliczności.

– Ale skoro go nie ma, to można zbadać inne tropy.

– Jakie, kurwa, tropy? Oświecę cię. Nie mamy tropów. Wszystko się rozmywa. Mamy podobne lub nawet takie samo narzędzie zbrodni. Dziewczyny, które łączyła pasja do rzeźby albo ściślej – rzeźbiarzy. I które się znały, ale jak blisko, to już nie wiadomo. Jest jeden rzeźbiarz, który uciekł, i drugi, który podciął sobie żyły. No przyznaj – zabawa przednia jak na jarmarku!

– A rzeczy Marlene? Jej mieszkanie?

– Technicy nic nie znaleźli. Mała kawalerka, prawie pusta. Sztuczna biżuteria, tanie fatałaszki, laptop, a w nim żadnych podejrzanych dokumentów. Rozczaruję cię – nie prowadziła pamiętnika, który cudem rzuciłby trochę światła na sprawę. Wiem, pamiętnik zawsze pojawia się w powieściach kryminalnych, najczęściej pisany jakimś szyfrem. Ale tutaj żadnego nie było. Tyle się dowiedziałem, że Marlene rzuciła studia na uniwersytecie, nie odpisywała na maile od ciotki, która była jej jedyną krewną, i utrzymywała się tylko z pozowania. Po mieszkaniu sądząc, kokosów nie zarabiała. Spory kontrast z willą Niklausa.

– A Angie?

– Co Angie? Jej mieszkanie policja oglądała już rok temu. Zajmowali się nią najpierw lokalni, a później centrala. Przejrzałem teraz od nowa te papiery. Też nic ciekawego. Mało rzeczy osobistych, mało mebli. Ebeling... ktoś ją porwał. Ja nie wierzę, żeby te wszystkie ślady na ciele nic nie znaczyły. Ktoś ją uprowadził i przetrzymywał, a później zakłuł dłutem...

– Rylcem...

– Rylcem. No błagam! To nie są normalne... morderstwa. Żadna kłótnia małżeńska, nóż kuchenny i takie tam duperele. Ktoś się postarał. Co chciał osiągnąć? Zrobił to tylko dla czystej przyjemności? Porwał i zamordował, bo był psycholem, jak Jack Unterweger? Czy miał motyw?

– Jak dla mnie – miał motyw. Te dwie zbrodnie z pewnością się ze sobą łączą. Ale nie jestem pewny, czy popełniła je ta sama osoba.

– A tak, to witaj w klubie. I jeszcze jedno. Broszka. Kurwa, powiedz mi – skąd u dziewczyn, które, za przeproszeniem, nie rzygały forszą, takie drogie broszki? Angie może ktoś ją podrzucił, ale Marlene swoją nosiła przed śmiercią. Czyli od kogoś dostała, bo przecież sobie nie kupiła. Od Niklause? Mówił, że nie. Ale potem podciął sobie żyły, więc naprawdę nieco dla mnie stracił wiarygodność jako osoba o stabilnej psychice.

Ebelingowi zaschło w gardle. Mógłby teraz mu pomóc.

Ale musiał wcześniej...

– Póki co – ciągnął komisarz – udało mi się znaleźć siostrę Angie Hamilton w Teksasie. Zgodziła się przyjechać do Wiednia, żeby zidentyfikować zwłoki i zastanowić się nad miejscem pochówku. Oczywiście wiemy, kim jest zmarła dziewczyna, ale... niech ta baba tu przyjedzie. Może się czegoś dowiemy. Na razie słyszałem tyle, że siostra Angie miała jakieś problemy osobiste i leczyła się u świrów. Ale już ponoć jest lepiej. Mam nadzieję, bo kolejnego psychicznego osobnika chyba nie zniosę.

– Byłoby kiepsko.

– A ty wiesz, że ja już chyba gdzieś słyszałem nazwisko tej siostry z psychiatryka? Kojarzy mi się... Ale to może być przypadek...

– Jak się nazywa? – zapytał były komendant, nie kryjąc zainteresowania. Nie wiedzieć czemu, poczuł rosnące podekscytowanie.

– Emilie Morton.

Thomas Ebeling gwałtownie wstał z krzesła.

## Rozdział 18

Inge Altman poruszyła głową na boki i poczuła, jak strzelają jej kości. Cała zdrętwiała od siedzenia przez kilka godzin na twardym krześle. A jednak nie poszukała bardziej komfortowego miejsca, nie przyjęła wygodniejszej pozycji. Nawet na sekundę nie zamknęła oczu. Kiedy pojawiła się w salonie i zastała w nim całą trójkę – leżących w ciszy i bezruchu – na chwilę straciła oddech. Wciąż kotłowały się w niej emocje wyniesione z Palffy i Mumoka. Nadal widziała przed oczami zawijasy wyrzeźbione w drewnie, litery i cyfry, które układały się w szyfr. Miejsca i obiekty połączone symbolem orła Habsburgów. Nie miała jednak pojęcia, po co Niklaus to zrobił. I dlaczego podejrzewała go o... O co właściwie? Dlaczego uznała, że zaszyfrowana wiadomość stawia Michaela w złym świetle? I że chciałby skrzywdzić dwie kobiety, których nawet za dobrze nie znał? Powinna zmienić tok rozumowania. Jeśli Michael niczego nie mówił wprost, tylko bawił się w zagadki, to mogło znaczyć, że się czegoś bał. Z drugiej jednak strony odczytanie szyfru i tak wiązało się z jego osobą. Przecież to były jego rzeźby! Co on sobie myślał? I czego się bał? Z jakiego powodu wskazał miejsce pochówku Steinbecka? Gdzieś z tyłu głowy Inge pamiętała także o Danni Fritz, ale bardziej martwiło ją wspomnienie profesora.

Steinbeck i studentka-samobójczyni. Jasna cholera! Nic z tego nie rozumiała.

Wstała z krzesła i na bosy przeszła przez salon. Michael, Frieda i Angela. Spali, ale miała wrażenie, że coś w tej scenerii było nie tak. Przez mleczne zasłony do pomieszczenia sączyło się blade światło poranka. Była sobota. Ona jednak tak czy inaczej miała tego dnia trochę pracy związanej z nadchodzącą wystawą. Tą, na którą nie skompletowali jeszcze eksponatów. Bo Michael ich nie dostarczył. Sobota. Słoneczna, ciepła, czerwcową.

Niklaus zamrugał powiekami. Otworzył oczy i wbił w nią wzrok. Drgnęła, ale nie cofnęła się. Patrzyli na siebie przez długą chwilę i jakimś cudem była pewna, że to próba sił. Następnie Michael powoli rozciągnął wargi w uśmiechu. Przeciągnął się jak kot. Jego umięśniona klatka piersiowa wychynęła spod koca i Inge zobaczyła, że miał na sobie jedynie bokserki. Jak na niedoszłego samobójcę, z którego wypłynęło trochę krwi, wyglądał całkiem nieźle. Wysportowana sylwetka, silne ramiona... Obrzuciła szybkim spojrzeniem dwie kobiety. Były kompletnie ubrane. Czyli mogła jeszcze żywić nadzieję, że nie odbyła się tu żadna orgietka. Dlaczego w ogóle o tym pomyślała? Dlatego, że ona sama dała mu się zaciągnąć do łóżka? Nie wszystkie kobiety takie były. Ponownie przeniosła wzrok na Niklausa, który wydawał się bardzo rozbawiony. Pogrywał z nią... Ale w co? Bawił się jej zakłopotaniem i podejrzeniami, które miała chyba wypisane na twarzy. „Po co to zrobiłeś, Michael?”, zadała sobie w duchu pytanie. „Po cholere pokryłeś swoje rzeźby słowami i liczbami?”. A może chciałeś się zabawić? Z kimś? Ze mną? Tylko... dlaczego? Z całych sił nienawidziła teraz tego słowa. „Dlaczego?”. Pytanie, na które nie знаła odpowiedzi. Nie wiedziała nawet, czy zadaje je sobie w odpowiednim kontekście.

– Byłeś grzeczny? – odezwała się cicho.

– Bardzo.



Uniosła brwi. Nie, nie może z nim teraz o tym porozmawiać. Odczeka chwilę. Zostawi to na moment, w którym nie będzie tak na nią patrzył. Kiedy jego wzrok na powrót stanie się normalny i zdrowy, jak u utalentowanego faceta z przerostem ego. Przerost ego to było coś, co Inge potrafiła nazwać i z czym nie bała się zmierzyć. Musiała poczekać, aż... przestanie go podejrzewać. O coś, czego właśnie nazwać nie potrafiła. Brakowało jej konkretów.

– Zjadłem nawet kolację – dodał.

Wydawał się inny niż poprzedniego dnia. W jego wzroku czaiło się coś nienormalnego, chorego, ale on sam był spokojniejszy, pewny siebie i odprężony. Zadowolony. A jeszcze wczoraj tkwił na kanapie, wpatrywał się w ścianę i odmawiał jedzenia. Skąd ta zmiana?

– To świetnie – powiedziała. – Jeszcze trochę i będziesz mógł wrócić do pracy.

Znowu mierzyli się wzrokiem. Niklaus spochmurniał, ale jeszcze nie całkiem się spał. O pracy wciąż nie chciał rozmawiać, a jednak najwyraźniej postanowił dzisiaj, że nic ani nikt nie popsuje mu odzyskanego dobrego nastroju. Nienaturalnie dobrego.

– Inge Altman – wymówił jej imię i nazwisko niemal pieszczotliwie. – A ty jak zwykle o pracy. Nic tylko sztuka i sztuka. Ku chwale Palffy i Wiednia. Dla pasjonatów spragnionych kontaktu z tworcami chorych umysłów. Dziełami ludzi, którzy w przyływie poczucia humoru zwą się artystami. Inge, Inge. Wciąż w to wszystko wierzysz, co? Dobra z ciebie dziewczyna.

Inge poczuła się tak, jak gdyby ktoś lodowatą dłonią chwycił ją za kark.

\*\*\*

Leon stał przy oknie i wsłuchiwał się w bicie dzwonów. Wiedział, że tuż za rogiem znajduje się kościół polsko-austriacki i być może powinien z tego skorzystać. Pójść tam i pomodlić się o odzyskanie zdrowego rozsądku. I żeby ona wreszcie się zdecydowała. Choć przy tym ostatnim akurat obawiał się, że werdykt brzmiałby dla niego niekorzystnie. Widział, jak patrzyła rano na Vallego. Jak dotykała jego ramienia, głowy, policzka. Nawet jak podawała mu kubek z kawą i talerzyk ze śniadaniem. A Valli nawet nie ruszył kanapki. Wypił tylko kawę, choć chyba nie powinien. Dłonie drżały mu lekko i wydawał się bardzo pobudzony. Zdenerwowany. Przestraszony? I bynajmniej nie chodziło o to, że Anna wplątała się w kolejną kryminalną aferę. Leon zdawał sobie z tego sprawę, bo widział zmianę w jej zachowaniu. Była skupiona tylko na nim.

Coś musiało się stać, tam, w Neapolu. Coś, co Valli uważał za ważne. Leon miał nawet obawy, że ich „akcja” w Wiedniu właśnie została zakończona. Rozumiał Annę. Chciała wszystko rzucić i pomóc Toniemu. Była w pełni gotowa. Czyż Leon nie zrobił dokładnie tego samego dla niej? Nie, wcale go nie zdziwiła. Zrozumiał natomiast, że

nigdy nie dostanie tego, co otrzymał od niej Valli. Dotyku ramienia i policzka. Takiego dotyku. Takiego sposobu podania kubka i talerzyka, którym towarzyszył cały szereg silnych emocji. Z pewnością on sam nie był jej obojętny, a przynajmniej tak mu się od kilku dni wydawało. Ale do Vallego czuła coś więcej. I Leon musiał albo się z tym pogodzić, albo czekać na rozwój wypadków, których finału nie potrafił przewidzieć.

Oczywiście nie zamierzał robić scen. Śmiał się z siebie w duchu. Gdyby ona wiedziała... Gdyby знаła jego przeszłość, wszystkie doświadczenia, przez które brnął jak kulawy przez bagno... Zrozumiałaby, dlaczego wszędzie z nią jeździł, dlaczego się o nią starał na swój idiotyczny, szczeniacki sposób. Zamierzał to robić, dopóki pozwalała mu sobie towarzyszyć. Póki mógł przynajmniej oszukiwać siebie samego, że ją chroni i jej pomaga. I dlatego to wszystko. A przecież tak naprawdę kochał Annę. I jednocześnie nie był w stanie do niczego jej zmuszać. Wiedział dobrze, jak wygląda taka rozsądna miłość, którą łatwo pomylić z przyzwyczajeniem, przyjaźnią i przywiązaniem wynikającym ze wspólnych pasji. Nie opowiedział Annie całej prawdy o swojej przeszłości. Wyjawiał tylko tyle, że kogoś stracił, zupełnie jak ona. Chciał, by mu współczuła. By myślała, że przeżył wielką stratę. By w ten właśnie sposób tłumaczyła sobie jego samotność.

A on przecież naprawdę przeżył stratę. Ta historia jednak miała więcej wątków i drugie dno. Kiedyś już wydawało mu się, że kogoś kochał. Jenny. „Swoją Jenny”. Podróżniczkę, pasjonatkę, fotografkę. Fajną dziewczynę. Tak właśnie wszyscy o niej mówili i Leon również tak o niej myślał. Dzielili wspólne pasje, podobnie postrzegali świat. Ona zakochała się w nim po uszy, on... po prostu ją polubił. Ona nalegała, by się ze sobą związali, przekonywała, że razem stworzą świetny *team*. On się zgodził. Za każdym razem, kiedy później miewał wątpliwości, Jenny używała mocnych argumentów przemawiających za tym, że nie powinni się rozstawać. Trafiały do niego. Czuł się nieco przymuszony, ale ostatecznie praca i podróże nie pomagały w budowaniu stabilnych i „stacjonarnych” związków. A Jenny była wciąż u jego boku. To, co do niej czuł, mógł chyba nazwać miłością. Niezbyt namiętną, ale jednak. Mimo to co jakiś czas brakowało mu silniejszych wrażeń. Przekonania, że mógłby za drugą osobę oddać życie. Że dopuściłby się dla niej nawet ostatniej podłości i pojechał za nią na koniec świata. Bezinteresownie i bez specjalnej zachęty. Z dnia na dzień dojrzywał do ważnej decyzji. A później wszystko było jak w filmie. Kiedy już zebrał się na odwagę i zamierzał powiedzieć jej, że powinni zastanowić się nad tym związkiem, Jenny poinformowała go o swojej chorobie. O tym, jak niewiele czasu „im” zostało. Oczywiście nie odszedł. A kiedy umarła, poczuł pustkę. I – niestety – ulgę. W ślad za nią przyszły wyrzuty sumienia. Tłumaczył sobie, że postąpił właściwie, i wszyscy, łącznie z rodzicami Jenny, tak właśnie to widzieli. Ale tylko on jeden wiedział, co naprawdę czuł. A czuł się podle.

Teraz desperacko uczepił się Anny. Zdawał sobie sprawę z tego, że może się zawieść, ale to, co do niej czuł, było warte ryzyka. A on po raz pierwszy w życiu świadomie podjął aż takie ryzyko. Wszystko, co robił – robił z przekonaniem, nie z przymusu. Nie chciał i nie potrafił zostawić jej samej. I znowu poczuć się podle.

Dlatego nic nie powiedział, kiedy rano oznajmiła, że cały dzień spędzi z Antoniem, a wieczorem ze wszystkiego się wytłumaczy. Skinął głową i poszedł pod prysznic. Nie chciał myśleć o tym, co przydarzyło się Vallemu i dlaczego wylatuje z Wiednia sam, bez

Anny. I po co przyjechał. Uznał, że najlepiej będzie czymś się zająć. Na przykład pooglądać rzeźby.

\*\*\*

Franz Weber siedział za biurkiem i nawet mu powieka nie drgnęła. Thomas wiedział, że u komisarza jest to oznaka największego wzburzenia. Weber był impulsywny i porywczy, wiecznie darł gębę, przeklinał i wszystkich się czepiał. U każdego też doszukiwał się nieszlachetnych myśli i czynów, nawet u swoich najbliższych współpracowników. Z trudem znosił fakt, że jego bezpośrednią przełożoną jest kobieta. Powiedzieć o nim „choleryk”, to nie powiedzieć nic. Średnio co tydzień rzucał kubkiem o ścianę. Niekiedy w kubku była jakaś zawartość... A jednak w chwilach największego wzburzenia Franz Weber wyglądał tak, że patrząc na niego, należałoby na nowo zdefiniować pojęcie „twarz pokerzysty”. Ebeling nigdy nie wiedział, czy to obrona przed silnymi emocjami, dla których nie potrafił znaleźć ujścia, czy też może osobliwy skurcz udreńczonych mięśni. Grunt, że stało się. Właśnie teraz. Po tym, co usłyszał od swojego dawnego szefa. Zastygł w bezruchu i już tak pozostał.

Po długim i dość upiornym milczeniu Weber wreszcie kiwnął ręką. A później drugą. Oparł dłonie o blat biurka i uniósł się z krzesła. Thomas przełknął ślinę i na wszelki wypadek także wstał.

– Kurwa – przemówił komisarz. – Jaki orzeł? Na jakim... grobie? Czekaj, czekaj, miejmy jasność. Chodzi o ptaka. Tak? O dość dużego ptaka z zakrzywionym dziobem?

– O rzeźbę ptaka – uściślił Ebeling.

– O rzeźbę ptaka. Z zakrzywionym dziobem.

– I w tej wersji akurat z dwiema głowami. Na dodatek – dodał nieśmiało.

Weber ponownie zastygł.

– Dlaczego rozmawiamy o ptaku? – zapytał, jak gdyby przebudził się z bardzo długiego snu.

– Bo ptak jest na broszce.

– A tak. I dokonałeś na podstawie tego odkrycia. Jak to zrobiłeś?

– No bo...

– Ptak na broszce skojarzył ci się z ptakiem na cmentarzu? Wybacz, ale nie rozumiem.

– Yyyy... Chodzi o to, że masz rację co do Emilie Morton – przypomniał. – Słusznie skojarzyła ci się z tamtą chryją wokół profesora Steinbecka. Była jedną z jego studentek. Tych, które oskarżyły go o molestowanie. A teraz się okazuje, że po powrocie do Stanów leczyła się psychiatrycznie. Co jej było? Dowiedziałeś się czegoś na ten temat?

– Dzwoniłem tam. Nie chcieli ze mną w ogóle gadać, ale jak wytłumaczyłem, że

chodzi o śmierć jej siostry, no to język się trochę doktorkowi rozwiązał.

– Czyli?

– Głęboka depresja. Z początku podejrzewali skłonności samobójcze, ale okazało się, że cierpiała raczej na silną obsesję śmierci. I ogólnie... hm... no lubiła o tym czytać i rozmawiać.

– Rozumiem. I przeszło jej? – zapytał z powątpiewaniem. Jak można było w ogóle wyleczyć się z czegoś takiego i skąd się to brało? Jakiś element tej opowieści wydał mu się alarmujący. Tylko który?

– Ponoć trochę tak. Uznali, że nie stanowi zagrożenia dla społeczeństwa, nie sprawiała kłopotów w ośrodku i zgłosiła się na leczenie sama. Więc wygląda na to, że kuracja dała efekty. Ale przepraszam! Porwałem się na dygresję. Wróćmy do orła...

– Orzeł. To znaczy nie, chwila... Chodzi mi o to, że ta kobieta miała jakiś związek z profesorem Steinbeckiem. Może naprawdę je molestował, cholera wie. Steinbeck był nauczycielem Bauera i przez chwilę też Niklausa, zanim go wydalono. Marlene była modelką...

– ...i kochanką...

– ...i kochanką ich obu. Bauera i Niklausa. Mało widać mieli kobiet w Wiedniu, musieli sobie wydzierać tę jedną. Angie Hamilton zadawała się z Niklausem, ale Bauera również знаła. Wszyscy związani byli ze środowiskiem artystycznym i z rzeźbą. Steinbeck uczył rzeźby i o rzeźbie. Emilie Morton była siostrą Angie. No przyznaj, że jakoś jest to wszystko połączone.

– Właśnie. – Weber ponownie przywdział na twarz maskę króla pokera. – Jakoś. To jest kluczowe słowo. I jeśli nawet z tej twojej chorej głowy coś sensownego się wykluło, nadal mam ten sam kłopot. Otóż – nie wiem, jak jest połączone. I tu wracamy do motywu orła.

– Dobrze, wracamy. Bo tak sobie pomyślałem... Marlene miała broszkę z orłem, Angie miała broszkę z orłem...

– ...i ten sam orzeł jest na połowie budynków w Wiedniu.

– Tak właśnie. I nie tylko. Przejrzałeś sobie biogram i portfolio Ernsta Bauera?

– Przejrzałem i w połowie umarłem z nudów. Zaskoczę cię. Same rzeźby! Ja wiem, niektórych to pasjonuje, ale...

– Bauer zaprojektował nagrobek Steinbecka.

– Ach, wracamy do cmentarzy i grobów!

– Postawił mu pomnik będący wariacją na temat orła. Tego z dwiema głowami. I tutaj właśnie masz znowu rzeźbę, o której wzmianki wcześniej nie zrozumiałeś. Teraz wszystko powinno być już jasne.

Weber zamrugał wolno jak sowa. Ebeling miał wyrzuty sumienia, kiedy tak na niego patrzył. Mógłby mu podsunąć coś więcej, choćby ten wątek z kradzionymi dziełami sztuki. Może komisarz rozgrzebałby sprawę i do czegoś doszedł? Kłopot w tym, że informacje Thomasa nie były sprawdzone. Nie wiedział, czy Bauer powiedział prawdę i czy sam czegoś przy okazji nie kombinował. Nie chciał zdradzić jego udziału, ani tym bardziej związku z tą sprawą Chany Sullam, a przecież to ona rozpoznała ozdobę Marlene. Musiał mieć więcej konkretów, żeby rozmawiać z Weberem otwarcie. Ale mógł

mu trochę pomóc. Dać wskazówkę i naprowadzić go na nowy trop. Nawet jeśli teraz wszelkie powiązania wydawały się mgliste i absurdalne.

– Powiedz mi, Ebeling – przemówił znowu komisarz. – Czy oni wszyscy mieli jakiś kompleks na tle tego ptaka?

– Mnie nie pytaj, ja tam zawsze uważałem, że Habsburgowie cierpieli na megalomanię.

– Czyli o to ci chodzi? To jest twoje powiązanie niedawnych morderstw ze Steinbeckiem? Ptak z dwiema głowami?

– Przyznaj, że to dziwny zbieg okoliczności. I jest jeszcze siostra Angie.

– Tak. Jest siostra. Ptaki, broszki i cmentarze. Wyobraź sobie teraz, że wygłaszam tę teorię w salce konferencyjnej. Przed obliczem starej... hm... szefowej. Ucieszyłaby się, co? Bo wszystko brzmi bardzo logicznie. Nic tylko łapać winnych i pisać raport.

– Nie wygłaszaj niczego w żadnej salce. Po co? Działaj tradycyjnie, a na boku pogrzeb w papierach Steinbecka.

– Na boku. Świetnie.

– Mogę ci w tym wcale nie pomagać.

– Ebeling!

– Gdybyś tylko sprawdził, gdzie mieszkają teraz były studentki Steinbecka, a później, oczywiście zupełnie przypadkiem, wygadał się z tym w mojej obecności...

– Ebeling!

– To mógłbym zacząć nie pomagać ci już dziś.

\*\*\*

Angela smażyła jajecznicę, a Frieda przelewała mleko z kartonu do dzbanuska. Niklaus stał oparty o kuchenny blat i popijał kawę. Marudził, że nie ma świeżego pieczywa i mógłby skoczyć do piekarni, ale nikomu jakoś nie spieszyło się, by go do tego zachęcać. Lub by pójść samemu. Frieda otworzyła chlebak i krytycznie przyjrzała się długiej pszennej bułce, po czym wyjęła ją, pokroiła na cienkie kromki i zaczęła obsmażać. Przez chwilę przepychały się z Angelą przy kuchence, szturchając się i podśmiewając. Wszystko wyglądało tak normalnie. Niklaus dolał sobie kawy i pogwizdywał pod nosem jakąś mało ambitną melodię. Naprawdę? On pogwizdywał? Niedawno chciał się zabić. Inge przeszedł dreszcz. Pod płaszczykiem normalności czy wręcz sielskości czaiło się tutaj coś dziwnego. Nienormalnego. Złowieszczego?

Michael się zmienił. Nie mogła przestać myśleć o jego zachowaniu, a także o tym, co powiedział. „Dobra z ciebie dziewczyna”. Czy oni mieli z Rudolfem coś wspólnego, byli w jakiejś znowie? Dlaczego uwzięli się akurat na nią? Nie, niemożliwe. Przecież Rudolf Steinbeck nie znosił Niklause. Wywiązywał się ze swoich zobowiązań wobec

Ernsta Bauera, a poza tym miał całe to „mecenasowanie” w głębokim poważaniu. Musiała go namawiać do inwestowania w Michaela. No tak, ale z drugiej strony zgodził się przecież, a teraz miał pretensje, że artysta postanowił ze sobą skończyć i ledwo go odratowano. Więc może jednak coś się w ich relacjach zmieniło? Może Inge coś przegapiła? „Dobra z ciebie dziewczyna”. Dlaczego jej się uczepili? Przecież chciała... no właśnie – dobrze. Żadnemu z nich nie udzieliła ani jednej złej rady. Z jednym i do niedawna także z drugim łączyły ją tylko interesy. Czy o nie chodziło? I dlaczego w ogóle myślała o takich głupotach? Może to był przypadek, że Niklaus i Steinbeck użyli tego samego zestawu słów? Jak często zdarzają się takie przypadki?

A rzeźby? Litery i cyfry? Orły i groby? Co tu się działo? Nie mogła teraz go o to pytać. Nie mogła domagać się wyjaśnień na temat tajemniczego szyfru wrytego w drewnie. Bo on był dziwny. Inny niż zwykle. Nieczytelny.

Zasiedli do stołu. Angela i Frieda jadły jajecznicę, Niklaus zrobił sobie owsiankę, a Inge ograniczyła się do kawy. Czwartej już tego poranka. Pomyślała o tym, co odkryła i do czego się posunęła w swoim wczorajszym szaleństwie. Zupełnie nie rozjaśniło jej się w głowie. Wręcz przeciwnie. Wolałaby cofnąć czas, być znowu zredukowaną pod względem emocjonalnym, chłodną kobietą, która mieszka sama, wieczorami ogląda ambitne francuskie filmy, a o poranku – katalogi z klasyczną sztuką włoską, żeby oczyścić umysł przed obcowaniem z tym, czym zazwyczaj zajmowała się w Phantastenmuseum. Wolałaby nikogo o nic nie podejrzewać, a już zwłaszcza jego.

Dziewczyny skończyły swoją jajecznicę prawie w milczeniu. Raz po raz rzuciły jakimś żarcikiem, po czym chichotały i zerknęły na Michaela. Odpowiadał im uprzejmie, również z humorem i też się śmiał.

– Czy my coś wczoraj piliśmy? – zapytała nagle Angela. – Bo głowa tak mnie boli, że ledwo widzę na oczy.

– No coś ty! – oburzyła się Frieda. – Przecież byłam w pracy. Chyba że ty. Wy. Jak nie patrzyłam.

We wzroku Friedy Inge zobaczyła osobliwy błysk. Co to było? Czyżby... złość? Albo zazdrość? Co tu jest grane, do kurwy nędzy?

– My? A skąd! – zaprotestował natychmiast Niklaus. – Przecież biorę leki. Może ci sos śmietanowy zaszkodził? Mówiłaś, że to słabe połączenie z plackiem węgierskim – zwrócił się do Angeli, która masowała sobie skronie.

– Może. Ale głowa mi pęka jak po czymś konkretniejszym. Choć fakt – nie pamiętam, żebyśmy coś pili poza herbatą. Z drugiej strony... – Dziewczyna przewróciła oczami. – Po sosie chyba ludzie nie miewają migren?

– Myślę, że to syndrom pracoholika – powiedział z mądrą miną.

– Kogo? – wtrąciła się Frieda, która bardzo chciała nie zostać wykluczona z tej rozmowy.

– Pracoholika. Nie umie odpoczywać. Jak się w końcu porządnie wyśpi, to później ma migrenę.

– Faktycznie – odrzekła w zadumie Angela. – Mocno spałam. Nawet nie wiem, kiedy zasnęłam.

– Ja też odpłynęłam. – Frieda nadgryzła grzanekę. – Nie wiem, czy powinnam

mówić o tym przy Inge, w końcu miałam czuć, a nie odpoczywać. Dawno już mnie tak nie zmogło.

– Na szczęście nic się nie stało. Podopieczny był grzeczny i posłuchał wreszcie głosu rozsądku – skwitował uśmiechnięty Michael. – A wy dwie spałyście jak zabite.

Kobiety zaczęły się śmiać, ale Inge coś ścisnęło za gardło. Nie mogła złapać tchu. Zakręciło jej się w głowie, a przed oczami zamajaczyły ciemne plamy. Gwałtownie wstała i ze zgrzytem odsunęła krzesło.

– Dziękuję wam. Za... pomoc. Frieda, już przelałam ci należność. Jesteś wolna.

– Ale... – Pielęgniarka chciała zaprotestować i oblała się rumieńcem.

– Do widzenia. Angela, z tobą widzę się za dwie godziny w pracy.

– Jest sobota.

– No i? Mamy robotę. Poza tym wyspałaś się porządnie, więc dasz radę.

– Inge...

– Może pojedziesz do domu się przebrać? A ty, Michael, idź pod prysznic. Jedziemy do Palfy.

– Ja też mam jechać? – spytał, krzywiąc się.

Inge widziała, że chciał zaprotestować, ale coś w jej postawie i tonie głosu musiało go powstrzymać. Zmrużył na chwilę oczy i niechętnie podniósł się z krzesła.

Z domu wyszli w milczeniu. Cieszyła się, że zdołała pomyśleć o tym, by wrócić do auta, zaparkować je porządnie i zamknąć. Kiedy pędziła na Rysergasse nad ranem, miała przecież te swoje teorie i domysły, bała się, więc szybko wypadła z samochodu i porzuciła go tak, jak stał. Później jednak nieco ochłonęła. Kiedy zobaczyła śpiące kobiety i Michaela rozwalonego w fotelu, poszła z powrotem do auta i przez chwilę słuchała swoich *guilty pleasures*. Teraz też musiała się uspokoić. Zacząć myśleć trzeźwo. Puściła muzykę i zapięła pas. Niklaus powoli obrócił głowę w jej stronę.

– Enrique Iglesias? Serio?

– Masz z tym jakiś problem? Co się stało z Friedą i Angellą, że nagle całkiem ogłupiały?

– Nie rozumiem.

– Urządziliście sobie wczoraj małą orgietkę?

– Zazdrosna jesteś?

– Chciałbyś. Po prostu pytam.

– Inge. Ty nigdy o nic nie pytasz tak po prostu. Znowu to robił. Świdrował ją wzrokiem, w którym czaiło się... sama nie wiedziała, co.

– Nie żartuj sobie – powiedział powoli. – Do niczego nie doszło. Możesz je zapytać. Ja nie jestem taki. I w ogóle skąd ten pomysł?

A jaki jesteś? Chciała mu zadać to pytanie, ale zrezygnowała. Czowała, że i tak nie powiedziałaby jej prawdy.

\*\*\*

Leon zajrzał do sieci w poszukiwaniu informacji o Michaelu Niklausie i dowiedział się, że artysta wystawiał swoje rzeźby nie tylko w Phantastenmuseum, lecz także w innych miejscach. W tym w Museumsquartier. W Muzeum Leopoldów pokazywano teraz jego *Śmierć i młodą dziewczynę*, a w opisie można było przeczytać, że rzeźba inspirowana jest obrazem *Death And The Young Woman* Niklausa Manuela Deutscha z tysiąc pięćset siedemnastego roku. W Mumoku zaś wystawiano *Posejdona*. Pojedyncze dzieła. Leon pomyślał, że wycieczka do obu tych muzeów zajmie mu mniej czasu niż wizyta w Palfy.

Wybrał się więc do centrum i postanowił zacząć od Mumoka. Głównie z tego względu, że chciał mieć tę przyjemność szybciej za sobą. Choć uważał samo muzeum za wspańnię, to jednak sztuka współczesna zdecydowanie nie była jego ulubioną dziedziną. Lepiej czuł się u Leopoldów, których zostawił sobie na deser. Poza tym wciąż pamiętał słowa Ernsta Bauera. Profesor Steinbeck handlował dziełami sztuki pochodzącymi z nielegalnych źródeł, często mieniem zagrabionym wiedeńskim Żydom w czasie wojny. Podobne zarzuty ciążyły na nieżyjącym już Rudolfie Leopoldzie, do którego należała lwia część kolekcji teraz wchodzącej w skład muzeum. Jakie powiązania funkcjonowały w tym świecie? Kto kogo znał, kto kogo nienawidził? Czyżby o to właśnie chodziło? O konkurencję w biznesie, o pieniądze, do których często wszystko się sprowadza? Czy Ernst powiedział Annie samą prawdę? A może celowo zamydlił jej oczy? Skierował uwagę na inne osoby, by... uciec? Mogło tak być. A postępowali wedle wytycznych chłopaka tylko dlatego, że Anna mu uwierzyła. Przyjęła za pewnik jego niewinność, tak jak wcześniej zrobiła to Chana Sullam. Nie było żadnych innych powodów. Gdzieś z tyłu głowy Leonowi kołatała się myśl, że nie powinna tak postępować. Pracowała przecież w policji. Powinna raczej o dokonanie zbrodni podejrzewać wszystkich, łącznie z pokojówkami, kamerdynerem i ogrodnikiem. W filmach głównym podejrzanym zawsze jest przecież kamerdyner lub ogrodnik...

Leon odsunął od siebie niewesołe myśli i uznał, że nie zaszkodzi sprawdzić, czy słowa Bauera mają jakiś sens. W Mumoku zjawił się kilka minut po otwarciu, dzięki czemu zdążył uniknąć dzikiego tłumu, który z pewnością zawita tu koło południa. Teraz główna sala na parterze nie była wprawdzie zupełnie pusta, ale nie musiał się przepychać, żeby pokontemplować *Posejdona*. Nieopodal rzeźby kręcił się rosły ochroniarz, na którym dzieła sztuki nie robiły większego wrażenia. Leon przystanął i rozejrzał się w poszukiwaniu odpowiedniego znaczką. Niestety znalazł go. Zakaz robienia zdjęć. Zdjął dłoń z aparatu, a rosły ochroniarz nieco się rozluźnił. Leon zaczął powoli obchodzić *Posejdona*. Szybko zauważył, że jego ciało pokrywały drobne węzowate wzorki. Przy ramionach, fałdach na brzuchu, udach i przepasce na biodrach. Z daleka trudno było je w ogóle dostrzec, a kiedy podeszło się bliżej, przypominały kształtem ósemki. Lub też nie ósemki, a powielony symbol nieskończoności. Kiedy zaś podeszło się całkiem blisko, wzory nie wydawały się już tak regularne. Czyżby o to chodziło? Ernst Bauer kazał przyrzeć się rzeźbom Niklausa, z którymi coś jest nie tak. „Nie tak”? Naprawdę? Na tyle,



na ile Leon znał się na sztuce, wszystko było z nimi w porządku. Ale te ósemkowe wzory... Może właśnie je miał na myśli, tylko nie zdążył przetestować swojej teorii w praktyce? Nie zaszkodzi zerknąć...

Leon przysunął się do Posejdona jeszcze bliżej, ignorując znaczące syknięcie ochroniarza. Musiał zaryzykować. Bo coś zauważył. Kilka wzorów układało się w „Z”. Inne w „G”. Mógł się mylić. Całkiem prawdopodobne, że zawodził go wzrok albo widział to, co chciał. Ale... tak nie było. Czuł się podobnie jak podczas oglądania tych śmiesznych, dwuznacznych obrazków, na których na pierwszy rzut oka widać pomarszczoną twarz staruszki, ale kiedy ktoś wie, że powinien przyjrzeć się wnikliwiej, zaczyna dostrzegać również nagie ciało młodej kobiety. Ta robota była jednak bardziej wyrafinowana.

Wydobył z torby notatnik i zaczął zapisywać to, co udało mu się zobaczyć na rzeźbie. Dostrzegł nawet rząderek małych cyfr. Litery natomiast nie były ułożone w kolejności. Zauważył też, że są powielone. Niektórych było dwa razy więcej niż pozostałych. Cholera... Leon przyjrzał się notatkom i mruknął z niezadowoleniem. Jak miał to niby odczytać? Zerknął w stronę ochroniarza, który spozierał na niego wciąż z umiarkowanym, ale jednak rosnącym zainteresowaniem. Leon przymknął jedno oko i odchylił głowę, udając, że przygląda się rzeźbie. Musiało to wypaść idiotycznie, ale kiedyś w jednym muzeum widział kilku studentów malarstwa, którzy zachowywali się podobnie. Ochroniarz uśmiechnął się pod nosem, ale nie odszedł.

– Jasna dupa – mruknął cicho Leon i podrapał się po czole.

Musiał coś zrobić, by nie budzić podejrzeń.

Wstał i przeszedł się jeszcze raz wokół *Posejdona*. Zerknął, czy nie przeoczył żadnej litery, po czym udał się na dalsze „zwiedzanie”. Powinien przejść przez całą wystawę, by jego zachowanie nie budziło niczyjej wątpliwości. Udawał więc, że ogląda pozostałe rzeźby, a w głowie wciąż obracał litery i cyfry, zerkając raz po raz w notatki. Musiał udać się w spokojniejsze miejsce i spróbować poustawić je w różnych porządkach. Miał nadzieję, że chodziło o język niemiecki, a nie jakiś suahili czy starogrecki. Powoli skierował się do wyjścia, a kiedy znalazł się na zewnątrz, usiadł na jednej z bryłowatych ławek, rozlokowanych po całej Dzielnicy Muzeów. Głowił się i głowił, aż wreszcie wydawało mu się, że ułożył dwa sensowne wyrazy. Jeśli oczywiście chodziło o język niemiecki...

ZENTRALFRIEDHOF. GRUPPE. I cyferki.

Zrobiło mu się gorąco. Poderwał głowę i wbił wzrok w fasadę Muzeum Leopoldów. Teraz kolej na nie. Co tam odkryje?

\*\*\*

Rudolf Steinbeck lubił tę porę w Muzeum Leopoldów, kiedy odwiedzający dopiero się schodzili. W salach było chłodno i pachniało świeżością. Chciał zobaczyć jeden konkretny eksponat. *Śmierć i młodą dziewczynę*. Wracalby tu częściej i oglądałby właśnie tę niesamowitą rzeźbę, ale wolał nie rzucać się w oczy. Jak dotąd przyszedł więc trzy razy. Dziś po raz pierwszy, od kiedy w lesie znaleziono ciało Angie Hamilton. Ostatnie wydarzenia mocno nim wstrząsnęły. A wczoraj jeszcze zrobił z siebie głupka i poszedł do Inge. Skończony kretyn. Mało miał kłopotów? Powinien się jakoś opanować. Nie mógł przecież narzekać na nudę. Musiał sprostać obowiązkom. Ludziom wydawało się, że tylko szastał kasą i kupował modne ciuchy. A przecież Steinbeck zostawił po sobie spuściznę, którą trzeba było zarządzać. I sprzątać po nim również. Po nim i po sobie.

Tej nocy nie spał. Z Palffy pojechał do domu i myślał o drewnianej dłoni, którą tam oglądał. Pięknej, doskonałej. Już wcześniej na rzeźbach widział mnóstwo drobnych esowatych albo ósemkowatych wzorków, ale dopiero wczoraj pomyślał, że one faktycznie coś mogą oznaczać. Kiedy jednak przyjrzał się dłoni dokładnie, niczego nie odczytał. Może był za głupi, a może po prostu miał urojenia. Oznaczać! Też coś.

Teraz patrzył na *Śmierć i młodą dziewczynę* i ponownie myślał, że to dzieło niezwykle pasuje do Niklausa. Niesamowite, że w ogóle powstało. Rudolf pamiętał malarski pierwowzór Deutscha. Rzeźba była nieco bardziej kanciasta, mniej klasyczna i realistyczna, ale poza została ta sama. I przekaz. Młodą kobietę obejmował szkielet, który... Rudolf przymknął oczy. Otworzył je niechętnie. Tak, dzieło było piękne, ale i przerażające. I prawdziwe, do bólu. Po raz kolejny zadał sobie pytanie: jak to możliwe, że w ogóle powstało? Co miał na myśli jego twórca? Co... wiedział?

Tutaj też były litery, ale kiedy próbował je czytać, szybko rozmyły mu się przed oczami. Cała masa „esek”, „ósemek” i innych zawijasów. Taka fantazja artysty. Chyba że... Rudolf poczuł suchość w gardle. Pochylił się i spojrział na kościste palce umarlaka. Litery? Chyba tak. Kilka. Kolejność niby przypadkowa, ale... Był pewien, że nie. Zwłaszcza że przed ciągiem liter stała kropka.

.GNA

.IME

Przypadkowy odbiorca mógłby doszukiwać się tutaj ukrytego znaczenia i tropić je pośród motywów powracających w sztuce. Przypadkowy odbiorca mógłby nie poświęcić tym literom uwagi. Ale nie on. On nie był przypadkowym odbiorcą. I w tej chwili już wiedział, że tak naprawdę chodziło o skróty: Ang. i Emi. A raczej – dopiero teraz to wiedział...

Musiał stąd wyjść. Obrócił się na pięcie i niemal zderzył z wysokim mężczyzną, który przez ramię przewieszoną miał torbę ze sprzętem fotograficznym. Facet zmieszał się i uśmiechnął przeprasząco. Rudolf machnął ręką. Czym prędzej opuścił budynek Muzeum Leopoldów.

Leon szybko przepisał litery do notatnika i niemal od razu odczytał słowa. Te same, które zaszyfrowano na *Posejdonie*. *Zentralfriedhof*. *Gruppe*. *Cyfry*. Znowu ten cmentarz. A nie, jednak nie tylko. Leon zdawał sobie sprawę, że coś w ogóle znalazł, ponieważ tego szukał. Gdyby nie obudzono jego podejrzeń względem rzeźb i nie kazano się im przyjrzeć pod kątem „czegoś dziwnego”, nie zwróciłby baczniejszej uwagi na wzorki i cyfry. Może zrobiłby to pewnego dnia jakiś badacz? Który analizowałby dzieła Niklausa w swojej pracy naukowej? A jeśli o to chodziło? By kogoś kiedyś zmusić do udania się w te miejsca? Czy mogła się z nimi wiązać jakaś tajemnica? Czy będzie to jedna z niewyjaśnionych zagadek w historii sztuki? Nie. Nie tym razem. Leon z determinacją przepisał kolejne litery do notatnika. Z jakiegoś powodu czuł, że ta kolejność jest prawidłowa. Litery znajdowały się na palcach kościotrupa. .GNA i .IME, z kropkami z przodu. Chodziło o jakiś szczególny zapis? A może o odwrócony skrót? ANG. i EMI.? I co to niby miało znaczyć? Musiał jak najszybciej spotkać się z Anną. A raczej – musiał poczekać, aż Anna wróci na Klostergasse. Jak wytrzyma do tego czasu?

Pójdzie do Palffy. To najlepszy pomysł.

Kiedy wychodził z Muzeum Leopoldów, nagle przypomniał sobie, gdzie widział twarz człowieka, z którym niemal zderzył się przy *Śmierci i młodej dziewczynie*. W internecie. Na Facebooku. I nie miał wątpliwości, że właśnie oko w oko spotkał się z Rudolfem Steinbeckiem, spadkobiercą profesora o tajemniczej przeszłości. Z mężczyzną, którego nazwisko wielokrotnie już pojawiała się w jego rozmowach z Anną i Ebelingiem.

Dlaczego tak wnikliwie przyglądał się rzeźbie Niklausa?

\*\*\*

Ernst Bauer otarł pot z czoła. Zerknął na głowę drewnianego Chrystusa i uśmiechnął się. Nigdy wcześniej nie wyszło mu coś tak doskonałego. Piękne rysy, otwarte usta, w oczach strach. Twarz człowieka-Boga, któremu nie pozostało już nic oprócz milczenia i śmierci. A przecież śmierć nie kończyła życia. Całe ciało Chrystusa było piękne, anatomicznie dokładne, wykonane z precyzją. Ernst czuł satysfakcję. Podobało mu się to, co robił, i tu, gdzie przebywał. Nigdy już stąd nie wyjdzie. Nie ma takiej potrzeby. Powiedział im to, co najważniejsze, więcej nic już nie mógł zrobić. Ani dla siebie, ani dla nich.

Biedna, naiwna Ulrike.

Nieprzewidywalna, porywcza Anna Lindholm. Co uda im się osiągnąć?

Spojrzał jeszcze raz na drewnianą głowę Chrystusa. Niklaus nigdy w życiu nie dokonałby czegoś takiego. Nigdy. Ernst wiedział o tym doskonale.

Podniósł wzrok na drzwi. W progu stała kobieta w ciemnej sukni i równie ciemnym welonie. Wpatrzyła się w rzeźbę, a jej surową twarz na chwilę rozjaśnił uśmiech.

## Rozdział 19

Zentralfriedhof. Siódma rano. Niedziela. Cisza.

Odgłos kroków w alejce, przyspieszony oddech, pulsowanie w skroniach, przeradzające się w uporczywe klucie. Pierwsze promienie słońca. Szum drzew i trawy. Właśnie trawy. Osobliwa łąka, otoczona mogiłami. Dziwne miejsce jak na cmentarz. Należało jednak iść dalej, według wytycznych. Kolejne alejki, żwir, ubity piasek, miejscami asfalt. Prostokąty podobnych do siebie grobów. I wreszcie jeden, który się wyróżniał. Na nagrobku kamienna rzeźba dwugłowego orła. Dziwna. Oczywiście niezła, ale też nie za łatwa w odbiorze. Niepoddająca się trendom i modom. Oryginalna. U dołu, ledwie widoczny, wyryty w kamieniu podpis. Ernst Bauer. Na grobie inne imię i inne nazwisko. Karl Steinbeck. Dotarli do celu.

Anna nie sądziła, by to miejsce powiedziało im coś nowego. Wpisała już wszystkie dane w wyszukiwarkę i wiedziała, kto tu spoczywa. Ale przecież umarli nie mógł przekazać im żadnej informacji, nawet ich okłamać. Z kłamstwa także można wyciągnąć wnioski. A tutaj była tylko cicha mogiła. I orzeł. Wiedziała doskonale, że to o niego chodziło. Wszystko, co odczytał Leon, wskazywało na jakieś miejsce lub obiekt z tym cholernym orłem. A zatem prowadziło do niego. Nie miała jeszcze pojęcia, co czeka ich w miejscu, gdzie spoczywała Danni Fritz. Od Ebelinga dowiedziała się tyle, że kobieta była studentką Steinbecka i przed laty, wraz z grupką innych dziewczyn, oskarżyła go o molestowanie. Do grupy należała także Emilie Morton, która właśnie zmierzała do Wiednia. Siostra zmarłej Angie Hamilton. O co w tym wszystkim chodziło? Co naprawdę wydarzyło się między profesorem i jego studentkami? I dlaczego Michael Niklaus miałby cokolwiek zaszyfrowywać w swoich dziełach? Czyżby kogoś się bał?

Przystanąła nad grobem, pochyliła się i przejechała dłonią po marmurowej płycie.

– Ciarki mnie przechodzą, kiedy to robisz – odezwał się Leon. Chwycił ją za łokieć i delikatnie odciągnął.

– Nie rozumiem – mruknęła. – Nic z tego nie rozumiem. Nie mam dostępu do policyjnych danych, nie widziałam zwłok Marlene i Angie, ani nawet raportu z sekcji. Ebeling przekazał mi informacje, ale to nie to samo. Musiałabym... chciałabym sama zobaczyć.

– Anka...

– Leon! Nic nie rozumiem, a obiecałam jej. Próbuję to wszystko ze sobą połączyć, ale nie wiem, kim był ten facet. W ogóle nic o nim nie wiem, oprócz tego, że sprzedawał coś, co wcześniej zostało komuś ukradzione. Był szuja, okej. Może lubił wykorzystywać młode dziewczyny? Może niektórym z nich nieźle namieszał w głowie, skoro jedna się zabiła, a druga wylądowała w psychiatryku? Przekazał swoją spuściznę bratankowi. Czy teraz on też handluje kradzionymi dziełami sztuki? Może to bratanek zabił Marlene i zwał winę na Ernsta, bo ten coś wiedział o jego nielegalnej działalności? A Niklaus z kolei wszystkiego się domyślił lub dowiedział i zostawił na swoich rzeźbach rebusy? Cholera! Przecież to brzmi kuriozalnie.

– Twoja teoria nie byłaby zła, gdyby nie fakt, że rebusy na rzeźbach, jak to ujęłaś, Niklaus wyrył już wcześniej. Ekspozaty, które oglądałem w Mumoku i Leopoldzie,

można podziwiać od kilku miesięcy, podobnie jak niektóre w Palffy.

– To prawda. Ale w Palffy nie widziałeś wiele.

– Bo przygotowują nową wystawę. Na tym, co zdążyłem zobaczyć, wyczytałem tylko „Hofburg” i „Volksgarten”. Czyli miejsca, w których jest orzeł. No przecież musi o to chodzić. Bo o co innego?

– Nie wiem. Ale powiedz mi teraz, jak to połączyć z bieżącymi wydarzeniami?

– Może masz rację co do bratanka Steinbecka? – powiedział niepewnie. – Przejął spuściznę swojego wuja, w tym nielegalne interesy, a Marlene załatwił, żeby zrzucić winę na Ernsta i go obciążyć? Babka Ernsta orientowała się w biznesie Steinbecków, więc wnuczek też musiał, przynajmniej odrobinę. Niektórym odrobina wystarczy, żeby poczuć się zagrożonym. Czy to rzeczywiście aż takie kuriozalne?

– Dlaczego od razu nie załatwił Ernsta? Po co to całe przedstawienie z Marlene?

– Bo może przeszkadzali mu oboje?

– Dlaczego nie załatwił od razu obojga? Ciszej i prościej?

– Bo w ten sposób zostawił ostrzeżenie?

– Dla kogo?

– No... Dla Bauera?

– Gdyby go zabił razem z Marlene, nie musiałby zostawiać ostrzeżeń.

– Mógł mieć swój powód, by tak to przeprowadzić.

– A Niklaus i jego rzeźby? Szyfry? Ich cel?

– Tego właśnie nie wiem.

– No! I wracamy do punktu wyjścia. Mam wrażenie, że w kółko zadajemy sobie te same pytania.

– Ale coś robimy. Myślmy.

– Nie możemy przyjąć jako pewnik winy Rudolfa.

Trzeba mu się najpierw jakimś sposobem przyjrzeć.

– Dobrze, ale podejrzany to on mi się jednak trochę wydaje. Po co przychodził do muzeum i oglądał rzeźbę Niklause? I to tak dokładnie? Jest jeszcze sprawa broszki w kształcie orła, którą rozpoznała Chana. Mówię ci. To wszystko ma ze sobą związek.

– Że ma, to wiem. Ale jaki, Leon? Jaki?

– Aniu...

– Aniu?!

Nigdy w życiu tak do niej nie mówił. Zawsze „Anka”, odkąd pamiętała. Broda zadrżała jej niebezpiecznie. Leon rozłożył ramiona, ale nie zbliżył się nawet o krok. Czekał. Przytuliła się do niego po chwilowym wahaniu. Wiedział, o co jej chodziło. Zawsze wszystko wiedział, tylko czasem zdarzało się, że udawał głupka albo na moment ślepił i dokonywał niemądrych wyborów. Jak z tą Lucrezią Doldano w Wenecji. A teraz sytuacja była absurdalna. Pocieszał ją, bo cierpiała z powodu rozłąki z innym mężczyzną. Który w tej chwili, gdzieś na jednej z cholernych Wysp Kanaryjskich, narażał się na niebezpieczeństwo. Chciała skończyć to, co zaczęła w Wiedniu, i czekać na wiadomość od niego. Wiedziała też, że gdyby zadzwonił wcześniej, rzuciłaby wszystko i pojechała. Odpuściłaby sobie Ernsta Bauera, nawet pamięć o Chanie Sullam. Żywi byli ważniejsi.

Poprzedniego wieczoru, kiedy wróciła na Klostergasse po odprowadzeniu Antonia

na lotnisko, opowiedziała Leonowi o wszystkim. Płakała, oczywiście. Dopiero przy nim, przy tamtym nie. Przy Vallim grała silną. Spacerowali po mieście, zjedli obiad, a później kochali się w restauracyjnej toalecie. Nigdy wcześniej z nikim tego nie robiła. Było w tym akcie coś żenującego, a zarazem wzniosłego. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, jak bardzo tęskniła za jego dotykiem. Byli dwojgiem rozbitków z wciąż nieposklejaną przeszłością.

Pozwoliła, by odleciał, a potem z bólem serca szła do metra, połykając łzy. Rozpłakała się dopiero na Klostergasse. Leon milczał. Nie powiedział, że znowu mu to robi, znowu rozbudza w nim nadzieję. Chyba... pogodził się z tym. Nie wiedziała, dlaczego. Nie miała siły tłumaczyć, że nie powinien tracić na nią czasu. A może nie chciała go do tego przekonać?

Teraz znowu widziała zaangażowanie Leona, którego nie rozumiała. Odsunęła się od niego delikatnie. Nie mogła się mazgać. Jeśli chciała odwrócić swoje myśli od Antonia, najlepiej było skupić się na pracy. Nie dostawała za nią wynagrodzenia, ale przecież od początku nie chodziło o pieniądze. To była po prostu kolejna ucieczka. Wcześniej od własnego życia i od siebie samej, a teraz jeszcze od pamięci o Antoniu, który odrzucił jej pomoc.

– Idziemy dalej? Do Danni Fritz? – zapytała.

Leon przez chwilę patrzył na nią poważnie, po czym skinął głową.

– Zerknąłem, czy Ernst Bauer też nie zostawił na tym orle jakiegoś szyfru.

– Hm?

– Ale nie, nie zostawił.

\*\*\*

Spędzał w Palffy kolejny dzień. Inge wymyśliła, że w niedzielę też będą pracować. Siedziała teraz nad katalogiem i redagowała opisy poszczególnych rzeźb. Podpisała już umowę z fotografem, który miał wykonać zdjęcia dzieł, i zostało jej jeszcze zaprojektowanie scenerii. Niklaus znudził się beczynnym siedzeniem, wyszedł z gabinetu i skierował się w stronę studia, które na ostatnim piętrze Palffy wynajmowali artyści. Inge wybiegła za nim.

– Nie martw się. Nie idę się zabić. Ani nikogo innego – wycedził i nie czekał na jej odpowiedź.

Miał dość tej kobiety. Była totalnym *control freakiem*. Ale musiał też przyznać, że już od dawna nikt tak się nim nie interesował. Oczywiście chodziło nie tyle o samą osobę Michaela, ile o wystawę, nad którą zawisły czarne chmury. Inge mogła się przejąć jego próbą samobójczą, ale musiała też myśleć o swojej pracy i zobowiązaniach. Nie łudził się. I trochę też sam się jej naraził. Po jaką cholerę zachowywał się tak głupio? Robił

kretyńskie miny, chciał być tajemniczy i silił się na dwuznaczności? Tylko wzmógł jej podejrzliwość. A Inge Altman nie była w ciemni bita. Ryzykował. Bardzo.

Otrząsnął się i zajął do studia. W niedzielę nie było tutaj tłumów, ale przy sztalugach siedziało kilku wytrwałych adeptów sztuki malarskiej, którzy w skupieniu przenosili na płótno wizerunek sfatygowanej plastikowej butelki, zgiętej wpół jak stara kobieta. Pod ścianą młody chłopak z rozpaczą w oczach wpatrywał się na zmianę w bryłę drewna i w zestaw tanich rylców i dłut. Miał jeszcze jakieś szkice, które przekładał drżącymi dłońmi, mamrocząc przy tym coś niezrozumiale. Michael poczuł tępy ból w okolicy mostka. Bardziej też czuł dzisiaj swoje rany na nadgarstkach, które sam sobie zadał. Uśmiechnął się gorzko. Pomyślał o stygmatach. O tak, on też byłznaczony.

Chłopak trzęsący się nad bryłą drewna chyba wyczuł obecność kogoś obcego w tej oswojonej przez nich przestrzeni, bo najpierw zastygł w bezruchu, a później obrócił się powoli. Wyglądał tak, jak gdyby miał zamiar się rozplakać. Poderwał się na równe nogi i zanim Michael zdążył zareagować, już był przy nim.

– Pan Niklaus – szepnął nabożnie. – Co za zaszczyt!

– Mmm... Bez... przesady? – odrzekł i uniół brwi.

Malarze również oderwali się na chwilę od swoich płócien i spoglądali z zainteresowaniem na przybysza. Świetnie wybrał sobie miejsce na ucieczkę od Inge. Myślał, że tylko się pokręci, poobserwuje zdolnych ludzi, pobędzie w ciszy, która zawsze tu panowała. Nie pomyślał, że go rozpoznają.

– Nie, nie, żadna przesada! Bardzo pana podziwiam.

Taki sukces, tak szybko. W tak młodym wieku!

– Mam już trzydzieści jeden...

– Co to jest trzydzieści jeden! Niektórzy pracują latami i nic. A pan? Proszę. Rok minął od pierwszej dużej wystawy i już wielka kariera. Jest pan wzorem do naśladowania. Daje pan ludziom... takim ludziom jak ja... nadzieję.

– No cóż, miło mi to słyszeć – powiedział zaskoczony.

– Tylko dlaczego, na Boga, próbował pan zrobić tak straszną rzecz? – Oczy chłopaka pociemniały.

– Ja...

– Co takiego się stało? Miał pan niemoc twórczą? Ja nie wiem, co bym zrobił, gdyby... Nie, nie mogę nawet o tym myśleć. Sam bym chyba... No bo skoro pan nie wytrzymał, to po co to wszystko?

Niklaus nie był w stanie nic powiedzieć. Stracił ostrość widzenia. Miał teraz przed oczami wyobrażony wizerunek młodego chłopaka, który zabija się, bo nie wie, po co to wszystko. Jak doskonale znał ten stan! Ale obraz chłopaka nagle zmieszał mu się z innym – przedstawiającym dwie nagie kobiety, zupełnie bezwładne, z opuszczonymi powiekami i rozrzuconymi włosami. Też martwe? I tak, i nie. Jak wysoką cenę musiał zapłacić za to, kim był? Ile jeszcze wytrzyma?

– Proszę pana?

Michael przetarł dłonią oczy. Chłopak od bryły drewna patrzył na niego prawie z przerażeniem.

– Nic mi nie jest.



Młody nie był przekonany. Michael zaczerpnął tchu i przeniósł wzrok na pozostałych artystów, którzy też przyglądali mu się w milczeniu. Musiał wziąć się w garść. Zapanować nad sobą, zanim będzie za późno. Ile razy już to sobie powtarzał?

– Naprawdę – odezwał się znowu. – Wszystko w porządku.

– Dlaczego... dlaczego pan...? Myślałem, że jest pan szczęśliwy.

– Szczęśliwy – powtórzył cicho. – Ja też.

– Słucham?

– Ja też tak myślałem. To znaczy owszem, byłem – poprawił się szybko. – Miałem gorszy moment. Straciłem...

Nie mogło mu to przejść przez gardło. Jej imię. Ich imiona.

– Chodzi o pana modelkę? – zapytał chłopak. – Tę, która została zamordowana?

Michael skinął głową. Jeden z malarzy zeskoczył ze stołka i podszedł bliżej.

– A ta dziewczyna znaleziona w lesie? – zagaił. – Też była kiedyś pana modelką, prawda? Rok temu? Czytałem w gazecie – dodał przepraszająco.

W studiu zrobiło się duszno. Michael poluzował kołnierzyk i ponownie skinął głową. Nie miał pojęcia, co powiedzieć.

– To dziwne, prawda? Że akurat one dwie... Nie domyśla się pan, kto to zrobił? Kto aż tak bardzo pana nienawidzi, żeby skrzywdzić dwie bliskie panu osoby?

Teraz chciało mu się śmiać. Myślał o Marlene i Angie z krwawymi ranami. Ranami wyrzeźbionymi rylcem. Myślał o nagich ciałach. O śmierci. O rzeźbie, najwyższej formie sztuki, tak bardzo prawdziwej, organicznej, przerażającej. O jednej konkretnej rzeźbie, która teraz znajdowała się w Muzeum Leopoldów. Po wernisażu inaugurującym wystawę nigdy już tam nie poszedł. Bał się. Dzieła Michaela Niklause... Specjalnie to zrobili, żeby go wykończyć, przerazić, zniszczyć. Oni. On? Ona?

Musiał... musiał się postarać. Patrzyli na niego. Człowiek nie może się zachowywać jak zaszczute zwierzę, któremu odcięto drogę ucieczki. Trzeba odpowiedzieć temu chłopakowi. Zadał pytanie. Chciał wiedzieć, czy się domyśla, kto to zrobił. Domyśla się? Powiedzieć tyle, to nie powiedzieć nic.

– Ja... – zaczął.

Czoło załśniło mu od potu. Co jest, do cholery?

– Ja... nie wiem – mruknął.

Ktoś wszedł do studia i wszystkie głowy obróciły się w tamtym kierunku. Michael spojrział na nią jako ostatni. Angela. Asystentka Inge. Akurat ona. Miała teraz w oczach coś dziwnego. Nie rozumiał, co to było.

– Michael, jesteś potrzebny – powiedziała.

Odetchnął z ulgą. W studiu zaczęło się robić gęsto od pytań, na które nie znał odpowiedzi. Ostatnio często mu takie zadawano. Ruszył za Angelą na korytarz, a kiedy drzwi się za nimi zamknęły, oparł się o ścianę.

– Co ci przyszło do głowy, żeby tu przyłazić? – syknęła Angela i pociągnęła go za rękaw. – Przecież wiadomo, że wszyscy są ciębie ciekawi. Jeszcze chwila, a zaczęliby wypytywać cię o alibi i inne takie pierdoły.

Alibi... Niklaus spocił się jeszcze bardziej. Oczywiście policja również pytała go o alibi i to nie raz. Chcieli wiedzieć, gdzie był, kiedy zginęła Marlene, a później – kiedy

zginęła Angie. Na oba pytania odpowiedział tak samo. W domu. Spał. Nie miał alibi, ale też nic na niego jasno nie wskazywało, może oprócz narzędzia zbrodni. Poza tym policja zajęta była poszukiwaniem Bauera, na którego znaleźli więcej haków. Niemniej jednak Michael nie wątpił, że i tak jest jednym z głównych podejrzanych. Jego modelki. Jego dziewczyny. A przecież o morderstwo w pierwszym rzędzie zawsze podejrzewa się męża lub chłopaka. Tylko że on, teoretycznie, nie miał motywu... Czy właśnie tak to widzą? Jeśli zaczną grzebać... Jeśli powiążą go z pewnymi osobami i z pewnym miejscem...

– Michael?

No tak, coś do niego mówiła. Zerknął na Angelę. Przystanęła i złapała go za rękę. A później wspięła się na palce i mocno pocałowała go w usta. Poczul jej język, jej dłonie na klatce piersiowej, które ześlizgiwały się niżej. Odsunął się. Nie podobała mu się taka.

– Daj spokój, ktoś nas zobaczy – powiedział cicho.

– Masz rację – spłoszyła się i poprawiła włosy. – Po prostu mam na to ochotę od piątku. I ty też, prawda? Widziałam to wtedy w twoich oczach.

Jakim cudem cokolwiek widziała, skoro tak szybko zasnęła?

\*\*\*

Grób Danni Fritz nie był tak zadbany jak profesora Steinbecka. Znajdował się wprawdzie w nowej części cmentarza, ale na pierwszy rzut oka dało się zauważyć, że nikt tu nie przychodził. Annie zrobiło się przykro. Zawsze przygnębiał ją widok opuszczonych mogił, bo czuła się zupełnie tak, jak gdyby patrzyła na samotnych ludzi. Nieskończenie smutny wydawał jej się fakt, że pamięć o niektórych osobach umiera wraz z nimi. Pomyślała o Vidarze i poczuła nieokreślony niepokój. Jak teraz wyglądał jego grób? Tak samo jak ten? Z pewnością nie. Vidar miał przecież przyjaciół, była też kobieta, która go kochała. Mimo braku wzajemności. Czy Amalia Stiatesi odwiedzała Vidara? A czy na zupełnie innym cmentarzu odwiedzała swoją siostrę, Sofię? O którym z nich chciała pamiętać, a o którym usiłowała zapomnieć? Kilka miesięcy temu Anna byłaby pewna odpowiedzi, ale nie teraz. Czas zmienia perspektywę. Wykrzywia portrety ludzi, których znaliśmy.

Przykucnęła i odgarnęła splecione łądygi bluszczu. Danni Fritz. Nie miała nawet trzydziestu lat, kiedy odeszła. Anna dowiedziała się o niej tyle, że studiowała rzeźbę i pochodziła z Niemiec, nie miała rodziny i dlatego została pochowana tutaj, a pogrzeb zorganizowały jej dwie koleżanki. Lola i Brit, także studentki Steinbecka. Do tego, póki co, dotarł Ebeling. I jeszcze do tego, że czwartą studentką profesora, ze sławetnej paczki „oskarżycielek”, była Emilie Morton, siostra Angie Hamilton. Dziewczyny... Czyżby miały coś na sumieniu? Na palcach wyrzeźbionego przez Niklause kościotrupa Leon zauważył litery ANG. i EMI. Na pozór nie znaczyły zupełnie nic. Ale jeśli wzięło się pod

uwagę wszystko to, z czym dotąd mieli do czynienia, i przede wszystkim – przyjrzało imionom kobiet, które wracały ciągle w ich rozmowach, szyfr stawał się oczywisty. ANG. Angie. EMI. Emilie. Po co, do ciężkiej cholery, Niklaus to zrobił?

Anna jęknęła pod nosem i zerknęła na płytę nagrobną. Łodygi bluszczu coś odsłoniły. Na moment przestała oddychać. Musiał być to całkiem długi moment, bo zakręciło jej się w głowie i opadła na kolana. Zupełnie jak gdyby miała zamiar się pomodlić, ona, która uważała się za stuprocentową ateistkę.

– Co jest? – zapytał z niepokojem Leon i chwycił ją za łokcie.

– Sam zobacz – burknęła i schowała głowę w ramiona. Leon zerknął na płytę i, całkiem niestosownie, zważywszy na okoliczności i miejsce, gwizdnął. Pochylił się i przejechał palcami po wyrysowanym na kamieniu dwugłowym orle. Szkic nie miał wypełnienia, składał się tylko z konturu, ale to wystarczyło. Leon wyprostował się i spojrzał na Annę.

– Cholera – skomentował.

– Właśnie.

– Orzeł.

– Widzę.

Podniosła się z kolan i podeszła do pobliskiej ławki. Ktoś zadał sobie tyle trudu, by przyjść tutaj i narysować orła na płycie nagrobnej Danni Fritz. A jeśli tak zrobił, to przecież nie bez powodu. Musiał coś wiedzieć, chcieć coś zamanifestować. Najgorsze w tym wszystkim było to, że rysunek nie wydawał się nowy. Kreskę pokrywała warstwa kurzu i ziemi, poza tym płyta zdążyła zarosnąć. Leon pokręcił się chwilę przy grobie i, co wydało się jej nieco makabryczne, zrobił kilka zdjęć. Następnie usiadł obok i rozprostował kolana.

– Powiedziałbym, że wiedeńczycy mają dziwne sposoby informowania ludzi o pewnych sprawach. Rysowanie orłów, rebusy na rzeźbach i tak dalej. Ale z drugiej strony, kiedy pomyślę o Ystad, Malmö, Helu i Wenecji, o Oscarze Wildzie i opuszczonych wyspach, tajemniczym obrazie i ramie, w której przez wiele lat ktoś coś ukrywał... No, wtedy już wiedeńczycy nie wydają mi się nienormalni. To raczej ludzkość trzeba winić, jako ogół.

– Bardzo piękna przemowa.

– Tak sobie myślę, że ten rysunek jednak coś nam mówi.

– Co, Sherlocku?

– To, że ktoś znał się na rzeczy. Umiał rysować. Pomyśl – ty może byś potrafiła narysować kształt orła z dwiema głowami, bo projektowałaś meble...

– Vidar projektował, ja tylko robiłam niektóre szkice.

– Przymknij się teraz, dobrze? Robiłaś szkice, czyli jesteście w domu. Umiałabyś narysować orła, nawet takiego z dwiema głowami. Ale ja, na przykład, nie. I niewiele znam osób, które by to potrafiły. A ten rysunek jest w dodatku bardzo dokładny.

Anna zasepiła się. Niestety – Leon miał rację. Niechętnie mu ją przyznała. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, po czym odezwała się znowu:

– Dużo w tym wszystkim pewnej ręki, co? Marlene ktoś pchnął mocno i zdecydowanie, Angie także. Żeby rzeźbić, trzeba mieć mocną, wprawną rękę.

– I żeby rysować – też.

– Otóż to. Co nam z tego wychodzi?

– Bauer i Niklaus, czyli nic nowego. Oczywiście może być jeszcze cała plejada innych podejrzanych, których nie bierzemy pod uwagę, bo ich nie znamy. Ale to pewnie wiesz.

– Nie mam jak trafić do tych, których nie znam, bo nie współpracuję z policją. Gdyby nie Ebeling, nie miałabym w ogóle nic – powiedziała i zamyśliła się.

Leon sięgnął po telefon.

– Tak sobie myślę, że skoro już tu siedzimy i nam się nie spieszy, to ja zajrzę w Google.

– Po co?

– Ciągłe przewija nam się temat tego cmentarza. Mam wrażenie, że niedługo na nim zamieszkamy. No nie patrz tak na mnie! A jakoś nie przyszło nam do głowy, by sprawdzić, czy w sieci coś ciekawego się o nim mówi. Oczywiście nie biorę pod uwagę aspektów turystycznych, że tak to ujmę.

– Ebeling by wiedział, gdyby coś...

– Ebeling może jednak nie jest w stanie ogarnąć każdego zjawiska z otaczającej go rzeczywistości. Ma chyba jakieś życie prywatne? A poza tym nie wszystko musi mu się kojarzyć... no po prostu kojarzyć. Zerknę. Masz coś przeciwko?

– Nie, skąd. Przecież czekamy na wieści od Thomasa. Pewnie mamy wolne do wieczora. Nie musimy się spieszyć. Leon uśmiechnął się i zapatrzył w ekran swojego telefonu. Przez ponad kwadrans ze spokojem przyswajał kolejne informacje. Aż w końcu zmarszczył czoło i zbladł. Nadal nie odzywając się słowem, podał jej komórkę.

\*\*\*

Niklaus miał wrażenie, że widzi Inge po raz pierwszy w życiu. Mówiła do niego, ale nie rozumiał, co. Wypuścił ze świstem powietrze i opadł na krzesło. Angela stała obok ze spuszczoną głową. Jakoś należało z tej sytuacji wybrnąć. Ale jak? Nie mógł przecież zrobić tego, o co prosiła. Czego się domagała.

– Możesz powtórzyć?

– Czwarty raz? Bardzo proszę. Brakuje kilku elementów, żeby skompletować obiekt *Klitajmestra*. Ja wiem, że tobie nie chodziło o klasyczną kompozycję, ale wybaczone, nasza *Klitajmestra* nie ma nogi i szyi. To ma być wersja inwalidzka? A może ja nie pojmuję twojej artystycznej wizji? Pomóż mi zrozumieć, jeśli zrobiłeś to celowo. Wygląda raczej mało efektownie. Zwłaszcza bez tej nogi, bo szyję... no, niech będzie, że sporo ćwiczyła na siłowni, by mieć krzepę i dobrze się zamachnąć siekierą na Agamemnona. A na marginesie – sam sobie powinieneś to składać w całość.

– Wiem, ale bolą mnie ręce. Nadgarstki.

– No, kochany. Za głupotę się płaci – oświadczyła bez uśmiechu. Tutaj była sobą. Zimną Inge Altman z Palffy.

Niklaus zwilżył językiem spierzchnięte wargi. Musiał, musiał... Co musiał? Przecież nie mógł!

– Ja nie dam rady tego dokończyć, Inge – powiedział zboliałym głosem, licząc na jej litość.

– Gówno mnie to obchodzi. Nie pokażę Klitajmestry bez nogi i szyi. A ty podpisałeś kontrakt.

– Nie ma w nim wytycznych, co do sposobu wykonania rzeźb.

– Ale jest zapis o jakości. Kurwa, jakości. Zobacz sobie, co z tego na razie nam wyszło. To miał być najważniejszy eksponat. Bierz się do roboty!

Jej głos dochodził do niego jakby z daleka. To się nie mogło... dziać.

\*\*\*

Anna zacisnęła palce na telefonie i po raz trzeci przeczytała artykuł. Oddała komórkę Leonowi i zacisnęła zęby. Musiała się powstrzymać przed budowaniem piętrowych teorii ot tak, na bazie tekstu znalezionej w sieci. Bo przecież policja z pewnością też miała te dane, skoro były dla każdego łatwo dostępne. Ale wcale nie musiały się łączyć z bieżącymi wydarzeniami. Czy na pewno nie? Sama w to nie wierzyła. Leon znalazł w sieci dwa artykuły dotyczące tajemniczych zgonów na Cmentarzu Centralnym. Może ta druga historia faktycznie nie musiała się wiązać z ich śledztwem, ale pierwsza...?

Dwadzieścia trzy lata temu na Cmentarzu Centralnym znaleziono zwłoki kobiety. W jej organizmie wykryto silne środki nasenne, które musiała połknąć już na miejscu. Nie natrafiono na żaden ślad użycia przemocy, nic, co mogłoby sugerować, że kobiecie ktoś pomógł wyprawić się na tamten świat. Po prostu przyjechała na cmentarz, by popełnić samobójstwo. Zasnąć wiecznym snem. Pewnie nie byłoby w tym nic aż tak niezwykłego, w końcu ludzie wybierali dziwniejsze miejsca i bardziej osobliwe metody na zakończenie swojego życia, gdyby nie jeden szczegół. Kobieta nazywała się Klara Farkas i pochodziła z Węgier. Była matką Rudolfa Steinbecka...

Prasa podała informację o tym, że kobieta osierociła dziesięcioletniego synka, którego biologicznym ojcem okazał się nieżyjący już brat profesora. Steinbeck stanął na wysokości zadania, wziął odpowiedzialność za „rodową krew” i adoptował chłopca. Nie udało się ustalić, dlaczego Farkas popełniła samobójstwo. Z oficjalnie dostępnych danych wynikało, że kobieta prowadziła niewielką galerię w Budapeszcie, nie wiodło jej się najgorzej, dbała o dziecko i dom, nigdy na nikogo się nie skarżyła ani też na nią nikt się

nie skarżył. Nie wykazywała symptomów załamania nerwowego, depresji, zaburzeń emocjonalnych. Ot, zwykła kobieta, obywatelka Budapesztu, która raz na jakiś czas spędzała urlopy w Wiedniu u starego znajomego. Relacja ze Steinbeckiem też nie budziła podejrzeń i nie rzucała się w oczy. Klara studiowała wcześniej na Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu, gdzie zaprzyjaźniła się ze swoim profesorem.

Anna zamyśliła się. Co tkwiło pod skórą tej kobiety? Pod czaszką? Ile prawdy o sobie zdołała ukryć przed światem, jak bardzo się napracowała, by zbudować swój nienaganny, do bólu nudny i poprawny wizerunek? Albo co bolało ją na tyle, by zechciała ze wszystkim skończyć? Człowiek nie zabija się tak po prostu. Musi mieć jakąś rysę. Na psychice lub w życiorysie. Ale dla Anny najważniejsze było teraz inne pytanie – czy historia Klary Farkas miała jakiś związek z niedawnymi wydarzeniami? Na pozór niby nie. Ale trudno było jej uwierzyć w aż tak liczne zbiegi okoliczności. Wszystkie drogi prowadziły tutaj, na cmentarz.

– Trochę wyszła *Dynastia*, co? – odezwał się nieśmiało Leon, okręcając wokół palca źdźbło trawy. – Ona przyjaźni się z profesorem, a kiedyś spała z jego bratem. Z bratem ma dziecko, do profesora jeździ na urlopy. Brat umiera. Kilka lat później ona się zabija. Profesor adoptuje dziecko. To, które ona miała z jego bratem. Coś podobnego było w takim filmie, *Pearl Harbor*...

– Leon, odpuść mi teraz *Pearl Harbor*. Ale co do reszty, to masz rację. Znowu. Niestety. Nieźle namieszane, ale takie rzeczy zdarzają się w życiu częściej niż nam się wydaje. Że kobieta ma dziecko z jakimś facetem, choć tak ogólnie to woli innego. Wszystko jest bardzo piękne i poukładane tylko w filmach.

– No właśnie nie. *Pearl Harbor* i *Dynastia* wskazują, że jednak...

– W prawdziwym życiu natomiast – powiedziała dobitnie – różnie bywa. Może z tamtym bratem profesora zaliczyła wpadkę. A może chciała mieć dziecko, ale nie miała zamiaru się z nikim wiązać. Albo wciąż czekała na innego, idealnego kandydata na męża. Cholera wie. Przyznasz jednak, że to dziwne. Młody i stary Steinbeck w kontekście samobójczyni z cmentarza. Może to przypadek, ale bardzo wątpię. Samobójstwa i cmentarz pojawiają się w tej układance za często.

– Tylko co ma sprawa sprzed dwudziestu trzech lat wspólnego ze śmiercią Marlene i Angie?

– A co ma sprawa samobójstwa Danni Fritz? I dlaczego Niklaus nam ją wskazał? Powtarzam się?

Anna kopnęła czubkiem buta kamyk. Była też ta druga historia, na którą przed chwilą trafili. Tutaj jednak musieli już być ostrożniejsi. W jej kontekście nie pojawiło się bowiem żadne z interesujących ich nazwisk. A jednak, jak powiedział Leon, z pewnością o istnieniu wielu osób powiązanych z tą sprawą w ogóle nawet nie wiedzieli. Swoją drogą Anna zadawała sobie pytanie, dlaczego musiała ponownie trafić na piętrową zagadkę, zakorzenioną w przeszłości? Nie mogło chociaż raz być płycej, zwyczajniej? Kiedy tu jechała, miała nadzieję, że sprawa okaże się prosta. W końcu skomplikowane morderstwa popełniane przez zwyrodnialców z ambicjami do zaplanowania zbrodni doskonałej nie zdarzały się codziennie. Owszem, było ich wiele, ale o wiele częściej trafiały się zabójstwa, których winnym okazywał się ktoś z najbliższego otoczenia ofiary. A motyw

wydawał się tak banalny, że aż głupi.

Ktoś z najbliższego otoczenia.

Banalny motyw.

Nie mogła tego wykluczyć i tutaj. Może za głęboko kopała? Może wszystko, do czego dotarła sama lub przy pomocy Ebelinga, i co usiłowała teraz do siebie dopasować, nie miało w gruncie rzeczy znaczenia? Z drugiej jednak strony nie dawały jej spokoju rzeźby, na których Niklaus wyraźnie wypisał wskazówkę. Tylko dla kogo? I co takiego zrobiły te dwie nieszczęsne dziewczyny, Marlene i Angie, że spotkał je taki los? Angie nawet gorszy, bo Bóg jeden wie, ile czasu spędziła w zamknięciu i co dokładnie musiała znosić. Najprawdopodobniej rzeźbiła, ale tego nie mogli być w stu procentach pewni. A może mogli, zważywszy na ślady na ciele? Anna już przecież przyjęła to jako pewnik. Nie powinna. Zbyt wiele rzeczy przyjmowała jako pewnik i nie bazowała na dowodach. A o to chodziło w śledztwie. O materiał dowodowy. Anna uświadomiła sobie, że właśnie na dobre przestała być policjantką. Nie musiała respektować procedur, prosić o pieniądze na dodatkowe badania, załatwiać pozwoleń u prokuratorów, postępować w zgodzie z kodeksem, uważać na słowa, powstrzymać się od snucia domysłów, nawet takich, które ocierały się o absurdy. Mogła zaszkodzić tylko sobie i ewentualnie tym, którzy z różnych powodów nie potrafili zostawić jej w spokoju... Nic nie musiała.

Leon poruszył się niespokojnie i chrząknął.

– Nie chciałbym przeszkadzać w rozmyślaniach, które na pewno obfitują w budowanie nowych teorii...

– Jak myślenie może obfitować w budowanie teorii?

– Anka! Skup się. Ja wiem, że ostatnio lubisz sobie odpłynąć, rozumiem niewesołą sytuację Antonia i naprawdę – bardzo współczuję. Ale jak tak siedzę tutaj, a ty się gapisz na nagrobek z obłędem w oczach, to zaczyna mi być nieswojo.

– Z obłędem w oczach?

– Teraz będziesz powtarzała to, co mówię? Owszem, wiem, że to podstawa komunikacyjna niektórych ludzi, ale...

– Dobra! Już! O co chodzi?

– No ten facet mnie interesuje. Z artykułu. Z góry przyjęłaś, że on nie ma z tym wszystkim nic wspólnego?

– Który?

– Ten martwy! No... spalonka.

Anna skrzywiła się i skuliła. Spalonka. Martwy facet z artykułu. Oczywiście wiedziała, o kogo chodziło. Po wydarzeniach, które miały miejsce w Wenecji, jakoś dziwnie odrzucało ją od stosów, podpałek i zwęglonych zwłok. A tutaj, na Cmentarzu Centralnym w Wiedniu, również miała miejsce podobna zbrodnia. Bo w tym wypadku trudno było uznać, że ofiara podpaliła się sama... Oczywiście taka teoria w śledztwie również się pojawiła, jak donosił autor artykułu, ale chyba nikt nie potraktował jej poważnie. Niemniej na miejscu nie znaleziono żadnych podejrzanych śladów – głównie dlatego, że zanim przyjechała straż, ogniem zajął się cały teren wokół mauzoleum rodziny Englów, pobliskie drzewo i kilka grobów. Zwłoki nie zdążyły spłonąć w całości i na podstawie badań DNA udało się ustalić tożsamość ofiary, ale i tak zostało z niej niewiele.

Chłopak nazywał się Moritz Engel, miał dwadzieścia parę lat i studiował prawo. Nie istniało żadne pokrewieństwo między nim i rodziną Englów, do których należał wiekowy grobowiec. Ale przecież tego miejsca z pewnością nie wybrano przypadkowo. Zagadka śmierci Moritza Engla pozostawała jedną z najgłośniejszych nierozwiązanych spraw wiedeńskiej kryminalistyki. Anna nic z tego nie rozumiała.

– Jak to możliwe – zaczęła – że nie doszli, kto to zrobił? Temu chłopakowi, Moritzowi? Przy dzisiejszych metodach...

– Sama wiesz, że mimo dzisiejszych metod wiele spraw pozostaje nierozwiązanych. A jeśli chodzi o Wiedeń, to już raz mieli jednego takiego, na którym się zupełnie nie poznali.

– Jack Unterweger? Leon pokiwał głową.

– Unterweger zabił kobietę, trafił za kratki, a tam zaczął pisać książki. Oczywiście stały się bestsellerami. Wiesz, ja naprawdę mam nadzieję, że pisarze nie traktują tego jako wskazówki marketingowej. W każdym razie zaczął się robić wielki szum, że Unterweger się poprawił, zrozumiał, co zrobił, przeżył katharsis, bla, bla.

– I go wypuścili.

– Tak, wypuścili. A później w Wiedniu zaczęły ginąć prostytutki, które ktoś dusił ich własnymi pończochami. Unterweger pisał wtedy do jakiejś gazety, między innymi właśnie artykuły o tym seryjnym zabójcy. Zyskał sławę, zapraszano go w różne miejsca.

– I w każdym z tych miejsc ktoś ginął.

– Dokładnie. Na przykład w Bratysławie, ale też w Los Angeles. Kiedy Unterweger wyjechał z LA i zbrodnie ustały, tamtejsza policja, dużo bardziej wprawiona w wyłapywanie „seryjnych”, zapytała uprzejmie policję wiedeńską, czy na serio nie widzą, że coś jest nie w porządku. I się zaczęło. Niestety, jak się okazało, Unterweger nie nawrócił się dzięki literaturze. A policja kluczyła wokół niego latami i nie widziała najwyraźniejszych wskazówek.

– No dobrze, to faktycznie dziwne. Ale przyznasz, że tutaj sytuacja jest jeszcze bardziej osobliwa. I miała miejsce nie tak dawno, bo zaledwie dziesięć lat temu. Faceta ktoś podpalił na cmentarzu i nie znaleziono żadnych śladów? Nigdzie? Nie ma tu kamer?

– Przy kościele pewnie są, przy bramach też. Może na parkingu. Ale przecież nie na starym cmentarzu żydowskim. To nie bank ani galeria sztuki. Sprawca mógł przeskoczyć przez mur.

– I tak to dziwne – powtórzyła z uporem.

– Dobrze, dziwne. Ale ważniejsze dla nas jest teraz co innego.

– Wiem. – Anna naburmuszyła się.

– Nie chcę niczego sugerować, ale w tym wypadku nie mamy żadnej przesłanki, żebyśmy musieli się tym nieszczęsnym Moritzem Englem zajmować. Koincydencja. I w dodatku rozbieżność czasowa między śmiercią Engla i śmiercią Klary Farkas. To duży cmentarz. Pewnie wiele się tu działo...

– Wiem. – Anna skrzywiła się jeszcze bardziej. – Ale co do jednego się nie zgodzę.

– Tak czułem.

– Z tą rozbieżnością czasową to nie do końca prawda.

– Klara Farkas umarła dwadzieścia trzy lata temu, a Moritz dziesięć lat temu.



– I pół roku później Emilie Morton trafiła do psychiatryka, Danni Fritz się zabiła,  
a...

– Anka, ty chyba żartujesz? Nie mamy nawet pojęcia, czy on je znał. Sama mi powtarzałaś, że nie wolno za daleko wybiegać...

– Wiem! – zawołała zniecierpliwiona.

Wstała z ławki i ruszyła w stronę głównej alejki. Skoro już tu była, mogła przynajmniej odwiedzić Chanę.

## Rozdział 20

Komisarz Franz Weber nie musiał długo domyślać się, że Thomas Ebeling wie więcej, niż mówi. Wcale mu się nie dziwił. Komendant na pewno okropnie nudził się na emeryturze, a zawsze był genialnym śledczym. Weber wiele się od niego nauczył, nawet jeśli nie przyznałby się do tego na najgorszych torturach. A teraz Ebeling miał wolną rękę, całe dni do dyspozycji i brak presji z góry. Czyli nie był uzależniony od wszystkiego, co krępowało jego samego. Idąc za radą byłego szefa, zajrzał w to, co mieli na Karla Steinbecka. A mimo afery z molestowaniem seksualnym nie znalazł wiele. Wspaniała długoletnia kariera, talent i niezmordowana energia, z którą wspierał młodych twórców. Pokażny majątek rodzinny, pasja kolekcjonerska, działalność charytatywna, inwestowanie w wystawy debiutujących artystów, dom otwarty, przyjacielskość, poczucie humoru, życzliwość... No pierdolony ideał. To oskarżenie o molestowanie pasowało do jego wizerunku jak pięść do nosa. Kiedy sprawa wykwitła dziesięć lat temu, Weber był jeszcze skromnym, niższym rangą śledczym i zajmował się duperelami, którymi nie brudziły sobie rąk wyższe instancje. Wiele o tym słyszał, ale nie zagłębiał się w szczegóły. Poza tym Steinbeck nie podlegał im administracyjnie, więc informacje przekazywano sobie na Schulgasse, gdzie wtedy pracował z Ebelingiem, w ramach ciekawostek. Teraz miał poważne obawy, że jeśli morderstwa Marlene Sachs i Angie Hamilton to jedynie wierzchołek góry lodowej, śledztwo przejmie centrala. Już nie prowadzili go sami. Musieli się podzielić sprawą zaginięcia Ernsta Bauera i dochodzeniem w sprawie ewentualnego porwania Angie Hamilton. Wydział zabójstw nie był jak uniwersalne mleczko do czyszczenia podłóg. Nie każdy brud udało się zmyć bez pomocy innych środków...

Oskarżenie o molestowanie seksualne cztery młode kobiety wycofały dość szybko, tłumacząc się, że profesor zaniżył im – ponoć złośliwie – oceny, przez co straciły możliwość ubiegania się o stypendia. A wszystkie pochodziły spoza Austrii i miały trudności z utrzymaniem się. Dostały jakieś tam kary czy upomnienia... Mało, jak na fałszywe zarzuty. I profesor zupełnie nie miał do nich pretensji, mimo że musiał odejść z uczelni w aurze skandalu. Oskarżenie oskarżeniem, mogło zostać wycofane, ale smród pozostał. Pytanie teraz – dlaczego dziewczyny nie walczyły dalej? Faktycznie kłamały? I dlaczego Steinbeck nie walczył z nimi? Faktycznie – nie kłamały? Jeśli tak, to jak je skłonił do wycofania zarzutów? I co im naprawdę zrobił?

Weber zamknął teczkę i obrócił się na krześle. A jeśli tracił czas? Marlene i Angie. Wiedział, że jego ludzie działali w terenie, łazili po sąsiadach, szukali znajomych, grzebali w czym popadło, by cokolwiek znaleźć. I nic. W gronie głównych podejrzanych pozostawał przede wszystkim Ernst Bauer, który wydawał się w stu procentach winny, głównie przez wzgląd na fakt, że uciekł. Niewinny nie ucieka, chyba że w filmie. Niewinny siedzi na tyłku, słucha prawnika, trzęsie się i odmawia zdrowaśki. Chyba że niewinny ma powód, by uciec, co i tak wypada idiotycznie. A zatem: zazwyczaj – skorygował się w myślach – ucieka winny.

Drugim jego ulubionym podejrzany był Michael Niklaus. Miał kontakt z obiema ofiarami, znali się, alibi na czas zabójstw brak. W wypadku Marlene Weber napotkał

jednak jeden poważny problem. Oprócz braku dowodów czy choćby poszlak nie znalazł jak dotąd żadnego motywu, dla którego dziewczyna miałaby Niklausowi zawadzać. Z Angie było jeszcze gorzej. Ślady na ciele wskazywały na przemoc i długie przetrzymywanie w zamkniętym pomieszczeniu. Ktoś ją wiązał, kilka razy obił nos i prawdopodobnie czymś odurzał. W jej ciele nie znaleziono już śladów żadnej substancji, ale na ramieniu miała paskudny ropień. Patolog uznał, że rana powstała na skutek wielokrotnych wkłuć i wdało się w nią zakażenie. Weber nie rozumiał, dlaczego oprawca wybierał wciąż to samo miejsce – ale może miał swój powód? Na przykład chciał zadać dziewczynie większy ból? I teraz właśnie pojawiało się kolejne ciekawe pytanie... Jeśli Niklaus ją uprowadził, to gdzie trzymał dziewczynę? Dlaczego nie miał na ciele żadnych oznak walki, nigdy nie chodził z obitą facjata? Widać było wyraźnie, że Angie się stawiała. Ale... dawniej. Blizny się zagoiły, krwawiące rany zakrzepły. Musiała się poddać. Podczas autopsji szukano na jej ciele śladów obcego DNA, ale nie znaleziono niczego na skórze ani za paznokciami. Poza tym porzucono ją w lesie, na terenie podmokłym, więc ubranie i włosy miała przemoczone. W kieszeniach nic, torby, dokumentów, portfela brak. I tu się temat zamykał.

Niklaus mógłby pasować Weberowi na mordercę – na mordercę pasował mu właściwie każdy. Ale nie na porywacza. Ernst Bauer z kolei uciekł i właśnie wtedy znaleziono ciało Angie. Tutaj wszystko się zgadzało. Zmył się, wiedział, gdzie była, zabił ją, wywiózł do lasu. W tym wypadku jednak Weber miał kolejny kłopot z motywem. Bauer mógł bez problemu znaleźć powód do zabicia Marlene, bo był zazdrosny o jej nowego kochanka, który w dodatku okazał się zdolniejszym rzeźbiarzem. Bardzo dobry, klasyczny, wiarygodny motyw. Ale po jaką cholere miałby zabijać, a co gorsza – porywać – Angie? Czy coś między nimi kiedyś zaszło? Czy Weber powinien się temu przyjrzeć? A jeśli... no właśnie... traci czas?

Nie cierpiał poniedziałku, zwłaszcza kiedy następował po pracowitej niedzieli. Dziś będzie musiał uzewnętrznić się przed szefową i dać jej jakieś konkrety. Których nie miał. Bauera nadal nigdzie nie było, Niklaus dochodził do siebie po próbie samobójczej – ta próba także do niczego tutaj nie pasowała – i nikt nie zachowywał się podejrzanie. Jak miał jej powiedzieć, że chciałby przyjrzeć się Steinbeckowi? Wiedział, co powie. „Steinbeck nie żyje, więc oświecę cię – nikogo nie mógł zabić. Odpierdol się łaskawie od umarłaków i szukaj mordercy wśród żywych. Nie rób mi tu, kurwa, paranormal activity”. Zawsze taka była, stara Kanner. I miałaby rację. Steinbeck nie mógł zabić Marlene i Angie, ale może w jakiś sposób się z nimi wiązał. No bo przecież broszka. Orzeł. Ebeling może pierniczył od rzeczy. Ale co, jeśli miał rację? Weber naprawdę mu zazdrościł. Chętnie podziałaby teraz trochę na własną rękę, poza procedurami.

Nie cieszył się zbyt wielką swobodą, ale postanowił zdobyć się na jeden ryzykowny ruch. Po głowie plątało mu się pewne słowo związane z profesorem Steinbeckiem.

„Kolekcjoner”. Cholera, mieli w Wiedniu różnych kolekcjonerów, którzy robili różne rzeczy. Nie zawsze chwalebne. I właśnie to go zastanowiło. Może błędził, ale nie zaszkodzi sprawdzić.

Chwycił telefon komórkowy i wybrał numer zapisany pod hasłem „Babcia Zita”.

Nie dzwonił już na niego od półtora roku.

– Wszelki duch! – Usłyszał w słuchawce niski, chrapliwy głos.

Mężczyzna wciąż mówił ze słowackim akcentem, nie oduczył się go. Zdenek Havelec, szara eminencja wiedeńskiego czarnego rynku. Człowiek, którego powinno się znać. I który robił transfer na jasną stronę mocy.

– Cześć, babciu – mruknął Weber i zaśmiał się cicho.

– Coś potrzeba?

– Tylko dobrych wiadomości, kochana. Samych dobrych.

– Wstawiam wodę. Herbata z sokiem malinowym czy coś się zmieniło?

\*\*\*

Nad ranem Anna zadzwoniła do Antonia. Wybiła dopiero szósta, ale słońce już wstało i wślizgiwało się do mieszkania przez szparę między zasłonami. Miała zły sen i obudziła się zlaną potem, z włosami przyklejonymi do twarzy i wściekle bijącym sercem. Od razu chwyciła telefon, a Toni odebrał po dwóch sygnałach. Ulżyło jej tak bardzo, że przez chwilę nie była w stanie nic powiedzieć.

– Anno, wszystko w porządku?

Ogarnęła ją złość przemieszana z żalem i tęsknotą. Nic przecież nie było w porządku. Po co pytał? W jego głosie słyszała napięcie i zmęczenie. Z pewnością niewiele sypiał. Miała zły sen – powiedziała zgodnie z prawdą. – Co... u ciebie?

Kolejne głupie pytanie.

– Jeszcze nic konkretnego. Wyprowadzam się z hotelu, wynająłem mały domek na obrzeżach Costa Teguisse. Parterowy. Dwa pokoje, kuchnia, łazienka. Obliczyłem, że mniej mnie to zrukuje. Ale i tak bogaty stąd nie wyjadę.

– Mogłabym...

Urwała i przyłożyła dłoń do ust. To jedno słowo wystarczyło, by się zorientował, co miała na myśli. Nie powinna była tego mówić, wiedziała, że sprawiła mu przykrość. Antonio westchnął.

– Co byś mogła, Anno? Przelać mi kieszonkowe? – zapytał bez złośliwości. Raczej ze smutkiem.

– Nic złego nie miałam na myśli, przecież wiesz.

I chciałam raczej powiedzieć, że mogłabym przyjechać.

Tym razem również nie skłamała. Czekwała na jakiś znak z jego strony. Wystarczyłby jeden.

– Jeszcze nie teraz – odrzekł powoli. – Sam nie wiem, czy jest po co. Niczego się jeszcze nie dowiedziałem.

– Pomogłabym ci...

– Obiecuję, że kiedy będę gotowy, od razu...

– Toni! Nigdy nie będziesz gotowy. To samo powtarzałeś sobie w Wenecji? Kiedy będę gotowy, zaprzyjaźnię się z kimś, kiedy będę gotowy, poznam kobietę, kiedy będę gotowy, wyjdę na imprezę i wezmę udział w karnawale. I tak przez sześć lat!

– Niczego nie powtarzałem sobie w Wenecji. Niczego nie planowałem, niczego nie chciałem. Czułem, że zawiodłem jako ojciec, i chciałem się za to ukarać. Później zjawiła się ty i życie zrobiło się piękniejsze. A teraz... czuję, że mam możliwość coś naprawić. Niezależnie od tego, co odkryję o moim synu i czy on okaże się winny lub niewinny, tym razem mam zamiar wszystkiego dopilnować. Zrobić, co mogę. Niczego nie zaniedbać. Gdybyś ty miała możliwość...

Antonio umilkł, a Annę oblała fala gorąca. Gdybyś miała możliwość naprawić to, co zepsułaś? Czy to chciał powiedzieć? Próbowала sobie przecież przetłumaczyć, że nie zawiniła. A przynajmniej – nie tylko ona. Co mogła naprawić? Cofnąć czas, wskrzesić Vidara? Przejrzeć na oczy, odkryć jego romans z Sofią? Nie oszukiwać się co do Brunona, potrząsnąć Lidką i wykrzyzczyć jej w twarz, żeby nie wychodziła za męża, żeby uciekała jak najdalej? Zaproponować jej pomoc? Przewidzieć, że o nią nie poprosi? Nie mogła tego zrobić. Spóźniła się. Co była w stanie zrobić teraz? Pojechać do Szwecji? Stać pod więzieniem, rozbić namiot, czekać, aż siostra zechce się z nią zobaczyć? Pomóc jej, ale jak? Przecież była winna. Przecież popełniła morderstwo. A że nie sama...

Tak, gdyby Anna miała możliwość, z pewnością chciałyby wiele rzeczy naprawić. Teraz też coś naprawiała, i wtedy, w Wenecji. Udało jej się. W pewnym sensie naprawiła też Antonia. To, że wyłuskał się z marazmu i zaczął działać, również było po części jej zasługą. Powinna się cieszyć. Nawet tutaj usiłowała coś naprawić. Coś nie swojego, ale jednak. Może to też była próba pogodzenia się z losem? Wiedziała, że nie cofnie czasu, ale wciąż miała przed sobą przyszłość. I inni też ją mieli. Nie, nie chciała ratować świata. Tylko zyskać przekonanie, że coś jednak potrafi zrobić dobrze. A zatem, niestety, rozumiała Antonia.

– Anno? Jesteś tam?

– Jestem.

– Przepraszam cię, nie powinienem tego mówić.

– Nie przepraszaj, masz rację. Żałuję tylko, że nie jestem tam razem z tobą.

– Dokończ to, co zaczęłaś. Jak tylko...

– Wiem, dasz znać. Już to mówiłeś.

– Tęsknię.

– I ja za tobą. No to... cześć.

Rozłączyła się, zanim odpowiedział. Wzięła kilka głębokich wdechów, wstała z łóżka i przeszła do kuchni. Proste czynności, którym się oddała, sprawiły, że na chwilę poczuła się normalnie. Czajnik, bulgocząca woda, zapach kawy, chleb i masło. Anna powoli odzyskiwała spokój. Postawiła dwa kubki na blacie i wyjęła z lodówki ser. Przydałoby się zrobić zakupy. Do jej uszu dobiegł odgłos otwieranych drzwi i po chwili w kuchni zjawił się Leon. W rozciągniętej koszulce i z rozczochranymi włosami. Wzrok Anny, zanim zdążyła nad nim zapanować, zsunął się niżej i zobaczyła bokserki – tak jak się spodziewała, bardzo oryginalne. Tym razem z Lordem Vaderem. Już chyba wołała

smerfy.

– Dzień dobry – mruknął. Przeciągnął się i ziewnął. Dziwne było to wszystko.

\*\*\*

Thomas Ebeling uciszył głos rozsądku, wszedł do modnej sieciówki i zamówił dużą kawę na wynos. Nie wiedział, czy dobrze robi, bo był już i tak wystarczająco roztrzęsiony, ale powieki opadały mu ze zmęczenia. Nie potrafił powiedzieć, kiedy minęła ta doba. Wczorajszego poranka wyjechał pociągiem do Lienzu w Tyrolu, podróżował przez blisko siedem godzin, następną godzinę zajęło mu szukanie domu Brit Solberg, z którą gawędził przez dwie godziny, po czym niemal od razu udał się z powrotem na stację kolejową. Pojechał do Kufstein, na szczęście również w Tyrolu, gdzie spotkał się z Lolą Martinez. Panna Martinez okazała się osobą bardzo gościnną i... ewidentnie się go spodziewała. Z pewnością została uprzedzona o wizycie Ebelinga przez Brit, z którą wciąż utrzymywała kontakt. Poczęstowała go kolacją złożoną z przygotowanych naprędce hiszpańskich potraw i gadała, gadała, gadała... O wszystkim, tylko nie o tym, co było naprawdę ważne. Na koniec odwiozła Thomasa na stację, wsadziła do pociągu i stała na peronie, aż odjechał. A on spędził w wagonie kolejne siedem godzin i wrócił... właśnie przed chwilą. Pomyślał, że jest już na takie eskapady za stary.

Zapłacił za kawę i zabrał wielki papierowy kubek na zewnątrz. Dzień nie zaczął się dobrze. Diane nakrzyczała na niego przez telefon i po raz pierwszy w życiu zagroziła rozwodem, a Weber wysłał SMS-a, że mają do pogadania i odezwie się niebawem. Anna Lindholm natomiast plotła mu do słuchawki coś o Klarze Farkas i Moritzu Englu. Tam właśnie musiał się teraz udać. Na Klostergasse. Anna nie wyglądała na taką, co to odstawia w kuchni Gordona Ramseya, ale może zrobi mu chociaż kanapkę. I razem uporządkują jakoś ten chaos, w którym pogrążali się coraz bardziej, z każdą nową informacją. Wiedział też, że nie będzie zadowolona, kiedy usłyszy, czego się dowiedział od Brit Solberg i Loli Martinez. Jemu samemu również wcale nie było do śmiechu. Wręcz przeciwnie. Po raz pierwszy w życiu miał ochotę wyjechać na wakacje...

Popijając kawę, wsiadł do metra i skupił się na dwóch nazwiskach, które znał, ale o których jakoś ostatnio nie myślał. A przecież o jednym przynajmniej powinien. Klara Farkas, Węgierka, niegdyś studentka rzeźby na Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu, uczyła się u Steinbecka, z którym pozostawała w przyjacielskiej relacji przez wiele lat. Matka Rudolfa. Pamiętał sprawę jej samobójstwa. Kobieta zdecydowała się rozstać z życiem na Zentralfriedhof. Akurat tam. Ale nawet jeśli... Co to miało wspólnego z obecnymi sprawami? Owszem była związana z profesorem, była matką Rudolfa, była rzeźbiarką, pojechała na cmentarz...

No dobrze, to musiało mieć jakiś związek ze sprawą.

Im szybciej przestanie się oszukiwać, tym lepiej. Dziwił się, że Weber jeszcze nie dotarł do Klary Farkas, ale biedny chłopak na wszystko potrzebował więcej czasu i musiał się na dodatek tłumaczyć przed starą Kanner. Tracił czas na szukanie Ernsta Bauera i oglądał broszki, które z niczym mu się nie kojarzyły. Dobrze, że chociaż zerkał jednym okiem na Niklause. Ale to Ebeling dopiero podsunął mu osobę profesora, choć nie mógł powiedzieć nic konkretnego. Wiedział, że Weber nie będzie głupi i nie porzuci tropu. Ale do czego dojdzie i w jakim tempie? Czy jeśli teraz Ebeling zasugeruje mu przyjrzenie się sprawie Klary Farkas, to komisarz nie zechce go zamordować? I czy w ogóle było się czemu przyglądać?

Na pewno. W tej sprawie – bo Ebeling miał pewność, że morderstwa Marlene i Angie należy ze sobą łączyć – było za dużo przypadków i zbiegów okoliczności. Wydobył z kieszeni komórkę i wystukał do Webera SMS-a o treści: „Klara Farkas; Zentralfriedhof; samobójstwo dwadzieścia trzy lata temu; matka Rudolfa Steinbecka. Może zerknij?”. Odpowiedź przyszła, kiedy wysiadał na stacji Michelbeuern AKH. Komisarz napisał: „Weź mnie nawet nie wkurwiał. O dwudziestej czekam na ciebie na Stiftgasse. Knajpa ta, co zawsze”. Thomas skrzywił się. Miał nadzieję, że dziś położy się wcześniej spać.

Dopił kawę i wrzucił kubek do kosza. Postanowił przejść się na Klostergasse piechotą, zamiast jechać tramwajem. Gorące powietrze nie działało orzeźwiająco, ale pomyślał, że jeśli będzie pozostawał w ruchu, łatwiej poradzi sobie z uczuciem zmęczenia. A po drodze zastanowi się nad tym całym... jak mu tam... Englem. Moritzem Englem. Tę sprawę również pamiętał, bo swego czasu była głośna. Młody chłopak, podpalony na Zentralfriedhof, w historycznym grobowcu rodziny Englów, z którymi jednak nie był spokrewniony. Sprawcy nieznani. Ofiara – stereotypowy życiorys, zero wrogów, brak niebezpiecznego hobby, niekarany, nienotowany. No dobrze... on jednak z pewnością nie miał nic wspólnego z bieżącymi wydarzeniami. Bo niby dlaczego? Nie był żadnym krewnym ofiar ani podejrzanych, przyjacielem, znajomym, nikiem takim. Skąd, do cholery, Lindholm go wytrzasnęła? Mało miała pionków w tej grze? Nudziło jej się? Ingvar Frisk miał rację. Annie trudno było wcisnąć hamulec. Jak już zacznie, nie potrafi się zatrzymać i dotąd taka postawa zawiodła tylko raz. Wielka szkoda, że akurat w sprawach, które okazały się osobiste...

A jednak dziewczyna ryzykowała, tak bardzo ufając swojej intuicji. Zwłaszcza teraz. Mogli popełnić błąd i nawet go nie zauważyć. Nie pracowali na materiale dowodowym, prowadzili pozał się Boże „śledztwo” jak jakiś Nero Wolfe, który nigdy nie wychodził zza biurka. Co za amatorszczyzna... Ebeling czuł się niemal zażenowany. A jednocześnie nie mógł przestać myśleć, kombinować, kojarzyć, łączyć ze sobą faktów. Lindholm pewnie przesadzała, ale i tak cieszył się, że tu była. Naprawdę mogła się na coś przydać.

Zatrzymał się przed kamienicą na Klostergasse i spojrzął w okna na parterze. Spędził w tym mieszkaniu wiele lat, zanim z Diane przenieśli się na Hardeggasse. Piękne czasy. Zadzwoił domofonem i przymknął oczy. Musiał się wyciszyć i skoncentrować. Anna i Leon czekali przecież na relację z wycieczki do Tyrolu.

\*\*\*

Ulrike Seinfeld zalogowała się na swoje konto w banku i z obrzydzeniem odsunęła ledwie napoczęte śniadanie. Suma, którą zobaczyła, skutecznie odebrała jej apetyt. Właściwie nie powinna być zaskoczona. Nic tam nie wpływało, to i nie miało się z czego rozmnożyć. Założyła słuchawki na uszy i włączyła *Rise Like A Phoenix*, piosenkę, którą Conchita Wurst wygrała Eurowizję. Zaczęła śpiewać, najpierw po cichu, później całkiem głośno. Nie wychodziło jej to zbyt dobrze, bo gardło miała spuchnięte z przerażenia, a w oczach wzbierały łzy. Wylogowała się z konta, zamknęła laptop i poszła do kuchni. Z szafki nad lodówką wyjęła blaszaną puszkę po herbacie, w której trzymała trochę gotówki. „Trochę”. To było teraz kluczowe słowo. Drżącymi palcami przerzuciła banknoty i monety. Oparła się o blat i ukryła twarz w dłoniach. Conchita w słuchawkach ciągle śpiewała, że można się podnieść, ale Ulrike już tych słów nie rozumiała. Wreszcie dowiedziała się dokładnie, jak to jest, kiedy ma się nóż na gardle. Kończyły jej się pieniądze i zalegała z czynszem za ostatni miesiąc, bo przecież Ernst miał jej zapłacić w ubiegłym tygodniu. Z doliczoną premią za wysprzątanie wszystkiego na błysk przed przybyciem Chany. Nie przewidziała, że wydarzy się morderstwo.

Osunęła się na podłogę. Jej ramiona zadrzały. Zrzuciła słuchawki i pomyślała, że jeśli szybko nie znajdzie nowej pracy, to będzie musiała podkulić ogon i wrócić do domu. Ostatecznie – lepiej mieszkać w rzeźni, niż pod mostem. Ulrike nie nadawała się na bezdomną. Zginęłaby marnie już pierwszego dnia. Jeśli jednak wróci do domu, również nie przetrwa. Na samo wspomnienie tamtego miejsca zrobiło się jej niedobrze. Podniosła się z podłogi, zasiadła ponownie przed komputerem i otworzyła stronę z ogłoszeniami o pracę. Odpowiedziała na kilka sensownie wyglądających ofert i zamieściła własną. Nie cierpiała szukać pracy w ten sposób, znacznie bardziej wolała otrzymywać zatrudnienie z polecenia. Mniejsze ryzyko trafienia na świrów, którym chodzi o... pełen serwis. Nie z nią takie numery. Ostatnio jednak tak bardzo zasiedziała się u Ernsta, że straciła wszelkie kontakty z „branżą”. No cóż. Pozostało tylko liczyć na to, że ktoś się odezwie i akurat okaże normalny. Ostatnio tam, gdzie sprzątała, znalazła trupa, więc nie miała specjalnie wygórowanych wymagań.

Wytarła oczy i sięgnęła do pudełka z płytami DVD. Musiała się czymś zająć, żeby nie zaglądać ciągle na skrzynkę mailową i w telefon. Wygrzebała *Dzwonniką z Notre Dame*, oczywiście nie kreskówkę, tylko film. Z Anthonym Hopkinsem, dość stary. Bardzo go lubiła i dawno nie oglądała. Usiadła po turecku na kanapie i wpatrzyła się w ekran, usiłując choć na chwilę zapomnieć o dręczących ją problemach. O tym, że Anna Lindholm nie zadzwoniła od czasu spotkania pod kościołem Wotruby i Ernst także nie dawał znaku życia. Gdzie on się ukrywał?



Na ekranie Anthony Hopkins miał brzydką twarz, a na piękną Cygankę wydano wyrok, bo nie chciała się oddać ohydnemu archidiakonowi. Ulrike opuściła stopy na podłogę i zaczęła jeszcze intensywniej śledzić wydarzenia na ekranie. Z każdą kolejną minutą filmu jej serce biło szybciej. Wreszcie wcisnęła pauzę i zaczęła nerwowo przechadzać się po pokoju. Cholera, a jeśli się myliła? A jeśli nie? Co powinna zrobić? Przecież... to było bez sensu.

Chwyciła telefon i wahała się przez moment. Wreszcie wybrała numer Anny Lindholm.

– Cześć. Słuchaj...

– Tak, wiem, miałam się odezwać – usłyszała jej głos. W tle rozmawiali jacyś mężczyźni. – Przepraszam. Ale ostatnio...

– Ja nie w tej sprawie. Chodzi o to, że... Nie wiem, jak to powiedzieć.

– Najprościej jak się da. Mam chwilowo dość zagadek.

– Chyba wiem, gdzie jest Ernst.

## Rozdział 21

Anna przytrzymała telefon brodą i zamachała rękami. Leon i Thomas umilkli jak na komendę.

– Ulrike, tylko spokojnie – powiedziała łagodnie. – Przede wszystkim, co to znaczy: „chyba”?

– Nie będziesz się śmiała?

– Czyli będzie zabawnie?

– Oglądałam *Dzwonnika z Notre Dame*. I tak mi się jakoś skojarzyło...

Miała wielką ochotę się roześmiać. Każdy by to zrobił na jej miejscu. Anna jednak przypomniała sobie swoje zachowanie w Wenecji, kiedy marudziła na zmianę Toniemu i Leonowi, że chodzi jej po głowie jakiś film Hitchcocka, w którym jedną ze scen skojarzyła z ówczesnymi wydarzeniami. I też nie każdy traktował to poważnie. A przecież w rezultacie miała rację.

– No dobra, lepiej mów.

– Ty się naprawdę ze mnie nie śmiejesz – stwierdziła z zaskoczeniem.

– Jakoś nie.

– W porządku. Bo widzisz...

Ulrike wymieniła nazwę miejsca, a Anna świetnie wiedziała, o czym mówi. Była już tam kiedyś. Robiło wrażenie. Tylko jakim cudem właściwie... on w tym miejscu ciągle tkwił? Tak daleko już domysły Ulrike nie sięgały. Zresztą – właśnie. Mówiły jedynie o domysłach, nie o faktach. Jak gdyby to było coś nowego. Niemniej jednak, jeśli Ulrike się nie myliła, musiała na razie siedzieć cicho. Jeszcze przez chwilę. Anna czuła, że do czegoś się zbliża. Po ostatniej wizycie na cmentarzu w jej głowie zaczęła się klarować pewna teoria, z którą wołała się na razie nie zdradzać. Najzwyczajniej w świecie bała się reakcji – policji, Ebelinga, nawet Leona. Nie miała pojęcia, czego może się po nich spodziewać. Ludzie różnie reagowali na podobne rewelacje, poza tym Anna nie miała pewności. Jej teoria zawierała sporo luk. Musiała sprawdzić jeszcze parę rzeczy, pójść w kilka miejsc. Ale jeśli się nie myliła, to Moritz Engel, który spłonął na cmentarzu, pasowałby do całego obrazka doskonale. Podobnie jak matka Rudolfa. Dlatego od razu uznała, że informacje o tych wydarzeniach są ważne i się ich uczepliła. Nie mogła wyrzucić z głowy swoich domysłów, nawet jeśli jeszcze wydawały jej się dość absurdalne. Ale kiedy przeczytała o Moritzu Englu i Klarze Farkas, mgliste skojarzenie nagle nabrało więcej sensu. Nie wpadłaby na to, gdyby w przeszłości nie miała do czynienia z podobnym problemem. Bo żeby na to wpaść, trzeba wydostać się poza pewne schematy myślenia. A nawet... odrzucić zdrowy rozsądek, który podpowiada, że musi być jakieś inne wyjście. Musiała poskładać to w całość. Jeśli się jednak myliła...

– Ulrike?

– Jestem. Myślałam, że zemdlałaś z wrażenia.

– Nie zemdlałam z wrażenia, kiedy seryjny zabójca pokazał mi środkowy palec na sali sądowej, a później złapał się za krocze.

– Yyyy... Rozumiem.

– No dobrze, to tak. Nie mów na razie nic nikomu. Najlepiej zapomnij, że

powiedziałaś mnie i że sama na coś takiego wpadłaś. Wyłącz ten cholerny film.

– Ale...

– W swoim czasie powiemy policji.

– W swoim? Czyli kiedy?

– Niedługo.

– Ty już wiesz, prawda? Rozwiązałaś to?

– Jeszcze nie. Ale mam pomysł.

– Powiedz mi tylko, czy on jest niewinny. Ernst. Muszę to wiedzieć – poprosiła dziewczyna. Mówiła przez nos. Albo miała katar, albo płakała. Anna domyślała się, że to drugie. Niestety, nie mogła jeszcze poprawić ani zepsuć jej humoru.

– Odezwę się do ciebie, Ulrike. Proszę, nie rób głupot.

Nikomu nie mów.

– Ale przecież...

– Obyś miała rację. Trzymaj się. Uważaj na siebie. Ulrike zaczęła coś mówić, chciała chyba zaprotestować, ale Anna już się rozłączyła. Opadła na krzesło i pokręciła głową. Leon i Thomas wpatrywali się w nią jak w obrazek. Teraz naprawdę chciało jej się śmiać.

– No co? Dajcie mi kawy.

– Nie żebym się wymądrzał, ale czy z tej rozmowy nie wynika dla nas taka piękna puenta, że Ulrike Seinfeld coś wie, a ty właśnie kazałaś jej nie iść z tym na policję? Anka, to już się przestaje robić śmieszne – skwitował Leon.

– Wiemy dużo rzeczy, z którymi nie idziemy na policję. Ale nie martw się, Lajon. Thomas czuwa nad tym, by organy ścigania nie błędziły jak dzieci we mgle. Po prostu nie chcę wyjawiać roli Chany. Kobieta nie żyje. Niech jej już nie ruszają.

– Mhm. Super. A kogo tym razem nie chcemy ruszać, że znowu nie idziemy na policję?

– Ernsta.

– Anka, czy ona...

– Domyśla się, gdzie jest.

– I ty...

– Nie powiem wam. Na razie.

Leon patrzył na nią przez chwilę z niedowierzaniem, po czym podał jej kawę. Z mlekiem i cukrem, czyli taką, jakiej nie cierpiała. Następnie lodowatym tonem oświadczył, że innej nie zrobi, bo się właśnie skończyła. Ebeling parsknął cicho i zabrał się za drugą kanapkę. Posłał Annie przelotne spojrzenie, w którym jednak nie było niechęci. Raczej uznanie.

Poprawiła się na krześle, upiła łyk wstrętnej kawy i kiwnęła głową na emerytowanego policjanta.

– Żuj szybciej. Czekaemy na twoją historię.

– Daj człowiekowi przełknąć – burknął Leon.

– Zapewniam, że nie ma się do czego spieszyć – wymamrotał z pełnymi ustami Thomas.

\*\*\*

Inge utkwiała w swojej asystentce Angeli uważne spojrzenie. Ale właściwie jej nie widziała. Patrzyła raczej w głąb siebie, na swoje osiągnięcia, niedaleką przeszłość, swoją głupotę i naiwność. Przecież wiedziała, że coś tu nie grało. Widziała te pieprzone zygzaki na rzeźbach i odczytała cholerne rebusy, pędziła na Rysergasse w szaleńczym tempie, wyobrażała sobie najgorsze, a później dała się omamić – zastraszyć? – jego głupią gadką, którą wygłaszał jak jakiś psychol. Nie zadała mu pytań o rzeźby, nie zadała w ogóle żadnych pytań. Tak po prostu zjedli śniadanie, pokonwersowali sobie, po czym przywiozła go do Palffy. Oświadczyła, że ma dokończyć rzeźbę. A on... się sprzeciwił. Został teraz sam w domu, bo tak ją rano wkurzył, że nie była w stanie znowu go tu ze sobą ciągnąć. Co właściwie w tej chwili robił? Zadzwoił, przeproszał. Zapewnił, że będzie pracował. Zaryzykowała. Ale właściwie? A teraz Angela... Jasny szlag!

Musiała się skupić. Zachować jasny umysł. Wstała z krzesła, obeszła biurko i stanęła przed dziewczyną. No przecież... to było chore! I dlaczego właściwie nie czuła się aż tak zaskoczona, jak powinna? Z trudem przełknęła ślinę i uniosła głowę. Nie cierpiała rozmawiać o takich sprawach, ale tym razem nie miała wyjścia. Wiele mogło się teraz wyjaśnić. Albo jeszcze bardziej skomplikować.

– Jesteś pewna? – zapytała.

Angela spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Pewna? Przecież pokazałam ci papier od lekarza!

Przeczytałaś to w ogóle? Leży na biurku.

Oczy dziewczyny zrobiły się okrągłe jak spodki i Inge wiedziała, że zaraz się rozbeczy. Poklepała ją nieporadnie po ramieniu.

– A Frieda?

– No, ona nie ma aż takiego dużego problemu, jak ja. Ale rozmawiałyśmy i mówi, że też cierpi na drobny... dyskomfort. Otarcia... i takie tam. Ale nic groźnego. Nie powiedziałyby, że... No wiesz.

– Ja pierdolę – jęknęła Inge i zapadła się w sobie.

– Natomiast jeśli chodzi o mnie, to też miałam... dolegliwości, ale z początku nie skojarzyłam, o co chodzi. W końcu nie mogłam wytrzymać i poszłam do lekarza, a on mnie zbadał i uznał za skończoną wariatkę. Żebyś wiedziała, jak ja się tam czułam. Coś okropnego. Kładę się na tę leżankę, ten mnie bada, po czym gapi mi się w twarz i mówi, że przecież powinnam wiedzieć, na co jestem uczulona. O mój Boże! Co za upokorzenie.

– Swoją drogą – faktycznie powinnaś wiedzieć, że masz uczulenie na lateks.

– No przecież wiem! Ale nie wszystkie działają na mnie aż tak źle. Są przecież inne tworzywa...

– Świetnie – mruknęła Inge i zgarbiła się jeszcze bardziej.

– W każdym razie Michael Niklaus na pewno nie pomyślał, że mogę być uczulona. Właściwie mam teraz problem. Chciałam się z nim przespać, prowokowałam go, nawet tutaj, wczoraj. Nie opierałabym się. I z tego powodu nie rozumiem, dlaczego zrobił to w taki sposób. Chodziło mu o Friedę? Że... chciał nas obie? I mogłybyśmy się nie zgodzić na trójkąt? A tak, to w sumie można powiedzieć, że Michael nas... uspił i zgwałcił.

Angela wzruszyła ramionami i usiadła na brzegu krzesła. Wyglądała na bardziej zdezorientowaną niż przestraszona. Na pewno czuła się skrzywdzona, ale też zupełnie nie rozumiała, co zaszło. Inge również tego nie rozumiała, ale wiedziała jedno. W jej głowie wciąż kołatało się to sformułowanie: „Dlaczego zrobił to w taki sposób?”. Tak wyraziła się Angela. A Rudolf Steinbeck zapytał: „Jak to z tobą zrobił”? Czy te dwie frazy nie były do siebie przerażająco podobne?

Musiała działać. Zdobyć jakieś konkrety, zanim będzie za późno. Bo na razie niewiele miała. Stała przed Angellą i chwyciła ją za rękę. Dziewczyna była zaskoczona. Ten gest nie pasował do Inge Altman.

– Zrób badania na obecność środków odurzających.

Teraz.

– Ale przecież od piątkowego wieczoru minęły dwie doby. Już dawno wszystko się ulotniło.

– Na wszelki wypadek zrób. I Frieda. Niech idzie też do... ginekologa.

– Nie jest na to za późno? I co ty w ogóle sugerujesz?

– Nie wiem, czy jest za późno! Ale i tak niech idzie. I ty też. A później zgłóście się na policję.

– Inge!

Angela poderwała się z krzesła i pobladła. Widać było, że wizyta na policji przeraża ją bardziej niż świadomość, że została wykorzystana.

– Posłuchaj – zaczęła drżącym głosem. – Nie chcę, żeby Michael miał kłopoty. Nie powinien... Ale sama ci powiedziałam, że mu się narzucałam. Prowokowałam go. Nie rozumiem tylko...

– Nie rozumiesz, właśnie. Uważasz, że to, co zrobił, było całkiem normalne, tak?

– Nie do końca.

– Otóż to! – zawołała Inge, zanim dziewczyna zdążyła coś dodać. – Nie do końca. A jeśli takich jak ty było więcej? Albo będzie? Pomyślałaś o tym, że może nie wszystkie go wcześniej prowokują?

– Czy ty... próbujesz mi powiedzieć...

– Nic nie próbuję. Idź na policję i powiedz prawdę.

Zrobisz to? Angela! Zrobisz?

Asystentka powoli pokiwała głową. Kiedy wyszła z gabinetu, Inge oparła się o drzwi i uderzyła w nie pięściami. Wszystko się pieprzyło, dosłownie wszystko! Ale Michael Niklaus nie był niewiniątkiem. O nie! Widziała to w jego oczach. To... szaleństwo. Bała się go. Teraz już, kiedy Angela wyjawiała jej swój sekret, wiedziała, że nie martwiła się na próżno. Coś było nie tak. Z Michaeliem i... z Rudolfem. Inge nie miała nadal pojęcia, co. Uderzył ją jednak sposób, w jaki Michael sprzeciwił się wczoraj dalszej

pracy nad swoją rzeźbą. Zareagował agresywnie, a jednocześnie z paniką. Jakby przerażała go perspektywa ponownego sięgnięcia po narzędzia. Po rylce... On coś ukrywał. Inge musiała się dowiedzieć, co. I rozwiązać zagadkę dziwnych szyfrów, o które teraz już nie zamierzała pytać go wprost. A to, że wykorzystał Angelę i Friedę, pozostawało faktem. Dziewczyna miała wyniki badań, czarno na białym. Można było z nich odczytać, że ktoś odbył z nią stosunek i zabezpieczył się, zakładając prezerwatywę. Ona była uczulona na lateks. Koniec, kropka. Teraz musieli jej tylko uwierzyć, że na pewno chodzi o Niklausa, a nie o kogoś innego. Łatwo mógł się wszystkiego wyprzeć. Jedyna nadzieja w Friedzie...

Inge przypomniała sobie nagle oskarżenia, które przed dziesięcioma laty wystosowały studentki przeciwko profesorowi Steinbeckowi. Czyżby szło o coś podobnego? Nie, niemożliwe. Nie profesor. Chyba że nie znała go tak dobrze, jak jej się wydawało.

Chwyliła torebkę i wybiegła z gabinetu. Po chwili była już w samochodzie i przekręcała klucz w stacyjce. Musiała dotrzeć na Rysergasse. Tylko co potem?

\*\*\*

Ulrike Seinfeld dotarła na Rysergasse i rozejrzała się niespokojnie. Wiedziała, gdzie mieszka Michael Niklaus, bo Ernst mówił jej o tym jakiś milion razy. Że w dzielnicy Mauer, że blisko kościoła Wotruby, na tle którego miał prawdziwą obsesję. Że gdzieś w krzakach... Ulrike zadrżała na myśl o tym, jak blisko domu Niklausa byli wtedy z Anną i Leonem. Przystanęła na widok ceglasterowego dachu wyzierającego pomiędzy gęstych gałęzi. Musiał mieć tu przyjemne życie. Zieleń, cisza, piękna okolica i równie piękny dom, nieopodal Las Wiedeński, a kilka kilometrów stąd centrum jednego z najwspanialszych miast w Europie. Niektórym życie jakoś się układało. Ulrike jednak miała dziwne przeczucie, że dobra passa Michaela Niklausa nie potrwa długo. Nie wiedziała, co tu zastanie i dlaczego właściwie zdecydowała się przyjechać, ale nie mogła siedzieć w domu i oglądać *Dzwonnika z Notre Dame*, bo wtedy przychodziły jej do głowy głupie pomysły. Poza tym Anna Lindholm znowu ją zbyła. Ulrike chętnie dałaby sobie spokój z tą nieprzewidywalną kobietą, ale nie miała żadnej alternatywy. Ani jednego pomysłu, do kogo jeszcze mogłaby się zwrócić o pomoc. Musiała przyznać, że do pewnego stopnia los Ernsta Bauera leżał w rękach tej Szwedki. Polki. Nieważne. Lindholm wiedziała, co robi, nawet jeśli wcale na to nie wyglądało. A przynajmniej Ulrike miała taką nadzieję.

Nie potrafiła usiedzieć w miejscu i czekać, więc postanowiła... zrobić cokolwiek. Ernst od dawna już mówił, że Niklaus to podejrzany typ, ale słuchała go jednym uchem. Zawierania towarzyskie rzeźbiarskiego kółka wzajemnej adoracji nic jej nie

obchodziły. Teraz jednak sytuacja się zmieniła i pod kościołem Wotruby Ernst wyraźnie podkreślił swoje podejrzenia względem tego faceta. I nawet jeśli znowu się nie odzywał i zaszył... tam, gdzie Ulrike podejrzewała, z pewnością liczył na pomoc. Ich. Jej. Nie mogła siedzieć z założonymi rękami. Musiała przyjrzeć się Niklausowi. I przede wszystkim – jego rzeźbom.

Obeszła dom Niklausa, wsunęła się między krzaki i oparła dłonie na drewnianym płocie. Czy były tutaj kamery? Alarm? Oczywiście, że były. Czego się spodziewała? Ale na podjeździe tkwił samochód właściciela, a okna pootwierano na oścież. Czyżby miała szczęście? Tak, szczęście. Nie chciała się przecież do niego włamywać, zamierzała tylko popatrzeć. Niklaus był w domu. Pracował w salonie – w całości przeszklonym. Na noc z pewnością opuszczał żaluzje antywłamaniowe, ale teraz wszystko było widać jak na dłoni. Ulrike wspięła się na palce i niewiele myśląc, przeskoczyła przez płot. Odczekała kilka sekund, ale żadna syrena nie zaczęła wyć. Na kuckach zbliżyła się nieco i zajęła miejsce między różanymi krzewami. Wstrzymała oddech. Niklaus pracował. A przynajmniej próbował. Wpatrywał się w bryłę drewna, chodził wokół niej, dotykał, obracał, stukał w nią, nacinał i ogólnie... wyglądało na to, że nie bardzo wie, co robi. Ulrike zmarszczyła brwi. Niklaus na chwilę zniknął z pola widzenia, po czym wrócił z butelką jakiegoś alkoholu. Pociągnął spory łyk i ponowił wszystkie poprzednie czynności wokół kawałka drewna. Następnie usiadł na podłodze, ukrył twarz w dłoniach i... zadrżał tak, jakby łkał. Ulrike czuła, że napinają się wszystkie jej mięśnie. Przesiedziała wśród róż prawie godzinę. Zdrętwiały jej nogi, a plecy bolały niemiłosiernie. Niklaus nie zmienił taktyki. Wciąż robił mniej więcej to samo, a repertuar czynności wzbogacił jedynie o rozbicie butelki o ścianę i rzucenie bryłą drewna na podłogę. Ulrike pokręciła głową. Wiedziała już, o co chodziło Ernstowi.

Niklaus po prostu nie potrafił rzeźbić!

Wycofała się na kuckach spod krzewów i ostrożnie wyprostowała. Kiedy odwróciła się, by przeskoczyć przez płot, napotkała uważne spojrzenie kobiety, którą знаła.

\*\*\*

Rudolf Steinbeck wsiadł do samochodu i czym prędzej odjechał spod lotniska. Chciało mu się płakać. Nie wiedział, co teraz będzie, co stanie się z nim i w ogóle ze wszystkim. Przygryzł wargę i uderzył pięścią w kierownicę. Teraz nie mógł panikować. Tylko nie teraz. Raz już postąpił głupio, kiedy poszedł do Palffy i zachowywał się przy Inge Altman jak psychopata. Na pewno nabrała podejrzeń. Takie jak ona zawsze nabierają. Samotne, nudzi im się, nic tylko praca... Kurwa! Że też musiał... wpięprzyć się w to wszystko. Taki głupi pomysł. Taki idiotyczny! Miał interes do pilnowania, to nie!

Musiał urządzić sobie prywatną wendetę. Debil!

A teraz do Wiednia przyleciała ona... Emilie Morton. Z pewnością nie tylko po to, by zidentyfikować zwłoki Angie.

\*\*\*

Komisarz Franz Weber od piętnastu minut wpatrywał się w telefon. Wreszcie uniósł go delikatnie i wybrał numer. Z komórką przy uchu przemknął przez gabinet i zamknął drzwi. Kiedy usłyszał głos młodej kobiety, która uprzejmie zapytała, w czym może pomóc, poprosił o połączenie z inspektorem Neumannem. Odczekał kolejną minutę, wystukując palcami o biurko rytm prostej melodyjki.

– Słucham?

– Wanke, ten bankier – zaczął bez ogródek.

– O nie – jęknął Neumann. – Tylko nie mów, że kogoś zamordował i teraz będziesz mi się wpierdalał.

– Czyli to prawda. Pracujecie nad nim.

– Popęłnił kilka błędów. Niektórym ten biznes wychodzi lepiej, innym gorzej. Ale może wsypie kilku kolegów. Nikt nie lubi tonąć sam.

– Obrazy, rzeźby?

– Jedno i drugie, nawet jakieś pieprzone arrasy.

– Żydowskie?

– Głównie.

– Kurwa!

– Zgadza się.

– No dobra...

– Wiedziałem, że dopiero się rozkręcasz.

– Mógłbyś mu na przykład coś obiecać. Dajmy na to...

że go nie wsadzisz.

– W ogóle?

– W ogóle.

– Zapomnij.

– Nie skończyłem. Nie wsadzisz go, jeśli wsypie jedną konkretną osobę. A jak już dostaniesz ją, to reszta pójdzie z górki. Wanke to pionek. Ma słabość do pięknych rzeczy i tyle. Takich z historią w tle.

– Zapomnij – powtórzył Neumann, ale już bez przekonania. – Skąd w ogóle o nim wiesz? Pilnowaliśmy tej informacji i mamy cynk od niedawna – zainteresował się.

– Nieważne. To co? Jeśli Wanke poda ci na tacy grubą rybę, takiego całkiem wypasionego łososa, z cytryną i w ziołach, podarujesz mu więzienie?



- Mam się z tobą podzielić kawałkiem tej ryby, jak rozumiem?
- Zjem tę najbardziej ościstą część. Neumann zarechotał.

\*\*\*

Inge na przemian zaciskała i rozluźniała palce na kierownicy. Dziewczyna na siedzeniu pasażera milczała. Była całkiem ładna, ale w tej chwili wyglądała na zgnębioną i zmęczoną. Przestraszyła się na widok Inge i rozpoznała ją natychmiast. Ulrike Seinfeld, sprzątaczką Ernsta Bauera. Lojalna i rzetelna. Jakie jego tajemnice znała? Z takiej osoby Inge nie mogła zrobić sobie wroga. A poza tym – naprawdę zaczęła myśleć, że Bauer jest niewinny. Nigdy właściwie nie zastanowiła się nad jego ewentualną winą. Po prostu przyjęła jako fakt, że skoro uciekł, to musiał mieć powód. I miał. Tylko pewnie inny, niż sądziła. Była zaślepiona Niklausem, jego talentem, ich wspólnymi planami, projektowała sobie w głowie wystawy, oszalałymi sukces i wielkie pieniądze. *J e g o t a l e n t e m.* Ta dziewczyna, Ulrike Seinfeld, powiedziała na głos to, co od niedawna Inge przeczuwała. A kiedy zobaczyła litery na rzeźbach, kiedy odczytała słowa... Ta myśl powinna się skryształizować, nabrać konkretnych kształtów. Ale ona wciąż spychała ją gdzieś na obrzeża świadomości i nie pozwalała dojść do głosu. Choć przecież wczorajszy bunt Niklausem w Palffy powinien podzielać jak kubeł zimnej wody. On nie mógł odpowiedzieć na pytanie o zaszyfowaną na eksponatach informację. Bo to nie on był jej autorem! Nie on rzeźbił! Od samego początku oszukiwał! Ją i w ogóle wszystkich. Jak to możliwe, że nikt się nie zorientował? Jak mu się to udało? I kto – KTO?! – rzeźbił za niego? Dlaczego się na to zgodził i jakie otrzymał wynagrodzenie? A może został do tego zmuszony?

Inge obróciła głowę i spojrzała na Ulrike. Dziewczyna gniotła w dłoniach materiał spódnicy.

- Ulrike – szepnęła. – Ja nic z tego nie rozumiem. Jeśli nie on... to kto? I dlaczego?
- Chyba wiem.
- Słucham? Nie powiedziałaś policji?
- Mówiłam policji o wielu domysłach, ale oni domysły mają gdzieś. Nic z nimi nie zrobią. Potrzebne są dowody, a ja...
- Chcesz pomóc Ernstowi.
- On...
- Rozumiem cię. Ale nie wiem, co zamierzasz. Nie wiem, co Niklaus zamierza. Może być niebezpieczny. Coś jednak musimy zrobić, nawet jeśli nie mamy dowodów. Może wrócimy tam i zrobimy mu jakieś zdjęcie albo...
- Nie. Ruszaj. Jedź na Klostersgasse.
- Dokąd?

- Tylko mi nie mów, że nie wiesz, gdzie to jest!
- Wiem.
- No to w drogę.
- Dlaczego mam ci zaufać?
- Bo nie masz alternatywy. Zupełnie jak ja.

Inge przekreśliła kluczyk w stacyjce i wrzuciła bieg. Ulrike wyjęła z kieszeni telefon, połączyła się z kimś i zapowiedziała z wizytą. Inge zrozumiała z tego tylko urywki. Jakaś „Anna”, jakiś „Ebeling”. I jeszcze „lepiej, żeby komendant na nas zaczekał”. To ostatnie brzmiało dobrze. Jeśli w grę wchodziła policja, Inge mogła mieć nadzieję, że nie zostanie za chwilę zakłuta rylcem, jak Marlene i Angie...

## Rozdział 22

Anna dopiła paskudną kawę, którą Leon doprawił nutką złośliwości. Na dnie pozostała gruda nierozmieszanego cukru. Ebeling umilkł i zaczął się bawić rogiem obrusa. Widziała, że nie był zadowolony. Spędził ponad czternaście godzin w pociągu i niecałe sześć w Tyrolu, który to czas podzielił między dwie wizyty. Ostatecznie – nie było aż tak źle. Pomyślała, że Brit i Lola równie dobrze mogły go wywalić na zbity pysk, jak obcego natrętnego dziada, który wziął się nie wiadomo skąd i rozpytuje o trudną przeszłość. Ebeling nie miał nawet odznaki, a fakt, że przypominał Stevena Tylera, raczej przeszkadzał niż w czymkolwiek pomagał. One jednak wcale go nie wyrzuciły. Brit Holberg, która mieszkała w Leinzu, przywitała się z Thomasem uprzejmie, z zainteresowaniem obejrzała dowód, pokiwała głową, kiedy usłyszała powód wizyty, i zaproponowała herbatkę. Miała akurat popołudniową przerwę w pracy, ale raz na jakiś czas zerkała na zegarek i jasne było, że tamtego dnia nie zapięła na ostatni guzik wszystkich swoich obowiązków. Lola Martinez z Kufstein była bardziej odprężona. W niedzielę nigdy nie pracowała, chyba że trafiła się jakaś nagła sytuacja. Poza tym zanim Ebeling dotarł pociągiem do Kufstein, została już uprzedzona o jego wizycie przez Brit. Otworzyła mu drzwi z uśmiechem i od razu zaprosiła na domowej roboty ciasto, a później postawiła na stole kolację w iście hiszpańskim stylu. Postarała się, specjalnie dla niego. Paplała, jak to na co dzień odeszła od tradycyjnych rodzimych wypieków na rzecz lokalnych przysmaków i choć klimat w Austrii jest nieco ostrzejszy niż w Hiszpanii, bardzo jej się tu podoba i nie zamierza wracać. Oczywiście także z uwagi na fakt, że zaprzyjaźniła się z Brit, a o prawdziwych przyjaciół i bratnie dusze w dzisiejszym świecie trudno, więc takie relacje trzeba pielęgnować. Wszystko razem brzmiało pięknie i bardzo powieściowo, prawie jak w *Tajemniczym ogrodzie* albo innej *Ani z Zielonego Wzgórza*.

Ebeling poczuł się tym mocno zainspirowany. Nawet mu powieka nie drgnęła, kiedy tłumaczył kobietom, że niedawno przeszedł na emeryturę i zamierza... napisać książkę o słynnych współczesnych wiedeńskich artystach. Zawsze miał takie marzenie, a teraz wreszcie zyskał trochę czasu, by je zrealizować. I oczywiście stanął przed nie lada problemem, kiedy dotarł do postaci Karla Steinbecka. Niby wielki rzeźbiarz, autorytet, kolekcjoner, ale jednak z rysą na życiorysie. Thomas musiał dowiedzieć się co nieco, zanim przystąpi do sporządzania swojego wielkiego dzieła. Jeśli okazałoby się, że faktycznie profesor był draniem i kanalią, zamierzał go w opracowaniu rozmyślnie pominąć. Dlatego postanowił odwiedzić miłe panie aż w Tyrolu, by zdobyć – dla siebie samego – niezbędne informacje. Przynajmniej szczątkowe.

– I one to kupiły? – zapytał z powątpiewaniem Leon.

– Na to wygląda. Albo dobrze udawały – odparł komendant.

– Pewnie udawały, bo nie powiedziały właściwie nic – mruknęła Anna w zamyśleniu. Coś w słowach Ebelinga nie dawało jej spokoju.

– Tylko tyle, że trochę je wtedy poniosło – przyznał zrezygnowany. – Profesor zaniżył im oceny, straciły szansę na stypendia, wkurzyły się i zaplanowały zemstę. Ale zemsta nie wyszła. Miały wyrzuty sumienia, że Steinbecka spotkały kłopoty i musiał

odejść z uczelni. Trochę poniewczasie przemyślały sobie to wszystko. Same również wkrótce wyjechały z Wiednia, zaszyły się w górach i starają się żyć uczciwie. Bardzo im przykro, że profesor miał taki paskudny wypadek i to w dodatku we własnym domu.

– Jasne... – mruknęła Anna i potarła dłonią czoło. – A nie wspominały o swoich koleżankach? Jednej martwej, drugiej z psychiatryka? I o broszkach z orłem?

– O koleżankach wspomniały. Twierdzą, że Danni i Emilie nie poradziły sobie z wyrzutami sumienia, złamały człowiekowi karierę i tak dalej. Że „różnie z tym bywa”. A o broszkach nawet się nie zająknęły. Nie miały pojęcia, o czym mówiłem.

– No tak. Nie miały pojęcia. Różnie z tym bywa. Czyli Brit i Lola jakoś sobie poradziły...

– Na to wygląda. I tak mniej więcej sobie pogadaliśmy. Obie wspominały stare czasy, spotkania w domu profesora, dyskusje o sztuce, najpiękniejszy czas w życiu, bla, bla, jaka szkoda, że tak się idiotycznie zachowały. Starają się trzymać z dala od Wiednia, żeby nie budzić bolesnych wspomnień, dobrze im w małych miasteczkach, żyją spokojnie i zerwały na dobre ze sztuką na rzecz praktyczniejszych zawodów.

Anna drgnęła. Właśnie o to nie zapytała. Wiedziała, że coś musiała przeoczyć. Podeszła do fotela, na którym siedział Ebeling, i przycupnęła na oparciu.

– Thomas. A co one teraz właściwie robią? Były komendant roześmiał się i pokręcił głową.

– W życiu byś nie zgadła...

– Coś z branżą, że tak to ujmę, funeralną? – zaryzykowała i na moment przestała oddychać.

Ebeling rzucił jej przenikliwe spojrzenie i prawie upuścił kubek z herbatą.

– Skąd wiesz? – wykrztusił. – Brit... hm... prowadzi zakład pogrzebowy. A Lola szyje odzież żałobną. Podsyłają sobie nawzajem... hm... klientów.

Leon wydawał się tak zdezorientowany, że nawet nie zabrał głosu, a Anna poderwała się i zaczęła nerwowo spacerować po pokoju. Wiedziała już, co w słowach Ebelinga tak ją uderzyło. „O prawdziwych przyjaciół i bratnie dusze w dzisiejszym świecie trudno, więc takie relacje trzeba pielęgnować”. Oczywiście! Oczywiście, że tak. Teraz już rozumiała, dlaczego jedna dziewczyna wylądowała na cmentarzu, a druga w psychiatryku. „Różnie z tym bywa”. No pewnie, że różnie! Wszystko do siebie pasowało. Brit, Lola, Danni, Emilie, Michael – każde z innego miejsca na świecie. Profesor i Klara Farkas, która zabiła się na cmentarzu. Zabiła się? Sama? Każdy skądś... każdy musiał tu przyjechać. To on ich zebrał. Bratnie dusze, o które trudno w dzisiejszym świecie. Cmentarz centralny, cmentarz w ogóle, groby. Grobowiec Engłów i podpalony chłopak. Coś musiało pójść nie tak... I ktoś to widział. On to widział, a wcześniej dowiedział się o Klarze Farkas... Orzeł na broszkach, na grobie, wszędzie w Wiedniu. Obsesja Habsburgów dotycząca pogrzebowych ceremonii. I sam Wiedeń, z wielkim cmentarzem, z muzeum pochówków, z kryptami cesarskimi i katedrą św. Szczepana, zbudowaną z kamieni, które zdjęto z dawnych mogił. Przestrzeń idealna. Kiedyś w przewodniku przeczytała, że Cmentarz Centralny to afrodyzjak dla... Tak właśnie! Jasna cholera... Brit i jej zakład pogrzebowy. Lola i odzież żałobna. Czyli miała rację. Jej domysły okazały się słuszne. A przecież sama tak do końca nie potrafiła w to uwierzyć.

Michael Niklaus. Rudolf Steinbeck, czy raczej – Farkas. Angie, która rzeźbiła. Marlene, która się o tym dowiedziała. Tak właśnie musiało być. Anna wciągnęła gwałtownie powietrze i stanęła na środku pokoju. Leon i Thomas przyglądali się jej teraz już z jawnym niepokojem. Ciszę przerwał dźwięk telefonu. Anna zerknęła na wyświetlacz i czym prędzej odebrała. Przez chwilę słuchała w milczeniu, a później powiedziała tylko:

– Nie ma sprawy, przyjeżdżajcie, wszyscy są. Ja, Leon i komendant Ebeling. Czekamy.

Odłożyła komórkę na stół.

– Anka? – odezwał się ostrożnie Leon. – Jacyś goście czy coś? Skoczyć po kawę? Bo przecież... resztę zużyłem na tę z cukrem i z mlekiem dla ciebie i w razie gdyby...

Zamknij się! Nikt stąd nie wychodzi.

Ponownie zaczęła przechadzać się po pokoju i musiała wyglądać groźnie, bo żaden z nich się nie odzywał. Albo po prostu uznali, że ma atak paranoi. Ona tymczasem układała sobie w głowie całe te chore puzzle. Kiedy po godzinie w drzwiach stanęła Ulrike Seinfeld w towarzystwie Inge Altman, była niemal pewna, co od nich usłyszy. Ale pozwoliła kobietom opowiedzieć całą historię, od początku do końca. O Niklausie, który nie umiał rzeźbić, ale bardzo chciał, i który próbował się zabić, a później odurzył i wykorzystał dwie kobiety. Może nawet trzy, bo Inge Altman nie była przekonana, czy jej przypadkiem nie spotkało to samo. Wszystko pasowało. Nawet ten ostatni element. Anna nie wierzyła, że one naprawdę tu przyjechały, akurat teraz, kiedy potrzebowała się upewnić co do Niklause. Miała rację. Musiała mieć.

Dawniej już widziała kogoś podobnego. Rozmawiała z kimś podobnym. W Ystad. Kobiety skończyły opowiadać i Anna ponownie stanęła przed Ebelingiem.

– Musisz mi załatwić jakiś namiar na Emilie Morton.

Miała dzisiaj przylecieć do Wiednia.

– Przyleciała – potwierdził Ebeling, zupełnie oszołomiony.

– Muszę z nią porozmawiać. A później ty będziesz musiał porozmawiać z tym twoim komisarzem.

– Jestem z nim umówiony dziś o dwudziestą.

– W takim razie się pośpiesz i znajdź mi Emilie Morton.

– Teraz?

– Tak by było najlepiej. Odprowadzę cię do metra i po drodze porozmawiamy.

Ebeling powoli podniósł się z krzesła. Nikt się nie odzywał. Anna z zaciętym wyrazem twarzy wpatrywała się w byłego komendanta.

– Postaram się, ale...

– Nie staraj się. Zrób to – przerwała.

– Ty już wiesz, prawda?

Nie odpowiedziała. Wymienili tylko porozumiewawcze spojrzenia i Ebeling uśmiechnął się lekko.

\*\*\*

Ernst Bauer ukończył swoje dzieło i nie mógł się pozbyć uczucia pustki. Co teraz? Czy dostanie nowe zajęcie? Bardzo by tego chciał. Nie mógł siedzieć beczynnie. Nie mógł też stąd wyjść. A ten drewniany Chrystus był jego najlepszym dziełem. Z początku ociagał się, uważał, że to głupi pomysł, nie czuł się na siłach, a ze sztuką sakralną nie miał żadnych doświadczeń. Orzeł na nagrobku profesora Steinbecka się nie liczył. Był... bezwyznaniowy. Jeśli zaś chodziło o Chrystusa, to uważał sytuację za kuriozalną. Mesjasza nie powinien rzeźbić ateista o żydowskich korzeniach. A jednak dostał coś w zamian. Jego obecne położenie nie pozwalało za bardzo przebierać w ofertach. Poza tym tutaj był bezpieczny. I na dodatek – potrzebny. Były mu wdzięczne za to, co robił. Przynosiły jedzenie, prały ubranie. Niektóre mówiły, inne tylko się uśmiechały albo patrzyły, jak mu się zdawało, ze zrozumieniem. Kobiety w czerni. Kobiety, które łączyła szczególna, bardzo silna więź. Nie rozumiał ich, ale szanował. Każdy dokonywał w życiu jakichś wyborów. On sam kilku z pewnością żałował.

I czekał. Aż ktoś go stąd wypuści.

Kobieta w czarnym welonie postawiła talerz na stole. Obrzuciła uważnym spojrzeniem drewnianego Chrystusa, ukończonego, perfekcyjnego. Ernst dostrzegł błysk podziwu w jej oczach. Teraz już miał pewność. Otrzyma kolejne zadanie.

\*\*\*

Emilie Morton weszła do Museumsquartier i poczuła się zagubiona. Zewsząd otaczały ją dźwięki i zapachy, mijali ją ludzie mówiący w różnych językach, odmienni pod względem ubioru i koloru skóry. Wieża Babel świata sztuki. Zauważyła, że to miejsce bardzo się rozwinęło i wiele się zmieniło. Było pięknie, bogato i kolorowo. Muzeum Leopoldów robiło wrażenie i nie wyglądało na placówkę, która musiała zapłacić gigantyczne odszkodowanie spadkobiercom Lei Bondi Jaray. Przy wejściu tłoczyła się jakaś wycieczka, a billboard dumnie zapowiadał głośną wystawę. I dobrze. Rudolf Leopold kupił kradziony obraz Egona Schielego. Nie on jeden. Wielu zaślepiąła miłość do sztuki i kolekcjonerska pasja. A zakazany owoc zawsze przecież wydaje się najsmaczniejszy.

Emilie obróciła się dookoła i poszukała wzrokiem kawiarni, w której miała się zobaczyć z jakąś Anną Lindholm. Nie wiedziała, czy dobrze robiła, zgadzając się na to spotkanie, ale najpierw odebrała telefon od pewnego emerytowanego komendanta,

a później odezwał się także sam komisarz Franz Weber, który prowadził sprawę zabójstwa Angie. Emerytowany komendant prosił, by zechciała porozmawiać z Anną Lindholm, bo ta kobieta miała ponoć wiedzieć, co przytrafiło się jej siostrze. I chciała złożyć Emilie propozycję. Komisarz Weber, który zatelefonował godzinę później, przyłączył się do prośby, choć brzmiał tak, jak gdyby był zły na samego siebie i w ogóle na cały świat. Nie sprawiał wrażenia przekonanego co do słuszności swojego własnego zachowania. Emilie poczuła się skołowana. Ostatecznie przekonało ją zapewnienie, że do Museumsquartier zostanie odeskortowana przez policjanta, który nie spuści z niej oka przez całe spotkanie. Teraz mężczyzna udał się do kawiarni, by, jak to ujął, „sprawdzić teren”. Co dokładnie miał na myśli – tego nie wiedziała. Odnosiła jednak wrażenie, że ten młody chłopak, który odgrywał teraz rolę jej „ochroniarza”, nie stanowił całej obstawy. Ktoś z pewnością jeszcze się tu kręcił. Obserwował ją. Coś się działo. Coś ważnego.

A przecież Emilie nie przyjechała do Wiednia, by rozgrzebywać przeszłość. Myślała, że zdoła jedynie się nad nią prześliznąć, tak by nie ubrudzić sobie rąk. Ponownie. Zadrzała na myśl o tym, co wydarzyło się przed dziesięcioma laty. Nie mogła później dać sobie rady z życiem. Przed oczami wciąż odmalowywały się obrazy, wciąż ukazywały twarze. Brit i Lola ze wszystkim się uporały, ale ona nie potrafiła. Podobnie jak Danni. Biedna Danni... Okazała się najsłabsza z nich wszystkich, choć przecież uważały ją za najsilniejszą. Była ich niepisaną liderką. To ona... wszystko załatwiła. Wtedy, na cmentarzu. Przyniosła z samochodu niezbędne rzeczy, a później puściła się w pogoń za tamtym chłopakiem i znalazła jego zgubę. Dokumenty, które wypadły mu z kieszeni. To dzięki niej się wtedy uratowały. A teraz nie żyła. Trafiła znowu w to miejsce. Na cmentarz. Emilie zaś przez kilka lat egzystowała zamknięta w czterech ścianach i wmawiała sobie, że się wyleczy. Ale jak mogła się wyleczyć, skoro nikomu nie powiedziała, co jej naprawdę dolega? I że tak naprawdę wcale nie czuje się chora? Przez tak długi czas patrzyła na osoby pogrążone w głębokiej depresji, ze schizofrenią, obsesjami, ciężkimi nerwicami, na osoby słyszące głosy i widzące rzeczy, które istniały tylko w ich głowach, a mimo to nawet na chwilę nie poczuła się wariatką. Nie była nienormalna. Była po prostu inna. I ta inność doprowadziła do tragedii.

Biedna Angie... Żle to wszystko zrozumiała, a teraz nie żyła. Emilie dobrze wiedziała, komu musiała się narazić. A raczej – że naraziła się jednemu z nich. Tylko któremu? Chciałaby poznać prawdę, a jednocześnie bała się znowu patrzeć na ich twarze. Byli niebezpieczni. Wiedziała o tym, kiedy wsiadała do samolotu. Przyleciała jednak, bo Angie zginęła przez nią. Gdyby wyznała siostrze prawdę, to wszystko nigdy by się nie wydarzyło. Angie zostałaby w Stanach. Pewnie nie odezwałaby się już do Emilie słowem, ale byłaby bezpieczna. A teraz, teraz...

Oczy Emilie zaszły łzami. To jej wina. Tylko jej. Powinna była powiedzieć prawdę. Swojej siostrze, lekarzom w szpitalu psychiatrycznym, a przede wszystkim – policji, dziesięć lat temu. Nie czuła się nienormalna, ale przecież ktoś ucierpiał. Tu już nie chodziło tylko o życie w zgodzie z własną innością. Chodziło o wyrządzone zło. Tamten chłopak je widział. I to wystarczyło, by wszystko się rozsypało.

A jeśli mogła jeszcze coś naprawić? Teraz, po latach? Nie była w stanie wskrzesić zmarłych, ale może dało się zrobić coś innego? Emilie poczuła nagle w sobie odwagę,

o jaką nigdy się wcześniej nie podejrzewała. Angie zginęła przez nią. Co zrobiła, czego się dopuściła i komu zaszkodziła, pozostawało kwestią drugorzędną. Nie знаła prawdy. A zatem Emilie musiała tę prawdę wyznać. Na wiele rzeczy było już teraz za późno. Ale nie na to, by dorwać... jego. Nie na to! Nawet gdyby jej samej przyszło ponieść karę. Przecież i tak na nią zasługiwała.

Policjant wyszedł z kawiarni i dał znak. Wzięła głęboki wdech i ruszyła przed siebie. Zauważyła siedzącą przy oknie czarnowłosą, szczupłą kobietę. Na stoliku leżała ulotka z muzeum pochówku. Emilie przystanęła w progu i prawie się roześmiała. To na pewno była Anna Lindholm. I wiedziała o wszystkim.

\*\*\*

Anna pojechała do muzeum pochówków tylko po to, by wziąć ulotkę. Czuła, że jeśli pojawi się w umówionym miejscu właśnie z tym dodatkiem, Emilie Morton od razu będzie wiedziała, o co chodzi. Wczytywała się teraz w opis „ekspozycji” i przecierała oczy ze zdumienia. Oczywiście znała pojęcie *Schöne Leich*, czyli piękne zwłoki. Obecne w literaturze, w melodiach nuconych w Heuriger, przesiąkniętych melancholijną kokieterią śmierci. Pojęcie, którym próbowano oswoić strach przed tym, co nieuchronne. W Wiedniu wielowymiarowe *Schöne Leich*, rodem z baroku, przetrwało w świadomości mieszkańców do dziś. Do tych, którzy dzielili z cesarską rodziną Habsburgów umiłowanie do pogrzebowego ceremoniału, wystosowywano szereg interesujących ofert. Za kilkanaście tysięcy euro można było nawet przerobić doczesne szczątki w diament... W muzeum pochówku prezentowano między innymi trumny, które dawniej mieszkańcy Wiednia kupowali na długo przed śmiercią i traktowali jako element wyposażenia domowego. Do tej pory na pogrzebach widywano wspaniałe konduktory i słuchano wynajętych profesjonalnych mówców. *Schöne Leich*... Powinna była posłuchać Leona, kiedy opowiedział jej o swoich skojarzeniach po powrocie spod kościoła Wotruby. Jemu właśnie z tym pojęciem skojarzyła się cholerna broszka z orłem. Z rodem Habsburgów, obsesją śmierci i pięknymi zwłokami. Bardzo słusznie. Od razu trafił w punkt. Ale ona szukała bardziej racjonalnego wyjaśnienia. Bardziej „zwykłego”. Ciekawe, czy Ebeling też odgadł prawdę i spychał ją właśnie na dno świadomości?

Do stolika podeszła jakaś kobieta. Utkwiła wzrok w ulotce z muzeum pochówków. Była blada i wymizerowana, choć rysy twarzy miała klasyczne, regularne, i niegdyś musiała robić wrażenie. Anna uniosła brwi i powoli odłożyła broszurkę. Ich oczy się spotkały. Nie do końca jeszcze opracowała sobie strategię działania, ale musiała najpierw zamienić z Emilie Morton kilka słów. Sprawdzić, na czym stoi. Zerknęła w bok i dojrzała znajomą twarz policjanta, z którym przywitała się przed chwilą. Pod ścianą dwóch innych policjantów popijało kawę i dyskutowało o najnowszej wystawie w Mumoku. Sytuacja



opanowana, wszyscy są bezpieczni. One są bezpieczne. Chyba.

Anna wskazała Emilie krzesło. Była podenerwowana i pobudzona, musiała się uspokoić. A przynajmniej sprawiać wrażenie opanowanej. Skupić się na tym, co było do zrobienia. Przed kilkoma miesiącami, w Ystad, Malmö i Helu, zbyt wiele bodźców ją rozpraszało. Popełniła błędy, których do tej pory nie mogła sobie wybaczyć. W Wenecji było lepiej, ale tam również myślała i działała za wolno. Skupiała się na sobie, swoich własnych problemach i słabościach. Ale miała już tego dość. Teraz musiała zrehabilitować się choć w części. Coś zrobić dobrze. Naprawić...

Ponownie skrzyżowała wzrok z Emilie Morton i już wiedziała, że się rozumiały. Ona również właśnie po to tu przyjechała. Żeby coś naprawić. Nie chciała się mścić. Czuła się winna śmierci siostry. Bo przecież w pewnym sensie była winna. Anna złożyła ulotkę i przesunęła ją na brzeg stołu.

– Wie pani, że André Heller nazwał Cmentarz Centralny w Wiedniu afrodyzjakiem dla...

– Niech pani przestanie – poprosiła Emilie drżącym głosem. Nie była zła. Raczej zmęczona.

– Jestem Anna.

– Emilie.

– Emi.

Kobieta spojrzała na nią zdziwiona.

– Tak mnie nazywała Angie.

– Wiem.

– Skąd?

– Uwieczniła zdrobnienie twojego imienia na jednej ze swoich rzeźb.

– To ona nadal rzeźbiła? Wiem, że miała talent, widziałam niejedną jej pracę, ale nigdzie ich przecież nie wystawiała...

– Uwierz mi, że w Wiedniu jest pełno jej rzeźb. W najważniejszych muzeach.

Emilie Morton potrząsnęła głową. Niewiele chyba rozumiała z tej sytuacji. Anna poczuła się nagle zupełnie spokojna. Nerwy, ściskanie w żołądku, dławienie w gardle – wszystko to, z czym w sytuacjach skrajnych nie mogła się uporać mimo kilku lat przepracowanych w policji, teraz minęło jak ręką odjął. Nabrała pewności, że jej się uda. Pochyliła się nad stołem i chwyciła dłoń Emilie.

– Angie miała wielki talent. Ponad wszelkie wyobrażenie. Masz szansę pokazać jej twórczość światu.

– Ale ona... – Broda Emilie zatrzęsała się i z oczu popłynęły łzy.

– Wiem. Możesz nam pomóc w schwytaniu tego, kto ją skrzywdził. I kto skrzywdził jeszcze jedną dziewczynę, która też niedawno straciła życie.

– Słyszałam – szepnęła kobieta i wytarła oczy chusteczką.

– Właściwie... To od ciebie wszystko zależy. Policja nigdy się do tego nie przyzna, ale nie ma nic oprócz podejrzeń. Żadnych dowodów, nic, co stanowiłoby wystarczający powód do posłania winnych tam, gdzie ich miejsce. Ale z twoją pomocą mogłoby się to udać.

– Kim ty właściwie jesteś? – zapytała nagle Emilie, ale w jej głosie nie zabrzmiały

twarde tony.

– Nikim szczególnym. – Anna machnęła ręką. – Usiłuję komuś pomóc. Komuś, kto zasługiwał na to, by znać prawdę.

– Na temat... tych morderstw?

– To dłuższa historia. Opowiem ci ją innym razem. Teraz, jeśli przystaniesz na mój plan, powinnaś poznać szczegóły. Musisz wiedzieć absolutnie wszystko. Wprowadzę cię. Naprawdę możesz pomóc. Nam i tym, którzy są niewinni, ale przede wszystkim... sobie. Bo sobie nie potrafisz wybaczyć, prawda?

– Czy ty mówisz o...

– Wydarzeniach sprzed dziesięciu lat.

– Kto ci powiedział? – Emilie, i tak dość blada, teraz zrobiła się biała jak kreda. Chwyciła w dłoń ulotkę z muzeum pochówków i zaczęła ją mechanicznie rozkładać i składać.

– Nikt. Po prostu połączyłam ze sobą elementy, których na pozór nie dawało się połączyć. A teraz masz szansę coś naprawić. Nie wszystko, ale przynajmniej część. Zaryzykujesz? Dla Angie?

– Nie będą o mnie dobrze myśleć. Ja jestem... My wszystkie... wszyscy byliśmy...

– Wiem.

– Wyślą mnie znowu do szpitala psychiatrycznego.

– Coś wymyślimy.

– Jak to możliwe, że wciąż normalnie na mnie patrzysz? Że mnie nie potępiasz za to, co robiłam? I o czym, niestety, nadal wciąż myślę.

– Widziałam w życiu gorsze rzeczy i gorszych ludzi. Uwierz mi, są tacy, jest ich mnóstwo. A poza tym mnie też nie wszyscy lubią.

Na wargach Emilie wykwitł słaby uśmiech. Powoli pokiwała głową. Anna poczuła ogromną ulgę. Miała ochotę uściskać tę obcą kobietę, której tak naprawdę zupełnie nie rozumiała. Ale to było teraz nieistotne. Musiała zadzwonić do Ebelinga, powiedzieć, że się udało i żeby wszystko uzgodnił z komisarzem Weberem. A później pozostanie już tylko trzymać kciuki. Może nawet się modlić, gdzieś, do kogoś. Byle tylko się udało. Byle się nie pomyliła. Bo jeśli się pomyliła, wszystko przepadnie. Narazi na szwank niewinne osoby i będzie miała spore kłopoty z wiedeńską policją. Wolą sobie tego nawet nie wyobrazić. Musiała myśleć pozytywnie. Bo tak naprawdę wierzyła w to, że miała rację. Po raz pierwszy od dawna zaufała sobie samej. Nie mogła teraz zawieść.

Emilie westchnęła i poruszyła się niespokojnie na krześle.

– Czyli policja nie ma nic oprócz podejrzeń?

– Zgadza się.

– Tak jak my nigdy nie mieliśmy nic oprócz...

Anna doskonale wiedziała, jakiego słowa Emilie nie wypowiedziała.

## Rozdział 23

Thomas Ebeling siedział w kawiarnianym ogródku na Stiftgasse i ze zdumieniem patrzył na ludzi, którzy tak po prostu spacerowali sobie po ulicy, celebując ciepły czerwcowy wieczór. Może takie życie jest naprawdę łatwiejsze? Cieszenie się zwykłymi rzeczami i zjawiskami, ładną pogodą, czyimś towarzystwem i smakiem ulubionych potraw? Może kiedy to wszystko się skończy, powinien odejść na emeryturę – ale tak naprawdę, również duchem? Miał chore serce, a w tej chwili narażał się na stres i ryzyko, które z pewnością skrócą mu ziemską egzystencję o dobrych kilka lat. Do Diane zadzwonił dziś tylko raz i poinformował, że wrócił z Tyrolu. Dochodziła dwudziesta, a on nie postawił jeszcze stopy we własnym domu. Był ciekaw, czy po powrocie zostanie na stole pozew o rozwód. Powinien chyba wreszcie gruntownie przemyśleć swoje życie.

Teraz jednak musiał skoncentrować się na zadaniu, które wydawało mu się dość absurdałne. A jednak chyba wiedział, do czego doszła Anna. I choć wiedział – nie chciał w to wierzyć.

Przy stoliku nagle pojawił się Franz Weber i ze zgrzytem odsunął krzesło. Zamówił mocną czarną kawę i zmierzwił dłonią włosy. Zerknął na Ebelinga ze złością, która szybko przeszła w lekkie niedowierzanie. Komisarz miał czerwone, przekrwione oczy, a wokół nich sine obwódki. On też nie mógł zaliczyć tego dnia do udanych.

– Ebeling, do kurwy jasnej – zaczął swoim zwyczajem. – Ty mi powiedz, skąd wiedziałeś o Steinbecku?

– Ale że co? – zapytał Thomas niewinnie i podziękował kelnerce za herbatę.

– Serio? Wybacz, ale nie mam siły na głupie pierdolenie. Skąd wiedziałeś, że Steinbeck siedzi w takim gównie?

– Aaaa, ty o młodym mówisz? Czyli to jednak biznes rodzinny? No widzisz, a ja tylko wiedziałem... to znaczy – miałem pewne domysły co do starego.

– Miałeś domysły?

– A skąd bym niby wiedział na pewno? Oczywiście, że domysły.

– Tego właśnie jestem ciekaw. Skąd mógłbyś wiedzieć – odpowiedział uprzejmie Weber i duszkiem wypił kawę, po czym zamówił następną.

– Może zostawmy temat mojej wiedzy tudzież domysłów i skupmy się na twoim odkryciu. Do czego doszedłeś? Skąd wiesz, że Steinbeck siedzi w gównie?

– Musiałem w nie wdepnąć – przyznał z niechęcią komisarz.

W oku Ebelinga pojawił się błysk. Wyszczrzył zęby i poklepał Webera po dłoni. Wiedział, że tego nie cierpi.

– Czyżby herbatka u babci Zity? – zapytał cicho.

– Spieprzaj – naburmuszył się tamten.

– Opowiadaj.

– Mam ochotę ci przypierdolić, ale jesteś stary i boję się, że ci szwy puszcza.

– Twoja troska mnie rozczuła.

– No więc babcia Zita...

– Taaak?

– Popytała tu i tam. I ma na oku kilku domniemanych klientów Steinbecka

i jednego pewnego. Ten pewny właśnie wysypał się przed Neumannem. No i de facto tamci domniemani też stali się pewni.

– Czyli poinformowałeś Neumanna?

– A co miałem zrobić? Złodzieje, paserzy, handlarze kradzionymi dziełami sztuki to nie moja broszka. W każdym razie dałem tego jednego pewnego Neumannowi, w zamian za obietnicę, że nie wpakuje gościa do pierdła. Wiesz, to taki ładny czterdziestoletni bankier z gładką buźką i pod krawatem, no po prostu miał jedną słabostkę, która go zgubiła. Jak już wpadł, to prawie zesikał się ze strachu. Śpiewał jak skowronek.

– Czyli masz nazwiska?

– Neumann ma. Mnie one nie obchodzą. Kurwa, Ebeling! Nikt nam za to nie podziękuje. Znowu smród. Dzieła sztuki skradzione Żydom podczas wojny, weź ty się zastanów. Znowu zjawi się jakaś Maria Altman z amerykańskim prawnikiem i będzie żądała zwrotu swojego Klimta czy innego Kokoschki, zaczniesz się nagonka, zagładanie do muzeów... Generalnie będzie przejebane i nie ma się co czarować.

– Ale ten amerykański prawnik Marii Altman, kiedy domagał się oddania jego klientce *Złotej Adeli*, powiedział chyba coś w stylu: „powinniśmy to zrobić dla Austrii”.

– W filmie tak powiedział. W filmie! Weź mi tu nie rzucaj jakimś tanim sentymentalizmem, bo, kurwa, nienawidzę łzawych historyjek.

– No dobra, Weber, a co ty z tego masz? Dałeś Neumannowi tłustą rybkę...

– Z cytryną i w ziołach...

– Hm?

– Nieważne. A mam z tego tyle, że Rudolf Steinbeck pójdzie siedzieć i łatwiej mi będzie zmusić go do zwierzeń na temat jego cholernego wujka. Bo wygląda na to, że jestem idiotą i ci zaufałem. A teraz daj mi konkret – dlaczego twoim zdaniem nielegalne biznesy Steinbecków mają coś wspólnego ze śmiercią Marlene Sachs i Angie Hamilton? Bo mam już dość snucia absurdalnych teorii. I zwłoki mnie interesują, kolego. Zwłoki! Nie skradzione Klimty.

– Dlatego właśnie ja poczekam z wygłaszaniem swojej własnej teorii. A właściwie nie mojej, tylko Anny Lindholm.

– Ja pierdolę, nie wytrzymam z wami nerwowo. Znowu ta Szwedka?

– Polka.

– Kogo to obchodzi, skąd jest?! Wpieprza się. To mnie interesuje znacznie bardziej niż jej narodowość. Najpierw mnie zmuszasz do pożyczania ci trzech policjantów, przyczepienia ogona Emilie Morton, wykonywania głupich telefonów i umawiania dwóch kobiet na kawkę w Museumsquartier, a teraz...

– Ona wie. Lindholm wie.

– Co wie?

– Wszystko.

Weber umilkł na chwilę, a kiedy kelnerka podała mu drugą kawę, wypił ją niemal natychmiast, parząc sobie język, i od razu zamówił trzecią. Rozmasował skronie i jęknął.

– Może jeszcze wie, gdzie jest Bauer? To też?

– Też.

– Kurwa pierdolona mać. Przysięgam, że zamykam tę chujową sprawę i zacznę uprawiać marchewkę we wsi pod Bratysławą.

– Ale zanim marchewka, to mnie posłuchaj. Potrzebna mi twoja pomoc. A dokładnie – zespół na Rysergasse, powiedzmy jutro rano. Chyba nie ma na co czekać. Emilie Morton zgodziła się pomóc.

Weber powoli przywdziewał na twarz swoją maskę pokerzysty. Co, jak wiadomo, świadczyło o jego ogromnym wzburzeniu. Po chwili przestał się w ogóle ruszać, nie mrugał i z rzadka oddychał.

– Jakim. Cudem. Udało. Ci. Się. Zmusić. Ją. Do. Czegokolwiek. Skoro. Ja. Tylko. Zdążyłem. Umówić. Się. Z nią. Na. Identyfikację. Zwłok. Siostry.

Komisarz zakończył wyraźną kadencją, choć nie ulegało wątpliwości, że właśnie zadał pytanie.

– Do niczego jej nie zmuszałem – zapewnił. – Anna Lindholm z nią porozmawiała. Przecież sam przed chwilą miałeś pretensje, że musiałeś je umawiać na kawę. Emilie chce pomóc. Pewnie myśli, że w ten sposób uda jej się choć częściowo odkupić winy z przeszłości.

– Ebeling... Słabo mi. Serio. Weź, bądź człowiekiem.

Jakiej znowu, do kurwy jasnej, przeszłości?

– Myślę, że wszystkiego się dowiesz podczas... hm... tej prowokacji.

– Pro... Nie, przecież tutaj można pierdolca dostać. To co? Niby ty też wszystko wiesz? Mam rację?

– Domyślam się. Ale wybacź, przez gardło mi to nie przejdzie.

– Po prostu świetnie. Ta Lindholm jest z jakiegoś CIA?

– Nie. Ma pensjonat gdzieś w Polsce nad morzem – powiedział z niewinną miną Thomas i dopił herbatę. – A tak na poważnie – muszę cię prosić o zaufanie. Wiem, że jestem już stary, z demencją i w ogóle, ale chyba coś razem przeżyliśmy. A teraz mam wrażenie, że się uda. I zamknijmy to śledztwo. Zamkniesz.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że jak się potkniemy, to mamy totalnie przesrane, co nie? I jeszcze z tego, że właśnie łamiemy procedury i Kanner mnie prawdopodobnie zajebie za samowolkę? I że ta prowokacja naprawdę powinna być prowokacją i oni muszą coś zrobić, bo samym gadaniem to sobie nawet tyłka nie podetrzemy? Ach, no tak! I że nawet jeśli masz rację, to nikt nie będzie zadowolony?

– Ale...

– Robię to tylko dlatego, że na początku mojej pozał się Boże kariery kilka razy latałeś za mnie dziury. I parę rzeczy po mnie poprawiłeś. Bez tego pewnie chodziłbym dalej w czapce z daszkiem – powiedział, nagle poważniejąc.

– Weber... Wytłumaczysz się. Powiesz, że sam do tego doszedłeś. Pomogę ci. Jeszcze mnie w kilku miejscach lubią. W razie czego będziemy w tym razem. Jak za dawnych dobrych czasów.

Komisarz uśmiechnął się krzywo i zmarszczył brwi. Wypił trzecią kawę, skrzywił się z obrzydzeniem i położył na stole banknot.

– No dobra. Załatw tę... prowokację. Kurwa, nie wierzę, że to mówię. Szósta rano? O tej porze jest jeszcze w miarę spokojnie. Jak już będziesz miał szczegóły, daj mi znać,

a ja skrzyknę chłopaków. Dzisiaj w nocy i tak czeka mnie spacer po Lesie Wiedeńskim, bo ten bankier w krawacie wyjawiał, gdzie stary Steinbeck aż do zeszłego roku przeprowadzał transakcje. Młody chyba przeniósł się gdzie indziej, bo wszyscy na razie milczą jak zakłęci. Choć może trzeba jeszcze poczekać, aż ich weźmie na zwierzenia. A profesor miał ponoć domek w głębi lasu, ludzie Neumanna już dostali namiar. Zaprosili mnie, bym dotrzymał im towarzystwa. Może znajdziemy tam coś, co przyda się w naszej sprawie.

- Może – powiedział cicho Ebeling.
- Okej, rób swoje. Zdzwoniemy się.
- Tak jest.
- Ebeling?
- Mhm?
- Wiesz, że idziemy prosto do piekła, prawda?

\*\*\*

Rudolf Steinbeck odebrał telefon i przez piętnaście minut rozmowy był w stanie powiedzieć jedynie: „halo”, „tak, to ja”, „o... cześć”, „co ty...?”, „oszałałaś”, „chyba sobie żartujesz?”, „nie powinnaś mi grozić”, „pomyślę o tym”, „jak to jutro?”, „ja nie... okej”, „skąd wiesz, że on tam mieszka?”, „skąd wiesz... skąd to wszystko wiesz?!”, „dobra, załatwię to”, „widzimy się o szóstej”, „chyba nie muszę mówić, że masz być sama?”. Resztę stanowił monolog kobiety, która dla niego była jak duch. Emilie Morton. Nigdy, w najgorszych snach, nie przypuszczał, że jeszcze ją zobaczy. Stanowiła problem. Ona i Danni, ale tej drugiej psychika siadła na dobre i miała tyle przyzwoitości, by ze sobą łaskawie skończyć. Brit i Lola nie były groźne, robiły swoje i ostatnie, czego potrzebowały, to rozgłos. A Emilie... Czy ludzi ot tak wypuszczają z zakładów dla świrów? Nie są to przypadkiem domy bez klamek? Wariat może sobie powiedzieć, że mu się znudziło i do widzenia, a oni go wypychają na świat jak młode pisklę? No bez przesady!

Musiał myśleć, szybko. Ale właściwie nie było nad czym. Sama wybrała miejsce. Rysergasse. Dom Michaela Niklausa. Oddalony od innych, dobrze ukryty przed wścibskimi oczami. Czy na pewno? Ileż to razy Rudolf przeskakiwał przez płot i podglądał Michaela. Idiota, zrobił sobie przeszklony salon. Wszystko było widać jak na dłoni. A on musiał go pilnować, żeby nie przekroczył pewnej granicy. Nie potrafił się kontrolować. Ostatnio jednak Rudolf nieco się pod tym względem zaniedbał. Odkąd umarła Angie, a Niklaus chciał się zabić. Nie podobało mu się to wszystko. Nic nie szło po jego myśli. Powoli zaczynał żałować tego, co stało się przed rokiem. Musiał przyznać, że z planu, który sobie opracował, niewiele udało mu się zrealizować. A teraz jeszcze

przyjechała ona. Oczywiście chciał jej zagrozić. Dziesięć lat temu to ona zrobiła coś złego, nie on. On był wtedy niewinny. I chciał, żeby tak pozostało. Ale, niestety, pewien człowiek zmusił go, by się zmienił. Stał chciwym i bezwzględny potworem, którym teraz był. W interesach – i prywatnie także. Nikt nie może grać na nerwach Rudolfowi Farkasowi. Nikt! Pewne osoby już się o tym przekonały. Zaskoczył je. Emilie również chciał zaskoczyć, ale wtedy ona wymieniła dwa nazwiska. Sachs i Hamilton. Przy tym drugim dodała: „moja siostra”. Suka! Wiedziała! Wszystko wiedziała. Jakimś cudem zdobyła informacje o tym, co się wydarzyło. Tylko właśnie – jak? Nie było jej tu. A zatem ktoś jeszcze musiał wiedzieć. Należało znaleźć tego kogoś. Szybko.

Najpierw jednak trzeba było załatwić sprawę z Emilie. Ryzykowała. Była bardzo głupia. Tak jak wtedy, dziesięć lat temu. Powinna zostać między świrami, tam przynajmniej nikt by jej nie skrzywdził.

Rudolf zapewnił Emilie, że spotkają się nazajutrz o szóstej rano, na Rysergasse. Starał się mówić neutralnym tonem i spokojnie, jak do nierozgarniętego dziecka. Przecież miała coś z głową. Kto wie, co jej strzeli... Rozłączył się i niemal natychmiast wybrał numer Michaela Niklausa. W głosie „rzeźbiarza” słychać było potworne zmęczenie. Chyba nawet płakał. Rudolf uśmiechnął się pod nosem. Wena nie dopisywała artyście...

– Słuchaj, mamy kłopot – zaczął bez powitania.

– Nie wiem, jak ty, ale ja mam ich w ch...

– W dupie mam twoje prywatne problemy. Emilie Morton jest w Wiedniu. Chyba macie ze sobą coś wspólnego?

– O kurwa. Żartujesz?

– Chciałbym. Jutro spotykamy się u ciebie o szóstej rano. Emi ma do nas sprawę. Musisz posprzątać.

– Ja... ja nie... nie znowu... nie dam rady...

Rudolf westchnął. No dobrze, to było niesprawiedliwe.

Siedzieli w tym razem.

– Musimy posprzątać – poprawił się łaskawie i wcisnął czerwoną słuchawkę.

\*\*\*

Anna odłożyła telefon i odetchnęła. Ebeling poinformował ją, że z komisarzem Weberem wszystko załatwione. Teraz musieli tylko poczekać do rana. Na wszelki wypadek zabrała Emilie Morton na Klostergasse i pościeliła jej w pokoju, w którym dotąd spał Leon. Bała się nie tylko o to, że coś złego mogłoby dziewczynę spotkać, ale też tego, że ona sama zmieniałaby zdanie. Zbyt wiele ryzykowali. Teraz nie można było niczego zaniedbać. Emilie zresztą nie protestowała. Cała trójka zebrała się w salonie i wspólnie milczeli. Nikomu nie chciało się spać. Dopiero dobrze po północy Emilie

uznała, że przynajmniej się położy i rozprostuje kości, bo na sen i tak nie ma co liczyć.

Anna i Leon zostali sami.

– Możesz się koło mnie położyć, nie będę gryzła – powiedziała, siląc się na wesołość, ale zabrzmiało to sztucznie. Była zdenerwowana.

Podszedł bliżej i objął ją mocno. Wiedziała, że chciał w ten sposób rozładować również własne napięcie.

– Anka, pozwól mi iść tam razem z wami – mruknął w jej włosy.

– To niebezpieczne, nie zgodzą się.

– Będę na ciebie czekał pod kościołem Wotruby. Milczała przez chwilę, po czym również go objęła.

– Zgoda. Czekał tam na mnie.



## Rozdział 24

Franz Weber bardzo chciał nie wyglądać na zafascynowanego działaniami Neumanna i jego zespołu. Zastanawiał się, gdzie popełnił błąd. Dlaczego jego własna ekipa wydawała się rozlazła i bez ikry, a ci tutaj chodzili jak w zegarku. Neumann nie musiał nawet nic mówić, wystarczyło, że unosił rękę, kiwał głową albo wykrzywił usta w dziwnym grymasie, a oni w mig wiedzieli, co mają robić. Długo musiał nad nimi pracować. Pewnie miał charyzmę, której Weberowi brakowało. Podobną charyzmą odznaczał się niegdyś Ebeling. Kiedy Thomas został komisarzem, nie dysponował możliwościami, do jakich teraz miała dostęp policja, a i tak rozwiązywał większość swoich spraw. I ludzie go słuchali, ufali mu, nawet jeśli czasami wydawało się, że bredzi bez sensu i działa po omacku. Dlatego teraz Weber również postanowił mu zaufać. Wiedział, że ryzykuje własną głową, ale w tym śledztwie było coś dziwnego. Ebeling działał poza procedurami, o nic nikogo nie pytał, nie tracił czasu na szukanie Ernsta i szybciej wyciągnął wnioski. Pozwalał sobie popuścić wodze wyobraźni. A może po prostu... ciągle był od niego lepszy. I miał do pomocy tę kobietę. Annę Lindholm, która była chyba jakimś cholernym Mentalistą w spódnicy. Nigdy nie lubił tego serialu. Stanowczo przesadzili tam z postacią Red Johna...

Teraz chłopcy Neumanna sprawnie uporali się z drzwiami i chatka Steinbecka ukryta w głębi Lasu Wiedeńskiego stanęła otworem. Wyglądała całkiem normalnie. Zwyczajny drewniany domek, w którym ludzie zaszywali się na weekendy, by odpocząć od zgiełku wielkiego miasta. Od strony prawnej również nic nie budziło wątpliwości. Budynek po śmierci profesora należał do Rudolfa Steinbecka, jak większość jego majątku. W środku również nie natknęli się na nic podejrzanego. Kuchnia połączona z jadalnią, mały salon i dwie sypialnie. Wnętrze było dość małe i skromnie urządzone, różniło się od pełnego przepychu wyposażenia domu, w którym Rudolf mieszkał na co dzień. Weber doskonale pamiętał wizytę w domu młodego Steinbecka, którą policja złożyła mu krótko po śmierci Marlene Sachs. Już w samym salonie można by zmieścić trzy średniej wielkości kawalerki. A piwnicę – olbrzymią i pustą – dałoby się przerobić na salę weselną. W drewnianym domku było inaczej. Poza tym nikt tu chyba za często nie przyjeżdżał. Na meblach widniała cienka warstwa kurzu, a z dywanu przy każdym ich kroku unosiły się siwe tumany.

Weber musiał przyznać, że była to dość przyjemna przestrzeń. Chciałby mieć taki domek, kiedy już przejdzie na emeryturę. Mógłby sobie w spokoju spacerować po okolicy, zbierać jagody, czytać książki, wsłuchiwać się w odgłosy lasu, a wieczorami przyrządzać ulubione, bardzo proste spartańskie potrawy. W takiej kuchni gotowanie z pewnością sprawiałoby mu jeszcze więcej przyjemności niż zazwyczaj. Komisarz oparł się o blat i wpatrzył w metalowy kran. W tle słyszał wymianę zdań między chłopakami Neumanna, którzy bardzo się starali, żeby coś ciekawego znaleźć. Weberowi żołądek kurczył się ze strachu coraz bardziej. A jeśli ten bankier w krawacie ich okłamał? Przecież tutaj nic nie było. Ani jednej podejrzaney rzeczy. Zresztą – dlaczego myśleli, że coś będzie? Steinbeck wydawał się wytrawnym graczem, na pewno dobrze wyszkolił swojego bratanka. Może i przed rokiem dokonywano tutaj transakcji, ale z pewnością nie

zostawiono żadnych śladów. A jeśli zostawiono – zdążyły się zatrzeć. Przecież każdy mógł łatwo sprawdzić, do kogo należał dom. A zatem...

Komisarz wyprostował się nagle. Ktoś za jego plecami zawołał Neumanna. „Jest piwnica”, krzyknął. Tak, piwnica. To na pewno bardzo ciekawe, ale... Interesująca była również kuchnia. Bardzo, bardzo interesująca... Weber uśmiechnął się szeroko. O tak! Steinbeck może i był wytrawnym graczem, ale jego bratanek jeszcze popełniał drobne błędy. Jak ta kuchnia... Cały dom niesprzątany od dawna, z wyjątkiem podłogi, którą ktoś odkurzył i umył. Jakiś czas temu, bo nie była idealnie czysta, ale kurz na półkach z pewnością zbierał się tam o wiele dłużej. Dlaczego zatem ktoś odkurzył podłogę, ale nie stał kurzu? Żeby nie zostawić śladów... I dlaczego blat oraz zlew w kuchni także były w miarę czyste? Dlaczego na suszarce stał talerz i kubek? Jeden talerz i jeden kubek? Również umyte całkiem niedawno? Oczywiście to wszystko wcale nie stanowiło żadnego dowodu, ale komisarz Weber nagle stał się czujny. Kubek, talerz, czysta podłoga i w miarę czysta kuchnia. Wszystko inne pokryte grubą warstwą kurzu. Ktoś tu był, całkiem niedawno. Po co? I dlaczego nie wysprzątał całego domu? A może Weber przesadzał i za wiele sobie wyobrażał? Może Rudolf po prostu przyjechał tutaj, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, wypił sobie kawę, poodkurzał, machnął ręką na resztę i się wyniósł? Miał forszę, nie musiał się przejmować jakąś leśną chatynką. Weber obrócił się wokół własnej osi. Nie, to nie było tak...

– Panie komisarzu? – zagadał do niego policjant z zespołu Neumanna. – Zapraszamy na dół.

Kiwnął głową i poszedł za młodym mężczyzną. Zbiegł po schodach i zatrzymał się w przestronnej piwnicy, która zajmowała taką samą przestrzeń, jak wszystkie pomieszczenia na górze razem wzięte. Można by tu urządzać minidyskoteki. Piwnica była bardzo zadbana, ściany pomalowane, podłoga pokryta eleganckim parkietem, na suficie kinkiety.

– To było tutaj – mruknął Neumann, przyglądając się Weberowi uważnie. – Tutaj musiało dochodzić do wymiany.

– Tak, ale niestety nie mamy żadnych dowodów.

– Rozejrzymy się, a jak nic nie znajdziemy, to przyciśniemy jeszcze tego naszego bankiera.

Weber skinął głową. I nagle opanowała go podobna myśl, jak przed chwilą na górze. Pociągnął nosem.

– Czujesz? – zapytał.

Neumann rzucił mu spojrzenie z ukosa.

– Nic nie czuję. Ewentualnie... farbę? – powiedział powoli.

– Właśnie!

Komisarz uśmiechnął się, podszedł do biurka i przejechał palcem po blacie. Nic. Zero kurzu. Ktoś tu niedawno był i posprzątał. I jeszcze coś się nie zgadzało. Komisarz przeszedł się powoli wzdłuż pomieszczenia. Było duże, owszem, ale... I tak mniejsze, niż powinno. Weber zawrócił pod ścianą i stanął przed Neumannem.

– Tutaj coś jeszcze musi być – oznajmił.

– Słucham?

– Jeszcze jedno pomieszczenie. Z początku myślałem, że ta piwnica jest tak duża, jak wszystkie pokoje na górze, razem z kuchnią i łazienką. Ale nie. Jest nieco mniejsze. Brakuje powierzchni mniej więcej jednej sypialni.

Neumann poderwał głowę i dał znak chłopakom, którzy zaczęli stukać w ściany. Mrugnął do Webera.

– Brakowało mi tego, Franz. Przyjemnie się z tobą robi interesy. Moi złodzieje muszą częściej kogoś mordować.

– Albo moi mordercy kraść – odbił piłeczkę. – Ale nie chwalmy dnia...

– Szefie, mamy! – zawołał jeden z policjantów.

– Coś mówiłeś, Weber?

– Zupełnie nic.

Neumann i Weber ruszyli w stronę ściany zawzięcie opukiwanej przez chłopaków. Jeden z policjantów zeskrobywał nożykiem wierzchnią warstwę farby. Był bardzo zadowolony z siebie.

– Proszę, panowie spojrzą. Na co to wygląda?

– Jak gdyby ktoś... – zaczął Neumann, ale się zawahał.

Policjant wykorzystał swoją szansę i uniósł dumnie głowę.

– Jak gdyby ktoś położył gładź, dodajmy: niezbyt profesjonalnie, a później nie poczekał z malowaniem, aż do końca przeschnie. Proszę zobaczyć te smugi. Kolor jest wyraźnie inny niż na pozostałych ścianach.

– Wyraźnie? – zapytał z powątpiewaniem Weber. Może i były jakieś smugi, ale w życiu nie zwróciłby na nie uwagi. Przecież to piwnica. I, jak zrozumiał, popełniłby ogromny błąd.

– Czyli sugerujesz... – zaczął Neumann, ale znowu nie zdołał dokończyć.

– Sugeruję, że ktoś to w pośpiechu szpachlował i malował, a poza tym – teraz będzie najlepsze – o, proszę posłuchać.

Policjant postukał w ścianę. Najpierw w jednym miejscu, a później metr dalej. Dźwięki wyraźnie się różniły. Mężczyzna uśmiechnął się triumfalnie.

– Co tam jest? – zapytał Neumann.

– Deska. Obstawiam, że facet zdjął drzwi razem z futryną, zastawił otwór deską, a później całość pokrył gładzią i pomalował. Mniej mu to zajęło czasu niż zamurowanie wejścia, choć i tak się napracował. Musiał znaleźć odpowiednich rozmiarów deskę, przypasować ją... No, szacuneczek dla tego pana. I dość ładnie po sobie posprzątał, muszę przyznać. Może miał pomoc?

– Czyli tam coś jest? Jakies pomieszczenie? Neumann, musimy tam wejść! Jak dużo czasu potrzebujemy?

– Wezwę ekipę ze sprzętem. Pewnie kilka godzin – powiedział inspektor i sięgnął po telefon.

– O szóstej rano muszę być na Rysergasse. A właściwie to nawet wcześniej.

– No to trzeba zrobić tak, żebyś zdążył – odrzekł i zaczął wydawać przez telefon dyspozycje.

Weber zasępił się. Czuł, jak koszula przykleja mu się do pleców, a po skroni spływa strużka potu. Oby zdążył. Oby tam coś było. Oby wreszcie znalazł jakiś dowód.

Choć w gruncie rzeczy nie miał pojęcia, czego szukał. I to było najgorsze.

\*\*\*

Inge Altman i Ulrike Seinfeld spotkały się na Josefplatz i razem weszły do budynku Phantastensemuseum. W Palffy było o tej porze cicho i pusto. Inge poprowadziła Ulrike schodami na pierwsze piętro, a później do sali koncertowej. Dziewczyna spojrzała na złotą figurkę Mozarta, która błyszczała w świetle lamp. Inge nie musiała mówić, że to jej ulubione miejsce. Zapanowało między nimi dziwne porozumienie. Obie kogoś straciły. Obie poruszały się po omacku w rzeczywistości, która zmieniła się bezpowrotnie. Tyle że Ulrike mogła jeszcze do pewnego stopnia przywrócić dawny porządek. Jeśli Ernst się znajdzie, jeśli okaże się niewinny, sprawy przynajmniej po części będą się toczyły jak dawniej. O ile oczywiście Bauer tak zechce. Bo przecież był niewinny. Ani Inge, ani Ulrike nie wiedziały, kto zamordował Angie i Marlene albo przynajmniej nie mogły mieć stuprocentowej pewności. Pozostały im jedynie domysły i zaufanie do Anny Lindholm, która jakimś cudem poukładała to wszystko w całość, choć poza Ernstem nie знаła żadnego z podejrzanych. Ona również z jakiegoś powodu pomagała Bauerowi. Obca kobieta. Ulrike coś o niej wiedziała, ale Inge zupełnie nic. A teraz siedziała w Palffy i czekała na rozwój wydarzeń. Na telefon, który miał zadzwonić rano. Nie miała pojęcia, co usłyszy, ani też co to dla niej będzie oznaczało. Cieszyła się jednak, że... nie czekała sama.

– Napijesz się czegoś? – zwróciła się do Ulrike, która oparła się o filar i patrzyła w okno, za którym widać było fasadę Hofburga. Jej również musiał podobać się ten widok.

– Chętnie – odparła i odwróciła się. – Właściwie to jestem też trochę głodna.

– Jest jakieś jedzenie w barku. Chodź. Zjemy, a później oprowadzę cię po pałacu.

– Naprawdę?

– Musimy czymś się zająć. Nie sądzę, żebyśmy poszły spać, ale jakby co – mam w gabinecie dwie leżanki. Uprzedzając twoje pytanie, jedną przyniosłam sobie sama, a drugą dostałam w prezencie od szefa. Idealny upominek dla pracownika.

– Zazdroszczę ci pracy, którą lubisz. Ja chwilowo nie mam żadnej.

– Potrzebujemy kogoś za barem na czas koncertów.

Pracownica poszła na zwolnienie. Cięża.

– Ale ja...

– Wiszą tam bardzo ładne obrazki. Prihody, takiego Węgra. Patrzysz sobie na taką łączkę żółtozieloną i przez chwilę ci się wydaje, że tego całego popieprzonego świata wokół ciebie po prostu nie ma.

\*\*\*

O drugiej zdjęli wreszcie deskę i weszli do małego dusznego pomieszczenia. Ku wielkiemu rozczarowaniu Webera było puste. Dosłownie. Nie stał tutaj ani jeden mebel. Pokój jednak z pewnością również niedawno wysprzątało, co musiało się ograniczyć po prostu do umycia podłogi. Nie było tutaj okna i pomieszczenie służyło prawdopodobnie za coś w rodzaju schowka. Wyglądało całkiem normalnie. Dlaczego więc komuś zależało na tym, by je zakamuflować? Przecież to głupie. Chyba że coś się tutaj stało, a ten ktoś, kto zadał sobie tyle trudu ze zdejmowaniem drzwi i futryny, z gładzią i deską, nie był pewien, czy usunął wszystkie ślady. Bo nie miał wprawy. Albo wiedział, że łatwo można odkryć pozostałości krwi czy śliny, nawet jeśli ktoś sprzątał tak dokładnie, jak perfekcyjna pani domu.

– Neumann, musimy wezwać techników. Niech zbadają to pomieszczenie pod kątem śladów krwi, włosów, skóry, no ogólnie... Rozumiesz, wydaje mi się...

– Już wezwałem – odparł inspektor ze spokojem. Komisarz posłał mu poważne spojrzenie.

– Dzięki. Nie pytaj, dlaczego, ale mam wrażenie, że...

– Ktoś był tu przetrzymywany. Nie tłumacz się. Weber pochylił głowę i zamyślił się. Jasna cholera...

Niewiele tego mieli. Sam fakt odnalezienia tajemniczego pustego pokoju bez okna jeszcze nie stanowił żadnego dowodu. Znowu brakowało konkretów! Co tu miał? Staromodne linoleum na podłodze, równie staromodną tapetę na ścianie. Wystrój podobny jak w pomieszczeniach na górze, ale zupełnie inny niż w piwnicy z czarnymi ścianami i kinkietami. Tak, to musiał być jakiś schowek, który po prostu wykończono byle jak dawno temu i którego dotąd nie odnawiano. Podobne znajdowały się w wielu domach. Weber od niechcienia przejechał dłonią po tapecie. Na górze trzymała się dobrze, ale u dołu odklejała się i spory płat odstawał od ściany.

– Tutaj stało łóżko – odezwał się ten sam bystry policjant, który wpadł na pomysł z deską i zauważył, że ktoś pokrył farbą niewyschnięty tynk.

Komisarz drgnął. Powoli obrócił się w stronę mężczyzny.

– Skąd wiesz?

– To proste. W linoleum są delikatne ślady. Cztery, bardzo regularne. Łóżko musiało stać na nogach. Było wąskie i... o, w tym miejscu dotykało ściany. Widzi pan ciemniejszy ślad na tapecie?

– Jakby... chmura...

– Mhm, ktoś oddychał na to miejsce.

– Słucham?

– Oddychał. Pewnie lubił spać przy ścianie. I palił papierosy. Mój ojciec palił

i w sypialni rodziców po jego stronie łóżka, właśnie przy ścianie, zawsze był taki ślad. Coś jak brudna chmura. Z czasem żadna farba nie chciała tego kryć. Matka się strasznie wściekała...

Policjant wyszedł na chwilę z pomieszczenia, zostawiając Webera i Neumanna samych. Odgłosy dochodzące z góry świadczyły o tym, że przyjechała ekipa techników. Inspektor uśmiechnął się półgębkiem.

– Chyba będę go musiał awansować – powiedział i machnął głową w stronę wyjścia. – Pamiętasz raport z autopsji? Ta wasza porwana i zamordowana z lasu paliła papierosy?

Weber miał wielką kluchę w gardle i zupełnie nie chciało mu się rozmawiać. Ale przemógł się i z niechęcią przyznał:

– Patolog uważa, że musiała kiedyś palić i to całkiem dużo, ale być może rzuciła jakiś czas temu. Nie miała śladów na palcach i paznokciach, ale zęby, płuca, krtań...

– Dobra, dobra. Ja tam nie wiem, jak oni dochodzą do pewnych rzeczy. Ale, kurwa, w życiu bym tej smugi na ścianie nie wziął za ślad po oddechu palacza. Muszę iść na jakieś szkolenie.

– Do swojego podwładnego.

– Na to wygląda. Dobra, wpuśćmy tu techników i jedźmy. Zdążysz jeszcze do domu przed... Co robisz?

Weber, tknięty nagłym przeczuciem, kucnął i wsunął dłoń pod odklejający się od ściany płat tapety. Jeśli stało tu łóżko, to ten fragment ściany musiał znajdować się za nim. Od początku coś mu tutaj nie pasowało. Przede wszystkim to... że ten, kto kogoś uprowadził i umieścił w tym właśnie pomieszczeniu, był słabo przygotowany. Albo nie zdążył się przygotować, bo działał w pośpiechu. Nie wyciszył nawet pokoju. Owszem, dom znajdował się na odludziu, a to była piwnica, ale zawsze... Jak gdyby nie podjął wszystkich środków ostrożności. Był amatorem? Zrobił to po raz pierwszy w życiu? Wiele na to wskazywało. Nie tylko ten pokój, ale i sposób zacierania śladów. Komisarz wsunął dłoń głębiej pod tapetę i wyczuł prostokątny kształt. Jego serce załomotało jak szalone. Wyprostował się i szarpnął Neumanna za rękaw.

– Daj mi rękawiczki, szybko!

Inspektor czym prędzej spełnił prośbę, nie odzywając się słowem. Weber ponownie kucnął i wsunął dłoń za tapetę. Chwycił w dwa palce mały prostokąt i z trudem wyciągnął.

– Mocno siedział – sapnął i rozwinął kartkę.

Ze środka wypadł kolejny prostokąt, tym razem plastikowy. Weber pochylił się, podniósł go i obrócił. Neumann gwizdnął. Z małej fotografii patrzyła na nich Angie Hamilton. A to był jej dowód osobisty. Musiała go mieć przy sobie podczas uprowadzenia, a później, zanim porywacz ją przeszkukał, ukryła. Bystra dziewczyna.

Weber wziął głęboki wdech i podał Neumannowi kartkę, w którą był zawinięty dokument.

– Muszę zadzwonić do swojego wydziału i przysłać tu kogoś od nas – powiedział.

– Zobacz, ładny rysunek. Róża. Dziewczyna miała talent. Szkoda jej.

Weber z umiarkowanym zainteresowaniem zerknął na szkic. I zamarł. To wcale

nie była róża. To była... twarz. Wyrwał Neumannowi kartkę i podniósł do oczu. I ponownie zamarł. Teraz wyraźnie widział różę. Co jest, do kurwy jasnej? Weber obrócił kartkę kilkakrotnie, spoglądał na nią pod różnymi kątami i wreszcie ponownie zobaczył twarz. Jej twarz. Angie. Naszkicowała swój autoportret, ale tak, by przekaz był czytelny tylko przy odpowiednim ustawieniu.

– Efekt Holbeina – mruknął Neumann, który najwidoczniej rozeznał się już w dziwnych czynnościach Webera.

– Tego malarza?

– Tak. Namalował taki obraz, na którym tylko pod odpowiednim kątem widać trupa czaszkę.

Komisarz jęknął cicho i opuścił dłoń. Angie Hamilton była inteligentna i sprytna, a oni nie znaleźli jej na czas i pozwolili umrzeć. Nigdy sobie tego nie wybaczy. Musi dorwać tego sukinsyna Steinbecka. Jak najszybciej. Oby ta cholerna Lindholm i cholerny Ebeling niczego nie spierdolili. Teraz miał nawet całkiem sensowny powód, by poranną akcję przeprowadzić oficjalnie. Znalazł dowód, że w domku Rudolfa Steinbecka przetrzymywano siostrę Emilie Morton. Stara Kanner mogła mu skoczyć. Musiał zrobić to po swojemu. Przyznać przed sobą, że nie rozgryzł tej sprawy do końca, że nadal nie znał ostatecznego rozwiązania i wiele nie rozumiał. Ale tu już nie chodziło o ambicję. Weber postanowił po prostu skorzystać z oferowanej pomocy, bo zależało mu na tym, by odpowiednia osoba trafiła za kratki.

Wyszedł na zewnątrz, zadzwonił do kilku osób i odetchnął świeżym powietrzem. A później wsiadł w samochód i ruszył z powrotem do Wiednia. Rysergasse znajdowała się tuż pod lasem.

## Rozdział 25

Anna i Ebeling siedzieli w vanie zaparkowanym nieopodal Rysergasse. Dwóch policjantów wpatrywało się w ekran komputera. Anna była pod wrażeniem. Wiedziała, że Emilie będzie miała na sobie podsłuch umieszczony – zgodnie z zasadami wyuczonymi chyba podczas oglądania Jamesa Bonda – w zegarku, ale nie miała pojęcia, jak i kiedy udało im się zorganizować także wizję. Nie wnikała. Liczył się tylko efekt. Tej nocy nie zmrużyła oka i z minuty na minutę było jej coraz bardziej niedobrze. Wyobrażenie o tym, że coś mogło się nie udać, spychała na dno świadomości. W kuchni na Klostergasse ona i Emilie zgodnie połykały po tabletkę przeciwbólowej i na stojąco wypily kawę, prawie się nie odzywając. Kiedy nieoznakowanym wozem przyjechał po nie Weber, Leon, zły i przestraszony, został w mieszkaniu, ale nie wątpiła, że odczekał swoje i wyruszył pod kościół Wotruby. Teraz pewnie już tam tkwił. Myśl, że był tak blisko, dodawała jej nieco otuchy, ale nie pozwalała całkiem się uspokoić. Dochodziła szósta.

Anna zwinęła dłonie w pięści i wetknęła je do kieszeni bluzy. Ebeling pobladł i próbował zamaskować niepokój słabym uśmiechem. Do vana wsiadł Franz Weber i spojrzał uważnie na jedno i na drugie. Z Ebelinga przeniósł wzrok ponownie na nią.

– Emilie Morton przekazała mi przed chwilą bardzo ciekawe informacje – powiedział, prawie nie mrugając.

– Domyślam się. Panie komisarzu...

– Franz.

– Franz... Wszystko ci później wytłumaczę. Opowiem ci, jak na to wpadłam. Po prostu stało się. W pewnym momencie kliknęło i już. Nie miewasz tak?

– Zdarza się. Ciągle za rzadko.

Anna uśmiechnęła się przelotnie, ale szybko spoważniała.

– Ta sprawa z Emilie... Wiesz?

– Wiem. Powiedziała mi o wszystkim.

– To się wydarzyło dawno temu i było wypadkiem.

– Tragicznym, nie zapominaj.

– Owszem, ale przecież chłopak przyszedł tam z własnej woli. Sam pewnie nie znał własnego organizmu.

– To była ich wina, przypominam. Emilie i jej koleżanek. Nic tego nie zmieni. Ona też to wie. Chłopak spłonął na cmentarzu, a profesor został niewinnie oskarżony o molestowanie seksualne i skończył ze złamaną karierą. Współczuję jej, ale nie ma czystego sumienia.

– Jeśli dzisiaj ci pomoże...

– Będzie mogła wrócić do domu i pochować siostrę. Chociaż nie jestem z tego zadowolony i z pewnością znajdzie się jeszcze kilka osób, które także nie będą.

– Dziękuję... dzięki. – Anna spojrzała mu prosto w oczy.

Widziała, jak Weber z trudem przełyka ślinę.

– Nie potępiasz jej?

– Nie za wszystko.

Weber nie spuszczał z niej wzroku. Nie wiedziała, co wyrażało jego spojrzenie.



Podziw, a może pogardę? Albo zwykłe niezrozumienie? Co do tego ostatniego wcale by się nie zdziwiła. Nagle jednak komisarz uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę.

– Obyś się dziś nie pomyliła, Anno Lindholm. Bardzo bym tego nie chciał. I dlatego dałem Morton jeszcze jedną kartę, którą będzie mogła zagrać.

Miała oczywiście ogromną ochotę zapytać go, o co chodzi, ale postanowiła poczekać. Za chwilę i tak wszystkiego się dowie.

– Ja przepraszam – wtrącił się cicho Ebeling. – Ale mam szybkie pytanko. Bo domysły mnie zaraz wykończą. Tak dla jasności – czy my mówimy tutaj o...

– Za chwilę i tak wszystkiego się dowiesz. – Weber wypowiedział na głos jej ostatnią ważną myśl.

\*\*\*

Dochodziła szósta. Inge Altman spojrzała na śpiącą w fotelu Ulrike i nakryła ją swoim swetrem. Za oknem świtało. W ustach wciąż miała smak sałatki i nieprzetrawionego alkoholu. Przysiadła na parapecie i objęła wzrokiem bar na piętrze, tuż przy sali Figara. Czy będzie mogła tu zostać, kiedy zaarrestują Michaela Niklausa? Czy dostanie kolejną szansę?

Przez kilka ostatnich lat wydawało jej się, że nienawidzi tego miejsca i marzyła o tym, by zdobyć pracę w Hofburgu, Leopoldzie lub Mumoku. Powtarzano jej, że wciąż ma za niskie kwalifikacje, a Phantastenmuseum to mała inicjatywa. No dobrze – mała. I co z tego? Tej nocy Inge odkryła, że Palffy to jej drugi dom. A może nawet pierwszy? Jak poradzi sobie bez tej przestrzeni? Bez znajomych zapachów i widoków? Chciałaby... naprawdę chciałaby tu zostać.

Zerknęła na jedno z płócien Prihody i przez kilka minut wydawało się jej, że tego całego popieprzonego świata dookoła po prostu nie ma.

\*\*\*

Leon przysiadł na jednym z betonowych bloków, które pewnego razu wyobraził sobie Fritz Wotruba i połączył w projekt kościoła. Gardło wyschło mu na wiór i chyba po raz pierwszy w życiu tak się bał. Po raz pierwszy też sformułował w myślach pytanie – co się wydarzy, jeśli Anna nie miała racji? Mógł się zaledwie domyślać, do jakich wniosków

doszła, i to już wystarczyło, by nie zaznać spokoju. Popatrzył na wyświetlacz swojego telefonu i przez moment walczył z sobą, by nie wysłać jej wiadomości. Oczywiście to nie był dobry moment, by pisać takie słowa. Miał wrażenie, że nigdy nie było dobrego momentu. I nie będzie.

Zacisnął palce na telefonie i wpatrzył się w ciemną leśną gęstwinę za kościołem. Mógł tylko czekać. Dochodziła szósta.

\*\*\*

Ernst Bauer już nie potrzebował budzika. Otwierał oczy parę minut przed szóstą i od razu wstawał. Także i w tej chwili odrzucił kołdrę, zeskoczył na podłogę i wciągnął na siebie proste ubranie, które wisiało na oparciu krzesła.

Kobieta w czarnej sukni pojawiła się punktualnie o szóstej. Przyniosła tacę z jedzeniem, postawiła ją na stole i spojrzała na Ernsta. Dzisiaj miał zacząć rzeźbić w drewnie Matkę Boską. Kobieta w welonie wyglądała na zmartwioną. Musiał ją zapewnić, że wszystko będzie dobrze i że ukończy swoje dzieło. Za wszelką cenę. Nawet jeśli jakimś cudem go tutaj znajdą. Czuł się potrzebny. Wiedział, że wreszcie robi coś ważnego i najlepszego w swojej karierze.

\*\*\*

Emilie Morton pchnęła furtkę, przystanęła, by zapanować nad łzami cisnącymi jej się do oczu, po czym ruszyła przed siebie. Widziała białe drzwi, które okalał ciemnozielony bluszcz. Musiała zapomnieć o słabości. O tym, że się boi, tak bardzo, jak nigdy wcześniej. I że strach, jaki czuła dziesięć lat temu, był jednak inny. Chodziło tylko o nich. O nią, Brit, Lolę i Danni, profesora i Michaela Niklausa. O ich naturę, o to, co robili. O sytuację, do której doprowadzili. Ale teraz sprawa wydawała się znacznie poważniejsza. Straciły życie dwie młode dziewczyny. Jedną z nich była siostra Emilie. Nie chodziło o żadną prywatę, ani nawet o nieszczęśliwy wypadek, ale o morderstwo popełnione z zimną krwią. O Angie, która spędziła kilkanaście miesięcy w ciasnym pokoju bez okna, tylko po to, by na koniec umrzeć, nigdy nie doczekać się słońca, wiatru, świeżego powietrza. To, co powiedział komisarz Weber, tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że dobrze postępuje. Z każdym kolejnym krokiem czuła coraz większą

złość. A jednocześnie spokój. Coraz głębszy, coraz doskonalszy. Kiedy zapukała do drzwi, prawie się uśmiechnęła.

Otworzył Rudolf, tak jak się spodziewała. Role się odwróciły. Kiedyś to tamten był cwaniaczkiem i chojrakiem, a młody Farkas – wiecznie przestraszonym i milczącym smarkaczem. Teraz biła od niego siła, którą czerpał z własnej bezwzględności. Emilie miała nadzieję, że policja podejdzie blisko. Że nie zostawią jej z nim samej. Ale przecież teraz nie mogła zacząć się na nowo bać. Ostatecznie – nie miała wiele do stracenia.

– Emi – powiedział słodko Rudolf. – Kopę lat. Widzę, że byłaś na diecie.

– W psychiatryku zdrowo nas karmili – odrzekła i minęła go w progu.

Michael Niklaus czekał w salonie. Kiedy go zobaczyła, kolana zmiękły jej na moment. Trudno było zapanować nad wspomnieniami, które tak bardzo walczyły o uwagę, tak bardzo chciały, by ktoś je odświeżył i zreinterpretował. Ona i Michael mieli wspólną przeszłość. Rudolf nigdy nie był jednym z nich, nie mógł niczego w pełni zrozumieć. Ale Michael? Myślała, że on również dał sobie radę. Dobrze mu życzyła. Nie mogła inaczej. A jednak on poszedł o krok dalej, przestał się kontrolować. Michael... Młody chłopak z jakiejś górskiej wioski, który tak bardzo cieszył się, że przy nich może być wreszcie sobą. Wszyscy się cieszyli. Steinbeck mocno się napracował, by zebrać ich w jednym miejscu. „Grupę”, która wcześniej kontaktowała się jedynie przez internet. Rzadkie gatunki. Rzadkie kwiaty, jak nazywał ich profesor.

Michael... Patrzył na nią wzrokiem zbitego psa i Emilie już wiedziała, że Anna Lindholm miała rację. We wszystkim. Te rzeźby, których fragmenty porozrzucano po salonie Niklause jak śmieci. To była ręka jej siostry! Poznałaby ją wszędzie. Angie była autorką tych rzeźb, a on...

Emilie przymknęła na moment oczy. Musiała to skończyć, teraz, natychmiast. Spojrzała jeszcze raz na Michaela, który pod jej wzrokiem skulił się jeszcze bardziej. Ale nie Rudolf. On stał nadal wyprostowany jak struna, dumny jak paw. Z czego ta duma? Był tylko żalonym dupkiem i spijał profity z interesu, którego nie rozkręcił. Czuła do niego jedynie pogardę. Ponownie wbiła wzrok w Michaela, ale on nie był już w stanie tego wytrzymać. Łkał cicho, czym wzbudził niepohamowaną wściekłość Rudolfa.

– Przestań się mazgać, pizdo! Jak mi kiedyś złamałeś nos, to nie ryczałeś. Weź się w garść, panienko. Emi, mów o co chodzi, bo pan artysta ma załamanie nerwowe.

– Wiem, kto zabił Marlene i Angie.

– Czyżby?

– Oczywiście. Wy też to wiecie. Nawet lepiej niż ja.

Niklaus zakwilił cicho i podszedł bliżej.

– Emi – zaczął. – Jak ci się wiodło przez te wszystkie lata? Chciałem napisać, ale...

– Daruj sobie. To ty zabiłaś Marlene Sachs. Dowiedziała się nie tylko, kim jesteś, ale przede wszystkim, że nie ty byłaś autorem rzeźb, dzięki którym odniosłeś taki oszałamiający sukces. Poszła z tym do pracowni Ernsta, chciała wyjawić mu prawdę i coś z tym zrobić, ale ty już tam czekałeś. Napadłeś na nią, zabiłeś, a później upozorowałeś scenę na jakiś głupi obraz. Chciałeś zrobić niewinnego człowieka w morderstwo, którego nie popełnił. Na kobiecie, którą kochał. Jak ci z tym teraz? Wiesz, że zawsze cię rozumiałam. Jesteśmy tacy sami, wspieraliśmy się. Chciałeś być wielkim artystą. To też

rozumiałam. Wybrałeś sobie wdzięczną dziedzinę sztuki... Rzeźba do złudzenia przypomina przecież martwe ludzkie ciało. A drewno...

– Emi, proszę!

– Drewno jest nietrwałe i łatwo ulega rozkładowi. Czy o to chodziło? O substytut? Myślałeś, że jak będziesz miał swoje rzeźby, to przestaniesz to robić? Powiedz mi. Chcę wiedzieć! To działa? Dlatego tak łatwo przystałeś na plan Rudolfa? Bo mógł spełnić twoje marzenie? Dlaczego ją poświęciłeś? Było warto?

– To nie tak! – wrzasnął Michael i złapał się za głowę. – Po prostu stało się. Powiedziała mi o rzeźbach...

– Zamknij się – syknął Rudolf.

– O tym, że wszystko wie. I nie może tego tak zostawić. Zamierzała powiedzieć Bauerowi, powiedzieć każdemu. Zdemaskować mnie. A ja po prostu wziąłem rylec z półki Ernsta i... No stało się. A później nie mogłem tego tak zostawić, nie mogłem przecież... musiałem...

– Zamknij mordę! – Rudolf doskoczył do Michaela i szarpnął go za koszulę. – O to jej chodzi, nie rozumiesz? Zaraz wymieni okrągłą sumkę, ma doświadczenie. Już to kiedyś zrobiła ze swoimi koleżankami. Jakoś ciebie w tym wszystkim pominęły.

– Michaela nie było wtedy z nami na cmentarzu. Nie pamiętasz? Przecież to ty tam byłeś.

– Emi, musisz mi wierzyć – jęknął znowu Michael. – Tak wyszło. Chciałem z nią najpierw porozmawiać, ale ona od razu zaczęła mówić o rzeźbach. Wyzywała mnie od kłamców, oszustów, hochsztaplerów, miernot... I na dodatek brzydziła się mną po tym, co jej wyznałem. Myślałem, że jest taka sama jak ja.

– Taka sama jak ty? – zapytała z niedowierzaniem. – Czy tobie się wydaje, że takich jak my można spotkać na każdym kroku?

– Byłem samotny. Nie miałem już nikogo. Wydawało mi się... A teraz jej nie ma. Nie chciałem jej zabić, tak wyszło! Emi!

– Ty cholerny idioto! – syknął znowu Rudolf. – Co niby „wyszło”? Jak już się bawisz w spowiedź, to na całego. Bardzo proszę! Marlene u mnie była. Szukała pomocy, bo się go przestraszyła. Wszystko jej powiedział. O sobie, o was także. O „grupie”. Kurwa!

– Rudolf – zaczął zboliałym głosem Michael, ale nie miał już siły się sprzeciwić.

– Zabaw wam się zachciało rodem ze średniowiecza. I ja to wszystko musiałem prostować. Nie była mi potrzebna jakaś idiotka, która zaczęłaby kłapać jęzorem na temat profesora, więc powiedziałem jej w zamian coś innego. Wyjawilem sekret większej wagi. Że to nie jej wielkie rzeźbiarskie guru jest autorem arcydzieł, które podpisuje własnym nazwiskiem. Ależ się wkurzyła!

– A tobie właśnie o to chodziło? – domyśliła się.

– Wiedziałem, że tego tak nie zostawi, że poleci do Bauera, swojego poprzedniego kochasia. Sam ją do tego nakłoniłem. Kazałem Marlene pójść do Bauera od razu i czekać na niego w pracowni. Przekonywałem, że kiedy zjawi się tam rano, z pewnością jej nie wyrzuci. Oczywiście wiedziałem, że do ich spotkania nigdy nie dojdzie. Narzekwała, że dzwoniła do niego przed kilkoma dniami, ale nie chciał rozmawiać. Zbył ją.

Wykorzystałem to. Powiedziałem, żeby dała sobie spokój z telefonami i po prostu zmusiła go do rozmowy w cztery oczy. A ona się zgodziła. Powiedziała, że zaraz pojedzie na Neubaugasse. Była przestraszona po rozmowie z Michaeliem, podczas której ten kretyn wyjawiał swój wstydlivy sekret. Bauer nawet nie wiedział, jakie głupstwo zrobił, odpychając Marlene. Miałby nas wszystkich na widelcu. A tak...

– Profesor zawsze lubił Ernsta – powiedziała w zadumie Emilie.

– No, on przynajmniej faktycznie rzeźbił własnoręcznie. Mógł się nie unosić dumą i jej wysłuchać. Ale było już za późno. Kiedy Marlene wyszła z mojego domu, zadzwoniłem do tego tutaj żalostnego dupka i powiedziałem, że ma posprzątać syf, który sam zrobił. I posprzątał.

Niklaus zwiesił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Emilie poczuła ucisk w gardle. Rudolf miał rację. Michael był żalostnym idiotą. Dał się wciągnąć w grę ludzi nie tylko niebezpiecznych, ale i znacznie mądrzejszych od niego. A przecież miał własną słabość, z którą nie należało się wychylać. Było jej go niemal szkoda. Spojrzała na Rudolfa i wycelowała w niego palec.

– Ty... Nie rozumiem i nigdy nie zrozumie, dlaczego.

– Co, kochana? Jakies kolejne rewelacje?

Zaszumiło jej w uszach. Miała ochotę czym prędzej zetrzeć z jego gęby ten drwiący uśmieszek.

– Porwałes moją siostrę. Trzymałes ją w zamknięciu, zmuszałes, by ci pomogła zrealizować twój chory plan, a później zabiłes. Dlaczego?

– Zupełnie nie wiem, o czym...

– Profesor Steinbeck nie był święty, ale miał swój honor. Pokaż, że ty też znasz to słowo. Ale nie... przecież ty jesteś tylko skutkiem ubocznym...

– Zamknij się! – ryknął. – Dlaczego? Chcesz wiedzieć, dlaczego? – Rudolf kiwnął na skuloną postać Michaela, który całkiem się rozsypał. – On kiedyś coś mi zrobił. Razem z profesorem zmusili mnie do czegoś, czego nie chciałem. To przez nich jestem teraz taki, jaki jestem. A twoja siostra nie musiała umierać. Chciałem, żeby mi pomogła. No dobrze – nakłoniłem ją do tego. Pragnąłem go pogrzyć. Zniszczyć raz a dobrze. Miałem plan, ale ona zawiodła moje zaufanie i zakończyła wszystko wcześniej. Sama to zrobiła. Zakłula się. Nie sądziłem... że będzie ją na to stać, naprawdę. Nie musiała umierać.

– Jesteś zwykłym potworem – wyszeptala.

– I kto to mówi? – zaśmiał się krótko, nieprzyjemnie. – Całkiem normalna osoba ze zdrowymi upodobaniami, co? Przykro mi, ale chyba masz rację. Niestety po takiej pogawędce i z taką wiedzą nie możesz stąd wyjść.

Rudolf zrobił krok do przodu. Żołądek podszedł Emilie do gardła. To był odpowiedni moment. Oby policja również była tego zdania... Teraz albo nigdy.

– Co zrobisz? Zamkniesz mnie tam, gdzie trzymałes Angie?

– Pomyślę o innych rozw...

– Tam, gdzie policja znalazła jej dowód?

Rudolf stanął jak wryty.

– Co ty powiedziałaś?

– Wcisnęła go za tapetę. Nie zauważyłes? Przecież tak ładnie posprzątałes.

I widzisz? Pastwiłeś się nad nią przez rok, ale ostatecznie to Angie wygrała.

– Jakim cudem...? Nic przy sobie nie miała, kiedy ją wywiozłem! Torebki, portfela... Wszystko zostawiłem w jej mieszkaniu. Więc jak...?

\*\*\*

– Wchodzimy! – wrzasnął Weber przez radio i otarł pot z czoła. – No i już. Ja też się tam może przejdę. Dobrze, że ten kretyń przyznał się do porwania, bo na to mamy przynajmniej dowód. W dalszym postępowaniu nie trzeba będzie się motać przy argumentacji dotyczącej podsłuchu i podglądu. A nienawidzę tego, serio.

– Chwila, chwila – zatrzymał go na moment Ebeling. – Ja połowy z tego, co oni mówili, nie rozumiałem.

– Na pewno więcej wyjdzie w zeznaniach, o ile się nie zatną. Ale są już chyba w takiej sytuacji, że raczej zaczną gadać. Możesz... możesz posłuchać. Będziesz Alicją po drugiej stronie lustra. Kanner się zgodzi.

– Dobrze i to – mruknął Ebeling i ciężko westchnął.

– A ty, Anno Lindholm, zostaniesz na Kloostergasse i grzecznie poczekasz, aż Ebeling wszystko ci zreferuje. Choć ich zeznania są ci potrzebne chyba tylko do... weryfikacji własnych teorii. Mam rację?

– Mniej więcej.

– Podziękowałbym ci bardziej oficjalnie i na forum, ale obawiam się, że wtedy wywalą mnie z pracy.

– Nie domagam się.

– Mogę natomiast obiecać, że utrzymam nazwisko Saskii Verbek w tajemnicy. A Chana Sullam była przecież tylko babką Ernsta Bauera.

– Ty wiesz...?

– Nie wszystko w tym śledztwie spieprzyłem. Jak będziesz znowu w Wiedniu, odezwij się.

Weber sprężystym krokiem ruszył w stronę domu Michaela Niklause. Ebeling chrząknął.

– Nie rób tego.

– Czego? – spytała zdezorientowana. To, co powiedział komisarz, zupełnie ją zaskoczyło.

– Nie odzywaj się do Webera. Kolejny chłopak naprawdę nie jest ci potrzebny. Nawet jeśli, dla odmiany, byłby z Wiednia.

\*\*\*

Leon przechadzał się pod kościołem Wotruby coraz bardziej nerwowo. Wzeszło już słońce i na dworze zrobiło się nieprzyzwoicie jasno, wesoło i pięknie. Wszystko wydało mu się nagle zbyt intensywne. Zieleń drzew i krzewów, błękit nieba i szarość bloków, z których zbudowano kościół. Także czerń. Jej bluzki, spodni i włosów. Biegła po schodach, dysząc ciężko. Musiała być zmęczona. Miał ogromną nadzieję, że to wszystko już się skończyło. I że finał był taki, jak przewidziała. Wyszedł jej na spotkanie. Patrzył, jak pokonuje ostatnie stopnie, aż wreszcie znalazła się na szczycie wzgórza. Stała przed nim, uniosła głowę i... uśmiechnęła się szeroko. Zalała go fala ulgi.

Otoczył ją ramionami i mocno przycisnął do siebie. Chciał powiedzieć jej wreszcie to, o czym i tak dobrze wiedziała, ale milczał. Celebrował ten moment, kiedy była tak blisko, tylko z nim. I odwzajemniała jego uczucie. Nie był na tyle ślepy, by tego nie zauważyć. Ani też na tyle naiwny, by myśleć, że tak jak teraz będzie już zawsze.

## CZEŚĆ IV

*Trudno wyobrazić sobie młodzieńca, który będąc w ciągłym kontakcie z dowodami śmierci, w równie małym stopniu ulegałby wrażeniom życia.*

Robert Louis Stevenson

*Hiena cmentarna*

*Rozmyślanie o śmierci jest rozmyślaniem o wolności.*

Jim Morrison

*Różnica pomiędzy seksem i śmiercią polega na tym, że kiedy będziesz umierał, nikt nie będzie się śmiać z ciebie, że robisz to sam.*

Woody Allen



## WIEDEN

10 czerwca 2015

Godzina 20.00

Marlene Sachs patrzyła na niego z mieszaniną ciekawości i strachu. Poznała prawdę i kiedy minął pierwszy szok, przysła tutaj. Tamtemu nic jeszcze nie powiedziała. Choć próbowała, dzwoniła, ale on nie chciał z nią rozmawiać. Pomyliła się. Jednak pogodził się z jej odejściem. Nie mogła w każdej chwili tak po prostu wrócić. Obarczyć go na powrót swoimi problemami. A teraz miała problem. Konkretny. Czegoś się dowiedziała i zupełnie nie wiedziała, co z tą wiedzą powinna zrobić.

Od dłuższego już czasu fascynowała ją zagadka broszki, na którą natrafiła przypadkiem. Była piękna, misternie wykonana i z pewnością bardzo droga. Dwugłowy orzeł. Symbol Habsburgów. Cesarski rozmach. Natrafiła na nią w jednej z szuflad. Szukała białej koszuli. Nigdzie nie mogła jej znaleźć, a on upierał się, że gdzieś była. Marlene zajrzała więc wszędzie. Chyba się tego nie spodziewał. Kiedy pokazała mu swoje znalezisko, znieruchomiał. Był wyraźnie zakłopotany i nie wiedział, co powiedzieć. Milczał przez chwilę i wpatrywał się w nią niezdecydowany. Wreszcie parsknął śmiechem i machnął ręką. Widziała, że był to nieco wystudiowany gest, pozbawiony naturalnego wdzięku. „Ach to!”, zawołał, a potem: „Należała do mojej babci, to pamiątka rodzinna”. Proste. Na pozór bardzo proste... Nie wiedziała, czy powinna mu wierzyć, ale ucieszyła się, kiedy powiedział, że może zatrzymać broszkę. I że może ją nosić. To była pierwsza prawdziwie cenna rzecz, jaką posiadała. Przykuwała wzrok. Tamten, o dziwo, nie pytał, skąd ją ma. A ona nie musiała mu tłumaczyć, że to prezent od człowieka, z którym dopuściła się zdrady. Milczała i czekała na to, co miało się wydarzyć. Co musiało się wydarzyć.

Nie wiedziała jednak, że broszka ma jakieś znaczenie, że stanowi symbol. Wszystkiego zaczęła się domyślać, kiedy zaczęli rozmawiać o śmierci. O fascynacji końcem, o tym, co nieuniknione. Śmierć i sztuka były ich ulubionymi tematami. Marlene u niewielu ludzi znajdowała zrozumienie co do swoich zainteresowań, ale on i tak źle zinterpretował jej słowa. Myślał, że jest taka sama jak on. Tego, co wyznał, zupełnie się nie spodziewała. Przestraszyła się i jednocześnie... zaciekawiła. Nie mogła przecież dać po sobie poznać, że ją przeraził. Nie wiedziała, jak by zareagował. Czy zachowałby spokój. Widziała go już nie raz w stanie wzburzenia i wiedziała, że miewał kłopoty z samokontrolą. Raz zamachnął się na nią czymś ciężkim, ale w porę się zreflektował. Innym razem ją popchnął, na szczęście jednak nic się nie stało. Zdawała sobie sprawę, że gniew to potężne i często trudne do okiełznania zjawisko. Znała je całkiem nieźle. Często sama dawała się ponieść emocjom. Krzyczała i rzucała obelgami, wcale nie jak dama. Nie wierzyła, że mógłby naprawdę ją skrzywdzić. Później jednak, kiedy po raz kolejny poruszyła temat broszki i wreszcie wyznał prawdę, nie była już tego taka pewna. Zadawała sobie pytanie, czy na tyle źle zrozumiał to, co powiedziała, że mógłby próbować ją do czegoś nakłonić. A ona przecież wcale...

Dotarło do niej wreszcie, w jak wielkim znalazła się niebezpieczeństwie. Bo powiedział jej za dużo. Nie tylko, skąd ma broszkę, ale też o tym, że takich samych ozdób było kilka. Powiedział, kto wchodził niegdyś w skład „grupy”. I że teraz „grupa” się rozpadła. Można by ją odnowić. Bo z pewnością każdy i tak działał na własną rękę. Można by... Ogarnął ją strach. Co miała zrobić? Milczeć? Uznała, że nie może tak po prostu czekać. Ernst ją odrzucił, zanim powiedziała mu, o co chodzi. I dlatego przyszła tutaj. Czowała... Nie mogła się pozbyć wrażenia, że ten człowiek wcale taki nie był. Różnił się. Cała ta sprawa, „grupa”, w ogóle mu się nie podobała. Oczywiście mogła się mylić, ale postanowiła podjąć ryzyko.

I teraz patrzył na nią, a ona patrzyła na niego. W swoich oczach czytali te same emocje. Ona się bała i on bał się również. Dukąła trochę, kiedy poruszyła temat broszki. A jeśli jednak był taki sam? Jeśli właśnie wydała na siebie wyrok? Uśmiechnął się. „Chyba wiem, czego się obawiasz”, powiedział. I dodał: „Możemy sobie pomóc”. Po czym zaczął mówić o niezwykłych rzeczach. O tym, że powinna patrzeć uważnie. Przyglądać się i analizować detale. Pojęła w lot, do czego zmierzał. Ogarnęła ją złość. Zaufała mu przecież! Nawet teraz, kiedy zaczęła się go bać, nadal wierzyła, że jest szczerzy i prawdziwy. W tej jednej jedynej kwestii. Och, teraz coś na niego miała. Teraz już nie musiała się bać, ale to... okropne uczucie zawodu... było jeszcze gorsze od strachu.

Nie mogła tego tak zostawić. Komuś należało się poznanie prawdy. Nawet jeśli nie chciał z nią rozmawiać. Nawet jeśli właśnie teraz, w tej konkretnej chwili, zobowiązała się do zachowania milczenia. Do tego, że wykorzysta sekret przeciwko jednej jedynej osobie, żeby chronić siebie.

Pozwolił jej przecież do niego pójść. Najlepiej od razu.

Nawet ją do tego zachęcał.

Godzina 22.00

Rozmawiali przez dwie godziny i bardzo się starał nie okazać irytacji. Złości, strachu i niepewności. Co powinien z nią zrobić? Nie mogła tak po prostu chodzić po ziemi. Wiedziała za dużo. Wszystko właściwie wiedziała. Znalazł się w niebezpieczeństwie. Jak będzie wyglądał, kiedy prawda wyjdzie na jaw? Kto mu uwierzy, że nie chciał brać w tym udziału? Że po prostu został wciągnięty? Brzydził się nimi... A teraz ona wiedziała. Powiedział jej, skurwiel jeden! Bo myślał, że dzielili tę samą pasję! Świetny powód. Poza tym jednak był w błędzie, idiota. A ona przyszła tutaj, jak wystraszona sarenka. W ogóle nie wiedziała, co robić. Była taka głupia. Powinna spieprzać czym prędzej i to jak najdalej. Nikomu nic nie mówić, zmienić nazwisko, zacząć nowe życie. Milczeć jak... grób. Zaśmiał się sam do siebie. Dlaczego tamten aż tak zaryzykował? Musiał jej uwierzyć. A raczej – tragicznie pomylić się co do niej. Inaczej nigdy w życiu nie wyjawiłby swojego – ich – sekretu. Stracił czujność. A Marlene Sachs chodziła wolno po świecie i była jak tykająca bomba.

Dlatego coś jej zasugerował. Oczywiście nie wyjawiał całej prawdy, bo nie był idiotą, jak tamten. Gdyby powiedział wszystko, musiałby również zdradzić, jaką rolę sam odegrał. Wspomnieć o Angie, a przecież o niej akurat wspomnieć nie mógł. Ale to, co

powiedział, wystarczyło. Marlene jednak miała przebłyski geniuszu, od razu skojarzyła fakty. Była wściekła. Teraz należało tylko dobrze to wykorzystać i sprawić, by tamten wykonał całą robotę. Kiedy ogarniał go gniew, zupełnie tracił kontrolę...

Sięgnął po telefon i wybrał numer. Usłyszał w słuchawce znajomy głos.

„Marlene Sachs wie o rzeźbach. Nabrudziłeś. Posprzątaj”.

Rozłączył się i zapatrzył w okno. Nie wątpił, że tamten zrozumiał przekaz. I pojął, który pionek należy poświęcić. Niektóre głupie decyzje przynoszą przykre konsekwencje.

Szkoda jej.

Godzina 23.00

Marlene Sachs wie o rzeźbach. Nabrudziłeś. Posprzątaj.

Głupia. Poszła z tym do niego. Przestraszyła się. Pomylił się co do niej. Po prostu w tym, co mówiła, odnalazł część siebie. Łudził się, że znajdzie u niej akceptację. Że go zrozumie. Że jest taka sama.

Dlaczego poszła akurat do tamtego? Skąd wiedziała, że się od nich różnił? Czy to dlatego, że użył sformułowania: „zawsze trzymał się nieco z boku”? Pojęła sens jego słów? Po co to powiedział? Tamten nie był w niczym lepszy. Kradł, oszukiwał i mydlił wszystkim oczy tak samo jak oni. Jak „grupa”. A jednak ona poszła do niego, a on także jej o czymś powiedział. Sekret za sekret. Czy dowiedziała się o Angie? Nie, z pewnością inaczej to rozwiązał. Nie ryzykowałby aż tak.

A jednak ona wiedziała i na pewno była zła. Wierzyła w niego. Zawiodła się. Mogła go zniszczyć.

I dlatego był gotów czekać teraz na każdy jej ruch. A kiedy udała się do pracowni na Neubaugasse, zjawiał się tam również. Naprawdę myślał, że uda im się najpierw porozmawiać...

## Rozdział 26

Inge Altman zrzuciła w kuchni swoje niebotycznie wysokie szpilki i weszła do salonu. Bez słowa przyjęła od Leona szklankę z burbonem i usiadła na kanapie. Oparła się o ułożone w stos poduszki.

– Lepiej się czujesz? – zapytała Anna, choć zdawała sobie sprawę, że to pytanie jest bez sensu.

– Nieszczególnie. Ale dzięki – odparła.

Anna i Leon wymienili spojrzenia. Ebeling powinien już tu być i w pokoju dało się wyczuć pewne napięcie. Ruchy Inge pozbawione były jednak nerwowości. Kobieta leniwym gestem przechyliła szklankę i wypila alkohol. Wydawała się obojętna na wszystko i wszystkich, jak gdyby nagle przestało jej zależeć. Nie musiała się starać, spinać, udowodniać, że jest najlepsza i współpracuje z najlepszymi. Niklaus wciągnął ją w swoją grę, która zataczała szersze kręgi. Inge Altman z pewnością się tego nie spodziewała. Poza tym nie tylko fałszywy rzeźbiarz ją zawiodł. Była również rozczarowana profesorem Steinbeckiem, którego niegdyś podziwiała i szanowała. Ciekawe, czym bardziej? Jego specyficznymi „upodobaniami” czy faktem, że handlował kradzionymi dziełami sztuki? Anna miała przeczucie, że raczej to drugie. Inge mogła wyglądać na wyrachowaną zmiję, ale była wielką pasjonatką. Uwielbiała sztukę, poświęciła jej całe życie. Sama nie umiała niczego stworzyć, więc pomagała tym, którzy potrafili. Pracowała dla nich. Prawie im służyła. A dwie osoby, w których pokładała największe nadzieje, tak ją zawiodły. To musiało boleć. Anna знаła podobny ból. Teraz jednak nie zamierzała do tego wracać. Zdała sobie sprawę, że przeszłość coraz mniej ją dręczy. Ważna jest przecież terażniejszość.

– Znaleźli Ernsta? – zapytała nagle Altman, wrywając Annę z zadumy.

– Jeszcze nie. Ale chyba już wiedzą, gdzie jest – odrzekła, uśmiechając się mimowolnie na wspomnienie rozmowy z Ulrike Seinfeld, którą odbyła niedawno.

– Naprawdę? To dobrze. Coś mu grozi?

– Pewnie policja postawi mu zarzut utrudniania śledztwa. Nawet jeśli jest niewinny, to swoją ucieczką nieco sprawy skomplikował. Musieli go przecież szukać, zamiast zajmować się innymi tropami. Ale jakie konsekwencje poniesie, tego nie wiem, bo średnio się orientuję w tutejszym prawie.

Anna również sięgnęła po szklankę. Jej jedynym zmartwieniem było teraz to, by udział w całej sprawie Chany Sullam nie wyszedł na jaw. By nikt nie pomyślał o analizowaniu biografii Ernsta i w efekcie nie zarzucił mu, że przez wzgląd na babkę również miał ze Steinbeckiem jakieś interesy. Ale wyglądało na to, że Chana/Saskia umiała zacierać za sobą ślady. Oby...

W zamku zachrobotał klucz i do mieszkania wpadł zdyszany Thomas Ebeling. Cała trójka wstała na jego widok.

– Dobra, dobra, siadajcie! Nie jestem cesarzową Sissi – rzucił. – Ale czegoś bym się napił.

– Zaczęli mówić? – przeszła do rzeczy Anna.

– Chwila, moment. Napiłbym się. Wspomniałem?

– Możesz dostać wodę albo herbatę.

– Ale...

– Nie mam zamiaru narażać się twojej żonie. I tak już robiłeś niedozwolone rzeczy. Biegałeś po cmentarzu, jeździłeś pociągami przez kilkanaście godzin, piłeś za dużo kawy i tropiłeś morderców... Nazbierało się.

Leon z uśmiechem postawił przed oniemiałym Ebelingiem szklanę z wodą. Emerytowany komendant wychylił ją z obrzydzeniem.

– No dobra – powiedziała. – A teraz do rzeczy. Od którego zaczniemy?

– Od Rudolfa.

## Rozdział 27

Miał dziesięć lat, kiedy „wujek” zabrał go do siebie. Bywał już wcześniej w Wiedniu, ale tym razem czuł się tutaj dziwnie, bardziej obco. Kiedy przyjeżdżał z matką w odwiedziny do profesora Steinbecka, sytuacja wydawała się jasna. Byli po prostu turystami z Węgier. Później, kiedy profesor go zaadoptował, Rudolf teoretycznie stał się wiedeńczykiem. Dostał nawet nowe nazwisko. Steinbeck. Nie podobało mu się. Ale profesor utrzymywał, że tak będzie lepiej. Miał zostać jego wychowankiem i głównym spadkobiercą. W papierach wszędzie widniało, że Rudolf przyszedł na świat jako syn Klary Farkas, ale rubryka z nazwiskiem ojca pozostała niewypełniona. Profesor rzucił na tę sprawę nieco światła. Podczas wszczynania procedury adopcyjnej podkreślał, że jego brat, który przed kilkoma laty zmarł na białaczkę, „zrobił dziecko tej biednej Węgierce i tyle go widziała, bo nie wziął za nie odpowiedzialności”. Póki żyła, po prostu wspierał bratanka finansowo, ale teraz, skoro chłopak nie ma innej rodziny, nie może pozwolić, by wyłudował w domu dziecka. Honor na to profesorowi nie pozwala. I tak dalej. Kupiono tę historię. Albo udawano, że kupiono. Steinbeck był przecież bogaty. Skoro chciał przysposobić dziecko i zabezpieczyć je na przyszłość, to chwala mu za to. Gwiazdy Hollywoodu na okrągło adoptowały jakieś sieroty z Wietnamu i Bangladeszu, więc dlaczego ktoś miał przeszkodzić austriackiemu szanowanemu profesorowi w zajęciu się bratankiem z Węgier? Rudolf nie wnikał w szczegóły. Nie wiedział, kim był jego ojciec, więc przyjął wersję o bracie Steinbecka. Lepsze to niż nic.

Matka zawsze mówiła o sobie „pani”, ale tak naprawdę nie zasłużyła na ten tytuł. Była panną, nigdy nie wyszła za mąż. Tylko jeden mężczyzna liczył się dla niej w życiu. Profesor Steinbeck. „Karl”. Rudolf zrozumiał to bardzo późno. Z początku naiwnie myślał, że chodzi tylko o starą znajomość matki z dawnym profesorem, układ uczennica – mentor. Że potrzebowała tego kontaktu, bo „Karl” dawał jej wskazówki, punktował błędy i chwalił, jeśli coś zrobiła dobrze. Nie była wielką rzeźbiarką, ale radziła sobie. Miała niewielką galerię w jednej z dzielnic Budapesztu, w której poza figurami z drewna sprzedawała pocztówki i suweniry. Rzeźbiła także „świętych”, bożonarodzeniowe szopki i Jezusa na krzyżu, bo na dewocjalia zawsze był popyt. Rudolf dopiero po pewnym czasie, kiedy matki już nie było na świecie, zrozumiał, że w tej ich relacji coś zgrzytało. Steinbeck uczył rzeźby, wykładał na uczelni w Wiedniu, uchodził za autorytet. Wokół niego skupiali się ludzie o wielkich talentach, wybitni artyści i wizjonerzy. A on promował i wspierał bardzo przeciętną Węgierkę, która na studia w Wiedniu dostała się chyba jakimś... cudem.

Kiedy Steinbeck zabrał go do siebie, jeszcze o tym wszystkim nie myślał. Ważna była matka. Klara Farkas. I to, że umarła. Właśnie tutaj, w mieście, gdzie wszędzie widać było jakiegoś orła. Albo z jedną głową, albo z dwiema. Złotego albo czarnego. Steinbeck też lubił tego pieprzonego orła, dał nawet matce broszkę w takim kształcie. Drogą, z platyny, złota i małych szlachetnych kamieni. Nosiła ją z dumą. Rudolf właśnie przez tę broszkę zaczął się czegoś domyślać. Zgadywał, że „wujek” jest nie tylko dawnym profesorem matki, ale też jej... hm... facetem? To mu jakoś nie pasowało, a słowo „kochanek” z kolei z trudem przechodziło przez gardło małemu chłopcu. Wypowiadał je

zresztą tylko sam do siebie, matki nigdy o nic nie zapytał wprost. Składał puzzle, szczególnie po szczególe, aż wreszcie wyszło mu, że pewnie mieli „romans”, który z przerwami trwał przez kilka lat. Nie czuł złości. Klara Farkas dbała o niego, była mądrą i silną kobietą, jak wilczyca, która nie boi się lasu, ciemności, śmierci i dzikich zwierząt. W końcu nazwisko zobowiązywało. Tego właśnie Rudolfowi najbardziej brakowało, kiedy już zaczął nowe życie w Wiedniu. Dawnego nazwiska. Farkas. Po węgiersku – wilk. Długo nie domyślał się, że jej brak lęku przed ciemnością i śmiercią może mieć drugie dno.

Klara Farkas umarła w Wiedniu. A dokładnie – popełniła samobójstwo. Połknęła garść środków nasennych. Serce nie wytrzymało. Rudolf nie pojechał z nią wtedy do „wujka”, został wysłany na kolonię letnią. Powiedziano mu tyle, że matkę znaleziono na Cmentarzu Centralnym, na jakiejś łące. Nie umiał wyobrazić sobie łąki na cmentarzu i zupełnie nie rozumiał, dlaczego ona pojechała akurat tam. To znaczy miejsce owszem, nadawało się, a jednak... Nigdy nie słyszał, by matka wspominała o Cmentarzu Centralnym. Był ktokolwiek wspominał. I oczywiście wciąż dręczyło go pytanie – dlaczego? Był na nią zły. Dlaczego to zrobiła? Zostawiła go samego, dziesięcioletniego chłopca, jedyne dziecko. Dopiero później zrozumiał, że to nie tylko ona zdecydowała. I że ktoś, kto zdecydował razem z nią, również nie takiego efektu się spodziewał. Robił to przecież już wcześniej. Robili – razem. Karl i Klara. Rudolf domyślił się wszystkiego, kiedy zobaczył, co stało się z tamtym chłopakiem, Moritzem Englem. Tyle tylko, że on nie wiedział, co go czeka. Przyszedł na stary żydowski cmentarz nocą, bo spodziewał się małej orgietki z dreszczykiem. No cóż, na świecie świrów nie brakowało. Dziewczyny wybrały miejsce do spotkania bardzo pomysłowo, bo pod starym i opuszczonym grobowcem rodziny... Engel. Mauzoleum z czarnego marmuru robiło niesamowite, przerażające wrażenie, zwłaszcza nocą. Brit, Lola, Emilie i Danni zapaliły niedużą świecę. Cmentarz był pilnowany, nie mogły zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Na starą żydowską część zagładano wprawdzie rzadko nawet za dnia, ale podejmowanie takiego ryzyka nie było dobrym pomysłem. Słowa „Marcus Engel” wryte w ciemnym marmurze tuż nad kutą żelazną bramą na chwilę odebrały chłopakowi mowę.

Ukryty za innym starym grobowcem Rudolf wszystko słyszał i wiele widział. Moritz Engel przystanął przed mauzoleum i powiedział:

– O kurwa, wy tak na serio?

Po czym zaczął cicho chichotać. Podały mu butelkę z jakimś alkoholem. Wypił. One także miały swoje flaszki, a ten idiota nie zorientował się, że chyba coś jest nie tak, skoro wszyscy nie piją z jednej, jak przystało na warunki polowe. Pili, śmiali się, żartowali. Rudolfowi niedobrze się robiło od sprośnego, mało wyrafinowanego poczucia humoru. I na samą myśl o tym, co się za chwilę wydarzy. Był krańcowo zaskoczony. Spodziewał się, że stanie się świadkiem jakiejś nielegalnej transakcji, że te dziewczyny orientowały się w ciemnych sprawkach profesora i załatwiały dla niego pomniejszych interesy. Był taki głupi! Rozeznał się już nieźle w biznesie swojego „wujka”, który zresztą miał w przyszłości przejąć, ale wydawało mu się, że może one coś kręć na boku. Oszukują ich i okradają rodzinny interes Steinbecków. Być może profesor niepotrzebnie im zaufał? Uczył go przecież, że najlepiej nie ufać nikomu. Bo zaufanie jest przereklamowane i prędzej czy później zawsze wskaże przeciwnikowi nasze słabości.

A Rudolf pojął już przez te wszystkie lata, że pieniądze nie śmierdzą. I wszelka nielegalna działalność oprócz dochodu przynosi coś jeszcze – dreszcz, którego próżno szukać na ciepłych posadkach...

Tak, miał plan. Śledzić studentki Steinbecka, odkryć „szwindel”, przybiec do „wuja” i o wszystkim mu powiedzieć, zostać pochwalonym i dopuszczonym do kolejnych branżowych tajemnic. Miał dość niepoważnego traktowania. Skończył dwadzieścia trzy lata. Był dorosły. Może nie studiował sztuki, może nie miał talentu i nie potrafił rzeźbić, ale przecież okazał się całkiem niezły w wycenie. Dopiero zaczynał, profesor wciąż tłumaczył mu, że jeszcze niczego konkretnego nie umie, ale... to... było okropnie denerwujące. A te dziewczyny? Jakie interesy łączyły go z nimi? Były mniej więcej w tym samym wieku co Rudolf. Czy potrafiły coś więcej? I wreszcie – to pytanie wracało do niego wciąż i wciąż od nowa – czy były uczciwe wobec Steinbecka? Rudolf od kilku ładnych miesięcy starał się odkryć prawdę. Widział, jak w różnych miejscach umawiały się z profesorem. Niekiedy przychodziły do willi pod Lasem Wiedeńskim, ale tam akurat nigdy nie zrobiły niczego dwuznacznego. Zawsze rozmawiały o rzeźbie, nigdy o żadnych interesach. Rudolf sam właściwie nie wiedział, dlaczego zaczął je o coś podejrzewać. Ale przecież ich spotkania ze Steinbeckiem na mieście, zwłaszcza te nocne, nie mogły ograniczać się do konwersacji o sztuce.

Jeśli oszukiwały profesora, miał zamiar tego dowieść. Ale one go zaskoczyły. Kiedy spotkały się przed mauzoleum rodziny Englów, śmiały się i mówiły, że „Moritz Engel” zaraz przyjdzie, a potem wymieniały po kolei, na co mają ochotę. Rudolf zdębiał. Pomysł, by uprawiać seks w tym miejscu, napawał go odrazą. Ale one zaskoczyły go jeszcze bardziej. Nie chciały chłopaka upić. Chciały go... uśpić. Rudolf z coraz większym zdumieniem patrzył, jak Moritz chwije się i wreszcie odplywa. Chwilę im zajęło uśpienie go, a kiedy już się to stało, Lola klasnęła w dłonie. Zdjęła kłódkę z kutej bramy i wszystkie razem wniosły go do grobowca. Żołądek podszedł Rudolfowi do gardła. Danni i Emilie wyszły na zewnątrz i przymknęły żelazne drzwi. Zapaliły po papierosie i oparły się o marmurową ścianę. Ze środka zaczęły dochodzić ciche odgłosy... Rudolf wziął głęboki oddech, by nie zwymiotować. Danni wychyliła się i powiedziała:

– Brit, weź się hamuj i bądź ciszej. W końcu to cmentarz.

Emilie zachichotała i zdeptała papierosa.

– I pospieszcie się. Kolejka jest – dodała od siebie.

Rudolf niewiele z tego rozumiał. Jak one z nim... Skoro spał? Facet nie mógł im nic... z siebie dać. Nie, to wszystko było jakieś popierdolone. Chyba śnił. Musiał stąd odejść. Skoro te baby miały nierówno pod sufitem, ich sprawa. Grunt, że nie podpinały się pod biznes Steinbecków. Jego przyszły biznes. A skoro lubiły bzykać się na cmentarzu ze śpiącymi facetami...

Naprawdę chciał stamtąd odejść, ale przecież nie mógł, póki tam pozostawały. Czekał więc. Z nudów... zerkał czasem. Dziewczyny się zmieniały. Teraz w środku były Emilie i Danni. Krótko, może kilka minut. Jedna z nich również wydała z siebie jakiś dźwięk. Dziwny. Lola i Brit, obie w świetnych humorach, wymieniły rozbawione spojrzenia.



– Przyganiał kocioł garnkowi – odezwała się Lola i wetknęła głowę do grobowca. – Teraz ty bądź ci...

Nie zdążyła dokończyć zdania. Z wnętrza mauzoleum dało się słyszeć głośny krzyk, bardzo szybko urwany. Ktoś zatkał krzyczącej dziewczynie usta. Lola i Brit wpadły do środka. Tym razem Rudolf usłyszał odgłosy szamotaniny i tłumionego szlochu.

– Zamknij się – syknęła któraś z nich.

– On... on... *He's dead!*

To była Emilie. Często wtrącała całe sformułowania po angielsku, bo jeszcze nie nauczyła się biegle posługiwać niemieckim. Rudolf miał wrażenie, że ciśnienie za chwilę rozsadzi mu czaszkę.

– Jak to, kurwa, *dead?* Chyba cię...

– Ona ma rację.

– Żartujecie sobie?! Jak to możliwe, że tak szybko wykitował? No przecież... To były zwykle środki nasenne! Więc jak?

– Steinbeck nas ostrzegał – mruknęła Lola. – Jemu też się to przytrafiło. A ten tutaj jeszcze zmieszał prochy z alkoholem. Nie wiemy przecież, czy na coś nie chorował. Kretynki!

– Wpadka profesora... Trzyście lat temu? – dołączyła się Danni. – Z Farkas?

– Tak, ale wtedy sprawa była prostsza. Umówili się. Farkas przysłała na cmentarz sama i połknęła pastylki. Miała już spać. Więc to nie on ją załatwił.

– Tyle wiemy, ile Steinbeck nam powiedział! – prychnęła Brit. – Może zajmujemy się teraz tym tutaj?

– Stuknij się w ten swój dumny łeb – zirytowała się Lola. – Przecież było śledztwo. Nie znaleźli na niej żadnych śladów...

– W latach dziewięćdziesiątych badania DNA...

– Zajmiemy się cholernym Englem, zanim ktoś tu przyjdzie?!

– ...DNA, DNA! Ujmę to prościej – nie znaleźli na niej nic. Śliny, włosów, odcisków palców. Sprawa Farkas pozostaje niewyjaśniona, ale wszystko wskazuje na samobójstwo. Nawet seks... – Lola zawahała się. – Rozumiecie? Nie zrobił tego. Zostawił ją. Mówię wam, stary nie kłamie.

– W takim razie my mamy większy kłopot – odezwała się powoli Danni.

– Właśnie – potwierdziła Emilie, która cała się trzęsła. – Na nim... na Moritzu... zostawiłyśmy całe mnóstwo śladów. Nie będzie wątpliwości. Musimy coś zrobić.

Dziewczyna zaczęła szlochać. Pozostałe w milczeniu spojrzały na wejście do grobowca Englów.

– Najlepiej go spalić – powiedziała z dziwnym spokojem Danni.

– Tutaj?

– Ktoś może zauważyć. Ale z drugiej strony, jeśli spróbujemy go przenieść, to też ktoś może zauważyć, a wtedy będą kłopoty. Chyba nie mamy wyboru. Mauzoleum jest z kamienia, dość wysokie. Musimy zaryzykować. To jedyny sposób, żeby pozbyć się śladów.

– Ale nie mamy nic... – zaczęła niepewnie Emilie, wciąż pochlipując.

– U mnie w aucie jest kanister. Pełny. Zawsze wożę – odrzekła, wciąż dziwnie spokojna Danni. – Skoczę po niego.

– Tylko nic nie kombinuj. – Lola zastąpiła jej drogę.

– Razem w tym siedzimy. Pamiętasz?

Danni pobiegła w stronę muru okalającego cmentarz. Rudolf wstrzymał oddech. Minęła go. Jego kryjówkę. Zanim zdążył pomyśleć, przebiegła obok i pomknęła dalej. A to oznaczało, że będzie tędy wracać. Musiał się schować. Musiał uciekać. Słyszał przecież, co zamierzały zrobić. To było szaleństwo! Na pewno je złapią. A jeśli on tu zostanie... Jeszcze nie było za późno. Musiał tylko pójść w przeciwną stronę, nie tam, gdzie pobiegła Danni. Znał dobrze ten cmentarz. Jako nastolatek przychodził tu często i oglądał łąkę, na której znaleziono ciało jego matki. Łąka. Na cmentarzu. Była tu naprawdę. Musiał iść właśnie w tamtą stronę. Wydostać się ze starego żydowskiego cmentarza, minąć kościół Boromeusza i iść dalej, aż do nowszej części, i stamtąd wydostać się bocznym wyjściem lub przeskoczyć mur. Wszystko, tylko nie zostać tutaj. I nie wyjść główną bramą. Nie rzucać się w oczy. Oddalić od nich.

Aby to zrobić, musiał przeciąć alejkę, na której stały. Znajdował się kilka metrów od nich. Wszędzie było ciemno, ale one miały latarki. Musiał zaryzykować. Jeśli pójdzie naokoło, może natknąć się na wracającą z kanistrem Danni. One nie były normalne. Bał się ich. Uświadomił sobie, że bał się bardzo, tak bardzo, że poczuł ból w szczękach, które przez cały czas mocno zaciskał. Z czym musiał się zmierzyć? Myślał, że chodziło o kradzież. O lewe interesy. A tymczasem...

Za długo się zastanawiał. Między nagrobkami coś zaszeleściło i Rudolf zobaczył ciemną sylwetkę. Wracała Danni. Jeszcze go nie widziała. Jeszcze... Musiał to zrobić teraz. Poderwał się na nogi i rzucił w bok. Przeciął alejkę i nie oglądając się za siebie, biegł dalej. Jedną ręką naciągnął na głowę kaptur. Jego wzrok zdążył się przyzwyczaić do ciemności i znał drogę, więc poruszał się pewnie. Za plecami usłyszał stłumione krzyki. Któraś z dziewczyn przez chwilę go goniła, ale musiała zrezygnować, bo Rudolf ponownie rejestrował tylko głuchoe odgłosy własnych kroków. Trzymał się z dala od głównych alejek, jednak nie zwolnił nawet na moment. Kiedy wreszcie, po wyczerpującym biegu, przeskoczył mur, nie zwolnił także. Oddalił się od cmentarza i dopiero wówczas padł na kolana, dysząc ciężko. W tej chwili jedno go tylko zastanawiało. Czy wśród aut zaparkowanych nieopodal samochodu Danni zauważą ciemne volvo... Wiedziały przecież, czym jeździł.

Do domu wrócił taksówką, którą zamówił, kiedy już odszedł od cmentarza na bezpieczną odległość. Trząśnięcie jak osika i chciało mu się płakać. Tak do końca nie rozumiał, co się stało. Kim one były? Kim był Steinbeck i kim była jego matka? Interesowało go przede wszystkim to ostatnie. Zrozumiał tyle, że umówiła się z profesorem na cmentarzu i dobrowolnie zażyła środki nasenne, a on miał ją tam znaleźć już uśpioną. Czy oni...?

Rudolf nagle zdał sobie z czegoś sprawę. Otóż każda z tych dziewcząt pochodziła z innego kraju i wszystkie prezentowały na studiach dość przeciętny poziom. Jego matka również, dawniej. A jednak dostały się na prestiżową Akademię Sztuk Pięknych

i zaliczały wszystkie egzaminy. I skupiały się wokół profesora Steinbecka... Jakie to miało znaczenie, że pochodziły z różnych stron świata? Rudolf zaczął główkować. I jedyne, co przychodziło mu do głowy, to to, że Steinbeck po prostu je tutaj ściągnął. Może poznali się wcześniej? Na przykład w sieci? Na przykład na jakiejś... grupie dyskusyjnej zrzeszającej ludzi o podobnych upodobaniach? A później Steinbeck uznał, że miło będzie, jeśli wszyscy skupią się w tym samym miejscu? Z pewnością osoby o akurat „takich” zainteresowaniach niełatwo było poznać w tradycyjny sposób. I z pewnością sieć wiele spraw ułatwiała. Pokazywała naocznie, jak są liczni i że w ogóle są. Swój mózg wreszcie trafić na swego, znaleźć odrobinę zrozumienia dla chorych fascynacji. A jednak – jego matka?

Tego nie mógł tak zostawić. Za wszystko go obwiniął. Steinbecka. „Wuja”. Akurat jego, swojego dobrodzieja i darczyńcę. Tego, który wszystko mu dał. Dach nad głową, pieniądze i przyszłość. Mógł przecież umyć ręce, kiedy wydarzyła się ta historia z Klarą. To by było bezpieczniejsze. Zostawić Rudolfa na Węgrzech, pozwolić mu siedzieć w domu dziecka, odciąć się. Ale on nie tylko się nie odciął. Zaopiekował się nim. A jeśli zabił jego matkę? Co Rudolf miał z tym podejrzeniem zrobić? Musiał jakoś dowiedzieć się prawdy.

Zapadł w niespokojny sen, a kiedy obudził się rano, przy jego łóżku siedział Steinbeck. Był bardzo spokojny, ale uśmiechał się kpiąco. Rudolf poczuł, jak oblewa go fala gorąca. Nie mógł reagować gwałtownie. Przecież nie wiedział, dlaczego wuj się tutaj zjawił. To nie musiało mieć żadnego związku z wczorajszymi wydarzeniami. Bo niby dlaczego? Powoli usiadł na łóżku. Wszystkie mięśnie bolały go jak podczas grypy.

– Dobrze spałeś? Wróciłeś późno – odezwał się cicho profesor.

– Tak, późno. Niespecjalnie dobrze spałem.

– Przyjechałeś taksówką.

– Tak.

– Gdzie twój samochód?

Gardło ścisnęło się Rudolfowi boleśnie.

– Byłem na imprezie. Gdzieś koło cementarza. Napilem się, więc zostawiłem tam samochód. Zaraz po niego pojedę.

– Wiesz... Mówiłem ci kiedyś, że zaufanie jest przereklamowane, a dokładnie – do dupy. Bardzo wzięłeś to sobie do serca.

– O czym ty mówisz?

– Twojej matce podobała się ta broszka. Co prawda mówiła, że nie potrzebuje żadnego symbolu, ale ja chciałem jakoś nas wyróżnić. Orzeł Habsburgów... Wiesz, jak oni poważnie traktowali śmierć. Ostatnią drogę, całą ceremonię, jak pieczołowicie podchodzili do pośmiertnej defragmentacji ciała, by każda z części znalazła się w odpowiednim miejscu.

– Nie rozumiem. – Koszulka przykleiła się Rudolfowi do pleców, ale zamiast gorąca czuł teraz zimno. Jak długo jeszcze mógł grać idiotę?

– No nie, z pewnością nie. Jeszcze. Twoja matka przyjęła wreszcie broszkę, ale z oporami. Natomiast dziewczyny... Im bardzo się ten pomysł podobał. Uczynił z nas elitarny klub. Grupę, którą jednoczyła wspólna pasja. Długo ich szukałem. Twoja matka

sama mnie znalazła. Kiedyś nie było Internetu, nie wiem, jak to zrobiła. Ale kiedy dowiedziałem się, że jest taka jak ja, zrobiłem jej teczkę z rysunkami i wykonałem kilka próbek rzeźbiarskich, żeby mogła składać papiery na studia. Później pomagałem Klarze z egzaminami. Była nawet zdolna, ale za mało jak na naszą uczelnię. Jeśli chciałem ją zatrzymać, musiałem działać. Fascynowała mnie. To ona pokazała mi, że tak naprawdę nie robimy niczego złego. Że po prostu musimy zaakceptować siebie takimi, jakimi jesteśmy. Wcześniej miałem opory. Ona wyzwoliła moje prawdziwe „ja”. Odpuściła sobie dopiero, kiedy się urodziłeś. Oczywiście nie całkiem. Ale musiała bardziej uważać. Obawiała się też, że będziesz taki sam.

Rudolf wyprostował się i oparł o ścianę. Patrzył teraz Steinbeckowi prosto w oczy.

– Czyli jaki?

– Ale ty nie jesteś taki sam – zignorował jego zaczepkę profesor. – Jesteś normalny, tak jak się zazwyczaj postrzega normalność. Może to i lepiej dla ciebie.

– Jaki nie jestem? – wycedził, z nerwami napiętymi do granic możliwości.

– Masz wymiociny na koszulce – zauważył profesor z rozbawieniem.

– Jaki nie jestem?

– Teraz nie ma co udawać twardziela, synu. A jak się kogoś szpieguje, to trzeba pilnować kieszeni. Gdzie twoje prawo jazdy?

– Co...?

Profesor położył przed nim na kołdrze mały prostokąt. Rudolf poczuł ukłucie w skroniach. Miał dokumenty w tylnej kieszeni spodni, jak zawsze. Musiało mu wypaść. Wtedy, kiedy uciekał... Akurat wtedy!

– Ja ci się nie dziwię. Gdzie miałeś nabrać wprawy? Okazji nie było. Ale akurat w naszym, nazwijmy to, „rodzinnym” biznesie odrobina sprytu ci się przyda. Więc zacznij trochę myśleć. Bo na razie to cię w trymiga rozgryzły cztery panienki. No! Nie byle jakie, to racja. Nawet cię nie musiały gonić, jak zacząłeś gubić papiery.

Rudolf zacisnął powieki. Wiedziały, że to on. Co teraz? KIM była jego matka?

Profesor wstał z krzesła i spojrzał na chłopaka z góry. Wyczytał pytanie w jego oczach i lekko się uśmiechnął.

– Twoja matka... My wszyscy jesteśmy tym samym. Ona, ja, dziewczyny... No dobrze – im wczoraj trochę nie wyszło. Nie pochwalam takiego ryzyka.

– Nie pochwalam? – Rudolf zeskoczył na podłogę. – One zabiły tego chłopaka! Nie pochwalasz?!

– Ale przecież nie chciały. Miał tylko mocno zasnąć.

– Kim ty jesteś? Przyznaj – w taki sam sposób zamordowałeś moją matkę.

– O nie, synku. Twoja matka zawsze najbardziej ryzykowała sama. Ona rzucała mi największe wyzwania. Z nią po raz pierwszy zrobiłem to na cmentarzu. Z nią włamałem się do kostnicy...

– Jesteś chorym człowiekiem!

– Nie jestem chory! Jestem inny. Dużo czasu zajęło mi zrozumienie wszystkiego, co czuję i lubię, i dokonałem tego głównie dzięki twojej matce. Ona niczego się nie bała. Ja... nigdy nie zdobyłem się nawet na połowę z tego, co ona robiła.

– Co... ona...?

– Lepiej żebyś tego nie wiedział, skoro uważasz nas za nienormalnych. Ale uwierz mi – nigdy nikogo nie pozbawiliśmy życia. Pasjonowało nas to, co już było martwe. Albo sprawiało takie wrażenie...

– Jezu...

– Oczywiście w bardzo szerokim aspekcie. A dziewczyny popełniły błąd. Ostrzegałem je.

– Spaliły go.

– Oczywiście. Od rana trąbią o tym media. Zwęglone zwłoki na Cmentarzu Centralnym. I tak dalej. Tutaj przynajmniej podjęły dobrą, choć ryzykowną decyzję. I okazały się bardzo zapobiegliwe. Zatarły ślady swojej obecności, nawet niedopałki papierosów wrzuciły do ognia, a butelki po alkoholu zabrały ze sobą.

– Zabiły chłopaka, a ty je bronisz.

– Ja je tylko rozumiem.

– Trzeba zadzwonić na policję. Ja zadzwonię, ja...

– Nic nie zrobisz – oznajmił spokojnie profesor, kierując się w stronę drzwi. Nacisnął klamkę i zastygł tak na chwilę. – Twoja matka też by je rozumiała.

– Nigdy więcej o niej nie mów, ty skurwielu! Ty psychołu jeden cholerny! Ona taka nie była!

– Synku, dobrze ci radzę, żebyś jednak nie pyskował. A o Klarze nie wiesz nic. Mam ci powiedzieć, co lubiła? Proszę. Uwielbiała martwe ciała, krew i zapach śmierci. Kochała cmentarze. Lubiała udawać martwą dla mnie, tak jak ja udawałem martwego dla niej. Myślisz, że to nienormalne? Że to takie rzadkie? Nic nie wiesz o świecie. Zupełnie nic. Nie masz pojęcia, ilu nas jest. Jak nas widzisz? Brzydzisz się nami? Myślisz, że jesteśmy mordercami, że znajdujemy przyjemność w zadawaniu cierpienia? Że jesteśmy sadystami? Hienami cmentarnymi? Nie, a przynajmniej nie wszyscy. Nikogo nigdy nie chciałem zabić. Tu chodzi o coś zupełnie innego. O umiejętność zaakceptowania własnych pragnień, które są inne niż pragnienia większości ludzi na świecie. Spojrzenia w głąb siebie i zaakceptowania osoby, którą jestem. Można mnie uznać za nienormalnego, chorego, zamknąć w szpitalu psychiatrycznym, podać leki. Rozmawiać, zadawać pytania. „Po co?”, „Dlaczego?”, „Co wtedy czujesz?”, „Dlaczego nie potrafisz inaczej?”. Myślisz, że to działa? Śmiać mi się chce. Jeszcze nigdy nie słyszałem, by komuś to naprawdę pomogło. Tacy jak my chodzili po świecie od zawsze. I będą chodzić nadal.

Czyli miał rację. Znaleźli się jakoś, byli wszędzie. Pieprzeni... nekrofile. I akurat jego matka... Nie, nie mógł tu zostać, dłużej tego słuchać, być z nim pod jednym dachem. Musiał uciekać. Czym prędzej. Daleko.

Profesor uśmiechnął się ponownie i otworzył drzwi. Do pokoju powoli wszedł Michael Niklaus. Rudolf kojarzył tego chłopaka. Wiedział, że studiował rzeźbę i kiepsko radził sobie na uczelni, bo miał kłopoty z zaliczaniem semestrów. Po zajęciach urządzał happeningi, na których nawoływał do „jebania państwowych uczelni”. Steinbeck go nie znosił. Mówił, że to margines społeczny. Wychowanek slumsów, zero klasy i talentu. Profesor brzydził się nim albo... tylko udawał. I miał w tym swój cel. Oczywiście, że miał.

– Myślę, że się dogadamy i będziesz postępował mądrze – powiedział jeszcze profesor, stając w progu. – Masz swój udział w moim biznesie i w razie czego bądź pewny, że na dno idziemy razem. A jak mnie zdenerwujesz, to zorganizuje się szybka akcja i utoniesz sam. Z jakimś Van Goghkiem na przykład. Albo z *Krzykiem* Muncha. Wiesz, że ten obraz ma swoją dramatyczną historię. Wielka szkoda, prawda? Pomyśl, co by się stało, gdyby wyszło na jaw, że jasnopomarańczowa wersja znajduje się w posiadaniu młodego Rudolfa Steinbecka. Co za skandal. Wychowanek słynnego profesora i kolekcjonera. Taka dywersja. Musiałbym się ciebie chyba wyrzec, co? Ale mam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby. W końcu jesteś moim synem.

– Co?!

– Zawsze byłem przeciwny karom cielesnym, bo to takie prymitywne. Ale raz zrobię wyjątek, dla przykładu.

Zanim Rudolf zdążył zareagować, profesor wyszedł z pokoju, a Michael Niklaus wycelował pięść w jego nos. Chrupnęła kość i chlusnęła krew. Wtedy jeszcze Rudolf nie wiedział, że Niklaus jest jednym z nich. Że też jest taki jak oni. Profesor i dziewczyny. I jego matka.

Przez kolejne dziesięć lat planował zemstę. Może i nie była to zemsta, ale raczej pragnienie odzyskania wolności. Planował dokonać czegoś, co pozwoli mu się uniezależnić od tego bagna. Uznał, że najlepiej będzie upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Uwolnić się od Steinbecka, ale nie od jego pieniędzy. Bo do nich Rudolf zdążył się już przyzwyczaić. Płynęły szerokim strumieniem, profesor miał kontakty, prowadził swój biznes tak dobrze, że wydawał się nie do ruszenia. A Rudolf połknął bakcyła. Przez ich ręce przechodziły bezcenne dzieła sztuki. Mieli dobrych i pewnych nabywców, nigdy nie zdarzyło się, by ktoś odstąpił od umowy. Tak, to zajęcie było ciekawe i ekscytujące, przypominało stąpanie po cienkim lodzie. Sprawiało, że Rudolf chciał żyć i działać. Ryzykować i czuć satysfakcję, że znowu się udało. Nie potrafił już teraz tak po prostu od tego uciec. Zaszyć się gdzieś i zacząć od nowa. Nie... tylko osoba profesora była tutaj problemem. I jego drugie oblicze, którego nikt nie znał. Rudolf brzydził się nim. Swoim własnym... ojcem. Skierował na niego całą swoją złość – za śmierć matki, za to, z czym musiał się zmierzyć, za całą tę wiedzę, której nigdy nie chciał osiąść. Świadomość, czym był synem, sprawiała, że nienawidził także samego siebie. I Steinbeck musiał ponieść za to karę.

Rudolf miał kilka planów i żaden nie wydawał się wystarczająco dobry. W każdym widział luki. A może żadnego nie potrafił dopracować? Aż wreszcie napatoczyła się Angie, która chciała sprawiedliwości. Myślała, że profesor skrzywdził jej siostrę, podczas gdy to Emilie wraz ze swoimi przyjaciółkami pozbawiła kogoś życia. Później trafiła do psychiatryka, ale Rudolf dałby sobie głowę uciąć, że nawet tam nie powiedziała, jaki naprawdę miała problem. Danni Fritz popełniła samobójstwo – kolejna, która połknęła za dużo środków nasennych. Nigdy się nie dowiedział, czy zrobiła to, bo dręczyły ją wyrzuty sumienia, czy także udawała dla kogoś martwą... Lola i Brit gdzieś się zaszyły po całej tej sprawie z oskarżeniem o molestowanie. Przestraszyły się. Szantażowały profesora, uważały, że Rudolf – jego „synalek” – może im poważnie zaszkodzić. Widocznie nie

miały wątpliwości, za kim stanie Steinbeck w razie problemów. One były mu bliskie, ale Rudolf... Krew z krwi, kość z kości. I na dodatek syn Klary Farkas! Profesor nie potrafił być ojcem, nie umiał kochać. Ale Rudolfa się nigdy nie wyrzekł, nie poświęcił go nawet w chwili największego zagrożenia. Co najwyżej postraszył. Nic dziwnego, że mu nie ufały.

Chciały sporej forsy, a kiedy Steinbeck je wyśmiał i odmówił, zrobiły pierwsze, co przychodziło im do głowy. Jeśli studentki zgłaszały molestowanie seksualne przez profesora, to zyskiwały dziewięćdziesiąt procent szans, że ktoś je wysłucha. I zaryzykowały. Oczywiście Steinbeck nie mógł powiedzieć nikomu prawdy o nich, bo wówczas musiałby zdradzić też samego siebie. Dlatego wreszcie im zapłacił. Tyle, ile chciały. Upłynął jakiegoś kradzionego Klimta... Dziewczyny zniknęły, profesor zaszył się w domu pod lasem, ograniczył do handlu i swojego „hobby”. Rudolf zamykał oczy i zatykał uszy. Nie chciał znać szczegółów. Im mniej wiedział, tym lepiej. Aż wreszcie zjawiała się ona.

Angie miała łeb na karku i spory tupet. Broszkę z pewnością dostała od siostry, ale nie знаła prawdy. A przynajmniej się z nią nie zdradzała. Kiedy Rudolf czekał, aż jego „wuj” – słowo „ojciec” było nie do zaakceptowania nawet w myślach – łaskawie zejdzie z tego świata i gdzieś tam w innym uniwersum odpowie za to, co zrobił, wciąż myślami był przy dziewczynie. Zamierzał ją wykorzystać. Śmierć Steinbecka umożliwiła mu wreszcie nie tylko odzyskanie wolności, ale też rozprawienie się z człowiekiem, który za dużo wiedział i w swoim czasie musiał za tę wiedzę czegoś zażądać. Michael Niklaus i profesor byli ulepieni z tej samej gliny. Niklaus miał nieograniczony wstęp do ich świata. Obaj wciągnęli Rudolfa w swoje brudne gierki, chore fascynacje, które przecież już kiedyś kogoś doprowadziły do śmierci. Ten niespełniony artysta musiał znać swoje miejsce. Zyskać pewność, że z Farkasem się nie pogrywa.

Hamilton była odważna, nie zawahała się zostawić człowieka na pewną śmierć. Umiała rzeźbić. Jeśli rzeczywiście nie znała prawdy, mógłby jej kiedyś powiedzieć... I poprosić o pomoc. Miał już doskonały pomysł na pozbycie się Niklause raz a dobrze. Na odebranie mu godności i zdyskredytowanie w oczach świata. Michael chciał być wielkim artystą. Profesor obiecał, że mu pomoże. Że Niklaus dostanie to, czego chce – odniesie sukces. Rudolf nie miał pojęcia, jak Steinbeck zamierzał dotrzymać tej obietnicy, skoro tamten nic nie potrafił, ale postanowił się pod nią „podczepić”. Potrzebował tylko odpowiednio zdolnej rzeźbiarki, której ręki nikt jeszcze nie poznał... I jego – Niklause – musiał przekonać, że właśnie realizują plan Steinbecka. A to było proste. Niklaus miał klapki na oczach. I swoje wybujałe ambicje. I – co najsmutniejsze – zaufał profesorowi. A nie powinien ufać nikomu, bo zaufanie jest przereklamowane. Nawet Angie to wiedziała.

Ani na chwilę nie uwierzyła mu, że ją wypuści.

On natomiast popełnił kilka bardzo głupich błędów.

Nie przygotował się. Ogłuszył Angie w jej własnym mieszkaniu. Uważał, oczywiście, by nie zostawiać śladów, ale ostatecznie się znali, więc nawet gdyby policja natrafiła na jego odciski palców, mógł przyznać, że u niej był. Zawsze jakaś furtka. Nie wziął nic z jej mieszkania, żadnych rzeczy osobistych, torebki, portfela, dokumentów.

Postanowił, że później zadba o zmianę garderoby. Na początek musiała zniknąć.

W popłochu zawiózł Angie do siebie do domu. Kiedy odzyskała przytomność, twierdziła, że będzie współpracować. Zamknął ją w sypialni, by przemyśleć sprawę. Po chwili jednak dziewczyna zaczęła się rzucać, więc sprawił, by zamilkła... Nawet nie miał jej czym związać i wykorzystał do tego celu firankę. Zaczął gorączkowo zastanawiać się, co dalej. Oczywiście nie miał czasu, by odpowiednio przygotować pomieszczenie, ale domek w Lesie Wiedeńskim wydawał się dobrym miejscem. Była tam spora piwnica, gdzie profesor niekiedy dobijał interesu. Rudolf uznał, że zmieni lokum i zacznie przeprowadzać transakcje gdzie indziej. To nie był aż taki wielki kłopot, miał ludzi do pomocy. Ale problem Angie musiał rozwiązać sam. Podał jej na wszelki wypadek środek nasenny i w nocy wywiózł do lasu. W ubraniu, które miała na sobie. Nie chciał zostawiać nigdzie śladów, które wskazałyby na uprowadzenie dziewczyny. A przecież odnalezienie ubrania Angie stanowiłoby niezbity dowód, że nie wyjechała z Wiednia dobrowolnie. Profesor powiedział: „Jak się kogoś szpieguje, to trzeba pilnować kieszeni”. Rudolf mógłby to odnieść także do porwania. Jak się kogoś porywa, to trzeba mu najpierw sprawdzić kieszenie... A on po prostu uznał, że wszystkie dokumenty musiała mieć w torebce. Nie pomyślał, że wsunęła dowód do kieszeni dżinsów. Choć przecież wiedział, że się w pośpiechu pakowała i zamierzała wyjechać. Szukała połączeń lotniczych i zamawiała bilety przez internet. Może odruchowo schowała dowód do kieszeni, a może zawsze go tam nosiła. Nie wiedział.

I wreszcie – zaufał własnej intuicji. Uwierzył, że Angie Hamilton nie będzie w stanie zadać śmiertelnego ciosu. Nikomu, a już zwłaszcza samej sobie.

Zazdrościł jej odwagi.

Skąd mógł wiedzieć, że zaszyfruje wiadomość? Do kogo ją tak naprawdę skierowała? Ciekawe... Zadbał o to, by dokładnie wytrzeć z rzeźb odciski palców, bo nigdy przecież nie dał jej rękawiczek. Ale nie zauważył szyfru. Jakichś małych, cholernych wzorków, ledwie przecież widocznych.

A zatem do kogo skierowała swoją wiadomość? I skąd jej przyszło do głowy, by wyrzeźbić *Śmierć i młodą dziewczynę*? Zainspirować się akurat Niklausem Manuelem Deutschem?

Tego wciąż nie wiedział.

To ona narysowała orła na grobie Danni. Zaczęła swoje dzieło, jeszcze zanim ją zamknął.

Od początku chciała wskazać osobę profesora Steinbecka.

Jego... ojca.



## Rozdział 28

W małym mieszkanku na Kloostergasse zapadła cisza. Anna ścisnęła w dłoni szklaneczkę z burbonem, ale nie miała już ochoty pić. To był jeden z tych momentów, kiedy każda reakcja wydawała się zła. Nie wszyscy jednak mieli podobne do niej wrażenia. Leon pokręcił głową, wstał i zaczął chodzić po pokoju. Teraz każdy miał już swoją trasę. Ebeling pod oknem, a Leon przy wejściu do kuchni. Anna nie wiedziała, na którego patrzeć, Inge zaś odpuściła sobie obserwowanie ruchomych obiektów i utkwiała wzrok w ścianie. Na jej twarzy malowały się niedowierzanie i rozpacz. Najwyraźniej do końca miała nadzieję na inne rozwiązanie. Anna wcale nie uważała jej za naiwną. Przed kilkoma miesiącami w Helu sama doskonale zrozumiała, jak to jest, kiedy ostatecznie traci się nadzieję.

– Wybaczenie, ale naprawdę do końca liczyłem na to, że pomyliliśmy się co do tej nekrofilii... W dwudziestym pierwszym wieku jakieś hieny cmentarne? W głowie mi się to nie mieści.

– Ale tu nie chodzi o hieny cmentarne. Hieny cmentarne wykradały zwłoki. Do różnych celów, ale...

– Właśnie!

– Nie o to mi chodzi. Nekrofilia jest oczywiście pewnym... zaburzeniem...

– Nie mów?

– Leon, denerwujesz mnie – powiedziała ostrzegawczo. Tutaj właśnie ich sposoby widzenia świata mocno się rozbiegały. Dla Leona pewne rzeczy były nie do wyobrażenia. I dobrze. Widział to, co widzieli w życiu normalni ludzie, którzy nie mają do czynienia ze zbrodniami i nie tropią morderców. Nie patrzą na zdjęcia zmasakrowanych zwłok, nie zastanawiają się, kto powiesił na moście szesnastoletnią dziewczynę, ani też komu wadził bezdomny z dworca, że trzeba mu było skrócić kark – nie dla pieniędzy przecież. A Anna tym się właśnie zajmowała przez kilka długich lat. Niewiele zjawisk potrafiło ją zaskoczyć. Oczywiście wciąż była wrażliwa na oznaki bestialstwa, okrucieństwa, nienawiści i bezwzględności, ale wiedziała, że po prostu taki jest świat. I że tacy ludzie chodzą po ziemi – zdolni krzywdzić innych dla samej przyjemności patrzenia na cudze cierpienie. A nekrofilia... No cóż, nie wydawała jej się aż taka okrutna.

Nekrofile zazwyczaj nie chcieli nikogo krzywdzić. Większość z nich, poza skrajnymi przypadkami, nie pragnęła zadawać śmierci, a jedynie obcować z martwymi ciałami. Nie wszyscy byli mordercami. Uważano ich za osoby psychicznie nie zrównoważone, to jasne. Obrzydliwych, wynaturzonych wariatów. Ale przecież byli lepsi od tych, którzy zabijali, gwałcili, torturowali. Którzy odbierali życie dla przyjemności, z zemsty czy po to, by wyrównać rachunki. Anna miała już raz do czynienia z nekrofilem, ale tamta sytuacja była inna niż ta tutaj. Mężczyzna po prostu włamywał się do kostnic i... no właśnie. Robił swoje. Nie rozumiał zarzutu, że „bezczęści zwłoki”. Dla niego przecież stanowiły obiekt uwielbienia... Był bardzo inteligentny. Tłumaczył nawet, że w niektórych miejscach na świecie to, co nazywa się „nekrofilia”, wcale nie jest uważane za zbrodnie czy skrzywienie. W Egipcie kilka lat temu wniesiono nawet projekt zmiany w ustawie, wedle którego obcowanie z ciałem zmarłej żony nie

podlegałoby karze, bo przecież małżeństwo jest ważne także po śmierci. W Los Angeles nie ma paragrafu, któremu podlegałyby kontakty seksualne ze zwłokami. Anna nawet nie sprawdziła, czy mówił prawdę o tym LA... Była niemal zafascynowana tamtym człowiekiem, jego erudycją i inteligencją. Wcześniej przypuszczała raczej, że nekrofile to ludzie dość ograniczeni umysłowo.

Rzecz jasna – istniały różne przypadki tego zaburzenia i ogólnie uważano je za niezwykle rzadkie. Ci ludzie tutaj... Nie byli jak tamten człowiek spod Ystad. To, co robili, podpadało pod nekrofilie, ale też tanatofilie. A kobiety, Lola, Brit, Emilie i Danni, nieumyślnie spowodowały śmierć, więc sprawa wyglądała poważnie. Anna nie wiedziała też dokładnie – i z pewnością nie wiedział tego dokładnie Rudolf Farkas – jakich czynów w całej swojej „działalności” dopuścił się Steinbeck. Nie ulegało jednak wątpliwości, że musiał się mocno postarać, by odnaleźć zaledwie garstkę ludzi podobnych sobie. Anna czytała kiedyś w sieci wywiad z pewną Amerykanką, słynną już teraz Karen Greenlee, nekrofilem, która utrzymywała, że takich jak ona jest znacznie więcej, tylko wciąż bardzo niechętnie się o tym mówi. Czy miała rację? Anna jakoś nadal nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Zaczerpnęła tchu.

– Jeśli chodzi o nekrofilie...

– Oho, będzie wykład – mruknął Leon.

– Denerwujesz mnie – przypomniała, przyglądając mu się badawczo.

Zmieszał się i usiadł.

– Po prostu chodzi mi o to, że są różne rodzaje nekrofilii. Według Rosmana i Resnicka, a podaruję wam może inne klasyfikacje, istnieje kilka typów. Klasę główną stanowią tak zwani nekrofile „normalni”, których jedyną... słabością... jest pociąg do ludzkiego ciała. Oprócz nich wyróżnili grupę pseudonekrofilów, nekrofilów-fantastów i nekrofilów homicydalnych. I ta ostatnia grupa stanowi realne zagrożenie, bo chodzi tu o pozbawienie człowieka życia osobiście, zanim przystąpi się do...

– Błagam – mruknął słabo Leon.

– Natomiast nekrofil-fantasta to ktoś, kto raczej wyobraża sobie pewne rzeczy, niż wprowadza je w życie.

– Coś jak Niklaus? – wtrącił się Ebeling. Inge spojrzała na niego nieprzytomnie. Anna skinęła głową.

– Mniej więcej. Ja właściwie nie wiem, kim jest Niklaus. Pasuje mi do tanatofilii, bo fascynowała go śmierć, myślenie, czytanie, rozmawianie o niej, nawet fantazjowanie o własnej śmierci. Ale z drugiej strony potrzebował przecież praktyk, podczas których usypiał swoją partnerkę. Pozbawiał ją świadomości, by dla niego była jak martwa. Więc...

– Takie przypadki też już opisano – ponownie zabrał głos Ebeling.

– Owszem – zgodziła się Anna. – Zrobił to między innymi Anil Aggrawal, który wspomina o „nekrofilii roli”. Ten typ nie posuwa się do obcowania ze zwłokami, ale stosuje takie zabiegi, by partner udawał martwego lub nieprzytomnego.

– Michael Niklaus bardzo ciekawie sam o tym opowiadał podczas zeznań.

– Słucham? Wy tak poważnie? – Leon przekrzywił głowę. – Bardzo ciekawie? Dziwne rzeczy was interesują.

– Ja go nie usprawiedliwiam – powiedziała powoli Anna. – Ale może spróbowałbyś się czasem wybić ze swojego czarno-białego myślenia, co? Nie każdy rodzi się z powszechnie „normalnym” repertuarem upodobań.

– Anka, wybacz... Dla mnie to zwykle świry są...

– A Niklaus w tych swoich fascynujących wywodach przyznał się chociaż do zamordowania Marlene? – zignorowała Leona i zwróciła się do Thomasa. – Czy temu akurat zaprzeczył? W sumie gdyby zaprzeczył, nie mogliby go oskarżyć o pozbawienie nikogo życia. Jedynie o udział w nielegalnych transakcjach z Rudolfem i profesorem Steinbeckiem, a do tego o odurzanie i wykorzystywanie seksualne – w czym pomogłyby obciążające zeznania Friedy i Angeli. Ta nieszczęsna nekrofilia w jego przypadku sprowadza się do psychiki, chorych fascynacji. Nie wiemy nic o tym, czy kiedykolwiek zbeczczył zwłoki. Może tylko w tym pomagał. Profesorowi i tantym dziewczynom, Loli, Brit, Danni i Emilie. Ale brakuje dowodów, a domyślam się, że wszystkie osoby, które jeszcze w jakikolwiek sposób łączą się z tą sprawą, będą milczeć jak grób.

– Nomen omen – wymamrotał Leon.

Annie przez moment chciało się śmiać. Właściwie mu się nie dziwiła. To, co mówili, brzmiało tak irracjonalnie, że przydawał się od czasu do czasu jakiś sceptyczny głos osoby, której w głowie nie mieściły się podobne historie. Spojrzała na Thomasa. Jemu również zadrgały kąciki ust. Chrząknął i usiadł na fotelu.

– Franz Weber i prokurator myślą teraz, jak sformułować ten drugi zarzut przeciwko Niklausowi. Pomijając sprawę zamordowania Marlene, podpisywał przecież własnym nazwiskiem cudze dzieło i czerpał z tego korzyści finansowe. To oczywiście jawne oszustwo, ale ostatecznie nie on porwał Angie Hamilton i nie on ją przetrzymywał. Jedynie szybko się domyślił, czyja ręka rzeźbi. Ale nie wiedział, gdzie Rudolf ją przetrzymuje, w jakich warunkach, czy jest cała i zdrowa. Dopóki rzeźbiła, żyła. A Niklaus zarabiał. Jest to niby jakiś współudział, ale przyznasz, że dość naciągany. Dobry prawnik będzie miał używanie. Dowodów twardych brak, a teorie brzmią śmiesznie.

– A Marlene?

– Przyznał się. A właściwie – poddał. Powiedział, że go zdemaskowała.

– Czyli wiedziała, że to nie on rzeźbi?

– Tak. I była zawiedziona, bo w niego wierzyła. Miała już z nim wcześniej małe kłopoty. Marlene Sachs również fascynowała się śmiercią, ale... na sposób artystyczno-literacki. Lubiła książki i obrazy o podobnej tematyce, lubiła o tym rozmawiać. Wspominała nam już o tym Ulrike Seinfeld, kiedy mówiła o relacjach Marlene z Ernstem Bauerem. Często dyskutowali o samobójstwach i tak dalej. Między innymi o historii arcyksięcia Rudolfa i Marii von Vetsera, którzy rozstali się z życiem w Mayerlingu. No, każdy ma jakieś hobby.

– Świetnie – mruknął znowu Leon, nie odrywając tym razem wzroku od podłogi.

– A Niklaus źle ją zrozumiał? – domyśliła się Anna.

– Tak – przyznał Ebeling. – Myślał, że jest taka sama jak on. I w przypiływie słabości wyznał jej prawdę.

– Chciał mieć kompana? Nie było już profesora Steinbecka, Emilie wylądowała

w psychiatryku, Danni się zabiła, a Brit i Lola wyprowadziły do jakichś wiosek. Rudolf oczywiście nigdy go nie rozumiał.

– Właśnie. I kiedy Marlene ujawniła swoje fascynacje, Niklaus po prostu dopuścił się nadinterpretacji. Powiedział jej o profesorze i dziewczynach, a do tego o broszkach. Marlene znalazła jedną w rzeczach Michaela. Chłopak twierdzi, że przypadkiem. Szukała jego białej koszuli. W każdym razie – wszystko do siebie pasowało.

– A ona się przestraszyła?

– Tak. I pobiegła do Rudolfa. Michael musiał jej powiedzieć lub zasugerować, że młody Steinbeck czy jak wolimy – Farkas – nie brał w tym wszystkim udziału. Uznała go pewnie za „normalnego”. Myślała, że jej pomoże. On zaś zasugerował dziewczynie, że Niklaus to oszust. Wcale nie potrafi rzeźbić i podszywa się pod kogoś innego. Oczywiście zero konkretów. Ale wiedział, że tyle wystarczy, by obudzić w niej instynkt śledczy. Spodziewał się, że zacznie szukać, drążyć, dociekać. Chyba żeby nie zdążyła... Kiedy więc od niego wyszła, ten poinformował o wszystkim Michaela.

– Ale dlaczego?

– Żeby uciszył Marlene i załatwił problem za niego. Przecież oboje w tym siedzieli. Może zachowanie Rudolfa wydaje się na pozór bez sensu, bo przecież on teoretycznie nic nie zrobił. Teoretycznie. Przetrzył Angie i nie chciał, żeby ktoś koło niego węszył. Ani nawet przychodził się wyżalić... A zastanówcie się – gdyby Marlene stała się gadatliwa, wspomniała gdzieś o Brit i Loli, a przede wszystkim Emilie i Danni, które nie za dobrze skończyły, to sam Rudolf też, chcąc nie chcąc, zostałby postawiony w złym świetle. I przede wszystkim profesor. A każdy łączył z nim młodego Steinbecka. Może chłopak go nienawidził, ale tak czy owak, był z jego osobą związany. Pod względem pokrewieństwa, ale i finansów. I nagle co? Przyłazi Marlene i okazuje się, że Niklaus wypaplał jej to i owo... Że wypaplał jej całkiem sporo.

– Rudolf wścieka się na Niklausa, uważa go za skończonego imbecyla, a jednocześnie osobę nieobliczalną i stanowiącą zagrożenie...

– Więc również mówi Marlene coś, co go mocno obciąża. Pokazuje Niklausowi, że on także potrafi kłapać jęzorem...

– Niklaus właściwie odczytuje przekaz i postanawia pozbyć się Marlene. Płaci za swoją lekkomyślność. I oboje znowu siedzą cicho.

– Prawie wszystko się zgadza. – Ebeling rozłożył ręce. – Problem jedynie w tym, że Niklaus coś mamrocze o jakimś afekcie. Ponoć wcale nie planował jej zabijać, tylko tak wyszło. Wkurzyła go i się zamachnął. A później spanikował.

– Czyli od początku dobrze kombinowaliśmy. Miejsce zbrodni zainscenizowano chaotycznie. Od razu to widzieliśmy.

– Tak, ale najlepsze jest to, że nie ma dowodów. Nie wiemy, jak to zrobił. Przyznał się i twierdzi, że go poniosło, a nasze przypuszczenia... no właśnie. Pozostają przypuszczeniami.

– Moim zdaniem musiał gdzieś tam w głębi serca chcieć się jej pozbyć – włączył się Leon. – I na pewno wiedział, że Rudolf właśnie tego oczekuje. Albo żąda. A później dowiedział się o śmierci Angie i przestraszył. Dlatego chciał się zabić, bo pewnie miał już dość. Całej sytuacji, może nawet siebie samego. Tego, kim był. Tak czy inaczej – nic tu

nie wygląda na robotę zdrowych na umyśle ludzi.

– Bo zdrowi na umyśle nikogo nie mordują.

– Ani też nie chodzą na cmentarze, żeby...

Anna posłała mu ostrzegawcze spojrzenie. Leon dumnie uniósł głowę.

– No dobrze, to powiedzcie mi jeszcze jedną rzecz, jako osobie dość głupiej, naiwnej i przesadnie pragnącej normalności w świecie. O co, do cholery, chodzi z tymi rzeźbami? Facet porywa babkę, a ona potem tak po prostu sobie dla niego rzeźbi?

Inge poruszyła się niespokojnie na miejscu. Wychyliła duszkiem zawartość swojej szklanki i odstawiła ją z rozmachem na stół. Wstała, przeszła się w stronę okna i oparła o parapet. Jej ramiona zadrżały. Anna zrozumiała, że w tej kobiecie coś wreszcie pękło. Chciała do niej podejść, poklepać po plecach – zrobić cokolwiek, by tamta poczuła się bardziej komfortowo. Ona również została oszukana. W podły sposób. A wierzyła w tego człowieka. Broniła Niklausa, fascynowała się jego talentem, promowała na wszelkie dostępne sposoby. Opiekowała się nim, kiedy próbował popełnić samobójstwo. Czy właśnie dlatego to zrobił? Bo dowiedział się o śmierci Angie i zdał sobie sprawę, że to wszystko zabrnęło za daleko? Bo przestraszył się Rudolfa? Bo nie mógł już dłużej znieść tej zależności, oszustw i obopólnych szantaży? Bo miał... wyrzuty sumienia? Z powodu Marlene, w której przez chwilę pokładał nadzieję? Musiała poprosić Ebelinga, by zrelacjonował jej to przesłuchanie. Była ciekawa, co kryło się w tym umyśle. W głowie człowieka, który fascynował się śmiercią i chciał zostać wielkim artystą.

Inge Altman wreszcie odwróciła się w ich stronę. Miała błyszczące, zaczerwienione oczy i usta wygięte w podkowę. Usiłowała zapanować nad drżeniem brody, ramion, w ogóle całego ciała. Nie była panią samej siebie. Anna zastanawiała się, czy to przypadkiem nie pierwszy raz w życiu.

– Michael... – zaczęła. – On miał ambicje. Wizję. Chciał być wielkim artystą. To, co mówił, było tak bardzo spójne z tym, co rzeźbił... Z tym, co myślałam, że rzeźbił – poprawiła się i umilkła.

– Nie mogłaś wiedzieć – powiedziała cicho Anna i podeszła do niej. – Kto by w ogóle przewidział?

– Ja powinnam. Wykonywałam swoją pracę. Jak widać niezbyt dobrze.

– Ale jak to w ogóle było możliwe? – zagaił znowu Leon.

– Normalnie – odrzekła Inge, tym razem chłodno. – Dziewczyna rzeźbiła pojedyncze fragmenty, a Rudolf zostawiał dla Niklausa paczki na cmentarzu. Mieli swoje miejsca. Później Niklaus łączył elementy w jedną całość. To był jego cały wkład w... kurwa! Jak mogłam dać się tak oszukać?!

Ebeling podał Inge kolejną porcję burbona, a ona znowu opróżniła szklankę jednym haustem. Ukryła twarz w dłoniach.

– No dobrze – nie ustępował Leon. – Ale że się na to zgodziła?

– Porwał ją – odpowiedziała Anna. – Była mu potrzebna. Wiedziała, że dopóki ma zadanie, jest bezpieczna. To nie jest nic niezwykłego. Uprawdzeni często godzą się na warunki stawiane przez porywacza, bo wiedzą lub łudzą się, że dopóki będą słuchać albo dopóki będą potrzebni, to nic się im nie stanie. Niekiedy wykorzystują ten czas na przemyślenie pewnych spraw, nawet na opracowanie planu ucieczki lub ataku.

– Ale ona go nie zaatakowała. Mimo że miała czym.

– Nie wiemy, w jakim wówczas znajdowała się stanie ducha. Może walczyła wcześniej i się jej nie udało? Może opanowała ją już rezygnacja? Może nie umiała go zaatakować? Nie każdy jest w stanie zabić.

– A szyfr?

– Szyfr... – Anna zamyśliła się.

– Chciała wskazać profesora – przemówiła Inge. – I Danni Fritz. Pozostałe orły habsburskie umacniały tę teorię. Profesor Steinbeck uwielbiał ten symbol, wiele osób o tym wiedziało. Może łudziła się, że ktoś wpadnie na powiązanie z broszkami? Miała nadzieję, że ktoś je wcześniej widział i także kojarzył z osobą profesora? Orła na grobie Danni narysowała, jeszcze zanim została uprowadzona. Wiedziała, że dziewczyna była jedną z tych, które oskarżyły profesora o molestowanie. I z całej grupy tylko Danni oraz Emilie źle skończyły. Danni oczywiście najgorzej. Myślę, że tym właśnie kierowała się Angie.

– Ale ona nie wiedziała o innych broszkach. Myślała, że jest tylko jedna. Że pewnie profesor ofiarował ją jej siostrze, a później wykorzystał dziewczynę, czy coś w tym stylu – drażył Leon. – Więc wybaczcie, ale ja nadal nie rozumiem. Do kogo był ten przekaz?

– Być może do nikogo – odpowiedziała cicho Inge, nie patrząc na nich.

– Też mi to przyszło do głowy – zgodziła się Anna. – Możliwe, że Angie po prostu spróbowała szczęścia. Pokryła swoje rzeźby małymi literkami, pozornie rozsypanymi chaotycznie, które przy wnikliwym spojrzeniu mogły ułożyć się w konkretne słowa. Wskazujące konkretne obiekty. Raczej nie spodziewała się, że ktoś faktycznie to odczyta i skojarzy. Ale gdyby tak się stało, ten ktoś mógłby chcieć zgłębić temat. Może zwróciłby na to uwagę jeszcze komuś innemu. A wtedy...

– Co wtedy? – zapytała gorzko Inge. – Wszyscy i tak myśleliśmy, że to dzieła Michaela. Ten „ktoś” musiałby bardzo drażyć, żeby odkryć prawdę.

– Ale zawsze istniał cień szansy. A gdyby pokusiła się o czytelniejszy przekaz, zaryzykowałyby, że przejrzy ją sam Rudolf. Nie wiedziała zapewne tak do końca, na co go stać. Być może postanowiła spróbować. Chwyciła się brzytwy, jak tonący. A kiedy to nie poskutkowało...

– Sięgnęła po dłuto – dokończył smutno Ebeling. – A Rudolf dość dobrze po sobie posprzątał. Nie sądził, że dziewczyna odstawi ten numer z rysunkiem i dowodem wetkniętym za tapetę. I z pewnością jeszcze nie opracował planu działania wobec Niklause, któremu już nie mógł dostarczać... towaru. Uważa, że Angie zrobiła to sama, i choć jest skończonym sukinkotem, to w to akurat wierzę. Zresztą braliśmy taką ewentualność pod uwagę od samego początku. Prawda, Leo?

– Braliśmy. Ja też w to wierzę – przyznała niechętnie Anna. – Chyba... chyba chciałabym już posłuchać, co powiedział Michael Niklaus – dodała i przeszedł ją dreszcz.

Leon jęknął cicho, a Thomas zaczerpnął tchu i zaczął opowiadać. Miała nadzieję, że wreszcie dowie się dokładnie, dlaczego Michael Niklaus w ogóle zgodził się na całą tę mistyfikację. Dlaczego podpisał swoim nazwiskiem czyjeś dzieło.

## Rozdział 29

Michael Niklaus wiedział, że pomylił się co do niej już w chwili, kiedy się uśmiechnęła. Skończył swoją opowieść, a ona milczała, nerwowo zaciskając palce na broszce z motywem dwugłowego orła. Nie była do niego podobna. Więcej miała już wspólnego z Ernstem Bauerem, z którym dzieliła romantyczną wręcz fascynację śmiercią. Na tym jednak jej pasja się kończyła. Wszystko sprowadzało się do rozmów, które później znajdowały odzwierciedlenie w dziełach Ernsta.

A jednak opowiedział jej o profesorze, Loli, Brit, Emilie i Danni. Mówił tylko o tym, kim byli, co lubili robić. O czym marzyli i śnili. I na co się porywali, by choć odrobinę zbliżyć się do realizacji tych marzeń. A przecież nie było łatwo. Profesor bardzo się starał – naprawdę cholernie starał – by zgromadzić ich wszystkich wokół siebie. Lata szukania po sieci, rozmów, wirtualnych fantazji, w których byli zawsze sobą, nikogo nie udawali. Aż wreszcie padła ta wspaniała propozycja, by się zjednoczyć, wspierać, wszystko robić razem. Nie mógł uwierzyć, kiedy przeczytał e-maila. Przebiegał go wzrokiem kilkanaście razy. Wiedział, że dziewczyny już sprowadziły się do Wiednia, zdały na akademię, studiowały i... Właśnie. Były sobą. Profesor im pomógł. Przepchnął jakoś przez egzaminy wstępne i wspierał dalej. Michael nie potrafił sobie tego wyobrazić, ale rozumiał, w czym rzecz, kiedy sam znalazł się w takiej samej sytuacji. Profesor był zdolny. Wszechstronny. Jeśli musiał – także bardzo poprawny i szkolny. Taki, jakie powinny być przeciętnie zdolne uczennice. Wykonywał za nie całe prace lub przynajmniej część. Przygotowywał do egzaminów, ciągnął. Po co? Aż tak bardzo chciał je mieć koło siebie, że nie mogły nawet studiować innych kierunków? Michael nie wnikał. Może chodziło tu o całkowitą jedność.

Postanowił się nad tym nie zastanawiać. On sam kochał sztukę. Ubóstwiał. Tam, gdzie przyszedł na świat – w małej wiosce na granicy z Czechami – nikt go nie rozumiał. Wyśmiewano się z rysunków przedstawiających anioły ze złamanymi skrzydłami i kobiety w ciemnych sukniach, które przechadzały się po cmentarzu przy świetle księżyca. Mówili, że za dużo naczytał się horrorów. Matka przeklinała nawet ojca, który przysłał kiedyś synowi na urodziny książkę *Wywiad z wampirem*. Ojciec oczywiście nie mieszkał z nimi, wyprowadził się wiele lat wcześniej do jakiejś górnicy w Salzburgu. Matka zgorzkniała i zrzędziła, wyrzucała rysunki Michaela do kosza, szperala mu w rzeczach. A on nadal ubierał się na czarno, bielił twarz, malował na powiekach czarne kreski i słuchał ciężkiej muzyki. To był właśnie najlepszy kamuflaż. Udawanie jakiegoś wampirycznego satanisty, który wciska słuchawki do uszu, oglupia się nierytmiczną łupanką i chodzi ze wzrokiem wbitym w ziemię. A wolny czas spędza na lokalnym cmentarzu, gdzie przesiaduje na ławce. Oczywiście – niczego innego nie mógł tam robić. Pilnował się. Dopóki ludzie śmiali się z jego strojów i uważali, że chodzi tu o jakieś wywiady z wampirem, to wszystko było w porządku.

Bo przecież chodziło o coś zupełnie innego. Coś, czego nie wolno było manifestować w żaden sposób. Coś, co szybko zaprowadziłoby go do jakiegoś wariatkowa, gdzie zostałby nafaszerowany psychotropami i poddany „leczeniu”. Jakby „leczenie” w ogóle istniało. Stracił już nadzieję, że coś może się zmienić. Przez kilka lat

usiłował walczyć ze sobą, swoimi fantazjami i potrzebami. Sam siebie wyzywał od psycholi, próbował umawiać się z „normalnymi” dziewczynami. Które... żyły. Oddychały, chodziły, śmiały się. Problem w tym, że nie kręcił go śmiech i oddech. Życie go nie kręciło.

Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, kim jest, na pogrzebie szkolnej koleżanki. Zachorowała. Wszyscy płakali, bo taka młoda, piękna, zdolna. A on wpatrywał się jak zahipnotyzowany we wnętrze otwartej trumny. I myślał, że właśnie taka powinna zostać na zawsze. Młoda, piękna i nieruchoma. Jak rzeźba. Czuł się dziwnie pobudzony. Żadna dziewczyna nigdy tak na niego nie działała. Myślał nawet, że jest... niesprawny. Ale to nie była prawda. Już wtedy o tym wiedział. Zdawał sobie sprawę, co wywołuje u niego takie pobudzenie. Ucieszył się i jednocześnie zapalał do siebie nienawiścią. Brzydził się sobą. I nigdy... nigdy nie zdobył się na to, na co miał największą ochotę. Owszem, chodził na cmentarz. W sieci oglądał zdjęcia martwych ciał. Ale nigdy...

Musiała mu wystarczyć wyobraźnia. I kilka razy pozwolił sobie na to, by upić lub uśpić jakąś dziewczynę i wziąć ją, kiedy była nieprzytomna. To było zawsze coś. Nawet go satysfakcjonowało. Nawet wystarczało. Lepsze to niż nic.

Dopiero kiedy zaczął szukać w internecie ludzi podobnych sobie, okazało się, że naprawdę nie jest na świecie sam. I że w gruncie rzeczy bardzo się pilnuje. To, co robili inni, przechodziło wszelkie pojęcie. Michael bał się ich, tych anonimowych osób w sieci, znanych jedynie z nicków, a jednocześnie się nimi fascynował i inspirował. I wreszcie trafił na dziewczyny. A później na profesora.

Życie Michaela zupełnie się zmieniło. Odrzucił ciemne ciuchy „satanisty”, którym przecież nigdy nie był. Już nie potrzebował żadnej namiastki, żadnej żałośnie cienkiej nitki, która łączyłaby go ze światem umarłych. Stał się sobą. Przybrał wygląd zwykłego chłopaka i studiował rzeźbę, rysował, chodził na wystawy. Zaczął dbać o kondycję. Jemu też bardzo pomógł profesor. Przekonywał chłopaka, że nie musi się bać, nikomu nie robi krzywdy, wszyscy na wszystko się zgadzają. Umawiał się na Cmentarzu Centralnym z każdą z osobna. Udawały dla niego martwe, tak jak chciał. On robił to samo dla nich. Dziewczyny posuwały się również dalej, o czym wiedział doskonale. Ale on nie mógł o tym słuchać. Bał się. Że jeśli przekroczy tę granicę, to już nie będzie potrafił się cofnąć. Że jeszcze... jest normalny. Że jego postępowanie można jakoś wytłumaczyć i potraktować łagodnie. A ich?

On sam nie potępiał dziewczyn, ale wiedział, w jaki sposób patrzyłby na nie cały świat, gdyby prawda wyszła na jaw. Dlatego im mniej wiedział, tym lepiej. To wszystko dopiero... zaczynało się dla niego. Życie, akceptowanie siebie. Każde zjawisko było nowe, ekscytujące. Nie wykluczał, że kiedyś i on zdobędzie się na odwagę i podąży śladem dziewczyn.

Połączyła ich wszystkich silna więź. Więź, której nie dało się z niczym innym porównać. Ufali sobie bezgranicznie, znali swoje najmroczniejsze sekrety. Byli jednością, „grupą”, której nic nie mogło rozerwać. Niklaus wreszcie uwierzył, że nie jest chory. Przeczytał nawet wywiad z Karen Greenlee, która powiedziała, że poddała się leczeniu, próbowała zmienić swoje życie i być jak inni. Wreszcie skapitulowała,



zaakceptowała swoją naturę, a wszelkie terapie skwitowała hasłem: „Ludzie, to nie działa!”. A przecież ona szła na całość. Ukradła nawet raz karawan i włamywała się do domów pogrzebowych. Nie to, co Michael. Zachowawczy tchórz, zadowolający się półśrodkami. W każdym razie – to wszystko było jak objawienie. Poczł się szczęśliwy. Zapragnął nawet tworzyć, rzeźbić. Rzeźba zawsze wydawała mu się najwyższą formą sztuki. Tak bardzo przecież przypominała ludzkie ciało... Tak bardzo bazowała na materiale organicznym. Niklaus wiele razy wyobrażał sobie, jak z bryły drewna lub kamienia wyłuskuje ludzki kształt. Kształt, który jest martwy, nie oddycha, nie rusza się, pozostaje bezwolny. Próbował nawet, ale nie miał dość talentu. Opowiedział jednak o swoich marzeniach profesorowi, a ten obiecał, że pomoże mu je zrealizować. Kiedyś, wkrótce, już niedługo. Dbał o nich, o grupę. Michael wiedział, że profesor dotrzyma słowa. I czekał. Chciał być jak Fritz Wotruba. Realizować dwie swoje pasje – tę mroczną i tę jasną, związaną ze sztuką. Pragnął uznania, nawet podziwu. Marzył o tym, by jego dzieła przetrwały przez wieki, i wiedział, że tylko w taki sposób naprawdę wygra ze śmiercią. Śmiercią, którą się karmił, fascynował, ale której też się bał. I która zawsze musiała z człowiekiem wygrać. Ale nie ze sztuką.

Później sprawy nieco się skomplikowały. Dziewczyny miały ten wypadek „przy pracy” z Moritzem Englem i Michael zrozumiał, że nie wszystko było tak, jak sobie wyobrażał. Nie wszystko odbywało się za czyjąś zgodą i akceptacją. Dziewczyny zaszalały. Czy po raz pierwszy? A może takie rzeczy działy się już wcześniej? Wtedy właśnie Michael usłyszał o Klarze Farkas i dowiedział się, że Rudolf Steinbeck nie jest żadnym bratankiem profesora, tylko jego synem. A matka Rudolfa była taka sama jak oni. Jej także zdarzył się wypadek „przy pracy”, choć profesor utrzymywał, że zrobiła to dobrowolnie. Ale nie Mortiz Engel. On stał się przypadkową ofiarą dziewczyn, które do wszystkiego się przyznały. Zadzwończyły, kiedy Michael akurat wychodził z domu profesora. Spotkali się, by porozmawiać o rzeźbie. Kładł rękę na klamkę, gdy Steinbeck zatrzymał go gestem. Profesor odebrał telefon, a później zrelacjonował, co wydarzyło się na Cmentarzu Centralnym. Powiedział, że ktoś je śledził i podsłuchiwał. I że tym kimś był Rudolf.

Syn profesora zyskał więc dostęp do ich sekretu. Stał się zagrożeniem. I wtedy Steinbeck nieoczekiwanie poprosił Michaela o pomoc. Wszystko mu opowiedział. O sobie, o tym, co robi. O domu w Lesie Wiedeńskim, z bardzo głęboką piwnicą i kilkoma zakamuflowanymi pomieszczeniami, gdzie mieszczą się płótna i rzeźby dawno uznane za zaginione bądź zrabowane. O swoich „interesach” i „klientach”. Mógł mu to wszystko powiedzieć. Ufali sobie. Znali przecież także inne swoje sekrety. Steinbeck odpalił Michaelowi okrągłą sumkę i ponownie obiecał, że ten stanie się kiedyś wielkim artystą, że odniesie sukces w swojej ukochanej dziedzinie. Musiał tylko jeszcze trochę poczekać i na jakiś czas odciąć się od „tego wszystkiego”. Zamanifestować swoją odrębność od profesora, pójść własną, zupełnie inną drogą. Na pozór. Ale wcześniej musiał zrobić coś jeszcze. Pokazać Rudolfowi, że o wszystkim wie. Że go obserwuje. A także użyć swoich wypracowanych na siłowni mięśni i podretuszować mu trochę tę piękną buźkę, żeby od razu wiedział, z kim ma do czynienia. Oczywiście zgodził się. Na wszystko.

Później sprawy skomplikowały się jeszcze mocniej. Niklaus koncertowo wyleciał z uczelni i wszyscy myśleli, że Steinbeck nie znosi go jeszcze bardziej niż wcześniej. I pięknie. Byłoby. Gdyby nie fakt, że dziewczynom zupełnie odbiło. Przestraszyły się, zaczęły szantażować profesora, a kiedy nie chciał zapłacić im tyle, ile zażądały, oskarżyły go o molestowanie. Idiotki! Po co to zrobiły? Michael nie miał pojęcia. Zawiódł się na nich. Tworzyli przecież grupę, ufali sobie, byli jednością. Niewielu takich jak oni chodziło po świecie. Mieli trzymać się razem, zawsze, a tymczasem one... Nie były głupie, o nie. Zdawały sobie sprawę, że postawiły Steinbecka pod ścianą. Nie mógł nic powiedzieć, żeby jednocześnie na siebie samego nie ukrećić bata. Cwane zagranie. Zapłacił im. Dużo. A one wycofały oskarżenie i zniknęły.

Profesor usunął się w cień, a Michael czekał, aż spełni swoją obietnicę. Wciąż miał nadzieję. Steinbeck zapewniał, że pod tym względem nic się nie zmieniło, a jednocześnie wspierał Ernsta Bauera, który przecież z grupą nie miał nic wspólnego. Nie był jednym z nich. Michael czuł, jak w jego sercu rodziła się obezwładniająca zazdrość. Tamten dostawał to, co należało się jemu. Rzeźbił, pokazywał swoje prace na wystawach. Niklaus też próbował swoich sił, ale wciąż go odrzucano. Urządzał happeningi, chciał być artystą totalnym, nikt jednak nie traktował go poważnie. A Bauer? Nie, nie robił jeszcze zawrotnej kariery. Ale wystartował. Pokazał się. Coś umiał. Ktoś go chwalił. Steinbeck wspierał go finansowo i własnym nazwiskiem, nawet jeśli miał już nieco nadszarpniętą reputację. I co z tego? Miało być inaczej. Dlaczego Bauer? Michael nie wiedział. Nikt tego nie wiedział, policja najwyraźniej też. Czyżby profesor rzeczywiście uwierzył w jego talent? I dlatego zlecił mu wykonanie pomnika z orłem? Dlatego zobowiązał Rudolfa do dalszego inwestowania w Ernsta? Nie miał pojęcia. Wykańczała go ta niewiedza. Teraz już zdawał sobie sprawę, że nigdy nie pozna prawdy.

Wtedy jednak zależało mu na tym, by Steinbeck spełnił złożoną mu obietnicę. Wykańczało go czekanie i nagabywanie profesora, który wygłaszał wciąż te same zapewnienia. Grupa się rozpadła. Nic już nie miał, poza przyzwoitą sumką na koncie. Nie był na tyle głupi, by grozić profesorowi. Został mu strach przed przyszłością, milczenie i śmierć, którą kochał.

A przed rokiem zmieniło się dosłownie wszystko. Z początku Michael myślał, że na gorsze. Profesor miał wypadek, a Angie Hamilton zniknęła. Dziewczyna była dla niego bardzo ważna. Nie wiedział, czy już się w niej zakochał, ale doceniał to, że dzieliła jego pasję. Nie tę związaną ze śmiercią, ale tę drugą, dotyczącą rzeźbienia. Miała wielki talent, którego zazdrościł jej ponad wszelkie wyobrażenie. On sam wciąż próbował coś stworzyć i Angie zaproponowała, że będzie mu pozować. Teraz już pojmował jej zachowanie. Wiedział, dlaczego pomniejszała własne umiejętności, mówiła, że to on jest mentorem i wzorem. To on ją uczy. Wiedziała przecież, że prawda wygląda zupełnie inaczej. Wtedy jej nie rozumiał, nie wiedział, czy naprawdę nie zdaje sobie sprawy z daru, który posiadała, czy z jakiegoś powodu udaje. Owszem, bywał podejrzliwy, ale jednocześnie nie mógł odciąć się od dziewczyny. Uznał po prostu, że przesadza, doszukuje się problemów tam, gdzie ich nie ma, nie potrafi budować normalnych relacji z ludźmi. Takimi, którzy nie znajdują upodobania w rozmowach o śmierci.

A przecież takich relacji też potrzebował. Chciał żyć... normalnie. W myślach

posługiwał się właśnie tym słowem, choć uważał, że w wielu wypadkach bywa nadużywane, wykorzystywane przez ludzi, którzy uważają swój system wartości za jedyny słuszny. Tymczasem normalność była w gruncie rzeczy pojemna, mogła znaczyć prawie wszystko, w zależności od punktu widzenia. On i Angie wpasowywali się w pewien zrozumiwały dla każdego wzór. Michael bardzo to sobie cenił. Na tyle, że zależało mu na utrzymaniu *status quo*. Nie naciskał na nią, nie zadawał pytań o jej przeszłość, o rodzinę i życie w Stanach. Ona jego również o nic nie pytała. Widocznie nie był to jeszcze ten etap znajomości. Albo też nie ten rodzaj relacji. W każdym razie wtedy Michael nie dowiedział się, że Angie miała siostrę w szpitalu psychiatrycznym i że on sam tę siostrę bardzo dobrze znał. Nie przypuszczał nawet... Nie dostrzegł podobieństwa, niczego się nie domyślił.

Teraz mógł zastanawiać się nad tym, czy Angie go oszukała, ale tak naprawdę w to nie wierzył. Ona nie wiedziała, kim była Emilie, dziewczyny, Steinbeck. Nawiązała kontakt z Michaelem, bo chciała wniknąć w środowisko. I trafiła akurat na niego! Bywały oczywiście chwile, kiedy zachowywała się dziwnie. Nie zdążył zbadać tej sprawy. Pewnego dnia dziewczyna po prostu zniknęła. Profesor miał wypadek. A Michael po kilkunastu dniach dostał wiadomość, w której ktoś kazał mu iść na cmentarz. Podał konkretne namiary. „Zajrzyj pod bluszcz”. Zajrzał. Bluszcz splątał się ze starym różanym krzewem. Michael boleśnie się pokaleczył... To, co znalazł, było niezwykle. A jeszcze bardziej niezwykła okazała się dołączona wiadomość: „To dla ciebie. Wykorzystaj wedle uznania. Będzie więcej”.

Myślał, że właśnie się stało. Obietnica została spełniona. Nie wnikał, jak i przez kogo, skoro profesor już nie żył. Choć oczywiście wszystkiego się domyślał... I miał rację. Transakcja wiązana. Pilnowali się nawzajem. On i młody Steinbeck. Czy raczej – Farkas. Syn kobiety, którą Michael świetnie rozumiał. I która dla profesora musiała być ważna, a w pewnym momencie jego życia – jedyna. Jedyna właśnie taka.

Chyba nie był do końca przy zdrowych zmysłach, kiedy się na to wszystko godził. Nikt z nich nie był. Może Karen Greenlee nie miała racji? Może wcale nie byli normalni? Może byli zwykłymi wynaturzonymi świrami, ze skrzywioną do cna psychiką? Oczywiście, że tak. Dlaczego w ogóle sądził, że to, co robił, co czuł, czego pragnął, było czymś zwykłym i dającym się zaakceptować? Gdyby komuś powiedział... Rudolf! On mógł komuś powiedzieć. Ale przecież tego by nie zrobił, bo sam miał sekrety. Profesor ciekawie to urządził. Michaelowi nie przyszło tylko do głowy, że Rudolf stał jednak na mocniejszej pozycji. Że opracował swój własny plan, do którego realizacji potrzebował Angie. Zaczął domyślać się prawdy właśnie tamtej nocy, kiedy odebrał telefon z pewną informacją. Był rozczarowany i czuł się zraniony. Zdradzony. Myślał, że Marlene jest podobna do niego, że może jej zaufać. Pomylił się. Pobiegła do Rudolfa. Że też nikt inny nie przyszedł jej do głowy, tylko akurat ten człowiek. Marlene wiedziała za dużo. Między innymi o matce młodego Steinbecka. A on musiał się zabezpieczyć. Ten telefon stanowił ostrzeżenie. Prosty komunikat, że jeśli Michael będzie nadal tak lekkomyślny, to nie czeka go zbyt świetlana przyszłość. A on po prostu... chciał z kimś porozmawiać. Nie mógł już znieść samotności.

Łudził się, że namówi ją na wyjazd. I przedyskutują sprawę na spokojnie, zanim

nad ranem zjawi się Bauer. Wiedział, że na Neubaugasse już go o tej porze nie zastaną, bo nie był typem nocnego marksa. Pracował tylko rano i popołudniami. Marlene miała klucze do pracowni i tam zamierzała poczekać na Ernsta. A potem wszystko mu opowiedzieć – o Niklausie i wielkiej mistyfikacji. Musiał działać szybko. Przemówił do niej bardzo łagodnie, ale Marlene zaczęła się rzucać. Zawsze miała kłopoty z panowaniem nad emocjami, zupełnie jak on. Byli do siebie podobni, nawet jeśli ona, teraz, tak nagle, zaczęła uważać inaczej. Wypluwała z siebie pytania, których nie chciał słuchać i na które odpowiedzi nie znał. Ostatnie, czego potrzebował, to awantura. Musiał ją uciszyć. Wkurzyła go, ale chciał tylko, żeby przestała się drzeć. W dłoni miał ten rylec... Narzędzie, którym nigdy nie potrafił się właściwie posługiwać, choć tak bardzo o tym marzył.

Później działał chaotycznie, nie przygotował sobie zawczasu planu. Wśród narzędzi Ernsta znalazł rękawiczki, które bez namysłu włożył. Na jego biurku piętrzyły się notatki. Natrafił wśród nich na cytat z Almy Mahler. Przytwierdził kartkę do rzeźby. Kiedy teraz o tym myślał, wydawało mu się, że kierował nim impuls.

Marlene była piękna, kiedy już nie żyła. Piękniejsza niż wcześniej.

A Angie? Jak wyglądała, kiedy przestała oddychać? Zazdrościł Rudolfowi, że mógł to widzieć.

## Rozdział 30

Ulrike Seinfeld nucila pod nosem swoją ulubioną melodię, żeby dodać sobie odwagi. Deszcz lał niemiłosiernie i szybko cała przemokła, ale nie rozłożyła parasola. Kiedy ostatni raz tu była, również padało. Pomyślała, że intuicja słusznie przywiodła ją wtedy w to miejsce. Pamiętała rozmowy Marlene i Ernsta, tak bardzo zafascynowanych dramatyczną historią arcyksięcia Rudolfa i Marii Vetsery – samobójców, którzy odebrali sobie życie właśnie w Mayerlingu. Pamiętała też, że ich nie rozumiała i im się dziwiła. Śmierć, samobójstwo, koniec... Naprawdę można było się tym fascynować? Bariery, za którą być może nie znajdowało się już nic? Ulrike dorastała w rzeźni. Wielokrotnie widziała, jak żywemu stworzeniu zadawano śmierć. Nie dostrzegała w tym akcie niczego doniosłego ani fascynującego. Była pewna, że kiedy wybije jej godzina, będzie miała w oczach ten sam zwierzęcy strach. I na nic się zda świadomość własnego człowieczeństwa, przynależność do inteligentnych istot, zdolnych do empatii. Zdarzały się takie chwile, że wątpiła w ludzi. I nie odróżniała ich od zwierząt, które w swojej prostocie nie znały okrucieństwa z premedytacją. Nie miały skrzywionej psychiki ani dziwnych upodobań, nie szukały wrażeń. Nie interesowały się śmiercią, tylko się jej bały.

Mayerling. Pałacyk myśliwski. Kościół. Klasztor Karmelitanek. Azyl...

Myśli o Ernście spowodowały, że niedawno tu przyjechała, ale nie zrobiła wtedy niczego konkretnego. Po prostu stała przed jasnożółtą budowlą i czekała na jakiś znak. Na cud. W swojej naiwności liczyła na to, że Ernst nagle się jej objawi, wyskoczy zza rogu i przywita wylewnie, zafascynowany przenikliwością swojej sprzątaczkii. Co za głupota. Oczywiście nic takiego nie mogło się wydarzyć. A jednak dobrze wtedy kojarzyła. Zmysł obserwacji i wyostrzony słuch wreszcie się na coś przydały. Był tutaj. Od samego początku. I nie miał zamiaru więcej się z nią kontaktować. Ten raz mu wystarczył. Jedno spotkanie z Ulrike i Anną Lindholm, by mieć powód do karmienia się ostatnią nadzieją. Jeszcze przez chwilę, zanim go znajda. I tak wystarczająco zaryzykował. Co zrobił z telefonem, który nigdy nie odpowiadał? Czy w ogóle zamierzał czegoś w swojej sprawie jeszcze dokonać? A może myślał, że jeśli im się nie uda, to nikomu? Bo zwyczajnie nikt mu nie uwierzy? Głupio zrobił, uciekając. Głupio zrobił, poddając się. Ale Ulrike od dawna już nie spotkała kogoś, kto postępowałby mądrze od początku do końca. A raczej – nigdy nie spotkała.

Zanuciła swoją ulubioną melodię głośniej. Mężczyzna stojący obok rzucił jej uważne spojrzenie. On także nie rozłożył parasola i mókł teraz przed bramą klasztoru, który niegdyś był urokliwym pałacykiem myśliwskim.

– *Rise Like A Phoenix?* – zapytał, unosząc brew.

Ulrike umilkła.

– Nie wiedziałam, że lubi pan Conchitę Wurst – odezwała się wreszcie, szczerze zdumiona.

Komisarz Franz Weber wzruszył ramionami.

– No pewnie. Conchita może ma brodę, ale daje radę. Wiesz, kiedy Austria wygrała Eurowizję ostatnim razem? Zanim on się pojawił?

– Ona.

– Ona. Wiesz?

– W sześćdziesiątym szóstym – odrzekła bez wahania.

– Weber zachichotał.

– To i tak lepiej niż u niektórych – podjęła znowu. – Taka Polska nie wygrała Eurowizji nigdy.

– Racja. *Rise Like A Phoenix* – powtórzył cicho tytuł piosenki. – Może i jemu się uda? Podnieść z popiołów?

Twarz Ulrike wykrzywiła się ze strachu. Obróciła się w stronę komisarza i spojrzała mu w oczy.

– Myśli pan, że... on... że wy go...

– Oberwie za to, że zniknął. I utrudniał śledztwo. Ty też powinnaś, dziewczyno, za to, że milczałaś tak długo.

– Przecież mówiłam dlaczego! Dopiero teraz skojarzyłam to miejsce.

Ulrike była szczerze oburzona. W tym wypadku akurat w ogóle nie skłamała. To znaczy owszem – kiedy ją olśniło w sprawie Mayerlingu, najpierw powiedziała o wszystkim Annie Lindholm, nie policji. Ale później, gdy już dwóch szaleńców, Niklaus i Steinbeck, zaczęli składać zeznania i pogrążyć się nawzajem, uznała że teren jest bezpieczny i można rzucić na kryjówkę Ernsta nieco światła. Dziwnie jakoś zaufała komisarzowi Weberowi. Liczyła, że potraktuje Ernsta łagodnie, a ona w ten sposób da mu szansę na nowy start.

– Teraz skojarzyłam? – Weber ponownie uniośł brwi. – Jasssne. Ale dobrze, niech ci będzie. Jeśli on faktycznie tam jest, to już mnie przestanie interesować, kiedy cię dokładnie oświeciło. Potrząśniemy nim, kilku nocy z pewnością nie spędzi w domowym ciepелku, a później...

– A później?

– Chyba musi trochę posprzątać w swoim życiu, co? I wyjątkowo nie powinien ciebie do tego zatrudniać.

Ulrike uśmiechnęła się i potrząsnęła mokrymi od deszczu włosami.

– Potrzebuję pracy. Pójdę po niego – powiedziała i ruszyła do wejścia.

– Jak na to wpadłaś, Ulrike? – zawołał jeszcze za nią policjant. – Że on tutaj jest?

Dziewczyna przystanęła przed gotycką fasadą. W przemokniętej bluzie i z wiszącymi po obu stronach twarzy strąkami wyglądała jak kupka nieszczęścia. Rozłożyła ręce.

– Obejrzałam *Dzwonnika z Notre Dame*! – odkrzyknęła, przebijając się głosem przez szum deszczu.

– Co?!

– Tam była taka jedna Cyganka, która w katedrze szukała azylu, bo chcieli ją powiesić! Czy coś w tym stylu!

Ulrike Seinfeld ruszyła do drzwi. Za plecami usłyszała jeszcze tylko stłumione: „Jaki znowu, do kurwy jasnej, dzwonnik?!”.

\*\*\*

Inge Altman siedziała pod złotą figurą Mozarta i obejmowała dłońmi kubek z parującą kawą. Miała kaca. Piła od trzech dni, a zaczęła u Anny Lindholm na Kloostergasse. Szkoda, że spotkały się w takich okolicznościach. Gdyby sytuacja była inna, może by się nawet zaprzyjaźniły? Inge nie pamiętała, kiedy myślała o kimś jak o swoim przyjacielu. Prawdziwym, bezinteresownym i szczerym, do którego pałałaby sympatią tak po prostu, bez żadnego podtekstu. Kustoszka z Mumoka się przecież nie liczyła, była dobrą koleżanką z branży i tyle. A Lindholm wydawała się... fajna. Równa babka, z własnymi problemami, która nie świeci na kilometr swoim kryształowym charakterem. Która nie patrzy na ludzi z góry tylko dlatego, że popełniają błędy.

Szef był na Inge wściekły z powodu Niklause. „Jak mogłaś nie zauważyć?“, wydierał się i... robił właśnie to, czego nie robiła Lindholm. Patrzył z pogardą, oceniał ją, bo przecież nie miała prawa się pomylić, nie ona, Inge Altman, zimna żmija w kilkunastocentymetrowych szpilkach. Dlatego ją zatrudnili. Bo była bezkompromisowa i z nikim się nie patyczkowała. A Phantastenmuseum musiało się trochę wybić, dźwignąć, zacząć poważnie konkurować z innymi wiedeńskimi galeriami, których sytuacja finansowo-historyczna była bardziej ustabilizowana. Inge miała to sprawić. „Załatwić” gwiazdy. Szukała. Naprawdę szukała prawdziwej pieprzonej gwiazdy przez kilka lat. Przez chwilę myślała nawet, że znalazła. Ernst Bauer był zdolny, ale bał się ryzyka. Wydawał jej się zbyt zachowawczy, zbyt poprawny. A ona potrzebowała szalu, fantazji, świeżości. Powiedziała mu o tym, kiedy raz – jeden jedyny raz w życiu – spędzili ze sobą noc. Oboje mieli zły dzień. Później ich relacje się ochłodziły i każde poszło w swoją stronę. Inge zainteresowała się Michaeliem Niklausem... Walczyła o niego. A teraz?

Wstała i przeszła przez salę koncertową w kierunku okna. Postawiła kubek na parapecie. Jej wzrok przeniknął przez szybę i zatrzymał się na fasadzie Hofburga. Josefplatz powoli zapelniali turyści. Uwielbiała to miejsce. Nie Hofburg, ale właśnie Palfy. Salę Figaro. Złotą figurkę Mozarta i obrazy Prihody w barze. Warsztat na górze, w którym z zapalem pracowali artyści, rzeźbiarze i malarze. Może tam powinna poszukać swojej nowej gwiazdy? Nie zwolnili jej przecież. Powiedzieli tylko, żeby jakoś „uprzętnęła ten burdel”. A zatem uprzętnie. Miała już nawet pomysł. Przede wszystkim zamierzała zadzwonić do Ernsta, kiedy policja z nim skończy. Będzie teraz potrzebował wsparcia, bo protekcja możnych panów mecenasów – profesora Steinbecka i jego udawanego bratanka – właśnie się skończyła. Może się trochę wysili i przekroczy granice, które sam sobie wyznaczał?

Najpierw jednak... Najpierw Inge musiała oddać komuś sprawiedliwość. Zorganizować wystawę i podpisać rzeźby odpowiednim nazwiskiem. Już rozmawiała z szefostwem i zajęli się problemem od strony prawnej. Tę sferę im zostawiła. Wiedziała, że dopną wszystko na ostatni guzik. A ona zajmie się tym, co naprawdę ważne. Sztuką.

Pierwszą w historii wystawą prac Angie Hamilton. Młodej, tragicznie zmarłej artystki.

Wiedziała, że to będzie hit.

\*\*\*

Diane pożegnała się z Anną i Leonem, po czym oddaliła się w stronę kiosku, dając mężowi nieco swobody. Thomas z zakłopotaniem poprawił swoje włosy à la Steven Tyler. Uściskał Annę i podał rękę Leonowi.

– Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy – powiedział nieśmiało, spoglądając na nich na przemian. Chyba... miło spędziliśmy czas?

– No pewnie. Uganiając się za nekrofilami i szukając dwugłowych orłów po całym Wiedniu. Nie bawiłem się tak nigdy w życiu. Nomen omen... – odpowiedział Leon.

Ebeling wybuchnął śmiechem. Pochylił się nad Anną i szepnął jej do ucha:

– Będiesz już grzeczna, Lindholm? Czy nie zanosi się?

– Raczej się...

– Nie odpowiadaj lepiej. Gdyby dzwonił do mnie Ingvar, to...

– Powiedz, że dobrze mi się żyje. I że zmieniłam numer telefonu. Nie podałam ci go.

Ebeling pokiwał głową ze zrozumieniem. Fajny był ten hipisowski Steven Tyler, dawniej wiedeński policjant. Niczego nie musiała mu tłumaczyć. Ingvar już do niej dzwonił i to kilkakrotnie. Ale przecież musiał nadejść ten moment, kiedy przestanie odbierać. Inaczej nigdy nie będzie wolna.

– No to jak? Zobaczymy się? Kiedyś? Wkrótce?

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. Pomachała jeszcze Thomasowi na pożegnanie i razem z Leonem ruszyła w kierunku hali odlotów. Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Oczywiście marzyła o tym, by wrócić kiedyś do Wiednia i zasiąść na sofie w kolorowym salonie Ebelingów na Hardeggasse. Nawet koktajl z jarmużu jakoś by przeboleła. Teraz po prostu nie miała głowy do snucia tak dalekosiężnych planów. Wiele musiała zrobić. Na przykład wrócić do Helu. To przede wszystkim. Wrócić do Helu, uściskać Lempi i przeprosić ją za wszystko. A później...

Zerknęła przelotnie na Leona, który miał dziś nieprzenikniony wyraz twarzy. To dziwne, że wszystko jej tak po prostu wybaczał. Ubiegłego wieczoru, kiedy się pakowali, usiadł nagle na podłodze i zaczął opowiadać o Jenny. Całą prawdę – tę, której nie знаła. Zastygła nad otwartą walizką, po czym podeszła i objęła go mocno. Nie miała pojęcia, że to wszystko sięga aż tak głęboko. Ona również uświadomiła sobie, że czuje do niego coś potężnego, co opiera się próbie czasu. Ale teraz musiała działać sama. Podjąć decyzję, za którą tylko ona jedna będzie odpowiedzialna, od której wiele może zależeć. I wiedziała,



że to dobra decyzja. Dokonała wyboru w zgodzie z samą sobą, wreszcie. Powiedziała o tym Leonowi, bo wspólna chwila nad otwartymi walizkami wzniosła ich znajomość na kolejny etap. Może faktycznie go kochała. Może nawet bardzo. Kiedy przedstawiła mu swój plan na najbliższą przyszłość, skinął głową.

– Rozumiem – powiedział tylko.

– Naprawdę?

– Tak. I mam pytanie: czy to znaczy, że ostatecznie mówisz „nie”?

– Leon... Mówię: „nie wiem”.

– „Nie wiem” to nie to samo, co „nie”.

– Nie możesz w nieskończoność...

– Wiem, że nie mogę w nieskończoność.

Więcej już o tym nie rozmawiali. Leon łaknął normalności w świecie, ale sam nie zachowywał się w sposób logiczny i przewidywalny. On sam był jak szalenciec działający pod wpływem natchnienia. Artysta, który idzie za głosem serca. Gdziekolwiek by go miało zaprowadzić.

„Nie wiem”. Anna lubiła te dwa słowa. Były takie ludzkie. A jednak nie mogła określić nimi absolutnie wszystkiego. Kilka rzeczy wiedziała. A dokładnie – dwie. Że spełniła ostatnią prośbę Chany Sullam, kobiety, która nie zaznała spokoju przez całe swoje życie.

I że musi zrobić coś, co z pewnością wielu osobom zupełnie się nie spodoba.

Bo przecież nie mogła się teraz zatrzymać.

## EPILOG

### WYSPY KANARYJSKIE

Costa Teguisse, Lanzarote

Tydzień później

Domek był parterowy i pomalowany na biało. Tylko drzwi i okiennice pokryto ciemnozieloną farbą. Wszystkie okna od frontu otwarto i wiatr wczepiał się w firanki. Szum morza wydawał się przyjemnie znajomy i oswojony, zupełnie jak w domu, choć tutaj było przecież o wiele cieplej. Na niebie, niemal nierealnie błękitnym, nie zauważyła ani jednej chmury. Mimo późnej pory słońce wciąż świeciło mocno, a ziemia była sucha i spękana. Podobno deszcz padał na Lanzarote tylko trzy razy do roku. Jeśli jakiś turysta natrafił na jeden z tych dni, mówiło się, że ma szczęście. Ciekawe, czy jej się uda?

Pchnęła furtkę i wąską brukowaną ścieżką ruszyła do drzwi wejściowych. Ciągnęła za sobą walizkę na kółkach, która wydawała nieprzyjemny, chrobotliwy odgłos. Znała adres. Podał go jej, kiedy przed dwoma dniami rozmawiali przez telefon. Wiedziała, że wynajął domek. Później już do niego nie dzwoniła. Na Lanzarote przyleciała rano, a kiedy dotarła do Costa Teguisse i stanęła przed białym budyneczkiem, nikogo nie zastała. Spędziła więc dzień w kawiarni i na plaży. Piła piña coladę, której nie lubiła, i teraz lekko kręciło jej się w głowie. Ale to nic. Najważniejsze, że on już wrócił.

Zapukała do drzwi i miała wrażenie, że jeszcze głośniejsze załomotało jej serce. Usłyszała ciche kroki. Szczęknięt zamek i zgrzytnęła klamka. Nie wiedziała, co powiedzieć. „Nie wiem” – znowu to do niej wróciło. Ulubiony zestaw słów, najprawdziwszy.

Miał suchą skórę na policzkach i głębsze zmarszczki na czole. Oczy i włosy tak samo popielate. Był zmęczony. Patrzył na nią długo, bez słowa. I wreszcie to zobaczyła. W rysach jego twarzy, w rozluźnionych nagle mięśniach. Ulgę.

Cofnął się o krok i wpuścił ją do środka.

## Od autorki

Annie Lindholm nigdy nie udało się dopowiedzieć, jak słynny austriacki artysta, André Heller, wyraził się o Cmentarzu Centralnym w Wiedniu. A nazwał go po prostu „afrodyzjakiem dla nekrofilów”. I chyba nic w tym dziwnego – oficjalne dane mówią, że Wiedeń liczy niecałe dwa miliony mieszkańców, podczas gdy na Zentralfriedhof pochowanych zostało już ponad trzy miliony obywateli. Liczebna przewaga martwych nad żywymi, jakkolwiek makabrycznie to brzmi, wydaje się bardzo wyraźna. Zentralfriedhof jest oczywiście, w pewnym sensie, atrakcją turystyczną, przyjezdni zawsze chętnie odwiedzają groby słynnych wiedeńskich artystów, a przede wszystkim – symboliczny grób Mozarta. Mnie jednak wystarczyło zobaczyć to wszystko raz. Swoje kroki zawsze kieruję natomiast na stary cmentarz żydowski. To zupełnie inne doświadczenie. Za dnia jest tam naprawdę cicho i pusto, wiekowe mogiły w większości chylą się ku ziemi i porasta je bluszcz. Na nagrobkach widnieją daty z dziewiętnastego i początków dwudziestego wieku, co dobitnie wskazuje, jaki los spotkał żydowską społeczność Wiednia w latach trzydziestych. Nic dziwnego, że groby stoją samotnie w cieniu gęsto rosnących drzew. Kto ma je odwiedzać? Pewnego dnia, kiedy siedziałam przy mauzoleum rodziny Englów (tak – istnieje naprawdę, ale nikt go nigdy nie podpalił), usłyszałam dziwny dźwięk i dudnienie. Możecie sobie zapewne wyobrazić, że w tamtej chwili prawie umarłam ze strachu. Obróciłam się wokół własnej osi, gotowa zobaczyć jakiegoś upiora, ale moim oczom ukazały się tylko... dwie sarny. Właśnie sarny. Tak dzika i opustoszała jest ta część cmentarza, że ze spokojem zamieszkują ją zwierzęta leśne. Jeśli kiedykolwiek będziecie w Wiedniu i nie boicie się hasła *memento mori*, zajrzyjcie w to miejsce. Naprawdę robi wrażenie. Przejdźcie się porośniętymi trawą i bluszczem alejkami i poczujcie ten klimat – poczujcie oddech historii, przeszłości, która wciąż przecież wpływa na teraźniejszość.

Cytat z Hellera, który znam od dawna, wrócił do mnie właśnie na starym cmentarzu żydowskim. To wtedy narodziła się myśl, by zakończenie tej powieści i motywację niektórych bohaterów poprowadzić nieco inaczej niż zamierzałam. I wreszcie zrealizować zamysł, który chodził za mną już dość długo, ale który także... bałam się zrealizować. Nie jest łatwo pisać, czytać i słuchać o nekrofilii. Słowo „nekrofil” kojarzy nam się jednoznacznie z osobą... nie do końca zdrową na umyśle. W pewnym sensie to prawda. Nekrofilia jest silnym zaburzeniem, opisanym i sklasyfikowanym w podręcznikach do psychiatrii, ale jednocześnie niezbyt łatwo dającym się wtłoczyć w jednoznaczną definicję. Anna Lindholm przywołuje kilka nazwisk specjalistów, którzy pochylili się nad tym zaburzeniem, ale jest to zaledwie kropla w morzu badań. Także bohaterowie tej książki nie cierpią na jednoznaczną postać nekrofilii. Pojawia się tu i tanatofilia, i tak zwana nekrofilia fantazyjna (Anil Aggrawal), ograniczająca się do wyobrażeń. Von Hentig wyróżnił też i opisał szereg zachowań „towarzyszących” nekrofilii lub z nią związanych, takich jak choćby potrzeba dotykania zwłok, podniecenie na widok zwłok, zamiłowanie do grobów i przedmiotów związanych z ceremoniałem pogrzebowym itp. Większość zachowań określanych jako „nekrofilia normalna” (Rosman i Resnick) pod względem prawnym podchodzi pod paragrafy związane

z bezczeszczeniem zwłok i miejsc pochówku. Osoby cierpiące na to zaburzenie (stanowią klasę główną dla pozostałych przypadków nekrofilii) nie są groźne dla otoczenia. Niebezpieczni są ci określanii jako nekrofile homicydalni (Rosman i Resnick), którzy sami „pozyskują” zwłoki dla swoich praktyk. Żadnego z moich bohaterów do tego nie popchnęłam.

Przywoływana przez Michaela Niklusa Karen Greenlee to postać autentyczna. Kobieta pracowała w zakładzie pogrzebowym i kilka lat temu uprowadziła karawan, którym na cmentarz przewożono zwłoki młodego mężczyzny. Przez dwa dni nie dawała znaku życia (w kontekście tej książki bardzo dziwnie używa mi się niniejszej frazy...). Została oskarżona jedynie o nielegalne prowadzenie karawanu i zakłócanie ceremonii pogrzebowej – w Kalifornii nie ma paragrafu, pod który podchodziłyby przestępstwa związane z nekrofilia. Ale... w trumnie z ciałem mężczyzny Karen zostawiła list, w którym przyznawała się do swoich praktyk. Pisała między innymi tak: „Dlaczego to robię? Dlaczego? Dlaczego? Strach przed miłością, związkami. Żaden romans nie przysparzał nigdy tyle bólu... Jestem szczurem z kostnicy. To moja szurca nora, być może mój grób”. Później jednak Karen pogodziła się z własną naturą. Udzieliła też wywiadu, w którym opowiedziała o sobie. To chyba pierwsza w historii tak szczerą „spowiedź” nekrofila. Karen mówi: „Jeden z moich braci odmówił posiadania ze mną czegokolwiek wspólnego. Powiedział: «chcę ją po prostu pamiętać taką, jaką była». Później zjawił się u mnie i przeprosił, jednak nadal w moim towarzystwie nie czuje się zbyt komfortowo. Mój drugi brat bardziej mnie wspierał, ale nawet on musiał zapytać: «Jak mogłaś zrobić coś takiego?» (...) Mieszkałam w małym mieście, a strażacki grill był zaraz obok drzwi do zakładu pogrzebowego. Aby pójść do łazienki trzeba było skorzystać z sanitarnych udogodnień zakładu pogrzebowego. Wymyślałam jakikolwiek powód, aby pójść do łazienki, wtedy robiłam sobie krajoznawcze wycieczki, blakając się po kostnicy. (...) Czy zauważyłaś jakieś zmiany w postawie ludzi odnośnie do nekrofilii? Tak, kiedy tu wróciłam, zanotowałam to. To prawie kaprys. Oni tak naprawdę nie są nekrofilami, ale pseudonekrofilami. Coś jak kult śmierci! Jednak prawdopodobnie są ludzie, którzy robiliby to, jeśli mieliby do tego sposobność. Możliwe, że jest to ogromna sieć nekrofilów, którzy z powodu braku forów dyskusyjnych nigdy nie będą wiedzieli o swym istnieniu. (...) Przez długi okres zwykłam myśleć «Tak, to nie jest normalne. Dlaczego nie mogę być jak inni? Dlaczego ta sama para butów po prostu na mnie nie pasuje?» Przeszłam przez te wszystkie osobiste piekła i w końcu zaakceptowałam siebie i zrozumiałam, że taka właśnie jestem. Taka jest moja natura i powinnam się z tego cieszyć jak się tylko da. Jestem bardzo przygnębiona, kiedy próbuję być czymś, czym nie jestem. (...) Im więcej rozmawiałam z tymi ludźmi, tym bardziej zdawałam sobie sprawę z tego, że nekrofilia ma dla mnie sens. Przyczyną, dla której miałam z tym problem było to, że nie potrafiłam siebie zaakceptować. Wciąż próbowałam żyć swoim życiem według standardów innych osób. Ci wszyscy ludzie, którzy zawsze próbowali mnie zmienić, jedynie pomogli mi dotrzeć do moich uczuć. Z biura terapeuty szłam prosto do zakładu pogrzebowego. Ludzie, to nie działało!”[1].

Szokujące? Obrzydliwe? Szczere? Oceńcie sami. I uwierzcie, że wyznanie Karen Greenlee na tle kilku innych wypadów bardzo niewinnie. Jeśli prześledzicie historię

postępków między innymi sierżanta François Bertranda, Victora Ardissona czy Nicolasa Claux, zrozumiecie, o co chodzi. Nekrofilia nie jest zaburzeniem, które dotyka tylko osoby słabo wykształcone i z niskim ilorazem inteligencji, choć tak właśnie bywa postrzegane. Guido Henckel von Donnersmark był niemieckim szlachcicem i magnatem przemysłowym, który poślubił słynną dziewiętnastowieczną kurtyzanę La Paivę – swoją wybrankę kochał tak mocno, że... po jej śmierci zabalsamował zwłoki i spędzał z nimi mnóstwo czasu. Carl Tanzler, radiolog ze szpitala w Key West na Florydzie, zakochał się w swojej pacjentce, która była nieuleczalnie chora. Kiedy umarła, wykopał jej ciało z grobu i trzymał we własnym łóżku. Leilah Wendell jest historykiem, pisarką i malarką, prowadzi stronę internetową Westgateneocromantic.com, poświęconą tematyce śmierci, w której artystka jest „zakochana”. Podczas pracy nad książką odwiedzałam tę stronę bardzo często...

Jak widać, nekrofilia nie jest zaburzeniem, o którym opowieści moglibyśmy włożyć między bajki. Z pewnością jednak, w porównaniu z innymi przypadkami klinicznymi, występuje stosunkowo rzadko. Mówimy tu oczywiście o nekrofilii normalnej, o klarownych symptomach. Ilu chodzi po świecie ludzi ogarniętych obsesją śmierci, zafascynowanych śmiercią, fantazjujących o niej – tego pewnie nigdy nie będziemy w stanie się dowiedzieć.

Na początku dwa tysiące szesnastego roku w Szwecji młodzieżówka Ludowej Partii Liberalów – Liberalna Młodzież Szwecji (LUF) – opowiedziała się za zalegalizowaniem nekrofilii. A dokładnie – za możliwością wyrażenia pozwolenia na pozostawienie po śmierci swojego ciała do współżycia bez konsekwencji prawnych dla osoby, która z tego skorzysta. Ludowa Partia Liberalów odcina się od tych poglądów[2].

Dziękuję Mateuszowi Brzuszczyńskiemu, technikowi z jednego z wrocławskich prosektoriów, za inspirujące rozmowy, które bardzo mi pomogły w napisaniu kilku ważnych (o ile nie najważniejszych) fragmentów tej książki i w przekroczeniu granic własnego myślenia.

Dziękuję Jerzemu Wolakowi z ekipy remontowej, prężnie działającej w pałacu Palfy w Wiedniu, za oprowadzenie mnie po całym budynku i szczegółową opowieść na temat rozmieszczenia sal, ich przeznaczenia, historii i planowanych przeróbek. Wszystkie miejsca opisane w Phantastensemuseum są prawdziwe, bar na parterze i na piętrze, sala Figara i pracownia artystyczna, każdy przedmiot, każdy obraz, każda figurka – także połączony Mozart i malowidła Laszlo Prihody. Anachronizmem jest wystawa prac Rozenza Opfa, którą pokazywano w Palfy w czerwcu, ale w roku 2016, nie 2015. Musiałam jednak o niej wspomnieć, bo malowidło przedstawiające wielką różę z gigantycznym okiem to wspaniały przykład realizmu magicznego, z którym kojarzone jest Phantastensemuseum. Funkcjonowanie tej galerii przedstawiłam nieco inaczej, niż to ma miejsce w rzeczywistości. W pałacu Palfy raczej nie organizuje się wystaw „odgórnie” i nie szuka gwiazd ze świata sztuki, a raczej wynajmuje sale pod rozmaite ekspozycje i koncerty. To niezwykle przestrzeń. Zupełnie inna, oryginalna, wyróżniająca się na tle pozostałych muzeów wiedeńskich.

Dziękuję wspaniałym wiedeńczykom: Ani Wolak za białe wino, Joli Zajac za

aperol, Agnes Wechselberger za ciasto z morelą i tort z malinami – miło było u was odpocząć po całodziennych pościgach za materiałem do pracy. Krzysztofowi Zajęcowi za pożyczenie mieszkania na Klostergasse i trójkpak kinder bueno. Wszystkim wyżej wymienionym za rozmowy o rozmaitych aspektach życia w Wiedniu, od specyfiki wiedeńskich kamienic począwszy, na kwestii bezpieczeństwa, przestępczości i pracy policji skończywszy. Bez Was byłabym jak dziecko we mgle, które kręci się wokół Hofburga i dziwi liczbie dwugłowych orłów przyklejonych w każde możliwe miejsce.

Mojemu mężowi Grzegorzowi za to, że pomógł mi ogarnąć wiedeńskie metro. Teraz już gąszcz kolorowych nitek nie stanowi dla mnie żadnych tajemnic, ale na początku było naprawdę trudno. Także za odwiedzanie ze mną różnych miejsc, w tym dziwnych lub kłopotliwych, jak toaleta w przejściu podziemnym koło Opery Wiedeńskiej (przez cały czas lecą tam wiedeńscy klasycy, serio), wieża widokowa w katedrze św. Szczepana (ta wyższa, bez zainstalowanej windy), piwnica i strych w kamienicy na Klostergasse, a także za długie godziny spędzone w muzeach (nasz rekord to osiem godzin w Muzeum Historii Sztuki). Wiem – nie wszystkie te miejsca pojawiły się w książce. Przepraszam. I jeszcze za pomoc w zażegnaniu pisarskiego kryzysu krótkim: „Jedź popisać do Wiednia”. Trudno było nie posłuchać.

Magdzie Zajęc i Piotrowi Piaseckiemu za wprowadzenie w technikę szpachlowania. Obawiam się, że nadal niewiele w tej kwestii rozumiem. I jeszcze za długie godziny spędzone wspólnie przy zdzieraniu tapet, skuwaniu starych kafelków (i kładzeniu nowych), malowaniu ścian i oczekiwaniu na pizzę (są takie chwile w życiu człowieka, kiedy najbardziej cieszy go widok dostawcy pizzy, naprawdę). Bez tych ekscytujących doświadczeń nigdy nie wymyśliłabym wątku z zaspachlowaną deską. Jeśli coś i tak tu pomieszałam – wybaczenie!

Blogerom książkowym za Waszą pasję i trud, za to, że promujecie polską literaturę i jesteście zaangażowani i rzetelni w dwustu procentach. Za ogromne wsparcie i szczerą opinię szczególnie dziękuję: Tomaszowi Radochońskiemu, Ani Szterlei, Marcie Mrowiec, Przemysławowi Garczyńskiemu, Karolinie Sosnowskiej, Angelice Zdunkiewicz-Kaczor, Kindze Młynarskiej, Weronice Załuckiej (Hasaczowi), Pauli Klich.

Grzegorzowi Chojnowskiemu, szefowi Radia Wrocław Kultura, za... i tu lista podziękowań powinna być bardzo długa, a nawet w ogóle się nie skończyć. Przede wszystkim za ogromne wsparcie i medialne, i takie zwykłe, ludzkie. Za wysłuchiwanie mojego marudzenia przy jednoczesnym zachowaniu anielskiej cierpliwości również. Wiem, nie jest łatwo. I jeszcze za: „No przeczytałem, podobało mi się, ALE...”. To taka łagodna wersja metody kija i marchewki...

Najaktywniejszym Czytelniczkom – Ani Sawickiej-Banaszkiewicz i Paulinie Czupajło, które czytają wszystkie moje książki tuż po premierze i zawsze dzielą się opinią – bardzo wyczerpującą i często wzruszającą. Dla Was wielkie serduszko.

Wszystkim moim Czytelnikom za to, że jesteście. Bo bez Was nie byłoby mnie.

Mojej redaktorce, Kindze Gąsce, która cierpliwie i z zaangażowaniem brnęła w przygody Anny Lindholm aż do samego końca. To czwarta książka, przy której razem pracowałyśmy, i mam nadzieję, że nie ostatnia!

Mojej przyjaciółce Natalii Warnickiej (Z szafy Nataszy) za uszyście specjalnie dla

mnie torby, która pomogła mi przetrwać wiele inspirujących podróży, w tym tę ostatnią do Wiednia. Mieszczę w niej bez większych problemów laptop, tablet, duży notes, książkę (lub dwie), okulary słoneczne, okulary korekcyjne, kanapki, batonika (lub dwa), butelkę wody i sweter. Zestaw, bez którego rzadko mogę się obejść, zwłaszcza daleko od domu.

W powieści wspominam o obrazie *Krzyk* Muncha i wkładam w usta profesora Steinbecka słowa: „Wiesz, że ten obraz ma swoją dramatyczną historię. Wielka szkoda, prawda? Pomyśl, co by się stało, gdyby wyszło na jaw, że jasnopomarańczowa wersja znajduje się w posiadaniu młodego Rudolfa Steinbecka”. Przypominam, że rozmowa ta ma miejsce dziesięć lat przed akcją właściwą powieści, czyli w roku 2005. Sprawa malowidła wygląda natomiast tak, że w sierpniu 2004 z Muzeum Muncha w Oslo skradziono jasnopomarańczową wersję obrazu. Została wyniesiona w biały dzień na oczach sterroryzowanych bronią strażników i widzów. Wraz z *Krzykiem* z muzeum skradziono *Madonnę* Muncha. Podczas procesu osób podejrzanych o napad pojawiły się hipotezy, że obraz zniszczono, jako niezbywalny na czarnym rynku. Wyceniano go wówczas na 54 miliony euro. Malowidło zostało odnalezione po dwóch latach. Wiadomość na temat miejsca przechowywania obrazu podał jeden z przestępców sądzonych w procesie o napad na bank NOKAS w Stavanger. Oba napady były ze sobą powiązane. W 2012 Sotheby's sprzedał obraz za 119 922 500 dolarów. Wiele jest takich słynnych zaginionych malowideł, które uważa się za niezbywalne na czarnym rynku, a jednak wciąż nie zostały odnalezione.

Wspominam również o obrazie *Death And The Young Woman* Niklause Manuela-Deutscha. Choć rzeźba Angie Hamilton/Michaela Niklause nim inspirowana jest oczywiście fikcyjna, to malowidło istnieje. Pochodzi z 1517 i przedstawia kościotrupa, który obejmuje młodą kobietę i wsuwa jej dłoń pod suknię. W twórczości Niklause Manuela-Deutscha motyw kościotrupa/Śmierci i młodej kobiety pojawia się kilkakrotnie (w jednej z wersji kościotrup wsuwa kobiecie dłoń za dekolt). Nazwisko dla mojego bohatera wybrałam oczywiście nieprzypadkowo.

W Lesie Wiedeńskim, w domu Steinbecka, na widok szkicu Angie policjanci wspominają o efekcie Holbeina. To nawiązanie do obrazu Hansa Holbeina *Ambasadorowie* z 1533, który można podziwiać w National Gallery w Londynie. Choć malowidło pochodzi z szesnastego wieku, dopiero w wieku dwudziestym litewski historyk sztuki, Jurgis Baltrušaitis, odkrył, że dziwny podłużny kształt na pierwszym planie obrazu to trupia czaszka. Aby ją zobaczyć, możemy przyłożyć do górnej krawędzi kształtu łyżkę lub prościej – patrzeć na płótno z prawej strony pod kątem. Obliczono nawet, że kąt powinien wynosić dwadzieścia siedem stopni, ale... po prostu stańcie z prawej strony i spróbujcie przyjąć właściwą pozycję na wycucie, a na pewno uda wam się dostrzec czaszkę. Powodzenia! :) Za każdy razem, kiedy myślę o tym, co zaszyfrował na swoim obrazie Holbein, a także o tym, że jego zamysł ktoś przeniknął dopiero cztery wieki później, przechodzą mnie ciarki. Ile jeszcze jest takich szyfrów i zagadek w historii sztuki, których nikt nigdy nie zdołał rozwiązać? Wątek ten w sposób bardzo ciekawy podejmuje Arturo Perez Reverte w swojej powieści *Szachownica flamandzka*. O książce

tej wspomina Anna w poprzedniej części trylogii – *Nic oprócz milczenia*. Przypadek? Nie sądzę... Moim Holbeinem w *Nic oprócz śmierci* jest oczywiście Angie Hamilton.

Wszystkie opisane przeze mnie miejsca są prawdziwe. Artyści, o których wspominam, również żyli bądź nadal żyją i tworzą. Zachęcam zwłaszcza do zapoznania się z biografią i twórczością Fritza Wotruby, a także, jeśli macie taką możliwość, do odwiedzenia kościoła Wotruby na Rysergasse w Wiedniu. Budowla w całości skomponowana z betonowych bloków naprawdę robi wielkie wrażenie. Podobnie jak jego niesamowite rzeźby, o których wspomina w powieści Michael Niklaus.

Historia Rudolfa Leopolda i gigantycznego odszkodowania wypłaconego spadkobiercom Lei Bondi Jaray za *Portret Wally Egon* Schielego jest prawdziwa. Historia Marii Altman, która wywalczyła od miasta Wiednia zwrot obrazu *Złota Adela* Gustawa Klimta, należącego przed wojną do jej rodziny – słynnej rodziny Bloch-Bauer – jest prawdziwa. Na ostatnim półpiętrze Phantastemuseum stoi wielka drewniana rzeźba przedstawiająca kościotrupa – także jest prawdziwa, choć nie wyrzeźbił jej Michael Niklaus. To znaczy – Angie Hamilton... Stanowiła natomiast sporą inspirację w budowaniu profilu psychologicznego rzeźbiarki i człowieka, który fascynował się śmiercią i jednocześnie chciał zostać wielkim artystą. Postać wiedeńskiego seryjnego mordercy Jacka Unterwegera, o którym Anna i Leon rozmawiają na cmentarzu, jest prawdziwa. Nazwiska, które bohaterowie odczytują na nagrobkach w starej części żydowskiej, są prawdziwe, tak jak wspomniane już mauzoleum Engłów. Muzeum pochówków jak najbardziej istnieje, a Wiedeńskie Przedsiębiorstwo Pogrzebowe „Bestattung Wien” umożliwia z części popiołu powstałego w czasie kremacji zmarłego wykonanie diamentu, który u jubilera zostaje później oszlifowany. Habsburgowie naprawdę rozczłonkowali ciała swoich zmarłych i umieszczali poszczególne części w różnych – nobliwych – miejscach, przykładali także wielką wagę do ceremonii pogrzebowych. Mieszkańcy Wiednia, jeśli mieli na to fundusze, wynajmowali na czas ceremonii mieszkania z widokiem na ulice miasta, którymi przechodził cesarski kondukt żałobny. Ostatnią osobą pochowaną wedle starego rytuału Habsburgów była Zita Burbon-Parmeńska.

Pojęcie *Schöne Leich* oznaczające piękne zwłoki znane jest w Wiedniu od wieków.

To już jest koniec.

Dziękuję, że przeczytałeś tę książkę.

M. K.

[1] Cytaty pochodzą ze strony <http://www.sadistic.pl/wywiad-%20z-karen-greenleekobieta-nekrofilem-vt175027.htm>, gdzie pojawił się przekład rozmowy. Oryginalny tekst można znaleźć w wielu miejscach w sieci, między innymi tu: <http://www.nokilli.com/sacto/karen-greenlee.htm>. Ostatni



dostęp 26.11.2016.

[2] <http://www.aftonbladet.se/nyheter/article22305329.ab> Ostatni dostęp 6.12.2016. Zachęcam zwłaszcza do zapoznania się z wypowiedziami przewodniczącej LUF – Cecilii Johnsson, która opowiada się także za legalizacją kazirodtwa dla osób po piętnastym roku życia.